

KRYMINAŁ HISTORYCZNY Z RYZEM CZASÓW WESPAZJANA W TLE

LINDSEY DAVIS



ZŁOTO POSEJDONA





Lindsey DAVIS

Cykl MARKA DYDIUSZA FALKONA



tom 5

ZŁOTO POSEJDONA



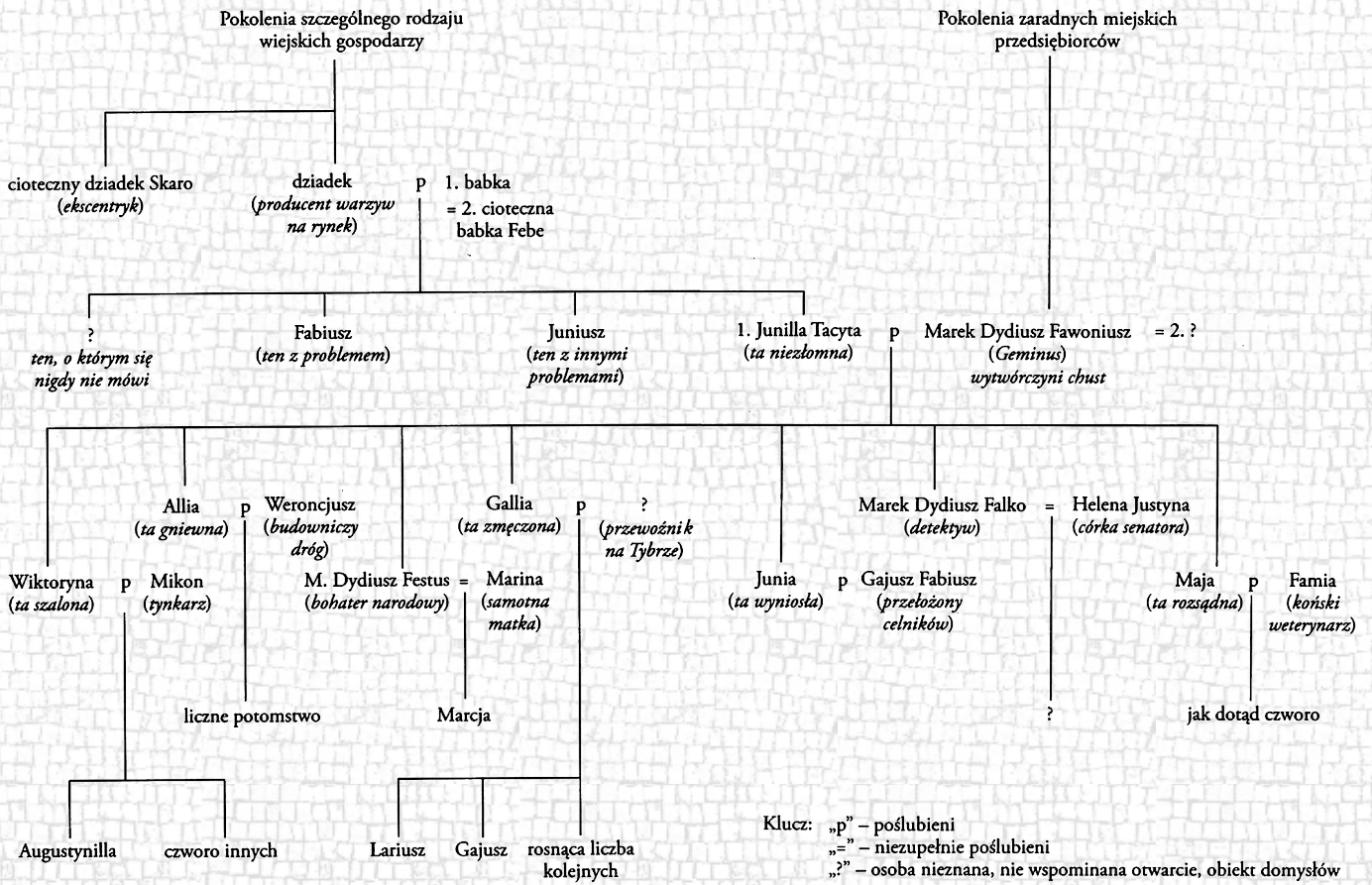
Księgozbiór DiGG



2012



FRAGMENT DRZEWA GENEALOGICZNEGO MARKA DYDIUSZA FALKONA

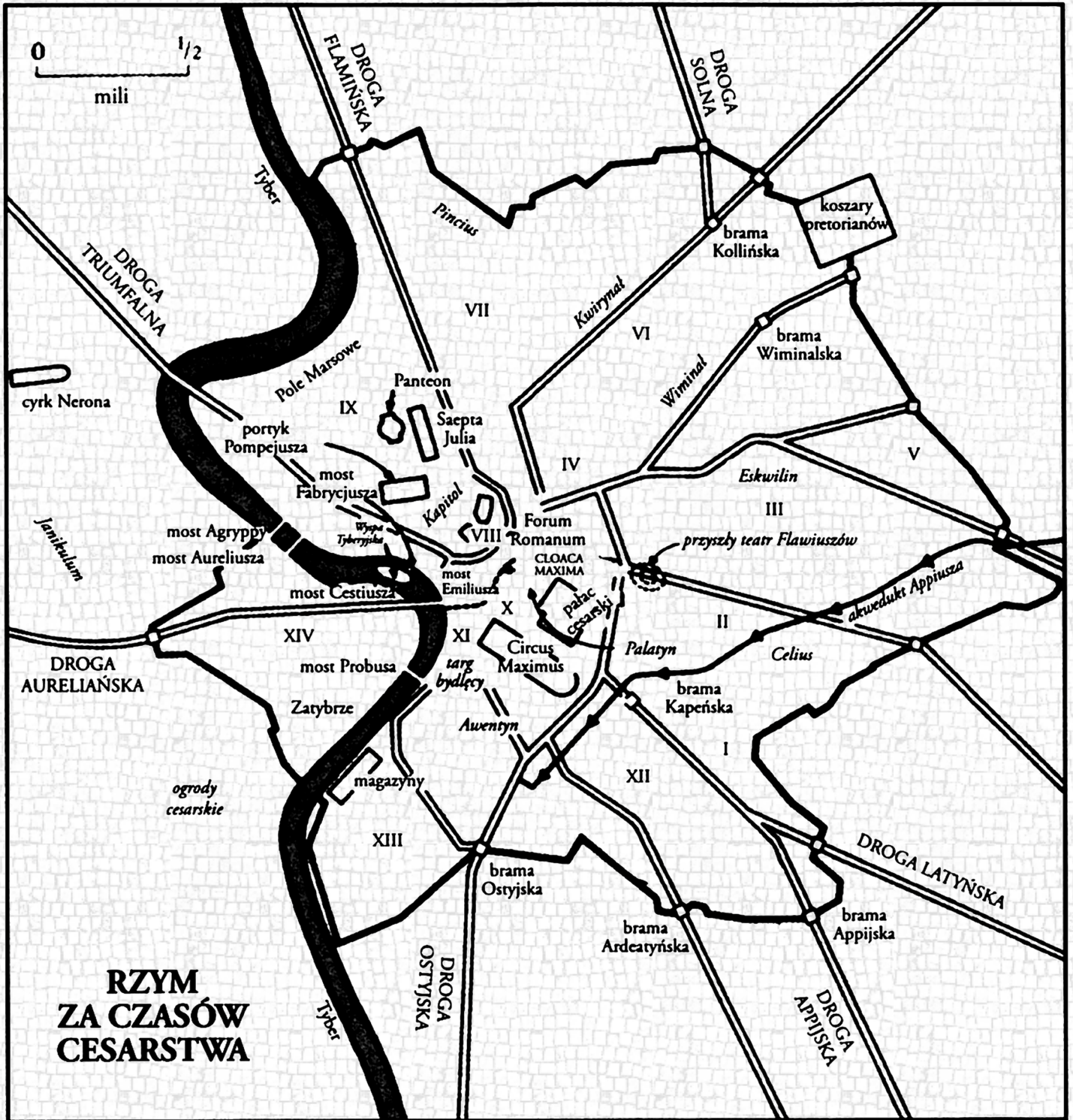




INNE POSTACI

- T. Cenzoryn Macer** - żołnierz, który kiedyś uwierzył w pewny interes.
- Laurencjusz** - centurion, który wie, że fortuny są po to, by je tracić.
- L. Petroniusz Longus** - dowódca patrolu straży awentyńskiej, który w trudnych okolicznościach stara się jak może.
- Marponiusz** - sprzedawca encyklopedii; sędzia, którego lepiej unikać.
- D. Kamil Werus & Julia Justa** - miła para rodziców z typowymi problemami (ich dzieci).
- Lenia** - właścicielka pralni z okropnym gustem, jeśli chodzi o mężczyzn.
- Epimandos** - kelner i kucharz w jednej osobie, starający się zadowolić klientów gospody (z góry skazany na niepowodzenie).
- Kudłacz** - kot w gospodzie u Flory.
- Flora** - która zapewne w ogóle nie istnieje.
- Manliusz i Warga** - dwóch malarzy o krótkiej pamięci.
- Orontes Mediolanus** - rzeźbiarz mający ogromne wzięcie.
- Rubinia** - modelka, której wymiary są godne uwagi.
- Apoloniusz** - nauczyciel geometrii, który nie potrafi się zmierzyć z realnym światem.
- A. Kasjusz Karus & Ummidia Serwia** - para wytrawnych kolekcjonerów zagubionych dzieł sztuki.
- Bracia Aristedon** - dostawcy dla tychże wytrawnych kolekcjonerów (żeglujący po niebezpiecznych wodach).
- Kokcejusz** - „uczciwy” licytator.
- Domicjan** - władca utrzymujący, że musi postępować zgodnie z regułami.
- Anakrytes** - szpieg, który twierdzi, że to nie jego wina.
- Ajaks** - pies z kryminalną przeszłością.
- Grupa żydowskich jeńców budujących Koloseum.**







RZYM, KAPUA, RZYM

MARZEC - KWIECIEŃ A.D. 72

1

Ciemna burzliwa noc na drodze Aureliańskiej, i to jeszcze zanim wjechaliśmy do Rzymu, nie wróżyła nic dobrego.

Przebycie tysiąca mil z Germanii zajęło nam cały luty i marzec. Te pięć czy sześć godzin ostatniego etapu z Wejów było najgorsze. Inni podróżujący zdążyli się już ulokować w przydrożnych zajazdach i zostaliśmy na drodze sami. Decyzja, by podążać dalej i dojechać do miasta jeszcze tej nocy, okazała się nedorzeczna. Wszyscy to wiedzieli, jak i to, kogo obarczyć odpowiedzialnością: mnie, Marka Dydiusza Falkona, przywódcę grupy. Prawdopodobnie wszyscy zrzędzili, i tak jednak ich nie słyszałem. Siedzieli w niewygodnym, przesiąkniętym wilgocią powozie, ale przecież widzieli, że człowiekowi może być jeszcze zimniej i bardziej mokro; mnie, na końskim grzbiecie, nic nie chroniło przed silnym wiatrem i deszczem.

Nagle pojawiły się pierwsze budynki mieszkalne - wysokie, gęsto zamieszkane kamienice, które miały towarzyszyć nam podczas przejazdu przez nędzne dzielnice Zatybrza. Zapuszczone domy bez balkonów czy pergoli tłoczyły się obok siebie, a ten ponury ciąg przerywały jedynie czarne zaułki, gdzie zazwyczaj rabusie czaili się na przybyszów. Może tej paskudnej nocy nie chce im się wyściubić nosów z łóżek. Mogą też mieć nadzieję, że pogoda pozbawi podróżników czujności; wiedziałem, że ostatnie pół godziny długiej podróży może się okazać najbardziej niebezpieczne. Na opustoszałej ulicy stukot kopyt i łoskot kół głośno oznajmiały nasze przybycie. Wyczuwając wszędzie wokół zagrożenie, zacisnąłem dłoń na rękojeści miecza i sprawdziłem ukryty w bucie sztylet. Nasiąknięte wodą rzemienie mocno przyciskały ostrze do mojej spuchniętej łydki, utrudniając jego wyciągnięcie.

Otuliłem się ciaśniej przemoczonym płaszczem niezadowolony, że ciężka tkanina lepi się do mnie, ograniczając ruchy. Gdzieś nad moją głową zerwała się rynna; oblał mnie lodowaty strumień, płosząc mi konia i przekrzywiając kapelusz. Klnąc, opanowałem wierzchowca. Zorientowałem się, że minąłem zakręt prowadzący w ulicę, którą dotarlibyśmy do mostu Probusa, skąd byłoby najbliżej do domu. Kapelusz spadł na ziemię. Zostawiłem go. Pojedyncze

światełko w uliczce po prawej stronie oznaczało, o czym wiedziałem, posterunek kohorty wigilów. Innych śladów życia nie było.

Przejechaliśmy po moście Aureliusza na drugą stronę Tybru. W ciemności słyszałem, jak rzeka rwie pod nami. Ta pędząca woda niosła jakąś nieprzyjemną energię. W górze na pewno już wystąpiła z koryta, zalewając nisko położony teren u stóp Kapitolu i zamieniając Pole Marsowe - które i tak zawsze było nasiąknięte jak gąbka - w niezdrowe jezioro. I znów to wezbrane błoto o kolorze i konsystencji ścieków przesączać się będzie do piwnic drogich rezydencji, których należący do warstwy średniej właściciele rywalizowali między sobą o najlepszy widok na rzekę. Jednym z nich był mój ojciec. Przynajmniej myśl o tym, że musi wylewać obrzydliwie brudną wodę ze swojego westybulu, poprawiła mi trochę humor.

Kiedy skręcaliśmy na targ bydłocy, silny poryw wiatru dosłownie zatrzymał mojego konia w miejscu. Nie widziałem leżącej wyżej Cytadeli ani wzgórza Palatynu. Oświetlone pałace cesarów też nie były widoczne, ale tutaj byłem już na dobrze mi znanym terenie. Popędziłem konia obok Circus Maximus, świątyń Ceres i Luny, łuków, fontann, łaźni i krytych dachami hal targowych, będących chlubą Rzymu. To wszystko mogło zaczekać; jedyne, czego teraz chciałem, to znaleźć się we własnym łóżku. Deszcz ściekał kaskadami po posągu jakiegoś dawnego konsula, między fałdami jego togi. Kurtyny wody opadały z dachów. Wodospady chlustały z portyków. Mój koń próbował zbaczać pod daszki nad trotuarami przed frontonami sklepów, ale ścigałem uzdę, żeby utrzymać go na jezdni.

Przecieliśmy plac Armilustrum. Niektóre boczne uliczki były nie do przebycia, jednakże teraz droga wiodła ostro pod górę i nie była zalana, tylko zdradliwie śliska. Tego dnia tyle wody spłukało uliczki Awentynu, że tym razem nie powitał mnie wszechobecny zwykle smród; nie ulegało wątpliwości, że fetor ekskrementów i inne nieprzyjemne zapachy powrócą jutro, a wszystko będzie parować intensywniej niż zazwyczaj. Poczułem ponure znajome pulsowanie i już wiedziałem, że odnalazłem Dziedziniec Fontanny.

Moja ulica. Ten nędzny zaułek wydawał się jeszcze bardziej posepny, kiedy człowiek wracał po dłuższej nieobecności. W nieoświetlonej, wymarłej uliczce nie można się było doszukać nawet jednej zalety. Zgraje kręcących się tu zwykle wyrzutków były niewidoczne, a mimo to miejsce emanowało ludzkim nieszczęściem. Wiatr wpadał w ten ślepy zaułek i zawirowawszy, wracał, by dmuchać nam w twarze. Po jednej stronie stała moja kamienica, cofnięta niczym jakiś nienazwany republikański szaniec gotowy stawić czoło barbarzyńskim najeźdźcom. Kiedy podjechałem bliżej, z hukiem tuż obok mnie zwała się ciężka donica.

Otworzyłem drzwi pojazdu, żeby wypuścić wycieńczonych podróżników, za których byłem odpowiedzialny. Spowici płaszczami przypominali mumie i

choć nogi im zeszywniały, szybko zmykali przed wichurą do najbliższej klatki schodowej: moja dziewczyna, Helena Justyna, jej pokojówka, moja smarkata siostrzenica i nasz woźnica, krzepki Gal, który miał też służyć jako ochrona. Osobiście go wybierałem, a on przez większą część drogi trzął się ze strachu. Okazało się bowiem, że poza znajomym sobie terenem jest płochliwy jak królik. Nigdy wcześniej nie wyjeżdżał z Bingium; trzeba było go tam zostawić.

Przynajmniej przez cały czas miałem przy sobie Helenę. Była senatorską córką, naturalnie ze wszystkim, co to za sobą pociąga, i miała więcej werwy niż cała reszta. Potrafiła przechytryć każdego właściciela zajazdu, który próbował zachować dla innych najprzyzwoitsze pokoje, i poradzić sobie z łobuzami, którzy usiłowali nielegalnie pobierać myto mostowe. Teraz jej pełne wyrazu, ciemne oczy informowały mnie, że po ostatnich godzinach dzisiejszego etapu podróży zamierza się ze mną porachować. Napotkawszy to spojrzenie, nie marnowałem wysiłku na przymilny uśmiech.

Jeszcze mieliśmy kawał drogi do siebie. Moje mieszkanie znajdowało się na szóstym piętrze.

Wspinaliśmy się w milczeniu i w ciemności. Po półrocznym pobycie w Germanii, gdzie nawet dwa piętra były rzadkością, moje mięśnie nóg gwałtownie zaprotestowały.

Mieszkańcy wyższych pięter byli sprawni i zdrowi. Ludzie schorowani i w finansowych tarapatach, którzy wynajęli mieszkanie przy Dziędzińcu Fontanny, albo dochodzili szybko do zdrowia dzięki tym ćwiczeniom, albo po paru takich wycieczkach w górę odchodzili na tamten świat. Straciliśmy w taki sposób niemałą ich liczbę. Smaraktus, nasz gospodarz, prowadził przynoszący niezłe zyski lewy interes, wyprzedając ruchomości zmarłych lokatorów.

Na górze Helena wyciągnęła spod płaszcza pudełeczko z hubką. Desperacja dodała sił mojej ręce, więc udało mi się skrzesać iskrę, a nawet zapalić świeczkę, nim ogienek zamarł. Wyblakły napis na ceramicznej tabliczce informował, że M. Dydiusz Falko prowadzi tutaj działalność usługową jako prywatny detektyw. Nastąpiła krótką sprzeczka, podczas której usiłowałem sobie przypomnieć, gdzie schowałem pręt do podnoszenia skobla. Nie znalazłem go, pożyczyłem więc od Heleny szpilę, przywiązałem do niej kawałek lamówki oderwanej od mojej tuniki, opuściłem do dziurki i zacząłem ją okręcać.

Chociaż raz sztuczka się udała (zazwyczaj łamie się po prostu szpilę, zarabia w dziób od dziewczyny i idzie pożyczyć drabinę). Tym razem istniał konkretny powód mojego sukcesu: skobel był wyłamany. Myśląc z przerażeniem, co to może oznaczać, pchnąłem drzwi, podniosłem świeczkę i rozejrzałem się po swoim mieszkaniu.

Dawno niewidziane miejsca zawsze wydają się mniejsze i bardziej

zapuszczone, niż je człowiek zapamiętał. To jednak wyglądało jeszcze gorzej.

Pozostawienie mieszkania bez opieki bywa ryzykowne. Jednakże tym razem Parki, które przepadają za znęcaniem się nad nieudacznikami, bardzo się postarały. Pierwszymi najeźdźcami były zapewne insekty i myszy, ale za nimi usadowiło się tam stadko szczególnie niechlujnych gołębi, które najwyraźniej musiały wydziobać sobie drogę przez dach. Podłoga była upstrzona ich odchodami, ale to było jeszcze nic przy ohydzie pozostawionej przez należących do rodu ludzkiego plugawych padlinożerców, którzy zastąpili gołębie. Jednoznaczne dowody, niektóre już kilkumiesięczne, świadczyły wyraźnie o tym, że nikt z tych, którym nieświadomie udzielałem schronienia, nie był przyzwoicie wychowanym obywatelem.

- Och, mój ty biedaku! - wykrzyknęła wstrząśnięta Helena. Może była zmęczona i rozdrażniona, ale mając przed sobą mężczyznę zrozpaczonego, okazała współczucie.

Zwróciłem jej szpilę i dałem świeczkę do potrzymania, po czym wszedłem do środka i kopniakiem posłałem najbliższy kubeł na drugi koniec pokoju.

Kubeł był pusty. Ci, co się tu zadomowili, jeśli nawet próbowali wrzucać śmieci do tego pojemnika, jaki im zostawiłem, to chybiali, a na ogół nie chciało im się w ogóle celować. Wszystko, co wylądowało na podłodze, gnijąc, przykleiło się na stałe do desek.

- Marku, kochany...

- Sza, dziewczyno. Po prostu nie odzywaj się do mnie, dopóki do tego nie przywyknę!

Przeszedłem przez pokój, który kiedyś służył mi za biuro. Za nim, w tym, co pozostało po mojej sypialni, znalazłem dalsze dowody obecności intruzów. Widocznie wynieśli się dopiero dzisiaj, fragment dachu po raz kolejny się zapadł, topiąc moje łóżko w powodzi dachówek. Brudna woda spływała nadal. Moje biedne stare łóżko było nie do uratowania.

Helena weszła za mną do sypialni.

- No cóż! - Z całych sił starałem się, by moje słowa zabrzmiały optymistycznie. - Mogę zaskarżyć gospodarza, jeśli chcę na siebie sprowadzić p r a w d z i w e kłopoty!

Poczułem dłoń Heleny w swojej.

- Zginęło coś? - spytała.

Nigdy nie zostawiam łupu dla złodziei.

- Wszystkie swoje ruchomości zostawiłem u krewnych, więc jeśli czegoś brakuje, to wiem, że przynajmniej zostało w rodzinie.

- To pocieszające! - przyznała.

Uwielbiałem to dziewczę. Helena oglądała rumowisko z wyrazem najwyższego niesmaku, chcąc poważną miną doprowadzić mnie do śmiechu.

Miała ten cierpki rodzaj poczucia humoru, któremu nigdy nie potrafiłem się oprzeć. Objąłem ją i żeby zachować zdrowe zmysły, przytuliłem mocno.

Pocałowała mnie. Wyglądała smętnie, ale jej pocałunek był pełen czułości.

- Witaj w domu, Marku - szepnęła.

Kiedy pierwszy raz całowałem Helenę, miała chłodną twarz i mokre rzęsy i wtedy też było to niczym przebudzenie ze złego niespokojnego snu i odkrycie, że ktoś karmi nas miodowymi ciasteczkami.

Westchnąłem. Gdybym był sam, to może oczyściłbym sobie kawałek podłogi i wycieńczony zwinął się pośród tego brudu. Wiedziałem jednak, że muszę znaleźć lepszą kwatere. Będziemy musieli narzucić się krewnym. Wygodny dom rodziców Heleny znajdował się po drugiej stronie Awentynu... za daleka droga i zbyt ryzykowna. Po zmroku Rzym jest bezwzględny, zatraconym miastem. Pozostawała nam albo pomoc bogów z Olimpu... albo moja rodzina. Jowisz i jego współtowarzysze uparcie raczyli się ambrozją w czyimś innym mieszkaniu; zignorowali więc moje błagania o pomoc. Zostali nam moi krewni.

Udało mi się jakoś sprowadzić szybko wszystkich na dół. Przynajmniej ta noc była taka okropna, że pełniący nieustanne dyżury w okolicy złodzieje przegapili szansę; nasz koń i powóz nadal tkwiły przy Dziedzińcu Fontanny.

Minęliśmy magazyny, które choć zaryglowane, nawet w noc taką jak ta roztaczały delikatną woń importowanych egzotycznych gatunków drewna, skór, peklowanego mięsa i przypraw. Dotarliśmy do innej kamienicy, z mniejszą liczbą schodów i mniej obskurną fasadą, a mimo to takiej, którą mogłem nazwać domem. Spodziewając się gorącej strawy i suchych łóżek, wspinaliśmy się ochoczo ku znajomym drzwiom w ceglastym kolorze. Nigdy nie były zamknięte; żaden awentyński włamywacz nie odważyłby się wdzierać do tego mieszkania.

Każdy chciał być pierwszy, ale ja wysforowałem się przed nich. Miałem prawo do roszczeń terytorialnych. To ja dorastałem w tym domu. Przybywałem, z nieodłącznym poczuciem winy, do mieszkania mojej matki.

Wchodziło się wprost do kuchni. Ku mojemu zdziwieniu lampa oliwna była zapalona; matka zazwyczaj była bardziej oszczędna. Może wyczuła, że się zbliżamy. Było to całkiem prawdopodobne. Przygotowałem się w duchu na jej powitanie, tymczasem jej tam wcale nie było.

Wszedłem do środka i zamarłem osłupiały.

Zupełnie obcy mężczyzna siedział rozwalony z nogami na stole. Nikt nie mógł sobie pozwolić na taki luksus, jeśli moja matka znajdowała się w pobliżu. Popatrzył na mnie przez chwilę zapuchniętymi oczyma, po czym wydobył z siebie głębokie i celowo obraźliwe beknięcie.

2

Jak każda szanująca się matka, moja także uczyniła ze swojej kuchni punkt

dowodzenia, skąd zamierzała kierować życiem swoich dzieci. My mieliśmy inne pomysły. Co w rezultacie zamieniło kuchnię mamy w tętniące życiem miejsce, gdzie ludzie obzerali się niemiłosiernie, skarżąc głośno jedni na drugich, w płonnej nadziei, że uda im się odwrócić uwagę matki od siebie.

Niektóre rzeczy wyglądały tak samo jak zawsze. Była tam kamienna kuchenka do gotowania, częściowo osadzona w ścianie zewnętrznej, aby lepiej rozłożyć ciężar; podłoga przed nią wyglądała na wklęsniętą. Mieszkanie było na trzecim piętrze i miało poddasze, gdzie moje siostry sypiały jako dzieci, przyjęto więc zwyczaj, że każdy, kto akurat kręcił się po kuchni, brał do ręki wachlarz wiszący na haczyku od okiennicy i przeganiał dym z paleniska za okno.

Nad kuchenką błyszczał rząd miedzianych garnków, czarek i patelni, niektóre z nich pochodziły z drugiej ręki i były dość sponiewierane. Na jednej półce stały miski, kubki, dzbanki, moździerz, a zbieranina przeróżnych łyżek sterczała w poobijanej wazie. Na hakach, zdolnych utrzymać półtusze wołowe, wisały chochle, tarki, sita i tłuczki do mięsa. Kolejny rząd haków zajmowały ogromne kuchenne noże; miały groźne żelazne ostrza, przymocowane do spękanych kościanych rączek i na każdym wyryty był inicjał matki: JT, od Junilla Tacyta.

Na najwyższej półce stały cztery z jej kolekcji specjalnych garnuszków do gotowania orzesznic. Trzeba przyznać, że mama uważa orzesznice za paskudztwa, na których jest niewiele mięsa, i twierdzi, że nadają się dla snobów o przytępionym smaku i dziwnych upodobaniach. Ale kiedy przychodzą Saturnalia i jesteś już spóźniony na rodzinne przyjęcie, a jeszcze koniecznie chcesz kupić matce jakiś prezent, żeby przeprosić ją za ostatnich dwanaście miesięcy, kiedy ją zaniedbywałeś, to taki malutki garnuszek wydaje ci się właśnie tym, czego jej potrzeba. Mama zawsze przyjmowała go łaskawie od tego z potomków, który akurat tym razem się natknął na handlarza, po czym ostentacyjnie dodawała do niewykorzystanego zbioru.

Wiązki suszonych ziół roztaczały rozmaite aromaty. Koszyki z jajkami i tace ze stosami strąków roślin wypełniały wolne miejsca. Obfitość mioteł i kubłów informowała, że moja matka życzy sobie, by inni widzieli, iż jej kuchnia - i rodzina - są nieskazitelne i nienaganne.

Tego wieczoru zamierzony efekt psuł ten niewychowany cham, który na mój widok beknął. Przyjrzałem mu się. Po obu stronach głowy sterczały mu sztywne siwe kłaki. Opalenizna w kolorze mahoniowym pokrywała jego nieustępliwą twarz i łysinę na środku głowy. Wyglądał na człowieka, który przebywał na wschodniej pustyni; miałem nieprzyjemne wrażenie, że wiem, na którym kawałku rozprażonej pustyni musiał się podziewać. Wyrobite muskuły ramion i nóg były raczej wynikiem wielu lat ciężkiego fizycznego wysiłku niż oszukańczym rezultatem programu ćwiczeń w gimnazjone.

- A kimże ty, na Hades, jesteś? - miał czelność mnie zapytać.

Przez głowę przeleciała mi szalona myśl, że być może matka wzięła kochanka, żeby osłodzić sobie stare lata, po czym zażenowana zniknęła.

- A może najpierw powiesz mnie, kim ty jesteś? - odparłem, wbijając w niego gniewne spojrzenie.

- Spływaj! - rzucił krótko.

- Nie tak szybko, żołnierzu. - Odgadłem jego zawód. Choć tunikę miał wyblakłą do koloru bladoróżowego, przyjrzałem się bacznie nabijanym ćwiekami, grubym podeszwom jego wojskowych butów. Znałem ten typ. Znałem ten woniejący czosnkiem oddech, blizny po szarpaninach w koszarach, pewny siebie sposób bycia.

Zmrużył nieufnie i ostrożnie oczy, ale nie zamierzał zdjąć buciorów z uświęconej powierzchni roboczej stołu mojej matki. Upuściłem tobołek i odsłoniłem głowę. Musiał rozpoznać charakterystyczne loki Dydiuszów.

- Więc to ty jesteś tym bratem! - rzucił oskarżycielskim tonem.

Znał Festusa. To niedobrze. I jak widać słyszał o mnie.

Zachowując się jak ktoś, o kim przybysze na pewno powinni byli słyszeć, spróbowałem zyskać przewagę.

- Za dużo sobie pozwalasz, żołnierzu! Lepiej zabierz nogi ze stołu i przestań się rozwalać, zanim wykopnę spod ciebie ławę - rzuciłem ostro.

Ta subtelna psychologia zadziałała. Szybko opuścił buty na podłogę.

- Powoli! - dodałem, na wypadek, gdyby miał ochotę mnie zaatakować.

Usiadł prosto. Muszę przyznać, że ludzie szanowali mojego brata. Przez chwilę (wiem to z doświadczenia) ten szacunek dotyczył również mnie.

- Więc to ty jesteś tym bratem! - powtórzył powoli, jakby to miało coś oznaczać.

- Zgadza się. Jestem Falko. A ty?

- Cenzoryn.

- Z jakiego legionu?

- Piętnasty Apollinaris - odrzekł.

To by się zgadzało. Mój kiepski nastrój pogorszył się jeszcze bardziej. XV Legion był tą pechową jednostką, którą przez kilka lat zaszczycał swoją obecnością mój brat... zanim zyskał sławę, przerzucając swoje przystojne ciało przez judejski mur obronny w gąszcz włóczni buntowników.

- Więc stąd znałeś Festusa?

- Tak jest - rzucił z pogardliwie wykrzywioną twarzą.

Podczas całej tej rozmowy czułem niecierpliwe poruszenia za plecami, Heleny i pozostałych. Chcieli się wreszcie położyć... ja zresztą też.

- Nie znajdziesz tu Festusa i dobrze wiesz dlaczego - powiedziałem.

- Byliśmy z Festusem kumplami - oświadczył.

- Festus miał zawsze wielu przyjaciół - powiedziałem spokojnie, choć nie

odczuwałem spokoju. Mój braciszek kumplowałby się przy kielichu z najbardziej parszywym kundlem. A potem, do końca szczodry, przyprowadzał swojego nowego przyjaciela do nas do domu.

- Masz z tym jakiś problem? - zapytał legionista. Jego niewinny sposób bycia był sam w sobie podejrzany. - Festus powiedział, że kiedy tylko będę w Rzymie...

- Możesz się zatrzymać w domu jego matki?

- To właśnie obiecał!

Było to rozpaczliwie znajome. Wiedziałem, że XV Legion przerzucono niedawno z Judei na powrót do Panonii... więc zapewne spora liczba jego żołnierzy występuje o urlop w Rzymie.

- Nie wątpię. Od jak dawna tu jesteś?

- Od kilku tygodni... - przyznał.

Co oznaczało całe miesiące.

- No cóż, cieszę się, że Apollinaris wspomaga budżet Junilli Tacyty! - Zmusiłem go do odwrócenia wzroku. Obaj wiedzieliśmy, że nie wniósł najmniejszego wkładu w koszty prowadzenia domu przez moją matkę. Cóż za powrót. Najpierw moje zdemolowane mieszkanie, teraz to. Miałem wrażenie, że kiedy mnie tu nie było, Rzym zalali nieudacznicy bez skrupułów, liczący na darmowe noclegi.

Próbowałem zgadnąć, gdzie ukrywa się matka. Odczuwałem dziwną tęsknotę za jej zrzędzeniem podczas nalewania mi gorącego rosółu do mojej ulubionej miski i przy pomaganiu w ściąganiu przemoczonego ubrania, tak jak robiła to wtedy, gdy byłem dzieckiem.

- No tak! Cóż, niestety, będę musiał pozbawić cię twojej kwatery, Cenzorynie. Potrzebna jest teraz rodzinie.

- Oczywiście. Przeniosę się najszybciej jak to będzie możliwe...

Przestałem się uśmiechać. Nawet zęby miałem zmęczone. Gestem wskazałem żalosaną grupkę, którą ze sobą przyprowadziłem. Stali w milczeniu, zbyt wycieńczeni, by włączyć się do rozmowy.

- Byłbym zobowiązany, gdybyś załatwił to migiem.

Jego spojrzenie pobiegło ku okiennicom. Z zewnątrz dochodziły odgłosy rześistego deszczu.

- Nie wypędzisz mnie chyba w taką noc!

Miał rację, ale czułem, że muszę odwdzińczyć się światu paroma kuksańcami. Posłałem mu krótki, nieprzyjemny uśmiech.

- Jesteś żołnierzem. Trochę mżawki nie wyrządzi ci krzywdy... - Mógłbym zabawiać się w ten sposób dalej, ale akurat w tej chwili do kuchni wkroczyła matka. Jej okrągłe jak paciorki, czarne oczka w jednej chwili ogarnęły sytuację.

- Och, wróciłeś - oświadczyła, jakbym właśnie wszedł do domu po skończeniu pielienia grządki z marchewką. Drobna, zadbana, niezmordowana

kobieta przeszła tuż koło mnie, pocałowała Helenę i zaczęła wyjmować z jej objęć moją senną siostrzenicę, Augustynillę.

- Miło, kiedy za nami tęsknią - mruknąłem pod nosem.

Matka zignorowała ten górnolotny ton.

- Miałybyś tu sporo do zrobienia.

Nie miała na myśli wyciągania psu kleszczy. Zobaczyłem, jak zerknęła na Helenę, wyraźnie jej dając do zrozumienia, że ma złe wieści. Niezdolny stawić czoła kataklizmom, jakie mogły spotkać klan Dydiuszów, zająłem się problemem, który miałem przed sobą.

- Musimy się gdzieś zatrzymać. Domyślam się, że łóżko starszego brata jest już zajęte?

- Owszem. I pomyślałam sobie, że będziesz miał coś do powiedzenia w tej sprawie.

Zobaczyłem, że Cenzoryn zaczyna okazywać pewną nerwowość. Matka spoglądała na mnie wyczekująco, podczas gdy ja usiłowałem wykombinować, czego ode mnie oczekuje. Z jakiegoś powodu odgrywała bezbronną staruszkę, której wielki groźny syn wylażł ze swojej pieczary, żeby ją bronić. To było zupełnie nie w jej stylu. Spróbowałem załatwić rzecz delikatnie.

- Ja tylko komentowałem fakt...

- Och, wiedziałam, że mu się to nie spodoba! - przerwała mi mama, nie kierując tych słów do nikogo konkretnego.

Byłem zbyt zmęczony, by się opierać. Ruszyłem na legionistę. Pewnie uważał się za twardziela, ale łatwiej było załatwić jego niż pokrętną matkę kierującą się niejasnymi motywami.

Cenzoryn zorientował się, że gra jest skończona. Mama dała jasno do zrozumienia, że pozwoliła mu się tu zatrzymać, czekając, aż ktoś inny za nią tę sprawę załatwi. Wróciłem ja: jej agent od brudnej roboty. Nie było sensu walczyć z losem.

- Posłuchaj, przyjacielu. Jestem skonany i przemarznięty do kości, więc wyrażę się jasno. Przejechałem tysiąc mil w najgorszej porze roku i odkryłem, że moje mieszkanie zdemolowali jacyś intruzi, jakby tego było mało, kawałek dachu zawalił mi się na łóżko. Zamierzam właśnie się wyciągnąć w zastępczym, a to, że ty się w nim zagnieździłeś jak we własnym, jest tylko ostrzeżeniem losu dla ciebie, że bogowie to kapryśni przyjaciele...

- No i tak wygląda prawdziwa gościnność! - zadrwił sobie Cenzoryn. - I tacy są towarzysze broni, którzy mówią, że jesteś ich kumplem!

Zaniepokoiła mnie groźba w jego głosie. Zdawała się nie mieć żadnego związku z tym, o czym właśnie rozmawialiśmy.

- Słuchaj, potrzebuję pokoju dla siebie i dla mojej pani, ale to nie znaczy, że wyganiamy cię na dwór. Jest tu suche poddasze, całkiem nadające się do mieszkania...

- Mam gdzieś wasze poddasze! - odparł gniewnie legionista. Po czym dodał: - I mam gdzieś Festusa i ciebie!

- Skoro ma ci od tego ulżyć - odparłem, starając się, żeby nie zabrzmiało to tak, jakby dla tej rodziny jedyną dobrą stroną śmierci Festusa był fakt, że nie musimy dostarczać darmowego wiktury i darmowej kwatery niezliczonej liczbie jego malowniczych przyjaciół.

Zobaczyłem, że mama poklepuje legionistę po ramieniu.

- Przykro mi - wymamrotała pocieszającym tonem - ale nie mogę pozwolić, żebyś denerwował mi syna...

- Och, na Jowisza, mamó! - zawołałem. Była niemożliwa.

Żeby sprawy przyspieszyć, pomogłem Cenzorynowi się spakować. Kiedy wychodził, obrzucił mnie złym spojrzeniem, ale byłem zbyt zajęty radościami życia rodzinnego, by o tym myśleć.

3

Helena i mama podjęły wspólny wysiłek wyznaczenia wszystkim miejsc do spania. Służbę odesłano na poddasze. Augustynillę ulokowano w łóżku mojej matki.

- Jak się ma Wiktoryna? - zmusiłem się, żeby zapytać. Podczas choroby mojej starszej siostry opiekowaliśmy się z Heleną jej córką.

- Wiktoryna umarła. - Matka podała tę wiadomość w sposób rzeczowy, w jej głosie jednak słychać było napięcie. - Nie chciałam mówić wam o tym dzisiejszej nocy.

- Wiktoryna odeszła? - Jakoś nie potrafiłem tego pojąć.

- W grudniu.

- Mogłaś napisać.

- I co by to dało?

Opuściłem łyżkę na stół i siedziałem, obejmując miskę, czerpiąc pociechę z ciepła, jakie w niej pozostało.

- Jak do tego doszło...?

Ano bardzo zwyczajnie. Wiktoryna miała jakiś wewnętrzny problem i pewien aleksandryjski konował oznajmił, że tylko operacja przywróci jej zdrowie. Musiał postawić złą diagnozę albo, co bardziej prawdopodobne, spaprał zabieg. Ciągle się tak dzieje. Nie było powodu, by tak się zdumiewać, że umarła.

Wiktoryna była najstarsza z rodzeństwa i tyranizowała naszą pozostałą szóstkę, tę, której jakoś udało się przeżyć wiek niemowlęcy. Trzymałem się zawsze jak najdalej od niej, z własnego wyboru, jako że nie znosiłem, kiedy mnie obijano i zastraszano. Kiedy się urodziłem, ona miała kilkanaście lat i już zaszarganą reputację: zerkąta na chłopaków, nosiła kokieteryjnie zieloną parasolkę i nadpruwała sobie boczne szwy tuniki, żeby pokazać jak najwięcej.

Kiedy szła do cyrku, mężczyźni trzymający nad nią parasolkę zawsze należeli do tych najbardziej odpychających typków. W końcu wybrała tynkarza, Mikona, i jego poślubiła. Wtedy właśnie przestałem się do niej odzywać.

Przeżyło pięcioro z ich dzieci. Najmłodszy chłopczyk nie miał jeszcze dwóch latek. A ponieważ dzieciństwo wygląda tak jak wygląda, nim skończy trzy, sam może dołączyć do utraconej matki.

Helena nie słyszała tej rozmowy. Zasnęła, z głową opartą na moim ramieniu. Lekko się obróciłem, układając ją wygodniej i żebym mógł na nią spoglądać. Jej widok uświadomił mi, że Parki, jeśli tylko zechcą, potrafią uprząść całkiem mocną nić. Nawet się nie poruszyła. Nikt nie śpi tak głęboko jak Helena, kiedy obejmuję ją ramieniem. Przynajmniej komuś się przydawałem.

Mama okryła nas kocem.

- To ona ciągle jest z tobą? - spytała zdziwiona. Matka gardziła wszystkimi moimi poprzednimi dziewczynami, za to uważała, że Helena zasługuje na kogoś dużo lepszego. Większość ludzi tak uważała. Krewni Heleny byli pierwsi w tej kolejce. Może mieli rację. Nawet w Rzymie, z jego fanfaronadą i tandetnym systemem wartości, na pewno mogła się bardziej postarać.

- Na to wygląda. - Kciukiem czule głaskałem jej skroń. Tak odprężona była uosobieniem słodyczy i łagodności. Nie oszukiwałem się, że taka jest rzeczywiście, ale była to część jej osobowości... nawet jeśli uwidaczniało się to tylko wtedy, kiedy spała w moich ramionach.

- Słyszałam jakąś historię o jej ucieczce.

- Jest przecież tutaj. Więc to musi być zmyślona historia.

Mama nie zamierzała rezygnować.

- Czy próbowała uciec od ciebie, czy ty dałeś nogę, a ona musiała za tobą gonić? - Nie najgorzej się orientowała w tym, jak wygląda nasz styl życia. Zignorowałem jej pytanie, więc rzuciła kolejne: - Czy jesteście choć trochę bliżej załatwienia waszych spraw?

Prawdopodobnie żadne z nas nie potrafiłoby na to odpowiedzieć. Nasz związek miał swoje chwiejne momenty. To, że Helena Justyna była córką bardzo bogatego senatora, podczas gdy ja byłem ubogim detektywem, nie dawało nam większych szans. Nigdy nie wiedziałem, czy każdy dzień, kiedy mam ją przy sobie, przybliży nas o jeden krok do nieuchronnego rozstania... czy też ten czas, kiedy jesteśmy razem, uniemożliwia nam rozstanie.

- Słyszałam, że Tytus miał na nią oko - ciągnęła nieubłaganie mama.

Na to też najlepiej było nie reagować. Tytus mógł się okazać trudnym wyzwaniem. Helena twierdziła, że odrzuciła jego zaloty. Ale któż to mógł wiedzieć? Może w skrytości cieszył ją nasz powrót do Rzymu oraz możliwość dalszego wywierania wrażenia na cesarskim synu. Byłaby niemądra, gdyby tak nie myślała. Powinienem był zatrzymać ją w tamtych odległych prowincjach.

Jednak żeby doczekać się honorarium za swoje dokonania w Germanii, musiałem wrócić i zgłosić się z raportem do cesarza; Helena wróciła ze mną. Życie musi toczyć się dalej. Tytus stanowił ryzyko, z którym musiałem się zmierzyć. Jeśli chciał kłopotów, byłem gotów stanąć do walki.

- Wszyscy mówią, że ją zawiedziesz - zapewniła mnie radośnie mama.
- Dotąd udało mi się tego nie zrobić!
- Nie musisz być zaraz taki opryskliwy - obruszyła się.

Było późno. Kamienicy matki przydarzył się właśnie jeden z tych rzadkich momentów, kiedy wszyscy lokatorzy jednocześnie się uspokoili. W zapadłej nagle ciszy matka prostowała knot ceramicznej lampki oliwnej, krzywiąc się na widok wypukłego wzoru z rozpasaną sceną... lampka była jednym z żartobliwych wkładów mojego brata w gospodarstwo domowe. Prezentu od Festusa nie można było już teraz wyrzucić. Zresztą ta bezwstydnie zdobiona lampka paliła się czystym i równym płomieniem.

Utrata siostry, nawet tej, której najmniej poświęcałem czasu, ponownie przypomniła o nieobecności brata.

- O co chodziło z tym legionistą, mamó? Mnóstwo ludzi znało Festusa, ale obecnie rzadko kiedy któryś z nich pojawia się na twoim progu.

- Nie mogę zachowywać się nieuprzejmie wobec przyjaciół twojego brata - oznajmiła. Nie musiała, skoro mnie kazała zrobić to za siebie. - Może nie musiałeś się go w taki sposób pozbywać, Marku.

Gdy tylko mnie zobaczyła, wymyśliła sobie, że pozbędzie się go moimi rękoma, a teraz mnie za to winiła. Ponieważ znałem matkę od trzydziestu lat, taka sprzeczność nie była dla mnie niczym zadziwiającym.

- Dlaczego sama nie poczęstowałaś go miotłą?
- Obawiam się, że będzie miał ci to za złe - mruknęła.
- Poradzę sobie - rzuciłem. Jej milczenie miało jakieś złowieszcze znaczenie. - Czy istnieje konkretny powód, dlaczego miałby mieć mi za złe? - spytałem. Matka wciąż milczała. - A jednak!

- To nic takiego - odparła.

Zatem rzecz była poważna.

- Lepiej będzie, jak mi powiesz.

- Och... wydaje się, że może chodzić o coś, co rzekomo zrobił Festus.

Przez całe życie słyszałem te fatalne słowa.

- Znowu to samo. Daj spokój tej powściągliwości, mamó. Znam Festusa, potrafię na milę wyczuć kłopoty z nim związane.

- Jesteś zmęczony, synu. Porozmawiamy rano.

Byłem skonany, a głowa wciąż rozbrzmiewała mi rytmem podróży. Teraz, kiedy w powietrzu zawisła jeszcze jakaś związana z bratem katastroficzna tajemnica, niewielką miałem nadzieję na sen, dopóki się nie dowiem się, w co

właśnie wdepnąłem... a wtedy to już pewno w ogóle nie zasnę.

- A niech to licho, rzeczywiście jestem zmęczony. Męczą mnie ludzie robiący uniki. Powiedz mi natychmiast o co chodzi, matko!

4

Festus od trzech lat leżał w grobie. Nakazy sądowe się już wyczerpały i przestały przychodzić, ale weksle od wierzycieli i pełne nadziei listy od porzuconych kobiet wciąż od czasu do czasu trafiały do Rzymu. Teraz pojawiło się zainteresowanie ze strony wojskowych; to może być trudniejsze do odparcia.

- Nie sądzę, by coś zrobił - pocieszała się mama.

- Och, na pewno coś zrobił - zapewnilem ją. - Cokolwiek to jest, gwarantuję, że nasz Festus tkwił w samym środku, jak zwykle z promiennym uśmiechem. Mamo, pozostaje jedynie pytanie, co ja będę musiał zrobić... czy raczej, ile to będzie mnie kosztować... żeby nas wszystkich wyciągnąć z kłopotów, jakie tym razem spowodował - zawyrokowałem. Mamie udało się przybrać minę mającą sugerować, że obrażam jej ukochanego syna. - Powiedz mi prawdę. Dlaczego chciałaś, żebym wykopał Cenzoryna, gdy tylko się pojawiłem?

- Zaczął zadawać niewygodne pytania - odparła.

- Jakie pytania?

- Według niego, grupa żołnierzy z legionu twojego brata włożyła pieniądze w przedsięwzięcie zorganizowane przez Festusa. Cenzoryn przyjechał, żeby odzyskać gotówkę.

- Nie ma żadnej gotówki. - Jako wykonawca testamentu brata mogłem za to ręczyć. Kiedy umarł, dostałem list od urzędnika zajmującego się sprawami spadkowymi w jego legionie, który potwierdzał to wszystko, czego i tak sam się domyślałem: po spłacie zaciągniętych przez niego długów i opłaceniu pogrzebu nie mieli mi co przysłać poza pociechę w postaci zapewnienia, że byłbym jego spadkobiercą, gdyby nasz bohater był w stanie dłużej niż przez dwa dni utrzymać gotówkę w sakiewce. Festus zawsze wydawał swój żołd na kwartał z góry. Nie zostawił w Judei nic. W Rzymie też niczego się nie dogrzebałem w gmatwaniu jego przedsięwzięć. Wiódł życie oparte na cudownym talencie do wprowadzania ludzi w błąd. Myślałem, że znam go lepiej od innych, ale nawet mnie potrafił zwieść, jeśli mu przyszła na to ochota.

- Opowiedz mi wszystko - westchnąłem. - Czego dotyczyło to podejrzane przedsięwzięcie?

- Najwyraźniej miał jakiś pomysł, żeby zarobić duże pieniądze - powiedziała ostrożnie.

Cały mój brat, zawsze gotów wpaść na cudowny pomysł zdobycia fortuny. W jego stylu było zaangażowanie w ten projekt wszystkich, którzy kiedykolwiek dzielili z nim namiot. Festus potrafił wyciągnąć pieniądze od zadeklarowanego

skapca, którego ledwie co poznał, a cóż dopiero od ufnych towarzyszy broni.

- Jaki pomysł? - spytałem.

- Nie jestem pewna. - Mama robiła wrażenie zdezorientowanej.

Nie dałem się nabrać. Matka nie była ani trochę naiwna i miała świetne poczucie rzeczywistości. Bez wątpienia wiedziała, o co oskarżają Festusa; chciała tylko, żebym sam odkrył szczegóły. Co oznaczało, że sprawa nieźle mnie zirytuje. Mama wolała być gdzie indziej, kiedy się wścieknę.

Mówiliśmy ściszymi głosami, ale najwidoczniej wzburzenie spowodowało u mnie napięcie mięśni; Helena poruszyła się i obudziła.

- Co się stało? - zapytała, natychmiast czujna.

- Zwykle kłopoty rodzinne - mruknąłem. - Nie przejmuj się, śpij - powiedziałem uspokajająco.

Oczywiście przeszła jej ochota na spanie.

- Ten żołnierz? - wydedukowała poprawnie. - Byłam zdumiona, że w taki sposób go odprawieś. Czy to jakiś oszust?

Milczałem. Wolałem zatrzymać sprawki mojego brata dla siebie. Natomiast mama, która dotąd wymigiwała się od wyjaśnień, była gotowa otworzyć serce przed Heleną.

- To rzeczywiście żołnierz. Mamy pewne kłopoty z wojskowymi. Pozwoliłam mu się tutaj zatrzymać, bo z początku wydawało mi się, że to tylko ktoś, kogo mój starszy syn poznał w Syrii, ale ledwie zdążył się zadomowić, zaczął mnie zadreczać.

- W jakiej sprawie, Junillo Tacyto? - spytała z oburzeniem Helena, prostując się. Często zwracała się do mojej matki w taki oficjalny sposób. Co dziwne, oznaczało to większą poufałość pomiędzy nimi niż to, na co matka kiedykolwiek pozwalała moim poprzednim przyjaciółkom, z których większość nie miała zresztą pojęcia o uprzejmych manierach.

- Chodzi o jakieś pieniądze w związku ze sprawą, w którą zaangażował się biedny Festus - poinformowała Helenę moja matka. - Marek to zbada.

Zatkało mnie.

- Nie przypominam sobie, żebym coś takiego powiedział.

- Rzeczywiście. Na pewno będziesz bardzo zajęty. - Matka zręcznie zmieniła taktykę. - Dużo cię teraz czeka pracy?

Nie spodziewałem się, że klienci będą ustawiać się do mnie w kolejce. Po sześciu miesiącach nieobecności wypadłem z gry. Ludzie zawsze się spieszą i głupio kombinują; moi konkurenci na pewno zgarnęli wszystkie zamówienia na profesjonalne prowadzenie obserwacji, zbieranie dowodów dla sądu i znajdowanie podstaw do rozwodów. Klienci nie mają zwyczaju cierpliwie czekać, kiedy najlepszy fachowiec zawieruszy się na czas nieokreślony gdzieś w świecie. Jak miałem tego uniknąć, skoro na Palatynie cesarz uważał, że jego sprawy mają być dla mnie najważniejsze?

- Wątpię, bym miał jej nadmiar - przyznałem, skoro i tak moje kobiety nie przyjęłyby do wiadomości, że mogę nie chcieć ruszać tej sprawy.

- Jasne, że nie - zawołała Helena.

Zrobiło mi się ciężko na sercu. Ona nie miała pojęcia, że wjeżdża wozem w zaułek bez wyjścia. Nie знаła Festusa; nie mogła wiedzieć, jak kończyły się często jego pomysły.

- Któż inny mógłby nam pomóc? - nalegała z przejęciem mama. - Och, Marku, naprawdę sądziłam, że będzie ci zależało na oczyszczeniu imienia swojego biednego brata...

Tak jak się można było spodziewać, sprawa, z którą nie chciałem mieć nic wspólnego, przeobraziła się w taką misję, której odrzucić nie mogłem. Najwyraźniej wymamrotałem coś, co zabrzmiało jak zgoda. Chwilę potem mama oświadczała, że nie oczekuje, bym poświęcał swój czas za friko, podczas kiedy Helena dawała mi bezgłośnie do zrozumienia, że w żadnym wypadku nie wolno mi wysyłać własnej matce rachunków. Czułem się zmartwowany.

Moim zmartwieniem nie było honorarium. Wiedziałem jednak, że to sprawa, której wygrać nie mogę.

- W porządku - warknąłem. - Według mnie, ten lokator, który się tu wprosił, wykorzystywał niezbyt bliską znajomość, żeby uzyskać darmową kwatery. Sugerowanie przestępstwa było tylko metodą subtelnego nacisku, mam - oświadczyłem. Matka nie była osobą, która ulegałaby naciskom. Ziewnąłem znacząco. - Słuchajcie, nie zamierzam marnować sił na coś, co wydarzyło się przed laty, ale jeśli wam na tym zależy, to rano pogadam z Cenzorynem. - Wiedziałem, gdzie go znaleźć; powiedziałem mu, że miejscowa caupona U Flory oferuje pokoje. Nocą, przy takiej pogodzie, nie powędrowałby dalej.

Matka pogłaskała mnie po włosach, a Helena się uśmiechnęła. Ta ich bezwstydną serdeczność nie poprawiła mojego pesymistycznego nastroju. Wiedziałem, zanim jeszcze w ogóle cokolwiek zacząłem, że Festus, który przez całe życie sprawiał mi kłopoty, teraz wpędzi mnie w najgorsze.

- Mam, muszę cię o coś zapytać... - zacząłem. Jej twarz nie zmieniła się ani trochę, chociaż na pewno wiedziała, co za chwilę usłyszy. - Czy uważasz, że Festus zrobił to, o co oskarżają go jego kompani?

- Jak możesz mnie o to pytać? - wykrzyknęła głęboko dotknięta. W wypadku jakiegoś innego świadka, przy każdym innym dochodzeniu, byłbym przekonany, że kobieta udaje oburzenie, bo kryje swojego syna.

- No to w porządku - oświadczyłem lojalnie.

5

Mój brat Festus mógłby wejść do jakiejkolwiek tawerny w którejkolwiek z prowincji cesarstwa, a zaraz jakiś łachmyta w poplamionej tunice zerwałby się z ławy z otwartymi ramionami, żeby powitać go jako swojego starego i

cenionego przyjaciela. Nie pytajcie mnie, jak on to robił. Była to umiejętność, która mnie samemu bardzo by się przydała, tyle że potrzeba szczególnego talentu, by emanować takim ciepłem. To, że Festus był winien temu łachmycie setkę w miejscowej walucie po ostatnim spotkaniu, nie wpłynęłoby na szczerść powitania. Co więcej, gdyby nasz młodzian przeszedł potem do pokoju na zaplecze, czekające tam na klientów tanie dziwki, które przecież powinny wiedzieć swoje, ruszyłyby ku niemu z radosnym piskiem.

Kiedy wszedłem do Flory, gdzie pijałem co tydzień od dziesięciu lat, nie zauważył mnie nawet kot.

Przy tej gospodzie przeciętny obskurny szynk wyglądał na wytworny i czysty. Rozsiadła się na rogu, gdzie biegnąca z Awentynu nędzna uliczka spotykała się z prowadzącą od nabrzeża zapuszczoną ścieżką. Była urządzona typowo, z dwoma szynkwasami ustawionymi do siebie pod kątem prostym, żeby ludzie z tych dwóch ulic mogli się na nich wspierać łokciami, kiedy z zamyślonymi minami czekali, aż ich otrują. Kontuury te wykonano z połączenia chropowatego białego i szarego kamienia, co ktoś mógłby wziąć omyłkowo za marmur, jeśli głowę miał zajętą wyborami, a do tego był prawie kompletnie ślepy. W każdym znajdowały się trzy okrągłe dziury do wstawiania saganów z jedzeniem. U Flory większość tych otworów pozostawała pusta, może w trosce o zdrowie klientów. To, co zawierały garnki, było jeszcze bardziej obrzydliwe niż brązowa breja z dziwnymi cętkami, jaką w nędznych ulicznych jadłodajniach nakładano chochlą przechodniom. Chłodniki były tutaj obrzydliwie letnie, a gorące dania chłodne. Powiadano, że kiedyś pewien rybak umarł na miejscu po zjedzeniu brei z groszku; mój brat twierdził, że aby uniknąć długich prawnych korowodów z jego spadkobiercami, gościa szybko przerobiono i podano jako ostro przyprawione klopsiki z halibuta. Festus znał mnóstwo takich historyjek. Zważywszy na stan tutejszej kuchni mieszczącej się na zapleczu gospody, ta mogła być prawdziwa.

Lady zajmowały ciasną prostokątną przestrzeń, gdzie mogli zasiąść naprawdę zahartowani stali klienci, którym nie przeszkadzało, że kelner obija im łokciem uszy. Były tam też dwa rozchwiane stoły; jeden miał ławki, drugi komplet składanych stołków polowych. Na zewnątrz poniewierała się połowa beczki, na której przesiadywał jakiś chuderlawy żebrak. Nawet dzisiaj tam tkwił, mimo że po nocnej nawałnicy siąpiło. Nie dostawał jałmużny, bo kelner i tak zabrałby mu wszystko.

Przeszedłem obok niego, unikając kontaktu wzrokowego. Zawsze widziałem w nim coś znajomego i czymkolwiek to było, przygnębiało mnie. Może wiedziałem, że jedno niewłaściwe posunięcie w mojej profesji może się skończyć tym, że będę dzielił z nim ten kawałek beczki.

Usiadłem na stołku, łapiąc równowagę, kiedy zaczął się niebezpiecznie

kiwać. Kelner był ślamazarny jak zawsze. Strząsnąłem krople z włosów i rozejrzałem się po znajomej scenerii: stojak z amforami, pokryty mgiełką pajęczyny; półka z brązowymi kubkami i dzbanami; zaskakująco atrakcyjne, wyglądające na greckie, ozdobione wzorem przedstawiającym ośmiornicę, naczynie; i bogata oferta win wraz z cenami wymalowana na ścianie. Ta imponująca lista, na której wyszczególniono przeróżne gatunki win od domowego do falerna, służyła jako ozdoba, ponieważ U Flory podawano tylko jedno, niewiadomego pochodzenia, sprokurowane z czegoś, co z winogronami miało niewiele wspólnego.

Nikt tak naprawdę nie wiedział, czy jakaś Flora kiedykolwiek istniała. Mogła przepaść bez wieści albo umrzeć, ale tego przypadku nie miałbym ochoty rozwiązywać. Krążyły pogłoski, że była osobą groźną, budzącą respekt; ja natomiast uważałem, że albo nie istnieje, albo ma stracha. Nigdy się tu nie pokazała. Może wiedziała, jakiego rodzaju jadło serwują w jej niechlujnym szynku. Może wiedziała, ilu klientów chciałoby pogadać o zawyżonych rachunkach.

Kelner miał na imię Epimandos. Nawet jeśli kiedyś widział swoją pracodawczynię, to wołał o tym nie wspominać. Był prawdopodobnie zbiegłym niewolnikiem. Jeśli tak, to dobrze się tu zaszył. Uniknął schwytania, ale nigdy nie przestał rzucać podejrzliwych spojrzeń. Ta długa twarz przypominała maskę teatralną unoszącą się nad chudym ciałem. Siły miał więcej, niż można było sądzić, a to od przenoszenia ciężkich garów. Na jego tunice widniały plamy po sosie, a pod paznokciami czaił się zapaszek siekanego czosnku.

Kot, który zignorował moje przyjście, zwał się Kudłacz. Był dorodny, miał puszysty, cętkowany ogon i szyderczy wyraz pyska. Ponieważ wyglądał mi na zwierzę, które szuka kontaktu z ludźmi, spróbowałem wymierzyć mu kopniaka. Uniknął go z pogardą, a moja stopa natrafiła na Epimandosa, któremu nie przyszło do głowy zaprotestować.

- To co zwykle? - zapytał tylko, jakby nie było mnie tu od ostatniej środy, a nie tak długo, że zdążyłem zapomnieć, czym było „to co zwykle”.

Okazało się, że była to miska pstrokatego gulaszu i dzbanuszek wina. Nie dziwota, że wymazałem to z pamięci.

- Wygląda dobrze? - spytał Epimandos.

Wiedziałem, że uważają go za nedorajdę, ale muszę przyznać, że mnie zawsze starał się dogodzić. Może miało to jakiś związek z Festusem. Brat przesiadywał U Flory i kelner najwyraźniej czule go wspominał.

- Wydaje się taki, jak powinien być. - Oderwałem kawałek chleba i wrzuciłem do miski. Fala piany prawie przelała się ponad krawędzią. Kawałki mięsa miały zbyt jaskrawy kolor; nad nimi unosiło się na pół palca przezroczystej cieczy, z plamami gęstego kleistego oleju wokół dwóch skrawków cebuli i maleńkich

kawałeczków jakiejś zieleniny, wijących się jak robaki w deszczówce. Spróbowałem potrawy i poczułem, jak tłuszcz oblepia mi podniebienie.

- Czy wojskowy nicpoń, niejaki Cenzoryn, zamieszkał tu wczoraj? - zapytałem szybko, żeby pokryć wstrząs, jakiego doznałem. Epimandos obdarzył mnie jak zwykle pustym spojrzeniem. - Powiedz, że chcę z nim zamienić parę słów, dobrze?

Epimandos wrócił niespiesznie do swoich garnków i zaczął w nich grzebać wygiętą łyką. Ta bardziej szara breja zabulgotała jak bagno, które zamierzało pochłonąć kucharza, od głowy poczynając. Ostry zapach krabiego mięsa owionął salę. Kelner nie kwapił się z przekazaniem mojej wiadomości, ale nie miałem zamiaru go poganiać. Tutaj wszystko odbywało się w zwolnionym tempie. Klientom nigdzie się nie spieszyło; kilku miało coś zrobić, ale i tak zamierzali się z tego wymigać. Większość nie miała dokąd pójść i nie bardzo pamiętała, dlaczego się tu znalazła.

Żeby splukać smak potrawy, pociągnąłem łyk wina, czy raczej tego, co miało je udawać; przynajmniej dostarczyło mi innego tematu do rozmyślań.

Pół godziny siedziałem, kontemplując przemijalność życia i obrzydliwość tego trunku. W tym czasie nie widziałem, żeby Epimandos podjął jakikolwiek wysiłek, by się skontaktować z Cenzorynem, a już wkrótce zajął się klientami, którzy przyszli z ulicy na południowy posiłek i wsparli się łokciami na ladzie. A potem, kiedy narażałem zdrowie przy drugim dzbanie wina, żołnierz wyrósł nagle u mojego boku. Musiał wyjść z zaplecza, gdzie obok kuchennego pieca znajdowały się schody prowadzące do klitek na piętrze, wynajmowanych ludziom, którzy nie słyszeli o żadnym innym miejscu, gdzie można by się zatrzymać.

- Więc szukasz kłopotów, co? - zapytał szyderczo.

- Cóż, szukam ciebie - odparłem najwyraźniej jak mogłem z pełnymi ustami. Ten kawałek, na który akurat trafiłem, był zbyt żylasty, by dało się go szybko pogryźć; czułem, że mógłbym go żuć do końca swoich dni. W końcu udało mi się go zredukować do mdłej chrząstki, którą z ulgą wyjąłem z ust i nie myśląc o zasadach dobrego wychowania, umieściłem na brzegu miski; natychmiast zresztą wpadła do środka. - Usiądź, Cenzorynie. Zasłaniasz światło - poprosiłem grzecznie. Legionista przysiadł na skraju mojego stolika. Zachowałem w miarę kulturalny ton. - Krąży podła plotka, że rzucasz oszczerstwa na mojego sławnego brata. Czy chcesz pogadać o swoim problemie, czy mam ci po prostu dać w zęby?

- Nie ma żadnego problemu - oświadczył beczelnie. - Przybyłem odebrać dług. I odbiorę!

- To mi brzmi jak groźba. - Zostawiłem jadło, ale wciąż popijałem wino, nie częstując go.

- Żołnierze Piętnastego nie muszą rzucać gróźb - powiedział z dumą.

- Owszem, jeśli ich pretensje mają podstawy prawne - zgodziłem się, sam stosując nieco agresywniejszy ton. - Posłuchaj, jeśli legion ma jakiś problem, który dotyczy mojego brata, to jestem gotów cię wysłuchać.

- Będziesz musiał coś z tym zrobić!

- To powiedz jasno, o co chodzi... albo obaj o tym zapomnijmy.

Epimandos i Kudłacz zastrzygli uszami. Mężczyzna odwrócił się od garnków i dłubiąc w nosie, gapił się na nas całkiem otwarcie, kot przynajmniej miał tyle przyzwoitości, by udawać, że liże pod stołem upuszczoną tam bułkę. Ta gospoda nie była miejscem, gdzie chciałoby się planować ucieczkę ze spadkobierczynią majątku czy kupować fiołkę trującej mikstury, żeby pozbyć się partnera w interesach. Ta gospoda miała najbardziej wścibski personel w Rzymie.

- Kilku naszych chłopców, którzy znali Festusa - poinformował mnie z zadufaną miną - dołączyło do pewnego jego przedsięwzięcia.

- Tak? - Udało mi się nie przymknąć oczu i nie westchnąć; brzmiało to okropnie znajomo.

- No i jak myślisz? Po prostu żądamy zysków... albo zwrotu naszych wkładów. Natychmiast!

Zignorowałem ostry ton.

- Cóż, jak dotąd nie czuję się ani pod wrażeniem, ani zainteresowany. Po pierwsze, każdy, kto znał Festusa, dobrze wie, że nie pozostawił dzbanów wypełnionych monetami pod każdym łóżkiem, w jakim spał. Jeśli było tam jakieś naczynie, to on w nie sikał, to wszystko! Byłem wykonawcą jego testamentu... zostawił mi w spadku zero. Po drugie, nawet jeśli to świetne przedsięwzięcie było zgodne z prawem, chciałbym obejrzeć jakieś papiery dotyczące tego długu. Festus był lekkoduchem w większości spraw, ale mam jego rachunki i wszystko się zgadzało - oświadczyłem. Przynajmniej takie było zestawienie, jakie znalazłem wydrapane na kościanych tabliczkach u matki. Ciągle podejrzewałem, że mogę się kiedyś natknąć na jakieś rachunki bardziej wątpliwego charakteru.

Cenzoryn spoglądał na mnie lodowatym wzrokiem. Wydawał się zdenerwowany.

- Nie podoba mi się twój ton, Falko! - rzucił.

- A mnie twoje podejście.

- Lepiej bądź gotów zapłacić.

- A ty lepiej to wszystko wyjaśnij.

Coś tu nie grało. Żołnierz nie miał ochoty przedstawić faktów... co było przecież jego jedyną nadzieją na przekonanie mnie, że jestem mu winien pieniądze. W jego rozbieganych oczach widziałem większe wzburzenie, niż wymagała tego sytuacja.

- Nie żartuję, Falko... musisz wybulić te pieniądze!

- Na Olimp! - Straciłem cierpliwość. - Nie podałeś mi daty, miejsca, planu, warunków, rezultatu przedsięwzięcia ani żadnych sum! Słyszę tylko pogróżki i jakieś banialuki.

Epimandos podszedł bliżej, udając, że wyciera stoliki i zrzuca końcem tłustej ścierki pestki przeżutych oliwek.

- Spadaj, ty czosnkowe nasienie! - wrzasnął na niego Cenzoryn. Wyglądało na to, że dopiero teraz zauważył Epimandosa, którego bardzo przeraził ten atak. Odskoczył i oparł się plecami o kontuar. Klienci zaczęli z zaciekawieniem spoglądać w naszą stronę.

Nie spuszczając oka z kelnera, Cenzoryn przysunął do mnie głowę.

- Festus wyprawił statek - wyszeptał chrapliwie.

- Skąd? - Starąłem się nie pokazywać po sobie zaniepokojenia. To była nowa pozycja na liście przedsięwzięć mojego brata i chciałem o niej wszystko wiedzieć, nim pojawi się więcej wierzycieli.

- Z Cezarei.

- I dopuścił do interesu kilku z was?

- Utworzyliśmy konsorcjum.

To wielkie słowo robiło na nim większe wrażenie niż na mnie.

- Co było ładunkiem?

- Posąg.

- To by się zgadzało - powiedziałem. Dzieła sztuki były rodzinnym interesem po stronie ojca. - Ładunek pochodził z Judei?

- Nie. Z Grecji - odrzekł.

To by się też zgadzało. W Rzymie mieli ogromny apetyt na helleńskie rzeźby.

- Więc co się stało? I dlaczego zgłaszasz się po swój dług trzy lata po jego śmierci?

- Na Wschodzie trwała ta przekłeta wojna, Falkonie... a może nie słyszałeś?

- Słyszałem - odparłem ponuro, myśląc o Festusie.

- Wyglądało na to, że twój brat wie, co robi - wyjaśnił Cenzoryn już spokojniej. - Wszyscy złożyliśmy u niego gotówkę na zakup towaru. Obiecał nam wysoki procent.

- A potem statek zatonął i choć bardzo mi przykro z tego powodu, nic nie jestem w stanie poradzić... bo inaczej już dawno byś dostał z powrotem swoje pieniądze, Festus był trochę szalony, ale nigdy nie widziałem, żeby oszukiwał.

Żołnierz wpatrywał się w blat stołu.

- Festus powiedział, że statek rzeczywiście zatonął.

- Pech. To dlaczego, na bogów, zawracasz mi głowę?

Było oczywiste, że nie wierzy w to zatonięcie. Jednak wciąż jeszcze był na tyle lojalny wobec Festusa, że nie mówił tego otwarcie.

- Festus powiedział, żebyśmy się nie przejmowali, że dopilnuje, żebyśmy nie byli z tego powodu stratni. Że i tak odzyska nasze pieniądze.

- To przecież niemożliwe. Skoro ładunek zatonął...
- On tak powiedział!
- W porządku! Widocznie tak było. Nie dziwię się, że starał się coś wymyślić, byliście jego kumplami. Nie chciał was zawieść.
- No myślę! - Cenzoryn nie był w stanie zachować spokoju, nawet wtedy, kiedy wyrażałem zrozumienie.
- Ale niezależnie od tego, jaki był jego plan pokrycia tych strat, musiał obejmować dalsze transakcje. Nic o nich nie wiem i nikt nie może mnie teraz obarczać odpowiedzialnością za ich przeprowadzenie. Dziwię się, że w ogóle tego próbujesz.
- Miał partnera - dodał zrzędliwie Cenzoryn.
- Nie mnie.
- Wiem.
- Festus ci powiedział?
- Twoja matka.

Znałem współnika mojego brata w interesach. Nie chciałem mieć z nim nic wspólnego, a już tym bardziej mama. To był mój ojciec, który lata temu porzucił rodzinę. Festus utrzymywał z nim kontakt, choć mama nie potrafiła się nawet zmusić, żeby wymówić jego imię. Dlaczego zatem rozmawiała o nim z obcym człowiekiem? Musiała być tym wszystkim bardzo przejęta. A to znaczyło, że ja również.

- Sam odpowiedziałeś na swoje pytanie, Cenzorynie. Musisz negocjować z tym współnikiem. Widziałeś się z nim? Co on ma do powiedzenia?

- Niewiele! - burknął.

To mnie nie zaskoczyło. Tata zawsze był przyjemniaczkiem.

- No to tak sprawa się przedstawia. Nic nie poradzę. Pogódź się z sytuacją. Festus nie żyje. Ta śmierć pozbawiła nas wszystkich radości obcowania z nim, a was jeszcze do tego gotówki.

- Nic z tego, Falko! - W jego głosie pojawił się ton desperacji. Zerwał się na równe nogi.

- Uspokój się!

- Musimy odzyskać te pieniądze!

- Przykro mi, ale takie jest zrzędzenie losu. Nawet gdyby Festus miał ten ładunek, na którym można by zarobić, ja jestem jego spadkobiercą i byłbym pierwszy w kolejce...

Cenzoryn chwycił za przód mojej tuniki i zamierzał unieść mnie ze stołka. Wyczułem kłopoty. Cisnąłem mu w twarz miskę, z całej siły odtrąciłem jego rękę i wyrwałem się. Potem pchnąłem na niego stolik, żeby zrobić sobie miejsce. Kelner zaczął zrzędzić; był tak zaskoczony, że łokieć, na którym się opierał, obsunął mu się i ręka aż do barku wylądowała w garnku z sosem. Kot zwiął z wrzaskiem.

Cenzoryn się zamachnął. Sparowałem, bardziej z irytacją niż jakimś innym uczuciem, skoro to wszystko wydawało mi się takie bezcelowe. Ruszył na mnie energicznie, więc się broniłem. Epimandos wskoczył na ladę, żeby uniknąć obrażeń; kolejni klienci zaglądali do środka z ulicy, kibicując nam hałaśliwie. Nastąpiła krótka, mało elegancka bójka na pięści, którą wygrałem. Wyrzuciłem żołnierza na ulicę; szybko się pozbierał i odszedł, mamrocząc coś pod nosem.

Do gospody powrócił spokój. Epimandos wycierał szmatą ramię.

- O co chodziło? - zapytał.

- Chyba tylko Jowisz wie! - Rzuciłem mu kilka monet i ruszyłem do domu.

Kiedy wychodziłem, zdążyłem zobaczyć, jak podnosi bułkę, którą kot wcześniej dokładnie wylizał, i wkłada do koszyka z pieczywem dla klientów.

6

Nazajutrz zacząłem od początku organizować sobie normalne życie w Rzymie. Poleżałem w łóżku wystarczająco długo, by udowodnić, że nie potrzebuję patrona i nie muszę się zrywać wcześniej i biec do domu jakiegoś bogacza na poranne *salutatio*. Potem wyszedłem i pokazałem się zaciekawionym i spragnionym mojego widoku przechodniom, choć większość spoglądała akurat w inną stronę. Udało mi się ukryć przed bankierem, dziewczyną, której wolałem nie znać, oraz moimi dwoma szwagrami. Potem pomaszerowałem do męskiej łaźni na tyłach świątyni Kastora i Polluksa, żeby zregenerować siły i organizm. Po intensywnych ćwiczeniach i masażu wykonanym przez mojego trenera, Glaukosa, który był akurat w nastroju do sarkazmu, wzięłem kąpiel, zainwestowałem w golenie i strzyżenie, rzuciłem kilka dowcipów, wysłuchałem paru plotek, postawiłem denara w zakładzie, ile śladów po pchlich ugryzieniach znajduje się na nodze jakiegoś nieznajomego i ogólnie rzecz biorąc, wreszcie zacząłem znów się czuć jak cywilizowany Rzymianin.

Nie było mnie tutaj sześć miesięcy. W polityce i w stajniach koni wyścigowych nie zaszły żadne zmiany, ale wszystko zdążyło podrożeć. Jedynymi ludźmi, którzy za mną tęsknili, okazali się ci, którym winien byłem pieniądze.

Pożyczyłem od Glaukosa togę i ruszyłem do Pałacu, na audiencję u cesarza. Mój raport wywarł stosowne wrażenie na starym, choć powinienem poczekać, aż zje kolację, bo wtedy był skłonny do większej szczodrości. Moja misja w Germanii się powiodła; Wespazjan lubił szukać dziury w całym, zawsze jednak uznawał sukces. Był sprawiedliwy. Zatwierdził moje honorarium i wydatki. Nie usłyszałem jednak ani słowa o kolejnym zadaniu. To jest ryzyko pracy na zlecenia: stałe zagrożenie bezrobociem i bankructwem, po czym, kiedy już przywykniesz do czerpania przyjemności z ogromu wolnego czasu, proponują ci jakąś pracę, przed której podjęciem wzdragałby się nawet Herkules.

Mimo wszystko z satysfakcją odebrałem worek srebra, wróciłem na Forum, przywitałem swojego bankiera pełnym zadowolenia uśmiechem i przyglądałem się, jak otwiera moją raczej niewielkich rozmiarów bankową szkatułę. Monety zabrzęczały przyjemnie, kiedy je w niej umieszczał. Wciąż nie było tam dość, bym zaczął myśleć o jakichś ryzykownych inwestycjach. Jeszcze odleglejsze było uzbieranie ogromnej sumy niezbędnej, gdybym kiedyś miał wystąpić przed ojcem Heleny Justyny w charakterze zięcia *in spe*. Na szczęście szlachetny Kamil nie spodziewał się, by kiedykolwiek mogło do tego dojść, więc nie zwracał mi głowy trudnymi pytaniami dotyczącymi moich planów.

Potem obijałem się przez resztę popołudnia, wykręcając od szukania prywatnych klientów. Powinienem był wiedzieć, że kiedy tak się włóczyłem bez żadnego konkretnego celu, Parki, snujące nici ludzkiego życia, szykowały się do zasupłania mojej.

Tego ranka, kiedy jeszcze drzemałem, Helena krzyknęła mi do ucha, że ruszają z matką do mojego mieszkania, żeby zabrać się do sprzątania. W końcu i ja tam dotarłem. Uliczki wokół Dziedzińca Fontanny woniały ściekami, ponieważ w tej części miasta to one właśnie były ściekami. Mieszkańcy, jak zawsze, mieli szare, przygnębione twarze. Znalazłem sobie tę norę sześć lat temu, kiedy wróciłem do domu z wojska i w przeciwieństwie do mojego brata, który wciąż mieszkał u matki, ja uznałem, że jestem już na to zbyt dorosły. Festus powiedział, że zwariowałem... co utwierdziło mnie w tym postanowieniu.

Innym powodem opuszczenia rodzinnego domu była chęć uniknięcia nacisku, by wejść do któregoś z interesów rodzinnych. Miałem do wyboru albo nadwerężanie sobie krzyża w gospodarstwie warzywnym w Kampanii, albo prowadzenie licytacji, przy czym jeszcze bardziej mogłem pobrudzić sobie ręce. Potrafię zarówno okopać pora, jak i opowiadać koszałki-opałki o zabytkowej lampie. Jednak uważałem się za miłego i spokojnego gościa i uznałem, że życie cynicznego samotnego detektywa będzie w sam raz dla mnie. Teraz miałem trzydzieści lat, wymigiwałem się jak mogłem od rodzinnych obowiązków, skazany na to katastrofalnie wybrane zajęcie.

Zanim ruszyłem do siebie na górę, zatrzymałem się, żeby złożyć wyrazy szacunku Lenii, wynędzniałej megierze, prowadzącej pralnię na parterze kamienicy. Wciąż słychać było odgłosy burzy, niewiele więc się tutaj działo, bo żadne pranie i tak by nie wyschło. Bardzo wysoki mężczyzna, owinięty w przykrótką togę, stał bez słowa, podczas gdy jego żona wygłaszała tyradę na temat niedbałości pralni. Lenia przegrywała właśnie starcie dotyczące jakiejś szczególnej plamy, więc kiedy wsadziłem tam głowę, natychmiast zostawiła tę parę i skorzystała z okazji, żeby wyżyć się na mnie.

- Falko, ty durny poganiaczu osłów! Kto cię wpuścił z powrotem do Rzymu?

- Publiczny popyt na moje cywilizowane usługi - odparłem.
- Też coś! Podróż udana?
- Trzeba było tam zostać... zdewastowano mi mieszkanie.
- Och, naprawdę? - Lenia, która miała bliskie kontakty z tą nędzną kreaturą, którą nazywałem gospodarzem, przybrała minę mającą świadczyć o tym, że z wielką chęcią pogadałaby ze mną, ale musi pilnie biec do piekarni, zanim wystygną piece.

- Dobrze o tym wiesz! - rzuciłem ostro. Dyskusja z gospodarzem nie miała sensu; niemniej podniesienie głosu powodowało, że zrobiło mi się trochę lżej na wątrobie.

- Mnie w to nie wplątuj. Pogadaj ze Smaraktusem...
- O niczym innym nie marzę!
- Nie ma go w mieście - poinformowała mnie natychmiast. Ten pasożyt, Smaraktus, usłyszał prawdopodobnie, że wróciłem, i wybrał się na półroczny pobyt w swoim wakacyjnym domu nad jeziorem Vulsinius. Marzec to trochę za chłodna pora roku na żeglowanie. - Więc ktoś się tam zagnieździł? - Lenia musiała widzieć intruzów za każdym razem, kiedy tylko wchodzili na schody. Przypuszczałem, że wcisnęli jej w garść srebrną monetę, żeby im wskazała, gdzie znajdują wolny ką. - To straszne!

Dałem sobie spokój.

- Są tu moje panie?
- Jest spory ruch. Wcześniej wpadła twoja siostra - powiedziała.
To mogło oznaczać tylko jedną z pięciu... nie, teraz czterech. Wiktoryny już nie było.

- Maja? - spytałem. Tylko ona robiłaby sobie kłopot z mojego powodu.

Lenia skinęła głową.

- Aha, i ten drań Petroniusz cię szukał.

Ta wiadomość mnie bardzo ucieszyła. Petroniusz Longus, dowódca patrolu straży awenturyńskiej, był moim najlepszym przyjacielem. Nie mogłem się doczekać, kiedy wymienimy obelgi i będę miał okazję naopowiadać mu łgarstw o mojej dalekiej podróży.

- A jak tam przygotowania do ślubu? - zawołałem do Lenii, ruszając pędem ku schodom.

- Postępują! - odkrzyknęła. Udawała. Lenia i Smaraktus mieli już dawno połączyć majątki, tyle że jakoś żadne z nich nie mogło się zdecydować na wspólną sakiewkę. - A co z twoimi? - rzuciła w odwecie.

- Och, są mniej więcej na takim samym etapie...

Zacząłem się szybko wspinać, by nie zdążyły mnie dosięgnąć trudniejsze pytania.

Domyślałem się, że stan mojego mieszkania musi się jeszcze bardziej pogorszyć, zanim będzie można je zacząć porządkować. Na podeście walały się kawałki połamanych mebli i worki z rupieciami, i musiałem się dosłownie przeciskać do własnych drzwi.

Tam spotkałem się oko w oko z Heleną Justyną, która wynosiła kolejne sterty śmieci, w resztkach płaszcza z zawiązanymi w węzły rogami. Wyglądała na skonaną. Helena była uparta i mężnie znosiła niedostatki, jakie musiała ze mną dzielić, mimo że przyzwyczajono ją do luksusu. Teraz jednak zaczęło brakować jej sił. Zawadziła o ramę wyrzuconego łóżka, co musiało nieźle zabołec, i rzuciła słowem, którego córka senatora nie powinna znać; najpewniej nauczyła się go ode mnie.

- Proszę... daj mi to! - Wyciągnąłem rękę.
 - Nie zatrzymuj mnie, bo stracę równowagę i rymnę.
 - Rymnij na mnie - szepnąłem kusząco. Siłą odebrałem jej tobołek; Helena całym ciężarem zawisała mi na szyi.

Po męsku podtrzymywałem zarówno moje dziewczę, jak i tobołek, udając, że nie wymaga to ode mnie najmniejszego wysiłku. Kiedy już udowodniła to, co zamierzała, połaskotała mnie podstępnie po karku, przez co upuściłem pakunek. Poleciał z łoskotem kilka pięter w dół.

Patrzyliśmy, nie wykazując szczególnej chęci, by za nim pogonić.

- Mama już poszła? - spytałem z nadzieją w głosie. Skinęła głową. - No to w porządku! - szepnąłem i zacząłem ją całować pośród tego całego bałaganu. Na szóstym piętrze znajdowało się tylko moje mieszkanie, więc mieliśmy zapewnioną prywatność. Zresztą ożywiony dniem spędzonym w Rzymie nie przejmowałem się, czy ktoś nas zobaczy.

Po dłuższej chwili ująłem w dłonie jej rozpaloną, zmęczoną twarz i zajrzałem w oczy. Zobaczyłem, jak w jej duszy pojawia się spokój. Uśmiechnęła się leciutko, pozwalając, bym sobie przypisał tę zasługę. Przymknęła powieki; nie znosiła pokazywać, jak na nią wpływam. Przytuliłem ją mocno i roześmiałem się.

Weszliśmy do mieszkania, trzymając się za ręce. Było prawie całkiem ogołoczone, ale za to czyste.

- Możesz usiąść na balkonie - powiedziała. - Zmyłyśmy go i wyszorowałyśmy ławkę.

Zabrałem ją tam ze sobą. Ściemniło się i ochłodziło, co było dobrym pretekstem, by się do siebie przytulić.

- To mieszkanie nigdy nie było takie czyste. Nie jest tego warte. Nie przemęczaj się z powodu tej nory, gołąbeczko.

- Przecież nie zechcesz zbyt długo siedzieć u matki. - Helena dobrze mnie znała.

- Mogę znieść pobyt u mamy, jeśli jesteś tam ze mną, żeby mnie chronić - oświadczyłem. Zaskakujące, ale tak rzeczywiście było.

Trzymałem ją na balkonie, oglądając widoki, podczas gdy ona odpoczywała. Przed naszymi oczyma gwałtowny wiatr pędził chmury nad Tybrem, a wzgórze Janikulum zniknęło w nadchodzącym stamtąd deszczu. Poniżej leżał Rzym, posępny i milczący, niczym nielojalny niewolnik, którego grzeszki odkryto.

- Marku, nie powiedziałaś mi, jak przebiegła rozmowa z tym żołnierzem - odezwała się.

To są właśnie kłopoty wynikające z oglądania widoków; kiedy ludzie się znudzą, zaczynają poruszać drażliwe tematy.

Wciąż patrzyłem na zimowy krajobraz.

- Nie chciałem martwić mamy - powiedziałem.

- Nie ma jej tutaj, zmartw mnie.

- Tego też chciałem uniknąć.

- Najbardziej się martwię, kiedy coś zachowujesz dla siebie.

Poddałem się. Wierciła mi dziurę w brzuchu, ale ja lubię, jak Helena wierci mi dziurę w brzuchu.

- Spotkałem się z Cenzorynem w gospodzie, ale do niczego nie doszliśmy. Powiedział mi, że kilku koleżków mojego brata, z jego legionu, straciło pieniądze na przewozie greckich posągów.

- Więc o co chodzi?

- Nasz Festus zapewnił ich wszystkich radośnie, że pokryje im straty.

- Ale mu się nie udało?

- Zaraz potem spadł z muru obronnego. Teraz oni chcą, żebym ja to za niego zrobił, tyle że Cenzoryn odmówił wyjaśnienia, jak wyglądała ta cała pierwotna umowa...

Moje zamilknięcie zwiększyło jedynie ciekawość Heleny.

- I co się stało? - Wiedziała, że coś ukrywam. - Doszło do awantury w gospodzie?

- Skończyło się bijatyką na pięści.

- Och, Marku!

- On zaczął.

- Mam nadzieję! Założę się jednak, że byłeś nieprzejednany?

- A niby dlaczego nie? Przecież nie mogą oczekiwać niczego innego, jeśli zachowują coś w sekrecie.

Helena musiała się zgodzić.

- Opowiedz mi o swoim bracie - poprosiła po chwili. - Zawsze miałam wrażenie, że wszyscy go lubili i cenili. Teraz nie bardzo wiem, jakie są twoje uczucia.

- O to chodzi. Ja też czasami tego nie wiem - mruknąłem. Był starszy ode

mnie o osiem lat. Akurat tyle, by można podziwiać w nim bohatera... czy te inne zalety. Jakaś część mnie go nienawidziła; choć ta reszta o wiele bardziej go kochała. - Potrafił być męczący - przyznałem. - A przecież nie mogłem znieść jego utraty. Tak to w skrócie wygląda.

- Był podobny do ciebie?
- Nie - odrzekłem. - Raczej nie.
- Więc zamierzasz zrobić coś z tą sprawą?
- Poczekamy, zobaczymy.
- To znaczy, że chcesz dać sobie z tym spokój - powiedziała.

Była to rozsądna uwaga. Tyle że ona nie знаła Festusa. Wątpiłem, by udało mi się wykręcić; nawet gdybym się starał nic nie robić, sytuacja była poza moją kontrolą.

Helena zaczęła się kulić z zimna.

- Przydałaby się nam kolacja - powiedziałem.
- Nie możemy ciągle narzucać się twojej matce.
- Słusznie... chodźmy więc odwiedzić twoich rodziców!
- Przewidziałam, że możesz na coś takiego wpaść. Przyniosłam ze sobą zmianę ubrania. Powinnam się najpierw wykąpać...

Przyjrzałem się jej; wyglądała na brudną, ale pełną wigoru. Nawet warstwa brudu nie mogła przesłonić jej zaradności. Pokrywający ją kurz podkreślał blask wielkich ciemnych oczu, a kiedy jej włosy wysuwały się spod szpilek, miałem jedynie ochotę pomóc im się bardziej rozsypać... Gdyby było tam łóżko, nie poszlibyśmy nigdzie tego wieczoru. Nie było ani łóżka, ani niczego sensownego, co mogłoby je zastąpić. Uśmiechnąłem się smutno.

- Skarbie, to może nie być najlepszy pomysł, żeby prowadzić cię do twoich rodziców, kiedy wyglądasz, jakbyś spędziła cały dzień, pracując jak niewolnik. Z drugiej strony, twoi szlachetni krewni spodziewają się, że będę cię źle traktował, chodźmy więc i skorzystajmy gratis z prywatnej łaźni twojego taty.

Przyświecał mi podwójny motyw. Jeśli rodzice Heleny zamierzali ujawnić, że Tytus węszył wokół, kiedy byliśmy daleko stąd, to im gorzej Helena będzie wyglądała po przyjeździe, tym łatwiej im przyjdzie zaakceptować, że ja ją zdobyłem pierwszy. Był to czysty przypadek, ale skoro miał być tym jedynym szczęśliwym przypadkiem w moim nędznym życiu, zamierzałem się go uczepić i nie puszczać. Skoro już Helena rzuciła się w moje ramiona, nikt nie mógł się spodziewać, że odmówię przyjęcia tego daru... tak jak i nie mogli mieć nadziei, że syn bardzo konserwatywnego cesarza wzięłby ją sobie po mnie.

Taką, w każdym razie, była moja nadzieja.

Rodzina Kamilów mieszkała na jednej połowie kwartału zajętego jedynie przez dwa domy, w bok od Drogi Appijskiej, w pobliżu bramy Kapeńskiej. Ten sąsiedni dom stał pusty, chociaż również należał do nich. Niezamieszkaną

popadał stopniowo w ruinę. Ten, do którego przyszliśmy, wyglądał nie gorzej niż ostatnim razem, kiedy tu byłem, nie kłuł w oczy szczególnym przepychem, nosił natomiast ślady permanentnego braku gotówki. Marna farba we wnętrzu zdążyła już wyblaknąć, ogród nie był szczególnie imponujący. Ale dom umeblowany był wygodnie. Spośród senatorskich rodzin Kamilowie wyróżniali się kulturą... mieli szacunek dla bogów, byli mili dla dzieci, hojni dla niewolników, a łaskawi nawet dla takich pochodzących z dołów społecznych pieczeniarzy jak ja.

Mieli niewielką łaźnię, do której wodę dostarczał akwedukt Klaudiusza; w zimowe wieczory utrzymywano w niej dość wysoką temperaturę. Nieważne, jakie mieli finansowe problemy, wiedzieli, co w domu liczy się najbardziej. Przesuwałem skrobaczkę po skórze Heleny, z przyjemnością się przykładając do tego zadania.

- Hmm, jeszcze nigdy nie kochałem się z córką senatora w jego własnej łaźni...

- Jesteś wszechstronny... kiedyś będziesz miał okazję!

Jednakże nie tym razem. Dochodzące z daleka głosy obwieszczały, że będziemy mieli towarzystwo. Kiedy pojawił się ojciec Heleny na przedkolacyjnej ablucji, jego córka rzuciła mi na kolana ręcznik i zniknęła. Usiadłem na krawędzi basenu, starając się wyglądać bardziej szacownie, niż się czułem.

- Zostawcie nas, proszę, samych - polecił niewolnikom Decymus Kamil.

Odeszli, ale z ich min można było wyczytać, że wydawanie poleceń nie należy do obowiązków pana tego domu.

Decymus Kamil Werus był przyjacielem Wespazjana i dlatego obecnie znajdował się na fali wznoszącej. Był wysoki, miał niesforne włosy i wyraziste brwi. Kiedy odprężał się w gorących oparach, widać było, że jest nieco przygarbiony; wiedziałem, że czasami ćwiczy, wolał jednak przesiadywać w swoim gabinecie nad stosem zwojów.

Kamil mnie lubił... naturalnie, w pewnych granicach. Nie znosiłem warstwy, do której należał, ale jego samego darzyłem sympatią. Moje uczucie do jego córki zasypało częściowo istniejącą pomiędzy nami przepaść społeczną.

Był wyraźnie w kwaśnym nastroju.

- Kiedy zamierzacie z Heleną zalegalizować swój związek? - zapytał.

A ja myślałem, że wcale tego nie oczekuje. Przytłoczył mnie dodatkowy ciężar. Liczony w sestercjach wynosił dokładnie czterysta tysięcy... bo tyle kosztowałyby mnie wejście do warstwy średniej, dzięki czemu poślubiając Helenę, nie zhańbiłbym jej tak do końca. Postępy w zbieraniu tej sumy jak dotąd były niezbyt imponujące.

- Chyba nie potrzebujesz, panie, dokładnej daty? Sądzę, że niedługo - skłamałem.

On zawsze potrafił mnie przejrzeć.

- Jej matka prosiła, żebym zapytał - oświadczył.

Z tego, co mi było wiadomo o Julii Juście, słowo „prosiła” nie oddawało istoty rzeczy. Szybko porzuciliśmy ten temat.

- Jak się miewasz, panie? Co słychać? - spytałem.

- Wespazjan wzywa Justyna z armii do Rzymu - oznajmił.

Justyn był jego synem.

- Aha, możliwe, że miałem w tym swój udział.

- Tak też się domyślałem. Co naopowiadałeś cesarzowi?

- Zauważyłem, że warto doceniać talenty - odparłem.

- Ach, tylko tyle! - zakpił na swój cierpki sposób senator.

Figlarność tego nieśmiałego mężczyzny przebijała czasami przez jego skromny sposób bycia. Helena odziedziczyła po nim poczucie humoru, choć o wiele hojniej rzucała obelgami.

Kamil Justyn był młodszym z dwóch braci Heleny; mieszkaliśmy u niego w Germanii.

- Justyn zapracował sobie na doskonałą reputację - oznajmiłem zachęcająco jego ojcu. - Zasługuje na względy cesarza, a Rzymowi potrzebni są tacy ludzie jak on. Tylko tyle powiedziałem Wespazjanowi. Jego dowódca powinien wystawić mu świetną opinię, ale prawdę mówiąc, nie polegamy na legatach.

Kamil jęknął. Znałem jego problem; był taki sam jak mój, choć na skalę o wiele większą: brak kapitału. Jako senator Kamil był milionerem. A przecież na jego rachunku bankowym nie było żadnych luzów. Organizowanie całej tej otoczki związanej z życiem publicznym - tych wszystkich igrzysk i publicznych uczt dla żarłocznego elektoratu - mogło bez trudu wykończyć go finansowo. Obiecawszy starszemu synowi karierę w senacie, odkrył teraz, że zupełnie nieoczekiwanie ten młodszy zyskał liczącą się reputację. Biedny Decymus z przerażeniem myślał o kosztach.

- Powinieneś być z niego dumny, senatorze.

- Owszem, jestem! - odparł posępnie.

Sięgnąłem po skrobaczkę i zacząłem zeskrobywać mu oliwę z pleców.

- Jeszcze coś cię dręczy, panie? - sondowałem na wypadek, gdyby zaszły jakieś nowe wydarzenia na Tytusowym froncie.

- Nic specjalnego: dzisiejsza młodzież, stan handlu, obniżenie towarzyskich standardów, budzący zgrozę program prac publicznych... - ciągnął na wpół autoironicznie. - Mam problem z rozdysponowaniem posiadłości mojego brata - dodał na koniec.

Więc o to chodziło.

Nie był jedynym Rzymianinem, któremu któreś z rodzeństwa przyniosło wstyd. Kamil miał kiedyś brata, który okrył się hańbą, knując polityczne spiski, co położyło się cieniem na całej rodzinie. Dlatego dom obok stał pusty, a

Decymus wyglądał na zmęczonego. Wiedziałem, że jego brat nie żyje... ale wiedziałem też, że na tym sprawa się nie kończy.

- Skontaktowałeś się z licytатorem, którego zarekomendowałem?

- Tak. Geminus jest bardzo pomocny - powiedział. Co miało oznaczać, że bardzo niewymagający, jeśli chodzi o pochodzenie i autentyczność testamentu.

- Och, to świetny licytator - przyznałem cierpko. Geminus był ojcem, który opuścił rodzinę. Gdyby nie zamiłowanie do ucieczek z rudowłosymi, można by go wziąć za doskonałego obywatela.

- Tak, wydaje się, że cała rodzina potrafi docenić wysoką jakość! - powiedział z uśmiechem. To był mały kamyczek do mojego ogródka. Udało mu się przegnać ponury nastrój. - Dość już o moich kłopotach. Jak ty się miewasz? I jak się ma Helena?

- Żyję. O więcej nie mógłbym prosić. Helena jest sobą.

- Uhm!

- Obawiam się, że wróciła jako osoba zrzędliva, o niewyparzonym języku. To zupełnie nie pasuje do wychowania, jakie daliście jej z Julią Justą.

- Zawsze jej się udawało wznieść ponad to.

Uśmiechnąłem się. Ojciec Heleny lubił subtelny dowcip.

Publicznie kobiety mają zachowywać się skromnie i powściągliwie. Prywatnie mogą sobie manipulować wszystkimi i tyranizować otoczenie, tak długo jak na zewnątrz zachowany jest dobry rzymski mit o niewieściej uległości. Kłopot z Heleną Justyną polegał na tym, że nie godziła się na kompromisy. Mówiła, czego chce, i robiła, co chciała. Tego rodzaju nienaturalne zachowanie jest nie do przyjęcia dla mężczyzny, którego wychowano w przekonaniu, że tylko w obliczu zakłamania i sprzeczności wie, na czym stoi.

Mnie się to podobało. Podobały mi się te chwile zaskoczenia. Podobały mi się spotykające mnie wstrząsy i niespodzianki, choć nie było to łatwe.

Jako ojciec, senator był na Helenę skazany, ale często wyglądał na szczerze zdumionego, że mogłem z własnej i nieprzymuszonej woli przyłgnąć do jego córki. I nie miałem najmniejszych wątpliwości, że bawiło go, kiedy widział kogoś innego poza sobą w roli ofiary.

Kiedy poszliśmy na kolację, ujrzałem Helenę w roziskrzanej bieli, ze złotymi brzegami misternie ułożonych fałd szaty; namaszczoną; wypachnioną; ozdobioną naszyjnikami i bransoletami. Pokojówki jej matki jak zwykle dopilnowały, żeby młoda pani wyglądała na stojącą ode mnie wyżej o dwa społeczne stopnie - co zresztą było faktem - i na dwadzieścia razy więcej ode mnie wartą.

Przez chwilę czułem się, jakbym nadepnął sobie na rzemyk sandała i runął na mozaikową posadzkę. Potem jednakże zauważyłem, że pośród naszyjników

Heleny był sznur bałtyckich bursztynów, którego jej matka wcześniej nie widziała. Kiedy podczas szorstkiej towarzyskiej rozmowy szlachetna Julia o niego spytała, Justyna odpowiedziała w typowy dla siebie lekki sposób:

- To był urodzinowy prezent od Marka.

Podsuwałem matce Heleny najlepsze smakołyki spośród przekąsek, z niewzruszoną godnością i zgodnie z najlepszymi manierami. Julia Justa przyjmowała moje starania z lodowatą uprzejmością.

- Czy dobrze rozumiem, że był jakiś pożytek z twojej podróży nad Ren, Marku Dydiuszu? - spytała mnie w pewnej chwili.

Zanim zdążyłem się odezwać, Helena udzieliła jej odpowiedzi w moim imieniu.

- Masz na myśli coś więcej poza zapewnieniem pokoju w tamtym regionie, wykorzeniem oszustw i nadużyć finansowych, uspokojeniem legionów... i stworzeniem możliwości członkowi tej rodziny, by dał się poznać jako dyplomata?

Julia Justa zrezygnowała z sarkastycznej uwagi na rzecz lekkiego przechylenia głowy, a wtedy jej córka posłała mi promienny uśmiech.

Jak na zimowe warunki, jedzenie było zupełnie dobre. Posiłek przebiegał w przyjaznej atmosferze, jeśli ktoś lubi przyjaźń w takim oficjalnym, powierzchownym stylu. Wszyscy umieliśmy jasno pokazać, jak bardzo staramy się być wyrozumiali.

Musiałem coś z tym zrobić. Dla dobra Heleny musiałem dopchać się do pozycji prawowitego zięcia. Musiałem zdobyć czterysta tysięcy sestercji... i to szybko.

8

Tego samego wieczoru odnalazł nas Petroniusz Longus.

Właśnie mieliśmy się już kłaść do łóżek. Mama zazwyczaj chodziła spać wcześniej, bo w jej wieku musiała zdążyć nabrać sił do energicznego organizowania życia rodzinie następnego dnia. Zaczekała jednak na nasz powrót... co było jedną z jej nieznośnych, krępujących praktyk, powodujących, że wolałem mieszkać gdzie indziej. Po kolacji u senatora zdecydowałem się na powrót do domu, po części, by oszczędzić matce niepokoju, ale miałem też inny powód. Ojciec Heleny zaproponował, żebym przenocował, matka nie przyjęła tego pomysłu entuzjastycznie i wiedziałem, że zarządca domu dałby Helenie i mnie oddzielne pokoje, a ja nie zniósłbym nocnego skradania się obcymi korytarzami, żeby odnaleźć swoje dziewczę. Powiedziałem Helenie, by została w tych komfortowych warunkach.

- Dadzą ci bardziej miękką poduszkę... - oświadczyłem.

- To jest poduszka, jakiej chcę - odparła, waląc mnie w ramię. Więc

wróciliśmy oboje, co uszczęśliwiło jednocześnie dwie matki... na tyle, na ile matki chcą czuć się szczęśliwe.

Nawet mama i Helena zdecydowały się posiedzieć dłużej, kiedy zobaczyły wchodzącego niespiesznie do kuchni Petroniusza. Kobiety go lubiły. Gdyby wiedziały o nim tyle co ja, może byłyby odrobinę bardziej krytyczne; choć zapewne winiłyby raczej mnie za jego szalone wyczyny w przeszłości. Z jakiegoś powodu Petroniusz był mężczyzną, któremu kobiety wybaczały brak rozwagi. Z jakiegoś powodu mnie nie.

Miał trzydzieści lat. Zjawił się odziany w różne bezkształtne części garderoby z brązowej wełny, co było jego normalnym, nie rzucającym się w oczy strojem roboczym, miał też zimowe dodatki w postaci futra w butach i płaszcz z kapturem, tak obszernego, że mógłby pod nim ukryć trzy rozwiązłe kobiety razem z ich ulubioną kaczką. Za pasem nosił grubą pałkę, która miała zachęcać ludzi, by zachowywali się przyzwoicie; nadzorował ulice spokojnie i rozsądnie, dysponując oczywistym argumentem w postaci masywnego sprawnego ciała. Proste brązowe włosy tarmosiła pleciana opaska. Był z natury spokojny, co niewątpliwie mu się przydawało przy zetknięciu z miejskimi szumowinami. Wyglądał na mężczyznę rozsądnego i twardego, i dobrego w swojej robocie... i taki rzeczywiście był. Do tego wszystkiego był czułym mężem i ojcem... jednym słowem, do cna przyzwoity gość.

- Teraz dopiero wiem, że naprawdę wróciłem do Rzymu! - powiedziałem z szerokim uśmiechem.

Petroniusz osunął się powoli na ławę. Miał zmieszaną minę... zapewne dlatego, że spod pachy wystawała mu amfora, którą zawsze przynosił, kiedy do mnie wpadał.

- Wyglądasz na wykończonego - zauważyła Helena.

- Bo jestem. - Nigdy nie marnował słów. Złamałem wosk przy amforze, żeby oszczędzić mu wysiłku, a mama podała kubki. Petroniusz nalał. Chlusnął winem z niedbałością desperata, stuknął się ze mną kubkiem, po czym szybko wypił do dna. Kłopoty miał wypisane na twarzy.

- Jakież problemy? - spytałem.

- Nic nadzwyczajnego - odparł. Mama dołała mu, po czym podała chleb i oliwki, żeby go jak zwykle hołubić. Petroniusz był kolejną osobą, na jakiej towarzystwo, według niej, nie zasługiwałem. Znużonym gestem potarł czoło i dodał: - Jakiś przyjezdny dał się pokroić na plasterki przez maniaka, albo kilku maniaków, w wynajętym pokoju... nie mogę nawet powiedzieć, że należy ryglować drzwi, bo w tej pchłarni taki luksus nie istnieje.

- Jaki był motyw? Rabunek? - spytałem.

- Możliwe - odparł zwięźle.

Zimą liczba napadów rabunkowych na obcych zazwyczaj spadała. Zawodowi złodzieje byli zbyt zajęci liczeniem łupów z sezonu letniego. Prawdę mówiąc,

zabójstwo było wydarzeniem rzadkim. Przyciągało uwagę i w normalnej sytuacji było zbędne; dość można było zarobić na idiotach, którzy przybywali, żeby zwiedzić Rzym, z sakiewkami wypchanymi pieniędzmi na wydatki, a potem wystawiali na Świętej Drodze, jak jagnięta czekające na ostrzyżenie.

- Jakiś trop? - spytałem, starając się dodać mu otuchy.

- Nie jestem pewny. Jeśli nawet jest, to mi się nie podoba. Narobili okropnego bałaganu. Wszędzie krew. - Zamilkł, jakby nie miał ochoty o tym mówić.

Helena i mama jednocześnie podjęły jakąś niepojętą decyzję. Ziewnęły, poklepały Petroniusza po ramieniu, zignorowały mnie i się ulotniły.

Wypiliśmy z Longusem jeszcze trochę wina. Nastrój się poprawił... tak mi się przynajmniej wydawało. Zналиśmy się od dawna. Byliśmy najlepszymi przyjaciółmi jeszcze w wojsku; pobyt w nim trwał krótko (pomogliśmy sobie nawzajem uwierzytelnić powody pozwalające nam odejść). Stacjonowaliśmy w Brytanii, kiedy sporo tam się działo. Trudno ją było zapomnieć.

- Więc jak się udała sławna germańska wyprawa, Falko? - zapytał mój przyjaciel.

Opowiedziałem mu o niej co nieco, choć to, co najlepsze, zachowałem na później; uznałem, że tego wieczoru nie byłby w stanie docenić fragmentów anegdotycznych. Nie widziałem sensu w znoszeniu trudów podróży i męki, jaką były próby dogadywania się z obcymi, jeśli nie mogłem zabawić tymi historiami przyjaciół.

- Galia wydaje się tak samo wszawa jak ta, którą pamiętamy - oświadczyłem na koniec.

- To kiedy wróciłeś do Rzymu? - spytał.

- Przedwczoraj.

- Musiałem cię przegapić... byłeś bardzo zajęty?

- Nieszczęśliwie.

- Szukałem cię dzisiaj.

- Lenia mi powiedziała.

- To gdzie byłeś? - Petroniusz potrafił być natarczywy, jeśli się wysilił.

- Powiedziałem ci... w żadnym szczególnym miejscu! - Roześmiałem się. - Posłuchaj, wścibski draniu, ta rozmowa zaczyna przybierać dziwny charakter. Gdybym był podróżnym z prowincji, którego zatrzymałeś na Drodze Ostyjskiej, bałbym się, że zaraz zażadasz okazania świadectwa obywatelstwa, a w razie jego braku zamkniesz mnie na pięć godzin w waszym areszcie... O co chodzi, przyjacielu?

- Zastanawiałem się, co robiłeś dzisiaj rano - oświadczył.

Nie przestawałem się szczerzyć.

- Wygląda mi na to, że muszę starannie rozważyć odpowiedź. Na Jowisza, mam nadzieję, że nie żadasz ode mnie alibi?

- Po prostu mi powiedz - nalegał Petroniusz.

- Obijałem się. A co innego mogłem robić? Właśnie wróciłem z długiej podróży. Muszę potwierdzić swoją radosną obecność na ulicach rodzinnego miasta.

- Kto cię widział?

W tym momencie po raz pierwszy dotarło do mnie, że to wypytywanie może mieć poważny charakter.

- O co chodzi, Petroniuszu? - Usłyszałem, że mój głos obniżył się o kilka tonów.

- Po prostu odpowiedz na moje pytanie - poprosił.

- Nie ma mowy, żebym współpracował z funkcjonariuszem wymiaru sprawiedliwości - jakimkolwiek funkcjonariuszem, Petroniuszu - jeśli się nie dowiem, z jakiego powodu się mnie czepia.

- Lepiej będzie, jeśli najpierw odpowiesz.

- Pleciesz bzdury!

- Bynajmniej! - Teraz już Petroniusz zaczął okazywać wzburzenie. - Posłuchaj, Falko, wepchnąłeś mnie pomiędzy Scyllę i Charybdę... a do tego siedzę w kruchej łódce! Staram ci się pomóc; to powinno być oczywiste. Na Hadesa, powiedz mi, gdzie byłeś przez cały ranek, i niech to brzmi przekonująco. Oprócz mnie musisz bowiem zadowolić Marponiusza.

Marponiusz był sędzią w wydziale do spraw morderstw, którego jurysdykcja obejmowała Awentyn. Był sprawiającym wszystkim kłopoty półgłówkiem, którego Petroniusz z najwyższym trudem tolerował; to była normalka, w wypadku wyższych urzędników.

- W porządku! - Niepokój powodował, że mówiłem ze złością. - Co powiesz na to? Dzisiaj wieczorem Helena i ja pławiliśmy się w luksusach domu najznakomitszego Kamila. Zakładam, że słowo szlachetnego senatora jest do przyjęcia? Znasz Glaukosa, jest prawdomówny. Byłem na Forum; spotkałem się z moim bankierem, widziałem Sattorię, że nie wspomnę Famii i Gajusza Bebiusza, ale postarałem się, żeby oni mnie nie zobaczyli, więc to nic nie da. Może jednak widzieli, jak chowam się za filarem, żeby uniknąć spotkania z nimi - dodałem, choć ostrożnie, bo zauważyłem, jak Petroniusz przygląda mi się ze smutkiem.

- Kto to jest Sattoria? - spytał, rozpoznawszy pozostałe imiona.

- Nie znasz jej. Ja już też nie - rzuciłem. Szczególnie teraz, kiedy miałem szacowną przyjaciółkę, która miała dość jednoznaczne zdanie na temat mojej kawalerskiej przeszłości. To miłe, jak ktoś się człowiekiem przejmuje. Miłe, ale czasami wywołuje napięcia.

- Aha, to ta! - skomentował rzeczowo Petroniusz. Czasami zastanawiało mnie to. Robił wrażenie, że jest trzymany pod pantoflem, ale kiedy indziej wyglądało

na to, że prowadzi podwójne życie.

- Udajesz, cwaniaczku. Nie masz nic wspólnego z Sattorią... Potem poszedłem do Pałacu na godzinkę czy dwie, więc Marponiusz na pewno przyzna, że na ten czas jestem czysty...

- Zostaw Pałac. To już sprawdziłem - uciał. Byłem zdumiony. Ten podstępny psubrat musiał prowadzić śledztwo po całym Rzymie z wytrwałością drobnego urzędnika tuż po uzyskaniu awansu. - Chcę wiedzieć, gdzie byłeś wcześniej.

- Nie mogę ci pomóc. Byłem wykończony po podróży. Helena i mama poszły posprzątać moje mieszkanie. Zostawiły mnie tutaj, w łóżku. Spałem, więc nie mogłem nic kombinować, ale nie każ mi tego udowadniać, to i tak brzmi jak klasyczny kiepski wykręt... mam tego dość, Petroniuszu! Co na kapitolińską triadę męczy twój skołatany umysł?

Petroniusz Longus wlepił wzrok w blat stołu. Widziałem, że dotarliśmy do punktu kulminacyjnego. Wyglądał samotnie jak złota moneta w kieszeni skąpca.

- No to posłuchaj. Ciało, które obejrzałem dziś rano - poinformował mnie drżącym głosem - należało do pewnego centuriona, niejakiego Tytusa Cenzoryna Macera. Załatwiono go w gospodzie U Flory... i za każdym razem, kiedy pytam, czy mógł się komuś narazić, ludzie zarzucają mnie barwnymi opowieściami o gwałtownej awanturze, jaka tam wybuchła między nim a tobą.

9

Jęknąłem. Nie za głośno; podejrzany o morderstwo musi się wystrzegać niewłaściwego zachowania.

- Lucjuszu Petroniuszu, nie mogę uwierzyć własnym uszom... - Wierzyłem, jak najbardziej. Od chwili, w której interesy mojego brata ponownie stały się sprawą aktualną, spodziewałem się dużych kłopotów przy następnym rzucie kostką. Jednak jak dotąd, to było najgorsze.

- Lepiej uwierz! - poradził mi Petroniusz.

- Och, na bogów, Petroniuszu, wdepnąłem w niezłe gówno. Wiesz, że Marponiusz nienawidzi detektywów. Teraz moje imię wypisane jest na tabliczce podejrzanych! Idealna szansa dla niego, żeby ograniczyć mi swobodę ruchów i zniesławiać mnie przy okazji kolacji na wzgórzu Pincius. Ale przecież - poweselałem - skoro ty prowadzisz śledztwo, Marponiusz nie musi wiedzieć.

- Musi, Falko!

- Nie przejmuj się. Pomogę ci wytropić zabójcę.

Petroniusz westchnął.

- Marponiusz już wie. Ma jeden ze swoich napadów „odpowiedzialności społecznej”. Co chwilę każe mi się oprowadzać po jakimś burdelu albo towarzyszyć sobie do szulerni. Byłem właśnie u niego w zupełnie innej spr-

wie, kiedy przyszli po mnie, żebym udał się do gospody. Nadarzająca się okazja, żeby rzucić okiem na prawdziwego denata, miała być dla sędziego atrakcją roku. - No cóż - dodał, wspominając tamtą chwilę - była, dopóki nie zobaczył tej jatki.

- Rozumiem. - Domyśliłem się, że to morderstwo wstrząsnęło wrażliwością sędziego. - Czy ujrzawszy tę krwawą scenerię i zwymiotowawszy śniadanie na progu, Wysoki Sąd czuje, że jest osobiście zaangażowany w całe to cholerne dochodzenie? Lepiej już powiedz mi wszystko. Przypuszczam, że wszyscy bywalcy U Flory, którzy normalnie nie marnowaliby czasu na wyłapanie własnych wszy, ustawili się w kolejce, żeby pogadać z tym wielkim człowiekiem?

- Żebyś wiedział. Nie minęła nawet chwila, a już padło twoje imię. Nawet nie przepchnęliśmy się jeszcze przez tłum gapiów. Jeszcze nie zdążyłem wejść na górę, żeby obejrzeć trupa.

- Kiepsko to wygląda.

- Słuszna uwaga, Falko!

Wiedziałem, że Marponiusz to typ narwańca, który się spodziewa, że pierwszy podejrzany, o jakim usłyszy, zostanie skazany. To o wiele prostsze niż komplikowanie sobie życia innymi możliwościami. Zapewne już sporządzał listę ławy przysięgłych na mój proces w bazylice. Przy założeniu, że oceniał mnie jako osobę jej godną.

- Więc jak wygląda sytuacja, Petroniuszu? Jestem człowiekiem ściganym, Marponiusz sądzi, że mnie szukasz. Czy już mnie znalazłeś, czy mam szansę sam poszukać dowodów?

Petroniusz Longus rzucił mi to swoje wyrażające prostolinijność spojrzenie, zarezerwowane dla kobiet, co oznaczało, że nie zamierza zachować się prostolinijnie.

- Marponiusz chce szybko zakończyć tę sprawę. Powiedziałem mu, że nie znalazłem cię w twoim mieszkaniu. Prawdopodobnie zapomniałem mu wspomnieć, że być może znajdę cię później tutaj.

- Jak ci się odwdzięczę za to zapominalstwo? - spytałem.

- Jestem pewien, że ci się uda - oznajmił. Petroniusz był nieprzekupny. Z drugiej strony uważał, że wszelkie przysługi, jakie z własnej woli wyświadczał, muszą zostać w późniejszym terminie rozliczone.

- Dzięki.

- Będziesz musiał działać szybko. Nie mogę przeciągać tego w nieskończoność.

- Ile mam czasu?

- Mogę chachmęcić przez jeden dzień - powiedział.

Myślałem, że uda mi się wydusić ze trzy. Byliśmy przecież bliskimi przyjaciółmi. Poza tym Petroniusz za bardzo nie znosił Marponiusza, by dać

mu się poganiać. Dowódcy patroli straży są wybierani przez zwykłych obywateli; Petroniusz czerpał władzę z plebejskiego elektoratu. To jednak oznaczało, że lubił swoją pracę, odpowiadał mu jego lokalny status, a mając żonę i trzy małe córeczki, potrzebował stałej pensji. Zirytowanie sędziego byłoby kiepskim posunięciem. Nie miałem prawa oczekiwać, że będzie się narażał, przeciągając sprawę.

Petroniusz przeprosił mnie na chwilę; niezgoda zawsze odbijała się na jego pęcherzu. Kiedy wyszedł, zauważyłem, że na stole obok płaszcza leży jego podręczny notes. Jak wszystko, co miał, był solidny i ciężki, składał się z czterech czy pięciu powleczonych woskiem tabliczek, połączonych skrzyżowanymi skórzanymi rzemieniami i umieszczonych pomiędzy dwiema ochronnymi deseczkami. Przy różnych okazjach widziałem, jak go używa, dyskretnie notując szczegóły dotyczące jakiegoś nieszczęsnego podejrzanego, nierzadko podczas rozmowy z nim. Notes wyglądał na często używany i robił wrażenie przedmiotu, na którym można polegać. W sądzie mój przyjaciel odczytywał swoje spostrzeżenia poważnym głosem, odświeżając niektórym pamięć i przyczyniając się do niejednego wyroku skazującego. Nigdy nie sądziłem, że sam się znajdę pośród delikwentów. Wcale mi się to nie spodobało.

Odwróciłem wierzchnią okładkę i zobaczyłem, że wypisał sobie rozkład moich czynności z mijającego dnia. Tłumiąc złość, z goryczą, porządnym pismem, wypełniłem mu wszystkie luki.

10

Kiedy wrócił, od razu złapał za swoje notatki. Zauważył moje uzupełnienia, ale się nie odezwał.

Odsunąłem na bok amforę i postawiłem kubek Petroniusza poza zasięgiem jego ręki.

- Czas trzeźwości. Najlepiej będzie, jak powiesz mi, co już wiesz - zaproponowałem.

Zobaczyłem na jego twarzy wyraz niepewności. Może przekazanie głównemu podejrzanemu całej wiedzy na temat zebranych dowodów było dziwnym pomysłem, nawet jeśli tym podejrzanym byłem ja. Zwyciężyło przyzwyczajenie i zaczął mówić.

- Jedyne, co mamy, to niesamowicie poharatane ciało.

- Kiedy go załatwiono?

- Marponiusz uważa, że ubiegłej nocy, ale jemu podoba się koncepcja niewyobrażalnej zbrodni o północy. To mogło się zdarzyć dzisiaj wcześniej rano.

- Jasne, że tak musiało być! - ucieszyłem się. Jedyne czas, na który nie miałem żadnego alibi. - Będę musiał umykać przed Marponiuszem, starając się

jednocześnie dojść prawdy i ją udowodnić. Rozważmy wszelkie możliwości. Jakaś szansa, że było to samobójstwo?

Petroniusz zachichotał.

- Nie z tymi ranami. Samookaleczenie możemy spokojnie wyeliminować. Poza tym ofiara z góry zapłaciła za pokój - dodał przytomnie.

- Tak, człowiek przygnębiony nie robiłby czegoś takiego! I mówisz, że był bardzo pokiereszowany? Czy jakiś złoczyńca chciał dowieść swoich racji?

- Może. Domyślasz się jakich? Czy zgadujesz, kto się starał zostawić swój znak?

Nie miałem pojęcia.

Zaczęliśmy głośno myśleć. Cenzoryn mógł sobie wziąć kogoś do łóżka - kobietę albo mężczyznę - i narazić się czymś tej osobie.

- Jeśli tak było, to nikt U Flory nikogo nie zauważył - oświadczył Petroniusz. - A wiesz, jakie tam panują zwyczaje! - dodał. Nikt nie ukrywa swojej ciekawości, sam się o tym przekonałem.

- Obrabowano go? - spytałem.

- Chyba nie. Wygląda na to, że jego ekwipunek jest na miejscu i niczego nie brakuje - wyjaśnił.

Zakonotowałem sobie w pamięci, żeby przy okazji obejrzeć te jego rzeczy.

- A jakiś niezadowolony dłużnik? - Już kiedy wymawiałem te słowa, wiedziałem, że zabrzmiały fałszywie. Cenzoryn faktycznie chciał odebrać długi.

Mój przyjaciel wlepił we mnie wzrok. Szczegóły dotyczące tamtej kłótni musiały przefrunąć wzdłuż całego południowego brzegu Tybru. Petroniusz wiedział przynajmniej tyle samo co ja o powodach przybycia żołnierza do Rzymu.

- Spotkałem go kilka razy, kiedy zachodziłem do twojej matki. Już wtedy odniosłem wrażenie, że zależy mu na czymś więcej niż tylko darmowych noclegach. Czy się pomylę, jeśli powiem, że to wszystko wiąże się z twoim wspianym braciszkiem? - zapytał. Nie odpowiedziałem. - Z całym szacunkiem, Marku Dydiuszu - mówił Petroniusz, a w jego głosie zabrzmiał delikatny wyrzut - jest w tej sprawie kilka aspektów, które mógłbyś pomóc wyjaśnić! - Powiedział to w taki sposób, jakby się starał nie wprawiać mnie w zakłopotanie. To nie znaczyło nic. Był twardy jak zaszła potrzeba, twardy również dla przyjaciół. Gdyby musiał przywołać mnie do porządku, wykręcając mi rękę czy kopiąc w krocze, Petroniusz by się nie zawahał. A był roślejszy ode mnie.

- Przepraszam - powiedziałem. Nie mogłem się dłużej wykręcać. - Tak, jest pewien problem związany z jakimś przedsięwzięciem Festusa. Nie, nie wiem, na czym polegało. Tak, próbowałem dowiedzieć się szczegółów od Cenzoryna. Nie, nie chciał powiedzieć. I nie, z całą pewnością nie chcę być wplątany, jeśli mogę tego uniknąć... ale tak, pewne jest, jak dwa razy dwa cztery, że

prędzej dotrę do samego dna tej tajemnicy, niż pozwolę oddać się katu za coś, z czego mojemu sławnemu bratu nie udało się rozliczyć!

- Ja raczej zakładam - oświadczył Petroniusz, kiedy skończyłem tyradę - że ktoś inny zabił tego żołnierza. Przypuszczam, że nawet ty miałbyś więcej rozsądku i nie awanturowałbyś się z nim wcześniej publicznie.

- To prawda, ale mając Marponiusza na karku, lepiej będzie, jak mnie zostawisz na swojej liście podejrzanych do czasu, kiedy będzie można mnie oficjalnie oczyścić - powiedziałem. Marponiusz ostatecznie zgodziłby się z opinią Petroniusza o mojej niewinności; przywłaszczyłby ją sobie i przedstawił jako własną. Do tego czasu moje życie byłoby niezwykle utrudnione. - Jeśli pretensje zmarłego do Festusa były uzasadnione, mogłem mieć motyw, żeby go usunąć.

- Wszyscy, którzy widzieli waszą bójkę U Flory, przyznawali, że Cenzoryn nie wyjaśnił ci, o co konkretnie chodziło.

- Bardzo ładnie z ich strony! Coś tam jednak zaczął już mówić. Opowiadał, że Festus był winien pieniądze grupie swoich starych kumpli za jakąś galeryę, którą stracili na morzu.

- Jak cię znam - zauważył lojalnie mój przyjaciel - wystarczyłoby, żeby to udowodnili, a ty dla oczyszczenia pamięci znakomitego Festusa poświęciłbyś własne oszczędności. - Petroniusz nigdy nie bał się płynąć pod prąd powszechnej opinii; nie przepadał szczególnie za moim bratem, którego tylu ludzi uwielbiało. Ci dwaj bardzo się od siebie różnili.

Petroniusz i ja też byliśmy różni, ale w inny, raczej uzupełniający się sposób, co pozwoliło nam zostać przyjaciółmi.

- Noża rzeczywiście używam.

- I to nieźle!

Widział kiedyś, jak nim obracam.

Teraz wiedziałem, że Petroniusz musiał stawić czoło sędziemu Marponiuszowi i upierać się, że w zabójstwie żołnierza nie widać ani trochę mojego stylu. Mimo to zdawałem sobie sprawę, że nie mają wyboru i muszą mnie prześladować tak długo, póki nie wyniknie coś innego.

- A tak dla porządku - spytał spokojnie Petroniusz - gdzie masz swój sztylet?

Wyciągnąłem go z buta. Starłem się nie czuć nękany. Obejrzał go starannie, szukając śladów krwi. Oczywiście żadnych nie znalazł. Obaj wiedzieliśmy, że to niczego nie dowodzi; gdybym kogoś zabił, oczyściłbym dokładnie broń. Nawet gdybym użył jej w uzasadnionej sytuacji i zgodnie z prawem, postąpiłbym w ten sposób, bo taki miałem zwyczaj.

Po chwili oddał mi sztylet.

- W każdej chwili mają prawo cię zatrzymać i przeszukać - ostrzegł mnie. - Mogę ci chyba zaufać, że nie będziesz nosił przy sobie żadnego groźnego

narzędzia w granicach miasta? - Noszenie broni w Rzymie było zakazane, co było kpina, bo oznaczało, że porządni, przestrzegający prawa obywatele chodzą bezbroni ciemnymi uliczkami i spokojnie czekają, kiedy lekceważący prawo złoczyńcy poderzną im gardła. Nie odezwałem się. Petroniusz ciągnął nieco obraźliwie. - I Falko, nie zabieraj swojej szpetnej gęby poza granice miasta... bo przy pierwszym takim kroku jakiegokolwiek tymczasowe zawieszenie ścigania zostanie anulowane.

- To już przesada! - rozzłościłem się.

Potrafił być irytujący, kiedy przesadzał z formalnościami.

- Nie, to całkiem normalne! - odparł. - To nie moja wina, że okładasz pięściami legionistę na przepustce, który kilka chwil później daje się pokroić na kawałki. Uważaj się raczej za farciarza, że nie zakładam ci kajdanków. Popuszczam ci trochę wodze, Falko, ale chcę coś w zamian. Muszę wiedzieć, na czym polegał ten interes twojego brata, a ty masz większe szanse dotrzeć do szczegółów niż ktokolwiek inny, ze mną włącznie - oznajmił.

Pewnie miał rację. I tak miałem zamiar zacząć się do nich dokopywać; byłem ogromnie ciekaw tego przekrętu z posągami.

- Skoro ciało jest jedynym, co mamy, chętnie bym rzucił na nie okiem - odezwałem się. - Czy nadal jest U Flory?

Petroniusz przyjął pozę sztywniaka.

- Ciało jest niedostępne dla osób nieupoważnionych. I proszę, trzymaj się z dala od tamtego miejsca.

Chwilami, podczas tej rozmowy, nasza przyjaźń wystawiona była na ciężką próbę.

- Do licha! Piastowanie publicznego stanowiska uderza ci czasem do głowy. Przestań traktować mnie jak męża, którego dokuczliwą żonę znaleziono właśnie martwą na kupie kompostu.

- To ty przestań wydawać mi rozkazy, jakbyś wynajmował cały ten przeklęty Awentyn!

- Postaraj się być odrobinę mniejszym formalistą!

- Spróbuj wydorosnąć, Falko!

Petroniusz wstał. Lampka zamigotała nerwowo. Nie zamierzałem przeproszać; on też nie, ale to nie miało znaczenia. Nasza przyjaźń była zbyt serdeczna, by mogła ją zniszczyć wymiana kąśliwych przytyków. Przynajmniej miałem taką nadzieję. Bo bez jego pomocy mój bezsensowny związek z morderstwem Cenzoryna mógł mieć dla mnie fatalne skutki.

Wychodził naburmuszony, w drzwiach jednak odwrócił się do mnie.

- A przy okazji, przykro mi z powodu twojej siostry.

Miałem tak dużo na głowie, że zapomniałem o Wiktorynie. Chwilę trwało, zanim zorientowałem się, o czym mówi.

Otworzyłem usta, by powiedzieć, że musi mu być bardziej przykro niż mnie,

po czym je zamknąłem. Przecież żal mi było jej dzieci, pozostawionych na łasce nieudolnego ojca tynkarza. Poza tym nigdy tak do końca nie byłem pewien stosunków pomiędzy Wiktoryną a Petroniuszem. Jedno natomiast nie ulegało wątpliwości: kiedy chodziło o kobiety, Petroniusz Longus nie był taki nieśmiały, na jakiego wyglądał.

11

Kiedy odszedł, nie ruszyłem się z miejsca. Miałem mnóstwo do przemyślenia. Była to owa przysłowiowa sprawa bez łatwych rozwiązań. Prawdę mówiąc, co w moim wypadku było normalką, w ogóle bez rozwiązań.

Helena Justyna zajrzała, żeby zobaczyć, co robię (albo ile wypilem). Może słyszała moją kłótnię z Petroniuszem. W każdym razie musiała się domyślić, że jest jakiś problem i to poważny. Na początku pociągała mnie łagodnie za ramię, próbując zwabić do łóżka, ale kiedy stawiałem opór, natychmiast dała spokój i usiadła obok.

Myślałem dalej, choć niezbyt długo. Helena wiedziała, jak ze mną postępować. Milczała. Przez kilka chwil po prostu dotrzymywała mi towarzystwa, trzymając moją rękę w swoich dłoniach. Jej spokój i milczenie niosły pociechę. Wcześniej zamierzałem utrzymać przed nią wszystko w tajemnicy, ale jej cicha obecność sprawiła, że okazało się to niemożliwe.

- Lepiej będzie, jak się dowiesz. Jestem podejrzany w sprawie o morderstwo - powiedziałem zdecydowanym głosem.

- Dziękuję, że mi mówisz - stwierdziła uprzejmie Helena.

Natychmiast pojawiła się skądś moja matka. Nigdy nie wstydziła się podsłuchiwać.

- Więc zjesz coś pożywne na podtrzymanie sił! - zawołała, stawiając na kuchni garnek z rosółem.

Żadna z nich nie wydawała się ani trochę zdziwiona, nie mówiąc już o oburzeniu, że mogło mnie spotkać coś takiego.

I jak tu liczyć na lojalność.

12

Nazajutrz pogoda wciąż była okropna, podobnie jak mój nastrój. Czekąco mnie przeprowadzenie śledztwa w sprawie niejasnej przeszłości mojego brata, co z powodów rodzinnych było zadaniem wyjątkowo trudnym. Oprócz tego, żeby uniknąć oskarżenia o morderstwo, w ciągu mniej więcej doby musiałem się dowiedzieć, dlaczego zginął Cenzoryn, i odkryć imię prawdziwego mordercy. W przeciwnym razie najlepsze, na co mogłem liczyć, to wygnanie na krańce cesarstwa, a jeśli sprawa trafiłaby przed oblicze sędziego, który jak większość z nich, nie znosił prywatnych detektywów, mogli skazać mnie na ukrzyżowanie obok drogi, jak pospolitego zbrodniarza, albo przeznaczyć na

przynętę dla lwów w cyrku.

Jedynie moja rodzina mogła się okazać źródłem jakichś wskazówek na temat kombinacji Festusa i jego koleżków z wojska. Zmuszenie krewnych, żeby siedzieli i odpowiadali na pytania jak prawdziwi świadkowie, było okropną perspektywą. Spróbowałem najpierw pogadać z siostrą Mają. Była moją ulubienicą, ale ledwie rozłożyłem się na sofie, natychmiast mnie ostudziła.

- Jestem ostatnią osobą, którą powinieneś pytać. Z Festusem nigdyśmy się nie rozumieli - oświadczyła.

Była najmłodszym dzieckiem w rodzinie, z tych, które przeżyły, i według mnie, była też najładniejsza i miała najlepszy charakter. Różnica wieku między nami wynosiła zaledwie rok, podczas gdy moja kolejna siostra, Junia, była o trzy lata ode mnie starsza. Byliśmy sobie bliscy z Mają od czasu, kiedy dzieliliśmy ze sobą niemowlęcy kubeczek i jedno po drugim uczyliśmy się chodzić, wspierając na chodziku z kółeczkami. Miała zgodną naturę. Rzadko się kłóciliśmy, czy to jako dzieci, czy w późniejszym wieku.

Większość kobiet na Awentynie od chwili urodzenia pierwszego dziecka wyglądała jak wiedźmy; Maja z czwórką potomstwa wciąż nie wyglądała na swoje trzydzieści lat. Miała ciemne, bardzo kręcone włosy, cudowne oczy i owalną, radosną twarz. Wyrobiła sobie niezły gust, jeśli chodzi o stroje, kiedy pracowała u krawca, i nie przestała się dobrze ubierać nawet po poślubieniu Famii, zapijaczonego końskiego weterynarza z bulwiastym nosem. Fami pracował w stajni faksji Zielonych, co nie świadczyło o jego mądrości. Na szczęście moja siostra miała dość rozumu za nich oboje.

- Pomóż mi co nieco, Maju. Kiedy Festus przyjechał ostatni raz na przepustkę, czy wspomniał coś o spółce z jakimiś ludźmi ze swojej jednostki, związanej po to, żeby sprowadzać dzieła sztuki ze Wschodu?

- Nie, Marku. Festus w mojej obecności nigdy nie mówiłby o niczym ważnym. W tamtym czasie uważał, że kobiety są po to, by się do nich można było dobierać, kiedy stoją pochylone nad kuchnią, przygotowując mężom posiłek.

- To okropne. - Poczuję się głupio.

- Tacy są mężczyźni! - odparła.

Jednym z powodów, dla których Maja wyrażała się o Festusie z dezaprobatą, był wpływ, jaki brat miał na mnie. Niewątpliwie wydobył ze mnie wszystko, co najgorsze, a ona patrzyła na to z wielką odrazą.

- Nie uwłaczaj mu tak, Maju. Miał pogodną naturę i złote serce...

- Chcesz powiedzieć, że zawsze dopinał swego. - Maja nie dawała się udobruchać. Zazwyczaj obcowanie z nią było samą przyjemnością. Przy tych rzadkich okazjach, kiedy się na kogoś uwzięła, to na całego. Przesada była mocnym punktem mojej rodziny. - Jest oczywiste, Marku, że z jedną osobą powinieneś porozmawiać.

- Chodzi ci o Geminusa? - zapytałem ostrożnie. Mieliśmy z Mają podobną

opinię o naszym ojcu. Niepochlebną.

- Prawdę mówiąc, to chodziło mi o to, żebyś uniknął kłopotów, a nie pakował się w nie! - zakpiła. - Miałam na myśli Marinę - dodała.

Marina była przyjaciółką mojego brata. Z różnych emocjonalnych powodów jej też nie miałem ochoty odwiedzać.

- Pewnie nie da się tego uniknąć - zgodziłem się ponuro. - Będę musiał wyjaśnić z nią pewne sprawy. - Tym, co mnie napawało niepokojem, była rozmowa z Mariną o tym ostatnim razie, kiedy oboje widzieliśmy Festusa.

Maja mnie nie zrozumiała.

- W czym problem? Nie jest szczególnie bystra, ale jeśli Festus powiedział coś, co jej wąty mózdek był w stanie zapamiętać, to ci to powtórzy. Na Junonę, Marku, jest ci coś winna! - argumentowała. Po śmierci Festusa robiłem co mogłem, żeby Marina i jej córeczka nie przymierały głodem, podczas gdy ona świetnie się bawiła z facetami, którzy ostatecznie zastąpili Festusa w jej nieuporządkowanym życiu. - Chcesz, żebym z tobą poszła? - spytała Maja, starając się namówić mnie na to spotkanie. - Potrafię zrozumieć, co mówi...

- Marina to żaden problem.

Wyglądało na to, że moja siostra nie ma pojęcia, dlaczego chcę się trzymać od tamtej z daleka. Było to dość dziwne, bo ten skandal nie stanowił tajemnicy. Dziewczyna mojego brata dopilnowała, żeby cała rodzina wiedziała o tym wydarzeniu. Podczas ostatniego pobytu w Rzymie, konkretnie w noc poprzedzającą jego powrót do Judei, Festus zostawił nas razem, a rezultatu tego wolałbym nie pamiętać. Jeszcze tylko tego mi brakowało, żeby teraz, kiedy mieszkałem z Heleną u matki, odgrzebywali tę starą historię. Helena Justyna miała zasady. Związek łączący mnie i dziewczynę mojego brata był czymś, czego nawet nie miałyby ochoty zrozumieć.

Znając swoją rodzinę, domyślałem się, że być może Helena właśnie wysłuchuje tego wszystkiego, podczas kiedy ja siedzę ponury w domu swojej siostry i usiłuję wyrzucić z głowy tamte zdarzenia.

13

Maja mieszkała na Awentynie, niecałe dwie przecznice od domu matki. Niedaleko stamtąd egzystowała inna grupa moich krewnych, których również musiałem odwiedzić: najbliższa rodzina mojej zmarłej siostry Wiktoryny. Nie liczyłem na żadną pomoc w śledztwie, ale było moim obowiązkiem, jako nominalnej głowy rodziny, złożenie wyrazów współczucia. Z wiszącym mi nad głową wyrokiem za morderstwo ruszyłem tam od razu, czując się jak człowiek, którego wkrótce mogą aresztować i pozbawić tej szansy.

Wiktoryna i jej żałosny małżonek, Miko, uwili sobie gniazdko z boku świątyni Diany. Mojej siostrze, mającej za sobą długą karierę nieprzyzwoitych randek na tyłach świątyni Izydy, nie przyszło wtedy do głowy, że mieszkanie

tuż obok tej dziewiczej łowczyni może być czymś niestosownym.

Jeśli chodzi o adres, to sąsiedztwo było owszem, imponujące, ale poza tym nie mieli się czym pochwalić. Zajmowali dwa pokoiki pośród labiryntu podobnych mieszkańek na tyłach dużego warsztatu wyrobów miedzianych. Nieustanny stukot młotków o metal doprowadził całą rodzinę do lekkiej głuchoty. Izby miały pochyle podłogi, cienkie ściany i przegniły sufit. Zadomowił się tam odór uryny ze stojącej na klatce schodowej kadzi, której gospodarz nigdy nie opróżniał. Kadź przeciekała, co przynajmniej pozwalało na dolewki. Światło prawie w ogóle nie docierało do tych mieszkań... to znowu stanowiło pewną korzyść, bo zbyt wyraźne oglądanie swojego lokum mogłoby spowodować długą kolejkę samobójców na moście Probusa.

Minęło sporo czasu od ostatniego razu, kiedy musiałem złożyć wizytę Wiktorynie. Nie pamiętałem zbyt dokładnie, które to mieszkanie. Stąpając z wielką ostrożnością, z powodu przeciekającej kadzi, dokonałem kilku nieudanych prób, zanim udało mi się natrafić na właściwe drzwi. Umykając przed przekleństwami lokatorów i sprośnymi propozycjami, zanurkowałem pod resztki grubo tkanej zasłony i dotarłem do celu. Trudno o większy kontrast niż ten pomiędzy porządnym mieszkaniem, gdzie Maja mądrze wychowywała dzieci, i cuchnącą kapustą i wilgotnymi dziecięcymi tunikami norą, w której mieszkała ta nieudolna rodzina.

Miko był w domu. Niezmiennie bezrobotny. Jako tynkarz mój szwagier nie miał żadnych umiejętności. Pozwolono mu pozostać w kolegium tynkarzy wyłącznie z litości. Nawet kiedy inwestorom bardzo brakowało siły roboczej, Miko był ostatnim człowiekiem, którego wzywali do pracy.

Zastałem go przy wycieraniu miodu z podbródka drugiego z kolei najmłodszego potomka. Jego najstarsza córka, Augustynilla, ta, którą mieliśmy pod opieką w Germanii, rzuciła mi wrogie spojrzenie, jakbym to ja był winien śmierci jej mamy, po czym wymaszerowała z mieszkania. Sześćioletni chłopiec niezmordowanie okładał czterolatka małą glinianą kózką. Oderwałem niemowlę od klejącego się z brudu dywanika. Okazało się nietowarzyskim stworzeniem, które trzymało się swojej grzędy jak kocię wystawiające wszystkie pazury. Beknęło, ze złośliwą ulgą dziecka, które wybiera sobie na wymiotowanie właśnie ten moment, kiedy ktoś nieopatrznie podsunie mu kawałek przyzwoitego płaszczu pod brodę.

Z innego kąta pokoju ktoś tłusty, odziany w luźne, mało zachęcające szmaty zarechotał do mnie przyjaźnie: matka Mikona. Musiała się tutaj gładko wślizgnąć zaraz po śmierci Wiktoryny. Zajadała chleb i nie zawracała sobie głowy pomocą Mikonowi. Kobiety z mojej rodziny nie znosiły tej łagodnej staruszki, ja jednak pozdrowiłem ją, nie żywiąc do niej żadnej urazy. Moi krewni byli z natury wścibscy i wtrącali się do wszystkiego, podczas gdy niektórzy ludzie mają dość taktu, by siedzieć spokojnie i sobie pasożytować.

Podobał mi się jej styl. Z matką Mikona wiadomo było, na czym się stoi, i nie istniało zagrożenie, że pogonią człowieka za drzwi miotłą albo że będą mu sondować nieczyste sumienie.

- Marku! - przywitał mnie mój szwagier z typową dla siebie wylewnością. Poczułem, jak zaciskają mi się szczęki.

Miko był drobny i smagły. Miał ziemistą cerę i kilka szerniałych zębów. Wszystkim był gotów wyświadczyć przysługę, pod warunkiem że skłonni byli zaakceptować to, że zostanie wykonana kiepsko i że będą bliscy szaleństwa od jego nieustannej paplaniny.

- Mikonie! - odwzajemniłem pozdrowienie, klepiąc go po ramieniu. Doszedłem do wniosku, że trzeba go trochę podnieść na duchu. Bo kiedy z jakiegokolwiek powodu stracił wewnętrzną równowagę, wdawało się przygnębienie. Był ponury już przedtem, zanim jeszcze miał ten powód w postaci pięciorga pozbawionych matki dzieci, własnej rodzicielki pod wspólnym dachem, braku pracy, żadnej nadziei i żadnego fartu. Ten brak fartu był jego prawdziwym nieszczęściem. Gdyby Miko w drodze do piekarni potknął się o worek złotych monet, worek by się rozerwał, aureusy rozsypały... a on by tylko patrzył, jak wszystkie po kolei wpadają do studzienki ściekowej przy najwyższym poziomie ścieków.

Serce mi zamarło, kiedy zdecydowanym ruchem odciągnął mnie na bok.

- Marku Dydiuszu, czy nie masz pretensji, że pogrzeb odbył się pomimo twojej nieobecności...

O bogowie, ten to dopiero potrafił znaleźć sobie powód do zmartwienia. Nie mam pojęcia, jak Wiktoryna z nim wytrzymała.

- Cóż, szkoda, że nie mogłem wziąć udziału w ceremonii...

Starłem się sprawiać pogodne wrażenie, ponieważ wiedziałem, że dzieci świetnie wyczuwają atmosferę. Na szczęście jego potomstwo zajęte było targaniem się za uszy.

- Czułem się okropnie, że nie dałem ci możliwości wygłoszenia mowy pogrzebowej... - tłumaczył się.

Co za szczęście, że mnie to ominęło, zresztą to ten idiota był jej mężem. Od dnia ślubu miał się troszczyć o Wiktorynę, tak w życiu, jak i w śmierci; obowiązkiem Mikona było wymyślić coś miłego do wygłoszenia na jej pogrzebie. Za nic bym nie chciał, by bezsensownie ustąpił mi miejsca, tylko dlatego że pełniłem rolę głowy rodziny Dydiuszów. Poza tym Wiktoryna miała żyjącego ojca; wszyscyśmy mieli. Ja byłem tylko nieszczęśnikiem, na którego spadł ten ciężar, ponieważ samolubny ojciec wolał wymigać się od odpowiedzialności i cichaczem wynieść z domu.

Miko podsunął mi stołek. Usiadłem, rozgniatając coś miękkiego.

- Naprawdę się cieszę, że mogę z tobą pogawędzić, Marku Dydiuszu... - Z typowym dla siebie bezbłędnym osądem ludzi wybrał sobie na powiernika

człowieka, który nie był w stanie słuchać go nawet przez minutę.

- Cieszę się, że mogę...

Sprawy przybierały coraz gorszy obrót. Miko założył, że przyszedłem wysłuchać pełnego opisu pogrzebu.

- Zjawił się spory tłum... - zaczął. Widocznie na wyścigach konnych był akurat spokojny dzień. - Wiktoryna miała tylu przyjaciół... - ciągnął.

Głównie mężczyzn. Nigdy nie pojmę, dlaczego faceci, którzy zadawali się z rozrywkową dziewczyną, nabywają tego szczególnego rodzaju ciekawości, kiedy ona umrze. Jako bratu Wiktoryny wcale by mi się to nie podobało.

- Przyszedł nawet twój przyjaciel Petroniusz! - Miko był tym szczerze zdumiony. Sam miałem ochotę się zdziwić. - Taki przyzwoity gość. To miłe z jego strony, że cię reprezentował...

- Daruj sobie, Mikonie. Niewiele brakuje, a Petroniusz Longus wsadzi mnie za kratki! - rzuciłem ze złością. Miko wyglądał na przejętego. Sam poczułem świeżą falę niepokoju związanego z Cenzorynem i moim tragicznym położeniem. - Jak sobie dajesz radę? - zmieniłem raptownie temat. Malec Mikona, którego trzymałem, okazywał radość, kopiąc mnie w lewą nerkę. - Potrzebujesz czegoś? - Mój szwagier był zbyt zagubiony, żeby wiedzieć. - Mam kilka noworocznych prezentów z Germanii dla twoich dzieci. Jeszcze ich nie wypakowałem, ale przyniosę, kiedy się do nich dostanę. Moje mieszkanie zostało zdewastowane...

Miko okazał autentyczne zainteresowanie.

- Tak, słyszałem o tym! - zawołał. Wspaniale. Wyglądało na to, że wszyscy wiedzą, co się stało, mimo to nikt nie próbował nic w tej sprawie zrobić. - Potrzebna ci pomoc w doprowadzeniu go do porządku? - zapytał.

Nie, na pewno nie od niego. Chciałem, żeby moje lokum nadawało się do mieszkania i to od przyszłego tygodnia, a nie od przyszłych Saturnaliów.

- Dzięki, masz dość na głowie. Niech twoja mama popilnuje dzieci, żebyś mógł trochę wyjść. Potrzeba ci towarzystwa... potrzeba ci pracy, Mikonie!

- Och, coś się pojawi. - Był pełen niepojętego optymizmu.

Rozejrzałem się po ponurym pomieszczeniu. Nie czuło się, że kogoś brakuje, Wiktoryna nie pozostawiła pustki. Nic w tym dziwnego. Nawet za życia zawsze była gdzie indziej, miała własną koncepcję dobrej zabawy.

- Widzę, że ci jej brakuje - stwierdził przyciszonym głosem Miko.

Westchnąłem. Dobrze chociaż, że starania, aby mnie pocieszyć, podniosły nieco na duchu jego samego.

Skoro już tam byłem, postanowiłem zadać kilka pytań.

- Wiem, że to niestosowna pora, ale szukam dla mamy pewnych informacji i spotykam się w związku z tym ze wszystkimi z rodziny. Czy Festus wspominał coś o przedsięwzięciu, w jakie był zaangażowany... greckie posągi, statki z

Cezarei, tego rodzaju sprawy?

- Nie. - Miko pokręcił głową. - Festus nigdy ze mną nie rozmawiał. - Wiedziałem dlaczego. Miałyby więcej fartu, próbując rozprawić z jakąś półnągą, nie całkiem trzeźwą dziewczyną z girlandami o teorii, według której życie jest garścią wirujących atomów. - Zawsze jednak był dobrym kumplem - oświadczył z naciskiem, jakby sądził, że poprzednim stwierdzeniem pozostawił złe wrażenie.

Wiedziałem, że powiedział prawdę. Na Festusie można było polegać, że rzuci okruszki porzuconemu pisklęciu i pogłaszczę psa bez łapy.

- Wołałem zapytać. Próbuję się dowiedzieć, co takiego kombinował, kiedy był ostatni raz w Rzymie.

- Obawiam się, że nie potrafię ci pomóc, Marku. Wypiliśmy ze sobą trochę, załatwił mi kilka zleceń, ale poza tym go nie widziałem.

- Jakieś szczególne zlecenia? - zapytałem bez specjalnej nadziei.

- Zwyczajna robota. Tynkowanie na cegle... - mówił. Straciłem zainteresowanie. I wtedy Miko poinformował mnie życzliwie: - Marina prawdopodobnie wie, jakie interesy załatwiał. Ją powinieneś zapytać.

Podziękowałem mu serdecznie, zupełnie jakby myśl o porozmawianiu z dziewczyną Festusa nigdy nie przyszła mi do głowy.

14

Jeśli miałem kiedyś rozwiązać zagadkę śmierci tego żołnierza, musiałem podejść do sprawy bardziej bezpośrednio. Petroniusz Longus ostrzegł mnie, żebym trzymał się z daleka od wiadomej gospody. Nie miałem zamiaru go słuchać. Była pora południowego posiłku, więc skierowałem tam swoje kroki.

Pomysł okazał się zły i musiałem pójść dalej. A to z prostego powodu, że na ławce przy wejściu, obok żebraka na beczce, siedział jeden z ludzi Petroniusza. Miał ze sobą dzbanek i miskę rozpaćkanych faszzerowanych liści winogronowych, ale wiedziałem, po co tam tkwi: Petroniusz kazał mu dopilnować, żebym nie wszedł do środka. Gość miał czelność wyszczerzyć się do mnie, kiedy z nonszalancką miną przechodziłem drugą stroną ulicy.

Poszedłem do mamy. Kolejny błąd.

- Na Junonę, patrzcie, co się tu przywlokło! - przywitano mnie.

- Allia! A ty tu po co... po szydło czy po funt śliwek? - odgryzłem się.

Allia była moją drugą podług wieku najstarszą siostrą; zawsze była najbliższą sojuszniczką Wiktoryny, więc obchodziłem ją tyle co osad na dnie pustej amfory, zresztą z wzajemnością. Musiała tu przyjść, żeby coś pożyczyć - ciągle to robiła - ale na szczęście już wychodziła, kiedy się zjawiłem.

- Zanim zaczniesz coś mówić o Festusie... uprzedzam, nie fatyguj się! - oświadczyła zadzierzyscie. - Nic o tym nie wiem i naprawdę mnie to nie

obchodzi.

- Dzięki - powiedziałem.

Nawet nie próbowałem z nią dyskutować. Rozstaliśmy się na progu. Allia wyszła kołyszącym się krokiem, grubokoścista i nieco pokraczna, jakby nieumiejętnie postąpiono przy jej narodzinach.

Helena i mama siedziały przy stole, obie sztywno wyprostowane. Opadłem na kufer, przygotowany na najgorsze.

- Allia opowiadała nam ciekawe historyjki - oznajmiła bez ogródek Helena. Musiało chodzić o tamten incydent z Mariną. Nie mogłem przecież mieć nadziei, że się nigdy nie dowie.

Milczałem, ale zauważyłem, że Helena zacisnęła gniewnie szczęki. Sam byłem wściekły. Spotkanie z Allią zawsze wywoływało uczucie ponownego przeżywania kilku godzin z dzieciństwa... koszmaru, który zazwyczaj pamięć rozsądnie wymazuje.

Matka wyglądała na zmęczoną i zostawiła mnie samego z Heleną.

- Przestań mieć takie rozbiegane spojrzenie! - Przynajmniej się do mnie odzywała.

Ukradkiem wziąłem głęboki oddech.

- No to już mnie spytaj - oświadczyłem.

- O co, Marku?

Chciałem mieć szansę wyjaśnienia.

- Spytaj, jaki to trujący oset Allia posadziła na polu melonów.

- Poszukam ci coś do jedzenia - powiedziała Helena, udając, że nie usłyszała tej wielkodusznej oferty. Wiedziała, jak mnie ukarać.

15

Posiłek był zadowalający, ale nic ponadto. Wyszedłem z domu pod pozorem załatwienia czegoś ważnego. W rzeczywistości spędziłem popołudnie w łaźni na ćwiczeniach fizycznych. Chciałem mieć możliwość zastanowienia się nad zabójstwem Cenzoryna... i na wszelki wypadek odzyskać formę.

Kiedy zjawiłem się w gimnazjone, Glaukos popatrzył na mnie krzywo. Nic nie powiedział, ale domyśliłem się, że Petroniusz przesłuchał go w związku z moją osobą.

Nie spieszyłem się z powrotem do domu matki. Kiedy wlokłem się wzdłuż Drogi Ostyjskiej, wreszcie przestało padać. Przez chmury przedarło się blade słońce, rozświetlając zwieńczenia dachów i słupki płóciennych daszków. Zaryzykowałem odsłonięcie głowy. Powietrze było chłodne, ale już spokojne. Po prostu zima w Rzymie.

Miasto prawie wymarło. Garstka ludzi niemających wyboru przemykała tu i tam, ale nie było to sympatyczne miejsce, jakie znałem w cieplejszej porze.

Nikt nie spacerował dla przyjemności w ogrodach Cezara ani nie przesiadywał na balkonie, wykrzykując do sąsiadów po drugiej stronie ulicy, nikt nie drzemał na stołku przy wejściu do domu, nikt też nie wybierał się do teatru, żeby wypełnić wieczorne powietrze owacjami. Nie słyszałem muzyki. Nie widziałem ludzi udających się na przyjęcia. W nieruchomym powietrzu snuł się gryzący dym z łaźni.

Zaczęto zapalać światła. Nadszedł czas, żeby ruszyć w jakieś weselsze miejsce, nawet jeśli nie był nim dom. Takie bezcelowe włóczenie się mogło przyciągnąć uwagę nieodpowiednich osób. Zresztą to takie przygnębiające zajęcie.

Nie mając nic do stracenia, ponowiłem próbę U Flory. Tym razem nie było widać żadnego przedstawiciela straży. Musiałem być jednak ostrożny, ponieważ Petroniusz wpadał tu czasem, po drodze na kolację do domu. Bynajmniej nie twierdzę, że musiał nabrać sił, zanim stanął przed małżonką i trójką hałaśliwych córeczek, już raczej że ma swoje przyzwyczajenia. Rozejrzałem się szybko wokół i zajrzałem do środka.

Okazało się, że miałem idealne wycucie czasu. Wysłannik Petroniusza wykonał swoje zadanie i poszedł się zameldować do wartowni. W środku nie było żadnych klientów. Dzienni nicponie poszli już sobie. Na wieczorny ruch było jeszcze trochę za wcześnie. Gospoda należała do mnie.

Oparłem się łokciami o ladę. Epimandos, ten niechlujny kelner, wygrzebywał z misek resztki, ale gdy mnie zobaczył, rzucił łopatkę.

- To co zwykle? - spytał, zanim zdążył pomyśleć, zastygł przerażony.

- Daruj sobie żarcie. Mam czas co najwyżej na pół dzbanka waszego czerwonego. - Trzymałem go w niepewności. Ale przynajmniej ten jeden raz rzucił się natychmiast do działania. Dzbanek zjawił się tak błyskawicznie, że omal nie wsadziłem do niego ręki, kiedy odwracałem się z powrotem, rzuciwszy okiem na ulicę. Petroniusz się na szczęście nie zdążył pojawić.

Epimandos wlepił we mnie wzrok. Dobrze wiedział, że jestem głównym podejrzanym w sprawie Cenzoryna. Moja obecność tutaj wprawiała go w zdumienie, bo przecież cały Awentyn czekał na wiadomość o moim aresztowaniu.

Trzymając go wciąż w niepewności, pociągnąłem solidny haust, jak człowiek, którego zamiarem jest się zalać w trupa. Epimandosa aż świerzbił język, żeby mnie wypytać, jednak paraliżował go strach przed tym, co mogę powiedzieć czy zrobić. Zabawiałem się gorzką myślą, jak by też zareagował, gdybym rzeczywiście był winowajcą, a teraz się upił, potem załkał na jego przyjaznym ramieniu i jak idiota przyznał się do zbrodni. Powinien być wdzięczny, że tutaj byłem z zamiarem dostarczenia mu tematu na opowieść, którą będzie mógł później zabawiać gości. Bo zważcie tylko: „Przyszedł Falko, wypił pół dzbanka, potem spokojnie wyszedł” nie za bardzo by ich zainteresowało.

Zapłaciłem i sprawdziłem, czy dopiłem wino, na wypadek gdyby zjawił się Petroniusz i musiałbym pospiesznie się związać.

Obawa, że mogę sobie pójść, nie dostarczywszy mu materiału na plotki, pomogła rozwiązać kelnerowi język.

- Ludzie powiadają, że masz zostać aresztowany - wydusił wreszcie.

- Ludzie uwielbiają oglądać innych w kłopotach. Nic nie zrobiłem.

- Ci ze straży powiedzieli, że ciężko ci się będzie z tego wywinąć - ciągnął.

- To będę zmuszony podać paru do sądu o zniesławienie.

Epimandos pociągnął mnie natarczywie za tunikę.

- Przecież jesteś detektywem! Możesz udowodnić swoją niewinność... - Gość miał wzruszającą wiarę w moje umiejętności.

Przerwałem to nerwowe mamrotanie.

- Epimandosie, ile weźmiesz za pozwolenie mi, żebym rozejrzał się tam na górze?

- W którym pokoju? - wyjąkał.

- To ile okropnych tajemnic tutaj ukrywacie? - zapytałem. Pobladł. To miejsce na pewno nieraz było wykorzystywane przez różnych przestępców. - Uspokój się. Nie zamierzam wściubiać nosa w mroczną przeszłość gospody. - Nie pocieszyłem go; wciąż był przerażony - Chodzi mi o pokój, w którym wasz gość wypisał się z legionu przed czasem - wyjaśniłem. Kelner nie ruszał się i nie odzywał. - Epimandosie, chcę, żebyś zabrał mnie do pokoju, który wynajął Cenzoryn - powiedziałem ostrym tonem. Myślałem, że zemdleje. Zawsze łatwo można go było wytrącić z równowagi. Między innymi dlatego uważałem go za zbiegłego niewolnika.

- Nie mogę! - wyjęczał w końcu rozpaczliwie. - Odgradzili go sznurem. Postawili wartownika, który tkwił tam jeszcze chwilę temu... - wymyślał kolejne wymówki.

- Na Herkulesa! Nie powiesz mi, że ciało jest ciągle w tym gołębniku? - spytałem, zerkając wymownie w górę. - To dość kłopotliwe. Ucierpią interesy, jeśli krew zacznie przesiąkać przez sufit. - Widziałem, że czuje się coraz bardziej nieswojo. - Czemu nie zabiorą ciała na jakimś wózku?

- Ponieważ był żołnierzem - wychrypiał Epimandos. - Petroniusz Longus powiedział, że trzeba powiadomić wojsko.

Była to bzdura, zupełnie niepasująca do mojego nieokazującego szacunku przyjaciela Petroniusza. Zmarszczyłem brwi. Petroniusz miał zwyczaj lekceważyć to, co inni uważali za niezbędne formalności. Przez chwilę zastanawiałem się nawet, czy nie odwleka usunięcia ciała, żeby dać mi szansę na zerknięcie...

- Macie dzisiaj ostrygi? - spytałem Epimandosa.

- Nie.

- To chyba zamówię sobie kilka - oświadczyłem.

Teraz, kiedy przestałem mówić o trupach, poczuł się nieco pewniej.

- Nigdy nie mamy ostryg, Falko. - Był przyzwyczajony do obsługiwania ludzi, którzy byli głusi albo pijani, albo jedno i drugie. - Ostrygi dostaniesz u Waleriana. - Mówił o barze na przeciwległym rogu. Porządnym i czystym, ale zawsze pustym. Bez konkretnego powodu miejscowi postanowili ignorować Waleriana równie nieugięcie, jak odwiedzać gospodę U Flory, choć tu zdzierano skórę i można było się nabawić bólu brzucha.

- Nie chce mi się tam przenosić. Biegnij, proszę, Epimandosie, i przynieś mi pełną miskę.

Czy chwycił, o co chodzi, czy nie, w każdym razie dał się wmanewrować i pobiegł na drugą stronę ulicy. Miałem nadzieję, że ma dość rozsądku, żeby się nie spieszyć, i że pogada sobie z kelnerem od Waleriana.

Przemknąłem przez kuchnię i wbiegłem po schodach. Wiedziałem, gdzie umieszczają tych, co nocują, ponieważ kiedy zjeżdżali krewni mamy z Kampanii, czasem tutaj nocowali. Były tu trzy gościnne pokoje - dwie maleńkie klitki nad kuchnią i jeden większy nad izbą jadalną. Cenzoryn miał ten największy. Wiedziałem, bo drzwi były przewiązane.

Wyciągnąłem nóż, żeby przeciąć powróż, jaki ludzie Petroniusza owinęli wokół dwóch wielkich gwoździ. Nie wysilili się. Na pierwszy rzut oka grubość skręconych włókien robiła wrażenie, tyle że tancerka z pantomimy potrafiłaby dostać się do środka, nie łamiąc sobie nawet paznokcia. Od razu udało mi się ściągnąć jeden węzeł z gwoźdźca, co oznaczało, że potem będę mógł go umieścić z powrotem na miejscu. Pomyślałem, że jak się pospieszę, może uda mi się wejść i wyjść, i nikt tego nie zauważy.

Nie zastanawiając się już dłużej nad żalonym sposobem zabezpieczenia wejścia, delikatnie otworzyłem drzwi pokoju, w którym doszło do zabójstwa legionisty.

16

Nie spodziewajcie się, że będę to opisywał.

Człowiek nigdy nie wie, co zobaczy. Czasami prawie nie widać, że doszło do jakiejś zbrodni o gwałtownym charakterze. Zdarza się tak, że ślady nie są w ogóle widoczne i nikt nie podejrzewa, że śmierć nastąpiła z przyczyn innych niż naturalne. Kiedy indziej natomiast przemoc widoczna jest jak na dłoni. Ten przypadek należał do tych ostatnich.

Morderstwa dokonał ktoś szalony. Nawet słowa Petroniusza nie przygotowały mnie na to, co zobaczyłem. Mój przyjaciel najwyraźniej wołał wyrazić się oględnie.

Rozmawialiśmy o tym, że złoczyńca starał się zostawić swój znak, zupełnie jakby śmierć Cenzoryna mogła być zabójstwem dokonany przez zawodowca na zamówienie jakiegoś ważniaka ze świata przestępczego. Zrezygnowałem z

tej koncepcji, gdy zobaczyłem ten pokój. Ktokolwiek zabił Cenzoryna, był w stanie ogromnego napięcia psychicznego.

Musiał to być mężczyzna. Rozgorączkowana kobieta potrafi dokonać wielkich szkód, jednakże to dzieło wymagało dużej siły fizycznej. Szaleńcze ciosy, jeden za drugim, zadawano jeszcze długo po śmierci ofiary. Twarzy, kiedy zmusiłem się, żeby na nią spojrzeć, nie dałoby się rozpoznać. Petroniusz miał rację: krew była wszędzie. Nawet sufit był nią spryskany. Dokładniejsze sprzątnięcie pokoju wymagałoby rozebrania mebli i kilkakrotnego wyszorowania wszystkich powierzchni. Bogowie jedynie wiedzą, jak musiał wyglądać zabójca, kiedy stąd wychodził.

Nawet teraz, kiedy krew wyschła, nie miałem ochoty się tu kręcić.

Przyjście nie miałoby jednak żadnego sensu, jeśli nie zamierzałem wykorzystać tej sposobności. Zmusiłem się do rutynowych czynności.

Pokój był niewielki. Wąskie okienko w głębokiej wnęce. Małe łóżko. Jeden koc, żadnej poduszki. Był jeszcze hak na płaszcz, pod którym leżała wypłowiała szkarłatna część umundurowania, zrzucona być może na podłogę w czasie dokonywania morderstwa, oraz stołek przy wezgłowie chwiejącego się łóżka. Na stołku zobaczyłem jedną z należących do gospody zaplamionych drewnianych tac, a na niej pełen dzban i przewrócony kubek. Głęboka czerwień wina w dzbanie przypominała kolorem te suche i te jeszcze nie całkiem zakrzepłe kałuże krwi.

Rynsztunek wojskowy był porządnie ułożony przy nogach łóżka. Dotarcie do niego oznaczało przejście obok martwego żołnierza, którego ciało leżało częściowo rozciągnięte na łóżku. Wiedziałem, że Petroniusz i jego ludzie przejrzeni rynsztunek. Ja, z wiszącą nade mną groźbą oskarżenia, musiałem do niego dotrzeć i zrobić to samo.

Buty denata wystawały spod łóżka; potknąłem się o jeden z nich i z trudem unikałem bezpośredniego kontaktu z ciałem. Zakrztusiłem się, odkaslnąłem, ale udało mi się dojść do siebie.

Skoro buty miał zdjęte, to musiał właśnie się kłaść albo leżeć na łóżku, albo z niego wstawać. Możliwe, że wcześniej w celach towarzyskich dołączył do niego pod kocem ktoś drugi, ale według mnie zabójcą był jakiś intruz. Cenzoryn nie był odziany jak człowiek, który spodziewa się wizyty. Żołnierze, kiedy usłyszą pukanie, natychmiast wkładają buty. Żołnierze zawsze chcą mieć możliwość wymierzenia kopniaka, jeśli nie spodoba im się czyjaś gęba. Tak czy inaczej, na tacy znajdował się tylko jeden kubek.

Reszta rzeczy, jak powiedział mi wcześniej Petroniusz, była nienaruszona. Widziałem je wszystkie wtedy, kiedy pomagałem Cenzorynowi się spakować przed opuszczeniem mieszkania mojej matki. Miecz, sztylet i pas; hełm; drewniana laska; woreczek z kompletem małych przyborów; zapasowa czerwona tunika i bielizna. Jako żołnierz na urlopie nie miał włóczni ani tarczy.

Stary rachunek ze znanego mi zajazdu (przy Drodze Appijskiej w Kampanii) był w jego rzeczach jedynym dokumentem.

Broń była porządnie ułożona. Co potwierdzało moją teorię, że go zaskoczono. Zupełnie nie spodziewał się ataku, bo nie spróbował nawet sięgnąć po nią, żeby się bronić. Musiał zginąć od pierwszego, zadanego mu brutalnie morderczego ciosu.

Czy został obrabowany? Nie poinformował mnie u matki o swoich układach finansowych. Teraz zobaczyłem przy nim wojskową sakiewkę, zamkniętą; nie zmieściłyby się w niej pieniądze potrzebne na podróż do Rzymu. Materac robił wrażenie, jakby go ktoś przekrzywił, szukając pieniędzy, ale mógł to być Petroniusz. Przed usunięciem ciała nie było możliwości dokładnego obejrzenia łóżka. Trzeba by najpierw unieść Cenzoryna. Owszem, byłem zdesperowany... ale nie aż tak.

Biorąc pod uwagę stan, w jakim znajdował się pokój, nie zamierzałem też myszkować pod deskami podłogi. Z czysto praktycznych powodów. Miałem niewiele czasu, nie posiadałem łomu i nie mogłem robić hałasu. Petroniusz na pewno wróci i to zrobi. Lepiej, żeby on znalazł to, co tam się znajduje.

Starłem się zapamiętać wszystko, nad czym później będę mógł się pozastanawiać. Bo później coś nic nieznaczącego mogło się nagle okazać ważne.

Odwracając wzrok, przeszedłem obok ciała i wyniosłem się stamtąd.

Odzyskawszy równowagę po drugiej stronie drzwi, założyłem na miejsce sznury, a kiedy się odwróciłem, śmiertelnie mnie wystraszyła stojąca w mroku na dole postać.

- Epimandos!

Wpatrywaliśmy się w siebie i mimo dzielącej nas długości schodów mogłem dostrzec, że stoi jak skamieniały. Schodziłem powoli do niego, a przez cały czas ten koszmar z piętra muskał mój kark.

Kelner stał mi na drodze. Przyniósł pełen garniec ostryg i bez wysiłku trzymał go na ręku; dźwigając latami wielkie kotły z jedzeniem, musiał nieźle wyrobić sobie mięśnie.

- Nic z tego, straciłem apetyt - powiedziałem.

- Wiesz, kto to zrobił? - wyszeptał zalękniony.

- Wiem, że to nie ja!

- Nie ty - zgodził się ze mną Epimandos. Trzeba przyznać, że był lojalny względem swoich klientów.

Wolałbym mieć chwilę na dojście do siebie, ale skoro byliśmy w kuchni, z dala od oczu i uszu, spytałem go o tę noc, kiedy zginął nasz legionista.

- Wszystko już powiedziałem dowódcy patrolu.

- Postąpiłeś więc jak porządny obywatel. Teraz powiedz to mnie.

- To samo co Petroniuszowi? - dopytywał się.
- Tylko jeśli to prawda! Po tym naszym małym nieporozumieniu, kiedy Cenzoryn zjawił się ponownie?
- Wrócił wieczorem.
- Sam?
- Tak.
- Jesteś tego pewien?

Epimandos był pewien, dopóki go nie spytałem; naleganie, żeby się zastanowił, spowodowało, że zaczął mieć wątpliwości. Miał rozbiegany wzrok, kiedy drżącym głosem oświadczył:

- W każdym razie był sam, kiedy jadł tu kolację.
- A potem nie wychodził?
- Nie.
- Pił?
- Poszedł na górę.
- Powiedział coś?
- Niby co? - zapytał mnie podejrzliwie kelner.
- Cokolwiek?
- Nie.
- Czy potem przyszedł ktoś do niego?
- Ja nikogo nie widziałem.
- Mielście wielu klientów tamtego wieczora?
- No cóż... więcej niż Walerian - odparł. Co oznaczało normalny ruch.
- Czy mógł wtedy ktoś wejść i przejść obok ciebie niezauważony?
- To możliwe - przyznał.

Przy ciasnocie tego wnętrza trudno byłoby wejść niezauważenie od frontu. Epimandos nie mógł jednak mieć oka na drzwi od tyłu, które my, miejscowi, wykorzystywaliśmy jako drogę ucieczki, jeśli zauważyliśmy zbliżających się ulicą poborców należności. Tą drogą wchodzili też bardziej bystrzy komornicy i ich zbiry.

- Wychodziłeś, żeby coś załatwić? Posyłano cię po coś?
- Nie. Strasznie lało.
- Pracowałeś całą noc?
- Do zamknięcia.
- Sympiasz tutaj? - zapytałem. Epimandos skinął niechętnie głową. - Pokaż mi gdzie.

Miał klitkę z boku kuchni. Ponurą norę. Sypiał na półce, z głową na słomie, pod przykryciem w kolorze błota. Zauważyłem, że jego osobiste drobiazgi ograniczają się do wiszącego na gwoździu amuletu i wełnianej czapki. Przypomniało mi się, że to mój brat dał mu ten amulet, prawdopodobnie jako zastaw za nieuregulowany rachunek.

Powinien usłyszeć każdego, kto wchodzi do środka po zamknięciu gospody, niezależnie od tego, czy sforsował zasuwane drzwi od frontu, czy skorzystał z tylnego wejścia. Jednakże pod jedną ścianą walało się pięć pustych amfor; wysączenie z nich resztek wina musiało być przywilejem kelnera. Nietrudno było zgadnąć, że najczęściej kładł się spać zalany w pestkę, o którym to zwyczaju na pewno wiedzieli miejscowi obwiesie. Tego wieczoru mógł być tak odurzony, że w ogóle nie słyszał, co się działo nad jego głową.

- Więc usłyszałeś jakieś dziwne dźwięki tamtej nocy?

- Nie, Falko - odpowiedział bardzo pewnym głosem. Ta pewność mnie niepokoiła.

- Mówisz prawdę?

- Oczywiście!

- Tak, oczywiście... - Ale czy ja mu wierzyłem?

Klienci zaczęli go przywoływać. Epimandos ruszył w ich stronę, bardzo starając się ode mnie uwolnić. Zaskoczyłem go nagłym pytaniem:

- Kto znalazł ciało? Ty?

- Nie, właściciel, kiedy poszedł na górę po należność...

A więc był jakiś właściciel! Byłem tak zdumiony, że pozwoliłem kelnerowi czmychnąć do pokrzykujących bywalców gospody.

Po chwili sam wymknąłem się tylnym wyjściem; sklecone z listew stajenne drzwi na zardzewiałych zawiasach wychodziły na zaułek zarzucony słojami po marynatach i dzbanami po oleju. Nad tą kolekcją pustych naczyń, zapewne z ostatnich piętnastu lat, unosił się stosowny fetorek.

Każdy miejscowy, kto tak jak ja, przychodził tu od lat, musiał wiedzieć o tych niezabezpieczonych i niemożliwych do zabezpieczenia tylnych drzwiach. Każdy obcy mógł się domyślić ich istnienia.

Zatrzymałem się na chwilę. Gdybym wyszedł tam bezpośrednio po obejrzeniu ciała, dostałbym pewnie gwałtownych torsji. Zdążyłem jednak ochłonąć podczas przepytywania Epimandosa.

Odwróciłem się i przyjrzałem dokładnie drzwiom, żeby sprawdzić, czy zabójca nie zostawił na nich jakichś krwawych śladów. Nic nie zobaczyłem. Ale przecież w kuchni stały kubły z wodą. Morderca, zanim wyszedł, mógł się umyć, przynajmniej częściowo.

Zatoczyłem koło i wyszedłem powoli na główną ulicę. Kiedy, kierując się w stronę domu, mijałem gospodę, przed szynkiem Waleriana zobaczyłem kryjącą się w cieniu wysoką postać; najwyraźniej nie był to klient. Nie przejąłem się. Nie było potrzeby zachowywać zwyczajowej ostrożności. Ten złowrogi osobnik nie był ani rabusiem, ani nawet naprzykrzającym się sutenerem. Rozpoznałem tę zwalistą sylwetkę i wiedziałem do kogo należy. Mój podejrzliwy przyjaciel Petroniusz miał na mnie oko.

Rzuciłem mu żartobliwe dobranoc i szedłem dalej.

Nie udało się. Usłyszałem za sobą ciężkie kroki Petroniusza.

- Nie tak szybko! - zawołał.

Zatrzymałem się.

Zanim zacząłem na niego wyrzekać, przemówił pierwszy, ponurym tonem.

- Czasu zaczyna być coraz mniej, Falko!

- Zajmuję się sprawą. A co ty wyprawiasz, łażąc tak za mną?

- Przyglądałem się gospodzie. - Był na tyle taktowny, że nie zapytał, co ja tu robię. Obejrzelismy się obaj. Wewnątrz, jak zwykle ponury tłumek wspierał się na łokciach, tocząc spory o nic, podczas gdy Epimandos zapalał maleńkie lampki, jakie nocą wisały nad ladą. - Zastanawiałem się, czy ktoś mógł się dostać do pokoju gościa stąd... - ciągnął.

Z jego tonu wywnioskowałem, że uważa to za mało prawdopodobne. Kiedy popatrzyło się na lokal z zewnątrz, stawało się oczywiste, że w godzinach jego otwarcia dostęp do pokoiów na górze jest niemożliwy. Potem, po zamknięciu okiennic od strony ulicy, powstawała ślepa ściana. Nad izbą z ladą były dwa okienka wnekowe, ale żeby się do nich dostać, trzeba by mieć drabinę, a poza tym trudno byłoby się przecisnąć przez tak niewielki otwór. Cenzoryn usłyszałyby jakiś hałas, zanimby go zaatakowano.

Pokręciłem głową.

- Uważam, że zabójca wszedł po schodach - oświadczyłem.

- A kim był? - spytał ostrym głosem Petroniusz.

- Nie męcz mnie. Pracuję nad tym.

- No to musisz pracować szybciej! Marponiusz wezwał mnie na jutro, na odprawę dotyczącą tej śmierdzącej sprawy, i z góry mogę ci powiedzieć, że każe mi cię przytknąć.

- To się będę trzymał od ciebie z daleka - obiecałem.

Odburknął coś i dał mi spokój.

Dopiero kiedy skręciłem za róg, uświadomiłem sobie, że zapomniałem go zapytać o właściciela gospody, tego tajemniczego poborcę należności, który jak powiedział mi Epimandos, odkrył ciało.

Wracałem zasepiony do domu matki. Wyglądało na to, że nie posunąłem się ani trochę do przodu, choć miałem już pewne wyobrażenie o wydarzeniach tamtej nocy. Tajemnicą pozostawało, w jaki sposób ta śmierć wiązała się z Festusem. Cenzoryna zabił ktoś zaślepiony nienawiścią. Takie głębokie emocje nie miały nic wspólnego z moim bratem; Festus każdemu był przyjacielem.

Czy aby na pewno? Może ktoś miał do niego pretensje, o których nic nie wiedziałem? I może to ściągnęło nieszczęście na Cenzoryna, ponieważ był jednym ze współników mojego brata?

Upiorna scena z tamtego pokoju wciąż mi towarzyszyła, kiedy wchodziłem

do domu matki. Miałem aż nadto problemów, tymczasem w progu natknąłem się na kolejny: Helena Justyna czekała na mnie, sama.

Matka wyszła... prawdopodobnie poszła odwiedzić którąś z moich sióstr. Może zostać u niej na noc. Zacząłem się domyślać, że celowo tak to wszystko zaaranżowano. Woźnica, który przywiózł nas z Germanii, dostał już swoją zapłatę i zniknął. Helena wypożyczyła pokojówkę swojej matce. Na Awentynie nikt nie trzyma pokojówek.

Zatem byliśmy w mieszkaniu sami. Zresztą pierwszy raz od kilku tygodni. Jednak atmosfera nie sprzyjała flirtom.

Helena wyglądała na bardzo spokojną. Nie znosiłem tego. Niełatwo było ją zirytować, mnie jednak udawało się to dość często. Kiedy czuła się naprawdę zraniona, traciłem ją, a teraz była zraniona. Wiedziałem, co nadchodzi. Przez cały dzień myślała o tym, co powiedziała jej Allia. Szykowała się, żeby zapytać mnie o Marinę.

17

Zacząłem się spokojnie. Helena pozwoliła, żebym pocałował ją w policzek. Umyłem ręce. Zdjąłem buty. Potem była kolacja, którą przygotowaliśmy w milczeniu. Jedzenie nie przechodziło mi przez gardło.

Za dobrze się znaleźmy na wstępne potyczki.

- Chcesz porozmawiać? - spytałem.

- Tak - odparła bez wahania.

Po tym, co widziałem tego wieczoru, nie była to odpowiednia pora na kłótnie, wiedziałem jednak, że jeśli spróbuję się wymigać, choćby chwilowo, może to oznaczać koniec wszystkiego. Patrzyłem na nią, starając się zebrać myśli.

Miała na sobie ciepłą, wełnianą, granatową szatę z długimi rękawami i agatową biżuterię. I w jednym, i w drugim było jej dobrze. Nosila te rzeczy w czasach, kiedy poznaliśmy się w Brytanii; wtedy była wyniosłą, niezależną młodą kobietą, tuż po rozwodzie. Choć musiała stracić nieco pewności siebie z powodu nieudanego małżeństwa, z tamtych dni i tak najlepiej zapamiętałem jej przekorę i złość. Natychmiast starliśmy się ze sobą, jednak za sprawą jakiejś boskiej przemiany początkowa wzajemna niechęć przeobraziła się w sympatię, za którą nieuchronnie pojawiła się miłość.

Ubiór i biżuteria były znaczące. Możliwe jednak, że w ogóle o tym nie pomyślała. Helena nie znosiła zaplanowanych teatralnych gestów. Niemniej w jej wyglądzie odczytałem oświadczenie, że kiedy tylko zechce, może być znowu panią samej siebie.

- Heleno, niedobrze jest kłócić się wieczorem - powiedziałem szczerze, ale zabrzmiało to bezczelnie. - Ty jesteś dumna, a ja twardy... to kiepska kombinacja.

Najwyraźniej w ciągu dnia zamknęła się w sobie. Helena zrezygnowała z wielu rzeczy, by żyć ze mną, ale tego wieczoru była bardzo blisko momentu, w którym mogła rzucić mi to w twarz.

- Nie mogę spać obok ciebie, jeśli cię nienawidzę - oświadczyła.

- A nienawidzisz?

- Jeszcze nie wiem.

Wyciągnąłem rękę, by dotknąć jej policzka; odsunęła się. Cofnąłem rękę.

- Nigdy cię nie oszukiwałem, skarbie!

- To dobrze.

- Daj mi szansę. Na pewno nie masz ochoty oglądać, jak się płaszczę.

- Nie mam. Ale jeśli to, co usłyszałam, jest choć w połowie prawdą, to wkrótce zobaczę, jak się wijesz!

Uniosła podbródek. Jej oczy rozbłyły. Możliwe, że oboje uważaliśmy to starcie za ekscytujące. Jednakże ani Helena, ani ja nie marnowaliśmy czasu na wynajdywanie pretekstów. Oskarżenia, jeśli miały paść, musiały być ciężkie niczym worki z mokrym piaskiem.

Odchyliłem się do tyłu. Zabrakło mi tchu.

- Zatem jak wygląda procedura? Pytania będą szczegółowe czy mam po prostu wesolutko szczebiotać?

- Najwyraźniej spodziewasz się sytuacji kryzysowej, Falko. - To „Falko” zabrzmiało złowieszczo.

- Staram się nadać za tym, czego się o mnie dowiadujesz.

- A na ten temat masz coś do powiedzenia?

- Kochana, spędziłem większość popołudnia, wymyślając wyjaśnienia, które by cię przekonały!

- Daruj sobie wyjaśnienia. Doskonale wiem, że potrafisz zmyślać na poczekaniu i używać słów jak adwokat. Powiedz mi prawdę.

- Ach, to! - Zawsze mówiłem jej prawdę. Stąd wiem, że prawda brzmi najmniej szczerze.

Kiedy nie próbowałem już nic mówić, Helena zmieniła temat.

- Jakie robisz postępy w tej sprawie dla matki? - spytała.

- Teraz to już jest moja sprawa. Nie zapominaj, że jestem podejrzany o morderstwo.

- Co ci się dzisiaj udało osiągnąć? - Pytanie wydało się zawoalowane, ale wiedziałem, do czego prowadzi.

- Rozmawiałem z Mają, Mikonem, Allią. Nic mi to nie dało. Porozmawiałem z kelnerem U Flory... i obejrzałem ciało.

Miałem pewno niewyraźną minę, bo zapytała zmienionym głosem:

- Musiałeś to robić?

Uśmiechnąłem się cierpko.

- Więc wciąż masz jeszcze dla mnie trochę serca? - spytałem.

- Zawsze cię rozsądnie traktowałam! - rzuciła ze złością. - Uważam, że marnujesz czas, Marku. Jest oczywiste, że należało natychmiast zobaczyć się z dwiema osobami. Przez cały dzień próbowałeś tego uniknąć i nie skontaktowałeś się z żadną z nich. Sytuacja jest na to zbyt poważna.

- Mam jeszcze czas.

- Petroniusz dał ci tylko ten jeden dzień!

- Więc podsłuchiwałaś prywatne rozmowy?

- Cienkie ściany - odparła, wzruszając ramionami.

- O jakie osoby ci chodzi? - zapytałem.

- Dobrze wiesz. Choćby o byłą przyjaciółkę twojego brata. Najpierw jednak powinieneś pójść prosto do swojego ojca.

Skrzyżowałam ręce na piersi. Nie odezwałem się; Helena walczyła ze mną w milczeniu. W końcu zapytała:

- Dlaczego nienawidzisz ojca?

- Nie jest wart nawet nienawiści.

- Czy dlatego, że porzucił dom, kiedy byłeś ledwie dzieckiem?

- Słuchaj, moje dzieciństwo to nie twoja sprawa.

- Owszem, moja - warknęła Helena - skoro muszę żyć z jego rezultatami!

Słuszna uwaga. Nie mogłem mieć pretensji o jej zainteresowanie. Dla Heleny Justyny mężczyzna spełniał jej kryterium, jeśli mogła odczytywać jego myśli. Po trzydziestu latach polegania na samym sobie teraz się na to zgadzałem. Profesja detektywa oznacza samotność. Dopuszczenie Heleny do tego wewnętrznego sanktuarium stanowiło pewnego rodzaju ulgę.

- W porządku. Widzę, że moim losem jest cierpieć - rzuciłem.

- Marku, jesteś obwiązany jak kurczę w brytfannie...

- Jeszcze żyję. Uważaj, żebym cię nie podziobał.

Oczy jej rozbliły; to było obiecujące.

- Przestań kręcić. Powiedz mi prawdę.

- Nie spodoba ci się.

- Zdaję sobie z tego sprawę.

- Wygrałaś. - Stawiłem czoło nieuniknionemu. Powiniennem był powiedzieć jej to wszystko już dawno temu. Na pewno się domyślała, a ja tymczasem rezygnowałem z prawa do przedstawienia jej własnej wersji. - To dość proste. Nie wiem, co działo się pomiędzy moimi rodzicami, ale nie mam nic do powiedzenia człowiekowi, który opuszcza własne dzieci. Kiedy ojciec udał się na spacer, miałem siedem lat i czekałem na swoją togę. Chciałem, by tata oglądał moją pierwszą wielką uroczystość.

- Nie lubisz ceremoniałów.

- Teraz nie lubię!

Helena zmarszczyła brwi.

- Wiele dzieci dorasta tylko z jednym rodzicem. Przypuszczam jednak, że szczęściarzom trafia się przynajmniej ojczym, którego mogą nie znosić, albo macocha, której mogą nienawidzić. - Żartowała i to na temat, na który żartów nie lubię. Wyczytała to z mojej twarzy. - To było w kiepskim stylu... - przyznała. - Dlaczego twoi rodzice nie rozwiedli się oficjalnie?

- On był zbyt wstydlivy, żeby to zrobić. Ona była i wciąż jest zbyt uparta. - Kiedyś żałowałem, że nie jestem sierotą. Wtedy przynajmniej mógłbym zacząć od nowa, bez nieustannej nadziei albo wręcz lęku, że kiedy wszystko się już jakoś ułoży, to wtedy pojawi się głowa rodziny, wyprowadzając wszystkich z równowagi swoim niefrasobliwym uśmiechem.

- Zostawił was bez pieniędzy? - spytała Helena, marszcząc brwi.

Zareagowałem gniewnie, po chwili jednak wziąłem głęboki oddech.

- Nie, tego nie mogę powiedzieć - przyznałem.

Kiedy ojciec uciekł z rudowłosą, nie widzieliśmy go przez kilka lat; potem dowiedziałem się, że przebywał w Kapui. Od samego początku pojawiał się pewien mężczyzna o imieniu Kokcejusz, który regularnie przynosił matce pieniądze. Pochodziły rzekomo z kolegium licytatorów. Przez lata wierzyłem w tę historię, bo taka była wersja matki. Kiedy jednak dorosłem na tyle, żeby zacząć się zastanawiać, zrozumiałem, że stowarzyszenie spełnia jedynie rolę pośrednika... matce było w ten sposób wygodniej; mogła przyjmować pieniądze od ojca i nadal czuć do niego odrazę. Najważniejszą wskazówką było to, że suma z czasem rosła. Z jałmużną dzieje się odwrotnie.

Helena patrzyła na mnie, spodziewając się dalszych wyjaśnień.

- Mieliśmy bardzo mało środków do życia. Starczało z trudem na odzienie i wyżywienie. Tyle że w podobnej sytuacji znajdowała się większość ludzi, których znaleźliśmy. To musi ci się wydawać dziwne, skarbie, bo wychowywałaś się w zupełnie innych warunkach, ale my stanowiliśmy część tej rojącej się masy rzymskich biedaków. Żadne z nas nie oczekiwało od życia niczego lepszego.

- Posłano cię do szkoły.

- To nie on.

- Jednak twoja rodzina miała jakichś dobrodziejów?

- Tak. Maja i ja mieliśmy opłacone chesne.

- Twoja mama mówiła mi. Przez lokatora. Skąd on się wziął?

- Był starym lichwiarzem z Melity. Mama wynajęła mu kąt, żeby mieć dodatkowe pieniądze z komornego. -

Pozwoliła mu tylko na sofę i półkę na ubranie w korytarzu. Sądziła, że się zirytuje i wyniesie, ale on mieszkał z nami przez całe lata.

- A twój ojciec tego nie pochwalał? Czy lokator był powodem kłótni? - zapytała.

Wszystko było nie tak. To ja miałem być tym intruzem, który krąży wokół i

zadaje niewygodne pytania, sprawia, że długo skrywane sekrety innych ludzi wydostają się na zewnątrz jak bąbelki wypływające na powierzchnię ozdobnych oczek wodnych.

- Lokator wywołał sporo kłopotów, ale nie tego rodzaju, o jakich myślisz - powiedziałem. Człowiek ten nie miał rodziny, chciał zaadoptować Maję i mnie. To się stało powodem wielu kłótni. Na Helenie, która pochodziła z kulturalnej rodziny, gdzie rzadko kiedy spierano się o coś poważniejszego niż o to, kto przy śniadaniu ubiegł senatora i zabrał najlepszą bułkę, awantury w mojej rodzinie musiały robić wrażenie ordynarnych i barbarzyńskich. - Kiedyś ci o tym opowiem - obiecałem. - Zniknięcie mojego ojca wiązało się bezpośrednio z jego ekstrawagancką przyjaciółką, a nie z tym człowiekiem. Czasy były ciężkie i ojciec nie miał ochoty męczyć się razem z nami. Lokator był bez znaczenia.

Helena miała ochotę się spierać, ale zrezygnowała.

- Zatem, któregoś dnia, twój ojciec wyszedł...

- Było to niespodziewane, ale ponieważ odszedł z rudowłosą wytwórczynią chust, może powinniśmy się byli domyślić.

- Zauważyłam, że nie znosisz rudych - stwierdziła poważnym głosem.

- Mogło być gorzej. Mogła być Macedonką... mogła być blondynką.

- Kolejny kolor, którego nie znosisz! Muszę pamiętać, żeby nie zmieniać koloru włosów...

- To znaczy, że mnie nie zostawiasz? - rzuciłem lekko.

- Nawet jeśli tak, Marku Dydiuszu, zawsze będę szanowała twoje uprzedzenia! - Jej spojrzenie, które bywało dziwnie wyrozumiałe, spotkało się z moim. Zapłonęła znajoma iskierka. Pozwoliłem sobie uwierzyć, że zostanie.

- Nie odchodź! - wyszeptałem, starając się, by mój wzrok był błagalny. Jednak jej nastrój ponownie się zmienił. Odwróciła oczy, jakby nagle na najlepszej serwetce zauważyła pleśń. Nie rezygnowałem. - Najdroższa, jeszcze nawet nie zaczęliśmy. Dopiero będziemy się cieszyć naszymi „starymi czasami”. Dostarczę ci do wspomnienia rzeczy, o jakich nawet ci się nie śniło...

- Tego się właśnie obawiam! - zauważyła z przekąsem.

- Och, Heleno!

- Och, nie rób sobie jaj, Marku! - palnęła Helena. Miałem za swoje. Gdybym zawsze używał w rozmowie z nią oficjalnej greki, nie podchwyciłaby mojego żargonu. - Przestań blagować - rozkazała miłość mojego życia. Łatwo rozpoznawała oszustwo. - Więc twój ojciec rozpoczął nowe życie jako licytator w Kapui. W końcu zjawił się ponownie w Rzymie, a ja znam go pod imieniem Geminus. Teraz jest człowiekiem bogatym. - Spotkała ojca przelotnie. Postarał się wparować niczym jakiś barbarzyński najeźdźca, żeby popatrzeć na tę wysoko urodzoną panią, która mnie sobie wybrała. Nadal odczuwam przyjemność, kiedy przypominę sobie jego zdumienie. Helena Justyna nie była jakąś wypacykowaną starą kłepą, za którą uganiałbym się dla pieniędzy.

Zobaczył, że jest urodziwa, ewidentnie inteligentna i szczerze do mnie przywiązana. Nigdy nie udało mu się z tego otrząsnąć, a ja nigdy nie przestałem się tym napawać.

Ta moja wróżka bywała czasami trochę za bystra, żeby miało jej to wyjść na zdrowie.

- Masz mu za złe jego majątek? - spytała.

- Może sobie być bogaty jak chce.

- Aha! Czy wciąż jest z tą rudą?

- Tak sędzę.

- Mają dzieci?

- Nie sędzę.

- I nadal jest z nią, choć minęło dwadzieścia lat... więc jednak ma trochę stałości! - zauważyła. Zazgrzytałem zębami, starając się, żeby nie widziała mojej reakcji. - Sędzisz, że ją odziedzyczyłeś? - zapytała z zamyśloną miną.

- Nie. Nic mu nie zawdzięczam. Będę lojalny wobec ciebie, wisienko, z własnej woli.

- Naprawdę? - Lekko rzucone słowo kontrastowało z ostrym smagnięciem obelgi. - Przecież wiesz, gdzie on jest, Marku, poleciłeś go mojemu ojcu. Czasami nawet sam z nim współpracujesz.

- To najlepszy licytator w Rzymie. Jednym z zajęć w moim zawodzie jest odzyskiwanie skradzionych dzieł sztuki. Mam z nim do czynienia, kiedy muszę... ale istnieją pewne granice, dziewczyno.

- Podczas gdy... - zaczęła powoli. Helena potrafiła użyć takiego zwrotu jak „podczas gdy” nie tylko po to, by cieniować swoją wypowiedź, ale także, aby delikatnie zasugerować zarzuty natury moralnej. Jej odniesienia były równie pikantne jak sardele. - Podczas gdy - powtórzyła - twój brat częściej z nim pracował... Byli ze sobą blisko, prawda? Po odejściu ojca Festus nigdy nie odczuwał tego gniewu, który stał się twoją obsesją?

- Festus nie podzielał mojego gniewu - zgodziłem się pośepnie.

Helena ledwo dostrzegalnie się uśmiechnęła. Zawsze uważała mnie za rozpamiętującego wszystko ponuraka.

I miała rację.

- Współpracowali długo i regularnie przez lata, jak ojciec z synem?

- Na to wygląda - przyznałem. Festus nie wiedział, co to duma. Możliwe, że ja miałem jej za dużo... ale to mi odpowiadało.

- Nie wiesz tego, Marku?

- Festus nigdy nic na ten temat nie wspominał - powiedziałem. Pewnie, żeby nie ranić moich uczuć. I matki. - Była przerwa w ich stosunkach, kiedy ojciec mieszkał poza Rzymem, ale najwyraźniej później Festus szybko nawiązał z nim ponownie kontakt. - Czasami się zastanawiałem, czy nie utrzymywali go ze sobą przez cały ten czas, kiedy ojciec ukrywał się w Kapui. - Na pewno w tym

czasie, kiedy Festus zginął, mieli już wspólny sklepik w dziale antyków, w Saepta Iulia - dodałem. Gdzie matka nie mogła ich zobaczyć, pomyślałem. - I wtedy stali się sobie bardzo bliscy.

- Więc twój ojciec będzie wiedział o tych posągach i o statku, który zatonął?

- Powinien. Jeśli to było jedno z ich wspólnych przedsięwzięć. - Wyciągała ze mnie słowa, a one wypływały z trudem jak żywica ze starej sosny. Zanim zdążyła wykorzystać to, czego się dowiedziała, oświadczyłem uroczyście: - Celowo zostawiłem go sobie na koniec. Zamierzam się z nim spotkać jutro.

- Myślę, że obawiasz się tej konfrontacji.

- To nieprawda... musisz jednak zrozumieć, że mój ojciec potrafi być bardzo przebiegły. Chciałem zebrać tyle faktów, ile tylko możliwe, zanim spróbuję z nim porozmawiać - tłumaczyłem spokojnie. Była bliższa prawdy, niż miałem ochotę przyznać. Nigdy nie rozmawiałem z ojcem o sprawach rodzinnych i z ogromną niechęcią myślałem o tym, że teraz zacznę. - Zostaw mnie w spokoju i pozwól zajmować się sprawą!

Bardzo po męsku. Sam się prosiłem o kłopoty. Błysk w jej oku wyglądał niebezpiecznie.

- W porządku - oznajmiła. Nie znoszę logicznych kobiet. - Nie rób takiej miny - sarknęła. - Można by pomyśleć, że się wtrącam.

- Niech mnie kruki rozdziobią, jeśli sobie tak pomyślałem... Czy to już koniec tego przesłuchania?

- Nie.

Tak myślałem. Ciągle była jeszcze Marina, żeby zepsuć nam wieczór. Przesłuchanie ledwie się zaczęło.

18

Podjąłem ostatnią próbę przywrócenia pokoju.

- Jestem w poważnych tarapatach, skarbie. Wkrótce mogą mnie aresztować. Nie psujmy sobie wieczoru wyciąganiem kolejnych rodzinnych prawd.

Helena słuchała zupełnie spokojnie, z rękoma lekko splecionymi i ułożonymi na podołku. Ktoś, kto jej nie znał, mógłby sądzić, że jest szlachetną panią rozmawiającą z tapicerem szukającym zlecenia. Ja znałem ją lepiej. Wyglądała na smutną, a to oznaczało, że jest rozgniewana... b a r d z i e j rozgniewana, niż gdyby wyglądała po prostu na zirytowaną. Wkrótce będzie rzeczywiście smutna.

- Marku, kiedy ludzie aż rwą się do tego, żeby mi opowiedzieć, jak to uwiodłeś dziewczynę brata, chciałabym móc im powiedzieć, że znam już tę całą historię od ciebie.

- Dziękuję - powiedziałem, udając, że biorę jej słowa za pochwałę. Pełna historia stanowiła pewien problem. Tylko Festus to wiedział. - Przede wszystkim, Heleno, jeśli rzeczywiście uwiodłem dziewczynę mojego brata, to

ona nie miała nic przeciwko temu... a jeśli chodzi o Festusa, to taki był prawdopodobnie jego plan.

- Może ona uwiodła ciebie? - zasugerowała Helena, niemalże z nadzieją w głosie.

- Nie, ten przywilej jest twój - odparłem z uśmiechem.

A potem opowiedziałem jej przebieg tamtej długiej i okropnej nocy.

Mój brat, Festus, miał trzydzieści pięć lat, kiedy zginął. Szczerze mówiąc, nie byliśmy przygotowani na to, że zginie śmiercią bohatera. Jakiś nieszczęśliwy wypadek podczas zwykłych psot byłyby bardziej w jego stylu.

Ponieważ był starszy, zawsze wydawało mi się, że należy do innego pokolenia, choć z czasem ta różnica między nami malała. Ludzie mówili, że jesteśmy do siebie bardzo podobni. Chyba tylko dlatego, że mieliśmy takie same bujne kędziory i głupio się szczerzyliśmy. Był niższy i krępy. Bardziej wysportowany i o łagodniejszym charakterze. Bardziej utalentowany w interesach, mający więcej szczęścia u kobiet, mądrzejszy, sprytniejszy, uważany przez najbliższą rodzinę za prawdziwy skarb. Zawsze było dla mnie oczywiste, że Festus jest ulubieńcem zarówno rodziców, jak i większości sióstr. (Jednak mnie też trochę rozpieszczano; byłem swojego rodzaju beniaminkiem, ponieważ Maja, której ta rola przynależała, nie wytrzymałaby, gdyby wokół niej skakano).

Jak przystało na dobrego rzymskiego obywatela, który dojrzał szansę jedzenia, picia i puszczania bąków na koszt cesarstwa, korzystając jednocześnie z niemających sobie równych ułatwień w podróżowaniu po świecie, Festus, kiedy tylko wyglądał wystarczająco dorośle, natychmiast wstąpił do legionów.

- Zatem musiał utrzymywać kontakt z waszym ojcem - zauważyła Helena. - Potrzebował pisemnej zgody od rodziny.

- To prawda. To jeden z aspektów publicznego życia, gdzie nieobecny ojciec może być powodem zakłopotania.

- Później ty byłeś w wojsku. Jak rozwiązałeś tę sprawę?

- Mój cioteczny dziadek, Skaro, wystąpił w roli mojego opiekuna.

- Lubieś go?

- Tak - przyznałem. Skaro, przyjacielski stary łobuz, dawał mi to, co odebrał ojciec.

Ludziom przedsiębiorczym dobrze się wiedzie w wojsku. Ostatecznie przepisy istnieją po to, by je wykorzystywać. Podczas gdy ja musiałem odsłużyć pięć lat w mroźnych północnych prowincjach, Festus bez trudu załatwił sobie nadzwyczajnie przytulne zakątki: krótki pobyt w Hiszpanii, Egipt z XV Legionem Apollinaris, przeniesionym następnie na Wschód, kiedy w Judei wybuchło powstanie. To ostatnie może nie było najszcześniejszym

miejscem, ale ponieważ mniej więcej w tym czasie całe cesarstwo miała ogarnąć wojenna pożoga, Festus i tak musiałby walczyć, gdziekolwiek by się wtedy znalazł. Z doskonałym wyczuciem znalazł się pod komendą przyszłego cesarza, Wespazjana. Jego legionem dowodził syn Wespazjana, co było podwójnie korzystne, bo bratu udało się w jakiś sposób awansować na centuriona, więc codziennie na naradach wojennych rzucał się w oczy Tytusowi.

W tym samym roku, w którym rozpoczęła się żydowska rebelia, kiedy to Neron wysłał do jej stłumienia Wespazjana i dla wsparcia przeniesiono tam XV Legion stacjonujący w Aleksandrii, Festus przyjechał do domu na urlop zdrowotny. Załatwił sobie jedną z tych ran, w których się specjalizował: wyglądała na tyle groźnie, by dać mu przepustkę na rekonwalescencję w Italii, choć ledwie postawił stopę na lądzie w Ostii, okazało się, że rana w niczym mu nie przeszkadza, szczególnie jeśli dotyczy to dziewczyn. Najbardziej podobały mu się dziewczyny innych ludzi. Festus uważał, że patriotycznym obowiązkiem tych, którzy nie walczą, jest wypożyczanie swoich kobiet centurionom na urlopie. A one nie miały nic przeciwko temu.

W wojsku nie było tak łatwo i swobodnie. Legiony rozproszone po pustyni potrzebowały każdego żołnierza. Po sześciu tygodniach pobytu w Rzymie mój brat z niechęcią przyjął wezwanie z powrotem do Judei.

- Festus robił zawsze wrażenie człowieka, któremu nic nie grozi i wszystko przetrzyma. Nikt nie był sobie w stanie wyobrazić, że może tam wrócić i zginąć.

- Najmniej na pewno wyobrażał sobie to sam Festus - powiedziała Helena. - Czy już teraz mam zacząć się irytować?

- Chyba tak...

Tamtego wieczoru w Rzymie, kiedy to ostatni raz go widziałem, poszliśmy do Circus Maximus. Festus z zapałem tam uczęszczał, głównie dlatego, że w niepodzielonych ze względu na płeć sektorach mógł siedzieć przy zalotnych kobietach. Był stałym bywalcem tych paru miejsc, w których dziewczęta mogą gorliwie i bez przeszkód ukazywać swoje wdzięki. W pobliżu Festusa kobiety chętnie się popisywały. Przyglądałem się temu z pełnym zafascynowania zdumieniem. Zdarzało się tak nawet tamtego ostatniego wieczoru, kiedy towarzyszyła mu jego aktualna od dłuższego czasu przyjaciółka Marina.

Festus nie widział nic nadzwyczajnego w spędzeniu ostatniej nocy urlopu z młodszym bratem i ze swoją dziewczyną. Było to dość niezręczne. Ale on tego w ogóle nie zauważył. Nigdy też nie zwrócił uwagi na to, że łakomie spoglądam na jego dziewczynę.

- Czy Marina była atrakcyjna?

- Zdecydowanie.

- Daruj sobie opisywanie jej wyglądu - syknęła Helena.

Festusowi zawsze podobały się kobiety, które robiły wrażenie na innych. Tamtego dnia Marina była nadąsana, ponieważ Festus wyjeżdżał z Italii, a mimo to głowy odwracały się ku niej, kiedy zasiedliśmy na ławie w cyrku. Później Festus ciągał nas po niezliczonych kiepsko oświetlonych szynkach i za każdym razem jej obecność zwracała na nas uwagę innych. Znała Festusa od lat. Jako element stały czuła się zdecydowanie pewniej niż różne kociaczki, które bywały obiektem przelotnej kilkudniowej namiętności. Zakładano, pewno i sam Festus tak myślał, że kiedyś ją poślubi. Tylko matka miała wątpliwości. Powiedziała mi przy jakiejś okazji, że Festus raczej oburzy wszystkich, sprowadzając do domu jakąś cudzoziemską laleczkę, którą poznał dwa tygodnie wcześniej, i oświadczy, że znalazł miłość swojego życia. Rzeczywiście łatwo się zakochiwał. W każdym razie zginął, zanim spełniły się obawy matki. Oszczędziło jej to konieczności wdrażania w prace domowe jakiejś nienawykłej do tego ślicznotki. Przyszła więc kolej na mnie, żebym mógł wstrząsnąć rodziną swoją zupełnie nieprawdopodobną dziewczyną, a Marina, choć niepoślubiona, i tak weszła do rodziny. Zrobiła nam bowiem zaszczyt, sprowadzając na świat Marcję.

Mała Marcja miała zapewnioną na całe życie pomoc klanu Dydiuszów. Kiedy ktoś się ośmielał zasugerować, że Festus może nie być ojcem Marcji, odpowiadała natychmiast, że jeśli nie Festus, to pozostają tylko ja.

- Spytałam cię kiedyś, czy Marcja jest twoja - wydusiła z siebie Helena. - Zaprzeczyłeś.

Ledwie ją wtedy znałem. Starłem się zrobić na niej dobre wrażenie. Wyjaśnianie sprawy Marcji wydawało się zbyt trudne. Może jednak należało to zrobić. Teraz było gorzej.

- Powiedzmy, że wisi nad tym znak zapytania...

A zdarzyło się tak, że we wczesnych godzinach porannych, kiedy Festus, Marina i ja byliśmy zbyt pijani, by zachowywać się rozważnie, mój brat o wielkim sercu skumał się z jakimiś zapitymi artystami w nędznej tawernie u stóp Celiusa. Nowi przyjaciele Festusa odpowiadali jego wymaganiom: byli nieudacznikami bez jednego miedziaka przy duszy, w postrzępionych tunikach, ale za to z wielką chęcią dołączali do innych i głośno domagali się więcej wina. Czułem zmęczenie, ale odzyskałem trzeźwość na tyle, żeby być skwaszonym i ordynarnym. Picie straciło dla mnie urok. Nawet obecność Festusa przestała cieszyć. Powiedziałem, że wychodzę. Marina miała dosyć. Festus poprosił, żebym odprowadził za niego Marinę do domu.

Obiecał, że niedługo przyjdzie. I oczywiście szybko o tym zapomniał. Podejrzywałem, że ta ostra brunetka, która siedziała obok niego w cyrku, oczekiwała go na jakimś balkonie. Marina też ją zauważyła. Były to ostatnie chwile przed wyruszeniem Festusa w drogę i dziewczyna poczuła się dotknięta. Kiedy dotarliśmy do jej mieszkania, poskarżyła się, że źle ją

potraktował. Czuję się podobnie, bo też już nie miałem więcej okazji z nim pobyc. Przynajmniej ten jeden raz mógł się odlepić od jakichś żalonych obcych ludzi i trzymać nas. Kiedy tak wlekliśmy się za nim od szynku do szynku, po to tylko, żeby nas i tak w końcu zostawił, wzmacnialiśmy tylko jego zadufanie w sobie.

Rzuciłem niemądrą uwagę o tym, że szczęściarz z niego, bo przecież nie należę do takich, którzy wywinęliby mu numer, i wtedy Marina spytała: „A czemu by nie?”

Potem Marina dała mi jasno do zrozumienia, że nie miała z tego szczególnej przyjemności. Ja zresztą też nie. Wino i zakłopotanie zepsuły zabawę.

Następnego przedpołudnia znalazłem się z powrotem w swoim mieszkaniu, nie mając pojęcia, jak ani kiedy tam się dostałem. Wiedziałem, że Festus wyruszył do portu już przed kilkoma godzinami, jeśli oczywiście był do tego zdolny. (Był i wyruszył). Więc nawet się nie pożegnaliśmy.

Tygodniami unikałem Mariny. Znajdowałem preteksty, by jak najczęściej wyjeżdżać z miasta. Później usłyszałem, że jest w ciąży, ale wszyscy zakładali, że to dziecko Festusa; odpowiadało mi, by myśleć tak samo.

Potem, po roku, przyszedł dzień, kiedy wróciłem z odwiedzin u dziadka Skarona, który mieszkał w rodzinnym gospodarstwie w Kampanii. Poszedłem do matki z wiadomościami o jej krewnych. Zobaczyłem tam zebraną całą rodzinę. Pamiętam, że zauważyłem na stole jakiś dokument. I kiedy żadna z kobiet nie chciała się odezwać (ten jeden raz), któryś ze szwagrów rzucił we mnie tą wieścią: Festus poprowadził atak na mury wypróżonej słońcem miejsciny o nazwie Bethel, w Galilei i zabito go, kiedy odwrócił się, by zachęcić swoich ludzi do podążenia jego śladem. Przyznano mu pośmiertnie odznaczenie *corona muralis* za to, że pierwszy wdarł się na nieprzyjacielskie wały, i prochy bohaterskiego żołnierza rozsypano w Judei.

W pierwszej chwili nie uwierzyłem. Nawet teraz zdarza mi się myśleć, że musiał to być zły sen albo jakieś oszustwo.

Okazało się, że Marina i Festus nie mieli zwyczaju korespondować ze sobą i ona nie widziała powodu, by zmieniać ten stan rzeczy i informować go, że ma córkę. Po co go martwić? Marina sobie wymyśliła, że kiedy mój brat wróci, ona pokaże mu gaworzące dziecko, a on od razu wpadnie w zachwyty. (To by się zgadzało. Poza tym, że Marcja była ładnym dzieckiem, mój brat miał bardzo sentymentalną naturę).

Utrata brata była już wystarczającym nieszczęściem. Jakby tego było mało, na tym samym rodzinnym zgromadzeniu, po moim powrocie z Kampanii, rzucono mi w twarz to niespodziewane publiczne oświadczenie Mariny o naszej nocy tak bezsensownie nazywanej miłosną. Oznajmiła, że mam obowiązek się o nią troszczyć, bo Marcja jest owocem naszego

nieprzemysłanego szaleństwa.

Moja rodzina zareagowała na tę wiadomość w charakterystyczny, dobroduszny sposób. Nikt nie zarzucił jej kłamstwa. Hołubiłem przecież małą i, w końcu, Festus podczas ostatniego pobytu w domu nie był w pełnej formie z powodu swojej rany.

- To zraniono go gdzieś w te okolice? - zainteresowała się Helena. Słuchała oszołomiona i wydawało się, że niezupełnie bez współczucia dla mnie.

- Słuchaj, to dotyczy mojej rodziny... wszystko jest zwariowane. Festus - powiedziałem cicho - sam się dziabnął mieczem w stopę.

- Przepraszam. Zapomniałam, że ludzie nie kierują się logiką. Co się działo potem?

- A jak myślisz? Nawymyślano mi i kazano się ożenić z Mariną.

Helena wyglądała na jeszcze bardziej odrętwiałą. Myślała, że się przyznaje do ukrywania przed nią żony.

Mało brakowało, żeby doszło do ślubu. Przygnieciony rosnącym poczuciem winy, z mętlikiem w głowie i do tego pijany, usłyszałem siebie, jak wyrażam zgodę. Na szczęście Marina, której nie brakowało instynktu samozachowawczego, przeliczyła osoby, których życie mieliśmy tym jednym posunięciem zniszczyć, i nawet ona się przestraszyła. Wróciła do koncepcji Festusowego ojcostwa i przestała mieć ochotę na małżeństwo. Ja zarobiłem jeszcze więcej obelg, choć już mniejszym kosztem.

Pozostała nam do wyjaśnienia jeszcze sytuacja obecna.

- Jak konkretnie wygląda obecna sytuacja? - spytała z drwiącym uśmiechem Helena.

- Tak, jak sądzisz.

- Sądzę, że okropnie.

- Zgadza się.

To oczywiście, że musiałem dbać o Marcję. Musiałem to robić przez wzgląd na brata. Nie było możliwości pozbycia się odpowiedzialności za jej matkę. Sumienie to straszna rzecz. Marina miała nade mną władzę, od której nigdy nie uda mi się uwolnić. Mogłaby wyjść za mąż, ale po co miała zawracać sobie tym głowę, skoro była wolna i mogła się cieszyć życiem, podczas gdy ja płaciłem rachunki? Tymczasem mnie moi krewni mogli obrażać do woli, za każdym razem kiedy przyszła im taka fantazja.

Nie doczekałem się natomiast żadnych inwektyw ze strony Heleny. Wyglądała na przejętą, ale nie mściwą. Wolałbym już widzieć, jak fruwają garnki. Wyrozumiałość tak na mnie działa, że czuję się paskudnie.

Nie mogąc już dłużej znieść tego napięcia, zerwałem się i zacząłem krążyć po kuchni. Helena oparła łokcie na blacie matczynego stołu; ujęła głowę w dłonie. W końcu stanąłem za nią i oparłem ręce na jej ramionach.

- Heleno, nie sądź chwili obecnej po wydarzeniach z przeszłości. Powinnaś wiedzieć, że kiedy cię spotkałem, doznałem czegoś zupełnie niesamowitego.

Nie odtrąciła mnie, ale się nie odezwała.

Bezradny, odsunąłem się. Helena wstała, przeciągnęła się, a potem zwyczajnie wyszła z kuchni, najwyraźniej udając się do łóżka. Mnie nie zaproszono, ale i tak powlokłem się za nią.

Leżeliśmy w ciemności przez wiele godzin, jak mi się wydawało, w ogóle się nie dotykając. Musiałem się w którymś momencie zdrzemnąć. Kiedy się obudziłem, położyłem dłoń na jej ramieniu. Nie zareagowała. Odwróciłem się od niej urażony.

Po chwili się poruszyła. Ułożyła się za mną, z kolanami w zgięciu moich kolan i z twarzą przyciśniętą do moich pleców. Poczekalem dość długo, dla zasady, ale nie aż tak długo, żeby zdążyła się znowu ode mnie odsunąć. Ostrożnie się odwróciłem i przygarnąłem ją mocno do siebie. Czułem, że płacze. Zawiniłem... jednak ona płakała nie z żalu, ale z poczucia ulgi, że znowu trzymamy się w ramionach. Pogodziliśmy się. I tak zostanie na długo.

Obejmowałem ją, aż się uspokoiła, a potem oboje zapadliśmy w głęboki sen.

19

Noc była zimna. Odczuwaliśmy to szczególnie dotkliwie po powrocie z północy, gdzie ludzie znacznie lepiej przygotowują się do zimy niż w krainach śródziemnomorskich. Zła pogoda zawsze zaskakuje Rzym. Zaopatrzony jedynie w piecyk na węgiel drzewny dawny pokój mojego brata nad ranem nieznośnie się wychłodził. Obudziliśmy się oboje, wciąż w siebie wtuleni.

Helena najwyraźniej snuła już jakieś plany.

- Skoro zamierzasz spotkać się z tą Mariną, to chyba pójdę z tobą - oznajmiła. Ja uważałem, że najlepiej dla wszystkich będzie, jeśli pójdę tam sam. Wygłoszenie jednak tej opinii wydało mi się kiepskim pomysłem.

Marina miała zwyczaj sprawiać kłopoty. (Pod tym względem pasowała do naszej rodziny). Mieszkała tuż za wypukłością Awentynu, po drugiej stronie Drogi Appijskiej i niemal u stóp wzgórza Celius, przy uliczce o osobliwej nazwie Honoris et Virtutis. Ironia w tym zawarta była zbyt oczywista, by wymagała komentarza. Gdyby honor i cnota stanowiły kryterium wymagane, by tu zamieszkać, ulica pozostałaby pusta.

- Czy ona jest b a r d z o ładna? - spytała Helena, kiedy tam szliśmy.

- Bardzo. Festus przyciągał uderzająco urodziwe kobiety.

- W przeciwieństwie do ciebie?

To zabrzmiało podchwytliwie.

- Dla mnie liczy się charakter... A dodatek w postaci urody to miła premia. - Uświadomiłem sobie, że się ze mnie wyśmiewa.

Ta lekka atmosfera się skończyła, gdy Marina wpuściła nas do swojej dwuizbowej klitki. Zdążyłem już zapomnieć, że jest tak uderzająco piękna. Helena lekko westchnęła. Ostre spojrzenie, jakie mi rzuciła, świadczyło, że nie ostrzegłem jej wystarczająco. Nie najlepiej się to zapowiadało.

Marina była niewysoka, smągła i miała zjawiskowe, ogromne, szeroko osadzone oczy. Przewracała nimi nieustannie, co mogło nerwowo wykończyć każdego rozmówcę. Kształtny nos i lekko wystające kości policzkowe nadawały jej delikatnie wschodniego wyglądu. Wzmacniała to wrażenie sposobem zachowania; uważała bowiem, że zginanie rąk w nadgarstkach i teatralne rozkładanie palców to eleganckie gesty.

Kiedyś zajmowała się robieniem ozdobnych lamówek, obecnie jednak nie odczuwała potrzeby jakiegokolwiek pracy zarobkowej. Teraz miała mnie. Zapewnienie sobie uczciwego frajera, który nie miał żadnych wymagań, dawało Marinie wolny czas na zajmowanie się swoim wyglądem. Jej przyjaciele byli zachwyceni rezultatem. I nie dziwota. Można ją było wsadzić w ramkę i powiesić na ścianie. Los był równie szczodry dla Mariny jak ja; jej wybrańcy dostawali ponętne kształty połączone ze swobodnym i lekkim stylem bycia, co było samo w sobie atrakcyjne, nawet zanim jeszcze odkryto jej stały dostęp do mojej skrytki bankowej.

Słowem, było na co popatrzeć, jednak to wrażenie zachwycającej bogini znikało w momencie, w którym otwierała usta. Była urodzoną prostaczką i bardzo się starała, by pozostać wierną swojemu pochodzeniu.

- Ach, Marku! - odezwała się głosem chropawym jak pumeks. Oczywiście mnie pocałowała. (Cóż, płaciłem rachunki). Cofnąłem się, co tylko dało Helenie lepszą możliwość przyjrzenia się nienagannemu strojowi okrywającemu zachwycające ciało. Marina udała, że dopiero teraz zauważyła Helenę.

- A niby odkąd to potrzebujesz przyzwoitki?

- Nie wysilaj się, Marino. To jest Helena Justyna. Uważa, że jestem wyrafinowanym światowcem i że w mojej przeszłości było pełno pospolitych dziewcząt.

Marina wyraźnie ochłodziła; zapewne wyczuła siłę, z którą należy się liczyć. Helena, w tym samym majestatycznym granatowym stroju co wczoraj (wciąż manifestującym niezależność), usiadła z wdziękiem, jakby reagowała na zaproszenie.

- Witam uprzejmie - powiedziała spokojnie, kulturalnie i niewymuszenie żartobliwie.

Marina zasadniczo w ogóle nie miała poczucia humoru. Wyglądała na zdenerwowaną.

Helena nie starała się okazywać dezaprobaty, co wzmacniało wrażenie, że ocenia sytuację i zamierza przeprowadzić kilka szybkich zmian. Marina znana była z tego, że potrafi wpaść w panikę przy byle okazji; pobladła pod

barwiczka na policzkach i zamachała rękoma, szukając ratunku.

- Czy przyszedłeś odwiedzić małą, Marku?

Marcji nie było widać, więc Marina musiała ją ulokować gdzie indziej. Już miałem z nią kilka scysji na temat tego zwyczaju. Dla niej idealną opiekunką czterolatki była Oktawia, nigdy nietrzeźwiejąca handlarka używaną odzieżą, żona mężczyzny wyrzuconego z kolegium kapłańskiego. A skoro przepędzono go ze świątyni Izydy, której kapłani mieli najgorszą reputację w całym Rzymie, musiał mieć rzeczywiście okropne obyczaje.

- Poślę po nią kogoś - wymamrotała pośpiesznie Marina.

- Koniecznie!

Wybiegła. Helena siedziała zupełnie nieruchomo. Udało mi się uniknąć nerwowej pogawędki, a teraz stałem, robiąc wrażenie człowieka, który nad wszystkim panuje.

Po chwili Marina wróciła.

- Marek tak bardzo lubi moją córeczkę! - oświadczyła.

- Takt nigdy nie był twoją mocną stroną - zauważyłem. Od czasu, kiedy poinformowała moją rodzinę o tym, co zaszło między nami, moje stosunki z Mariną nabrały oficjalnego charakteru. W pewnej chwili nie mogliśmy sobie pozwolić na kłótnie; obecnie byliśmy zbyt od siebie oddaleni, by nam się tego w ogóle chciało. Jednak wyczuwało się napięcie.

- On uwielbia dzieci! - ciągnęła Marina, tym razem już wyraźniej kierując te słowa do Heleny.

- Rzeczywiście. I bardzo mi się podoba - odparła słodziutko Helena - że nie jest dla niego ważne, czyje są.

Marinie potrzebna była trochę czasu, żeby rozgryźć znaczenie jej słów.

Obserwowałem, jak dziewczyna mojego brata wpatruje się w moją: piękność w obecności nieznannej jej silnej woli.

Wyglądała jak szczenię obwąchujące napotkanego żuka, który mógł w każdej chwili podskoczyć i ugryźć je w nos. Tymczasem od Heleny biła lekkość, dyskrecja i prawdziwa klasa. Jednak nasza gospodyni mogła czuć się zdenerwowana; miała do czynienia z kimś, kto rzeczywiście potrafił kąsać.

Spróbowałem przejąć kontrolę.

- Marino, jest problem z pewnym przedsięwzięciem Festusa. Muszę z tobą pomówić.

- Festus nigdy mi nic nie opowiadał o swoich interesach.

- Wszyscy tak mówią.

- Bo to prawda. Był skryty.

- Nie dość skryty. Obiecał kilku żołnierzom, że zarobią fortunę. Zawiódł ich, a oni zgłaszają się do naszej rodziny, żeby im to powetowała. Nic by mnie to nie obeszło, tyle że jednego z nich posłano do Hadesu, a poszlaki wyraźnie wskazują na mnie.

- Och, ale przecież ty na pewno tego nie zrobiłeś! - Dziewczyna była idiotką. A kiedyś uważałem, że jest bystra. (Wystarczająco bystra, żeby mnie zrobić, choć nauczycielowi logiki złamałaby serce).

- Nie bądź niemądra, Marino! - Ubrana była w szafranową żółć, kolor tak czysty, że aż oczy od niego bolały; nawet przy tej pogodzie miała odsłonięte swoje piękne ramiona. Nosila całą kolekcję bransoletek, które nieustannie grzechotały. Bardzo mnie ten dźwięk irytował. - Pomyśl rozsądnie! - rzuciłem. Marina wyglądała na urażoną tą radą; zauważyłem, że Helena się uśmiechnęła.

- Co wiesz o greckich posągach?

Dziewczyna mojego brata skrzyżowała nogi i dokładnie mi się przyjrzała.

- Tak od ręki, Marku, to niewiele!

- Nie proszę o wykład na temat rzeźb Praksytelesa. Co wiesz o planach Festusa dotyczących sprowadzania dzieł sztuki i sprzedawania ich bogaczom?

- Prawdopodobnie pomagał mu Geminus.

- Wiesz to?

- Chyba by pasowało, prawda?

- Nic w tej historii nie pasuje! Cały ten interes wygląda na jedno wielkie bagno... i my wszyscy w nim tkwimy. Jeśli stanę przed sądem oskarżony o morderstwo, skończą się moje fundusze, Marino. Pomyśl o praktycznym aspekcie sprawy, weź się w garść i postaraj się sobie przypomnieć.

Przybrała pozę bardzo atrakcyjnej, nieco zamyślanej kobiety. Jako posąg byłaby dziełem sztuki. Jako świadek była bezużyteczna.

- Mówiąc szczerze, naprawdę nie wiem.

- Musiał przecież z tobą o czymś rozmawiać, czasami!

- Po co? Interesy to interesy, łóżko to łóżko - orzekła.

Ten temat był dla mnie zbyt kłopotliwy.

- Marino, sam próbuję sobie przypomnieć różne sprawy. Czy był niespokojny w czasie swojego ostatniego pobytu w Rzymie? Zaaferowany? Czymś zaniepokojony?

Wzruszyła ramionami.

Mogła sobie na to pozwolić. Petroniusz Longus nie wpisywał jej nazwiska do nakazu aresztowania, podczas gdy Marponiusz przestępował z nogi na nogę, czekając na moment, w którym będzie mógł przyłożyć swoją pieczęć.

- Cóż, sam też tu byłeś! - zadrwiła z uśmiechem Marina. Sugestia była oczywista i zupełnie zbędna.

W tym momencie przygalopowała sąsiadka z moją bratanicą na rękach. Marina pochwyciła córkę, z ulgą dziękując sąsiadce wzrokiem, kobieta wybiegła, a my wszyscy przygotowaliśmy się na kłopoty. Marcja rozejrzała się, oceniła widownię niczym profesjonalistka, po czym odrzuciła do tyłu głowę i rozwrzeszczała się.

Marina uwijała się, teatralnie uspokajając swoje dziecię.

- Widzisz, co narobiłeś, Marku. - Była czułą, choć roztargnioną matką, która zносиła sporo cierpień zadawanych jej przez Marcję. Dziewczynka zawsze robiła swoje. Doskonale wyczuwała każdą sytuację. Wiedziała dokładnie, jaki rozpaczliwy skowyt zrobi z jej matki potwora. - Była taka zadowolona. Lubi chodzić pobawić się u Oktawii...

- Jak zwykle się popisuje. Dawaj ją tutaj!

Kiedy Marina podawała mi małą, Helena wyciągnęła po nią rękę. Marcja wpadła jej w ramiona jak dokująca galera, po czym zamilkła i usadowiła się na kolanach Heleny, robiąc wrażenie grzecznego dziecka. Udawała, wybierając odpowiedni moment, by zarówno jej matka, jak i wuj poczuli się bezradni.

- Zobaczmy, jak ja sobie z nią poradzę - szepnęła niewinnie Helena. - Wy dwoje możecie sobie w tym czasie pogadać. - Znała Marcję. Tworzyły niezłą parę konspiratorek.

- Uwielbia przebywać u Oktawii - wymamrotała znowu Marina na swoje usprawiedliwienie.

Byłem zirytowany.

- Chcesz powiedzieć, że lubi stroić się w brudne szmaty i zjadać pręty z sistrum byłego kapłana!

- Przecież nie wiesz, że ją zaniedbują.

- Ale widziałem, jak Marcja doskonale naśladuje przewracającą się pijaną Oktawie! - grzmiałem. Lubiła też śpiewać sprośne hymny do Izydy i naśladować pewne jednoznaczne rytuały. To dziecko wyśmienicie się czuło w środowisku nizin społecznych.

Marcja spoglądała z uczuciem na Helenę, jakby to wszystko, co mówiłem, było dla niej czymś nowym. Helena złożyła na jej lokach pocieszający pocałunek.

- Nie przejmuj się, kochanie. To tylko wujek Marek ma jeden ze swoich dziwnych napadów.

Wydałem groźny pomruk. Nie zrobił na nikim najmniejszego wrażenia.

Opadłem na stołek i zakryłem głowę rękoma.

- Wujek Marek płacze! - zachichotała zaintrygowana Marcja. Helena coś szepnęła, po czym postawiła ją na nogi i dziewczynka podbiegła do mnie. Zarzuciła mi tłuste rączki na szyję i obdarzyła głośnym mokrym buziakiem. Otaczał ją niepokojący zapach winnego fuzlu. - Wujek Marek musi się ogolić - oznajmiła. Była szczerym, serdecznym dzieckiem. Może właśnie dlatego się o nią martwiłem, że pewnego dnia będzie szczerą, serdeczną kobietą.

Podniosłem ją. Zawsze okazywała się masywniejsza i cięższa, niż można było przypuszczać. Marina nałożyła jej tandetną bransoletkę z paciorków na pulchną nóżkę i pozwoliła wymalować sobie na policzkach czerwone plamki. Ktoś, zapewne u Oktawii, podarował jej groteskowy amulet. Musiałem

przestać zwracać uwagę na te szczegóły, bo inaczej naprawdę bym się wściekł.

Trzymając to dziwnie masywne dziecko swojego brata, ponownie spróbowałem zrekonstruować jego ostatnią noc w Rzymie. Marina miała rację, mówiąc, że też tu byłem.

Dlatego wszelkie wskazówki powinny być dla mnie oczywiste, gdybym tylko mógł sobie coś więcej przypomnieć.

- Rzeczywiście uważam, że był niespokojny - próbowałem przekonać sam siebie. Marina jedynie ponownie wzruszyła ramionami w ten typowy dla siebie sposób osoby nieobecnej i niezainteresowanej. Mając takie ramiona i taki biust, dla zasady wybierała ten gest. A zasada brzmiała: powal ich na kolana. - Tej ostatniej nocy Festus był zdenerwowany - mówiłem. - Bogowie wiedzą, co było tego przyczyną. Wątpię, by chodziło o powrót do Judei. Nie przejmował się tym, że latają strzały; uważał, że się przed nimi uchyli. Marino, czy pamiętasz tę koszmarną bandę malarzy fresków, z którą się skumał?

- Pamiętam dziewczynę w Circus Maximus! - odparła gwałtownie. - Jestem przekonana, że to z nią się skumał!

- Nie zauważyłem - mruknąłem, starając się uniknąć scysji. Helena przyglądała się nam z odpornością intelektualisty, który w teatrze Pompejusza cierpliwie znosi nędzną farsę w oczekiwaniu na poważną grecką tragedię. Gdyby miała garść migdałów, gryzłaby je teraz jeden po drugim koniuszkami zębów. - Marino, pomyśl o tych pacykarzach. Byli okropni. Skąd się tam wzięli? Założyłem, że on ich nie znał, ale czy możemy być tego pewni?

- Festus znał wszystkich. Gdyby ich nie znał, wchodząc do baru, to na pewno znałby, zanimby wyszedł.

Kolegowanie się ze wszystkimi w barze było jego specjalnością.

- Miał swoje obyczaje, ale nie zadawał się z niewolnikami i malującymi na murach. On musiał udawać przed nami, że nie zna tych ludzi. Czy ty ich już widziałaś?

- To po prostu cwaniacy z Dziewicy. Typowe dla tego miejsca odrażające towarzystwo...

- Dziewica? - Wyleciała mi z głowy ta nazwa. Festus uważałby to za niezły dowcip. - To tam żeśmy w końcu wylądowali?

- Okropne miejsce.

- To akurat pamiętam.

- Nigdy wcześniej ich nie widziałam.

- Musi to być gdzieś niedaleko stąd. Czy wciąż tam przesiadujesz?

- Tylko jeśli ktoś mi zapłaci, żebym tam poszła. - Marina była równie szczerą jak jej urocze dziecko.

- Czy widziałaś kiedyś jeszcze tych artystów?

- Nie przypominam sobie. Weź pod uwagę, że jeśli nawet wylądowałam w tej spelunie, to musiałam być tak pijana, że nie zauważyłabym własnej babki.

- Albo nie chciałybyś, żeby babka zauważyła ciebie.

Mimo swoich osiemdziesięciu czterech lat babka Mariny byłaby niezgorszym pretorianinem. Lubiła najpierw przyłożyć, a dopiero potem pytać. Była maleńka, ale jej prawy podbródkowy był legendarny.

- Ależ skąd! Babka popija Pod Czterema Rybami - poprawiła mnie z powagą. Westchnąłem leciutko.

20

Helena widziała, że jestem coraz bardziej rozdrażniony przebiegiem tej rozmowy.

- Musimy ustalić - wtrąciła się, tonem tak rozsądnym, że aż podskoczyłem ze złości - czy Festus podczas urlopu kontaktował się z kimś konkretnym, kto znał jego plany i mógłby nam o nich powiedzieć. Dlaczego wypytujesz o tych artystów, Marku? Mógł załatwiać interesy w każdym innym momencie swojego urlopu. Czy rzeczywiście było coś szczególnego tej ostatniej nocy... i w tej właśnie grupie ludzi?

- Na pewno było! - oświadczyła niespodziewanie Marina. Zrobiło mi się gorąco. Biła od niej niedyskrecja, choć nie od razu przeszła do konkretów. - Przede wszystkim - powiedziała - Festus skakał jak kot na gorącej blasze. Zauważyłeś to... dopiero co o tym mówiłeś, Marku. To było zupełnie do niego niepodobne. Zazwyczaj wpadał gdzieś i udawało mu się wszystkich rozruszać, ale sam nie dawał się porywać ogólnemu szaleństwu.

- To prawda. I nie mógł się doczekać chwili, kiedy zaciągnie nas do kolejnej speluny. Normalnie, jak już poczuł się wygodnie i swobodnie, nie lubił się ruszać. Tej nocy co chwila pędził gdzie indziej.

- Jakby kogoś szukał? - zasugerowała spokojnie Helena.

- A poza tym - brnęła dalej Marina - była jeszcze ta drobna sprawa odesłania mnie z tobą!

- Tego nie ma już potrzeby rozstrzygać - oświadczyłem. Cóż, musiałem spróbować.

- Nie zwracajcie na mnie uwagi - powiedziała z uśmiechem Helena. Najwyraźniej wszystkie sztylety zostały już wyciągnięte.

- Jak sobie życzysz - pociągnęła nosem Marina. - Ale, Marku, jeśli naprawdę chcesz wiedzieć, co Festus kombinował tamtego wieczoru, uważam, że warto wziąć pod uwagę ten drobny incydent.

- Dlaczego? - spytała ją Helena z niezdrową ciekawością.

- To oczywiste. On to wszystko musiał ukartować. Celowo zirytował mnie tą brunetką, po czym rozeźlił też Marka.

- Jak? Czym obraził Marka?

- Och, nie pamiętam. Wystarczyło, że był sobą. Potrafił się zachować jak najgorszy łobuz.

- Z perspektywy czasu - powiedziałem - widzę, że próbował się pozbyć nas obojga... mimo że mieliśmy go potem nie widzieć przez lata.

- Oboje byliście do niego bardzo przywiązani?

Marina wyrzuciła wytwornie ramiona w powietrze.

- Och, bogowie, jeszcze jak! Oboje zamierzaliśmy czepiać się go jak rzepy. Nie miał szansy utrzymać niczego przed nami w tajemnicy. Nawet zmuszenie nas do opuszczenia Dziewicy nie było dla niego wystarczająco bezpieczne. Wrócilibyśmy oboje. Cóż, ja bym wróciła. Gdybym poszła do domu, a on nie pojawiłby się wkrótce potem, wypadłabym jak burza, żeby go znaleźć... a wiedziałam, gdzie go szukać.

Helena zerknęła w moją stronę, szukając potwierdzenia.

- Marina ma rację. Festus się czasem wymykał, ale byliśmy do tego przyzwyczajeni. Nieraz wczesnym rankiem odciągała go od szynkwasu. To był ich normalny styl życia.

- A co z tobą?

- Ponieważ była to jego ostatnia noc tutaj, kiedy już trochę wytrzeźwiałem, mogłem wrócić, by znowu pić jego zdrowie. Równie dobrze jak Marina znałem miejsca, w których bywał. Jeśli chciał prywatności, musiał nas gdzieś odesłać i pozbyć się definitywnie.

- Więc celowo was zirytował, po czym was połączył?

- Jasne! - przyznała Marina. - Marek był zawsze zazdrosny o Festusa. Ten pomylenieć od lat zerkał na mnie... więc niby dlaczego Festus nagle tak go obdarował po całym tym czasie?

- Wypadam w tym wszystkim na słabego i niewybrednego cwaniaka - obruszyłem się. Popatrzyły na mnie obie w milczeniu. - Cóż, dzięki!

Marina pogłaskała mnie po nadgarstku.

- Och, jesteś w porządku! Tak czy owak, był ci dużo winien; nikt nie mógł twierdzić inaczej. Przypomnij sobie sprawę tej klientki.

To mnie zaintrygowało.

- Jakiej klientki?

- Tej kobiety, która cię wynajęła, żebyś odnalazł jej psa - wyjaśniła. Zapomniałem o tym przekętym psie. Teraz bez trudu przypominałem sobie tę klientkę... i to nie tylko dlatego, że była jedną z pierwszych w mojej karierze.

- To był brytyjski pies myśliwski, Heleno - pospieszyłem z wyjaśnieniami. - Bardzo cenny. Z najlepszym rodowodem i szybki jak wiatr. Głupie stworzenie miało pilnować szat tej kobiety w jakiejś łaźni; niewolnik przypadkiem nadepnął mu na ogon, a on zwał i popędził jak szalony Drogą Flamińską. Młoda pani była niepokieszona... - ciągnąłem. Cóż, ta historia nadal brzmiała mało prawdopodobnie.

- Ostatecznie, byłeś w Brytanii! - oświadczyła łagodnym głosem Helena. Wiedziała, jak człowieka obrazić. - Spodziewam się, że czujesz wielką sympatię

do psów brytyjskich - szydziła. O tak. Cudowna praca dla zawodowca; każdy detektyw powinien nauczyć się wołać: „Chodź tu, piesku!” przynajmniej w tuzinie języków. Pięć lat później zlecenia, które brałem, wydawały się tak samo błazeńskie. - Znalazłeś go? - nie odpuszczała Helena.

- Kogo?

- Psa, Marku.

- Aha! Tak.

- Założę się, że klientka była bardzo wdzięczna! - oznajmiła. Jak na mój gust Helena za dobrze rozumiała moją profesję.

- Daj spokój. Wiesz, że nigdy nie sypiam z klientkami - fuknąłem. Popatrzyła na mnie znacząco; kiedyś sama była moją klientką. Powtarzanie jej, że ona akurat jest inna od pozostałych, jakoś nigdy nie było zbyt przekonujące.

Ta kobieta, która szukała zgubionego pieska, miała więcej pieniędzy niż rozumu i oszałamiającą urodę. Oczywiście moja profesjonalna etyka była bez zarzutu... ale rzeczywiście planowałem sobie mały romansik. Wtedy to mój brat Festus przekonał mnie, że zadawanie się z bogaczami to kiepski pomysł. Słowa Mariny stawiały tamtą sytuację w innym świetle. Spojrzałem na nią. Zachichotała.

Najwyraźniej założyła, że wiedziałem, co się dzieje; teraz dopiero odkryłem, dlaczego Festus poradził mi trzymać się z dala od pięknej właścicielki psa: sam z nią sypiał.

- Tak naprawdę - przyznałem się ponuro - to Festus odnalazł tego cholernego psa.

- Jasne, że on - włączyła się Marina. - Przez cały czas trzymał go uwięzowanego u mnie. Byłam sina z wściekłości. Festus zwinął go z łaźni, żeby móc poznać tę elegantkę. Nie kapnąłeś się? - zapytała zdziwiona. - Coś takiego, mój bohaterski brat!

- Och, biedaku! - uspokajała mnie Helena, najmilej jak umiała (nie tak znowu miło). - Założę się, że nigdy też ci nie zapłacono?

Rzeczywiście.

Poczułem się głęboko dotknięty.

- Słuchajcie, kiedy już wreszcie obie przestaniecie się bawić moim kosztem, to mam jeszcze dziś sporo do zrobienia...

- Jasne, że masz - oświadczyła z uśmiechem Helena, jakby sugerowała, że powinienem na jakiś czas schronić się w beczce, dopóki nie znikną mi rumieńce.

- Zgadza się. Odzyskanie mojej nadwątlonej reputacji zajmie trochę czasu - zaryzykowałem. Najlepiej było być z nią szczerym, szczególnie kiedy stroiła sobie żarty, a wyglądała, jakby usiłowała sobie przypomnieć, gdzie trzyma fiolkę z truczką na szczury.

Cmoknąłem Marcję i oddałem ją matce.

- Dzięki za gościnę - powiedziałem. - Jak przypomnisz sobie coś jeszcze, daj mi natychmiast znać. Pamiętaj, że mój los jest niepewny - dorzuciłem. Helena wstała i objąłem ją ramieniem. - Jak widzisz, tak naprawdę to cały czas powinienem poświęcać tej uroczej dziewczynie.

Helena pozwoliła sobie na pełne zadowolenia pociągnięcie nosem.

- Zamierzacie się pobrać? - spytała z życzliwością Marina.

- Oczywiście! - przytaknęliśmy unisono. Jako para doskonale kłamaliśmy.

- Och, to miło! Życzę wam obojgu samego szczęścia.

Jedno trzeba było oddać Marinie: miała dobre serce.

21

Poinformowałem Helenę, że jak na jeden dzień mam dość nadzoru i zamierzam się udać na kolejne spotkanie sam. Helena wiedziała, kiedy pozwolić mi postawić na swoim. Czułem, że zbyt łatwo ustąpiła, ale było to lepsze niż kłótnia na ulicy.

Byliśmy bardzo blisko domu jej rodziców, więc odprowadziłem ją tam, żeby ich odwiedziła. Pożegnanie dało mi szansę ujęcia jej dłoni. Ona mogła się obejść bez pocieszania, ale mnie było bardzo potrzebne.

- Nie czuj do mnie nienawiści, skarbie.

- Nie czuję, Marku. - Byłaby jednak niemądra, gdyby nie traktowała mnie powściągliwie. Minę miała pełną rezerwy. - Zawsze wiedziałam, że masz za sobą kawałek barwnego życia.

- Nie osądzaj mnie zbyt surowo - poprosiłem.

- Myślę, że sam to robisz - odparła. Może ktoś musi. - Marina wydaje się miła - dodała. Wiedziałem, co to oznacza.

- Masz nadzieję, że kiedyś ktoś ją poślubi - zauważyłem.

- Dlaczego nie.

- Nie sądzę. Mężczyźni, z którymi się zadaje, wiedzą, że nie szuka sobie męża. Ułatwia im to sytuację... nie muszą się przejmować faktem, że wszyscy mają żony!

Helena westchnęła.

Staliśmy na rogu przy wspaniałej Drodze Appijskiej. Była tak samo ruchliwa jak Forum Romanum w spokojny dzień. Odziani na brązowo niewolnicy z koszami i amforami na zgiętych grzbietach podążali w obu kierunkach, próbując wejść w drogę pięciu czy sześciu lektykom ze szlachetnymi paniami. Robotnicy bez przekonania naprawiali ciemną konstrukcję starego akweduktu. Przejechał wóz z płytami marmurowymi, zakołysał się niebezpiecznie, kiedy próbował wjechać na krawężnik. Trzech poganiaczy czekających, żeby go wyprzedzić, dwie staruszki z gęsią i kilka osób na ławce przed fryzjerem znużili się obserwowaniem wozu i zaczęli przyglądać się nam.

Żeby ten dzień zapadł im wszystkim w pamięć, objąłem Helenę i zacząłem całować. Rzym to miasto przesączone erotyką, ale nawet tutaj senatorskie córki rzadko są obłapiane na rogu ulicy przez kreatury stojące tylko oczko wyżej od korników. Zaskoczyłem ją. Nie mogła mnie powstrzymać, a nie było powodu, żebym przestał sam z siebie. Zebrał się mały tłumek.

Kiedy ją w końcu puściłem, Helena uświadomiła sobie obecność gapiów. Przypomniała też sobie, że znajdujemy się w wytwornej dzielnicy bramy Kapeńskiej, gdzie mieszkają jej przeświecni rodzice.

- Są pewne reguły, Falko! - wymruczała ze złością.

Słyszałem kiedyś, że w kręgach patrycjuszowskich mężowie muszą się umawiać trzy dni wcześniej, jeśli chcą przytulić swoje żony.

- Znam reguły - odparłem. - Pomyślałem sobie, że warto je zmienić.

- Zrób to jeszcze raz, a wbiję ci kolano tam, gdzie najbardziej boli.

Pocałowałem ją ponownie, więc użyła kolana, choć odwaga ją opuściła i cios był za słaby, by wyrządzić szkody. Tłumek i tak wiwatował.

Helena była zła i miała nadzieję, że mnie zabolalo.

- Do widzenia, Marku! - rzuciła.

- Do widzenia, ukochana - wychrypiałem.

Teraz podejrzewała, że udaję. Przybrała swoją najbardziej lodowatą minę i pomaszerowała. Ze skrzyżowanymi ramionami patrzyłem za nią aż do samych drzwi. Kiedy czekała na odźwiernego, którego prawie nigdy nie było na stanowisku, rzuciła za siebie ukradkowe spojrzenie, żeby sprawdzić, czy już sobie poszedłem. Uśmiechnąłem się i odszedłem, wiedząc, że jest bezpieczna. A kiedy będzie chciała wrócić na Awentyn, rodzina da jej złożoną z niewolników eskortę.

Cały zeszywniały po napięciu panującym podczas spotkania z Mariną czułem potrzebę ruchu. Nadłożyłem trochę drogi, żeby pójść pomachać ciężarami. W gimnazjone nie brakowało zajęć dla mężczyzny. Udało mi się spędzić tam kilka godzin.

- Ostatnio często widzimy tego klienta - Glaukos skomentował moją obecność na swój cierpki sposób.

- Zgadłeś, ten klient próbuje uniknąć swojej rodziny!

Uspokojony, prawie zdołałem odłożyć myśli o swoim śledztwie na później. Jednak obcałowując Helenę publicznie, na ulicy, stwierdziłem, że zdecydowanie wolę całować ją bardziej prywatnie. Jeśli Petroniusz miał mnie aresztować, wysiłek związany z urządzaniem na nowo mieszkania poszedłby na marne, ale gdyby udało mi się uniknąć więzienia, wówczas najważniejszą sprawą stawało się nowe umeblowanie do tego zdewastowanego lokum.

- Petroniusz cię szukał - oznajmił Glaukos. Mój trener miał powściągliwy sposób wyrażania się, który mógł wywołać u człowieka najgorsze lęki.

- Daruj sobie. Jego też unikam...

Nie zależało mi na rozmowie z ojcem, ale Petroniusz Longus nigdy by się nie spodziewał zastać mnie u niego, więc wizyta u Geminusa dawała mi trochę czasu. Poza tym, tam gdzie był ojciec, można też było znaleźć jakieś tanie łóżko. Wyruszyłem więc do Saepta Iulia.

Z twarzą do połowy zasłoniętą płaszczem wynurzyłem się z łaźni na Forum, przemknąłem obok świątyni Fortuny poniżej Cytadeli i chyłkiem ruszyłem w stronę teatru Marcellusa, mojego punktu startowego w drodze na Pole Marsowe. Wydawało się, że każdy, kogo mijam, zerka na mnie dwa razy, zupełnie jakby mój płaszcz miał cudzoziemski krój albo twarz podejrzany kształt.

Teraz, kiedy szedłem spotkać się z Geminusem, powrócił mój kwaśny nastrój. Wciąż odczuwałem niepokój. Nie miałem pojęcia, że jestem coraz bliższy sposobności spożytkowania naprawdę dużej ilości energii.

Wiele budynków publicznych wyrosło na Polu Marsowym, ponieważ pewni ludzie zapragnęli być sławni... te wszystkie pompatycznie nazwane teatry, łaźnie, portyki, ze świątynią i cyrkiem od czasu do czasu, żeby turyści nie mogli się nadziwić. Przechodziłem, w ogóle ich nie zauważając; zbyt byłem zajęty wypatrywaniem funkcjonariuszy straży, na wypadek gdyby Petroniusz poinstruował ich, że mają mnie szukać.

Budynek Saepta Iulia usytuowany był pomiędzy łaźnią Marka Agryppy i świątynią Izydy; od strony, od której się zbliżałem, stała świątynia Bellony. Poszedłem dłuższą drogą, dookoła cyrku Flaminiusza, po części, żeby być jak najmniej widocznym. Byłem zbyt znudzony, żeby tak zwyczajnie pójść sobie ulicą, która prowadzi wprost do Saepta. Wyszedłem w pobliżu teatru Pompejusza, na wprost długiego portyku. Usłyszałem jakąś wrzawę, więc skierowałem się w tamtą stronę.

Portyk Pompejusza był imponujący. Otaczające go z czterech stron ciężkie budowle tworzyły wewnętrzny dziedziniec, gdzie mogli kręcić się ludzie, udając, że podziwiają dzieła sztuki, podczas gdy w rzeczywistości mieli nadzieję na coś ciekawszego: zaproszenie na kolację, jakąś kłótnię, pojawienie się kosztownego chłopca o ciele greckiego boga czy przynajmniej taniej prostytutki. Nie było potrzeby iść dalej; odbywała się tu właśnie licytacja, którą nadzorował nie kto inny jak mój zniechęcony ojciec. Dobra, jakich się pozbywał, z daleka wyglądały na autentyki, a dopiero z bliska mogły wzbudzać pewne wątpliwości. Znał swój fach.

Słyszałem go, jak usadowiony wysoko nakłania zebranych do brania udziału w licytacji. Miał powolny, obojętny głos, który bez trudu obiegał czworokątny dziedziniec. Zakładałem, że z wysoka wkrótce mnie zauważy. Nie starałem się zwrócić na siebie uwagi. I tak już niedługo staniemy twarzą w twarz i będziemy się kłócić.

Usiłował właśnie wzbudzić zainteresowanie zbiorem przeróżnych

składanych stołków.

- Popatrzcie na ten: czysta kość słoniowa, pięknie rzeźbiony. Prawdopodobnie z Egiptu. Mógł na nim siedzieć sam szlachetny Pompejusz...

- Pompejuszowi w Egipcie odcięli jego szlachetną głowę! - zawołał wesoło jakiś krzykacz.

- To prawda, panie, ale jego szlachetny tyłek pozostał nienaruszony...

Stołek Pompejusza stanowił część wyprzedaży wyposażenia jakiegoś domu. Ktoś musiał umrzeć i spadkobiercy sprzedawali wszystko, żeby podzielić się gotówką. Po bliższym przyjrzeniu się te pozostałości minionego życia sprawiały smutne wrażenie: dzbanuszki ze zużytym w połowie atramentem i zwoje nietkniętego papiirusu, pozbawione pokryw pojemniki, wciąż w części wypełnione pszenicą, kosze ze starymi butami, stosy koców, miska, z której jadł podwórzowy pies. Były tam rondle z luźnymi rączkami i lampki oliwne z utraconymi dzióbkami. Ospali licytanci rozsiedli się na sofach z pooblupywanymi nóżkami i postrzępionym materiałem; żalosne świadectwo zużycia, które właściciel przestaje zauważać, a które dopiero tutaj rzuca się w oczy.

Wszystko wskazywało na to, że wyzbywano się rzeczy z domu członka warstwy średniej; mogłem tu trafić na jakąś okazję, tym bardziej że pieniądze rodziny były zapewne świeżego pochodzenia i w rezultacie majątek ruchomy dość współczesny. Przybrałem pozę człowieka nie zainteresowanego, podczas gdy w rzeczywistości gorliwie oglądałem to, co wystawiono.

Oczywiście ani śladu łoża; tej jedynej rzeczy, jaka mi była potrzebna. Widziałem całkiem porządne wyroby kamionkowe do wystawiania na zewnątrz (nie miałem ogrodu, ale w Rzymie marzenia są tanie). Wśród mebli wyróżniał się zdecydowanie stół na jednej nodze z ogromnym cytronowym blatem, który musiał kosztować tysiące; nawet na otwartym powietrzu, w ponury zimowy dzień słoje drewna migotały i połyskiwały. Geminus wypolerował go oliwą i woskiem. Ślina mi pociekła, jednak przeszedłem do grupy eleganckich trójnożnych stolików z brązu różnych rozmiarów. Jeden z nich, z lwimi łapami i ładnie podwiniętym brzegiem, uniemożliwiającym przedmiotom staczanie się, wyposażony był w fascynujący mechanizm do zmiany jego wysokości. Właśnie schyliłem się i próbowałem wykombinować, jak to działa, kiedy jeden z tragarzy szturchnął mnie w bok.

- Daj spokój. Twój stary już go zaklepał dla siebie.

Jasne.

Zerknąłem na tatę. Chociaż był niewysoki, wyglądał imponująco na tym swoim podwyższeniu. Szyderczą twarz z prostym nosem okalały siwe, potargane loki. Te ciemne oczy nie przeoczyły niczego. Musiał obserwować mnie już od dłuższej chwili. Wskazując na trójnog, machnął do mnie drwiąco, by dać mi do zrozumienia, że i tak zostanie przelicytowany. Przez jeden szalony

moment oddałbym w s z y s t k o , żeby dostać ten trójnog i stolik... po czym przypomniałem sobie, że właśnie w ten sposób bogacą się licytatorzy.

Przeszedłem dalej.

Spadkobiercy chcieli wyciągnąć jak najwięcej ze swojego spadku. Wyjęto z zawiasów skrzydła składanych drzwi, które kiedyś zapewne stanowiły ozdobę jadalni. Delfina z brązu wyrwano z cokołu fontanny, zarysowując biedakowi pysk. Ci grabieżcy wycięli nawet malowidła z wewnętrznych ścian, na grubych prostokątach tynku. Geminus na pewno tego nie pochwalał. Ja też nie.

Nie wszystko tego dnia było tak jak zawsze. Jako urodzonego amatora plądrowania w śmieciach moją uwagę przyciągały wystawione na sprzedaż przedmioty, tak że nie zauważałem ani ludzi, ani atmosfery. Potem, stopniowo, zacząłem wyczuwać, że coś się tu zaczyna szykować.

Aukcję zapewne zapowiadano w Saepa przez mniej więcej tydzień. Wielkie wyprzedaże przyciągały grupę regularnych klientów, w większości znanych Geminusowi. Niektórych handlarzy oraz jednego czy dwóch kolekcjonerów nawet sam rozpoznawałem. Dla prawdziwych koneserów było tutaj niewiele; ci, którzy szukali poważnej sztuki, zaczęli już odpływać. Handlarze byli obdartusami, ale przyszli tu w konkretnym celu i o nim pamiętali. Zawsze też zaszło kilku przypadkowych przechodniów, a poza tym po portyku kręcili się codziennie bezrobotni intelektualiści. Niektórzy ludzie wyglądali na speszonych, bo byli na aukcji nowicjuszami; wśród nich zapewne sprzedający, którzy sprawdzali Geminusa, oraz ciekawscy sąsiedzi zmarłego, którzy przyszli poprzebierać w jego bibliotecznym zbiorze i popatrzeć drwiąco na stare odzienie.

Wśród typowych obiboków dostrzegłem za kolumnami kilku nader postawnych mężczyzn, którzy tu w ogóle nie pasowali. Stali osobno, z dala od siebie, ale na odległość widać było, że są w zмовie. Wszyscy nosili tuniki z jednym rękawem jak robotnicy, ale mieli też skórzane akcesoria, które wcale nie wyglądały na tanie - ochraniacze przegubów, ciężkie pasy z emaliowanymi klamrami, dziwne skórzane czapki. Chociaż czasami udawali, że oglądają towar, to żaden nie licytował. Ci sami co zawsze tragarze przynosili Geminusowi towar, ale to byli starsi i bojaźliwi ludzie. Nigdy im wiele nie płacił; jego pracownicy trzymali się go z przyzwyczajenia, a nie dlatego, że mogli się dorobić.

Przyszło mi do głowy, że jeśli złodzieje planują napad na tę wyprzedaż (co się już zdarzało), to najlepiej zrobię, nie ruszając się stąd.

Ledwie zdążyłem podjąć tę wielkoduszną decyzję, kiedy zaczęły się kłopoty.

zwyczajnych tunikach i płaszczach. Nic niepokojącego.

Geminus przeszedł do oświetlenia.

- Zaczynamy licytację obiektów z kolejnej partii: oto godny uwagi okaz, panowie... - Nie był amatorem lamp; jego uwagę przyciągały duże naczynia i wyroby z drewna, więc przedmioty oświetleniowe traktował bardziej pobieżnie, niż na to zasługiwały. - Srebrne lampadarium w kształcie korynckiej kolumny, zręcznie wykonane architektoniczne detale, cztery ramiona, jednego łańcucha brak, ale może być bez trudu wykonany przez rzemieślnika pracującego w srebrze. Bardzo ładny przedmiot... Kto zacznie od tysiąca?

Licytacja przebiegała ospale. Zima to zła pora na sprzedaż. Ponura pogoda powodowała, że wszystko, nawet te zręcznie wykonane architektoniczne detale, wyglądało nieciekawie. Jeśli ludzie dbają o swoich spadkobierców, to powinni umierać, kiedy jest gorąco.

Niedaleko mnie jakiś klient, jeden z tych zwyczajnych, w płaszczu, wyciągnął z kosza narzutę w kolorze śliwki. Zwisiała z niej naderwana lamówka z frędzlami; pociągnął za nią lekceważąco, co było usprawiedliwionym komentarzem, po czym odwrócił się ze śmiechem do swojego towarzysza i oderwał kolejny, dłuższy kawał oblamowania.

Wtedy wystąpił dziarsko do przodu jeden z tragarzy i zręcznie odebrał mu tkaninę. Większość ludzi niczego nie zauważyła. Ja natomiast dostrzegłem, że dwóch z tych roślących młodzieńców znalazło się niepokojąco blisko.

- A teraz uroczy komplet. Para kandelabrow w kształcie drzew, jeden z kuną wspinającą się po pniu do siedzącego na gałęzi ptaka... - mówił Geminus. Ktoś z lewej strony trącił łokieć tragarza, niosącego półkę z przyprawami do potraw; brązowe pojemniczki posypały się na wszystkie strony, kleista zawartość niektórych z nich rozlała się po żwirze. Ludzie, którzy się stamtąd w pośpiechu wycofywali, przyklejali się do ścieżki starym rybny m sosem. - Na drugiej kolumnie widzimy gotowego do skoku kota domowego... - ciągnął mój tata. Skoczył tragarz i ledwie zdążył powstrzymać przed rozsypaniem ułożone na stos srebrne, walcowate pudełka na zwoje.

Atmosfera wokół mnie się zmieniła. W jednej chwili, bez żadnego widocznego powodu, zapanował złowieszczy nastrój. Zobaczyłem, jak najstarszy z tragarzy ściąga z cytronowego stołu wielką metalową złoconą wazę, wrzuca ją do skrzyni i zatrzaskuje dla bezpieczeństwa jej wieko. Ponad głowami tłumu dostrzegłem, że ktoś wymachuje jedną z kolumnowych lamp, a ta wplątuje się w gęstwę innych, wystawionych na sprzedaż, obalając je wszystkie na ziemię, tak jak huragan kładzie pokotem drzewa. Dwaj wystraszeni handlarze zaczęli się cofać i wpadli pomiędzy skrzynki z naczyniami kuchennymi. Postronni obserwatorzy podnieśli krzyk, kiedy zaczęto ich potrącać i popychać. Eleganckie przedmioty traktowano brutalnie. Wrażliwi ludzie dostawali kuksańce w delikatne miejsca.

W pobliżu podwyższenia dla licytatora szybko się przeredziło, kiedy ze wszystkich stron kolejne przedmioty ulegały uszkodzeniom. Wszędzie trzaskały wyroby ceramiczne, a pojedyncze naczynia z brązu przetaczały się pod nogami. Jeden z rośłych zbirów szamotał się z jakimś innym mężczyzną, z kiepskim dla Geminusa rezultatem; obaj zatoczyli się na jego podest, który zatrzeszczał i się zawalił. Usłyszałem, jak ostrzegawcze wołanie Geminusa zamienia się w protest. Po czterdziestu latach wykrzykiwania na licytacjach jego wrzask przeciął powietrze chrapliwym zgrzytem, od którego bolały uszy, a potem on sam zniknął w chaosie listew i żerdzi.

Tragarze robili to, co do nich należało w razie zamieszania: rzucili się po towar, żeby najpierw najlepsze sztuki, a potem pozostałe wkładać na wozy i do skrzyń, w których je tutaj przywieziono.

- Okaż choć odrobinę synowskiego oddania, Marku - pisał ich szef, Gornia, kiedy przebiegał obok mnie, zbierając cenne przedmioty. - Pomóż nam z tym, do licha!

Synowskie oddanie nie było moją mocną stroną, ale do bójki gotów byłem się przyłączyć. Rozejrzałem się za czymś użytecznym. Złapałem słupek od zastony; wciąż była do niego przyczepiona, więc zwinąłem ją pospiesznie, zanim zakręciłem tą ciężką żerdzią, żeby zrobić sobie trochę miejsca. Co pokazało, że mogę sprawiać innym kłopoty. Kiedy dwóch rośłych drabów w skórzanych czapkach ruszyło na mnie, walnąłem ich drągiem po kolanach, powalając na ziemię, tak jakbym ciął sierpem zboże.

Nagle spod swojego zawalonego podwyższenia wynurzył się mój ojciec. Przyciskał do piersi szkatułę z pieniędzmi, a twarz miał paskudnie czerwoną.

- Nie ich! Nie ich! - wołał. Nie zwracałem na niego uwagi. (Tradycyjna synowska reakcja). - Ruszaj na tych drugich, idioto... - wrzeszczał.

Zrozumiałem, że ci rośli, których zaatakowałem, byli osiłkami wynajętymi przez Geminusa. Sprawy musiały przybrać zły obrót, skoro płacił za ochronę. Chwyciłem go za ramię i postawiłem na nogi, a on nie przestawał mnie rugać.

- Przestań, tato. Nie uszkodziłem ci twoich dryblasów... - uspokajałem go. Cóż, przynajmniej nie za bardzo.

Jego krzyk urwał się nagle, kiedy jeden z rzekomo niewinnych klientów zwiniętym w rulon dywanem walnął go w klatkę piersiową. Pozbawiony tchu poprzednim upadkiem, nie był w stanie ustać na nogach i runął na ziemię.

Jeden z jego osiłków dopadł napastnika. Chwycił go wpół i cisnął daleko, tak że tamten zawadził wciąż trzymanym dywanem o innego rozrabiakę. Zmieniając układ sojuszniczy, zdieliłem żerdzią od zastony drugiego mężczyzną, odrzucając go do tyłu. Umożliwiło to mojemu ojcu umkniecie ze skrzyneczką na gotówkę (co było sprawą bezwzględnie najważniejszą), a ja tymczasem rzuciłem się w sam środek kolejnego starcia. Ktoś postawił na sztorc sofę do czytania na jednym z jej końców w kształcie sfinksa i obracał ją

w stronę grupy gapiów. Uwiesiłem się na nim, a koniec mojej żerdzi załatwił sprawę w sposób bardzo dla niego bolesny. Niestety, przy okazji straciłem tę poręczną broń. Sofa opadła z hukiem na ziemię, pozbawiając skrzydła jednego ze sfinksów i miażdżąc palce stóp kilku gościom. Ktoś zaatakował mnie od tyłu. Wykonałem półobrót i uderzeniem barku zwałem napastnika na plecy, na cytronowy stół; chwyciłem go za brzuch i jednym szalonym pchnięciem posłałem po wypolerowanym blacie. Widziałem, jak ćwiek z jego pasa wydrapuje w drewnie głęboką białą rysę. Ojciec, który powrócił w tym najmniej odpowiednim momencie, wrzasnął rozpaczliwie; wolałby oglądać raczej rzeź dziesięciu ludzi, niż być świadkiem uszkodzenia tak pięknego kawałka drewna.

Chłopcy ze skórzanymi akcesoriami uczyli się powoli. Wciąż uważali, że należę do grupy napastników. Broniłem się, nie wymierzając zbyt silnych ciosów, bo mogliby zażądać większej rekompensaty za poniesiony uszczerbek na zdrowiu. Mimo to, jeśli mieli policzyć ojcu każdy siniec, to będzie musiał sięgnąć głęboko do sakiewki.

Nie było czasu na finezję. Wielkim kamiennym tłuczkiem z mózdzierza zamierzyłem się w czyjś kark; nie trafiłem, ale niesamowity trzask, z jakim tłuczek spadł na dół, zatrzymał gościa w miejscu. Udało mi się przytrzasnąć ramię innego mężczyzny ciężkim wiekiem skrzynki, tak że wrzasnął głośno z bólu. Zobaczyłem, jak ojciec wali innym o kolumnę, jakby zamierzał zwalić cały portyk. W tym momencie tragarze znużeni się pilnowaniem sreber i ruszyli wybijać zęby. Staruszkowie byli twardsi, niż można było przypuszczać. Żyłaste ramiona kręciły młyńce, a łyse głowy taranowały ludzi. Do osiłeków dotarło wreszcie, że należę do rodziny, i przeszli na moją stronę. Przeciwnicy doszli do wniosku, że ich czas dobiegł końca, i umknęli.

- Gonimy ich? - krzyknąłem do Górni, zarośniętego szefa tragarzy.

Pokręcił przecząco głową.

Ponownie pojawiła się szopa kręconych siwych włosów, kiedy na pobojuwisku stanął ojciec.

- To nie zachęci kupców. Chyba już na dzisiaj skończymy - oświadczył.

- Tak będzie mądrzej - odparłem zajęty składaniem krzeselka, które zbyt brutalnie rozłożono. - Wygląda mi na to, że ktoś inny postanowił zakończyć tę sprzedaż... - mruknąłem. Kiedy złożyłem krzesło, usiadłem na nim niczym perski król oglądający pole bitwy.

Geminus klepięciem w ramię dodał ducha jednemu z osiłeków, który trzymał się za oko po moim wyjątkowo celnie wymierzonym ciosie na samym początku bójki. Wiedziałem, że kilku innym sińce dojrzeją do jutra. Prawdę mówiąc, sam byłem nieźle poobijany. Spoglądali na mnie z podziwem; zacząłem się czuć jak na wystawie.

- Niezłe draby. Kupujesz ich na wagę? - spytałem.

- Można na ciebie liczyć, że zaatakujesz wynajętą pomoc! - biadał Geminus przez pękniętą wargę.

- Skąd miałem wiedzieć, że to twoje kohorty? Myślałem, że twoi staruszkowie zostali pozostawieni sami sobie. Stanąłbym spokojnie z boku, gdybym się domyślił, że płacisz tym gburom, żeby sobie trochę poobijali knykcie!

Pokaszłując ze zmęczenia, Geminus padł na niesprzedaną sofę. Widać było po nim jego wiek.

- Na Jowisza, zupełnie mi to wszystko niepotrzebne! - poskarżył się.

Milczałem przez chwilę. Oddech mi się uspokoił, ale myśli pędziły jak szalone. Wokół nas wynajęci twardziele udawali, że pomagają tragarzom posprzątać bałagan, a staruszkowie pracowali bez narzekań, z typową dla nich gorliwością. Wyglądało nawet na to, że bójka ich niezwykle ożywiła.

Ojciec pozwalał im działać samodzielnie, co nasunęło mi myśl, że nie zdarzyło się to pierwszy raz. Przyglądałem mu się, a on rozmyślnie ignorował moje zainteresowanie. Był dobrze zbudowanym mężczyzną, niższym i bardziej krępy, niż go pamiętałem, z twarzą, która mogła uchodzić za przystojną, i z charakterem, jaki niektórzy uważali za interesujący. Był irytujący... ale mnie wychowywali nauczyciele, którzy twierdzili, że ojcowie rzymscy są surowi, mądrzy i mogą służyć za model etycznego postępowania. W tej szlachetnej filozofii nie było miejsca dla tych, którzy piją czy grają w strzałki albo uganiają się za spódniczkami... nie mówiąc już o takich jak mój ojciec, co to robią wszystkie te rzeczy i najwyraźniej nigdy nie czytali wytwornych teoretyków, którzy utrzymywali, że chłopiec rzymski ma prawo do taty, który oddaje się szlachetnym rozważaniom i składa ofiary bóstwom domowym. Zamiast zabrać mnie do Basilica Iulia i wyjaśnić, o co spierają się prawnicy, prowadził mnie do Circus Maximus... choć faktycznie tylko wtedy, kiedy przy wejściu stał jego kuzyn, który wpuszczał nas za niższe stawki. Kiedy byłem dzieckiem, wślizgiwanie się z ojcem na igrzyska po zniżonej cenie było dla mnie źródłem wielkiego zażenowania.

Czegoś takiego nigdy nie zrobił Tytus Liwiusz, autor traktatu retorycznego, któremu nadał formę listu do syna.

- Spodziewałeś się kłopotów - zagadnąłem ojca. - Może pogadamy o tym, co się dzieje?

- To zwykła codzienność - wycedził przez zaciśnięte zęby Geminus.

- To było ustawione... zorganizowany napad. Czy chodzi o wymuszanie? Kto za tym stoi? - Zostałem wciągnięty w tę awanturę i chciałem wiedzieć, co było jej przyczyną.

- Ktoś na pewno - mruknął. O bogowie, on potrafił zachowywać się jak

uparty muł.

- No to w takim razie sam się tym zajmij!

- Zrobię to, chłopcze. Zrobię - mówił. Nie mogąc się nadziwić, jak to możliwe, że ten żaloszny stary zrzęda spłodził takiego rozsądnego człowieka jak ja, odchyliłem do tyłu głowę i zamknąłem oczy. Właśnie poczułem, że sztywnieje mi całe ciało i że ogłuchłem na lewe ucho. - W każdym razie nie spieszyłeś się - dodał nagle z pretensją w głosie. - Spodziewałem się ciebie dwie godziny temu.

Otworzyłem oczy.

- Nikt nie wiedział, że się tu wybieram.

- Czyżby? Mnie powiedziano, że chcesz pogawędzić z ojcem.

- To źle ci powiedziano! - Po chwili już się domyśliłem. - Helena tu była - westchnąłem. Niepoprawna kobieta. Nie wystarczyło zostawić ją pod domem ojca, należało przepchnąć przez drzwi i powiedzieć senatorowi, żeby założył na nie sztabę.

- Miłe dziewczę! - oświadczył mój ojciec, spoglądając na mnie chytrze.

- Daruj sobie gadanie o tym, jak to mogła lepiej wybrać.

- Dobra, nie będę ci tego mówił... jak ci z nią idzie?

- Kiedy widzieliśmy się ostatni raz, wyrznęła mnie kolanem w krocze - burknąłem.

- Au! A myślałem, że przywłaszczyłeś sobie potulną kobietkę! - zadrwił, wykrzywiając twarz. - W jakim to złym towarzystwie nauczyła się takiej sztuczki?

- Sam ją nauczyłem - przyznałem się. Wyglądał na zaskoczonego. Nagle poczułem irytację i przypomniałem sobie dawne urazy. - Słuchaj, możesz sobie teraz żyć z nadzianymi cwaniaczkami, ale na pewno pamiętasz, co to znaczy być skazanym na mieszkanie w awentyńskiej kamienicy... bez zamków przy drzwiach i w otoczeniu ludzi o złych zamiarach. Nie mogę jej chronić przez cały czas. Poza tym, jak widać po dzisiejszym dniu, nigdy nie wiem, gdzie ona jest. Kobiety mają rzekomo siedzieć w domu i zajmować się tkaniem - marudziłem z goryczą. - Helena ma inne zdanie.

Powiedziałem więcej, niż zamierzałem. Ojciec oparł się na łokciu i patrzył, jakbym podsunął mu półmisek z ciekawym daniem z małży, ale nie dał łyżki do nakładania.

- Jednak jest wciąż z tobą... To kiedy ślub?

- Kiedy będę bogaty.

Zagwizdał obraźliwie.

- No to ktoś długo poczeka!

- To nasza sprawa.

- Nie, jeśli zrobisz mnie dziadkiem, zanim dopełnisz formalności.

To był ten czuły punkt i on o tym wiedział. Prawdopodobnie usłyszał kanałami rodzinnymi, że Helena poroniła, sprawiając nam obojgu większy ból,

niż mogliśmy się spodziewać, i napelniając nas normalnymi w takiej sytuacji wątpliwościami, czy jesteśmy w stanie spłodzić zdrowe dziecko. Helena była zbyt wystraszona, podczas gdy ja próbowałem o tym na razie nie myśleć, zasłaniając się najbardziej życiowym problemem, mianowicie ubóstwem, jeszcze tylko mi brakowało w tym wszystkim zainteresowania mojego przeklętego ojca. Wiedziałem, dlaczego ten stary snob jest taki ciekawy; chciał, byśmy założyli rodzinę, bo wtedy mógłby się chełpić, że jest spowinowacony z senatorem.

- Jesteś już dziadkiem - rzuciłem gniewnie. - Jeśli chcesz okazać zainteresowanie tym, którzy go potrzebują, to spróbuj z sierotami po Wiktorynie.

- Co w takim razie porabia Miko? - zapytał.

- To co zwykle: niewiele - odparłem zgodnie z prawdą. Ojciec wysłuchał moich słów bez żadnej reakcji, choć nie wykluczałem możliwości, że zamierza pomóc. - Byłeś na pogrzebie? - spytałem bardziej dociekliwie, niż zamierzałem.

- Nie. Moja obecność okazała się zbędna. - Zachowywał się spokojnie, nawet obojętnie. Nie wiem, czy czuł się dotknięty, i chyba mnie to nawet nie obchodziło.

- Wiktoryna była twoją córką - oświadczyłem oficjalnym tonem. - Powinni byli dać ci tę możliwość.

- Nie przejmuj się tym.

- Gdybym ja tu był, dałbym ci znać. - Udawanie skromnisa nie było w moim stylu, ale jego zrezygnowana mina działała mi na nerwy. - Nie możesz nikogo winić, sam nie jesteś szczególnie przykładną głową rodziny - zauważyłem kąśliwie.

- Nie zaczynaj!

Wstałem.

- Nie przejmuj się. Już sobie idę.

- Nawet nie wspomniałeś, z czym tutaj przyszedłeś.

- Była już tu Helena. Ona zadaje za mnie pytania.

- Nie rozmawiam z kobietami.

- Może raz powinienes spróbować - rzuciłem. Może powinien był spróbować, kiedy żył z moją matką.

Niepotrzebnie tu przyszedłem. Nie byłem w stanie znieść sprzeczki o Festusa; naprawdę chciałem sobie pójść. Ojciec, który czekał na coś, w związku z czym mógłby utrudnić mi życie, był wściekły.

- W porządku! Zabawiliśmy cię bójką, więc teraz biegnij i powiedz swojej mamusi, że pobrudziłeś sobie tunikę, bawiąc się na Polu Marsowym z dużymi i niegrzecznymi chłopcami.

Zastygłem w trakcie zarzucania płaszcza na ramiona. To nie pomagało mi rozwiązać sprawy Cenzoryna. Poza tym rzeczywiście potrzebna mi była jakaś

historyjka dla matki i to szybko. Znana była z tego, że brakuje jej cierpliwości do wałkoni.

- Jest coś, czego potrzebuję - przyznałem.

Geminus spuścił nogi z sofy, żeby mnie dobrze widzieć.

- To coś nowego! - oświadczył.

- Bynajmniej. Po prostu przyszedłem coś wyżebrać. Czy w twoim magazynie jest jakieś tanie, ale przyzwoite łóżko?

Był gorzko rozczarowany, jednak się podniósł, żeby mnie tam zaprowadzić.

23

Saepta Iulia początkowo była obudowanym placem, na którym w czasach republiki rzymskiej odbywały się zgromadzenia ludowe i głosowania. Przebudowę rozpoczął Juliusz Cezar, a dokończył energiczny Marek Agryppa, zięć i wódz Augusta. Ponieważ wiedział, że nie będzie cesarzem, wybrał drugą z kolei najlepszą możliwość, by został po nim jakiś ślad: stawianie budowli większych i wspanialszych od wszystkiego, co wybudowano do tej pory. Miał dobre oko, jeśli chodzi o miejsca godne uświetnienia. Większa część współczesnego Pola Marsowego była jego dziełem.

Agryppa przekształcił to miejsce z czegoś, co było niewiele lepsze od ogromnej zagrody dla owiec, w prawdziwy klejnot swojego pomnikowego kompleksu. Łączyła się teraz w architektoniczną całość z majestatycznym Panteonem i wspaniałym budynkiem łaźni Agryppy... najbardziej sławnych z tego, że były darmowe. Marek Agryppa dobrze wiedział, jak kupić sobie popularność. Teren, jaki pokrywała budowla, był wystarczająco duży, by służyć za arenę walk gladiatorów, a za czasów Nerona nawet go zalewano, by demonstrować bitwy morskie, ale to okazało się bardzo niewygodne dla pracujących tam ludzi. Na ludziach interesu niewielkie wrażenie robi konieczność zamykania miejsca ich zatrudnienia, żeby wpuścić tam okazałe triremy. Okalające je mury, wysokie na dwa piętra, mieściły wiele różnych warsztatów, szczególnie złotniczych i brązowniczych, a także sklepiki ludzi takich jak mój ojciec, który od lat dorabiał się majątku na handlu starociami i dziełami sztuki z drugiej ręki.

Z racji powiązań politycznych miejsce to miało też inne oblicze. Byłoby wielce użyteczne, gdybym sam mógł mieć tutaj swój lokalik; bo tu właśnie przychodzili ludzie ze zleceniami w mojej dziedzinie działalności. Trzymałem się z dala od tego miejsca ze względu na obecność ojca, choć tradycyjnie to właśnie w Saepta Iulia kręcili się prywatni detektywi.

Mam na myśli tych innych... tych wszystkich, przez których moja profesja cieszy się złą sławą. To robactwo, które rozpleniło się za Nerona i czaiło za filarami świątyni, żeby podsłuchać luźne uwagi rzucane przez pobożnych, a nawet wykorzystywało prywatną rozmowę z gospodarzem przyjęcia, żeby go

potem wydać. Tych pasożytów politycznych, którzy, nim Wespazjan oczyścił z nich życie publiczne, napawali lękiem cały senat. Tych niegodziwców, którzy przyczynili się do powiększenia władzy cesarskich faworytów i wywoływali zazdrość matek i żon cesarzy. Plotkarzy, którzy żerowali na skandalach; drani, których każdą przysięgę przed sądem można było kupić za szmaragdowy kolczyk.

Na samym początku kariery doszedłem do wniosku, że klienci, którzy tu przychodzili, żeby znaleźć sobie detektywa, nie chcieliby mnie. W ten sposób straciłem mnóstwo zleceń.

Popyt na dzierżawione w Saepa Iulia lokale był ogromny; mojemu ojcu udało się zająć dwa. Podobnie jak Festus, umiał wszystko załatwić. Przypuszczam, że tutaj pomogła gotówka, ale swoją rolę musiała odgrywać też reputacja. Podczas gdy niektórzy kupcy wciskali się w maleńkie klitki, Geminus posiadał luksusowe pomieszczenie na górnym piętrze, z którego mógł wyjść na balkon i oglądać całe to ogromne, otoczone portykami atrium. Miał też duży magazyn na parterze, gdzie o wiele wygodniej było dostarczać duże czy ciężkie przedmioty. Jego biuro, zawsze modnie urządzone, przylegało do Diribitorium, gdzie liczono głosy i które tętniło życiem podczas wyborów, a kiedy indziej było sympatycznie cichym miejscem.

Poszliśmy na dół, do głównej części magazynu. Po uświęconych tradycją próbach wciśnięcia mi koślawych, stojących na trzech nogach, zjedzonych przez korniki łóżek i dziwacznie tapicerowanych sof naznaczonych kojarzącymi się z chorobami plamami, przekonałem ojca, że jeśli chce, żebym przedłużył ród, musi się to dokonać na przyzwoitym meblu. Znalazł mi łóżko. Nie zgodziłem się zapłacić ceny, którą podał, więc żeby nie stracić szansy posiadania wspólnego wnuczęcia z najznakomitszym Kamilem, zgodził się na połowę.

- Dorzuć, proszę, materac. Helena nie może spać na samych pasach.
- Chciałbym wiedzieć, skąd się u ciebie wzięła ta bezczelność!
- Z tego samego miejsca, w którym nauczyłem się, żeby nie płakać, kiedy licytatorzy udają, że grozi im bankructwo.

Chrząknął tylko, wciąż kręcąc się przy moim nabytku.

- To nieciekawy mebel, Marku... - marudził. Łóżko miało prostą bukową ramę i skrzyniowe zakończenia. Podobał mi się prosty ząbkowany ornament, który ożywiał wezglowie. Sam fakt, że stało czterema nogami na podłodze, już będzie w moim mieszkaniu luksusem. - Mam wątpliwości. Ono jest przeznaczone do niszy w ścianie - ciągnął niezadowolony Geminus.

- Nie chcę srebrnych nóżek i szylkretu. Po co zachęcać włamywaczy? Kiedy możesz je dostarczyć?

Zrobił obrażoną minę.

- Znasz przecież procedury. Gotówka do ręki i kupujący sam sobie odbiera.
- Wypchaj się swoimi procedurami! Dostarcz je jak najszybciej, a zapłacę, jak cię zobaczę. Wciąż mieszkam przy Dziedzińcu Fontanny.
- Na tym śmietniku! Czemu nie zajmiesz się porządną robotą i nie zaczniesz spłacać długów? Powinieneś wprowadzić tę swoją dziewczynę do miłego miejskiego domu z atrium.
- Helena obejdzie się bez marmurowych korytarzy i kompletu zapasowych taboretów.
- Wątpię! - odparł.

Jeśli mam być szczery, też w to wątpiłem.

- Ona szuka mężczyzny z charakterem, a nie bibliotek i osobnych prywatnych latryn.
- O, to już sobie znalazła! - zadrwił. - W porządku, każę zanieść łóżko do twojej pchłarni, ale nie oczekuj, że ta uprzejmość się kiedyś powtórzy. Nie robię tego dla ciebie... Helena kupiła pewien przedmiot, więc i tak poślę tam na wzgórze wóz.

Doznawałem dziwnego uczucia, kiedy słuchałem jak ojciec, którego nie znosiłem, mówiąc o Helenie, pozwala sobie na taką familiarność. Nigdy ich sobie nie przedstawiłem; nie żeby powstrzymało go to przed przedstawieniem się jej za moimi plecami i uzurpowaniem sobie rodzicielskich praw.

- Jaki przedmiot? - warknąłem.

Wiedział, że mnie ma. Mógłbym pierwszą z brzegu miotłą zmazać mu ten uśmiezek z gęby

- Dziewczyna ma gust - zauważył. - Przeskoczyła cię...

Za nic nie chciałem pokazać zainteresowania, jednak odgadłem.

- Ten stolik na trzech nogach! Na ile żeś ją orznął?

Zachichotał irytująco.

Tragarze znosili niesprzedany towar z przerwanej licytacji. Kiedy przynieśli zdarte ze ścian malowidła, powiedziałem:

- Ten, kto kupi dom, z którego ścian wycięto te malunki, będzie musiał zalepić dziury. Mógłbyś posłać nowemu właścicielowi Mikona, żeby zaoferował swoje usługi i naprawił szkody.

- Chciałeś powiedzieć, narobił większych, co? No dobrze, dam mu adres - zgodził się ojciec.

- Może się okazać, że ma szczęście i nowi właściciele jeszcze o nim nie słyszeli. Zresztą, jego partactwo da się ukryć, zanim zostanie zauważone. Tynk na ścianach trzeba przecież pomalować - gadałem, starając się wydostać z niego informację, nim się zorientuje, co robię. - Na pewno myślałeś już o prowizji za polecenie artysty od fresków? - zasugerowałem. Ojciec nie dał się podpuścić. Podobnie jak Festus potrafił być w interesach bardzo dyskretny. -

Przypuszczam, że znasz tych wszystkich malarzy - spróbowałem raz jeszcze.

Tym razem w jego oku pojawił się ów dawny błysk, który kiedyś przyciągał kobiety. Teraz był on kostyczny i mroczny. Wiedziałem, że chodzi mu o coś szczególnego.

- Najpierw łóżko, teraz remont. Czy zamierzasz pozłocić tę swoją brudną noclegownię jak pałac? Ostrożnie, Marku! Nie znoszę widoku niestosownych ozdób...

- Jedyne kilka fałszywych perspektyw - zażartowałem słabo. - Krajobraz z satyrami do sypialni i komplet martwej natury w kuchni. Zabite bażanty i patery z owocami... Nic wymyślnego. - Nie osiągnąłem niczego. Musiałem spróbować bardziej bezpośredniego podejścia. - Helena na pewno ci powiedziała. Muszę wytropić grupę pacykarzy, z którymi Festus spotkał się kiedyś w tanim szynku pod Celiusem. Knajpa nazywała się Dziewica.

- Powiedziała mi - przyznał jak ktoś, kto nie chce zdradzić małemu dziecku, co dostanie w prezencie na Saturnalia.

- Zatem ich znasz.

- Nic mi o tym nie wiadomo. Żaden sąd - oświadczył mój ojciec - nie skaże człowieka za to, że nie zna przyjaciół własnego syna!

Zignorowałem drwiny.

- I może jeszcze powiesz - wybuchnąłem - że nie wiesz nic o interesie, jaki prowadził Festus tuż przed swoją śmiercią?

- Zgadza się - odparł spokojnie Geminus. - Tak powiem.

- Nie rozmawiasz teraz z Cenzorynem - rzuciłem.

- Nie. Rozmawiam z tobą - przyznał. Tego rodzaju wymiana zdań zdarza się wyłącznie w rodzinie. - Bez sensu takie gadanie - burknął, po czym nagle się przeciągnął. - To takie dla ciebie typowe... jazda na mule przodem do tyłu, gapienie się na ogon zmiatający muchy z jego zada! Myślałem, że już pół godziny temu dojdziemy do tego żołnierza, ale ty musisz zwlekać, udając, że zapomniałeś, po co cię tu przysłano... wiem, że cię przysłano! - rzucił drwiąco, kiedy zacząłem protestować. Wiedział, że nie przyszedłbym sam z siebie. - Jeśli już musimy rozdrapywać stare rany, to zacznijmy od samego początku... i zrobmy to w sposób przyzwoity, przy kielichu.

Chwycił mnie za łokieć, jakbym zbyt publicznie poruszył jakiś drażliwy temat, i wyprowadziwszy ze swojego magazynu, skierował do cichego zakątka, jakim było jego biuro na piętrze.

Czułem się jak człowiek, któremu właśnie mają sprzedać, udający srebrny, podgrzewacz do wina, z nieustannie odpadającą nóżką.

Podczas swoich rzadkich wizyt zdążyłem zauważyć, że biuro ojca zmieniało nastrój i charakter za każdym razem, kiedy sprzedawał zdobiące je wykwintne

meble. Tutaj przyprowadzał jedynie wybranych klientów... takich, którzy przez chwilę mieli się uważać za kogoś szczególnego, podczas gdy on im coś wciskał. Sadzał ich na kości słoniowej albo grawerowanym srebrze, albo słodko pachnących egzotycznych gatunkach drewna, podawał cudownie zdobione kielichy napełnione przyprawionym korzeniami winem i opowiadał kłamstwa, a oni kupowali za więcej, niż mogli sobie pozwolić. Dzisiaj zobaczyłem garnitur mebli z Aleksandrii; subtelnie malowane skrzynie i szafki na cienkich nóżkach, ozdobione wzorem rogatego ibisa i kwiatu lotosu. Dla uzupełnienia egipskiego wystroju wyciągnął wysokie wachlarze z pawich piór (stały element, który widziałem już wcześniej) i dołożył poduszki z gęstymi frędzlami do dziwacznej twardej sofy, która stała tam od zawsze i nie była na sprzedaż. Za sofą wisiała ciemnoczerwona kotara przesłaniająca tkwiący w ścianie jego skarbczyk.

Zanim zaczęliśmy rozmawiać, umieścił w nim pieniądze z dzisiejszej aukcji. Wiedziałem, że postępuje z nimi metodycznie. Nigdy nie otwierał skarbcza w obecności personelu, nie mówiąc już o klientach. Mnie traktował inaczej... co było jednym z jego sposobów, by pokazać, że uważa mnie za rodzinę. W mojej obecności podchodził spokojnie do skrytki i otwierał ją kluczem na rzemieniu, który nosił na szyi, jakbyśmy my dwaj, tak jak on i Festus, byli w jakiegoś rodzaju spółce. Ale tak się zaczęło dziać dopiero po śmierci mojego brata.

Opuścił pospiesznie zastonę, kiedy wszedł chłopiec z tacą, na której jak zwykle było wino i miseczki z migdałami.

- Witaj, Falko! - Młody człowiek uśmiechnął się, zauważywszy mnie pod ścianą, po czym nagle poczuł się niewyraźnie. Nikt z personelu nie wiedział, co ma o mnie myśleć. Pierwsze kilka razy, kiedy tutaj przychodziłem, nie chciałem się przyznać do żadnego pokrewieństwa; teraz wszyscy już wiedzieli, że jestem synem szefa, ale zauważyli, że nie pozostaję z nim w tak zażyłych stosunkach jak Festus. Trudno ich było winić za to, że nie mogli tego zrozumieć; w obecności ojca sam się gubiłem.

Ponieważ nie byłem klientem, młodzieniec nie wiedział, czy ma zostawić tacę. Ale tata natychmiast chwycił za flaszkę.

- Ten twój znajomy dowódca patrolu straży cię szukał, Falko! Jakiś sędzia chce cię przesłuchać - oznajmił chłopak.

Zaskoczony zbyt raptownie wrzuciłem migdały do gardła i zakrztusiłem się. Geminus przybrał wszystkowiedzącą ojcowską minę, jednak poczekał na odejście służącego, zanim zapytał:

- Czy chodzi o ten nieprzyjemny incydent U Flory?
- Mam rozumieć, że znasz tę dziurę?

Wydawało mi się, że popatrzył na mnie cierpko. Ta gospoda znajdowała się nieprzyjemnie blisko mieszkania mamy.

- Byłem tam kilka razy - przyznał. Gospoda istniała dopiero jakieś dziesięć, dwanaście lat, czyli otwarto ją po powrocie ojca z Kapui. Jednak Festus ciągle

tam przesiadywał. Każdy, kto znał mojego brata, musiał o niej słyszeć. - Helena powiedziała mi, że wskazano na ciebie. Wygląda na to, że Petroniusz zamierza nadebrać ci na ogon.

- Dał mi trochę czasu - zapewniłem go niczym człowiek światowy, któremu zagraża jedynie wierzyciel, bo uszył mu płaszcz i całkiem nierozsądnie domaga się zapłaty.

- Naprawdę? Wiesz, mam pewne wpływy - zaofiarował się.

- Nie ma potrzeby.

- Z tego, jak sprawy się mają, wynika, że będziesz potrzebował kaucji.

- Nie dojdzie do tego.

- Jasne - rzucił. To były nasze typowe przekomarzania. Nie znosił mnie, a ja się z tego cieszyłem. - Daj mi znać, kiedy mamy przyjść do sądu, żeby wiwatować, jak dranie będą cię skazywać! - W milczeniu nalewał wino. Nie ruszyłem czarki z półki, na której ją postawił. - Och, wypij do dna i przestań być taki napuszony. Już to przerabialiśmy. Jesteś w poważnych tarapatach, ale nie chcesz pomocy, szczególnie ode mnie...

- Właśnie że chcę twojej pomocy! - warknąłem. - Nie spodziewam się jej otrzymać, ale, na Hades, chcę wiedzieć, o co w tym chodzi.

- Usiądź i uspokój się. Nie jesteś w jakiejś tandetnej spelunie.

Nie usiadłem, ale zmieniłem ton.

- Jest oczywiste - powiedziałem - że coś się wydarzyło, zanim nasz sławny bohater dał się przeszyć włócznią w Bethel. Domyślam się, że tkwiłeś w tym razem z nim, miałeś jednak nadzieję, że afera była zbyt daleko stąd, żeby jej reperkusje dotarły aż tutaj.

- To nie miało nic wspólnego ze mną! - Nie próbował nawet ukryć swojego zadufania.

- Więc nie masz powodu, by unikać opowiedzenia mi o tym! Wszyscy musimy stawić czoło prawdzie - oświadczyłem twardo. - Piętnasty został przeniesiony i wszyscy, którym najwyraźniej jesteście winni pieniądze, załatwiają sobie urlopy, żeby przyjechać do domu. Jeden już przybył, żeby zamieszać w tym kotle, i teraz, kiedy nie żyje, na pewno zjawi się kolejny. Ta sprawa sama nie przyschnie - mówiłem. Ojciec pochylił posepnie głowę, zgadzając się przynajmniej z tym punktem. - Ci, którzy porznęli Cenzoryna - ciągnąłem - mogli go spotkać przypadkiem... a może sami są wplątani w tę sprawę. Jeśli tak, to wolałbym nie zetknąć się z nimi na ciemnych schodach. Ktoś musiał wdepnąć w paskudny krowi placek i teraz ten smród dotarł tutaj. W tej chwili przyczepił się do mnie, ale nie zdziwi cię chyba, jak ci powiem, że zamierzam dokładnie się obmyć.

- Potrzebne ci coś więcej niż tylko plan.

Poczułem ucisk w piersi.

- Zgadujesz czy wiesz? - spytałem.

- Po trochu jedno i drugie - odparł ojciec.

Był gotów rozmawiać. Ponieważ miałem pod ręką czarę, a nie znoszę marnotrawstwa, chwyciłem ją i wreszcie klapnąłem na niski stółek. Wybrałem sobie ciasny kąć pomieszczenia, rezygnując z wygody. Nade mną jakiś bóg z psią głową o długim pysku szczyrzył się zagadkowo z bocznej ścianki kredensu.

- Musimy porozmawiać o Festusie - powiedziałem cicho, ale z naciskiem.

Ojciec zaśmiał się krótko, jakby do siebie.

- Niezgorszy temat! - Zapatrzył się w swoje wino. Piliśmy z małych, idiotycznych metalowych czarek, przeznaczonych do kurtuazyjnego sączenia wina, a nie poważnego zaspokajania pragnienia. Trzymał swoją pomiędzy dwoma palcami i kciukiem; jego duże dłonie z krótkimi palcami były takiego samego kształtu jak Festusa. Na prawej ręce nosił okazały sygnet z hematytowym kamieniem i mniejszy, złoty, z głową cesarza z dynastii klaudyjskiej, dziwnie tradycyjny zestaw jak na człowieka jego profesji, który ma ciągle do czynienia ze wspanialszą biżuterią. Pod pewnymi względami był człowiekiem konwencjonalnym, w większym stopniu niż obaj jego synowie.

Na trzecim palcu lewej dłoni wciąż nosił obrączkę ślubną; nigdy nie zgadłem dlaczego. Może po prostu o niej nie myślał.

- Marek Dydiusz Festus... - Geminus zmarszczył brwi. - Każdy uważał go za kogoś wyjątkowego. Może taki był. Albo mógł być...

- Nie rozklejaj się - rzuciłem niecierpliwie. - Mój brat miał polot i odwagę. Prowadzenie interesu podczas służby wojskowej, z odległości tysiąca mil, było dla niego błahostką. Potrzebował jednak z tej strony odbiorcy i to ty musiałeś nim być.

- Mieliśmy kilka wspólnych inwestycji - przyznał.

- Na przykład?

Geminus machnął ręką.

- Siedzisz na jej części - oznajmił. Egipskie meble. - Festus znalazł ten taboret, kiedy Piętnasty był w Aleksandrii. Był w ładunku, który przyplłynął tuż przed jego śmiercią.

- Nie widziałem go, kiedy byłem tu poprzednio.

- Nie, teraz dopiero postanowiłem się go pozbyć - wyjaśnił. Wiedziałem, że sprzedawanie mogło być czasem sprawą nastroju. Człowiek mógł popaść w przygnębienie, wychwalając skarby zmarłego współnika; tym bardziej kiedy ten współnik był jego hołubionym synem. - Ten mebelek został mi po śmierci Festusa. Jakoś nie mogłem się zabrać do jego sprzedaży. Jednak kiedy pojawił się ten żołnierz, ponownie zwróciłem na niego uwagę. Nie wiem, dlaczego tak długo go trzymałem. To nie mój styl, te lekkie rzeczy.

- To gdzie on cały czas był?

- Trzymałem go w domu.

Na wzmiankę o miejscu dzielonym z kobietą, z którą kiedyś uciekł, atmosfera stężała. Wiedziałem, gdzie mieszka. Nigdy nie byłem w środku, ale można było założyć, że roiło się tam od łakomych dla kolekcjonerów kasek.

- Myślałem, że może wciąż masz magazyn pełen wybornego towaru sprowadzonego przez Festusa?

- Może jest jeszcze kilka sztuk w starej szopie Skarona. - Ojciec miał dość niepewną minę. To było w Kampanii, w gospodarstwie ciotecznego dziadka. Miejsce to tata po ślubie z mamą wykorzystywał na długoterminowe składowanie. (Możliwość darmowego korzystania z tych budynków gospodarskich stanowiła oczywiście wytłumaczenie, dlaczego w ogóle się nią zainteresował). Ojciec przestał tam przyjeżdżać, kiedy porzucił rodzinę, później jednak Festus przejął szopę. - Kiedy skontaktowałem się z twoim wujem Fabiuszem, zapewnił mnie, że praktycznie nic nie zostało.

- Fabiusz nie rozpoznałby nawet skrzyni z napisem „Złoto”! Masz coś przeciwko temu, żebym się tam kiedyś rozejrzał?

- I tak tam pojedziesz, nieważne, co powiem.

- Dzięki za pozwolenie!

- Trzymaj ręce z dala od towaru, jeśli jest tam jakiś.

- Nie mam zwyczaju kraść. Pamiętaj, że jestem wykonawcą testamentu Festusa. Zresztą wybiorę się tam, jeśli mnie nie przymkną. Muszę odpowiedzieć Petroniuszowi na kilka poważnych pytań, zanim będę mógł rozważyć wyruszenie na wycieczkę. Słuchaj, opowiedz mi o Cenzorynie. Wiem, że zrzędził na temat jakiegoś nieudanego przedsięwzięcia, ale nie znam szczegółów i nie mam pojęcia, dlaczego był taki tajemniczy. Czy Festus sprowadzał z Grecji coś nielegalnego?

- Dlaczego miałyby to robić? Myślisz, że rabował świątynie czy coś w tym rodzaju? - pytał z oburzeniem tata. Ja bym tego nie wykluczał. - Grecja jest zapchana wspaniałymi dziełami sztuki - ostro sprzeciwił się podejrzeniom ojciec. - Nie było potrzeby rabować sanktuariów. Zresztą, nie ma w tym żadnej tajemnicy. Festus załatwił ładunek złożony z posągów i ogromnych amfor i waz. Dodał do tego trochę konwencjonalnego towaru z Syrii i Judei: płótno, purpura, drewno cedrowe.

- Wyglądasz na zirytowanego.

- Nie jestem jakimś przeklętym handlarzem. Nie znoszę takiego towaru. Festus załatwił to wszystko sam. Jowisz tylko wie, w jaki sposób wdarł się do miejscowych spółek, ale wiesz, jak to jest. Purpurowa Korporacja Tyru jest oficjalnie zamknięta dla cudzoziemców od tysiąca lat, domyślam się jednak, że powitali naszego chłopca jak jakiegoś dawno zaginionego fenickiego księcia... Wynajął statek o nazwie *Hyperikon*, który zatonął niedaleko Krety.

- I nie byłeś zaangażowany w to przedsięwzięcie?

- Nie. Już ci mówiłem. To był jego własny pomysł. Zorganizował wszystko,

kiedy był na Wschodzie. Dlatego wykorzystał swoich kolegów, żeby dostarczyli kapitału. Usłyszał wcześniej o ładunku zawierającym towar najwyższej jakości i nie było czasu, żeby się ze mną skontaktować.

Wiedziałem, że w tej spółce to mój brat wykazywał się przedsiębiorczością; tata był inwestorem. Festus wynajdował towar; tata kupował i sprzedawał. To się sprawdzało, kiedy mogli wcześniej wszystko przygotować, w przeciwnym bowiem razie występowały trudności. Wymiana korespondencji z Judeą mogła trwać od piętnastu dni, przy sprzyjających prądach i wiatrach, do pół roku. Albo nieskończenie długo, jeśli statek zatonął.

Przemyślałem sobie to wszystko, żeby się zorientować w tych trudnościach.

- Skoro Festus miał dostęp do porządnego towaru, nie pozwoliłby, żeby odległości przeszkodziły przedsięwzięciu. Czy też brak funduszy. Zaangażował więc swoich kumpli, a ci w rezultacie stracili gotówkę. To jest nieszczęście, ale o co tu jeszcze chodzi? Skąd teraz ta awantura? Co takiego dziwnego było w tym ładunku? - zastanawiałem się.

- Nic. - Geminus mówił spokojnym głosem. - Z tego, co wiem, ta partia była całkiem zwyczajna. Śmierdzieć musiały pieniądze, jakie za tym stały.

- Wiesz, że tak było? - spytałem.

- Domyślam się.

- No więc, o co chodzi?

- Sam sobie to wykombinuj.

- O czym tutaj mówimy... - zacząłem - o kilku starych marmurowych bogach i zbiorze czarnofigurowych alabastronów?

- Nie, według słów Cenzoryna. Z tego, co powiedział, Festus położył łapy na takiej ilości najwyższej jakości ceramiki, że można by nią wypełnić prywatne muzeum. Kolekcja rzeźb była rzekomo wyjątkowa. Dlatego potrzebował więcej pieniędzy niż zazwyczaj i dlatego nie chciał narażać tego interesu, marnując czas potrzebny na skontaktowanie się ze mną.

- Czy ani on, ani ty nie mieliście obsługi bankowej za morzem?

- W pewnym zakresie - odparł. Przez chwilę zastanawiałem się, czy ojciec nie darzył mojego brata ograniczonym zaufaniem. Uśmiechnął się lekko, dostrzegłszy moje wątpliwości. - Nie znoszę inwestowania dużych sum w ładunki sprowadzane z za morza - wyjaśnił. - Jeden nierzetelny kapitan, jeden nieprzychylny celnik albo jeden duży sztorm i wszystko stracone. Festus przekonał się o tym w ten najbardziej dotkliwy sposób, kiedy *Hyperikon* zatonął.

- Był w gorącej wodzie kąpany. Miał dobry gust, ale nonszalanckie pomysły.

- Sprzedawanie gruszek na wierzbie - zgodził się Geminus, a w jego głosie wyczuwało się podziw. Sam był człowiekiem ostrożnym, prawie cynicznym; odziedziczyłem to po nim. Możliwe jednak, że obaj chcielibyśmy posiadać umiejętność podejmowania szalonego ryzyka z taką brawurą jak mój brat.

- Wciąż nie widzę, dlaczego żołnierz z Apollinaris depcze nam teraz w tej sprawie po piętach.

- Z desperacji. - Ton głosu ojca stał się bezbarwny. - Najwyraźniej najlepsze dzieło sztuki z tego zaginionego ładunku nosiło ślad legionistów. Skąd garstka centurionów w służbie czynnej wzięłaby gotówkę na zakup Fidiasza?

- Fidiasza? - zdumiałem się. Dostarczył mi za jednym zamachem dwóch wstrząsów. - Pierwszy raz słyszę, że Festus opanował rynek siedmiu cudów świata.

- Tak więc robił wielkie plany! - oświadczył ojciec, wzruszając ramionami.

Nie pierwszy już raz poczułem się osobą mało ważną, jeśli chodzi o rodzinne projekty.

- Kiedy żartowałem o rabowaniu świątyń, nie miałem na myśli Zeusa z Olimpii!

- Powiedział mi, że to Posejdon - odparł sucho ojciec. - I że nie jest zbyt duży.

- Co musiało oznaczać, że jest ogromny! Wiedziałaś o tym? - spytałem, ciągle nie mogąc uwierzyć w to, co usłyszałem.

- Kiedy już było za późno, żeby mu pozazdrościć. *Hyperikon* już wtedy zatonął. Podczas ostatniego urlopu Festus wyznał, że poniósł w związku z tym poważne straty, i wtedy właśnie powiedział mi o Posejdonie - mówił ojciec. - Festus najpewniej był tym ciągle podekscytowany, mimo że jego plany wzięły w łeb.

- Wierzyłeś w jego opowieść? - spytałem.

- Trudno mi było potraktować ją poważnie. Przez większość urlopu Festus był pijany... choć gdyby rzeczywiście stracił Fidiasza, byłoby to zrozumiałe. Sam wolałbym nie trzeźwieć. Prawdę mówiąc, kiedy mi o tym powiedział, upiłem się.

- Cóż, bóg okazał się stosowny do sytuacji, ojcze. Jeśli Festus rzeczywiście miał na pokładzie statku oryginalny posąg Posejdona, to spoczął na dnie morza.

- I możliwe, że tam chcieliby znajdować się teraz jego koleżkowie z legionu - warknął Geminus - jeśli właściwa jest moja teoria dotycząca ich wyjątkowego niepokoju.

- Więc jak wygląda ta twoja teoria? - Z każdą chwilą miałem coraz gorsze przeczucia.

Geminus gniewnym ruchem opróżnił czarękę.

- Że znakomici towarzysze twojego brata kupili sobie dzieło Fidiasza, obrabowawszy bank oszczędnościowy swojego legionu.

Ledwie wypowiedział te słowa, a cała ta koszmarna historia nabrała dla mnie sensu.

- O bogowie. To przestępstwo karane śmiercią.

- Cenzoryn najwyraźniej liczył na to - powiedział ojciec z ową cierpką

lekkością, której mój brat nie odziedziczył - że ty i ja zwrócimy im pieniądze na czas, co pozwoli centurionom uratować skórę. Powstanie żydowskie zduszono, Apollinaris ma przerwę w swoich chwalebnych zadaniach militarnych, zaczyna się normalne wojskowe życie i...

- Nie kończ. Oczekują teraz wizyty rewidentów fiskusa!

25

Wszystko zaczęło do siebie pasować, ale nie był to powód do radości.

Zrobiło mi się zimno. Siedzenie w tym kącie stało się tak niewygodne, że chciałem się zerwać i krążyć po pokoju, ale przerażenie mnie przygwoździło.

Matka chciała, bym oczyścił imię brata. Im bardziej się w to zagłębiałem, tym gorzej sprawy się przedstawiały. Jeśli była to prawda, wydawało mi się niemożliwe, żeby Festus nie znał źródła zainwestowanych funduszy; szczerze mówiąc, dręczyła mnie obawa, że mój niezrównany braciszek mógł sam wpaść na taki pomysł.

Każdy legion ma odłożone pieniądze i przechowuje je w najświętszym miejscu, przy sanktuarium dowództwa. Żołnierzowi zabiera się część żołdu na żywność i wyposażenie oraz na fundusz pochówkowy, zapewniający mu godny pogrzeb. Jednocześnie administracja pilnuje, by po odsłużeniu dwudziestu pięciu lat wracał on do świata cywilnego z pewną pozycją finansową i dlatego obowiązkowo odkłada się na przyszłość połowę każdej oficjalnej cesarskiej darowizny. Są to duże pieniądze, przekazywane hojną ręką przez nowych cesarzy z okazji wstąpienia na tron albo w czasie politycznego kryzysu, a służące zapewnieniu sobie lojalności legionu. Legionista odbywający służbę w pełnym wymiarze spodziewa się, że jego lojalność zostanie odpowiednio doceniona i wynagrodzona przy kilku różnych okazjach.

Te pieniądze są nietykalne. Pieczę nad nimi sprawuje grupa urzędników, ale skrzynie pełne gotówki, stale towarzyszące legionom na dzikich rubieżach cesarstwa, aż proszą się o kradzież. Jeśli jednak nawet kiedyś coś takiego się stało, to ja o tym nie słyszałem. Można było polegać na moim bracie, że to właśnie on wplącze się w ten legendarny pierwszy raz!

Moje myśli biegły jak szalone. Jeśli XV Legion rzeczywiście miał teraz taką dziurę w skarbcu, możliwe, że jeszcze tego nie zauważono. Oszczędności często uzupełniano w roku czterech cesarzy; podczas zaciętej wojny domowej ci czterej ludzie uznali, że sprawą najważniejszą jest usatysfakcjonowanie sił zbrojnych. Jednym z powodów upadku Galby była jego niechęć do przekazania zwyczajowej darowizny armii, kiedy już przywdział purpurę; jego trzech następcy nauczyli się lekcji z widoku jego zakrwawionego ciała na Forum i nie ociągali się z posłaniem legionom pieniędzy. Przy wpływającej z taką częstotliwością gotówce centurioni lojalnego XV Legionu mogli spokojnie umieścić spore kamienie na dnie skrzyni i nie zostać odkryci.

Jednak dni zamętu dobiegły końca. Teraz ich sławny wódz, Wespazjan, został cesarzem i usadowiał się na miękkim tronie na długie panowanie, a był on synem ekwity, nawykłym do liczenia gotówki. Powrót normalności dał urzędnikom więcej czasu na układanie pieniędzy w stosy i rulony i sprawdzanie sum na papierusowych zwojach. Pusta szkatuła cesarstwa oznaczała, że księgowi będą mieli co robić. Wyprawiano ich, dokąd tylko się dało, na poszukiwanie brakujących kwot. Wkrótce ktoś musi zauważyć dziurę, choćby wielkości niewielkiego Fidiasza, w skrzyni z pieniędzmi tego prestiżowego legionu.

- To nie jest dobra wiadomość dla naszej rodziny - skomentowałem sytuację.

Ojciec miał minę, jakiej należy się spodziewać po człowieku, który wkrótce zobaczy, jak publicznie demaskują jego bohaterskiego syna, a do tego nastąpi to z inicjatywy drugiego syna.

- Wygląda mi to na prosty wybór między utratą dobrego imienia rodziny a utratą rodzinnego majątku, żeby to imię chronić - stwierdził.

Jego komentarz był głęboko cyniczny.

- Zatem chodzi o twoją fortunę! Ja tego wyboru nie mam!

- Też coś! Kto by pomyślał! - zauważył bez entuzjazmu Geminus.

- Musimy być gotowi na kłopoty - oświadczyłem. - Nie dbam o swoją reputację, ale nie bawi mnie myśl o rozwścieczonych żołnierzach czających się w domu mamy z zamiarem rozwalenia mi czaszki. Czy jest jeszcze coś w tym galimatiasie, o czym powinienem wiedzieć?

- Nic mi o tym nie wiadomo - odparł. Sposób, w jaki to powiedział, przekonał mnie, że jeszcze dużo pozostało do odkrycia.

Dość się natrudziłem jak na jeden dzień. Puściłem ostatnią uwagę mimo uszu i przeszedłem do innych aspektów sytuacji.

- Jedno mnie intryguje - zacząłem. Oczywiście dużo więcej niż jedno, ale musiałem być praktyczny. Liczenie wszystkich niewiadomych w tej historii byłoby zbyt przygnębiające. - Festus służył w Egipcie i Judei. Zaginiony ładunek pochodził z Grecji. Czy byłoby dzieleniem włosa na czworo, gdybym chciał wiedzieć, jak to w ogóle możliwe?

- Korzystał z pośrednika. Spotkał pewnego gościa w Aleksandrii...

- To mi brzmi jak początek bardzo śliskiej historii!

- Cóż, znasz Festusa, zawsze miał koło siebie jakiegoś drapieżcę. Kręcił się przecież po zaułkach i odwiedzał spelunki.

Ojcu chodziło o to, że Festus zawsze brał udział w licznych drobnych przedsięwzięciach, wchodząc w różne układy i realizując różne pomysły.

- To prawda - przytaknąłem. - Jeśli tylko pojawił się ktoś, kto sprzedawał fałszywe amulety, to Festus na pewno go znał.

- Co nie znaczy, że kupował podejrzany towar - zaprotestował Geminus, broniąc swojego nieodżałowanej pamięci syna.

- Skądże znowu! - zaświergotałem. - Tylko czasami dał się nabrać.

- Nie w tym wypadku.

- Cóż, pamiętajmy jednak o takiej możliwości! Trzeba zacząć od tego, że Aleksandria to miasto o wątpliwej reputacji. Zawsze można się było spodziewać, że gdziekolwiek Festus wyląduje, zada się z człowiekiem, którego inni unikają. Mamy imię tego pośrednika, z którego usług korzystał?

- A jak sądzisz?

- Nie mamy!

- Nazwij go Nikt, jak Odyseusz przedstawił się Polifemowi. Nikt obracał się w świecie sztuki. Powiedział Festusowi, że może dotrzeć do kilku nadzwyczajnej jakości greckich wyrobów. I zapewne dotarł. Tyle tylko wiem.

- Czy Festus sprawdzał ten ładunek? - spytałem.

- Oczywiście. Twój brat miał głowę na karku - oświadczył z naciskiem tata. - Festus obejrzał go sobie w Grecji.

- Ruchliwy był! - skonstatowałem.

- Tak. Festus to był niezły gość.

- Myślałem, że *Hyperikon* wypłynął z Cezarei?

- To informacja od Cenzoryna? Statek tam pewno poześlował, żeby Festus mógł załadować drewno cedrowe i barwnik. Możliwe, że tam też zapłacił pośrednikowi za wazy i te inne rzeczy.

- Czy pośrednik popłynął dalej tym statkiem?

Ojciec obdarzył mnie przeciągłym spojrzeniem.

- To jest niewiadoma.

- Czy zatonięcie statku miało jakiś związek z raną, która sprowadziła mojego brata do domu?

- Myślę, że był to jedyny powód powstania tej rany.

Festus załatwił sobie przyjazd do domu, żeby uporządkować swoje sprawy. Co oznaczało, że przynajmniej jakaś część problemu miała związek z Rzymem. Skoro tak, to istniała maleńka szansa jej odkrycia.

Moim następnym pytaniem miało być, czy wypadki, których byłem dziś świadkiem podczas licytacji, są związane z tą sprawą. Nie zdążyłem go zadać. Rozmowę przerwało nam bowiem bardzo zgrzane, bardzo zmęczone dziecko.

Chłopiec miał mniej więcej dwanaście lat. Nosił imię Gajusz. Był drugim z kolei dzieckiem mojej siostry Galli i urwisem z niezłym charakterkiem. Wydawał się mały jak na swój wiek. Miał powagę dorosłego i ordynarne maniery. Gajusz wyrośnie zapewne na mężczyznę skromnego i kulturalnego, obecnie jednak wolał być trudny. Lubił nosić za duże buty. Na ramieniu kazał wytatuować sobie greckim alfabetem swoje imię, w kolorze, który miał uchodzić za indygo; niektóre z liter już zaczęły się jątrzyć. Nigdy się nie mył. Raz w miesiącu, pod wpływem nalegań Galli, zabierałem go do publicznej łaźni w porze niewielkiego ruchu i na siłę szorowałem.

Wpadł do biura jak szalony, opadł na pustą sofę, wypuścił z płuc wielką porcję powietrza, wytarł nos o rękaw tuniki w obrzydliwym kolorze i wystękał:

- Na Jowisza, trzeba chłopca z ikrą, żeby za tobą gonić! Nie siedź tam i nie trzęś się, wujku Marku. Daj mi się napić czegoś mocniejszego!

26

Przedstawiciele trzech pokoleń Dydiuszów spoglądali na siebie nieufnie. Zignorowałem słowa siostrzeńca, ale Geminus nalał urwisowi odrobinę wina.

- Och, dziadku, nie bądź takim sknerą! - Gajusz wprawna dłoń podniósł dzbanek i dolał sobie więcej.

Wyjąłem mu go z ręki i nalałem w swoją czarę, póki jeszcze miałem taką szansę.

Wreszcie, gderając, gospodarz odzyskał dzbanek i wyczołżył z niego wszystko, do ostatniej kropli.

- Czego tu chcesz, pędraku? - spytał wnuka.

- Wiadomość dla tego Utrapienia, o tam - odparł, piorunując mnie wzrokiem.

W domu znany był jako „Gdzie Jest Gajusz?”, bo nikt tego nigdy nie wiedział. Przemierzał miasto samotnie, w swoim własnym świecie sztuczek i kombinacji; znajomy styl. Był jeszcze gorszy od Festusa, prawdziwy zbir.

Trudno go było za to winić, skoro jego ojciec był przewoźnikiem na Tybrze. I niepoprawnym kobieciarzem; nawet moja niezbyt rozgarnięta siostra wykopywała go z domu tak często, jak to tylko było możliwe. W takich warunkach nie można się było spodziewać po ich dzieciach żadnego wyrafinowania.

Popatrzyłem na niego dobrodusznie. Nie zrobiło to na u im wrażenia, ale szorstkość też nie wywarłaby większego. Człowiek jest bezsilny, kiedy ma przed sobą wyrostka w zbyt dużej i brudnej tunice, który się zachowuje, jakby był dwa razy starszy od ciebie. Czułem się jak pryszczaty dziesięciolatek, który usłyszał właśnie, skąd się biorą dzieci... i nie uwierzył ani jednemu słowu.

- Mów więc, szybkonogi Hermesie! Jak brzmi ta wiadomość, Gajuszu? - zachęciłem go.

- Petroniusz obiecał pół denara tej osobie, która cię pierwsza znajdzie - oznajmił. Myślałem, że Petroniusz ma więcej rozsądku. - Inni latają wszędzie jak pawiany z gołymi tyłkami. - Gajusz był dumny ze swojego czarującego słownictwa. - Nie mają żadnego tropu. A ja po prostu użyłem swojej mózgownicy!

- I jak do tego doszedłeś? - zapytał ojciec.

Gajusz popisywał się przed nim. Bo dla wnuków mój tata był niebezpiecznym renegatem, którego otaczała aura tajemniczości. Żył pośród połyskliwych sklepów jubilerskich i pracowni złotników, w jaskini

wypełnionej urzekającymi przedmiotami; wszyscy oni uważali, że jest cudowny. Fakt, że moja matka wpadłaby w szal, gdyby się dowiedziała, że go tu odwiedzają, dodawał jedynie smaczku sytuacji.

- To było oczywiste! Petroniusz powiedział, że jest to jedyne miejsce, które dokładnie sprawdził, więc popędziłem prosto tutaj.

- Dobra robota - zauważyłem, podczas gdy mój ojciec przyglądał się bacznie cwanemu potomkowi Galli, jakby pomyślał sobie, że właśnie ma przed sobą nowego współnika w interesach (zważywszy na moje nieodpowiednie podejście). - Znalazłeś mnie. Masz tu miedziaka za przyniesienie ostrzeżenia... a teraz zmykaj.

Gajusz obejrzał monetę, sprawdzając, czy przypadkiem nie jest fałszywa, skrzywił się pogardliwie, wrzucił ją do sakiewki przy pasie, która wyglądała na cięższą od mojej.

- A wiadomości nie chcesz? - zapytał.

- Myślałem, że to właśnie była ona.

- Jest coś więcej! - zapewnił mnie. Miało zabrzmieć nęcąco.

- Daruj sobie.

- Och, wujku Marku! - Obrabowany z chwili chwały Gajusz znowu był tylko dzieckiem. Jego cienki, zawodzący głos wypełnił biuro, kiedy wstałem, żeby wziąć płaszcz. Zmobilizował się jednak. - Chodzi o strojnisię, którą przekonałeś, żeby płaciła twoje rachunki!

- Słuchaj, szczeniaku, obrażasz miłość mojego życia. Nie mów o Helenie Justynie jak o dobroczynnej fundacji... i nie sugeruj, że trzymam się tej damy, by przejąć jej gotówkę! - grzmiałem. Wydawało mi się, że ojciec kryje uśmiech.

- Helena Justyna - oświadczyłem uroczystym tonem - jest zbyt inteligentna, żeby dać się nabierać na tego rodzaju sztuczki.

- Jej chodzi o charakter! - wyjaśnił chłopcu tata.

- Więc wzięła sobie frajera! - oznajmił Gajusz z bezczelnym uśmieszkiem. - Co w nim pociągającego, dziadku? Jest dobry w łóżku czy co?

Pociągnąłem go za ucho, mocniej, niż zamierzałem.

- Jesteś po prostu zazdrosny, bo Helena bardzo lubi Lariusza - powiedziałem. Lariusz był jego starszym bratem, nieśmiałym, o artystycznej duszy. Gajusz beknął ordynarnie na takie stwierdzenie. - Gajuszu, naprawdę nie musisz mi przekazywać tej wiadomości. Ja ją znam. Petroniusz chce mnie aresztować... a ja nie chcę o tym wiedzieć.

- Mylisz się - poinformował mnie Gajusz, z miną nieco przestraszoną. Musiał wiedzieć, że mogę mu przyłożyć, kiedy usłyszę tę wieść. Cichszym i zdenerwowanym głosem oznajmił: - Petroniusz Longus aresztował twoją Helenę!

Sędzia mieszkał w imponującej rezydencji, z takich, co to od razu można pozazdrościć. Co gorsza, jego dom mógł mnie nawet przekonać, że warto aspirować do wyższej warstwy społecznej.

Była to wolno stojąca miejska willa w bok od ulicy Długiej, ani za duża, ani za mała; miała kilka pięknych pokoi dla wywarcia wrażenia na oficjalnych gościach, ale urządzono ją tak, by zachować dużą prywatność. Marponiusz nie odwiedzał nigdy skromnej wartowni i aresztu Petroniusza; podejrzanych kazał przyprowadzać na przesłuchanie tutaj. Miał społeczne wycucie. Chciał, żeby tacy jak ja recydywiści odkrywali w sobie chęć poprawy na widok tego, co można osiągnąć, dokonując zalegalizowanych przestępstw. W porównaniu z transakcjami spekulacyjnymi i lichwiarskimi zwykła kradzież i morderstwo zaczynały wyglądać na mało zyskowną i ciężką robotę. Nawet praca detektywa zdawała się nie mieć żadnych perspektyw.

Stałem w ciężkim marmurowym portyku. Jak na mój gust drzwi były przeładowane ozdobami z brązu, jednak jako syn licytatora przekonałem się, że większość ludzi pozbawiona jest subtelności gustu. Pod ozdóbkami tkwiły jednak solidne drzwi z twardego drewna. Sędzia należał po prostu do osób, które lubią niszczyć dobry materiał.

Między Marponiuszem i mną nie doszłoby nigdy do porozumienia w sprawach wystroju. Ja byłem w wolnym czasie poetą o wyrafinowanym charakterze, a moja profesja wymagała wrażliwego, ludzkiego podejścia. On był natomiast nieciekawym oprychem ze stanu ekwickiego, który stał się człowiekiem znaczącym, zbijając majątek na sprzedaży naukowych encyklopedii nowym ludziom, to znaczy wyzwolencom i przybyszom; ludziom ze skrzyniami pełnymi pieniędzy, ale bez wykształcenia, którzy chcą robić wrażenie kulturalnych. Stać ich było, by kupować literackie dzieła na wagę... a co ważniejsze, mogli sobie pozwolić na zastęp wykształconych niewolników, którzy by im czytali te dzieła na głos. W podlegających nieustannym przesunięciom społecznych warstwach Rzymu było mnóstwo sposobów na przydawanie blasku nowobogackim. Zatem, jeśli traktat napisano po grecku i był całkiem niezrozumiały, i zajmował dwadzieścia zwojów, Marponiusz dysponował zespołem skrybów, którzy go przepisywali. Używał do tego papirusu najwyższej jakości, czarnego galasowego atramentu i mocno pachnącego drewna sandałowego na końcówki. Dostarczał też niewolników o wyrafinowanych głosach. Właśnie w czymś takim były pieniądze. Cwana sztuczka. Szkoda, że ja o tym nie pomyślałem.

Kazano mi dość długo czekać. Kiedy wreszcie mnie wpuszczono, zobaczyłem Marponiusza, Petroniusza i Helenę, siedzących razem w trochę niezręcznej atmosferze. Z kolei pierwsze, co oni zobaczyli, to moja posiniaczona w

rezultacie bójk na aukcji twarz; niezbyt imponujący początek.

Znajdowaliśmy się w dużym pokoju o jaskrawoczerwonym i złotym wystroju. Malowidła ściennie przedstawiały krótką historię przygód Eneasza, który przybrał tu postać przyciężkiego gościa z krzywymi nogami... co było dyplomatycznym odniesieniem artysty do wyglądu pana domu. Małżonka sędziego nie żyła, Dydonie więc oszczędzono upokorzenia i mogła się pojawić w postaci wielce ponętnej młodej dziewczyny o bujnych kształtach, mającej pewne kłopoty ze spowijającą ją szatą. Ten artysta uważał się zapewne za biegłego w malowaniu przezroczystych woalów.

Tak jak Eneasza na ścianie, Marponiusz miał płaską u góry głowę, pokrytą jasnymi kręconymi włosami, i duże zakola z obu stron biegnących dość prostą linią brwi. Miał też za duży zadek i dlatego poruszał się trochę jak gołąb ze zbyt długim ogonem. Kiedy wszedłem, mówił właśnie Helenie, że jest „człowiekiem z pomysłami”. Dla przyzwoitości obecna była niewolnica, Helena miała też ochronę w osobie Petroniusza, ale ona wiedziała, na czym polegają pomysły mężczyzn. Twarz miała spokojną, jak zwykle w trudnych sytuacjach, choć wyraźnie pobladała.

Przeszedłem przez pokój i złożyłem oficjalny pocałunek na jej policzku. Przymknęła na moment oczy, z ulgą.

- Przepraszam, Marku...

Usiadłem obok niej na sofie z misternym złoceniem i ująłem lekko jej dłoń.

- Nigdy nie przepraszaj!

- Nie wiesz, co zrobiłam!

- Witaj, sędzio! - odezwałem się do Marponiusza. - Z zapachu świeżej farby wnoszę, że w naukowych dziełach wciąż są pieniądze?

Robił wrażenie rozdartego. Miał ochotę mnie utemperować, ale trudno było mu się oprzeć chęci pogadania o interesach. Był dumny z tej dziedziny swojej działalności. Niestety, był również dumny z tego, że jest sędzią.

- Szkoda, że pozostawia ci to dość czasu - ciągnąłem, nie czekając na odpowiedź - by folgować zainteresowaniom kryminologią. O co oskarża się moją dziewczynę?

- Oboje w tym siedzicie, Falko! - Miał ostry głos; kiedy się odzywał, efekt był równie subtelny jak przy przesuwaniu nożem po ceramicznym talerzu.

Zauważyłem, że Petroniusz wygląda na zażenowanego. Poczułem przygnębienie. Nie należał do ludzi robiących hałas o byle co, ale potrafił okazać Marponiuszowi pogardę, na jaką sędzia zasługiwał. Kiedy Petroniusz milczał w taki sposób, oznaczało to, że sprawy naprawdę mają się źle.

Skinąłem mu głową, kiedy złapał mnie na tym, że mu się przyglądam.

- Jesteś winien mojemu złej sławy siostrzeńcowi, Gajuszowi, znaleźne. Chcę jednak, by zostało to oficjalnie odnotowane, że przyszedłem tutaj z własnej i nieprzymuszonej woli - oświadczyłem. Spojrzenie Petroniusza nie było ani

trochę pomocne. Spróbowałem z jego wygadany przełożonym. - Więc o co chodzi, Marponiuszu? - spytałem.

- Czekam, aż pojawi się ktoś, kto będzie rzecznikiem tej damy.

Kobiety nie mają zdolności prawnej; nie wolno im stawać przed sądem, musi je tam reprezentować krewny płci męskiej.

- Ja nim będę. Działam w imieniu jej ojca.

- Wiadomość została już wysłana do senatora - oznajmił Marponiusz.

Helena ściągnęła usta, a Petroniusz się skrzywił. Miałem nadzieję, że Kamil Werus przepadł gdzieś, w jakiejś nieznannej łaźni publicznej.

- Falko będzie mnie reprezentował - oświadczyła chłodno Helena. - Skoro już muszę mieć jako rzecznika mężczyznę! - dodała.

- Wymagany jest opiekun - upierał się Marponiusz. Był pedantycznym zrzęda.

- Uważamy się za małżeństwo - powiedziała Helena.

Starłem się nie wyglądać jak mąż, który właśnie usłyszał, że rachunki za wydatki domowe są trzy razy wyższe, niż sądził.

Sędzia był wyraźnie wstrząśnięty.

- Stosowna ceremonia - wymamrotałem - odbędzie się w późniejszym terminie, ale przecież człowiek z twoją znajomością prawa dwunastu tablic dobrze wie, że porozumienie dwóch stron w sprawie istnienia takiego związku wystarczy, by małżeństwo uznać za zawarte...

- Nie wymądrzaj się, Falko! - Marponiusz znał przepisy prawa na pamięć, rzadko jednak spotykał kobiety, które łamały zasady. Zerknął na Petroniusza, ale najwyraźniej przypomniał sobie, że nie może tak do końca polegać na jego lojalności. - Niby jak mam to wszystko rozumieć? - burknął.

- Obawiam się, że to prawdziwa miłość - oświadczył Petroniusz z powagą inżyniera robót publicznych, informującego o pękniętej rurze kanalizacyjnej w najbliższej okolicy.

Doszedłem do wniosku, że nie należy obrażać dalszymi dowcipami tego typowego dla jego warstwy poczucia moralności. Bardziej już przywykł do gróźb.

- Marponiuszu, Helena Justyna jest niewinna. Kamil znany jest z obywatelskiej postawy, jednak niesłuszne aresztowanie jego dziecka może nadwereżyć jego wyrozumiałość. Najlepiej będzie, jeśli ustalisz fakty przed przybyciem senatora i powitasz go, przekazując mu córkę wraz z oficjalnymi przeprosinami.

Wyczuwałem, że pozostali poczuli się niezręcznie. W cudownych ciemnych oczach Heleny błysnęło zaniepokojenie, jej dłoń mocniej zacisnęła się na mojej ręce. Było więc gorzej, niż sądziłem.

Wszedł niewolnik i poinformował sędziego, że posłańcom nie udało się odnaleźć Kamila Werusa. Nadal szukali, ale na razie miejsce jego pobytu

pozostaje nieznane. Mój przyszły teść (za którego najlepiej było go uważać, skoro udawaliśmy ludzi szacownych), jak przystało na porządnego gościa, wiedział, kiedy należy się ukryć.

Jego rozsądna córka zmusiła się do uprzejmości wobec sędziego.

- Proszę pytać. Nie mam nic przeciwko udzielaniu odpowiedzi w obecności Dydiusza Falkona i Lucjusza Petroniusza Longusa, który jest cenionym przyjacielem rodziny. Pytaj, o co chcesz. Jeśli poradzą mi, żebym nie odpowiadała na jakieś konkretne pytanie, poczekamy z tym na przybycie mojego ojca.

Uwielbiałem ją. Nienawidziła siebie za ten potulny głos... i Marponiusza za to, że daje się na to nabrać.

- W przeciwnym bowiem razie - powiedziałem mu - usiądziemy sobie wokół talerza z miodowymi ciasteczkami i kiedy będziemy czekali na jej rozjuszonego rodzica, ty, sędzio, możesz spróbować sprzedać szlachetnej pani trzynaście zwojów o filozofii naturalnej w misternie wykonanej bibliotecznej skrzyneczce.

- Jeśli rzecz dotyczy cząstek ognistych - oświadczyła chełpliwie prozaicznym tonem Helena - to chyba już czytałam.

- Stąpaj ostrożnie - podpuszczałem Marponiusza. - Dowódca straży zatrzymał wykształconą dziewczę!

- Spodziewam się więc dużej porcji wniosków sądowych! - rzucił cierpkim dowcipem Marponiusz. Sędzia mógł być nieznośnym zarozumialcem... ale nie był głupi. Jeśli miał jakiegokolwiek poczucie humoru, to było całkiem możliwe, że Helena wydobędzie z niego to, co najlepsze.

- Prawdę mówiąc, to właśnie wyłącza ją z podejrzeń w sprawie morderstwa - oświadczyłem z uśmiechem. - Ona nigdy nie wpada w kłopoty. Zawsze siedzi w domu, zwinięta na poduszkach, z nosem w zwoju... - głądziłem. Kiedy tak sobie żartowaliśmy, jej udręczone oczy wciąż słały mi jakieś wiadomości. Rozpaczliwie chciałem odkryć przyczynę. - Skarbie, a może mężczyzną, którego uważasz za partnera w małżeństwie, zapyta cię, jak należy, dlaczego siedzisz w domu obcego człowieka z nieszczęśliwą miną i bez stosownej przyzwoitki?

- To jest formalne przesłuchanie - wtrącił się Marponiusz, reagując sztywno na zawołaną krytykę. - Prywatne posiedzenie mojego sądu! Ta pani wie, że jestem sędzią wchodzącym w skład stałego trybunału stosującego dawne prawo przeciwko zabójcom i wytwórcom środków...

- Trucicielom, nożownikom i ojcobójcom - wyjaśniłem Helenie.

Specjalny sąd dla morderców został utworzony przez dyktatora Sullę. Po stu pięćdziesięciu latach od wprowadzenia tego prawa wciąż co prawda nie udawało się znacząco zredukować liczby zabójstw na ulicach, ale przynajmniej zabójcami zajmowano się szybko i kompetentnie, co Rzymowi odpowiadało.

Pretor miał całą grupę wybieranych lokalnie sędziów, których mógł wezwać do rozpatrzenia spraw, jednak Marponiusz uważał się za eksperta. Lubił swoje obowiązki. Odpowiadał mu uzyskany status. Kiedy zainteresował się pierwszymi etapami konkretnego śledztwa, mógł być pewien, że zostanie później wybrany na sędziego prowadzącego, jeśli tylko funkcjonariusze straży zdołają kogoś ująć.

Teraz ujęli mnie. Rozpacz w oczach Heleny sprowokowała mój atak na Marponiusza.

- Czy zgodnie z tym prawem nie ma kary ognia i wody dla tego, kto podżega sędziego do wysunięcia fałszywego oskarżenia zagrożonego najwyższą karą?

- Owszem, jest - spokojnie odpowiedział na moje pytanie. Był zbyt pewny swego. Groza szczyrzyła na mnie kły. - Nie wniesiono jeszcze żadnego oskarżenia.

- To dlaczego ta pani jest tutaj?

- Bo oskarżenie wydaje się prawdopodobne.

- Na jakiej podstawie?

- Jako osoba współwinna - odpowiedziała mi sama Helena.

- Och, bzdury! - Spojrzałem na Petroniusza. Jego oczy, brązowe, uczciwe i zawsze szczerze, kazały mi w to uwierzyć. Ponownie zwróciłem się do Heleny: - Co się dziś wydarzyło? Wiem, że poszłaś do Saepa Iulia i odwiedziłaś mojego ojca. - Irytowało mnie, że muszę wspomnieć Geminusa, jednak wywołanie wrażenia, że Helena jest dziewczęciem poświęcającym uwagę rodzinie, wydawało się dobrym pomysłem. - Czy potem się coś wydarzyło?

- Szłam do domu twojej matki. Po drodze - oświadczyła z miną winowajczyni - przechodziłam obok gospody U Flory.

Zacząłem się martwić.

- Mów dalej! - poprosiłem.

- Zobaczyłam, jak zabierają ciało Cenzoryna. Ulica była chwilowo zablokowana, więc musiałam poczekać. Oczywiście znajdowałam się w lektyce - wtrąciła, zorientowawszy się, że nie zaszkodzi podanie pewnych bardziej eleganckich szczegółów. - Kiedy tam utknęliśmy, tragarze zaczęli rozmawiać z kelnerem z gospody, który narzekał, że musi teraz posprzątać ten wynajęty pokój.

- Więc?

- Więc zaoferowałam mu pomoc.

Puściłem jej dłoń i skrzyżowałem ramiona na piersi. Zobaczyłem w myślach ten paskudnie zakrwawiony pokój. Musiałem zdusić w sobie to wspomnienie. Petroniusz wiedział, że tam byłem, co już było groźne; przyznanie się Marponiuszowi byłoby dla mnie kluczem do więziennej celi. Wysłanie tam swojej dziewczyny robiło wrażenie posunięcia człowieka zdesperowanego.

Wiedziałem, dlaczego to zrobiła. Chciała obejrzeć to miejsce w poszukiwaniu jakichś dowodów, które mogłyby mnie oczyścić. Tymczasem każdy obcy założyłby, że poszła tam u s u n ą ć dowody przestępstwa. Marponiusz musiał tak pomyśleć. Nawet Petroniusz źle wypełniałby swoje obowiązki, gdyby nie uwzględnił takiej możliwości. Widać było, że jest głęboko nieszczęśliwy. Nigdy wcześniej nasza długoletnia przyjaźń nie została poddana tak ciężkiej próbie.

- To było niemądre. Zrobiłam to pod wpływem chwili - oświadczyła Helena. Siedziałem osłupiały, niezdolny nawet spytać, czy dotarła do tej upiornej izdebki na piętrze. Wyglądała tak blado, że wydawało się to prawdopodobne. Z bezsilności zaschło mi w gardle. - Doszłam tylko do kuchni na parterze - powiedziała, jakby odebrała moje myśli. - I wtedy uświadomiłam sobie, że moja obecność w tym miejscu mogłaby tylko spowodować, że sprawy będą wyglądały dla ciebie jeszcze gorzej niż przedtem.

- Więc co się stało? - wychrypiałem.

- Kelner rozpaczliwie szukał jakiegoś towarzystwa. Przypuszczam, że lękał się wejść sam do tamtego pokoju, chociaż wiedział, że ciała już nie ma. Próbowałam wymyślić pretekst, pozwalający mi odejść tak, żeby ten biedak nie poczuł się źle traktowany, kiedy zjawił się Petroniusz Longus.

Wlepiłem wzrok w mojego przyjaciela. W końcu odezwał się do mnie.

- Namawianie swojej dobrze wychowanej przyjaciółki, żeby odwiedziła to okropne miejsce, nie wygląda dobrze, Falko.

- Tylko jeśli jestem winny! - rzuciłem. Na pewno wiedział, jak niewiele brakuje, bym wybuchnął gniewem. - I ja jej tam nie posłałem.

- Ława przysięgłych może ci nie uwierzyć - zauważył Marponiusz.

- Ławy przysięgłych bardzo często składają się z głupców! Dlatego pretor będzie oczekiwał, że go poinformujesz, czy to oskarżenie ma szansę się utrzymać, zanim w ogóle pozwoli wnieść je do sądu.

- O, już ja udzielę pretorowi dobrej rady, Falkonie.

- Jeśli sprawiedliwość jest dla ciebie czymś więcej niż tylko rozrywką dla amatora, twoja rada będzie brzmiała, że ta sprawa śmierdzi!

- Wcale tak nie myślę.

- To znaczy, że w ogóle nie myślisz... koniec kwestii! Nie miałem żadnego motywu, by zamordować centuriona.

- Miał wobec ciebie roszczenia finansowe - powiedział sędzia. Bez żadnego formalnego sygnału sytuacja uległa zmianie i teraz zabrał się do mnie.

- Nie, miał roszczenia w stosunku do mojego brata. Tyle że były wątpliwe. Marponiuszu, nie chcę szkalować dzielnych centurionów z Piętnastego Legionu, jednakże moje prywatne śledztwo wykazało, że swojego roszczenia nie mogli wysuwać zbyt otwarcie. Zresztą, jakimi faktami dysponujesz? Cenzoryna widziano żywego, jak jadł kolację w tej gospodzie długo po moim wyjściu i powrocie do domu i rodziny. Petroniusz Longus sprawdził, co

robiłem następnego dnia, i choć być może jest tam jakiś okres, na który nie mam świadków, to przecież ty też nie możesz przedstawić nikogo, kto by powiedział, że widział mnie U Flory w tym czasie, kiedy ten żołnierz stracił życie.

- To, że tak gwałtownie się z nim spierałeś...

- Wyklucza mnie! Mieliśmy dziwną kłótnię, zainicjowaną przez niego, na oczach zaciekawionych gapiów. Jeśli na tym opierasz sprawę, to znaczy, że nazywałeś mnie głupcem.

Marponiusz zmarszczył brwi. Przez chwilę żyłem iluzją, że kontroluję sytuację, ale już po chwili uczucie to zniknęło. Wykonał gest w stronę Petroniusza. Najwyraźniej miało się teraz pojawić jakieś wyzwanie, wcześniej przygotowane.

Petroniusz Longus z coraz bardziej nieszczęśliwą miną wstał ze swojego miejsca na drugim końcu gustownego pokoju i podszedł do mnie. Odwinął kawałek płótna i wyciągnął jakiś przedmiot, żebym mógł mu się przyjrzeć. Trzymał go tuż poza zasięgiem moich rąk i stał tak, żeby zarówno Marponiusz, jak i Helena mogli obserwować moją twarz.

- Rozpoznajesz to, Falko? - zapytał.

Miałem ułamek sekundy, by podjąć niewłaściwą decyzję. Ociąganie się stanowiłoby odpowiedź. Wybrałem opcję uczciwą, jak dureń.

- Tak - odparłem. - Wygląda mi to na jeden z kuchennych noży mojej matki.

I wtedy Petroniusz Longus powiedział cicho:

- Helena Justyna znalazła go dzisiaj rano pośród innych sztuców na stole kuchennym U Flory.

28

Przestępcy dają drapaka. Przez chwilę wiedziałem dlaczego.

Wpatrywałem się w nóż. Nie zachwyciłby wytwórcy sztuców. Miał sękaty kościany trzonek, przymocowany solidnym żelaznym pierścieniem do ciężkiego ostrza zakończonego wąskim czubkiem, lekko wygiętym, jakby kiedyś nóż w czymś uwiązał; tak wykrzywionego mocnego noża nie da się wyprostować.

Przypominał wszystkie inne noże mojej mamy. Nie był to prawdziwy komplet, wszystkie jednak pamiętały czasy jej zamążpójścia w Kampanii. Były to proste wiejskie noże, którymi zawsze energicznie wywijiała. W wielu rzymskich domach znalazłoby się zapewne podobne narzędzia. Wiedziałem jednak, że ten należy do niej. Na trzonku wydrapano jej inicjały: JT, od Junilla Tacyta.

Pokój był całkiem duży a mimo to poczułem nagle, że jest w nim duszno od dymu z ogrzewających go piecyków. Miał cztery wysokie prostokątne okna; słyszałem, jak zacinający deszcz bębni w kosztowne szyby, postukuje jedno

skrzydło. Przysadziści niewolnicy z równo obciętymi włosami uwijali się wokół nas. Ja tu tkwiłem, zagrożony wygnaniem albo czymś dalece gorszym, a te głupki kręciły się w tę i z powrotem, zabierając puste miseczki i poprawiając oświetlenie. Helena ponownie położyła dłoń na mojej ręce; była lodowata.

Teraz Marponiusz postępował zgodnie z przepisami.

- Petroniuszu Longusie, czy pokazałeś ten nóż matce Falkona? - zapytał.

- Tak, sędzio. Przyznaje, że musiał należeć do niej, ale twierdzi, że zgubiła go co najmniej dwadzieścia lat temu.

- Skąd ta pewność?

- Ten uszkodzony czubek. - Spokojna cierpliwość wykazywana przez Petroniusza podczas odpowiadania na pytania sędziego źle wpływała na moje samopoczucie. - Pamięta, że przytrzymała go szufladą kredensu, kiedy dzieci były małe.

- Czy potrafi wyjaśnić, jak znalazł się w gospodzie?

- Nie, sędzio.

- Opisz, jak go znalezione.

- Tego popołudnia wydałem rozkaz usunięcia ciała - mówił ze stężałą twarzą, rzeczowo i bez emocji, z nienaganną neutralnością. - Później przyszedłem do gospody, zamierzając dokończyć przeszukiwanie miejsca przestępstwa. Poprzednio leżące tam ciało żołnierza utrudniało dokładne przeszukanie. Zobaczyłem, jak Helena Justyna rozmawia z kelnerem u stóp schodów biegnących z kuchni do wynajmowanych pokoi na górze.

- Pamiętam! - oświadczył z wielką powagą Marponiusz.

- Kiedy się zbliżyłem, Helena odwróciła się do mnie i najwyraźniej wtedy dostrzegła ten nóż na stole; wzięła go do ręki. Oboje wiele razy jadalśmy posiłki u matki Falkona. Oboje rozpoznaliśmy i wzór, i inicjały. Helena nie próbowała go ukryć, tylko natychmiast mi podała. Jak widać, został umyty, ale przy połączeniu ostrza z trzonkiem pozostały ślady w czerwonym kolorze.

- Uważasz, że to krew? - spytał sędzia.

- Myślę, że tak.

- Jak to wszystko tłumaczysz?

- Zapytałem kelnera o ten nóż - Petroniusz cedził słowa. - Nie powiedziałem mu, że wiem, do kogo należał. Twierdził, że go pierwszy raz widzi i nigdy takiego nie używał.

- Czy tą bronią zadano Cenzorynowi śmierć?

- Możliwe - odpowiedział niechętnie Petroniusz. - Jeśli kelner mówi prawdę, to zabójca najpewniej przyszedł do gospody ze swoją bronią. Kiedy zszedł na dół, umył go w jednym z kubłów, które zawsze stoją w kuchni; potem rzucił nóż pomiędzy inne sztucce.

- Szukacie więc kogoś inteligentnego - oświadczyłem oschle. - To było sposobne miejsce do ukrycia domowego narzędzia. Szkoda, że je rozpoznano!

- Tak mi przykro, Marku - powiedziała udęczonym głosem Helena. - Po prostu go zobaczyłam i wzięłam do ręki.

- Nieważne - odparłem, wzruszając ramionami. - Ja go tam nie położyłem.

- Nie możesz udowodnić, że tego nie zrobiłeś - oświadczył Marponiusz.

- A ty, sędzio, nie możesz udowodnić, że zrobiłem!

- Czy naprawdę jesteś przekonany - zwróciła się Helena do Marponiusza - że wiedząc o zabójstwie na piętrze, kelner nie zauważyłby nieznanego noża pośród własnych?

- Epimandos jest dość roztargniony - oświadczyłem.

Marponiusz miał nieszczęśliwą minę, bo wiedział, że wzywanie na świadka niewolnika nie jest dobrym obyczajem. (A mogło być jeszcze gorzej, gdyby potwierdziło się moje przypuszczenie, że ten jest na dodatek zbiegłym niewolnikiem).

- Ma okropny rozgardiasz w kuchni. Jest nieuważny, a po odkryciu ciała zachowywał się histerycznie - mówił Petroniusz, zgadzając się ze mną. - Mógł niczego nie zauważyć.

Byłem mu wdzięczny za pomoc, ale musiałem się trzymać swojej wersji.

- Petroniuszu, nie mogę przyjąć za pewnik, że to ten właśnie nóż zabił centuriona. Gospoda nie słynie z czystości, te czerwone plamy wcale nie muszą być krwią, a nawet jeśli są, to mogą być rezultatem krojenia mięsa. Nie ma możliwości udowodnienia, że to narzędzie morderstwa.

- Nie ma. Ale ostrze noża pasuje do zadanych ran - powiedział spokojnie. Mnie wydawało się za małe, kiedy widziałem nóż na jego wielkiej dłoni. - I jest wystarczająco ostre - dodał.

Wszystkie noże matki były ostre. Gładko poszatkowałyby głąb od kapusty razem z palcem kogoś nieostrożnego.

- Ten nóż mógł być wszędzie, odkąd zginął matce - oświadczyłem. - Nie ma żadnego związku z moją osobą.

- Jesteś jej synem - zauważył Petroniusz. - Junilla Tacyta jest znana z troski o bliskich. Nie mogę tak do końca polegać na jej słowie, że nóż się gdzieś zapodział.

- Nie skłamałaby, nawet dla mnie.

- Czyżby? - spytał Marponiusz, spoglądając kolejno na mnie, na Helene, na Petroniusza. Szczerze mówiąc, żadne z nas nie było tego pewne. Starając się zrobić wrażenie człowieka rozsądnego, sędzia powiedział do mnie: - Gdybyś przyprowadził do mnie podejrzanego z taką liczbą dowodów, spodziewałbyś się, że postawię go przed sądem.

- Nie spodziewałbym się, bo sam nie miałbym pewności.

Marponiusz pociągnął nosem. Moje opinie go nie interesowały; miał zbyt wysokie mniemanie o własnej pozycji w świecie. Najchętniej bym widział, jak nosorożec wdeptuje go w mokrą ziemię.

Zerknąłem na Petroniusza.

- Falko, nie chce mi się wierzyć, że to twoja robota - powiedział mój przyjaciel - ale nie mamy innego podejrzanego, a wszelkie poszlaki wskazują na ciebie.

- Dzięki! - rzuciłem.

Poczułem się zmęczony. To było beznadziejne. Nie było nic, co mógłbym powiedzieć czy zrobić, żeby wypłatać siebie... czy Helenę, która wyglądała na moją współniczkę w nieudolnym zacieraniu śladów. Sędzia zakończył przesłuchiwanie. Postanowił zatrzymać w areszcie nas oboje.

W normalnej sytuacji zwróciłbym się o pomoc do Petroniusza. Ponieważ jednak to on dokonał aresztowania, musiałem poczekać, aż ktoś inny wystąpi z kaucją za nas.

Na pewno ktoś się zgłosi. Rodzina Heleny Justyny będzie miała świetną okazję, żeby mnie zgromić za wplątanie jej w to wszystko.

Na razie mieliśmy pozostać w domu sędziego. Kazał nas zamknąć w osobnych pokojach, ale kiedy nastał spokój, wydostałem się ze swojego i ruszyłem do Heleny. Okazało się, że właśnie szpilką od broszki stara się sforsować zamek przy swoich drzwiach.

29

Wszedłem do środka i oparłem plecami o drzwi, starając się przybrać beztroską minę. Helena cofnęła się od drzwi, wciąż ściskając broszkę. W jej oczach widziałem poczucie winy i lęk; teraz, kiedy się zjawiłem, rozbłysły niepokojem. Moje się uśmiechały. Zapewne.

- Witaj, skarbie. Kombinowałaś, jak się wydostać, żeby mnie znaleźć?

- Nie, Marku. Próbuję uciec, żeby nie musieć stawić czoła twojemu gniewowi.

- Ja się nigdy nie gniewam.

- Cóż, raczej nigdy się do tego nie przyznajesz.

Nie potrafiłem się gniewać na Helenę Justynę, kiedy się broniła z tym błyskiem determinacji w oku. Jednak oboje byliśmy w poważnych tarapatach i dobrze o tym wiedzieliśmy

- Ja tylko się zastanawiam, jak nas wydostać z tej trudnej sytuacji, do której, musisz to przyznać, sama się przyczyniłaś...

- Nie próbuj myśleć rozsądnie, Falkonie. Od wysiłku czerwienią ci się uszy.

- No cóż, jeśli chciałaś odegrać się na mnie za moją przygodę z Mariną, to mogłem ci zasugerować coś mniej radykalnego... - Zamilkłem. Zobaczyłem, że jej oczy wypełniają się łzami. Helena popełniła okropny błąd i teraz płaszczykiem dumy próbowała pokryć wielki smutek. - Wyciągnę nas z tego - oświadczyłem łagodniejszym głosem. - Przygotuj się tylko na parę kiepskich dowcipów twojego ojca, który musi tu przyjść i płaszczyć się przed Marponiuszem, a do tego jeszcze wybulić pieniądze na kaucję.

- Po kaucję za ciebie też posłano - powiedziała.

- Nie liczę na nią.

Nie dała się pocieszyć, ale nasze stosunki się ocieplały.

- Marku, co się stało z twoją twarzą? - spytała.

- Spotkała się z czyjąś pięścią. Nie przejmuj się, gołąbeczko. Marponiusz nie ma przeciwko nam dość dowodów, żeby wyznaczyć datę rozprawy. Co oznacza, że musi nas wypuścić. A jeśli będę wolny, to przynajmniej poprowadzę swoje śledztwo bez konieczności ciągłego chowania się przed Petroniuszem.

- Swoim najlepszym przyjacielem... który teraz wie, że żyjesz z idiotką! - oświadczyła z żalną miną.

- Już wcześniej to wiedział - powiedziałem z szerokim uśmiechem. - Uważał, że musisz być szaloną, skoro się ze mną zadajesz.

- Powiedział sędziemu, że to prawdziwa miłość.

- A myli się? - spytałem, wyjmując z jej rąk broszę i sprawnie przypinając ją na właściwym miejscu. - Marponiusz uwierzył mu do tego stopnia, że zamknął nas w osobnych celach, by nie dopuścić do zмовы. Cóż, wobec tego... - zacząłem. Helena odpowiedziała delikatnym uśmiechem na moje wyszczerzone zęby. Wyciągnąłem do niej ramiona. - Zmawiajmy się, skarbie!

30

Pojawienie się u sędziego zajęło ojcu Heleny tyle czasu, że zacząłem myśleć, czy przypadkiem nas tu nie zostawił, żebyśmy skruszeli. Mógł przecież odmówić zapłacenia tego prawnego okupu za moją osobę, ale byłem przekonany, że Helenę zechce ratować. Nalegałaby na to jej matka.

Helena dręczyły wyrzuty sumienia.

- To wszystko moja wina! Zauważyłam ten nóż i wzięłam go, bo zastanowiło mnie, co robi tam przedmiot należący do twojej matki...

- Sza! - uciszałem ją, przytulając do siebie. - Cała moja rodzina bywa w tej gospodzie. Każdy mógł wziąć ze sobą nóż, żeby sobie poradzić z czerstwymi bułkami. A wszyscy są na tyle nierozgarnięci, że mogli go tam potem zostawić.

- Może któreś sobie przypomni...

Mogłem się założyć, że nóż zostawił Festus, więc było to wykluczone.

Leżeliśmy na sofie. Wyłącznie dla wygody; miałem dość taktu, by nie uwodzić swojej przyjaciółki pod nosem „człowieka z pomysłami”. Zresztą sofa była twarda.

W pokoju panował półmrok, ale i tak dało się zauważyć, że jest o wiele bardziej elegancki od tego, w którym mnie umieszczono. Jako cela dla senatorskiej córki mógł ujść. Przy sofie stał złożony taborecik. W metalowym koszu płonęło drewno jabłoni. Mieliśmy też przyćmione lampki, mały

wschodni kobierzec na jednej ze ścian, stoliki z bibelotami i wazy na półkach. Było przytulnie. Intymnie. Jednym słowem, nie było powodu, żeby zwijać obóz.

- Czemu się uśmiechasz, Marku? - Twarz miała ukrytą na mojej piersi, więc mnie zdumiało, że to zauważyła.

- Bo jestem tu z tobą... - Może uśmiechałem się dlatego, że byliśmy w zgodzie.

- Chcesz przez to powiedzieć, że jak zwykle jesteśmy w strasznych tarapatach, tyle że tym razem to moja wina... Nigdy sobie tego nie wybaczę.

- Wybaczysz.

W domu panowała niczym niezmacona cisza. Marponiusz to taki typek, który sam jada kolacje, a potem przechodzi do gabinetu, żeby kolejny raz przeczytać Cyceronową obronę Sekstusa Roscjusza. Jeśli kiedyś wynajął sobie tancerkę, to tylko po to, by podczas swoich oratorskich ćwiczeń mieć jakąś publiczność.

Gładząc Helenę po głowie, przebiegłem myślą wydarzenia minionego dnia. Potem cofnąłem się jeszcze dalej, do wieku dziecięcego i młodości, starając się pojąć złożony splot okoliczności, który mnie tutaj przywiódł.

Na razie ustaliłem, że mój braciszek, niezmordowany człowiek interesów, prawdopodobnie w zмовie ze swoimi koleżkami centurionami, obrabował skarbiec legionu; nabył rzadki starożytny posąg i jego statek zatonął.

Nie byłem jeszcze pewien, ale miałem bardzo silne podejrzenie, że zatrudniony przez niego pośrednik ulotnił się z tym posągiem jeszcze przed katastrofą. Możliwe, że to pozytywny aspekt tej sprawy. Bo mógłbym wytropić tego gościa i zarobić szybko spory grosz na dziele Fidiasza.

A może pośrednik nie miał z tym nic wspólnego.

A może tak naprawdę statek nie zatonął.

Wyobraziłem sobie znacznie gorszą możliwość. Może statek nie zatonął... i może Festus to wiedział. Mógł skłamać na temat *Hyperikona*, a potem samemu sprzedać towar i uciec z pieniędzmi. Jeśli tak, moje zadanie stało się niewykonalne. Za późno było na sprzedanie Fidiasza, nie miałem pieniędzy na spłacenie legionistów i nie mogłem oczyścić imienia brata na życzenie mamy.

Prawie wszystko, co do tej pory ustaliłem, śmierdziało. Wyglądało na to, że natknąłem się na najgorszy przypadek sławnych kombinacji mojego braciszka: jego interesy w szarej strefie. Na ogół nic z nich nie wychodziło... zazwyczaj dzień po tym, jak Festus bezpiecznie się wycofał. Zawsze kroczył lepką ścieżką, niczym osa na brzegu garnca z miodem. Może tym razem stracił równowagę i wpadł do środka.

Helena przysunęła się, żeby móc lepiej mnie widzieć.

- O czym myślisz, Marku? - spytała.

- Och, o Złotym Wieku...

- Chodzi ci o przeszłość?

- Zgadza się. Dawno utraconą, roziskrzoną, wspaniałą przeszłość... Może nie aż tak wspaniałą, jak udajemy.

- Powiedz dokładnie, co masz na myśli?

- Możliwe, że sprzymierzyłaś się z rodziną o wątpliwej reputacji - stwierdziłem ze smutkiem. Helena parsknęła ironicznie. Byliśmy sobie tak bliscy, że mogłem mówić jej rzeczy trudne do wyobrażenia. - Zaczynam się zastanawiać, czy mój bohaterski brat nie skończył życia jako złodziej i kandydat do zdegradowania i zwolnienia ze służby - powiedziałem. Helena musiała się tego spodziewać, bo spokojnie pogładziła mnie po czole i pozwoliła ochłonać. - Jak mam powiedzieć to mamie? - dokończyłem.

- Najpierw upewnij się co do faktów! - odparła.

- Może w ogóle jej nie powiem.

- Może ona już wie - zasugerowała Helena. - I chce, żebyś sprawy uporządkował.

- Nie, prosiła, żebym oczyścił jego imię! Z drugiej strony - argumentowałem nieprzekonująco - może to tylko wygląda na skandal... bo przecież pozory mogą mylić.

Helena знаła moją opinię: tak się nie dzieje ze skandalami.

Zmieniła temat, chcąc, żebym porzucił introspekcyjny nastrój, i zapytała, co robiłem wcześniej tego dnia. Opisałem przebieg zerwanej licytacji, potem opowiedziałem, czego się dowiedziałem od Geminusa o ostatnim interesie brata, włącznie z informacją o Posejdonie dłuta Fidiasza. Zakończyłem niespodziewaną wizytą tego urwisa Gajusza i wspomniałem, że ojciec został w biurze, tkwiąc pośród rupieci niczym jakiś stary morski bóg w jaskini pełnej przedmiotów z zatopionych statków.

- Wydaje się podobny do ciebie - skomentowała moje słowa. - Też się ukrywasz przed światem w swoim mieszkaniu na szóstym piętrze awentyńskiej kamienicy.

- To nie to samo! - zaprotestowałem.

- Nie lubisz, kiedy ludzie tam przychodzą.

- Bo ludzie sprowadzają kłopoty.

- Nawet ja? - zażartowała.

- Ty nie - odparłem, wykrzywiając do niej twarz. - Nawet dzisiaj nie.

- A może - zasugerowała roztropnie Helena - twój starszy brat też miał gdzieś swoją sekretną melinę?

Jeśli tak, to nic o tym nie wiedziałem. A przecież za tą otwartą, wesołą fasadą Festus skrywał wiele tajemnic. Mieszkał z matką; na pewno potrzebna mu była jakaś kryjówka. Tylko Jowisz wie, co mogło w niej czekać, jeśli kiedyś udało mi się ją znaleźć.

Przerwaliśmy rozmowę, bo właśnie zjawił się Marponiusz we własnej osobie, by poinformować Helenę, że przybył po nią jej ojciec. Na przyjęcie takiego wspaniałego gościa sędzia włożył swoją najlepszą togę i przykleił do ust wielki uśmiech, ponieważ kaucja, jakiej zażądał od szlachetnego Kamila za

wypuszczenie jego niebezpiecznej córki, była wyjątkowo wysoka. Kiedy zobaczył mnie w tym samym pokoju, zirytował się, ale powstrzymał od komentarza. Oświadczył natomiast, że ja również jestem wolny.

- Kto wpłacił kaucję? - spytałem podejrzliwie.

- Twój ojciec - odparł z uśmiechem Marponiusz. Dobrze wiedział, że myśl o tym jest dla mnie nieznośna.

Przekazani ojcom jako morderca i jego współniczka, postaraliśmy się nie chichotać idiotycznie, chociaż czuliśmy się jak para niegrzecznych nastolatków zabieranych do domu z miejskiego aresztu, gdzie ich wsadzono za jakieś oburzające dla sędziwych osób psikusy na Forum.

Zanim się wynurzyliśmy z pokoju, nasi zbawcy zdążyli już zawrzeć ścisły sojusz. Po wspólnej hańbie, jaka ich spotkała, i za sprawą przypochlebnego podczaszego byli obaj trochę podpici. Geminus przyklęknął na jednym kolanie, żeby przyrzec się dobrze wielkiej wazie z południowej Italii, udającej ateńskie pochodzenie. Kamil Werus zachowywał się tylko odrobinę bardziej powściągliwie. Powitał mnie wymyślnym gestem, zwracając się z komentarzem do mojego ojca:

- To przynajmniej jakaś odmiana od narzekania na ich kosztowne zainteresowania, szalone przyjęcia i szokujących przyjaciół!

- Nigdy nie miej dzieci! - poradził tata Marponiuszowi. - A przy okazji, sędzio, waza jest pęknięta.

Marponiusz popędził, żeby sprawdzić skazę na swojej własności. Klęcząc na podłodze, zdołał rzucić kilka pospiesznych słów o oddaniu nas pod nadzór rodziny, o ojcowskim obowiązku kurateli i tak dalej. W odpowiedzi tata podał mu imię człowieka, który potrafi pęknięcie uczynić niewidzialnym (jednego z hordy podejrzanych rzemieślników znanych w Saeptha Iulia). Sędzia wstał, uściśnął wszystkim ręce teatralnym gestem, jakby zwracał rodzinie dawno zaginione bliźnięta, i pozwolił nam się ulotnić.

Kiedy w tę zimową noc wytaczaliśmy się na dwór, nasi uszczęśliwieni ojcowie wciąż gratulowali sobie nawzajem własnej wielkoduszności, dowcipkowali, jak powinna wyglądać kuratela nad nami, i spierali się, do którego z domów powinni nas teraz zaciągnąć na kolację.

Rzym był zimny i mroczny. Zrobiło się już na tyle późno, że ulice stały się niebezpieczne. Oboje z Heleną byliśmy głodni, ale dość już tego dnia znieśliśmy. Szepnąłem więc do naszych ojców, że jeśli będą chcieli nas skontrolować, to jesteśmy u mamy, po czym wsiedliśmy do lektyki, którą sprowadzono dla Heleny, i nakazaliśmy tragarzom ruszyć z kopyta. Podałem głośno trasę do domu matki, ale kiedy skręciliśmy za pierwszy róg, zmieniłem punkt docelowy na Dziedziniec Fontanny.

Miałem przed sobą niewyobrażalną perspektywę, oskarżenie o

morderstwo... i ścigających mnie dwóch oburzonych ojców. Ale przynajmniej, kiedy dotarliśmy do naszego mieszkania, okazało się, że przed nami zdążyło już do niego dotrzeć nowe łóże.

31

Nazajutrz zaskoczyłem Helenę, wyskakując z łóżka o świcie.

Nie było to łatwe. Nowe łóże było udane pod różnymi względami, o których mówić nie wypada, a ponadto pozwoliło nam się porządnie wyspać. Obudziliśmy się pod wypełnionym pierzem nakryciem, które przywieźliśmy sobie z Germanii, rozgrzani niczym pisklęta w gnieździe. Obok łóżka trójnog z brązu o regulowanej wysokości, który Helena kupiła od Geminusa... najwyraźniej w prezencie dla mnie.

- To na moje urodziny? - spytałem. - Są dopiero za trzy tygodnie.

- Pamiętam, kiedy masz urodziny! - zapewniła mnie. Był to po części cierpki dowcip, nawiązujący do sytuacji, kiedy ja przegapiłem jej urodziny, a po części wspomnienie. Znała tę datę, bo wtedy pierwszy raz ją pocałowałem, zanim jeszcze uświadomiłem sobie ten przerażający fakt, że jestem w niej zakochany, czy zanim śmiałem uwierzyć, że ona mogłaby pokochać mnie. Byliśmy wtedy w tym okropnym zajeździe w Galii i wciąż zdumiewało mnie moje brawurowe zachowanie... nie wspominając o konsekwencjach. Po jej uśmiechu wiedziałem, że też myśli o tamtej sytuacji. - Wydawało mi się, że trzeba cię rozweselić.

- Nie mów mi tylko, ile za nie od ciebie wyciągnął, nie chcę popaść w kolejne przygnębienie.

- Dobrze, nie powiem.

- Nie, lepiej będzie, jak powiesz - zdecydowałem z westchnieniem. - W końcu to mój ojciec. Czuję się odpowiedzialny.

- Nic. Kiedy powiedziałam, jak bardzo mi się podoba, podarował mi go.

Wtedy właśnie wyskoczyłem spod ciepłego nakrycia.

- Na bogów, Marku! O co chodzi? - zawołała.

- Czas ucieka.

Helena usiadła, otuliła się naszym germańskim nakryciem i spod szopy gęstych ciemnych włosów wpatrywała we mnie.

- Sądziłam, że teraz, kiedy nie musisz unikać Petroniusza, możesz wolniej prowadzić swoje dochodzenie.

- To nie ma nic wspólnego z dochodzeniem - oświadczyłem, ubierając się.

- Wracaj! - Helena rzuciła się w poprzek łóżka i objęła mnie. - Co to za tajemnica?

- Nie ma żadnej tajemnicy. - Pomimo jej gwałtownego oporu ułożyłem ją z powrotem i czule otuliłem. - Po prostu niezapłacony rachunek na czterysta tysięcy, który pilnie muszę uregulować. - Przestała się wyrywać, więc udało mi się ją pocałować. - Po pierwsze, wczoraj byłem świadkiem, jak pewna

lekkomyślna młoda pani oświadczyła publicznie, przed sędzią, że w zasadzie jesteście mężem i żoną... a teraz dowiaduję się, że moi krewni ślą nam odpowiednie dary do urzędu domu! Zapomnijmy więc o dochodzeniu. W porównaniu z pilną potrzebą zebrania fortuny taka sprawa jak podejrzenie o morderstwo staje się nic nieznaczącym drobiazgiem.

- Głuptas! - Helena wybuchnęła śmiechem. - Przez chwilę myślałam, że mówisz poważnie.

Coś w tym było. Kiedy mężczyzna o moim mizernym statusie zakocha się w córce senatora, nieważne, jak bardzo ją uwielbia, podejmuje wielkie ryzyko, mając nadzieję, że coś z tego wyjdzie.

Zostawiłem ją, żeby pobawiła się tą komiczną perspektywą wyjścia za mnie, i nie martwiłem jej oświadczeniem, że mówię całkiem poważnie.

Kiedy szedłem w dół Awentynu w kierunku magazynów, przez jakieś dwie ulice podtrzymywało mnie miłe ciepło wynikające z podjęcia decyzji dotyczącej Heleny. Potem zrobiło się zwyczajnie. Wzięcie znikąd czterystu tysięcy sestercji było wystarczająco twardym orzechem do zgryzienia. Jeśli chciałem Helenę, musiałem mieć te pieniądze, ale przecież taka kwota była całkowicie poza moim zasięgiem. Jeszcze mniej wesoło przedstawiało się następne zadanie, jakie przed sobą postawiłem; wizyta u kolejnego z moich szwagrów.

Spróbowałem go znaleźć w miejscu pracy. Nie znalazłem. Mogłem się tego spodziewać. Był urzędnikiem; to oczywiste, że miał wolne.

Moja siostra Junia, ta wyniosła, wyszła za pracownika urzędu celnego. W wieku siedemnastu lat tak sobie wyobrażała awans społeczny i towarzyski. Teraz miała trzydzieści cztery lata. Gajusz Bebiusz awansował co prawda na przełożonego urzędników celnych w magazynach, Junia jednak miała bardziej ambitne marzenia, w których nie było miejsca na męża kręcącego się w dokach i zbierającego podatki. Czasami zastanawiałem się, czy Gajusz Bebiusz nie powinien, zanim zasiądzie do kolacji, podsunąć swojego jedzenia do spróbowania psu.

Psa mieli głównie po to, żeby powiesić na drzwiach tabliczkę z ostrzeżeniem. Ajaks był sympatycznym zwierzęciem. No cóż, kiedyś taki był, zanim dopadły go życiowe kłopoty. Teraz przykładał się do swoich obowiązków stróża równie gorliwie jak jego pan wykonywał swoje zadania w urzędzie celnym. Typowym przyjacielskim powitaniem Ajaksa było szarpanie tunik dostawców i domokrążców, a wiedziałem też o dwóch procesach wytoczonych przez gości za wygryzienie im kawałków ciała. Sam nawet zeznawałem na rzecz jednego z powodów, czego mi dotąd nie wybaczone.

Ajaks mnie nie lubił. Kiedy pojawiłem się na jego nieco cuchnącym progu, z

niewinną miną próbując przejść przez westybul, tak się szarpał na smyczy, że jego buda zaczęła się przesuwac po posadzce. Udało mi się go ominąć jednym skokiem, lewą łydka ledwie mijając długi pysk, przekląłem bestię pod nosem, a głośno pozdrowiłem osobę, która akurat była w domu.

Zjawila się Junia. Lubila mnie tak samo jak Ajaks. Ona przynajmniej miała podstawy, skoro przychodząc na świat, odebrałem jej wygodną pozycję najmłodszego dziecka w rodzinie. Miała do mnie trwającą już trzydzieści lat pretensję o utratę tego przywileju, zanim jeszcze powiedziałem sędziemu, że trzyma w domu niebezpieczne zwierzę.

- A, to ty! Jeśli wchodzisz dalej, zdejmij buty. Są ubłocone - oświadczyła.

Zdażyłem zacząć rozwiązywać rzemienie, zanim się odezwała; bywałem już wcześniej w jej domu.

- Zróbcie coś z tym potworem. Dobry piesek, grzeczny Ajaks! Ilu sprzedawców cebuli zabił dzisiaj?

Siostra zignorowała moje słowa, ale zawołała męża. We dwójkę odciągnęli psa i jego budę na właściwe miejsce i jakoś wspólnym wysiłkiem go uspokoili.

Powitałem Gajusza Bebiusza, który właśnie odszedł od śniadania i jeszcze zlizywał miód z palców. Wyglądał na zażenowanego, że go widzę, jak sobie odpoczywa w nie najlepszej ze swoich tunik i z kilkudniowym zarostem. Gajusz i Junia lubili się publicznie pokazywać starannie wystrojeni, ona uczepiona ulegle jego prawego łokcia. Spędzali życie, ćwicząc pozy stosowne na swój nagrobek. Za każdym razem, kiedy ich widziałem, wpadałem w posępny nastrój.

Dzieci nie mieli. To mogło tłumaczyć ich wyrozumiałość w stosunku do psa. Rządził nimi jak rozkapryszony spadkobierca. Gdyby prawo na to zezwalało, oficjalnie by go adoptowali.

Jako jedyna bezdzietna kobieta w naszej płodnej rodzinie Junia płaowała się w swoim prawie do odczuwania goryczy. Nosiła się elegancko, dom utrzymywała w takiej czystości, że muchy marły ze strachu, a pytana o potomstwo, mówiła, że ma dość zajęcia, opiekując się Gajuszem Bebiuszem. Dlaczego wymagał tyle pracy przy sobie, pozostawało dla mnie tajemnicą. Przebywanie z nim było równie ekscytujące jak obserwowanie parowania wody z poidełka dla ptaszków.

- Podobno jesteś na urlopie? - powiedziałem.

- Och, to tylko kilka dni - zaszczebiotała od niechcenia Junia.

- Oczywiście, kiedy tylko pogoda się poprawi, spędzisz cztery miesiące w s w o j e j willi w Surrentum! - zażartowałem, ale moja siostra zaczerwieniła się, bo właśnie coś takiego lubili dawać do zrozumienia ludziom, którzy nie znali ich tak dobrze jak ja. - Gajuszu Bebiuszu, muszę z tobą porozmawiać.

- Zjedz może śniadanie, Marku. - Siostra pewnie miała nadzieję, że odmówię, więc choć po drodze do ich domu kupiłem sobie bułkę, dla zasady przyjąłem

jej propozycję. Niektórzy, kiedy dojdą do pieniędzy, wydają je bez oporów; Junia i jej małżonek należeli do drugiej grupy i pod niektórymi względami byli okropnymi sknerami. Nieustannie wymieniali meble, ale nie znosili marnować pieniędzy na przymierających głodem krewnych.

Junia poszła przodem do jadalni. Pomieszczenie było wąziutkie. Wynajmowali typowe niewielkie mieszkanie, ale Gajusz Bebiusz niedawno udoskonalił je dziwacznie ustawionymi przepierzeniami. Trzymały się jakoś, pod warunkiem że nikomu nie przyszło do głowy się o nie oprzeć, a pozwalało im to udawać, że mają osobne triklinium, gdzie mogą wydawać uczyty. W rezultacie jadało się u nich, siedząc w ścisku na stołkach przy niskim stole. Niestety, rozwiązanie wnętrza przez mojego szwagra oznaczało, że jeśli jest stół, to nie ma już miejsca choćby na jedno łoże przy nim. Wcisnąłem się na stołek bez słowa komentarza; szwagier był naprawdę dumny ze swojego wyższego poziomu życia.

Junia podała mi niewielki kawałek chleba - upewniając się, że dostanę tę przypaloną część - i plasterk bladego, niemającego żadnego smaku sera, żeby było czym ten chleb popchnąć. Tymczasem Gajusz Bebiusz zajadał zimne mięsa.

- Nowe talerze? - spytałem uprzejmie, jako że większa część mojego była widoczna.

- Tak, pomyśleliśmy, że czas zainwestować w ceramikę aretyńską. Takie cudowne szkliwo.

- Owszem, ładna ceramika. Też taką mamy - pochwaliłem się. - Chcieliśmy z Heleną coś nieco bardziej oryginalnego. Nie znosimy sytuacji, kiedy człowiek idzie na kolację i widzi taki sam serwis, na jakim jada w domu... Nasz dostaliśmy w prezencie od zaprzyjaźnionego ceramika w takim małym miejscu, które odkryłem podczas naszego pobytu w Germanii.

- Naprawdę? - Junię trudno było podrażnić. Ani trochę nie uwierzyła w moje zainteresowanie wytwornymi wyrobami ceramicznymi.

- Mówię poważnie. - Przy tych rzadkich okazjach, kiedy miałem okazję przebić tę parę bufonów, chciałem, żeby to wiedzieli.

- Coś podobnego! - Junia brzęknęła bransoletami i przybrała uprzejmy wyraz twarzy. - O co chciałeś poprosić Gajusza Bebiusza?

Przestało mi zależeć na obrażaniu gospodarzy i przeszedłem do interesów.

- Jestem zmuszony posprzątać bałagan, jaki zostawił po sobie nasz kochany Festus - zacząłem. Zobaczyłem, jak wymieniają spojrzenia; informacja o mojej misji zdążyła mnie wyprzedzić. Junia przyjrzała mi się, jakby już wiedziała, że Festusa wkrótce zdemaskują jako złoczyńcę i to z mojej winy. - Czy znaliście tego żołnierza, który zagnieździł się w domu matki? Nie żyje...

- I rzekomo ty go uśmierciłeś? - stwierdziła z satysfakcją. Na Junii zawsze można polegać.

- Każdemu, kto tak uważa, przydałaby się nowa głowa, siostrzo!

- Nie chcieliśmy za dużo gadać.

- Dzięki, Junio! Trzymanie buzi na kłódkę aż się mleko rozleje, jest doprowadzone do poziomu sztuki w naszejrodz inie, ale tym razem to się nie uda. Muszę się oczyścić przed sądem z oskarżenia o morderstwo. To wszystko wyraźnie ma związek z Festusem i z jego siecią interesów. Gajuszu, ten żołnierz przedstawił pewną historyjkę dotyczącą towarów importowanych. Powiedz mi, czy kiedy Festus przysyłał towary do Italii, to jego statki przybijały do Ostii?

- Z tego, co wiem, tak. Festus zapewne sądził - mówił Gajusz Bebiusz ze świętoszkowatą miną - że szwagier w urzędzie celnym oznacza uniknięcie opłat portowych.

- Na pewno - odparłem, wykrzywiając w uśmiechu twarz. - Ale się mylił?

- Oczywiście! - wykrzyknął Gajusz Bebiusz.

Nie uległo wątpliwości, że nie zawsze.

- Czy w twoich dokumentach znalazłby się zapis o przybiciu jakiegoś konkretnego statku? Mówię o roku jego śmierci, więc musimy się nieco cofnąć w czasie.

Pomiędzy kolejnymi kęsami Gajusz Bebiusz wypowiadał się na interesujący mnie temat w swój powolny pedantyczny sposób.

- Czy chodzi o ten statek, który podobno zaginął? - upewnił się.

Ludzie najwyraźniej wiedzą o tej sprawie więcej, niż wcześniej przyznawali.

- Zgadza się, o *Hyperikon*.

- Jeśli przyplłynął, ktoś to gdzieś musiał odnotować. Jeśli nie, to nie.

- Świetnie!

- Jeśli cały został rozładowany w Ostii, figuruje tam w papierach. Jeśli towar przeładowano na barki i przywieziono na sprzedaż do magazynów w Rzymie, odnotowano to tutaj. Jednak Festus nie dokonywał sprzedaży oficjalnymi kanałami, co zapewne oznacza Ostię.

- No cóż, Ostia nie jest daleko - uznałem beztróska. - A co, jeśli statek przybił do brzegu gdzie indziej w Italii?

- Jedynym sposobem, żeby to stwierdzić, byłoby wtedy odwiedzenie każdego portu po kolei i sprawdzenie tamtejszych list... jeśli miejscowi urzędnicy pozwoliliby ci do nich zajrzeć. I to przy założeniu - dodał z westchnieniem Gajusz Bebiusz - że zachowano się zgodnie z przepisami. I uiszczano stosowne opłaty - dokończył.

Obaj wiedzieliśmy, że można w to wątpić.

- Jeśli natomiast nie - powiedziałem zniechęcony - statek mógł się wślizgnąć gdziekolwiek, a ładunek przeschmuglowano na ląd.

- Na dodatek było to lata temu. - Szwagier lubił wykazywać się optymizmem.

- I statek mógł naprawdę zatonać, wobec czego tylko marnuję swój czas.

- Pamiętam, co to była za historia z tym zatonięciem. Ile hałasu robił wokół tego Festus.

- Wreszcie ktoś coś wie o tej sprawie! - pozwoliłem sobie na pochlebstwo. - Możemy chyba założyć, że *Hyperikon* w ogóle nie wpłynął do Ostii. Albo rzeczywiście zatonął... albo go gdzieś ukryto. Byłbyś skłonny coś dla mnie zrobić, stary? Żeby pomóc rodzinie?

- Chodzi ci o to, żeby go sprawdzić? - zapytał.

- Nie tylko ten jeden statek. Chciałbym, żebyś przejrzał listy z całego roku.

- Musiałbym pojechać do Ostii.

- Zapłacę za wynajęcie muła. - Znając go, wiedziałem, że i tak skorzystałby ze służbowego transportu.

Widziałem, że jest gotów na tę niewygodę; zapewne była to świetna okazja, żeby na jakiś czas wyrwać się od Junii. Z kolei ona chciała, żeby pojechał, bo Festus był również jej bratem. Musiała obserwować rozwój tego skandalu z jeszcze większym niepokojem niż reszta z nas; w końcu to ona w naszej rodzinie miała wyższe aspiracje.

- Postawmy sprawę jasno, Falko. Chcesz sprawdzić, czy Festus dysponował jakimś innym wynajętym statkiem, który wpłynął do Ostii? - Mojemu szwagrowi bardzo się spodobała ta koncepcja. - Ho, ho! Myślisz, że przeniósł towar?

- Nie mam pojęcia. Po prostu rozpatruję wszystkie możliwości. Powiniennem zrobić to już wcześniej, jako wykonawca jego testamentu. Nawet jeśli ten ładunek znalazł się pod wodą, być może jest jeszcze coś innego, czego warto poszukać. Mam nadzieję, że natrafię na jakąś własność Festusa, którą będę mógł sprzedać, żeby pozbyć się siedzących nam na karku żołnierzy z jego legionu. - W rzeczywistości miałem nadzieję znaleźć znacznie więcej.

- Dlaczego im nie powiesz, że nic nie ma? - spytała gniewnie Junia.

- Już to zrobiłem. Albo mi nie wierzą, albo oczekują, że spłaci się ich, nawet gdyby miało to doprowadzić do ruiny całą rodzinę. - W sprawie teorii dotyczącej pieniędzy legionu trzymałem język za zębami. - Gajuszu Bebiuszu, jesteś gotowy mi pomóc? Czy te listy wciąż istnieją?

- Och, na pewno istnieją. A masz pojęcie, Falkonie, ile statków przyplywa w jednym sezonie do Rzymu?

- Pomogę ci przy szukaniu - zaoferowałem się błyskawicznie.

- I tak będzie to kawał roboty - mruknął Gajusz, ale widać było, że się tym zajmie. - Mógłbym dzisiaj pojechać na wybrzeże i spotkać się z kolegami w porcie. Zobaczą przynajmniej, na co się porywamy. - Był prawdziwym urzędnikiem; uwielbiał uważać się za takiego ważniaka, który musi czasem zmarnować sobie wolne i popędzić do pracy. Większość ludzi starałaby się uniknąć dwudziestu mil jazdy do Ostii i z powrotem, tymczasem on był gotowy natychmiast tam wyruszyć. - Wrócę jeszcze przed południem. - Gość był idiotą.

Gdybym ja prowadził dochodzenie w takim tempie, tobym się wykończył. -
Gdzie cię znajdę?

- Zjedźmy razem drugie śniadanie. Będę w winiarni przy Celusie.

Junia nastawiła uszu.

- Mam nadzieję, że nie jest to miejsce o złej reputacji, Marku? - Moja siostra trzymała męża z dala od kłopotów; nie żeby on się fatygował, by w jakieś popaść.

- Nie na darmo nazywa się Dziewica - uspokoilem ją.

Junia wyglądała na usatysfakcjonowaną nazwą szynku i udzieliła mężowi pozwolenia na odwiedzenie lokalu.

- Może być jeszcze jeden problem - przyznałem. - Statki wynajęte przez Festusa mogą być zarejestrowane na imię jego pośrednika. Niestety, nikt, z kim udało mi się porozmawiać...

- Ma na myśli ojca! - warknęła Junia.

- ...nie zna jego imienia - dokończyłem.

- No cóż, to poważny kłopot - najeżył się mój szwagier.

- No dobra, dobra! Spróbuję jakoś się dowiedzieć...

- Gajusz Bebiusz będzie ci musiał pomóc - oświadczyła z nadętą miną moja siostrzyczka. - Marku, mam tylko nadzieję, że nie dojdzie do żadnych nieprzyjemności!

- Dzięki za wsparcie, moi drodzy! - Odchodząc, wziąłem z pełnego talerza szwagra kawałek cielej kielbasy. Zaraz wróciłem po drugi, by mieć czym odwrócić uwagę psa.

32

Moje kolejne zadanie było trudniejsze. Poszedłem do matki, żeby ją wypytać o ten nóż. Była mało precyzyjna. Nie dowiedziałem się nic ponad to, co powiedziała Petronioszowi.

- Owszem, wyglądał na mój. Trudno wymagać, żebym pamiętała, gdzie jakiś przedmiot zniknął, jeśli go nie widziałam od dwudziestu lat...

- Ktoś go musiał stąd wynieść - oświadczyłem ponuro. - Allia jest pierwszą kandydatką.

Mama wiedziała, że moja siostra Allia ma zwyczaj wpadać do czyjegoś domu i pożyczać sobie pół bochenka chleba albo ciężarki do krosna. Znana była z tego, że nie zależało jej na posiadaniu niczego własnego, skoro istnieli inni, którzy mogli zaspokoić jej potrzeby. Nie żebym sugerował, że Allia była wplątana w śmierć tego żołnierza.

- Pewnie masz rację - zgodziła się mama tonem, w którym dźwięczały tajemnicze wątpliwości.

- No cóż, to może popytasz rodzinę, co o tym wiedzą? To ważne, mammo! - usłyszałem w moim głosie irytację.

- Domyślałam się. Słyszałam, że cię aresztowano i że pozwoliłeś się wykupić!
- Tak, ojciec wpłacił kaucję - odpowiedziałem cierpliwie.
- Kiedy ostatni raz byłeś w więzieniu, to ja byłam uprzejma przekupić strażnika!

- Nie przypominaj mi tego.

- Powinieneś mieć więcej godności.

- Mamo, poprzednio to była głupia pomyłka w nieważnej sprawie. Tym razem sędzia zajmujący się morderstwami ma wobec mnie poważne zarzuty. Sytuacja jest zdecydowanie inna. Jeśli zaciągną mnie przed ławę przysięgłych, możesz stracić swojego bezcennego synka. Kaucja była bardzo wysoka, jeśli cię to cokolwiek pocieszy. Geminus odczuje bolesny ubytek w swoim mieszkaniu.

- Odczuje to nawet bardziej, jeśli uciekniesz! - Matka widziała we mnie jeszcze większego oprycha niż ojciec. - No więc jak ci idzie?

- Nie idzie.

Popatrzyła na mnie tak, jakby uważała, że sam załatwiłem sobie aresztowanie, żeby tylko nic nie robić w sprawie brata.

- To dokąd teraz pędzisz?

- Do winiarni - odparłem, skoro już i tak myślała o mnie wszystko, co najgorsze.

Poza tym była to akurat prawda.

Znalezienie obskurnego szynku, do którego trafiłem tylko raz, pięć lat wcześniej, pod koniec całonocnej wędrówki po spelunkach, kiedy byłem już pijany i przygnębiony, zabrało mi sporo czasu. Prawie godzinę kręciłem się po uliczkach wokół wzgórza. Kiedy wreszcie natknąłem się na Dziewicę, Gajusz Bebiusz już tam był. Wyglądał na zmęczonego, ale zadowolonego z siebie.

- Witaj mi, zdrożony przyjacielu! Jak ci się udało tak szybko tu zjawić? Ja za nic nie mogłem odnaleźć tego miejsca. Znałeś je?

- Nigdy przedtem tutaj nie byłem - odparł.

- To w jaki sposób je tak szybko znalazłeś? - spytałem zdziwiony.

- Spytałem jakiegoś przechodnia.

Po strawieniu śniadania i zaostrzeniu sobie ponownie apetytu szalonym galopem do Ostii szwagier wciął solidny posiłek. Zamówił go i zapłacił; mnie nic nie proponował. Zamówiłem nieduży dzban, a zjeść postanowiłem później.

- Zapisy wciąż istnieją - wymamrotał Gajusz, opychając się z zadowoleniem. - Przekopanie się przez nie zajmie kilka miesięcy. - Gość nie umiał szybko pracować. Mogłem dodać mu pędu, ale z góry wiedziałem, że mnie to sfrustruje.

- Pomogę, jeśli mnie dopuszczą. Mógłbym się przyjrzeć tym papierom razem z tobą?

- Jak najbardziej. Każdy obywatel, jeśli ma tylko uzasadniony powód, może

przejrzeć listy przewozowe. - Oczywiście - dodał - trzeba znać procedury. Te słowa w ustach Gajusza oznaczały, że oddaje mi przysługę i w przyszłości, przy każdej okazji, będzie mi o niej przypominał.

- Świetnie - oświadczyłem.

Szwagier począł snuć zawiłe plany dotyczące spotkania ze mną następnego dnia, podczas gdy we mnie wszystko jęczało. Nie znoszę ludzi, którzy komplikują życie zbędnymi drobiazgami. I nie cieszyła mnie perspektywa spędzenia wielu dni w jego okropnym towarzystwie. Już ten posiłek tutaj mi wystarczył.

Rozejrzałem się. Miejsce było ponure, tak jak je zapamiętałem. Szwagier, z obojętną i spokojną miną człowieka niewinnego, opróżnił miskę z wołowiny i jarzyn. Może wzrok mi się poprawił. Niepokoiły mnie bowiem ciemne kąty i złowroga klientela.

Znajdowaliśmy się w wilgotnym pomieszczeniu, a właściwie w wyrytej w zboczu wzgórza jamie. Pod brudnym wypukłym stropem stało kilka zdezelowanych stołów oświetlonych świeczkami umieszczonymi w starych dzbankach. Właściciel poruszał się chwiejnym krokiem, miał jadowicie purpurową bliznę na policzku, najpewniej pamiątkę po jakiejś bójce. Wino było kwaśne. A klienci jeszcze gorsi.

Od mojej ostatniej wizyty na jednej ze ścian pojawił się wymalowany ciemną farbą, szerokimi pociągnięciami pędzla, obsceniczny obrazek. Ukazywał dobrze wyposażone, przesadnie męskie postacie i nieśmiałą niewiastę, która zgubiła gdzieś opiekuna i ubranie, za to zyskiwała niezwykle doświadczenia.

Przywołałem gospodarza speluny.

- Kto wykonał to ekscytujące dzieło sztuki? - spytałem.

- Warga, Manliusz i cała ta reszta.

- Przychodzą tu jeszcze?

- Od czasu do czasu - powiedział. Nie była to zbyt użyteczna informacja. Nie miałem najmniejszej ochoty tkwić tutaj jak jakiś krytyk sztuki czy kolekcjoner, aż przyjdzie im fantazja się pojawić.

- Gdzie mogę ich znaleźć, skoro już jestem w tej okolicy?

Bez entuzjazmu zasugerował kilka miejsc, po czym zapytał:

- Więc co sądzisz o naszych freskach?

- Bajeczne! - skłamałem.

Teraz, kiedy zwrócono mu uwagę na ścienne malowidło, Gajusz Bebiusz tak się na nie zagapił, aż poczułem zażenowanie. Moja siostra by się nieźle zirytowała, gdyby widziała, jak dokładnie je studiuje, a wpadłaby we wściekłość, gdybym zostawił go w takim niebezpiecznym otoczeniu. Ze względu na Junię, jako jej brat, musiałem tu siedzieć, kipiąc złością, podczas gdy Gajusz opróżnił powoli miskę, wpatrując się przez cały czas w burdelowe scenki.

- Bardzo ciekawe! - rzucił, kiedy wychodziliśmy.

Pozbywszy się bezmyślnego powinowatego, zgodnie z sugestią szynkarza poszukałem malarzy fresków, ale szczęście mi nie dopisało. Jednym z miejsc, do których mnie wysłał, był wynajmowany pokój w jakimś nędznym domu. Mogłem tam wrócić kiedy indziej i mieć więcej szczęścia. Każdy pretekst był dobry, żeby się stąd wynieść. Ponieważ byłem bardzo głodny, udałem się do lokalu, który w porównaniu z Dziewicą był bardzo porządny, mianowicie z powrotem na Awentyn, do gospody U Flory.

33

Okazało się, że w gospodzie panuje jeszcze większy chaos niż zazwyczaj, sprowadzono bowiem malarzy.

Epimandos kręcił się na zewnątrz; pozbawiony swojej kuchni, starał się podawać chociaż napoje i zimne przekąski tym, którym nie przeszkadzało, że muszą jeść na ulicy.

- Co się dzieje, Epimandosie? - spytałem.

- Falko! - powitał mnie przejętym głosem. - Słyszałem, że cię aresztowano!

- No cóż, jestem tutaj - burknąłem. - Co się tu wyprawia?

- Po tym problemie na piętrze - szepnął taktownie - odnawiają całą gospodę. Lokal działał co najmniej od dziesięciu lat i nigdy nie widział pędzla. Najwyraźniej morderstwo miało dobry wpływ na interes.

- Więc kto to zlecił? - spytałem. - Chyba nie legendarna Flora.

Epimandos miał niewyraźną minę. Nie odpowiedział na moje pytanie, tylko dalej mówił swoje.

- Tak się martwiłem tym, co ci się przytrafiło...

- Ja też!

- Czy dobrze się to dla ciebie skończy, Falko?

- Pojęcia nie mam. Ale jeśli kiedyś dopadnę drania, który zabił Cenzoryna, nie będzie mógł liczyć na dobre zakończenie!

- Falko...

- Nie marudź, Epimandosie. Jękliwy kelner psuje wesołą atmosferę!

Rozejrzałem się za jakimś miejscem do siedzenia. Na zewnątrz liczba miejsc była ograniczona. Ten wredny kot, Kudłacz, rozwalił się na jednej z ław, ukazując kosmaty brzuch, wobec czego przycupnąłem na beczce, na której zawsze przesiadywał żebrak. Tym razem przynajmniej wypadało przywitać go skinieniem głowy.

- Dzień dobry, Marku Dydiuszu. - Zastanawiałem się nad uprzejmym sposobem zapytania, czy skądś go znam. - Apoloniusz - przedstawił mi się zrezygnowany. Nic mi to nie mówiło. - Uczyłem cię w szkole.

- Na Jowisza! - wykrzyknąłem. Dawno temu ten beznadziejny człowieczek

przez sześć lat uczył mnie geometrii. Teraz bogowie wynagrodzili jego cierpliwość skrajnym ubóstwem.

Epimandos pospieszył do nas z winem, najwyraźniej zadowolony, że spotkałem przyjaciela, co pozwoli mi się na pewno odprężyć. Za późno było, żeby się stamtąd urwać. Musiałem uprzejmie pokonwersować; co oznaczało, że trzeba zaprosić byłego nauczyciela na posiłek. Przyjął nieśmiało zaproszenie, a ja starałem się nie przyglądać jego łachmanom. Wysłałem Epimandosa na drugą stronę ulicy, żeby przyniósł nam po gorącym daniu od Waleriana.

Zawsze był nieudacznikiem. Najgorszego rodzaju; kimś, komu nie dało się pomóc, kimś godnym politowania, nawet kiedy tobą poniewierał. Był okropnym nauczycielem. Możliwe, że znał świetnie matematykę, ale niczego nie potrafił wytłumaczyć. Próbując pojąć coś z jego długich tyrad, zawsze miałem uczucie, że przedstawia zadanie, do którego rozwiązania potrzeba trzech danych, a on pamiętał, by podać tylko dwie z nich. Zdecydowanie był to gość, u którego kwadrat przeciwprostokątnej nigdy nie równał się sumie kwadratów przyprostokątnych.

- Co za niespodzianka! - wychrypiałem, udając, że nigdy go nie widziałem, kiedy przez pięć lat odwiedzałem tę dziurę.

- Wielkie to dla mnie zaskoczenie - wymamrotałem, wchodząc w swoją rolę, podczas gdy pochłaniał zafundowany przeze mnie rosół.

Epimandos nie miał akurat nikogo do obsłużenia, więc usiadł obok kota i słuchał.

- Co się stało ze szkołą, Apoloniuszu? - spytałem.

Westchnął.

- Musiałem sobie darować. Zbyt dużo politycznej niepewności - oświadczył tym samym posepnym tonem, jak wtedy, kiedy narzekał na niewiedzę jakiegoś upartego dziecka.

- Masz na myśli zbyt niskie chesne?

- Młodzi ludzie pierwi cierpią z powodu wojny domowej - oświadczył.

- Młodzi ludzie cierpią i kropka - stwierdziłem ponuro.

- Jak się miewa twoja mała siostrzyczka? - zapytał po chwili Apoloniusz.

- Maja? Nie jest już taka mała. Pracowała dla krawcowej, potem wyszła za niechlujnego końskiego weterynarza. Zupełnie bez sensu. Szwagier pracuje dla faksji Zielonych, starając się, żeby ich koślawe chabety nie padły trupem na torze. Sam kaszle okropnie... pewnie od podbierania koniom ich maści - narzekałem. Apoloniusz był zupełnie zdezorientowany. Tkwił w innym od mojego świecie. - Pije - dodałem.

- Aha. - Teraz był zażenowany. - Bardzo bystra dziewczynka, Maja.

- To prawda - zgodziłem się. Choć nie przy wyborze małżonka.

- Nie pozwól, bym cię zanudzał - powiedział uprzejmie nauczyciel.

Przekląłem go w duchu, bo słowa te oznaczały, że będę musiał ciągnąć dalej tę pogawędkę.

- Powiem Mai, że cię spotkałem. Ma teraz czworo dzieci. Miłe maluchy. Dobrze je wychowuje.

- Nie wątpię. Była dobrą uczennicą, dobrą pracownicą, a teraz jest dobrą matką.

- Odebrała dobre wykształcenie - wydusiłem z siebie. Apoloniusz uśmiechnął się, jakby sobie pomyślał: Zawsze był dobry w retoryce!

- Uczyłeś może mojego brata i pozostałe siostry? - zapytałem pod wpływem nagłego impulsu. - Moja najstarsza siostra, Wiktoryna, zmarła niedawno.

Apoloniusz wiedział, że powinien oświadczyć, jak mu przykro, ale pogubił się, odpowiadając na moje pytanie.

- Możliwe, że któreś z nich, od czasu do czasu...

- Był problem z posyłaniem tych starszych do szkoły - powiedziałem, starając się mu pomóc wybrnąć z sytuacji. - Czasy były trudne.

- Ale ciebie i Maję zapisywano na każdy semestr! - wykrzyknął niemal z wyrzutem. Musiał to zapamiętać; na całym Awentynie byliśmy prawdopodobnie jedynymi regularnymi uczniami.

- Opłacano nam chesne - przyznałem.

Apoloniusz skinął energicznie głową.

- To ten starszy pan z Melite - nie omieszkał mi przypomnieć.

- Zgadza się. Myślał, że będzie mógł nas adoptować. Płacił za każdy semestr w nadziei, że kształci sobie spadkobierców.

- Adoptował was?

- Nie. Ojciec nie chciał o tym słyszeć.

Dobrze pamiętałem, że jak na człowieka, którego własne dzieci mało obchodziły, ojciec potrafił być wściekle zazdrosny. Jeśli coś przeszkrobaliśmy, groził, że sprzeda nas na gladiatorów, a przecież z dumą odrzucił usilne starania Meliteńczyka. Nawet po latach pamiętałem, jak się chełpi, mówiąc, że wolno urodzeni plebejusze mają dzieci, by się sprawdzić, a nie dla wygody innych osób.

Do awantur dotyczących posyłania Mai i mnie do szkoły dochodziło na krótko przed tym, kiedy się wściekł i nas zostawił. Sądziliśmy że to przez nas, i mieliśmy poczucie winy. Reszta rodzeństwa z satysfakcją wyzywała się na nas.

Po tym fatalnym dniu, kiedy tata poszedł na licytację i zapomniał drogi powrotnej do domu, matka nadal trzymała Meliteńczyka w niepewności... aż wreszcie ten się zorientował, że do żadnej adopcji nie dojdzie. Rozgoryczony zachorował i umarł. Z perspektywy czasu wydaje mi się to dość smutne.

- Czy dobrze się domyślam, Marku, że nie wszystko poszło jak trzeba? - spytał Apoloniusz.

- Owszem. Meliteńczyk sprawił nam trochę kłopotu.

- Naprawdę? Zawsze myślałem, że ty i Maja należycie do takiej szczęśliwej rodziny! - zdziwił się. Co tylko pokazuje, że nauczyciele nic nie wiedzą.

Obejmowałem mocno kubek z winem, ponownie owładnięty wspomnieniem niepokojów, jakie Meliteńczyk sprowadził kiedyś na nasz dom: tata wyrzekający na niego i wszystkich innych lichwiarzy, mama sycząca w odpowiedzi, że pieniądze od sublokatora są niezbędne. Później ojciec zaczął sugerować, że staremu tak bardzo zależało na nabyciu praw do Mai i do mnie, bo my dwoje byliśmy jego bękartami. Wywrzaskiwał to w jego obecności, dowcipkując bezsensownie. A przecież wystarczyło na nas spojrzeć; oboje z Mają mieliśmy rysy twarzy charakterystyczne dla Dydiuszów. Meliteńczyk znalazł się w niezręcznej sytuacji. Ponieważ tak bardzo pragnął mieć dzieci, czasami wmawiał sobie, że naprawdę jest naszym ojcem. Było to bzdurą i mama wyglądająca jak chmura gradowa nie pozostawiała w tej kwestii najmniejszych wątpliwości.

Nienawidziłem tego starego człowieka. Mówiłem sobie, że gdyby nie gniew, do jakiego doprowadził ojca, to adoptowałby mnie mój cioteczny dziadek Skaro. Pamiętając o wcześniejszych scysjach, dziadek był zbyt uprzejmy, by to w ogóle proponować.

Chciałem, żeby mnie adoptowano. To znaczy, jeśli nie zgłoszą się po mnie moi prawdziwi rodzice. Bo oczywiście wiedziałem, jak to jest zwyczajem dzieci, że w żadnym razie nie należę do tych ubogich ludzi, którzy tymczasowo mnie przechowywali w swoim domu; gdzieś tam czekał na mnie mój pałac. Moją matką była jedna z westalek, a ojcem tajemniczy heros, który mógł pojawiać się w postaci księżycowych promieni. Stary pasterz kóz znalazł mnie na brzegu rzeki; wyratowanie mnie z szalejącej wokół zawieruchy przepowiedziano w prorocztwie Sybilli...

- Zawsze byłeś marzycielem. Myślałem jednak, że jest dla ciebie jakaś nadzieja... - westchnął mój dawny nauczyciel. Zapomniałem, że gość potrafi być dowcipny.

- Wciąż ten sam sposób oceniania: okrutny, ale sprawiedliwy.

- Byłeś dobry z geometrii. Mógłbyś zostać nauczycielem.

- A kto miałby ochotę przymierać głodem? - rzuciłem gniewnie. - Jestem detektywem. Jestem równie ubogi, ale przynajmniej wciąż mam różne zadania do rozwiązania.

- Cóż, miło to słyszeć. Bo człowiek powinien robić to, co mu odpowiada - oznajmił Apoloniusz. Nic go nie wyprowadzało z równowagi i o nic się nie obrażał. - Co się stało z twoim bratem? - zapytał.

- Festus zginął na wojnie w Judei. Śmiercią bohatera, jeśli to robi na tobie wrażenie.

- Ha! Zawsze podejrzewałem, że nic dobrego z niego nie wyrośnie... - wyznał. Znów to cierpkie poczucie humoru! Oczekiwałem długiego ciągu anegdot, ale

stary stracił zainteresowanie tym tematem. - A teraz słyszę, że myślisz o założeniu własnej rodziny.

- Plotki krążą! A ja jeszcze nawet się nie ożeniłem.

- Życzę ci wszelkiej pomyślności - powiedział z powagą.

Kolejny już raz czyjeś przedwczesne gratulacje pchały mnie i Helenę w stronę kontraktu, którego właściwie jeszcze nie przedyskutowaliśmy. Z poczuciem winy zdałem sobie sprawę, że zarówno prywatnie, jak i publicznie jestem zobowiązany do przeprowadzenia planu, który ona postrzegała całkowicie odmiennie.

- To może nie być takie proste. Po pierwsze, jest córką senatora.

- Sądzę, że twój urok ją przekona. - Apoloniusz pojmował jedynie prostotę figur geometrycznych wyrysowanych na talerzu. Towarzyskie subtelności mu umykały.

Nie rozumiał, dlaczego mój ojciec, obywatel rzymski, miałby się wściekać na myśl o tym, że jakiś przybysz mógłby przejąć dwoje jego dzieci. I nie dostrzegał tych wszystkich nacisków, jakie mojej pani i mnie nie pozwalały być razem.

- No cóż, kiedy już będziecie mieli własne dzieci, to przynajmniej już wiesz, gdzie je posłać, żeby nauczyły się geometrii.

W jego ustach zabrzmiało to całkiem prosto. Założenia, które poczynił, były kuszące. Dawałem się ponieść przyjemności, jaką było spotkanie kogoś, kto nie uważał, że poślubienie przeze mnie Heleny to katastrofa.

- Będę pamiętał - obiecałem łagodnie, chcąc w ten sposób zrekompensować mu swoje odejście stamtąd.

34

Kiedy wróciłem do domu, zobaczyłem, że Helena obwąchuje tuniki. Nosilem je podczas podróży i właśnie wróciły z pralni na parterze.

- Junono, jak ja nie znoszę zimy! Rzeczy oddane do prania wracają w gorszym stanie, niż były. Nie wkładaj ich, zalatują pleśnią. Najwyraźniej za długo leżały w koszu wilgotne. Zabiorę je do rodziców i jeszcze raz wypłuczę.

- Och, moje po prostu powieś w drzwiach, to się przewietrzą. Nie zależy mi. Do niektórych miejsc, które dzisiaj odwiedziłem, nie pasowała nieskazitelna biel - powiedziałem i pocałowałem ją, co wykorzystała, żeby mnie też dla żartu obwąchać. Tak nam zeszło do kolacji.

Zgodnie z panującym w naszym domu zwyczajem ja kucharzyłem. Mieliśmy pół kurczaka, którego usmażyłem w oleju i winie, korzystając z brytfanny umieszczonej na ruszcie ceglanej kuchenki. Ziół żadnych nie mieliśmy, ponieważ kiedy należało je zbierać, byliśmy w podróży. Helena miała całą kolekcję drogich przypraw korzennych, ale trzeba by po nie pójść do domu jej rodziców. Zauważyłem, że w naszym mieszkaniu wszystko jest jeszcze bardziej dezorganizowane niż zazwyczaj. Jedliśmy, siedząc na stołkach i

trzymając miski na kolanach, ponieważ wciąż nie kupiłem nowego stołu. Jednak moje przechwałki wobec Junii nie były przesadzone: rzeczywiście posiadaliśmy imponujący serwis z czerwonej, pokrytej połyskliwą polewą gliny. Dla bezpieczeństwa trzymałem go w domu matki.

Na myśl o naszym serwisie ogarnęła mnie rozpacz. Wokoło piętrzyły się problemy i ta perspektywa trzymania u kogoś, możliwe że bezterminowo, naszej jedynej cywilizowanej własności, wydała mi się nie do zniesienia.

Helena musiała zauważyć moje przygnębienie.

- O co chodzi, Marku? - spytała.

- Nic takiego.

- Coś cię dręczy... i nie chodzi o to morderstwo.

- Czasami odnoszę wrażenie, że całe nasze życie, jak krucha ceramika, leży zagrzebane w słomce na poddaszu, czekając na przyszłość, której być może nigdy nam się nie uda doczekać.

- Ojej! Powinnam chyba przynieść twoją tabliczkę do pisania poezji, żebyś mógł napisać jakąś ładną, posępną elegię. - Helena kpiła sobie z moich melancholijnych wypocin, jakie latami wypisywałem; nie wiadomo dlaczego wołała, kiedy pisałem satyry.

- Posłuchaj, gołąbeczko, gdyby udało mi się uzyskać czterysta tysięcy sestercji i gdyby cesarz zechciał umieścić moje imię na liście ekwitów, to czy byłabyś skłonna mnie poślubić?

- Najpierw znajdź te czterysta tysięcy! - zareagowała odruchowo.

- No to mam swoją odpowiedź! - wymamrotałem posępnym głosem.

- Ach... - Helena odstawiła pustą miseczkę na podłogę i przyklękła obok mojego stołka. Ułożyła mi na kolanach swoją ciepłą czerwoną stolę i objęła mnie. Pachniała czysto i słodko, subtelną wonią rozmarynu, którego używała do płukania włosów. - Dlaczego czujesz się tak niepewnie? - zapytała. Milczałem. - Czy mam ci powiedzieć, że cię kocham?

- Nie zaszkodzi usłyszeć.

Powiedziała. Wysłuchałem. Dodała kilka szczegółów, które poprawiły mi humor. Helena Justyna znała się na retoryce.

- Więc o co chodzi, Marku?

- Może gdybyśmy byli małżeństwem, wiedziałbym, że na pewno do mnie należysz.

- Nie jestem kompletem dzbanków do wina!

- Nie jesteś. Na dzbanku mógłbym wydrapać swoje imię. A poza tym - ciągnąłem uparcie - wówczas ty miałabyś pewność, że ja należę do ciebie.

- Wiem o tym - powiedziała z lekkim uśmiechem. - No więc tak. Mieszkamy razem. Ty gardzisz moją pozycją, ja ubolewam nad twoją przeszłością, a przecież niemądrze wybraliśmy siebie nawzajem. O cóż więcej chodzi, kochany?

- Mogłabyś mnie porzucić, kiedy przyszłaby ci na to ochota.
- Albo ty mnie!
- Może w tym tkwi problem, Heleno - powiedziałem, zdobywając się na uśmiech. - Może się obawiam, że bez przyjętych kontraktowo zobowiązań, których trzeba dotrzymać, mógłbym kiedyś w gniewie odejść, a potem przez całe życie tego żałować.

- Kontrakt jest po to, by poczynić ustalenia na wypadek jego złamania - oznajmiła. Każde partnerstwo potrzebuje kogoś rozsądnego, kto utrzyma je w ryzach. - Zresztą za każdym razem, kiedy uciekasz, gnam za tobą i sprowadzam z powrotem - zażartowała.

Była to prawda.

- Chcesz się upić?

- Nie.

- To może - zareagowała odrobinę szorstko - tak naprawdę to chcesz siedzieć samotnie w nędznym mieszkaniu, sarkać, że życie jest niesprawiedliwe, i obserwować, jak żuk wspina się po ścianie? Och, doskonale rozumiem. Właśnie coś takiego podoba się detektywowi. Być samotnym i znudzonym i myśleć o swoich długach i o braku klientów, i o dziesiątkach pogardliwych kobiet, które go podeptały. To mu pozwala czuć się ważnym. Za dobrze ci, Marku Dydiuszu! Siedzisz sobie i dzielisz skromny, ale smaczny posiłek ze swoją czułą ukochaną. Najwyraźniej psuje ci to twoje przedstawienie. Może powinnam sobie pójść, żebyś mógł należycie sobie porozpaczać!

Westchnąłem.

- Po prostu potrzebuję czterystu tysięcy sestercji, których nijak nie mogę zdobyć!

- Pożycz - powiedziała Helena.

- Od kogo?

- Od kogoś, kto je ma. - Uważała, że jestem zbyt skąpy, żeby płacić odsetki.

- Mamy już dość kłopotów. Nie chcemy wyzionąć ducha pod brzemieniem długu. A teraz kończymy ten temat. - Objąłem ją mocniej i wysunąłem podbródek. - Zobaczmy, czy jesteś kobietą, która dotrzymuje słowa. Byłaś dla mnie nieuprzejma, wisienko... może przyszła kolej na trochę czułości?

Helena się uśmiechnęła. Już samym tym uśmiechem mogłaby się szcycić, ponieważ on jeden wystarczył, by moje samopoczucie się poprawiło. Zaczęła łaskotać mnie w szyję, przez co stałem się zupełnie bezbronny.

- Nie rzucaj takiego wyzwania, Marku - powiedziała - jeśli nie jesteś pewien, że potrafisz ponieść jego konsekwencje...

- Okropna z ciebie kobieta - jęknąłem, wykręcając głowę, by bez przekonania spróbować uniknąć jej dłoni. - Pozwalasz mi mieć nadzieję. A nadzieja jest zbyt niebezpieczna.

- Niebezpieczeństwo to twój naturalny żywioł - odparła.

Pod szyją jej szata odchyliła się nieco między przytrzymującymi ją na ramionach broszami; odsunąłem ją jeszcze bardziej i pocałowałem ciepłą, delikatną skórę.

- Masz rację, zima to posępny czas. Kiedy ubrania wracają z pralni, niektórzy wkładają ich na siebie za dużo... - narzekałem. Trzeba przyznać, że ponowne zdejmowanie ich z niej dostarczało niezłej rozrywki...

Poszliśmy do łóżka. Zimą, w Rzymie, w mieszkaniu nie mającym kanałów, które doprowadzają ciepłe powietrze z pieca pod podłogę, czy niewolników, którzy dorzucają do piecyków i pilnują żaru, nie bardzo jest co robić. Nie uzyskałem odpowiedzi na żadne z moich pytań, ale nie była to dla mnie nowina.

35

Gajusz Bebiusz nie przesadził, jeśli chodzi o liczbę przybijających statków, które trzeba było sprawdzić. Udałem się z nim do Ostii. Nie zamierzałem tam zostać, jedynie udzielić mu wstępnej zachęty, tymczasem przeraziły mnie stosy zwojów, jakie koledzy mojego szwagra z satysfakcją dla nas przygotowali.

- Na Jowisza, uginają się pod nimi jak Atlas pod ciężarem globu! Ile tego jeszcze? - spytałem.

- Kilka - odparł. Co oznaczało, że setki. Szwagier nie lubił denerwować ludzi.

- Przez ile lat trzymacie te papiery?

- Och, mamy je wszystkie, odkąd tylko August wymyślił sobie podatek od towarów importowanych.

- Zdumiewające! - oświadczyłem, starając się, by w moim głosie słychać było uznanie.

- Czy dowiedziałeś się imienia pośrednika, z którego usług Festus korzystał?

- Nie - rzuciłem ze zniecierpliwieniem. Zupełnie wyszło mi to z głowy.

- Wolałbym nie czytać dwukrotnie tej góry papierów... - marudził szwagier.

- Musimy poradzić sobie bez tego.

Ustaliliśmy, że ja będę przesuwiał kciukiem po listach, sprawdzając nazwy statków, podczas gdy Gajusz będzie powoli oglądał kolumny z imionami osób, które je wynajęły. Miałem nieprzyjemne uczucie, że taki podział doprowadzi do pominięcia czegoś istotnego.

Na szczęście powiedziałem Helenie, że w razie konieczności ma mnie wezwać... i żeby pojęcie „konieczność” traktowała dość szeroko. Już następnego ranka przyszła wiadomość, że mam wracać, by się zobaczyć z Geminusem.

- Przykro mi. To bardzo nie w porę, ale muszę wracać. Inaczej złamię warunki zwolnienia za kaucją...

- Nic nie szkodzi, znikaj.

- Dasz sobie radę sam?

- O tak.

Gajusz najwyraźniej uznał, że zbyt pobieżnie przerzucam dokumenty. Był zadowolony, że się wynoszę, bo pozwoli mi to posuwać się własnym beznadziejnie powolnym tempem. Zostawiłem go, żeby mógł odgrywać ważniaka przed swoimi okropnymi koleżkami z urzędu celnego, a sam popędziłem do Rzymu.

Prośba Geminusa o spotkanie okazała się autentyczna.

- Przecież nie posłałabym fałszywej informacji, kiedy pracujesz! - obruszyła się Helena.

- Oczywiście, ukochana... Więc co jest takiego pilnego?

- Geminus obawia się, że ludzie, którzy przerwali poprzednią licytację, planują ponowny atak.

- Nie mów, że zmienił zdanie i chce, bym mu pomógł?

- Po prostu nie daj sobie zrobić krzywdy! - szepnęła Helena, tuląc się do mnie i nie kryjąc niepokoju.

Kiedy dotarłem do Saepta lulia, wydawało mi się, że licytatorzy wymieniają na mój widok znaczące spojrzenia. Panowała jakaś niepokojąca atmosfera. Ludzie stali w małych grupkach i plotkowali; kiedy ich mijałem, milkli.

Okazało się, że tym razem napastnicy włamali się w nocy do magazynu i zniszczyli towar. Gornia, główny tragarz, znalazł trochę czasu, żeby mi opowiedzieć o tym, jak to rano odkrył szkody. Większość bałaganu już uprzątnięto, widziałem jednak dość połamanych mebli, by odgadnąć, że straty są poważne. Skorupy z rozbitych naczyń wypełniały kilka stojących na chodniku kubłów, a potłuczone szkło chrzęściło pod czyjąś miotłą. Wyroby z brązu oszpecono malunkami. W szerokim wejściu stał ogrodowy posąg Priapa, pozbawionego, jak ujmują to w katalogach, swojego atrybutu.

- A gdzie Geminus? - spytałem.

- W środku. Powinien odpoczywać. Przemów mu do rozumu, proszę.

- Sądzisz, że się da?

Przecisnąłem się pomiędzy stosem ławek i stojącym na sztorc łożem, zrobiłem krok nad miedzianymi rondlami, zawadziłem uchem o wypchany niedźwiedzi łeb, schyliwszy głowę, przemknąłem pod zwisającymi krzywo z belki taboretami i klnąc, przedarłem się do kolejnego pomieszczenia. Zobaczyłem tam tatę na kolanach; zbierał starannie kawałki kości słoniowej. Twarz miał szarą, choć natychmiast przybrał pewną siebie minę, kiedy zakasłałem, żeby zwrócić na siebie uwagę. Spróbował wstać. Przeszkodził mu ból. Chwyciłem go jedną ręką i pomogłem się podnieść.

- Co ci jest? - spytałem.

- Oberwałem kopniaka w żebra...

Znalazłem kawałek wolnej ściany, gdzie mógł się oprzeć, i tam go ustawiłem.

- To znaczy, że byłeś tutaj, kiedy się to wydarzyło?

- Spałem na górze.

- Helena powiedziała, że spodziewałeś się kłopotów. Dlaczego mi nie dałeś znać, przynajmniej byłbym tu z tobą.

- Masz własne problemy.

- Wierz mi, ty jesteś jednym z nich!

- O co się tak złościysz?

Jak zwykle, kiedy miałem do czynienia z krewnymi, nie wiedziałem, o co im chodzi.

Sprawdziłem, czy nie ma otwartych skaleczeń albo złamań. Był wciąż zbyt roztrzęsiony, żeby się opędzić ode mnie, choć próbował protestować. Na prawym ramieniu miał monstrualnego sińca, kilka rozcięć na głowie i te obite żebra. Wiedziałem, że przeżyje, ale nie zniósłby wiele więcej. Był zbyt obolały, żeby wejść do swojego biura na piętrze, zostaliśmy więc na dole.

- Widzę tu sporo wolnego miejsca - stwierdziłem. - Czy to znaczy, że tyle zdewastowano zeszłej nocy czy że ostatnio w ogóle tracisz klientów?

- Jedno i drugie. Roznosi się, kiedy ktoś traci ducha.

- Więc coś jest nie w porządku?

Popatrzył na mnie znacząco.

- Przecież cię wezwałem, prawda?

- Musi być rzeczywiście kiepsko. A ja myślałem, że chcesz tylko sprawdzić, czy nie złamałem warunków zwolnienia za kaucją.

- W ogóle bym cię o to nie podejrzewał - powiedział ojciec, uśmiechając się. - Należysz do tych chojraków, którzy są przekonani, że potrafią oczyścić się z zarzutów.

- Lepiej żeby tak było, skoro chodzi o morderstwo.

- A ponieważ chodzi o moje pieniądze, lepiej żebyś nie dał drapak!

- Spłacę te przekłete pieniądze - rzuciłem. Znowu się kłóciliśmy. - Nie prosiłem, żebyś się wtrącał! Jeśli znajdę się w rozpaczliwej sytuacji, mama zawsze mi pomoże, kogoś przekupując...

- To musi boleć!

- Bardzo - przyznałem. - O bogowie, jak to się dzieje, że wpadam w te tarapaty? - westchnąłem zdegustowany.

- Czysty talent! - zapewnił mnie tata. On też oddychał ciężko i powoli się uspokajał. - To kiedy rozwiążesz zagadkę tego morderstwa? - zapytał. Skrzywiłem się w odpowiedzi. - Helena przysłała wiadomość - zmienił temat - że musi cię sprowadzić z Ostii. Przegryłeś coś po drodze, czy może masz ochotę skończyć za mnie moje drugie śniadanie? Po tym, jak mnie obili, nie byłem w stanie patrzeć na jedzenie, a nie chcę, żeby ta w domu zaczęła...

Niektóre tradycje przetrwały, niezależnie od składu osobowego rodziny.

Kiedy wychodził, mama zawsze dawała mu wałówkę w koszyku. Jeśli spał poza domem, strzegąc jakiegoś szczególnie cennego towaru, zawsze wysyłała jedno z nas z chlebem, serem i zimnym mięsem. Teraz rudowłosa szykowała mu codziennie prowiant do zabrania... zapewne już nie po to, żeby trzymał się z dala od drogich lokali, tylko dlatego, że był do tego przyzwyczajony.

Nie znosiłem, kiedy wciągano mnie w takie domowe układy. Niestety, Helena wysyłała mnie bez prowiantu i umierałem z głodu. Rzuciłem się na jego posiłek.

- Dzięki - powiedziałem. - Mama się ucieszy, jak jej powiem, że nie dorównuje to klasą jej produktom.

- Zawsze byłeś ujmujący - westchnął tata.

Mówiąc szczerze, żył na niezłym poziomie. Kiedy już pochłonąłem zimne cynaderki zawinięte w bekon i kilka kawałków ciasta moszczowego w pikantnym sosie, ojciec doszedł do siebie na tyle, żeby oświadczyć:

- Buraczki możesz zostawić.

To mi przypomniało, że zawsze za nimi przepadał.

- Oczywiście, proszę... Boczek zaspokoił mój pierwszy głód, ale przydałoby się czymś go popić.

- Na górze - powiedział tata. - Musisz sam się tam pofatygować.

Poszedłem do biura. Tu przynajmniej nie było żadnych śladów opryszków, możliwe więc, że interwencja ojca powstrzymała ich od dotarcia tak daleko. Na pewno spróbowaliby się włamać do szkatuły. Istniała jednak możliwość, pomyślałem z niepokojem, że zechcą po nią wrócić.

Ciągle jeszcze szukałem butli z winem, kiedy Geminus zdecydował się przywlec tam za mną. Kiedy wszedł, przyglądałem się ofercie specjalnej tygodnia.

Było to jedno z tych naczyń, jakie uwielbiał, pomalowane na ciepły bursztynowy kolor z ciemniejszymi płaskorzeźbami w kilku ziemistych odcieniach. Ustawił je na dość solidnym cokole. Wyglądało na bardzo stary joński wyrób, choć widziałem podobne wystawione na sprzedaż w Etrurii. Miało klasę. Ładna pasiasta nóżka, potem podstawa z kwietnym ornamentem, a nad tym brzusec ukazujący scenę, w której Herakles prowadzi Cerbera Eurysteuszowi, a tebański król jest tak przerażony, że wskakuje do wielkiego czarnego kotła. Postaci były pełne życia; Herakles miał lwią skórę i maczugę, a Cerber wyglądał na zwierzę strzegące bram Hadesu, jego trzy łby różniły się odcieniami użytej farby. Gdyby nie ten nadmiar głów i wijący się nakrapiany węzowy ogon, byłby bardzo podobny do psa Junii, Ajaksa. Naczynie było bezsprzecznie piękne. Odczuwałem jednak pewien niedosyt.

Geminus zauważył moją zmarszczoną brew.

- Niewłaściwe uchwyty! - oświadczył.

- Aha! - już rozumiałem. Najstarsza historia w świecie podróbek. - Wiedziałem, że coś jest nie tak. Więc twój człowiek od renowacji musi się

poduczyć historii sztuki?

- Jest przydatny- powiedział. Obojętny ton stanowił dla mnie ostrzeżenie, że nie mam drążyć tematu; wchodziłem na pole zawodowych tajemnic.

Mogłem odgadnąć. Czasami jakiś wystawiony na sprzedaż obiekt ma niepewną historię albo wątpliwe pochodzenie. Czasami lepiej go odpowiednio przygotować, zanim pokaże się go publicznie: zmienić palmetę z brązu na liść akantu; wymienić głowę posążkowi; dać srebrnemu trójnogowi kopyta satyra zamiast lwich łap. Wiedziałem, że tak się robi. Czasami to ja byłem zawiedzionym członkiem publiczności na licytacji, który coś podejrzewa, ale nie jest w stanie udowodnić oszustwa.

Znajomość podobnych procedur okazywała się niezbędna w pracy detektywa. Zdarzało mi się poszukiwać skradzionych dzieł sztuki, choć nigdy nie było to zajęcie popłatne. Kolekcjonerzy starali się zapłacić jak najmniej i na wszystkim robić dobry interes. Znużyło mnie przedstawianie listy poniesionych kosztów po to tylko, by usłyszeć, że mogłem się lepiej postarać za takie pieniądze. Większość ludzi, którym skradziono skarby, miało mnóstwo tupetu, ale to byli nowicjusze. Prawdziwy koneser w Saepa Julia uznałby udzielenie mu specjalnego dziesięcioprocentowego upustu za obrazę.

- Nie jest tak, jak myślisz - odezwał się niespodziewanie mój ojciec. - Dostałem to za nic. Brakowało całej góry. Mój człowiek ją dorobił, ale to głupiec. Przy takiej szerokiej szyjce konieczne są pętle przy brzuscu... - Gestem pokazał, gdzie ucha powinny być umieszczone. A te uchwyty wyrastały z szyi jak przy amforze. - Gość nie potrafi odróżnić wazy od przekłętą dzbana, taka jest prawda. Jest na sprzedaż, w stanie, „jaki każdy widzi” - dodał, widząc moją sceptyczną minę. - Naturalnie wspomnę o tym, co przy niej zrobiono... chyba że mi się klient nie spodoba!

Ograniczyłem komentarz do jednego zdania.

- Odnoszę wrażenie, że nasz heros uwiązał sobie Cerbera na bardzo cienkim sznurku!

Tata wyciągnął swoją rytualną już tacę i znowu zasiedliśmy po obu jej stronach, trzymając w rękach te absurdalne czarki do wina.

Spróbowałem mocniejszego synowskiego podejścia.

- Przestań się zachowywać jak jakaś zakuta pała. Tym razem musisz mi powiedzieć, co tu się dzieje.

- Masz gadane jak twoja matka.

- Komuś najwyraźniej się nie podobasz, ojciec - mówiłem cierpliwie. - I nie chodzi tu o mnie!

- Ktoś chce trochę pieniędzy - zadrwił mój szacowny rodzic. - Których ja nie chcę dać.

- Za ochronę?

Zamrugnął.

- W zasadzie nie. Opłacenie się na pewno uchroniłoby mnie od tego rodzaju strapienia, ale nieporozumienie nie na tym polega.
- Aha, więc jest jakieś nieporozumienie? - zapytałem.
- Było.
- Zostało rozwiązane?
- Czasowo.
- Więc teraz zostawią cię w spokoju?
- Na jakiś czas.
- Jak to osiągnąłeś?
- Prosto - odparł Geminus. - Kiedy wczoraj wieczorem się do mnie dobrali, powiedziałem, że osobą, z którą tak naprawdę mają na pieńku, jesteś ty.

36

Postarałem się, żeby moja twarz wyrażała rzymską nieugiętość i spokój.

- O co chodzi, synu? Mucha ci wpadła do nosa?
- Nie zamierzam się w to mieszać.
- Musisz. Tkwisz w tym... po same uszy.
- Wycofuję się - oświadczyłem.
- Obawiam się, że nic z tego - zauważył. Przynajmniej tym razem miał minę winnego. - Niemożliwe.

To było niedorzeczne. Wkrótce Marponiusz ustali termin rozprawy; powinienem wracać do Ostii i starać się oczyścić swoje imię.

Dlaczego w ogóle znalazłem się w tym całym bagnie? Powinienem mieszkać ze swoją ukochaną w jakiejś spokojnej posiadłości poza miastem, gdzie moją największą rozterką byłoby, czy mam zająć się korespondencją, czy obrać jabłko dla Heleny, a może wyjść i popatrzeć, jak rośnie winorośl.

- Wyglądasz na zdenerwowanego, synu.
- Wierz mi, nawet zanim usłyszałem te wieści, też nie rozpierało mnie z radości!
- Przecież jesteś stoikiem - zauważył.

Wiedziałem, że ojciec nie miał nigdy upodobania do filozofii. To typowo rzymskie uprzedzenia, oparte na prostej koncepcji, że wszelka myśl stanowi zagrożenie.

Wydałem ze złości policzki.

- Pozwól, że spróbuję pojąć, co się dzieje. Znasz pewnych niebezpiecznych ludzi, którzy mają do ciebie jakieś stare zapiekłe pretensje, a ty ich właśnie byłeś uprzejmy poinformować, że to do mnie powinni się zwrócić, jeśli chcą odzyskać swój dług? To miło z twojej strony, że zechciałeś mnie ostrzec, Dydiuszu Geminusie! Ileż w tym ojcowskiej troski!

- Wywiniesz się z tego.
- Mam nadzieję! Jak już rozprawię się z rozbijaczami licytacji, rozejrzę się,

kogo jeszcze trzeba dorwać. Radzę, żebyś sam zaczął się żwawiej poruszać.

- Okaż odrobinę synowskiego oddania - poskarżył się ojciec. - Odrobinę szacunku!

- Brednie! - zachnąłem się.

Obaj dyszeliśmy ciężko. Sytuacja była absurdalna. Kiedyś, przysiągłem sobie, już nigdy się do ojca nie odezwę. Teraz siedziałem w jego biurze, w towarzystwie zaciekawionych egipskich bogów, zerkających ponad moim ramieniem z jakichś bezsensownych czerwono-żółtych mebli, i pozwalałem mu się obarczać Herkules wie jakimi kłopotami.

- Czy to ci legionieści zorganizowali napad na ciebie? - spytałem.

- Nie - powiedział tata pewnym głosem.

- Więc nie ma to związku ze śmiercią Cenzoryna?

- Z tego, co wiem, nie. Pomożesz mi?

Rzuciłem przekleństwem, wcale nie pod nosem. Gdybym tylko był konsekwentny w swojej dla niego pogardzie, mógłbym tego wszystkiego uniknąć. Powinienem natychmiast stąd odejść.

Odpowiedź na jego pytanie jednak była tylko jedna.

- Skoro masz problem, to oczywiście ci pomogę.

- Dobry z ciebie syn! - oświadczył Geminus z uśmiechem zadowolenia.

- Dobry ze mnie detektyw. - Mówiłem przyciszonym głosem i trzymałem nerwy na wodzy. - Tego rodzaju praca wymaga profesjonalisty.

- Czy to znaczy, że ją wykonasz? - dopytywał się.

- Tak, ale ponieważ próbuję ratować swoją skórę w związku z inną sprawą, nie mogę poświęcić dużo czasu oszustwom związanym z licytacjami - zacząłem. Na pewno wiedział, co usłyszy, zanim jeszcze mu wyłuszczyłem, o co chodzi. - Jeśli mam zakłócić swój harmonogram, by się zająć twoimi sprawami, musisz mi zapłacić najwyższe stawki.

Ojciec odchylił się do tyłu i wlepił wzrok w sufit, jakby nie dowierzał własnym uszom.

- To nie jest mój syn! - zawołał.

Na nieszczęście dla nas obu nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że nim jestem.

- Jeśli ci to nie odpowiada, pozostaje ci typowa ojcowska zagrywka. Proszę bardzo... wydziedzicz mnie! - zakpiłem.

Nastąpiła chwila niepewnego milczenia. Szczerze mówiąc, nie miałem pojęcia, co się stanie po śmierci ojca z dorobkiem jego wieloletniej pracy. Znając go, domyślałem się, że w ogóle o tym nie pomyślał. Pewnego dnia czekało mnie uprzątnięcie kolejnego bałaganu. By tego uniknąć, w duchu spełniłem swój obowiązek, życząc mu jak najdłuższego życia.

- Rozumiem, że cierpisz na brak funduszy - oświadczył z uśmiechem, znowu

gładki w obejściu człowiek. Przesunął dłonią po potarganych siwych kędziorach. - No cóż, od czego są ojcowie? - rzucił lekko. Od wielu rzeczy, których nigdy od niego nie zaznałem. - Wynajmę cię, jeśli tak trzeba. Jakie są te stawki, o których tyle słyszymy? - Powiedziałem mu, przeprowadzając w głowie szybką kalkulację i mnożąc wynik przez trzy. (Cóż, w końcu chciał, żebym się ożenił). Zagwizdał oburzony - Nie dziwota, że nie masz klientów - zauważył. - Twoje stawki są nie do przyjęcia!

- Nie bardziej niż twój procent od zlicytowanych obiektów... i ja wkładam w swoją pracę dużo więcej wysiłku. Ty jedynie głośno krzyczysz i wprowadzasz ludzi w błąd. Detektywom potrzebny jest sprawny mózg, mocne ciało i nos do interesów.

- I mnóstwo tupetu! - dodał.

- No to umowa stoi - powiedziałem szybko.

To, czego dotyczyła, nie zostało jeszcze ujawnione. Nie przeszkadzało mi to. Moi klienci zazwyczaj bywali nieśmiali. Zadawanie pytań klientom stanowiło pierwszą część mojego zadania i było na ogół najtrudniejsze. W porównaniu z tym wyciskanie informacji od zwykłych złoczyńców, oszustów i oprychów było łatwizną.

Tata dołał sobie wina.

- Wypijemy za to? - spytał.

- Zachowam trzeźwość, skoro mam się brać do pracy.

- Mówisz jak jakiś skromniś.

- Mówię jak ktoś, kto chce zachować życie. - Wyciągnąłem rękę i chwyciłem go za nadgarstek, nie pozwalając unieść czarki. - Powiedz mi teraz, na czym ma polegać ta robota.

- Nie spodoba ci się! - zapewnił mnie z zadowoleniem.

- Sam zadbam o swoje emocje. Ty bądź uprzejmy podać szczegóły!

- Nie powinienem był cię w to wciągać.

- Zgadza się. Należało trzymać język za zębami, kiedy ci dranie dobrali ci się do skóry... - mówiłem, znowu wpadając w złość. - O co chodzi, tato?

W końcu mi powiedział, ale i tak musiałem wyciskać z niego szczegóły, jakbym tłoczył olej z oliwek w zaciętej prasie.

- Sprawa wygląda tak. W świecie sztuki wszystko wymaga czasu. Kiedy ludzie zamawiają jakieś dzieło, nie oczekują szybkiej dostawy, nie ma więc pośpiechu i jest zwyczajem zostawiać sprawy własnemu biegowi.

- Kiedy zaczął się obecny maraton?

- Kilka lat temu. Pewni ludzie zgłosili się do mnie z zapytaniem. Zbyłem ich. Powiedziałem, że to nie mój problem. Nie uwierzyli. W tym roku najwyraźniej sobie przypomnieli, że muszą coś z tym zrobić, i wrócili. Bardziej natarczywi.

Zazgrzytałem zębami.

- Bardziej świadomi tego, że tracą gotówkę? Na tym czymś, cokolwiek to jest

- dodałem, chociaż wiedziałem.

- Właśnie. Stali się agresywni, więc ostro zareagowałem.

- To znaczy?

- Cóż, powiedziałem, żeby się odczepili.

- Używając pikantnego języka?

- Mogli tak uważać.

- No ładnie! I co potem?

- Jakiś czas był spokój. Potem zaczęły się najścia na licytacje. Zeszłej nocy był to magazyn... i atak na mnie.

- Możliwe, że zeszłej nocy dopisało ci szczęście. Odczytaj sobie znaki z wątroby owcy, tato. Jeśli ci ludzie nie zostaną wkrótce w jakiś sposób usatysfakcjonowani, ktoś może odnieść poważniejsze obrażenia. Z tego, co powiedziałaś wcześniej, teraz dobiórą się do mnie, tak?

- Ty jesteś twardy.

- Ale nie jestem półbogiem! I szczerze mówiąc, nie mam ochoty spędzać życia na oglądaniu się przez ramię, czy nie zobaczą jakichś drabów z nabitymi gwoździami pałkami, którym uśmiecha się polowanie na ulicach.

- Im nie zależy na rozlewie krwi.

- Dzięki za uspokajające słowa, ale możesz je skierować do swoich skopanych zeber! Wcale nie jestem o tym przekonany. W gospodzie U Flory był martwy żołnierz, który być może nieumyślnie im się naraził. To mnie martwi...

- I mnie to niepokoi - zawołał mój ojciec. - Jeśli masz rację, to było niepotrzebne!

- Wolałbym, żeby za tydzień ludzie nie stali wokół mojego stosu pogrzebowego i nie wypowiadali tych samych słów! Za chwilę zacznę żądać od ciebie imion... najpierw jednak mam podstawowe pytanie, ojcze. - Poczuję się urażony tonem mojego głosu, jakbym był kompletnie nieczuły. Starłem się mówić spokojnie. - Powiedz mi jedno: czy ten twój problem ma jakiś związek z moim braciszkiem Festusem i jego zaginionym Fidiaszem?

Z szerokiego repertuaru umiejętności ojciec wy dobył zdumiony wyraz twarzy.

- Skąd ci to przyszło do głowy? - zapytał.

Przymknąłem oczy.

- Skończmy z odgrywaniem farsy, dobrze? Kości na stół!

- To dość proste - oświadczył ustępliwie. - Ludzie, którzy chcą z tobą rozmawiać, to Kasjusz Karus i Ummidia Serwia. Para. Nie zadają się z byle kim, a w interesach uważają się za osoby wpływowe. Mają duży dom i własną galerię sztuki, ładną posiadłość przy Drodze Flamińskiej. Kolekcjonują posągi. Festus upatrzył ich sobie na nabywców swojego Posejdona.

Jęknąłem w duchu.

- Jak daleko to zaszło? - zapytałem.

- Bardzo daleko.
 - A wpływowi ludzie nie lubią być nabierani?
 - Nie. Zwłaszcza jeśli zamierzają poszerzać kolekcję... co, jak wiesz, niesie pewne ryzyko. Ludzie chcą mieć dobrą reputację. Nie życzą sobie, by ich błędy stały się publicznie znane.
 - A nabrano ich? - zapytałem.
 - Pewnie tak sądzą. Karus i Serwia spodziewali się otrzymać ten towar. A potem Festus stracił statek, więc towaru nie dostarczył.
 - A tamci dokonali już zapłaty?
 - Niestety tak.
- Skrzywiłem się.
- No to zdecydowanie zostali nabrani... i mają prawo nas nękać. Ile, jeśli nie jest to zbyt zuchwałe pytanie, my dwaj uczciwi mediatorzy mamy wskrobać?
 - Och... powiedzmy, że pół miliona - wymamrotał tata.

37

Kiedy opuszczałem Saepta Iulia, powietrze było przejmująco zimne. Niewiele brakowało, a zaszedłbym do łaźni Agryppy, ale zniechęciła mnie perspektywa pieszej wędrówki w zimowy wieczór po tym, jak się miło rozgrzeję. Lepiej będzie wykonać najpierw ciężką robotę, a potem dopiero się odprężyć.

Tata zaproponował, że mnie podrzuci do trzynastej dzielnicy w swojej ozdobnej lektyce, ale wybrałem spacer. Miałem wszystkiego dość. Chciałem być sam. Musiałem pomyśleć.

Helena na mnie czekała.

- Szybki całus, kochanie, i znikamy - rzuciłem od progu.
- Co się stało?
- Moja praca to zajęcie tylko dla dorosłych! Najpierw matka zatrudnia mnie, bym udowodnił, że Festus nie jest przestępcą. Teraz ojciec wynajmuje mnie dlatego, że Festus zapewne nim jest.
- Przynajmniej brat zapewnia ci pracę - oświadczyła moja ukochana, niepoprawna optymistka. - Czy dlatego idę z tobą, żeby ci pomóc?
- Nie. Ten naprzykrzony Geminus wskazał mnie jako osobę odpowiedzialną za Fidiasza. Jacyś nerwowi wierzyciele mogą już się tu wybierać. Na razie trzeba cię ulokować w jakimś bezpiecznym miejscu. Zabiorę cię do tych krewnych, do których zechcesz.

Wybrała powrót do mojej mamy Zabrałem ją tam; zbyłem matczyne pytania; obiecałem im obu, że się zjawię, kiedy tylko będę mógł, po czym w gęstniejących ciemnościach pomaszerowałem ku Celiusowi.

Teraz już byłem zdecydowany wytropić przyjaciół brata, tych obmierzłych pacykarzy.

Zajrzałem do Dziewicy, bez sukcesu.

Zajrzałem do innych miejsc, gdzie bywali Wargha i Manliusz, tam jednak też ich nie było. Nużące zajęcie, ale w mojej pracy to standard. Prowadzenie śledztwa składa się głównie z serii porażek. Trzeba mieć grube buty i mocne serce oraz nadzwyczajną zdolność do niezasypiania, kiedy się tkwi w jakiejś omiatanej wiatrem pergoli, mając nadzieję, że ten dźwięk skradania, który słyszymy, to jedynie szczur, a nie człowiek z nożem i przez cały czas wiemy, że nawet jeśli ta osoba, na którą czatujemy, się pojawi, to i tak to wszystko okaże się stratą czasu.

- Dlaczego nie pójdziesz wprost do tych kolekcjonerów sztuki i nie wyjaśnisz sprawy? - spytała mnie wcześniej Helena.

- Pójdę - odpowiedziałem. - Tylko najpierw muszę mieć coś do zaoferowania.

Ustawiłem się przed wyjątkowo podłą kamienicą, w której wynajmowano klitki, w najgorszej części jednej z nędznych dzielnic tego bezdusznego miasta i wydało mi się zupełnie nieprawdopodobne, by taki szczególnie, stary grecki posąg mógł tkwić gdzieś tutaj i z palcami równie zimnymi jak moje czekać, aż go przewiozą w bardziej wytworne miejsce.

Stałem na czatach przez wiele godzin. A to bardzo długo jak na zimny marcowy czwartek. Ulica była ciemna. Krótka, wąska i cuchnąca; łatwo ją było porównywać z życiem. Nocne życie kwitło: pijaczki, cudzołożnicy, kolejne pijaczki, koty, które uczyły się od cudzołożników, jeszcze bardziej pijane pijaczki. Pewnie też pijane koty. Wszyscy, których widziałem wokół, zaglądali wcześniej do amfory, co doskonale rozumiałem. Wszyscy czuli się zagubieni. Psy, koty, ludzie. Nawet brygada straży pożarnej wlokąca się z pustymi w połowie kubłami, zapytała mnie o drogę do ulicy Ostrygowej. Udzieliłem im precyzyjnych wskazówek, po czym patrzyłem, jak ich dymiąca pochodnia znika zupełnie gdzie indziej. Poszli do tawerny, na jednego szybkiego; ogień pożaru mógł sobie dalej szaleć.

Dziwka zaproponowała mi jeden szybki innego rodzaju, ale udało mi się wykręcić problemami z instalacją wodno-kanalizacyjną mojego organizmu. Zachichotała i zarzuciła mnie medycznymi teoriami, które wywołały u mnie rumieńce. Powiedziałem, że jestem jednym z nocnych strażników, zakłęła więc siarczyście i powlokła się dalej. Za rogiem, gdzie ulice były szersze, nawet normalny conocny łoskot wozów dostawczych wydawał się dziś cichszy. Z oddali, w mroźnym powietrzu, rozległ się ostry dźwięk pretoriańskiej trąbki, oznajmiającej zmianę warty w ich wielkim obozie. Nad moją głową, tam, gdzie powinny być gwiazdy, wisiała głęboka czerń.

W końcu przechodnie przemykali coraz rzadziej. Stopy miałem przemarznięte. Nogi zbyt zmęczone, żeby przytupywać. Włożyłem dwa płaszcze i trzy tuniki, ale chłód przeniknął wszystko. Byłem spory kawałek od

rzeki, a mimo to mgła wsączyła mi się do płuc. Wiatru nie było; tylko to nieruchome, zwodnicze zimno jak bestia wyżerająca ci serce, kiedy stoisz bez ruchu.

Była to noc, kiedy zawodowi włamywacze po wystawieniu nosa na zewnątrz postanawiali zostać w domu ku irytacji swoich żon. Kobiety ze złamanym sercem kręciły się zapewne przy moście Emiliusza, czekając na stosowny moment, żeby cichaczem pokonać balustradę i skoczyć w nicość. W taką noc włóczędzy wypluwają płuca, kaszląc w bramach wiodących do Cyrku. Zagubione dzieci i zbiegli niewolnicy kulą się pod ogromnymi, czarnymi murami cytadeli, wślizgując do Hadesu zupełnie przypadkowo, kiedy zapomną oddychać. Nie było śnieżycy; nawet deszcz nie padał. Pomimo to ta noc była gorzka, złowroga, żałosna, a ja czułem się fatalnie.

W końcu postąpiłem wbrew regułom. Podszedłem do domu, w którym mieszkali malarze, otworzyłem skrzypiące drzwi, po omacku powędrowałem schodami na górę (na szczęście, kiedy byłem tu poprzednio, policzyłem piętra), odnalazłem ich pokój, spędziłem długą chwilę na próbach sforsowania zamka, nim zauważyłem, że w ogóle nie jest zamknięty, i w końcu zasiadłem w ciemnościach, czekając na ich powrót. Przynajmniej miałem dach nad głową.

38

Manliusz i Warga wracali do domu późną nocą, rozbawieni, spierając się na cały głos z innymi przedstawicielami braci artystycznej, jakby był środek dnia. Usłyszałem skrzypienie otwieranej okiennicy i czyjś wrzask; odpowiedzieli ze spokojem niewiniątek, co oznaczało, że nie pierwszy raz narażają się na obelgi. Nie mieli poczucia czasu. Ani poczucia przyzwoitości, ale to już wiedziałem, będąc świadkiem jak naciągali Festusa na wino.

Reszta towarzystwa ruszyła dalej, zostawiając za sobą tych dwóch, którzy zaczęli się wdrapywać na schody. Siedziałem, słuchając, jak się zbliżają nierównym krokiem. Detektywi nie znoszą takiej chwili: siedzenia w ciemności w oczekiwaniu na jakieś kłopoty.

Sporo już o nich wiedziałem. Każdy, kto włamał się do ich pokoju, musiał się potknąć o jakąś porzuconą amforę. Pomieszczenie pachniało kwaśno. Mieli niewiele ubrań i nieczęsto korzystali z usług pralni. Byli aktywni w tak nietypowych godzinach, że kiedy pomyśleli o kąpielu, to nawet łaźnie publiczne były już zamknięte. Roztaczali własny intensywny odór i tkwili pośród złożonej mieszanki zapachów różnych barwników: ołowiu, żywicy palmowej, żółci, startej muszli i kredy, a także wapna, gipsu i boraksu. Jadali tandetne potrawy, z dużą ilością czosnku i karczochów, od których człowiek ma wiatry i psuje powietrze.

Wtoczyli się do środka, upstrzeni farbami, wymieniając sprośne uwagi na tematy polityczne. Dym z żywicznej pochodni dołączył do obecnych tu już

zapachów, a jej światło pozwoliło mi zobaczyć, że jest to wieloosobowy pokój. Niewielką przestrzeń zapchano trzema czy czterema wyrkami, choć wyglądało na to, że obecnie tylko ci dwaj są tu lokatorami. Nie okazali zaskoczenia, kiedy mnie zobaczyli. Nie protestowali. Przyszedłem z amforą. No cóż, już wcześniej miewałem do czynienia z typkami należącymi do branży twórczej.

Jeden był wysoki, drugi niski, obaj mieli nagie ramiona, nie z powodów narcystycznych, ale dlatego, że nie stać ich było na płaszcz. Nosili brody, by wyglądać na zuchwałych. Mieli około trzydziestki, ale sposób bycia młodzieniaszków i infantylne zwyczaje. Możliwe, że pod warstwą brudu byli przystojni, każdy na swój sposób. Woleli jednak robić wrażenie swoją osobowością; życzliwy przyjaciel podpowiedziałby im, że tym ich osobowościom przydałoby się trochę pielęgnacji.

Wsadzili pochodnię do wąskiego dzbanka, przedtem będącego całkiem gustowną grecką urną pogrzebową. Domyślałem się, że ten Grek ciągle w niej tkwi. To byłoby właśnie poczucie humoru w ich stylu, zrobić sobie z niego podstawkę pod lampkę.

Żaden z nich mnie nie pamiętał.

- Ktoś ty taki?

- Nazywam się Marek... - zacząłem, zamierzając się przedstawić oficjalnie wszystkimi imionami, ale nie dane mi było dokończyć.

- Cześć, Marku! Wspaniale cię widzieć! - zaszczębiotał jeden.

- Jak ci leci, Marku? - rzucił ten drugi.

Powstrzymałem się od oświadczenia, że jedynie wybranym członkom rodziny wolno używać mojego pierwszego imienia. Te lekkoduchy i tak nie rozumieją zasad dobrego wychowania, szczególnie kiedy nigdy nie trzeźwieją.

Manliusz, ten wysoki, z grzywką przetłuszczonych czarnych włosów i senną miną, ubrany w szmatę, która kiedyś mogła być białą tuniką, był dekoratorem z zamiłowaniem do miniatur. W swoim kącie pokoju wyrysował na ścianach kolumnienki i wazon z kwiatami.

U Wargi sumiasty wąs rekompensował krótkie nogi. Jego tunika miała kolor brudnego błękitu i resztki purpurowej ozdobnej lamówki, sandały związał złotymi rzemykami. Moja matka uznałaby go za niegodnego zaufania. To był ten, który umiał malować. Wolał tworzyć ambitne sceny batalistyczne z mitologicznymi gigantami o nagich torsach. Miał cały cykl malunków z tragicznymi centaurami; jeden z nich, przeszyty włócznią Amazonki, wykrwawiał się, stając dęba nad jego łóżkiem.

- Chętnie bym zobaczył, kto pozował! - oświadczyłem.

- Chodzi ci o dziewczynę czy konia?

- Och, konia... takie niesamowite pęciny!

Żartowaliśmy sobie, ale trzeba przyznać, że Amazonka była oszałamiająca. Udawałem, że podziwiam subtelne odcienie jej skóry, żebyśmy mieli okazję we

trójkę łypać okiem na jej kształty. To ciało zawdzięczało co nieco dziewczęciu, które pozowało do malowidła, ale znacznie więcej palącej żądz malarza. Tak ją udoskonalił, że prawie zdeformował. Wiedziałem, że tak jest. Znałem jego modelkę; w każdym razie widziałem. Jej kształtom mężczyźni przyglądaliby się łakomie, ale bez desperacji. Amazonka zaś należała do świata szalonych marzeń.

Modelka była dojrzałą brunetką z szeroko rozstawionymi śmiałymi oczami, które kiedyś spoczęły na moim bracie, prawie na pewno nie przypadkiem. To ona siedziała obok Festusa w Cyrku tej nocy, kiedy wcisnął mi Marinę. Tej nocy, teraz byłem tego niemal pewny, mój brat przemierzał miasto w poszukiwaniu kogoś, a ta dziewczyna, przynajmniej tamtym razem, była wyłącznie posłańcem.

- Do kogo należy to ciało? - spytałem.

- Do Rubinii... choć dokonałem pewnych przeróbek. Często nam pozuje.

Byłem we właściwym miejscu. Tamtej nocy Rubinia musiała powiedzieć Festusowi, że znajdzie tych malarzy w Dziewicy. Przy okazji pewno podała mu też własny adres, choć teraz było to zupełnie nieistotne.

Roześmiałem się swobodnie.

- Myślę, że znała mojego brata - oświadczyłem.

- To bardziej niż prawdopodobne! - zachichotał Manliusz.

Chodziło mu o dziewczynę; w ogóle nie spytał o mojego brata.

Może wiedział, a może jeszcze nie, pomyślałem.

Kiedy się zastanawiałem, w jaki sposób mam ich wypytać, leżeliśmy już w butach na łóżkach i piliśmy równo. (Artyści nie mają matek, które by ich dobrze wychowały... czy przynajmniej nie muszą się do nich przyznawać).

Moją wzmiankę o bracie puścili mimo uszu. Malarze to takie typki, przy których można wspomnieć znajomego czy krewnego, a oni nie przejawiają żadnego zaciekawienia. Znali wszystkich. Jeśli tylko przynosił amforę albo siedział w winiarni z pełną sakiewką, był ich przyjacielem. Próba przypomnienia im jednego spośród tych wielu, którzy im stawiali, mogła się okazać trudnym przedsięwzięciem.

Nasza rozmowa, zgodnie z moimi przewidywaniami, poszła w kierunku polityki. Manliusz tęsknił za republiką, ja też, choć wolałem się z tym nie wychylać przy ludziach, którzy nie umieli trzymać języka za zębami. Poważnie traktowane nadzieje na przywrócenie starego systemu wiązały się z koniecznością usunięcia cesarza. Wespazjan może i był tolerancyjnym staruszkim, ale zdrada wciąż była przestępstwem karanym śmiercią i wolałbym się w nic takiego nie wpakować. Wrobienie w morderstwo żołnierza jest wystarczająco kłopotliwe.

Manliusz zdecydowanie chciał się pozbyć Wespazjana; Warga nienawidził

całego senatu. Planowali zamienić Rzym w darmową publiczną galerię, wypełnioną zagrabionymi patrycjuszom zbiorami i dziełami z publicznych portyków, a finansowaną z publicznej sakiewki. Plan został ułożony w najdrobniejszych szczegółach... i był w ich rękach całkowicie nierealny. Ci dwaj nie potrafiliby zorganizować nawet orgii w burdelu.

- To by się dało zrobić - kombinował Warg - gdyby rządzących nie chroniły tarcze i skostniała mentalność gwardii pretoriańskiej.

Wolałem nie wspominać, że czasami pracuję jako cesarski agent, żeby przypadkiem nie znaleziono mojego pozbawionego głowy ciała na którymś z placów. Artyści nie znają umiaru... a pijacy nie mają rozsądku.

- To miasto rządzone jest strachem! - oświadczył bełkotliwie Manliusz. - Tutaj masz przykład, Marku... dlaczego wszyscy niewolnicy noszą takie ubrania jak reszta z nas? Dlaczego ich panowie tak tego pilnują?

- Bo lepiej pracują, kiedy im ciepło? - spróbowałem.

Moja odpowiedź wywołała ryk śmiechu.

- Nie. Bo gdyby niewolnicy chodzili w jednakowych uniformach, toby sobie uzmysłowili, że są ich miliony, kontrolowane zaledwie przez garstkę drani, których można zlikwidować, gdyby się do tego przyłożyć...

- Dzięki ci, Spartakusie!

- Mówię poważnie - wymamrotał, usilnie starając się dolać sobie wina.

- Za republikę - wzniosłem spokojnie toast. - Kiedy to każdy człowiek uprawiał własną ziemię, każda córka była dziewicą, a każdy syn zostawał w domu do czterdziestego dziewiątego roku życia, na wszystko reagując „Tak, ojcze”!

- Jesteś cynikiem - zauważył Warg, najwyraźniej bystrzejszy z rozdokazywanej dwójki.

Wspomniałem, że mam siostrzeńca, który uczył się u malarza fresków na wybrzeżu Kampanii. Prawdę mówiąc, Lariusz przyszedł mi do głowy, bo pomyślałem sobie, że być może wylądował u takiego beznadziejnego degenerata jak ta dwójka. On sam był nieznośnie rozsądny, szkoda, że nie sprawdziłem, u kogo go zostawiam.

- Kampania to zadupie! - mruknął Manliusz. - Wybraliśmy się tam... było okropnie. Skusiło nas słońce i kobiety, i te wspaniałe winogrona... i oczywiście niewiarygodnie bogaci klienci. Nie mieliśmy szczęścia. Same bufony. Nikt cię nie potrzebuje, chyba że jesteś Grekiem albo człowiekiem miejscowym. Wróciliśmy do domu.

- Wykonujecie teraz jakieś zamówienie? - zapytałem.

- Jasne. I to niezłe. Warg maluje porwanie Sabine, żeby patrycjusze mieli na co popatrywać, kiedy się opychają pawiami w galarecie. On niezgorzej przedstawia sceny gwałtu...

- Wyobrażam sobie!

- Robię dla nich dwa pokoje: jeden biały, drugi czarny. Po obu stronach atrium. Harmonijnie, kapujesz? Harmonijność do mnie przemawia.

- Płacą ci podwójnie? - uśmiechnąłem się.

- Dla artysty pieniądze nie mają znaczenia.

- To podejście wyjaśnia, dlaczego musiałeś się zniżyć do malowania prostackich rysunków w Dziewicy... zakładam, że to w ramach uiszczenia rachunku?

- A, tamto! - skrzywił się Warga.

- To było pacykowanie - powiedziałem, spoglądając na jakość tego, co namalował dla siebie.

- Owszem, Marku, pacykowaliśmy. Potrzeba napicia się to coś okropnego!

Miałem już tego dość. Stopy mi się zagrzały na tyle, że zaczęły mnie piec, zeszywniałem, czułem zmęczenie i znudzenie. Miałem dość picia; dość wstrzymywania oddechu, żeby nie zatruć się cuchnącym powietrzem; dość wysłuchiwania pijackiego bełkotu.

- Nie mów do mnie Marku - rzuciłem gniewnie. - Nie znasz mnie.

Patrzyli na mnie zaczerwienionymi z niewyspania oczyma. Nie przebywali w realnym świecie. Mógłbym ich zapewne zaskoczyć pytaniem o ich imiona i datę urodzin.

- O co chodzi, Marku?

- Zaczniemy od początku: nazywam się Marek Dydiusz Falko - powiedziałem to, co zacząłem mówić godzinę wcześniej. Za sprawą mojej amfory ich brawura gdzieś się ulotniła i tym razem pozwolili mi dokończyć. - Znaliście Marka Dydiusza Festusa. Inne imię, inna twarz i wiercie mi, inna osobowość.

Manliusz, ten, który być może ratował ich z opresji, pomachał ręką, zdołał ją jakoś umieścić na łożu, by się na niej wesprzeć. Spróbował coś powiedzieć, ale zrezygnował. Ponownie opadł na plecy.

- Festus? - zapytał drżącym głosem Warga, wpatrując się w sufit. Nad głową, w takim miejscu, żeby miał go przed oczami, kiedy leży półprzytomny, móc się w nią wpatrywać, wymalował niewielki wizerunek cudownej Kąpiącej się Afrodyty, do którego nie pozowała Rubinia, ale drobna przepiękna blondynka. Jeśli malowidło precyzyjnie oddawało rzeczywistość, lepiej by zrobił, zwabiając tę blondynkę do łóżka, tyle że takie dziewczęta oczekują regularnych posiłków i kolejnych naszyjników ze szklanych paciorków. Inaczej nie opłaca się im inwestować w farbę do włosów.

- Festus - powtórzyłem, próbując ich otrzeźwić.

- Festus... - Malarz przetoczył się na bok, żeby móc popatrzeć na mnie spod przymrużonych powiek. Zdawało mi się, że dostrzegłem jakiś błysk zrozumienia w tych zapuchniętych oczach. - Czego chcesz, Falko?

- Chcę, byś mi powiedział, dla czego pewnej nocy przed pięciu laty, kiedy zobaczyłem was z nim w Dziewicy, Markowi Dydiuszowi Festusowi tak bardzo

zależało, żeby się z wami spotkać?

- On nie pamięta, z kim się spotkał w Dziewicy pięć dni temu! - odezwał się Manliusz, korzystając z resztek swoich umysłowych możliwości. - Faktycznie, niewiele chcesz!

- Chcę ocalić szyć przed katem - odparłem szczerze. - - Zamordowano żołnierza, niejakiego Cenzoryna, być może za to, że zadawał podobne pytanie. Jeśli nie uda mi się rzucić światła na te wydarzenia, skażą mnie za to zabójstwo. Postarajcie się dobrze zrozumieć: Jestem człowiekiem zdesperowanym!

- Nic o niczym nie wiem - zapewnił mnie Warga.

- Cóż, wiesz dość, by na ten temat kłamać! - rzuciłem żartobliwie. Potem zniżyłem głos. - Festus nie żyje, nie możecie mu zaszkodzić. Prawda może nawet pomóc jego reputacji... choć szczerze mówiąc, nie spodziewam się tego... więc nie powstrzymujcie się tylko dlatego, żeby mnie nie urazić.

- Dla mnie to jedna mgła - upierał się Warga.

- Nie znoszę ludzi, którzy udają idiotów! - Zerwałem się z łóżka i chwyciłem go za prawicę. Wykręciłem ją tak, by poczuł. Wyciągnąłem nóż i przyłożyłem mu do nadgarstka, tak że przy najmniejszym ruchu by się skaleczył. - Przestańcie ze mną pogrywać. Wiem, że spotkaliście się z Festusem, i wiem, że to jest istotne! Mów, jak było, bo jak nie, to chlasnę ci rękę, którą malujesz!

Warga zbladł. Zbyt pijany, by się opierać, i zbyt gamoniowaty, by w ogóle wiedzieć, jak to zrobić, patrzył na mnie przerażony, nie ośmielając się oddychać. Ta rozmowa tak mnie podminowała, że prawie gotów byłem wykonać swoją groźbę. Przerażałem sam siebie i on to wyczuwał, jakieś słowa zabulgotały mu w gardle.

- Mów wyraźniej! Nie wstydź się!

- Nie pamiętam spotkania z twoim bratem...

- Ale ja pamiętam, jak się z nim spotkaliście - oświadczyłem lodowatym tonem. - A nawet nie należałem do spisku!

Jego przyjaciel poruszył się niespokojnie. Wreszcie do czegoś zaczynałem docierać.

- My nie byliśmy w żadnym spisku - rzucił Manliusz z drugiego wyрка. - Powiedziałem to tamtemu żołnierzowi, kiedy się pojawił.

39

- **P**ierwsze o tym słyszę! - zapewnił mnie Warga.

Przycisnąłem mocniej nóż, żeby wyraźniej poczuł ostrze, choć obróciłem je tak, by nie mogło przeciąć skóry.

- Ostrożnie. Jesteś kompletnie pijany, a i ja nie jestem całkiem trzeźwy. Jeden niewłaściwy ruch i już nie namalujesz ani jednego kuszącego sutka... - Wlepiłem wzrok w Manliusza. - Mów dalej. Jestem człowiekiem elastycznym. Mogę zagrażać jednemu i słuchać gadania drugiego!

- Powiedz mu - poganiał go słabym głosem Warga. - Sam chciałbym wiedzieć...

- Nie było cię tam - wyjaśnił Manliusz. Szczególne rzeczy się dla nich liczyły. Najbardziej zależało mu na tym, by przekonać kolegę, że nie ma między nimi tajemnic. - To był jeden z tych dni, kiedy bierzesz miarę z Rubinii...

- Skończcie z dowcipkowaniem! - warknąłem. - Co się przytrafiło Cenzorynowi?

- Laurencjuszowi - poprawił mnie Manliusz.

- Komu?

- Powiedział, że ma na imię Laurencjusz.

Puściłem malarza, przysiadłem na piętach, wciąż trzymając nóż tak, żeby obaj go widzieli.

- Jesteś pewien? Ten, który zginął, nazywał się Cenzoryn Macer.

- Mnie powiedział, że Laurencjusz.

Jeśli Cenzoryn miał ze sobą w Rzymie towarzysza, to z ulgą się o tym dowiadywałem; ten Laurencjusz byłby pierwszym podejrzanym. Drogi kumpli często się rozchodzą. Siedzą sobie tacy w tawernie przy winie, potem wybucha między nimi kłótnia o pieniądze albo kobiety, albo o politykę, albo po prostu o to, czy ich statek odpływa we wtorek czy w czwartek. I jest rzeczą naturalną, że któryś obrywa nożem, a jego towarzysz daje nogę... Przynajmniej ja starałem się sam siebie o tym przekonać, nie uwzględniając, z jaką furią zaatakowano Cenzoryna.

- No więc powiedz mi o tym Laurencjuszu. Jakiej był rangi i z którego legionu, i kiedy przyszedł do ciebie?

- Jakiś czas temu...

- Kwestia tygodni? Miesiący?

Ci dwaj nie byli przyzwyczajeni do precyzji.

- Jakiś miesiąc czy dwa... zapewne. Innych szczegółów nie znam.

- Daruj sobie, w końcu jesteś przeklętym malarzem, czyż nie? Masz zmysł obserwacji! Nosił drewnianą laskę?

- Tak.

- No to był centurionem. Zapewne bliskim przyjacielem Festusa. Powiedział ci to? - zapytałem. Manliusz skinął głową. - W porządku. Teraz weź głęboki wdech i powiedz mi, czego chciał. - Nie zauważyłem, by pod długą rozczochraną grzywką malarza błysnęła jakaś sensowna myśl. - Czy pytał cię, na przykład - mówiłem powoli, skandując słowa - o statek *Hyperikon*... czy przeszedł od razu do sprawy Fidiasza?

W końcu Manliusz się uśmiechnął. Był to łagodny, otwarty uśmiech. Nie pokładałem w tym szczerym uśmiechu ani odrobiny zaufania... jednakże jego słowa zabrzmiały wiarygodnie.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz, Falkonie. Ten żołnierz pytał o kogoś.

Pamiętam - ciągnął cicho - ponieważ chodziło o tę samą osobę, o którą tak się dopytywał tamtej nocy w Dziewicy.

- To znaczy o kogo? - naciskałem.

- Orontesa Mediolanusa.

- Tego rzeźbiarza - wyjaśnił Warga.

To miało sens.

Postarałem się, żeby mój głos brzmiał spokojnie i obojętnie.

- A gdzie mogę znaleźć tego Orontesa?

- W tym rzecz! - oznajmił triumfalnie, odprężony, ale nie mściwy Manliusz. - Orontes zniknął z Rzymu. Ściśle mówiąc, zniknął już lata temu.

Już się domyślałem, co nastąpi dalej.

- Festus nie mógł go znaleźć?

- Właśnie! Dlatego przyszedł do nas. Chciał się dowiedzieć, gdzie, na Hades, gość się podziewa.

- Jak poznaliście Festusa? - spytałem.

- Zwracał uwagę na modelki - odpowiedział Warga z przekonaniem. Wszyscy zerknęliśmy na jego Amazonkę i wyobraziliśmy sobie, jak Festus zwraca uwagę na Rubinię.

- A dlaczego uważał, że wy możecie znaleźć Orontesa?

- Bo on kiedyś z nami mieszkał - wyjaśnił Warga. - A ty, jeszcze niedawno, leżałeś na jego łóżku!

Popatrzyłem na ten żaloszny mebel. Twardy, pofałdowany materac przykryty był cienkim kocem. Pod łóżkiem walały się stosy brudnych miseczek, z których jadali, a obok nich ci dwaj niechluję trzymali naczynia na farby oblepione śniedzią i emaliami. Może ten bałagan powstał dopiero kiedy zniknął rzeźbiarz, ale jeśli wcześniej, to zrozumiałbym, dlaczego wołał się wynieść: może był po prostu pedantem.

- No więc co się stało z Orontesem?

- Zniknął. Pewnego ranka wyszliśmy, kiedy chrapał w najlepsze. Gdy wróciliśmy, już go nie było i więcej się nie pojawił.

- Wziął nogi za pas! Zupełnie jak mój ojciec... Martwiliście się?

- Czemu? Był dorosły.

- Zabrał swoje rzeczy?

Zadałem to pytanie od niechcienia. Malarze wymienili krótkie spojrzenia, zanim jeden odpowiedział tak, a drugi nie.

- Sprzedaliśmy je - przyznał w końcu Warga.

Mieli poczucie winy wymalowane na twarzach; w końcu nie była to ich własność. Tak czy owak, wyczułem tu pewną niejasną atmosferę i zakonotowałem to sobie w pamięci. Bo równie dobrze mogli kłamać.

Wypytałem ich jeszcze raz od początku, potwierdzając fakty. Niewiele mieli do dodania. Dowiedziałem się tylko, że centurion Laurencjusz odszedł tak

samo nieusatysfakcjonowany jak ja sam. Manliusz nie miał pojęcia, gdzie ten żołnierz zatrzymał się podczas pobytu w Rzymie. Żaden nie wiedział, do czego Festusowi potrzebny był rzeźbiarz. Mówiąc ściśle, jeśli nawet wiedzieli, nie przyznawali się do tego.

Rozlałem resztki wina do ich kubków i oficjalnym gestem uniosłem swój.

- Żegnajcie, chłopcy! Pozostawiam was, byście się zastanowili, jak sztuki piękne mogą ratować cywilizowany świat przed jałowością. - Od drzwi popatrzyłem z uśmiechem na ich nędzne lokum. - Przyznajcie. To wszystko lipa, co? W rzeczywistości jesteście ciężko pracującymi obywatelami, którzy kochają cesarstwo i żyją jak jagnięta. Założę się, że co rano odmawiacie modlitwy do bogini ogniska domowego i dwa razy w tygodniu piszecie listy do swoich matek?

Manliusz, który był zapewne bystrzejszy z tej parki, obdarzył mnie skruszonym spojrzeniem.

- Zlituj się, Falkonie! Moja matka ma osiemdziesiąt jeden lat. Muszę okazywać szacunek takiemu wiekowi.

Natomiast Warga, który bujał gdzieś w obłokach, przyglądał się z wielkim smutkiem swojej Afrodycie, udając, że nic nie słyszy.

40

Przy Dziedzińcu Fontanny panował kompletny spokój. To zawsze był powód do zmartwienia. Bo zazwyczaj nawet w samym środku nocy jakiś mąż obrywał od żony po głowie żelaznym rondlem, nieletni przestępcy torturowali gołębia albo staruszka podnosiła wrzask, że zrabowano jej oszczędności życia (to była Metella, której syn regularnie je sobie pożyczał i zwracał, jeśli gromadka prostytutek pod jego nadzorem pracowała podwójnie przez dwa tygodnie).

Musiało być blisko świtu. Byłem już na to wszystko za stary.

Kiedy dotarłem do pralni, odgłos moich zmęczonych kroków wywołał dalsze kłopoty: Lenia, niechlujna właścicielka zakładu, z trzaskiem rozwarła okiennicę. Wystawiła głowę, o rozczochranych, ufarbowanych henną na wściekle rudy kolor włosach. Twarz miała białą, zachowanie niepewne. Przyjrzała mi się oczyma, którym przydałby się okulista, i wyskrzypiała:

- Oj, Falko, co tu robisz tak późno?

- Lenia. Aleś mnie wystraszyła. Jest z tobą Smaraktus?

Lenia zaczęła zawodzić żałośnie. Mogła w ten sposób obudzić całą ulicę i oczywiście gromy poleciałyby na moją głowę.

- Mam nadzieję, że spoczywa na dnie Tybru. Straszniemy się pokłócili!

- Niech bogom będą dzięki. A teraz bądź tak miła przymknąć jadaczkę... - powiedziałem. Byliśmy starymi przyjaciółmi, mogliśmy więc sobie pozwolić na

wymianę takich uprzejmości. Wiedziała, że nie znoszę jej narzeczonego. Trudno, żebym lubił właściciela naszej kamienicy, na dodatek paskudnego jak kupa parującego końskiego łajna. - Czy to oznacza, że ze ślubu nici?

- Skądże znowu. - Natychmiast się uspokoiła. - Tego mu nie odpuszczę! No wchodzi już, wchodzi...

Opór nie miał sensu. Kiedy kobieta, która spędza życie na dźwiganiu monstrualnej wielkości kotłów z wodą, chwyta cię za ramię, fruniesz w jej stronę... albo tracisz rękę. Lenia wciągnęła mnie do ponurej klitki, w której robiła rachunki i dokąd ściągała przyjaciół, po czym popchnęła mnie na stół i wcisnęła mi w rękę kubek z tanim czerwonym winem.

Lenia popijała, zresztą jak cały Rzym tej zimowej nocy. Piła samotnie, co oznaczało, że jest bardzo nieszczęśliwa. Kiedy jednak stuknęła kubkiem o swoje okropne zęby, poweselała.

- Nie wyglądasz najlepiej, Falko.
- Chlałem z malarzami. Nigdy więcej!
- Aż do następnego razu - zakpiła, rechocząc. Znała mnie nie od dziś.
- Więc co z tym Smaraktusem? - Spróbowałem jej wina i jak się obawiałem, natychmiast tego pożałowałem. - Ma wątpliwości co do korzyści z małżeństwa?

Żartowałem, ale przytaknęła smętnie.

- Nie jest przekonany, czy już w pełni dojrzał do tej decyzji.
- Biedaczysko! Pewnie powołuje się na swój młody wiek? - dowcipkowałem. Niezależnie od tego, ile Smaraktus miał lat, styl życia sprawił, że wyglądał na wysuszonego pustelnika przymierającego głodem w swojej jaskini. - Chyba ten skąpiec rozumie, że to, co straci, porzucając stan kawalerski, odzyska w postaci świetnie prosperującej pralni?

- I we mnie! - prychnęła Lenia z nadętą miną.
- I oczywiście w tobie - dodałem z uśmiechem. Ktoś musiał być dla niej miły. Pociągnęła łyk, po czym wycedziła mściwie:
- A jak postępują twoje sprawy?
- Doskonale, dziękuję.
- Akurat!
- Moje starania - oświadczyłem pompatycznie - skutecznie prowadzą do rozwiązania problemu.
- Nic o tym nie słyszałam.
- No właśnie. Trzymam wszystko dla siebie. Jak nie pozwalasz ludziom się wtrącać, wszystko idzie jak trzeba.
- Co na to Helena?
- Helenie nie należy zawracać głowy szczegółami.
- Przecież jest twoją narzeczoną!
- Czyli ma wystarczająco dużo zmartwień.

- Na bogów, z ciebie to prawdziwy szaleniec... a Helena to takie miłe dziewczę!

- No właśnie. Po co więc ją uprzedzać, że idzie na zatracenie? I w tym akurat popełniłaś błąd, Lenio. Gdyby Smaraktus pozostał w błogiej nieświadomości, jeśli chodzi o twoje plany matrymonialne, mogłabyś którejś nocy, kiedy odsypiał butlę wina, podrobić jego podpis na kontrakcie i nie byłoby to dla niego takie bolesne. Ty natomiast napędziłaś mu strachu i dałaś tysiąc pretekstów do wykręcenia się z tej sytuacji.

- Wróci - obwieściła z pewnością w głosie. - Ten bezmyślny fiut zostawił tu swój pierścień z berylem.

Postarałem się oderwać jej uwagę od małżeństwa i tandetnej biżuterii.

- Jeśli chcesz mnie zdenerwować, to spróbuj tematu mojego aresztowania przez Marponiusza.

- Wieści się rozchodzą! - przyznała Lenia. - Wszyscyśmy słyszeli, że zasztyletowałaś jakiegoś żołnierza i skończyłaś skuty w domu sędziego.

- Nie zabiłem tego żołnierza.

- Rzeczywiście, jeden czy dwóch zwariowanych typków uważa, że być może jesteś niewinny.

- Ludzie są cudowni!

- Jak zatem brzmi twoja bajeczka, Falko?

- Jak zwykle wpakowałem mnie w to przeklęty Festus.

Opowiedziałem jej całą historię. Żeby tylko przestała pić. Żeby tylko już mi nie dolewała.

Kiedy skończyłem, wyskrzypiała z typową dla siebie drwiną:

- Więc mamy tu tajemnicę związaną z dziełem sztuki?

- Zgadza się. Mam poważne podejrzenia, że większość posągów i wszyscy ludzie to podróbki.

- Gadanie! Więc znalazł cię tamtej nocy?

- Jakiej nocy, Lenia?

- Tej, o której mówimy. Tej, której Festus wyruszył do swojego legionu. Przyszedł tu. Myślałam, że ci o tym wtedy powiedziałam... Było późno. Naprawdę późno. Dobijał się do moich drzwi, bo chciał wiedzieć, czy przypadkiem zamiast wdrapywać się na górę, nie ułożyłaś się do snu w mojej balii. Wiadomo przecież, jak trudno pokonać sześć pięter po hulance.

- Nie było mnie tu...

- Rzeczywiście! - zachichotała Lenia, która wiedziała o Marinie.

- Musiał się domyślać, gdzie jestem... Nigdy mi tego nie mówiłaś - powiedziałem i westchnąłem. Jeszcze jedna z długiego ciągu nieprzekazanych wiadomości.

- Przypomniało mi się dzisiaj, kiedy zacząłeś o nim mówić.

- O pięć lat za późno! - zawołałem. To było niewiarygodne. - Więc co tu

zaszło?

- Padł wyczerpany i się naprzykrzał.

- Sporo wypił - przyznałem. Tak jak i my dzisiaj wieczoru.

- Och, ja daję sobie radę z zalanymi, mam spore doświadczenie. On był natomiast smętny - wyjaśniła praczka. - Nie trawię zbolących mężczyzn! - Ponieważ postanowiła wyjść za Smaraktusa, który był jedną ponurą, bezduszną, pozbawioną poczucia humoru kreaturą, zaczęła nabywać pewnego doświadczenia w tolerowaniu nieszczęścia... a czekało ją jeszcze więcej niespodzianek.

- Więc o co chodziło Festusowi?

- Sprawa poufna - zadrwiła Lenia. - Jęczał: „To ponad moje siły, potrzebne mi silne prawe ramię młodszego brata”, po czym się zamknął.

- Cóż, cały Festus - skwitowałem. Czasami jednak mojego skrytego brata ogarniało nieodparte pragnienie mówienia. Kiedy już wpadł w taki nastrój, kiedy już zdecydował się ukazać swoje wnętrze, otwierał się przed każdym, kogo akurat napotkał na swojej drodze. Gadał wtedy godzinami... oczywiście same bzdury. - Mogę liczyć na to, że wyjawiał coś więcej?

- Nie. Skryty drań! Większość ludzi uważa, że łatwo się ze mną rozmawia - pochwaliła się Lenia.

Uważałem za stosowne uśmiechnąć się z wdzięcznością.

- I co było potem?

- Miał dość czekania na swojego drogiego braciszka, który zabawiał się z Mariną, więc obrzucił mnie grubym słowem, przeklął ciebie kilka razy, pożyczył sobie jedną z moich bali i zniknął. Odchodząc, mamrotał pod nosem, że ma robotę do wykonania. Nazajutrz usłyszałam, że wyjechał z Rzymu. Ciebie też później nie było tu wiele widać.

- Poczucie winy! - powiedziałem i wyszczerzyłem zęby. - Wycofałem się na wieś, przeczekać, aż emocje opadną.

- Z nadzieją, że Marinę dotknie utrata pamięci?

- Być może. Po co mu była ta balia?

- Na Junonę, skąd niby mam wiedzieć? Pojawiła się potem na moim progu, uwalana błotem, cementem czy czymś takim.

- Najwidoczniej prał sobie bieliznę... Dlaczego nie powiedziałaś mi tego wszystkiego wcześniej?

- Nie było sensu. Tylko byś się wkurzył!

Teraz dopiero byłem wkurzony.

Było to jedno z tych bezsensownych, drażniących wydarzeń, które uderzają nas dopiero po czyjejs śmierci. Nigdy się nie dowiem, czego ode mnie chciał. Nigdy nie pomogę mu w rozwiązaniu tamtego problemu, czymkolwiek był. Lenia miała rację. Lepiej tych rzeczy nie wiedzieć.

Znalazłem pretekst, żeby odejść (ziewając ostentacyjnie), i powlokłem się na górę. Sześć pięter daje mnóstwo czasu na myślenie, ale okazało się, że nie dość.

Tęskniłem za bratem i nienawidziłem go, byłem wykończony, brudny, przemarznięty i przygnębiony. Miałem ochotę paść na schodach, ale na podestach było bardzo zimno i smrodliwie. Zdązałem więc do własnego łóżka, wiedząc, że wkrótce będę musiał wstać. Rozpacz przydawała ciężaru moim nogom; goniłem za rozwiązaniem beznadziejnie trudnej zagadki, na spotkanie z nieuniknioną katastrofą. Kiedy wreszcie dotarłem do swojego mieszkania, jęknąłem, bo czekały mnie kolejne kłopoty. W szparze pod niezbyt dopasowanymi drzwiami zobaczyłem smugę światła. Ktoś tam był.

Narobiłem za wiele hałasu, wspinając się po schodach, żeby teraz zacząć się skradać i spróbować zaskoczyć intruza. Wiedziałem, że jestem zbyt pijany na rozsądną dyskusję i zbyt zmęczony, by walczyć.

Wszystko zrobiłem nie tak jak należy. Zapomniałem o ostrożności. Nie chciało mi się myśleć o zapewnieniu sobie odwrotu. Byłem zbyt zmęczony i zły, żeby postępować zgodnie z zasadami, więc po prostu wszedłem do środka i kopnięciem zatrzaskałem za sobą drzwi.

Przyglądałem się lampce, która całkiem ostentacyjnie paliła się na stole, kiedy z sypialni dobiegł mnie szept:

- To tylko ja.

- Helena! - Starłem się pamiętać, że kocham ją między innymi dlatego, że potrafi mnie zaskakiwać. Potem spróbowałem udawać trzeźwego.

Zgasiłem świecę, żeby ukryć swój prawdziwy stan. Odrzuciłem pas i ściągnąłem buty. Byłem skostniały z zimna, ale w geście mającym świadczyć o cywilizowanym stylu życia zdjąłem kilka sztuk odzienia. Kiedy ruszyłem w stronę łóżka, Helena musiała zdać sobie sprawę z mojego stanu. Zapomniałem, że mam nowe łożo; w ciemności moje stopy poprowadziły mnie dawnym śladem, a tymczasem mebel był ustawiony pod nieco innym kątem i miał inną wysokość. Poza tym przestawiliśmy go trochę, żeby nie stał bezpośrednio pod wielką dziurą w suficie, której Smaraktus ciągle nie raczył załatać.

Kiedy w końcu znalazłem się w okolicy łóżka, padłem na nie niezgrabnie, niemal lądując na podłodze. Helena pocałowała mnie raz, jęknęła, czując mój cuchnący oddech, i dała nura w bezpieczniejsze miejsce pod moją pachą.

- Przepraszam... musiałem przekupić kilku świadków - tłumaczyłem się. Ciepło i wygoda przywitały mnie kusząco, ale starałem się okazać surowość. - Słuchaj, ty niecnoto, przecież zostawiłem cię u matki. Jak wyjaśnisz swoją tu obecność?

Helena jeszcze mocniej się przytuliła. Było to mile widziane i rozkoszne, a ona wiedziała, że nie będę długo narzekał.

- Och, Marku, stęskniłam się za tobą...

- Tęsknota za mną mogła sprowadzić na ciebie nieszczęście, kobieto! Jak się

tu dostałaś?

- Bezpiecznie. Z mężem Mai. Wszedł na górę i sprawdził mieszkanie. Spędziłam wieczór, odwiedzając po kolei twoje siostry i pytając o ten nóż z gospody. Ciągnęłam wszędzie ze sobą twoją matkę, choć nie miała na to specjalnej ochoty. Pomyślałam sobie, że zechcesz usłyszeć o rezultatach - tłumaczyła się nieprzekonująco.

- Krętaczka! Jak więc brzmią te dobre wiadomości?

Poczułem, że mi się odbija. Helena schowała się jeszcze głębiej pod przykryciem.

- Obawiam, się że ich nie ma. - Jej głos ledwie do mnie stamtąd docierał. - Nikt z twoich krewnych nie pamięta, żeby zabrał ten nóż z domu matki, nie mówiąc już o wykorzystaniu go U Flory.

Nawet w panujących ciemnościach czułem, jak mi się kręci w głowie.

- Ten dzień nie był tylko niepowodzeniem - powiedziałem. - Usłyszałem co nieco. Cenzoryn miał w Rzymie towarzysza... Laurencjusza. To pomyślna informacja. Petroniusz będzie go musiał odnaleźć, zanim oskarży mnie.

- Czy mógł być mordercą? - spytała Helena.

- Mało prawdopodobne, ale możliwe... - Mówienie sprawiało mi coraz większą trudność. - Jest też jeszcze, czy był kiedyś, pewien rzeźbiarz Orestes... nie, Orontes. Co prawda zniknął, ale mamy kolejne imię... - W tym nowym łóżku, od kilku godzin ogrzewanym przez Helenę, poczułem, jak cudownie odpręża się moje przemarznięte ciało. Przygarnąłem ją do siebie. - Na bogów, kocham cię... - Chciałem, by była bezpieczna, ale cieszyłem się, że jest ze mną. - Mam nadzieję, że Famia był trzeźwy, kiedy cię tu odprowadzał.

- Maja nie puściłaby mnie bez ochrony. Gdyby wiedziała, że będę tu czekała na pijaka, to w ogóle nie pozwoliłaby mi przyjść! - obwieściła. Spróbowałem wymyślić ripostę, ale nic mi nie przychodziło do głowy. Helena pogładziła mnie po policzku. - Jesteś zmęczony. Śpij.

Już zasypiałem.

Jak przez mgłę usłyszałem jej słowa:

- Twój ojciec przysłał wiadomość. Chce jutro rano zabrać cię do Karusa i Serwii. Zaznacza przy tym, że masz się porządnie ubrać. Przygotowałam ci togę...

Zastanawiałem się, kim, na Hades, są Karus i Serwia i dlaczego miałbym w związku z tymi nieznanymi zawracać sobie głowę podobnymi formalnościami. Potem już nic nie wiedziałem, aż do tej chwili, kiedy rankiem obudziłem się z pękającą z bólu głową.

Było wczesne przedpołudnie, kiedy chwiejnym krokiem wytoczyłem się z mieszkania. Miałem na sobie ulubioną znoszoną tunikę w kolorze indygo,

ponieważ w moim rozumieniu porządne ubranie oznaczało przede wszystkim wygodne; najcięższe buty, ponieważ pogoda była parszywa; płaszcz, z tego samego powodu; i kapelusz, by osłaniać oczy przed sprawiającym ból światłem. Głowa mi pulsowała, dokuczały stawy. Postawa wyprostowana wydawała się czymś nienaturalnym.

Najpierw poszedłem do Petroniusza. Nudził się w budynku straży, udając, że pisze raporty, podczas gdy w rzeczywistości chował się przed niepogodą. Ucieszył się, że będzie mógł urozmaicić sobie życie, obrażając przyjaciela.

- Uważajcie, chłopcy. Trafił do nas chodzący kocio-kwik. Falko, wyglądasz na głupca, który przez całą noc pił tanie wino w nędznej kompanii. - Widywał mnie już nieraz przy takim zajęciu; kiedy moim kompanem był on sam.

- Nie zaczynaj! - poprosiłem.

- No to zachowajmy wobec tego trochę powagi. Zakładam, że przyszedłeś, żeby przedstawić mi elegancko opracowane tabliczki za szczegółową informacją, kto zabił Cenzoryna Macera, jakie były jego podłe motywy i gdzie go znajdę, przywiązanego do pergoli i czekającego na aresztowanie.

- Niestety.

- No cóż, daremne nadzieje.

- Mam za to kilka tropów.

- Lepsze to niż nic - odparł zrzędliwie.

- A ty coś masz?

- Och, ja pozostanę przy niczym. Lubię czuć się bezpieczny. Po co zaczynać grę w kości faktami i dowodami? - Na szczęście po chwili przeszła mu ochota do żartów i zaczął mówić z sensem. Przedstawił wynik rutynowego dochodzenia. Rozmawiał ze wszystkimi, którzy byli U Flory tamtego wieczoru, kiedy zginął żołnierz, ale nie usłyszał nic przydatnego. - Nikt nie widział nikogo w towarzystwie Cenzoryna ani nikogo, kto szedłby na górę do jego pokoju.

- No to jesteśmy w ślepej uliczce.

- Zgadza się. Kilka razy przycisnąłem Epimandosa. Nie podobają mi się jego rozbiegane oczka. Zachowuje się dziwnie, choć nie mam przeciwko niemu żadnych dowodów.

- Myślę, że to zbieg. Z tego powodu wygląda na przejętego.

- Tkwi tam od kilku lat.

- Zgadza się. - Rozprostowałem zeszywniałe ramiona. - Zawsze sprawia wrażenie, jakby się oglądał przez ramię. - Dotyczyło to większości Rzymian, więc Petroniusz przyjął tę uwagę ze spokojem. - Sądzę, że Festus wiedział coś o jego przeszłości.

- To do Festusa podobne!

- Czy warto aresztować Epimandosa jako podejrzanego? - spytałem.

- Aresztowanie ludzi podejrzanych oznaczałoby aresztowanie ciebie! -

odparł sztywno.

- Przecież tak właśnie zrobiłeś! - przypomniałem mu.

- I kto teraz zaczyna, Falkonie? Nie zdecydowałem się na to w wypadku tego przeklętego kelnera, ale zostawiłem człowieka, żeby miał na oku gospodę. Nie sądzę, by Epimandos ukrywał coś, co mogłoby cię oczyścić - powiedział Petroniusz. - Wydaje się w stosunku do ciebie niezwykle lojalny.

- Nie wiem, dlaczego miałyby tak być - przyznałem szczerze.

- Ani ja - oświadczył Petroniusz ze swoim zwyczajowym przyjacielskim podejściem. - Zapłaciłeś mu, żeby potwierdził twoją historyjkę? - rzucił. Wykrzywiłem się; dał spokój. - Może Festus ma z tym coś wspólnego, jeśli byli w takich dobrych stosunkach. Cokolwiek to jest, to Epimandos rzeczywiście jest przerażony, że to przez niego znalazłeś się u Marponiusza. Powiedziałem mu, że sam potrafisz zadbać o to, żeby cię przymknęli pod fałszywym zarzutem, i nie jest ci potrzebna do tego pomoc jakiegoś tępego garkotłuka.

- No cóż, to mi zapewni darmowy trunek, kiedy następnym razem wdepnę do gospody! A jak się miewa nasz drogi Marponiusz?

Petroniusz Longus mruknął coś pogardliwie.

- Co to za tropy, które mi obiecałeś? - zapytał.

- Nie są zbyt istotne, ale mam dwa nowe imiona warte sprawdzenia. Jedno rzeźbiarza, niejakiego Orontesa Mediolanusa, który znał Festusa. Zniknął kilka lat temu.

- To nie wygląda ciekawie.

- Dobra, zostaw to mnie, jeśli chcesz. Specjalizuję się w beznadziejnych tropach... Oprócz niego jest jeszcze pewien centurion, niejaki Laurencjusz, od niedawna w Rzymie, który zadawał te same pytania co Cenzoryn.

Petroniusz skinął głową.

- Tym się zajmę. Pasuje do całości. Udało mi się wyciągnąć od twojej matki, że Cenzoryn rzeczywiście wychodził kilkakrotnie wieczorami, mówiąc, że się spotyka z przyjacielem.

- Nigdy mi o tym nie wspomniała!

- Trzeba zadawać właściwe pytania - odparł mój przyjaciel z uśmiechem zadowolenia. - Lepiej zostawić to zawodowcom, co, Falko?

- Zawodowym fuszerom! Kim był ten przyjaciel?

- Tego twoja matka nie wiedziała. Wspomniano go tylko mimochodem. Ten Laurencjusz natomiast wydaje się dobrym kandydatem. Być może celowo ulokowali Cenzoryna u twojej matki, żeby nękał rodzinę, podczas gdy ten drugi zatrzymał się gdzie indziej i zajmował innymi sprawami. - Petroniusz odchylił się do tyłu, przeciągnął, jakby on też odczuwał wpływ tego wilgotnego przedpołudnia. Był postawnym, muskularnym mężczyzną, który nie znosił słoty. Jeśli nie był w domu, gdzie bawił się z dziećmi, potrzebował świeżego powietrza; to właśnie był jeden z powodów, dla których lubił swoją pracę. -

Zauważyłeś ten rachunek ze stacji postojowej w Kampanii?

Oczy miał współprzymknięte, by ukryć wrażenie, jakoby się godził z faktem, że przeszukałem rzeczy ofiary zabójstwa.

- Widziałem go - potwierdziłem, także z obojętnym wyrazem twarzy.

- Wyglądało mi na to, że jest za dwie osoby - oświadczył Petroniusz.

- Ja tego nie zauważyłem.

- Nie było to wyszczególnione, ale rzekłbym, że przy cenach, jakie na ogół obowiązują poza miastami, pokrywał wartość siana dla dwóch koni czy mułów i więcej niż jedno łóżko. - Zniżył głos. - Czy ten rachunek nie był z jakiegoś miejsca znajdującego się w pobliżu gospodarstwa twojego dziadka?

- Pobliskiego. Pojechałbym tam, ale byłoby to niezgodne z warunkami mojego zwolnienia.

- Czemu miałbyś nie jechać? - spytał Petroniusz, szczerząc się niespodziewanie. - Przecież do Ostii pojechałeś!

Skąd, na Hades, mógł o tym wiedzieć?

- Śledzisz mnie, draniu? - spytałem.

Nie raczył odpowiedzieć.

- Dzięki za tego Laurencjusza - powiedział natomiast. - Popytam u władz wojskowych, choć jeśli był w Rzymie na urlopie, jego obecność mogła nie zostać oficjalnie odnotowana.

- Jeśli był tutaj z Cenzorynem i obaj udawali niewiniątka na wakacjach - zauważyłem - powinien był się zgłosić natychmiast po tym, jak usłyszał o morderstwie.

- Racja - zgodził się ze mną Petroniusz. - To wygląda podejrzanie. Jeśli będzie trzeba, napiszę i zapytam o niego w Piętnastym, ale to potrwa kilka tygodni.

- Raczej miesięcy - westchnąłem. - Jeśli u nich jest czysty, to mogą w ogóle nie odpowiedzieć na zapytania od władz cywilnych.

- A jeśli n i e jest u nich czysty, pozbędą się go po cichu, a mnie i tak nie odpowiedzą - odparł cynicznie.

Żołnierze podlegają wyłącznie prawu wojskowemu. Petroniusz oczywiście mógł zadawać centurionowi pytania i jeśliby potrafił wykazać, że Laurencjusz zabił Cenzoryna, mógł to oficjalnie zgłosić... ale jeśli morderstwa dokonał kolega legionista, to wówczas sprawcą zajęłoby się dowództwo legionu. (To znaczy wyciszono by sprawę). Dla Marponiusza i mojego przyjaciela ten nowy aspekt mógł się okazać irytujący.

- Jest lepszy sposób postępowania - oznajmił Petroniusz. - Moi ludzie mogą zacząć sprawdzać tutejsze domy, gdzie wynajmują pokoje. To prędzej przyniesie jakieś rezultaty. Jeśli Laurencjusz jest rzeczywiście w to wplątany, może być za późno, żeby powstrzymać go od opuszczenia Italii, ale i tak wyślę kogoś do Ostii, żeby miał na niego oko. Jeśli go zauważą, mogę uprzejmie poprosić, by wrócił do Rzymu i ze mną porozmawiał...

- Nie wróci.
 - A czy to ważne? Jeśli odmówi, będzie wyglądał na winnego, a ty zostaniesz oczyszczony. Na podstawie jego odmowy do współpracy mogę odeprzeć wszelkie oskarżenia wobec ciebie. Marponiusz będzie musiał na to przystać. Zatem, jakie masz plany, mój ty tymczasowo zawieszony podejrzany?
 - Wybieram się ze swoim przeklętym ojcem na pouczającą konwersację o sztuce.
 - Baw się dobrze - powiedział z uśmiechem Petroniusz.
- Stosunki między nami się zdecydowanie poprawiły. Gdybym wiedział, że tak łatwo mi przyjdzie odzyskać naszą wieloletnią przyjaźń, już dawno wymyśliłbym jakieś imię dla podejrzanego i dostarczył mu do ścigania.
- Żeby ci oszczędzić śledzenia mojej osoby - oświadczyłem, jak zwykle uprzejmie - informuję, że udaję się teraz do Saepa Iulia po ojca, a resztę przedpołudnia spędzimy w dużym domu w siódmej dzielnicy, po czym, jeśli ojciec będzie się trzymał swoich sztywnych zwyczajów, wrócimy do jego biura w samo południe, żeby mógł się posilić drugim śniadaniem, które rudowłosa włożyła mu do torby.
 - Synowskie podejście! Odkąd to spędzasz tyle czasu w towarzystwie Geminusa?
 - Odkąd doszedł do wniosku, że potrzebna mu ochrona - odparłem z przekornym uśmieszkiem - i zrobił głupstwo, wynajmując mnie do tej roboty.
 - Cóż za przyjemność - zachichotał Petroniusz - oglądać, jak wreszcie rodzina Dydiuszów trzyma się razem!
- Powiedziałem mu na odchodnym, co o nim myślę, bez urazy.

42

Aulus Kasjusz Karus i jego małżonka Ummidia Serwia mieszkali w domu, którego skromny wygląd zewnętrzny świadczył o ich zamożności. Była to jedna z dużych rezydencji powstałych po wielkim pożarze z czasów Nerona; w wojnie domowej, jaka wybuchła po śmierci tego cesarza, uchowała się jakoś przed rabusiami i podpalaczami. Ten dom wybudowali sobie ludzie, którzy prosperowali w trudnych czasach i którym udało się nie obrazić na wpół szalonego cesarza, dla którego przecież wystarczającym pretekstem do skazania na śmierć był fakt, że ktoś ośmielił się wykazać dobrym gustem w sprawach sztuki.

Karus i Serwia stanowili rzadki przykład, że można być Rzymianinem i zarazem osobą dyskretną.

Zawsze mnie zaskakiwało, że w mieście, gdzie tysiące tłoczyły się w wysokich kamienicach czynszowych, tak wielu szczęściarzy nabywało duże parcele i mieszkało w okazałych rezydencjach, często praktycznie niewidocznych dla zwykłych ludzi. Tym dwojgu nie tylko to się udało, ale

dokonali tego w klasycznym rzymskim stylu; choć ich domu strzegły ślepe mury, odnosiło się wrażenie, że jest on dostępny dla każdego, kto tylko ma uzasadniony powód do odwiedzin. Po wymianie kilku zdań z odźwiernym, któremu przedstawiliśmy cel naszej wizyty, rezydencja, z zewnątrz wyglądająca na bardzo prywatną siedzibę, otworzyła przed nami swoje podwoje.

Niewolnik poszedł, by przekazać gospodarzom naszą prośbę o rozmowę. Pozostawieni sami sobie wędrowaliśmy po pokojach.

Miałem na sobie togę, ale poza tym wyglądałem jak zwykle swobodnie.

- Mogłeś się uczesać! - wycedził Geminus. Przyjrzał się mojej todzie; należała kiedyś do Festusa, więc zdała egzamin.

- Czeszę się tylko dla cesarza i kobiet, które są wyjątkowo piękne.

- Na bogów, kogo też ja wychowałem?

- Nikogo nie wychowywałeś! Mimo to jestem grzecznym chłopcem, który nie będzie się przypochlebiał zbirom kopiącym jego tatę po żebrach!

- Nie sprawiaj kłopotów, bo nic nie osiągniemy.

- Wiem, jak się trzeba zachowywać - powiedziałem z ironicznym uśmiechem, dając subtelnie do zrozumienia, że być może, nie zechcę z tej wiedzy skorzystać.

- O nikim - oświadczył Dydiusz Geminus - kto nosi do togi kolorową tunikę, nie można powiedzieć, że wie, jak się zachować!

I taki miałem pożytek ze swojej ulubionej tuniki w kolorze indygo.

Minęliśmy posąg jakiegoś senatora; nie mógł to być przodek gospodarzy, bo ci nie byli patrycjuszami, tylko ekwitami. W atrium znajdowało się też kilka popiersi cesarzy z rodu Klaudiuszów. Ich delikatne, chłopięce twarze kontrastowały z szorstkimi i nieregularnymi rysami panującego obecnie Wespazjana. Pierwsza kolekcja o ogólniejszym charakterze znajdowała się na zewnątrz, w perystylowym ogrodzie, tuż za atrium. Dzieła sztuki prezentowały się świetnie, mimo marcowego braku roślinnej oprawy. Były tam przeróżne hermy w otoczeniu dość pretensjonalnych grup psów myśliwskich i łani, uskrzydlnych kupidynów, delfinów, był Pan pośród trzciny i tak dalej. Mieli też nieodłącznego Priapa (w całej okazałości, nie takiego jak tamten uszkodzony okaz z magazynu ojca), spasionego bożka Sylena, rozwalonego na plecach, a z jego buklaka ciurkał słaby strumyczek wody. Były to całkiem zwyczajne obiekty. Jako miłośnika roślin bardziej zainteresowały mnie ożywiające ogród wschodnie krokusy i hiacynyty.

Ojciec, który był już tu wcześniej, zdecydowanym krokiem poprowadził mnie do galerii sztuki. Tam zacząłem odczuwać pierwsze ukłucia zawiści.

Przeszliśmy przez kilka cichych, przestronnych pomieszczeń o neutralnym wystroju. Stało tam wiele pięknych mebli, a także kilka niewielkich, lecz wyśmienitych brązów, wyeksponowanych na cokołach. Wejścia do galerii strzegły dwa gigantyczne trytony, niosące nereidy na smagających fale

ogonach.

Przespacerowaliśmy pomiędzy nimfami morskimi i pod majestatycznym portalem. Alabastrowa obudowa drzwi była tak wysoka jak moje mieszkanie, a wykonane z jakiegoś egzotycznego drewna, ogromne podwójne skrzydła nabito ćwiekami z brązu. Były szeroko otwarte, prawdopodobnie na stałe, bo ich zamknięcie wymagałoby zapewne wysiłku kilku niewolników.

We wnętrzu osłupieliśmy na widok *Umierającego Gala*, rzeźby dwukrotnie większej od naturalnych rozmiarów, wykonanej w cudownie żyłkowanym czerwonym porfirze. Każdy dom powinien posiadać takiego... i oczywiście drabinę do odkurzania.

Następnie była kolekcja sławnych Greków. Nietrudno było przewidzieć, kto się tam znajdzie, z tym że właściciele tej posiadłości mieli swoje preferencje przy zestawieniu zbioru głów: Homer, Eurypides, Sofokles, Demostenes, przystojny brodaty Perykles i prawodawca Solon. Za nimi tłumek anonimowych tancerek, potem naturalnych rozmiarów Aleksander, wyglądający na szlachetnie zadumanego, ale z imponującą czupryną, co powinno podnieść go na duchu. Ci kolekcjonerzy preferowali marmur, dopuszczając jednak kilka wyśmienitych brązów: byli tam oszczepnicy i kawalerzyści; lekkoatleci, zapaśnicy i woźnice rydwanów. Wróciwszy do klasycznego paryjskiego marmuru, natrafiliśmy na posępnego skrzydlatego Erosa, najwyraźniej mającego problemy z kochanką, tupiącą na niego nóżką, zwróconego ku blademu, jeszcze bardziej nieobecnemu Dionizosowi, wpatrującemu się w winorośl. Bóg wina wyglądał młodo i pięknie, jednak sądząc po minie, już się domyślał, jaki los czeka jego wątrobę, jeśli nie zmieni stylu życia.

Potem natknęliśmy się na szaloną mieszankę uroczych posążków. Obfitość i Fortuna; Zwycięstwo i Cnota. Tu Minotaur na postumencie, tam gablota pełna miniatur. Gracje były pełne wdzięku, Muzy pogrążone w zadumie; pokaźna grupa menad oddawała się igraszkom z królem Penteuszem. Stała tam też, co nawet ja natychmiast rozpoznałem, bardzo dobra replika jednej z kariatyd z ateńskiego Erechtejonu. Gdyby mieli dość miejsca, sprowadziliby sobie cały Partenon.

Panowali nad tym wszystkim, jak przystało, bogowie w przeznaczonej jedynie dla nich, dobrze oświetlonej sali. Na tronach siedzieli Jowisz, Junona i Minerwa, ta stara dobra rzymska triada, a także niezwyciężona Atena, wykonana po części z kości słoniowej, z własnym basenikiem, żeby miała odpowiednią wilgotność. Władcy mórz niestety nie było... chyba że (słaba nadzieja) znajdował się właśnie w jakimś warsztacie i poddawano go czyszczeniu.

Wszystkie te obiekty były zdumiewające. Nie mieliśmy czasu, by przyjrzeć im się na tyle dokładnie, by stwierdzić, ile jest wśród nich dzieł oryginalnych,

jednakże nawet kopie były godne pożądania.

Potrafię wykrzesać z siebie trochę czci i powagi, ale zaraz potem odczuwam ogromną potrzebę, by rozładować atmosferę.

- Jak powiedziałaaby mama, cieszę się, że to nie ja muszę co rano to wszystko przecierać!

- Sza! Okaż odrobinę subtelności! - ofuknął mnie tata. To był właśnie jeden z wielu powodów naszych sporów. W sprawach dotyczących polityki wykazywał wyjątkową przenikliwość i cynizm, porównywalny z moim własnym. Kiedy jednak chodziło o sprawy kultury, natychmiast wyłaził z niego prawdziwy snob. Z czterdziestoletnią praktyką sprzedawania staroci głupcom powinien mieć więcej krytycyzmu w stosunku do właścicieli dzieł sztuki.

Mieliśmy właśnie opuścić Salę Bogów, kiedy gospodarze uznali, że nadszedł odpowiedni moment, by się pojawić. Musieli być przekonani, że do tego czasu będziemy już stać z rozdziawionymi z podziwu gębami. Dla zasady starałem się wyglądać jak ktoś zbyt uduchowiony, by upatrywać jakąś wartość w rzeczach materialnych, ale chyba nie zwiodłem nikogo. Jednym z powodów, dla których pozwalało się ludziom tu spacerować, było doprowadzenie ich do zawrotu głowy na myśl, ile też musiało kosztować to, co właśnie obejrzeli.

Para weszła razem. Wiedziałem już od ojca, że to małżeństwo, w którym jego gust i jej pieniądze stworzyły długoletni udany związek. On zabierał głos, jednakże jej obecność przez cały czas się silnie wyczuwało. Jednoczyła ich niepoohamowana chęć zdobywania rzeczy za wszelką cenę. Przybyliśmy do domu przesiąkniętego chorobliwą atmosferą potrzeby posiadania.

Kasjusz Karus był żalonym chudzielcem o ciemnych kręconych włosach. Miał około czterdziestu pięciu lat, zapadnięte policzki i ciężkie opuchnięte powieki. Najwyraźniej zapominał się ostatnio golić... niewątpliwie zbyt zaprzątnięty swoimi monumentalnymi aktami. Uminidia Serwia, zapewne jakieś dziesięć lat od niego młodsza, była pulchną, bezbarwną kobietą, o kwaśnej minie. Może znużyła ją drapiąca szczecina na twarzy małżonka.

Oboje mieli na sobie fałdziste, białe oficjalne stroje. On miał na palcach kilka wielkich sygnetów, ona tu i ówdzie kilka złotych drobiazgów, ale widać było, że nie przywiązują szczególnej wagi do biżuterii. Mało wygodne, dostojne odzienie miało ukazać ich nam jako strażników dzieł sztuki. Noszenie ozdób do tej roli nie pasowało.

Ojca już znali.

- To mój syn - powiedział Geminus, wywołując trwającą chwilę lodowate milczenie, kiedy to docierało do nich, że nie jestem tym mitycznym Festusem.

Podali mi nieznośnie wiotkie dłonie.

- Podziwialiśmy kolekcję. - Ojciec lubił rozplętywać się z zachwytem.

- I co sądzisz? - Karus zwrócił się do mnie, prawdopodobnie wyczuwając moją rezerwę. Był niczym kot, który wskakuje na kolana temu jedynemu

gościowi, który kicha od sierści.

- Nigdy nie widziałem dzieł lepszej jakości - odpowiedziałem, trzymając się swojej roli pełnego szacunku syna licytatora.

- Zachwycisz się naszą Afrodytą - oświadczył gospodarz. Jego powolny, lekki, nieco zbyt precyzyjny sposób mówienia spowodował, że zabrzmiało to jak polecenie. Poprowadził nas do tego cuda, które ustawili na samym końcu zbioru, w osobnym wewnętrznym ogrodzie. - Specjalnie doprowadziliśmy tutaj wodę - oświadczył.

Kolejna Afrodyta. Najpierw wybranka malarza, teraz jeszcze bardziej sugestywna mała pani. Zaczynałem się stawać znawcą.

Hellenistyczny marmurowy posąg Karusa był oszałamiająco zmysłowy. Ta bogini była zbyt bliska nieprzyzwoitości, by mogła się znaleźć w świątyni. Stała sobie pośrodku okrągłej sadzawki, na wpół rozebrana, i spoglądając przez gibkie ramię, podziwiała odbicie własnej prześwietnej pupy. Skąpiana była w blasku bijącym od nieruchomej wody, co pozwalało ujrzeć cudowny kontrast pomiędzy jej obnażonymi kształtami a sztywnymi fałdami chitonu, który już prawie zdążyła z siebie zsunąć.

- Bardzo ładne - pochwalił mój ojciec. Afrodyta wyglądała na jeszcze bardziej zadowoloną.

Karus zwrócił się o opinię do mnie.

- Czyste piękno - powiedziałem. - Czyż nie jest to kopia tej uderzającej Wenus z wielkiego jeziora w Złotym Domu Nerona? - zapytałem.

- O tak. Neron wierzył, że ma oryginał! - Karus wymówił słowo „wierzył” z pogardliwą złośliwością, po czym uśmiechnął się. Zerknął na żonę. Serwia też się uśmiechnęła. Zrozumiałem, że Neron się mylił.

Przechytrzenie innego kolekcjonera sprawiało im jeszcze więcej przyjemności niż samo posiadanie tego niezrównanego dzieła. To niedobrze. Bo wiele radości sprawi im przechytrzenie nas.

Czas było przejść do interesów.

Ojciec ruszył z Karusem meandrowatą ścieżką, podczas gdy ja mówiłem o mało ważnych sprawach do Serwii. Tak to sobie zaplanowaliśmy. Kiedy dwóch członków rodziny Dydiuszów idzie z wizytą, zawsze mają sprzeczne plany... zazwyczaj niekończący się spór idzie o to, kiedy należy opuścić dom, do którego jeszcze nie dotarliśmy. Tym razem tata zaproponował, by każdy z nas wypróbował na obojgu swoje umiejętności czarowania, a dopiero potem zastosujemy podejście, które się najlepiej sprawdzi. Moje się nie sprawdziło. Z tą kobietą do niczego nie doszedłem. Zupełnie jakbym przetrzepywał poduszkę, która straciła połowę pierza. Widziałem, że twarz ojca czerwienieje podczas rozmowy z gospodarzem.

Po jakimś czasie Geminus zatoczył pełne koło i sprowadził Karusa z

powrotem. Zręcznie zmieniając partnerów, roztoczył przed panią domu resztki wdzięku kiedyś tak pociągającego kobiety, podczas gdy ja zaatakowałem jej patykowatego współmałżonka. Obserwowałem, jak ojciec zalewa Serwię męską uprzejmością, kiedy ta kolebie się, człapiąc u jego boku. Nie zauważała jego wysiłków, co mnie ubawiło.

Usiedliśmy z Karusem na kamiennej ławce, skąd mogliśmy podziwiać dumę jego kolekcji.

- Co zatem wiesz o marmurach, młody człowieku? - Mówił, jakbym miał osiemnaście lat i nigdy wcześniej nie widział rozbierającej się bogini.

Obejrzałem w życiu więcej nagich kobiet, niż on zgromadził w swojej galerii, i miałem tę przewagę, że moje były żywe, ale jako człowiek światowy, nie jakiś chełpliwy barbarzyńca, nie powiedziałem tego głośno.

Ojciec przedstawił mnie wcześniej jako młodszego partnera w jego domu aukcyjnym. Zagrałem więc nieokrzesanego i oznajmiłem:

- Wiem, że największy rynek jest na kopie. Obecnie oryginałów nie da się przetransportować, nawet gdyby się je sprzedawało w pęczkach i dodawało do tego komplet patelni do ryb.

Karus się roześmiał. Wiedział, że nie mówię o niczym tak ważnym jak oryginał dłuta Fidiasza. Ten każdy mógł przewieźć. I ktoś to zapewne zrobił.

Ojciec miał dość Serwii nawet szybciej niż ja, więc oboje dołączyli do nas. Te wstępne rozgrywki posłużyły ustaleniu reguł. Nikt nie dawał się czarować. Nie było szans na łatwe załatwienie sprawy naszego długu. Siedzieliśmy więc z tatą obok siebie, czekając, aż gospodarze nas przycisną.

- Cóż, to oznaka nowoczesności - ciągnąłem. - Tylko podróbki się liczą! - Już wiedziałem, że goniąc za Festusem, będę musiał zdemaskować kolejną.

- Nie ma nic złego w przyzwoicie wykonanej podróbce - wyraził swoją opinię tata. Wyglądał na spokojnego, ale wiedziałem, że czuje się podle. - Kilka z najlepszych obecnie kopii stanie się z czasem prawdziwymi antykami.

- Zakonotuję sobie w pamięci - oświadczyłem, siląc się na uśmiech - żeby zainwestować w porządnego rzymskiego Praksytelesa, jeśli będę kiedyś miał dość gotówki i miejsca do składowania. - Zrobiłem aluzję do ubóstwa naszej rodziny, ale nie mogło to zrobić wrażenia na naszych wierzycielach.

- Pomyśl raczej o Lizypie - poradził mi Geminus, stukając się znacząco w nos.

- Rzeczywiście, widziałem tu w galerii pięknego Aleksandra. Licytatora zawsze można rozpoznać - zwróciłem się konfidencjonalnie do naszych gospodarzy. - Poza wędrującym spojrzeniem, co jest rezultatem brania stawek z sufitu, ma wykrzywioną paszczkę, po latach udzielania kolekcjonerom wątpliwych wskazówek inwestycyjnych... - Dałem spokój wygłupom. Donikąd nie prowadziły. - Tato, Karus i Serwia wiedzą, w co chcą zainwestować. Chcą Posejdoną i jeszcze żeby był dłuta Fidiasza.

Kasjusz Karus wlepił we mnie lodowate spojrzenie. Jednakże to Serwia,

finansistka obojga, wygładziwszy sute fałdy białej szaty, oświadczyła:

- Ależ skąd, nie chodzi o żadną przyszłą inwestycję. Ten posąg już do nas należy!

43

Zobaczyłem, jak ojciec zaciska dłonie.

Rezygnując z narzuconej mi skromnej roli, zmieniłem podejście na zdecydowanie twardsze.

- Ta historia jest mi znana od niedawna. Czy mielibyście coś przeciwko przypomnieniu faktów? Chcę wiedzieć, czy wszystko dobrze rozumiem. Mój starszy brat, Dydiusz Festus, nabył podobno w Grecji skromny posąg Posejdon, rzekomo dłuta Fidiasza?

- O którym wiadomo, że został kupiony przez nas - oświadczył Karus przekonany, że w dowcipny sposób mnie przygwoździł.

- Przepraszam, jeśli to zabrzmiało grubiańsko, ale czy macie jakieś pokwitowanie?

- Naturalnie - odparła Serwia. Najwyraźniej miała już wcześniej do czynienia z moją rodziną.

- Widziałem je, Marku - wymamrotał tata.

Udawałem, że nie słyszę.

- Wystawione na was przez Festusa? - upewniłem się. Karus skinął głową. - Festus nie żyje. Co zatem my mamy z tym wspólnego?

- No właśnie! - stwierdził Geminus i wyprostował się. - Uwolniłem Festusa spod władzy rodzicielskiej, kiedy wstąpił do armii - oznajmił. Było to pewnie kłamstwo, ale nikt postronny nie mógł temu zaprzeczyć. Brzmiało sensownie, ale jakoś nie bardzo wiedziałem, po co tata i Festus mieliby dokonywać takich formalnych posunięć. Na uniezależnieniu się od władzy ojcowskiej zależy tylko takiemu synowi, który uważa, że go ta władza ogranicza. W rodzinie Dydiuszów to się nie zdarzało. To samo zresztą mógłby zapewne powiedzieć z szerokim uśmiechem każdy plebejusz z Awentynu.

Karus nie zamierzał przyjmować do wiadomości podobnego oświadczenia.

- Zakładam, że rodzic bierze odpowiedzialność za dłużni syna.

Zachciało mi się ironii.

- To miłe, że są jeszcze ludzie, którzy wierzą w nierozzerwalność rodziny, ojczyźnie!

- Na jądra byka! - wybuchnął. Być może Karus i Serwia potraktowali to jako odniesienie do mistycznych rytuałów jakiegoś wschodniego kultu.

A może nie.

- Mój tata jest bardzo przejęty - usprawiedliwiałem ojca. - Gdy mu się mówi, że jest komuś winien pół miliona, traci panowanie nad sobą.

Karus i Serwia popatrzyli na mnie, jakbym mówił rzeczy zupełnie dla nich

niezrozumiały. Ich obojętność na nasz problem zaskoczyła mnie. Więcej nawet, wywołała u mnie zimny dreszcz.

Bywałem w wielu miejscach, gdzie panowała bardziej złowroga atmosfera. Osilki dzierzące noże czy pałki robią wrażenie; tutaj jednak nic takiego nie występowało. A przecież w powietrzu wisiała groźba, a przesłanie było jednoznaczne. Zapłacimy albo dostaniemy nauczkę i to taką, która nie pozostawi nam wyboru.

- Proszę, bądźcie rozsądni - ciągnąłem. - Jesteśmy biedną rodziną. Po prostu nie mamy możliwości zdobycia takiej dużej sumy.

- Musicie - oświadczyła Serwia.

Mogliśmy gadać aż do znudzenia. Niezależnie od wagi naszych argumentów do porozumienia nie mogło dojść. Mimo to czułem, że nie powinienem rezygnować.

- Prześledźmy więc, co się wydarzyło. Zapłaciliście Festusowi za posąg. On w dobrej wierze postarał się go sprowadzić, ale statek zatonął. W tym momencie byliście już właścicielami obiektu. Zatem jest to - oświadczyłem z większą śmiałością, niż odczuwałem - wasza strata.

- Nigdy nam nie wspomniano, że posąg wciąż jest w Grecji - zauważył Karus.

Kiepska sprawa. Serce mi zamarło. Zastanawiałem się, jaka data widnieje na pokwitowaniu. Starając się nie patrzeć na ojca, pomyślałem, czy przypadkiem mój nieznośny braciszek nie sprzedał Fidiasza już po jego zatonięciu. Ojciec musiałby zauważyć taki szczegół, kiedy oglądał pokwitowanie; chybaby mnie ostrzegł.

Jedno było pewne: nie mogłem przyciągnąć ich uwagi do oszustwa naszego chłopca, prosząc teraz o pokazanie mi tego dokumentu. Zresztą nieważne; jeśli Festus ich rzeczywiście oszukał, to nie chciałem tego wiedzieć.

- Chcecie przez to powiedzieć, że kupiliście obiekt, w ogóle go nie oglądając? - spytałem, brnąc dalej na oślep.

- Antyczna rzeźba w marmurze. - Karus najwidoczniej cytował z aktu kupna-sprzedazy, którego wolałem nie oglądać. - Posejdon dłuta Fidiasza, heroiczne proporcje, wyraz szlachetnego spokoju, greckie odzienie, bujna czupryna i broda, wysokość sześć stóp, jedna ręka uniesiona do rzutu trójzębem... Mamy własnych przewoźników - poinformował mnie uszczypliwym tonem. - Braci Aristedonów. Ludzi, którym ufamy. Mogliśmy zorganizować transport sami. W t e d y byłaby to nasza strata. W tym układzie nie jest.

Festus mógł im pozwolić, żeby wzięli na siebie ryzyko związane z transportem. Na pewno wiedział o ich możliwościach. Zawsze zbierał informacje o swoich klientach. Więc czemu tego nie zrobił? Sprowadzał posąg sam, bo musiał jeszcze coś trzymać w zanadrzu.

Nie było w tym mojej winy. Nawet winy ojca. To jednak nie obchodziło Karusa i Serwii.

- Czy wystąpicie przeciwko nam do sądu? - spytałem.
- Nie mamy zwyczaju się procesować.
- Posłuchajcie, całkiem niedawno natknąłem się na ten problem - zacząłem raz jeszcze. - Próbuję odkryć, co się stało. Po pięciu latach nie jest to łatwe, więc proszę o wyrozumiałość. Daję wam słowo, że postaram się wyświecić całą sprawę. Proszę, byście przestali nękać mojego leciwego już ojca...
- Sam o siebie zadbam! - prychnął leciwy Dydiusz, zawsze pierwszy w bezsensownych odzywkach.
- I dali mi trochę czasu - dokończyłem.
- Nie po pięciu latach! - rzucił Karus.

Miałem ochotę walczyć. Miałem ochotę wyjść stamtąd z hukiem, mówiąc mu, że może sobie robić, co chce, a my się temu wszystkiemu przeciwstawimy.

Nie miało to jednak sensu. Przedyskutowaliśmy już to z ojcem po drodze tutaj. Mogliśmy zwiększyć obstawę osiłeków na licytacjach. Mogliśmy zabarykadować biuro i magazyn. Mogliśmy strzec naszych domów i wychodzić w otoczeniu licznej uzbrojonej obstawy. Nie mogliśmy jednak robić tego wszystkiego codziennie i co noc, latami.

W Karusie i Serwii widać było zaciekle upór ludzi, którzy nie ustąpią. Zawsze już musielibyśmy martwić się o siebie, naszą własność... nasze kobiety.

I nigdy byśmy tego nie zapomnieli Festusowi.

Zaczęliśmy ich nużyć. Widać było, że za chwilę zechcą się nas pozbyć.

Ojciec pierwszy uznał, że doszło do impasu.

- Nie mam czym zastąpić tego Fidiasza, nie znam obiektu podobnej klasy. Jeśli chodzi o znalezienie pół miliona, to suma ta unicestwiłaby moją płynność.

- Pozbądź się majątku - poinstruował go Karus.

- Zostanę z pustym magazynem i ogołoconym domem.

Gospodarz wzruszył ramionami.

Ojciec wstał. Z większą godnością, niż się spodziewałem, oświadczył:

- Sprzedaż wszystkiego, co posiadam, Karusie, p o t r w a ! - Nie prosił już o wyrozumiałość, tylko przedstawiał warunki. Zostaną przyjęte. Karus i Serwia chcieli, by im zapłacono. - Chodź, Marku - powiedział ojciec spokojnym głosem.

- Czeka nas mnóstwo roboty. Wracajmy do domu.

Przynajmniej tym razem powstrzymałem się przed oświadczeniem publicznie, że on i ja mamy zupełnie różne wyobrażenia „domu”.

Ruszył do wyjścia z zaciętą miną. Poszedłem za nim. Byłem jak on zrozpaczony. Pół miliona to więcej niż ta suma, której jak dotąd nie udało mi się zebrać dla własnych, pielęgnowanych w myślach celów. To było więcej pieniędzy, niż miałem kiedykolwiek nadzieję widzieć na oczy. A gdybym je zobaczył, to chciałbym nimi dysponować, by móc poślubić Helenę. Cóż, jeśli się w to uwikłałem, to z t a m t y m pomysłem mogę się pożegnać już na zawsze.

A przecież, gdyby miało mi to na zawsze złamać życie, wiedziałem, że nie mogę zostawić ojca, by sam dźwigał brzemię długu mojego nieodpowiedzialnego brata.

44

Ojciec maszerował w szaleńczym tempie. Nie znoszę narzucać się osobie mającej kłopoty... Maszerowałem więc obok i skoro chciał się wściekać w całkowitym milczeniu, to lojalnie do niego dołączyłem.

Kiedy tak parł Drogą Flamińską, jego oblicze było równie przyjazne jak Jowiszowy grom, zresztą i mojej twarzy pewno też zabrakło jej normalnego ujmującego uroku. Ja też nie przestawałem główkować.

Byliśmy już w pobliżu Saepa Iulia, kiedy ojciec skręcił do winiarni.

- Muszę się napić! - oświadczył.

Mnie też by się przydał jeden głębszy, ale wciąż pękała mi z bólu głowa po ekscesach poprzedniej nocy.

- Usiądę tu i poczekam - zdecydowałem. Czułem, jakby rozłupywano mi czaszkę na pół. - Ostatnią noc spędziłem przecież na oliwieniu strun głosowych dwóch malarzy.

Ojciec przerwał w połowie składanie zamówienia, nie mogąc się zdecydować, które z win wyszczególnionych na ścianie jest wystarczająco mocne, by wprowadzić go w stan błogiej nieświadomości.

- Jakich malarzy? - zapytał.

- Manliusza i Wargi. - Też zamilkłem, choć nie chodziło o to, że wysilam mózg, by podjąć decyzję w sprawie wina; z łokciem opartym o kontuar rozglądałem się obojętnie wokół - Festus ich znał - dodałem po chwili.

- I ja ich znam! Mów dalej - ponaglił mnie ojciec z zamyśloną miną.

- Cóż, jest jakiś znikający rzeźbiarz, który pomieszkiwał z nimi...

- Jak ma na imię? - dopytywał się ojciec.

Knajpiarz zaczął się niepokoić. Zaczynał podejrzewać, że do zakupu wina nie dojdzie.

- Orontes Mediolanus.

- Orontes nigdzie nie zniknął! - prychnął ojciec. - Chyba wiem, co mówię, wykorzystuję tego leniwego drania do wykonywania kopii mebli i do przeróżnych renowacji. Orontes mieszkał z tymi wałkoniami pod Celiussem co najmniej do zeszłego lata. Wypili na twój koszt i jeszcze ci nałgali.

Knajpiarz stracił zarobek.

Wypadliśmy z winiarni i ruszyliśmy na poszukiwanie pacykarzy.

Ta pogoń zajęła nam większość popołudnia. Ojciec ciągnął mnie do tyłu kolejnych malarzy fresków - i do ich rozkwitłych modelek - że miałem już tego

dość. Zwiedzaliśmy okropne wynajmowane klitki, lodowate studia, chwiejne poddasza i do połowy pomalowane rezydencje. Przewędrowaliśmy cały Rzym. Sprawdziliśmy nawet apartament w Pałacu, dla którego Domicjan zamówił elegancki wystrój w kolorze jasnej ochry dla Domicji Longiny, flirciary, którą porwał mężowi i umieścił u siebie jako własną żonę.

- Tylko nie to! - wymamrotał ojciec. Ale akurat tego widziało się całe mnóstwo; gust Flawiuszów był przewidywalny. Na tym etapie Domicjan się dopiero zabawiał; będzie musiał poczekać na śmierć ojca i brata, zanim wprowadzi w życie swój plan dotyczący przerobienia całego Palatynu. Wyraziłem własną opinię na temat jego banalnej dekoracji wewnątrz. - Och, masz rację! - zgodził się ojciec, uznając zakulisową wiedzę cesarskiego agenta. - W dzisiejszych czasach nawet w wytwornym towarzystwie cudzołóstwo należy do konwencji. Zarówno August, jak i ten wstrętny mały Kaligula zapewnili sobie małżonki, kradnąc je innym.

- To nie dla mnie. Kiedy ja złapałem córkę senatora, to wybrałem taką, która się rozwiodła w oczekiwaniu na moje wytworne zaloty.

- I słusznie - rzucił z przekąsem ojciec. - Nie zniósłbyś publicznej krytyki...

W końcu ktoś skierował nas tam, gdzie pracowali nasi poszukiwani. Udaliśmy się tam w milczeniu. Tym razem nie mieliśmy żadnego planu.

Dom, przy którym pracowali, przechodził gruntowny remont. Nad wejściem niebezpiecznie chwiało się rusztowanie, z góry sypały się dachówki, niekoniecznie trafiając do źle ustawionego pojemnika. Nadzorca robót musiał być jakąś leniwą łachudrą. Weszliśmy do środka, lawirując między porozstawianymi kozłami i drabinami, i potknęliśmy się o torbę z narzędziami. Ojciec ją podniósł. Stróż uniósł głowę znad planszy do warcabów, którą wydrapał sobie w kurzu na częściowo ułożonej mozaikowej posadzce.

- Widziałeś tu gdzieś Tytusa? - zawołałem do niego, po czym minęliśmy go pędem, udając, że podążamy w kierunku niedbale wskazanym przez jego uniesioną rękę.

Zawsze jest jakiś cieśla o imieniu Tytus. Kilkakrotnie już go używaliśmy, żeby gdzieś wejść. Nawet tłusty zrzęda w todze, prawdopodobnie właściciel domu, nie zadawał pytań, zmarszczył tylko niespokojnie brwi, kiedy go mijaliśmy, rwąc korytarzem. Jego posiadłość od miesięcy znajdowała się w łapach nieokrzęsanych drabów. Już przestał narzekać, kiedy odpychali go na bok, siusiali na jego rzeźbione w liście akantu łóżce albo w brudnych tunikach zapadali w drzemkę na ulubionej sofie do czytania.

- Przepraszam, szefie! - rzucił mój ojciec z uśmiechem. Miał zadziwiającą umiejętność mówienia niczym niewykwalifikowany prostak, który właśnie wbił oskard w rurę wodociągową i stara się z tego wywinąć.

Wiedziałem, że Manliusz musi pracować w pobliżu atrium, ale okazało się, że panuje tam zbyt duży ruch, wobec czego, na razie, zostawiliśmy go w spokoju i

zaczęliśmy przemierzać jadalnie w poszukiwaniu porywanych Sabinek. To był duży dom. Mieli w nim trzy różne sale jadalne. Warga malował Sabinki w tej trzeciej.

Tynkarz przygotował mu właśnie świeżą ścianę. Przy freskach sztuka polega na bardzo szybkiej pracy. Malarz stał przed ogromną powierzchnią gładkiego wilgotnego tynku. Miał gotowy szkic ukazujący kotłowaną pośladków, a obok siebie naczynie z wymieszaną farbą w cielistym kolorze. W ręku trzymał pędzel z borsuczego włosia. Był gotów zaczynać.

- Nie tak prędko, Warga. Rzuć ten pędzel! Przyszli Dydiusze! - zawołał ostro tata, zaskakując zarówno malarza, jak i mnie.

Warga, który wolno myślał, wciąż trzymał się pędzla.

Ojciec, postawny mężczyzna, jedną ręką chwycił mężczyznę za ramię. Drugą go opasał, uniósł w powietrze i wykonał nim szybki półobrót. Pędzel z farbą przejechał po ścianie, pozostawiając na tynku, dopiero co wygładzonym przez bardzo wysoko opłacanego rzemieślnika, długie jasnoróżowe pasmo. Idealne, błyszczące i piękne.

- Miko mógłby się czegoś tutaj nauczyć! - zachwycił się ojciec. - No dobra, nie stój jak słup, Marku, bierzemy się do wyjmowania drzwi. Skocz do kuchni i przynieś sznur, na którym wieszają ścierki...

Skonsternowany spełniłem życzenie ojca. Nigdy nie stosuję się dobrowolnie do poleceń... ale pierwszy raz bawiłem się w żołnierza jako jeden z Dydiuszów. Okazało się, że prawdziwi z nich twardziele.

Usłyszałem pojękiwania malarza. Ojciec trzymał go mocno, co jakiś czas potrząsając nim od niechcienia. Kiedy wróciłem, cisnął go na podłogę i pomógł mi zdjąć skrzydło ozdobnych drzwi z brązowych mocowań. Warga próbował odzyskać oddech i nie ruszył się z podłogi. Podnieśliśmy go i przywiązaliśmy do drzwi z szeroko rozrzuconymi ramionami i nogami. Potem postawiliśmy drzwi pod ścianą naprzeciwko tej, którą miał malować. Wolną część sznura zwinąłem porządnie, tak jak zwija się linę do podnoszenia żagla na pokładzie statku. Wciąż wisiały na nim wilgotne ścierki, co przydawało komizmu tej sytuacji. Mężczyzna wisiał sobie na drzwiach i to głową w dół.

Porządny tynk jest kosztowny. Trzeba na nim malować, póki nie wyschnie. Malarz fresków, który przegapi właściwy moment, musi z własnego honorarium zapłacić za ponowne nałożenie tynku.

Tata objął mnie ramieniem. Potem zwrócił się do tkwiącej w pobliżu jego butów twarzy.

- Słuchaj, to jest mój syn. Podobno ty i Manliusz śpiewaliście mu fałszywie! - oznajmił.

Malarz tylko jęknął.

Podeszliśmy z ojcem do świeżej ściany. Usiedliśmy z obu stron mokrego kawałka i krzyżując ramiona, oparliśmy się o nią.

- Słucham, Wargo - tata w ujmujący sposób zachęcił malarza.
- Chyba nie chwyta - wycedziłem przez zęby, szczerząc się złośliwie.
- Owszem, chwyta - mruknął ojciec. - Wiesz, to chyba najsmutniejszy obrazek, unieruchomiony malarz fresków bezradnie obserwujący, jak wysycha mu tynk... - mówił.

Obróciliśmy powoli głowy, żeby popatrzeć na schnącą ścianę. Minęło pięć minut. Twarz malarza nabiegła krwią, ale bezczelności do końca nie stracił.

- Powiedz nam o Orontesie - podsunąłem mu. - Przecież wiesz, gdzie on jest.
- Orontes zniknął! - wycharczał Warga.
- Nieprawda - odezwał się ojciec miłym głosem. - Nie zniknął, jeszcze całkiem niedawno mieszkał w waszej norze pod Celusem. W kwietniu naprawił dla mnie fletnię Pana, której odpadła jedna rurka... i jak zwykle sfuszerował. Zapłaciłem mu dopiero w listopadzie - ciągnął cierpliwie. Warunki stawiane przez ojca były kłopotliwe dla tych drobnych rzemieślników, którzy mają zbyt artystyczną naturę, by zgłaszać zastrzeżenia do umowy. - Pieniądze dostarczono do waszej klitki.

- Zwędziliśmy je! - spróbował bezwstydnie nasz śmiałek.
- Z czego wynika, że podrobiliście świnkę z jego sygnetu, która widnieje na moim pokwitowaniu... i niby który z was dwóch miałby dla mnie wykonać tę pracę?

- Och, odwal się już, Geminusie! - warknął malarz.
- No cóż, skoro tak do tego podchodzisz... - Ojciec się podniósł. - Znudziło mi się - rzucił do mnie. Zaczął grzebać przy torbie u pasa i wyciągnął duży nóż.

45

- Daj spokój, tato - zaprotestowałem słabo. - Przestraszysz go. Przecież wiesz, że malarze to tchórze!

- Za bardzo go nie uszkodzę - zapewnił mnie ojciec, puszczając do mnie oko. Wymachiwał ręką z nożem. Było to solidne kuchenne narzędzie, którego jak się domyślałem, używał normalnie przy spożywaniu posiłku w południe. - Jeśli nie zechce mówić, to się przynajmniej trochę zabawimy... - Oczy miał niebezpiecznie błyszczące; był niczym dziecko na zwierzęcym targu.

W następnej chwili ojciec zamachnął się i rzucił nożem. Ostrze stuknęło, wbijając się w drewno pomiędzy nogami malarza, które przywiązaliśmy w pozycji rozłożonej... choć trzeba przyznać, że rozkrok nie był zbyt duży.

- Geminusie! - wrzasnął nieszczęśnik, kiedy zagrożona została jego męskość.
- Uff! - odezwałem się, wykrzywiając twarz. - Mogło się źle skończyć... - Wciąż pod wrażeniem celności ojcowego rzutu wstałem i wyciągnąłem z buta własny sztylet.

Tata przyglądał się rezultatowi swojego wyczynu.

- O mało nie wykastrowałem drania... Może nie jestem zbyt dobry w te

klocki.

- A może ja jestem jeszcze gorszy! - oświadczyłem z uśmiechem, szykując się do rzutu.

Mężczyzna zaczął wołać o pomoc.

- Zamknij się - poradził mu dobrodusznie Geminus. - Zaczekaj, Marku. Przecież zepsuje nam całą przyjemność tym wrzaskiem. Już ja go uciszę... - W torbie na narzędzia, którą porwał wcześniej z podłogi, była szmata. Śmierdziała i była oblepiona czymś, czego nie udało nam się zidentyfikować. - To pewnie trujące; zatkamy mu tym gębę. Potem dopiero możesz mu przedziurawić...

- Manliusz wie! - jęknął słabym głosem malarz fresków. - Orontes był jego kumplem. Manliusz wie, gdzie on jest!

Podziękowaliśmy mu, ale tata i tak wetknął mu w gębę tłustą szmatę i zostawiliśmy go tak wiszącego do góry nogami.

- Następnym razem, kiedy przyjdzie ci ochota narazić się Dydiuszom... dwa razy pomyśl!

Zastaliśmy Manliusza na szczycie rusztowania. Był w białym pokoju i malował fryz.

- Nie, nie kłopotz się schodzeniem, wejdziemy do ciebie...

Obaj z ojcem wdrapaliśmy się błyskawicznie po jego drabinie, zanim zdążył się zorientować, co się dzieje. Chwyciłem go za rękę i wyszczerzyłem się do niego jak stary przyjaciel.

- Nie tak! Daruj sobie grzeczności! - poinstruował mnie krótko ojciec. - Zmarnowaliśmy za dużo czasu na uprzejmości z tamtym. Dokop mu od razu!

No proszę. I co z tą powszechną opinią, że licytatorzy to tacy kulturalni znawcy sztuki. Wzruszywszy przepraszająco ramionami, rzuciłem się na malarza i powaliłem go na kolana.

Tym razem nie musieliśmy szukać powroza; Manliusz miał własny, do wciągania na górę farb i narzędzi. Ojciec rozwinął go szybko, ciskając w dół przywiązany do niego kosz. Prychając wściekle, przeciął sznur. Krótszym kawałkiem związaliśmy Manliusza. Dłuższy tata przywiązał mu do kostek nóg. Nie czując potrzeby konsultowania ze sobą dalszych posunięć, podnieśliśmy go i przerzuciliśmy poza skraj podestu rusztowania.

Jego krzyk urwał się natychmiast, kiedy zawisł w powietrzu do góry nogami. Przywykł do tej nowej sytuacji i już tylko pojękiwał.

- Gdzie jest Orontes? - spytał ojciec.

Malarz milczał.

- Albo ktoś zapłacił tym półgłówkom fortunę - burknął ojciec - albo ich zastraszył!

- W porządku - odpowiedziałem, zerkając ponad krawędzią na Manliusza. -

Będziemy musieli przestraszyć go jeszcze bardziej!

Zeszliśmy. Na dole stał pojemnik tynkarza z wapnem. Przeciągnęliśmy go przez pokój i ustawiliśmy bezpośrednio pod naszą dyndającą na sznurze ofiarą. Wisiał nad pojemnikiem i klął nas w żywy kamień.

- Co teraz, tato? Moglibyśmy napełnić to cementem, spuścić Manliusza, poczekać, aż masa stwardnieje, i wrzucić go do Tybru. Chybaby utonął... - puszczałem wodze fantazji. Manliusz trzymał się dzielnie. Może myślał, że nawet w Rzymie, gdzie przechodnie potrafią zachowywać się dość niepoważnie, trudno byłoby przemieszczać ulicami kogoś tkwiącego w betonie bez wzbudzenia zainteresowania edylów.

- Jest mnóstwo farby, zobaczmy, co się da z nią zrobić! - powiedział ojciec.

- Robiłeś kiedyś tynk? Spróbujmy...

Mieliśmy świetną zabawę. Wsypaliśmy mnóstwo suchego tynku do wanienki, waliśmy wodę i wymieszaliśmy dokładnie kijem. Potem zagęściliśmy masę krowim włosiem. Znalazłem pojemnik z białą farbą, więc dodaliśmy jej do mieszanki. Efekt był obrzydliwy, co zachęciło nas do jeszcze bardziej szaleńczych eksperymentów. Przeszukaliśmy kosz malarza w poszukiwaniu barwników i pohukiwaliśmy z uciechy, robiąc wspaniałe wiry ze żłota, czerwieni, błękitu i czerni.

Tynkarze do swoich chytrych sztuczek używają łąjna. Znaleźliśmy kilka worków tego znakomitego materiału i wsypaliśmy do naszego błotnego ciasta, komentując niepowtarzalny zapach.

Wspiąłem się ponownie na rusztowanie. Zatrzymawszy się tylko na chwilę, żeby ze znanostwem wyrazić swoje zdanie na temat bogactwa girland, pochodni, waz, gołąbków i wanienek dla ptaszków, kupidynów ujeżdżających pantery, które składało się na tworzony przez Manliusza fryz, odwiązałem trzymający go sznur. Odchylając się do tyłu, opuściłem nieco swoją ofiarę.

- Troszkę niżej! Jeszcze odrobinę... - tata zachęcał mnie do działania. Gwałtownymi szarpnięciami Manliusz osuwał się głową prosto do wanienki tynkarza. - Delikatnie, to trudna sztuczka...

Malarz w końcu nie wytrzymał i spróbował się rozhuścić, żeby sięgnąć rusztowania; popuściłem gwałtownie linę. Zamarł bez ruchu i tylko cicho zawodził.

- Powiedz nam o Orontesie! - zachęcałem go.

Pokręcił wściekle głową, nie otwierając oczu. Wtedy pozwoliłem mu zjechać do gęstej masy.

Opuściłem go na tyle, żeby zanurzyć mu włosy. Potem podciągnąłem odrobinę, przymocowałem sznur i zszedłem sprawdzić swoje dzieło. Tata porykiwał gniewnie. Z czarnych kiedyś włosów wiszącego malarza skapywała ohydna biała breja, urozmaicona czerwonymi i niebieskimi pasmami. Biała maź sięgnęła mu brwi, które miał na tyle krzaczaste, że mogły utrzymać jej

spora ilość.

- Nie mogło być lepiej - oświadczył tata z aprobatą.

Włosy malarza przybrały kształt groteskowych szpikulców. Chwyciłem jego wiszące bezwładnie ciało i okręciłem łagodnie. Odwrócił się w jedną stronę, po czym wolno powrócił do poprzedniej pozycji. Kijem do mieszania zaprawy Geminus powstrzymał jego dalsze ruchy.

- Słuchaj, Manliuszu. Kilka rozsądnych słów uwolni cię od tego. Jeśli jednak nie zechcesz nam pomóc, pozwolę mojemu szalonemu synowi opuścić cię do tej wanienki...

- O bogowie... - jęknął wisielec, zamykając oczy.

- Powiedz nam o Orontesie - odezwałem się, odgrywając rolę tego spokojniejszego w naszym duecie.

- Nie ma go w Rzymie...

- Był w Rzymie! - ryknął ojciec.

Manliusz zaczął mięknąć.

- Uważał, że jest dość bezpiecznie, by wrócić. Ale znowu wyjechał...

- Czego się bał?

- Nie wiem... - wysapał. Okręciliśmy go jeszcze raz; wiszenie do góry nogami i tak już musiało być bolesne. - Ludzi zadających pytania...

- Kogo? Cenzoryna? Laurencjusza? Nas?

- Was wszystkich.

- Ale dlaczego się boi? Co on takiego zrobił, Manliuszu?

- Naprawdę nie wiem. Coś poważnego. Nigdy mi tego nie powiedział...

Zaczynałem mieć pewne podejrzenia. Chwyciłem malarza za ucho.

- Czy mój brat Festus był na niego wkurzony?

- Zapewne...

- Miało to związek z zagubionym posągiem? - zapytał ojciec.

- Albo z posągiem, który nie zaginął - mruknąłem - ze statku, który wcale nie zatonął...

- Statek zatonął! - wychrypiał Manliusz. - Naprawdę. Orontes powiedział to mnie, kiedy umykał z Rzymu przed Festusem. Statek z posągiem zatonął, to szczerą prawdą!

- Co ci jeszcze powiedział?

- Nic! Och, odetnijcie mnie już...

- Dlaczego nic ci nie powiedział? Jest twoim kumplem, prawda?

- Sprawa zaufania... - wyszeptał malarz, jakby się bał w ogóle odzywać na ten temat. - Dużo mu zapłacono, żeby milczał... - powiedział. Nietrudno było uwierzyć, że tacy naiwni idealisci respektowaliby zaufanie, nawet gdyby ci, którzy ich przekupili, byli najgorszymi łajdakami. Temu towarzystwu zapewne nie stało moralnego sceptycyzmu, by w ogóle rozpoznać prawdziwą nikczemność.

- Kto mu zapłacił? - pytałem dalej.
- Nie wiem! - zawołał. Desperacja w jego głosie wskazywała na to, że raczej mówił prawdę.
- Wyjašnjmy to sobie dokładnie - zaczął złowrogo Geminus. - Kiedy Festus przybył do Rzymu, szukając Orontesa, ten o tym usłyszał i dał nogę? - zapytał. Manliusz próbował skinąć głową. W tej pozycji było to trudne. Mokry tynk wymieszany z farbą skapywał mu z włosów. Mrugał nerwowo. - A po śmierci Festusa Orontes pomyślał, że może już wrócić?
- Lubi pracować...
- Lubi pakować rodzinę Dydiuszów po uszy w gównno! I za każdym razem jak ktoś zaczyna zadawać pytania, to twój chytry kumpel daje drapaka? - upewniał się ojciec. Kolejne słabiutki skinięcie głową; kolejne krople brei skapujące z włosów. - No to mi teraz powiedz, ty żałosny cherlaku, dokąd zmyka ten tchórz, kiedy opuszcza Rzym?
- Do Kapui - wystękał Manliusz. - Mieszka w Kapui.
- Już niedługo! - rzuciłem.

Zostawiliśmy dyndającego na sznurze malarza, choć po drodze wspomnieliśmy dozorczy, że chyba coś się dzieje w jadalni Sabineek i w białej sali recepcyjnej. Mruknął pod nosem, że pójdzie i sprawdzi, jak tylko dokończy partię warcabów.

Szliśmy z ojcem ulicą, kopiąc ponuro kamyki. Nie było wątpliwości; jeśli chcieliśmy rozwiązać tę tajemnicę, jeden z nas musiał ruszyć do Kapui.

- Rzeczywiście wierzymy, że Orontes tam jest? - zapytał ojciec.
- Chyba tak - odparłem. - Malarze mi wspominali, że byli niedawno w Kampanii... założę się, że pojechali odwiedzić ukrywającego się koleżkę.
- Obyś miał rację, Marku!

Długa wędrówka do Kampanii, przy tej marcowej pogodzie, żeby wycisnąć z rzeźbiarza jakąś ponurą opowieść, zupełnie mi się nie uśmiechała. Z drugiej jednak strony, zobligowany złożoną matce obietnicą nie mogłem pozwolić, by zamiast mnie pojechał tam ojciec.

46

Byliśmy w położonej daleko na północy dzielnicy miasta; teraz zasepieni podążaliśmy na południe. Nie spieszyliśmy się zbyt. Ojciec wciąż milczał.

Dotarliśmy do Saepa Iulia. Geminus szedł dalej. Byłem tak przyzwyczajony do pakowania się u jego boku w sam środek kłopotów, że przez dłuższy czas się nie odzywałem.

- Myślałem, że idziemy do Saepa? - zapytałem w końcu.
- Nie idę tam.
- Przecież widzę.

- W ogóle się tam nie wybierałem. Jeszcze w posiadłości Karusa powiedziałem ci, dokąd pójdziemy.

- Powiedziałeś, że do domu.

- I tam właśnie się udaję - oświadczył ojciec. - Może to ucieszy twoje napuszone ego.

Dom! Miał na myśli to miejsce, gdzie mieszka ze swoją rudowłosą. Aż trudno było uwierzyć, że to się dzieje naprawdę.

Jeszcze nigdy nie byłem w jego domu, choć domyślałem się, że Festus tam bywał. Matka by mi nigdy nie wybaczyła, gdybym teraz tam poszedł. Nie byłem częścią nowego życia ojca; nigdy nie będę. Jedynym powodem, dla którego szedłem dalej, był fakt, że nie potrafiłem opuścić starszego człowieka po wstrząsie, jakiego doświadczył w domu Karusa, i to takiego człowieka, z którym dopiero co nieźle nabroiliśmy. Nie miał przy sobie swoich osiłek. Groziła mu przemoc ze strony Karusa i Serwii. Płacił mi za ochronę. Mogłem przynajmniej dopilnować, żeby dotarł do domu bezpiecznie.

Wlokłem się obok niego, mijając cyrk Flaminiusza, portyk Oktawii i teatr Marcellusa. Prowadził mnie w cieniu wierzchołka Arx i Kapitolu. Minęliśmy czubek Wyspy Tyberyjskiej, Forum Boarium - stary targ bydłocy, całe mnóstwo świątyń oraz mosty, Sublicius i Probusa.

Potem długo staliśmy przed drzwiami, kiedy grzebał w poszukiwaniu klucza, którego i tak nie znalazł, więc w końcu załomotał kołatką. Wślizgnąłem się za nim do całkiem porządnego westybulu. Zrzucił płaszcz, zzuł buty, gestem nakazał mi, bym zrobił to samo... i dopiero kiedy stałem boso, z niepewną miną, oświadczył od niechcienia:

- Odpreź się! Nie ma jej tutaj.

Poczułem taką ulgę, że mało nie zemdlałem.

Tata rzucił mi zdeglustowane spojrzenie. Dałem mu do zrozumienia, że uczucie jest obopólne.

- Zorganizowałem dla niej niewielki interes, żeby przestała wtykać nos w mój. We wtorki zawsze idzie wypłacać tygodniówki i zrobić rachunki.

- Dzisiaj nie jest wtorek! - zauważyłem gderliwie.

- W ubiegłym tygodniu mieli trochę kłopotów i teraz muszą dokonać pewnych napraw. W każdym razie nie będzie jej przez cały dzień.

Przysiadłem na kufrze, podczas gdy on poszedł porozmawiać z zarządcą. Ktoś przyniósł mi sandały i zabrał moje buty, żeby oczyścić je z błota. Oprócz tego niewolnika i chłopca, który otworzył nam drzwi, zobaczyłem też kilka innych twarzy.

- Masz tu sporo służby - zauważyłem, kiedy wrócił.

- Lubię mieć ludzi koło siebie - wyjaśnił.

Zawsze myślałem, że za dużo ludzi pod jednym dachem było powodem

porzucenia nas.

- To są niewolnicy - zauważyłem.

- No to jestem liberalny. Traktuję swoich niewolników jak dzieci.

- Aż się prosi, by dorzucić, że traktowałeś swoje dzieci jak niewolników! - powiedziałem. Nasze spojrzenia się spotkały. - Nie zrobię tego. Byłoby to niesprawiedliwe.

- Nie zniżaj się do wymuszonej uprzejmości, Marku! Nie krępuj się i bądź sobą - rzucił do mnie z tym szczególnym w stosunkach rodzinnych, wypróbowanym sarkazmem.

Ojciec mieszkał w wysokim, ale dość wąskim domu usytuowanym na brzegu rzeki. To położenie mimo panującej tu wilgoci było godne pozazdroszczenia z powodu wspaniałego widoku na drugą stronę Tybru, w związku z czym działki były niewielkie. Domy cierpiały z powodu wylewów; zauważyłem, że tutaj parter wymalowano na gładko dość ciemnymi kolorami. Pozostawiony same-mu sobie, zajrzałem do najbliższych pokoi. Były używane przez niewolników albo mieściły się w nich gabinety, w których można było przeprowadzać rozmowy z interesantami. W jednym złożono nawet worki z piaskiem na wypadek zagrożenia powodzią. Wszędzie jedynymi meblami były wielkie kamienne kufry, którym wilgoć nie mogła zaszkodzić.

Ruszyłem za ojcem po schodach, czując nieznamy zapach obcego domu. Na piętrze wszystko wyglądało inaczej. Przeszliśmy się po wspaniałym wschodnim kobiercu. Ten luksusowy dywan leżał najzwyczajniej na podłodze i znajdował się w codziennym użyciu zamiast wisieć bezpiecznie na ścianie. Prawdę mówiąc, wszystko, co sprowadził do domu - to oznaczało mnóstwo rzeczy - najwyraźniej służyło do codziennego użytku.

Przeszliśmy kilka niewielkich zagraconych pokoi. Były czyste, ale zavalone cennymi przedmiotami. Farba na ścianach była stara i wyblakła. Ostatni remont przeprowadzono dwadzieścia lat temu, kiedy tata wprowadził się tutaj ze swoją kobietą. Najwyraźniej ten stan rzeczy mu odpowiadał. Ściany w bezpretensjonalnym czerwonym, złotym i morskim kolorze, z konwencjonalnymi lampasami i gzymsami stanowiły najlepsze tło dla podlegającej ciągłej wymianie kolekcji mebli i waz, nie wspominając o bibelotach i różnych interesujących drobiażdżkach, jakich licytatorowi trafiają się całe skrzynie. Był to jednakże chaos zorganizowany. Musiało się tam dobrze mieszkać, jeśli człowiek lubił nieład. Całość robiła wrażenie stałości i wygody, stworzonej za sprawą gustów ludzi, którzy lubią sobie sprawiać przyjemność.

Starałem się nie przyglądać żadnym wspaniałym okazom, ponieważ wiedziałem, że w związku z zaistniałą sytuacją są stracone. Kiedy tata szedł przede mną, zerkając czasem na jakiś przedmiot, widziałem, jak pewnie czuje się w tym otoczeniu; pamiętałem go zupełnie innego z czasów, kiedy mieszkał

z nami. Znał dokładnie miejsce każdego przedmiotu. Wszystko, co miał, było tu dlatego że on tak chciał... co zapewne dotyczyło również samej wytwórczyni chust.

Zaprowadził mnie do pokoju, który był albo jego osobistym królestwem, albo miejscem, w którym przesiadywał, konwersując ze swoją kobietą. (Widziałem porzucane rachunki i faktury, części rozłożonej lampy, którą najwidoczniej sam naprawiał, ale zauważyłem też wystające spod poduszki niewielkie wrzeciono). Podłogę pokrywały grube wełniane kilimy. Były tam dwie sofy, kilka stolików, różne osobliwe, wykonane z brązu miniatury, lampy i kosze na polana. Na ścianie wisiał komplet masek teatralnych... prawdopodobnie nie wybranych przez mojego ojca. Na półce stała wyjątkowo piękna waza z kobaltowego szkła kameo, na której widok lekko westchnął.

- Utrata tego zaboli! Wina? - Zdjął butlę z półki. Obok sofy stał elegancki złożony jelonek, ustawiony w taki sposób, że mógł go głaskać po głowie jak ulubione zwierzątko domowe.

- Nie, dzięki. Wystarczy mi wczorajsze przepicie.

Sobie też nie nalał. Przyglądał mi się przez chwilę.

- Nie ustąpisz ani trochę, co? - zapytał. Zrozumiałem, co miał na myśli, i odpowiedziałem mu milczącym gniewnym spojrzeniem. - Udało mi się wprowadzić cię do domu... ale pozostałeś równie przyjacielski jak komornik. Gorzej - dodał. - Bo nie przypominam sobie, żeby jakiś komornik kiedykolwiek odmówił kielicha.

Nie odezwałem się. Byłaby to uderzająca ironia, gdybym wyruszył na poszukiwanie nieżyjącego brata, a w rezultacie zaprzyjaźnił się z ojcem. Nie wierzę w coś takiego. Przeżyliśmy wspólnie ciekawy dzień, wdając się w różnego rodzaju awantury... i na tym koniec.

Ojciec odstawił butlę i pusty kielich.

- Wobec tego chodź obejrzeć mój ogród - powiedział.

Wróciliśmy przez te same pokoje, zanim dotarliśmy do schodów. Ku mojemu zdumieniu poprowadził mnie piętro wyżej; założyłem, że szykuje mi jakiś przewrotny żart. Doszliśmy do niewysokiego łuku zamkniętego dębowymi drzwiami. Tata odsunął rygle i stanął z boku, żebym schyliwszy się, wszedł pierwszy.

Moim oczom ukazał się ogród na dachu. Były tam korytka, w których rosły i kwitły rośliny, a nawet małe drzewka. Różnie ukształtowane pergole obrosły różami i bluszczem. Przy balustradzie pnące róże wiły się po łańcuchach niczym girlandy. Tam też, pomiędzy donicami z bukszpanem, ustawiono ławeczki z lwami po bokach, skąd roztaczał się widok na drugi brzeg, na ogrody cesarskie, Zatybrze i na przypominające grzbiet wieloryba wzgórze Janikulum.

- Och, to niesprawiedliwe - powiedziałem ze słabym uśmiechem.

- I tu cię mam! - zadrwił. Musiał wiedzieć, że odziedziczyłem głęboką miłość do roślinności po rodzinie ze strony matki.

Chciał mnie skierować w stronę ławki, ale ja już byłem przy balustradzie i upajałem się widokiem.

- Och, ty drański szczęściarzu! Czyje to dzieło?

- Sam go zaplanowałem. Musiałem kazać wzmocnić dach. Teraz wiesz, dlaczego trzymam tylu niewolników. Dźwiganie wody i ziemi w kubłach trzy kondygnacje w górę to nie zabawa. Spędzam tu dużo wolnego czasu...

Jasne. Robiłbym tak samo.

Usiedliśmy, każdy na swojej ławeczce. Byliśmy blisko, ale zachowywaliśmy odrębność. Mnie to odpowiadało.

- No tak - powiedział ojciec. - Kapua.

- Pojadę - powiedziałem.

- Jadę z tobą.

- Nie trzeba. Potrafię poturbować rzeźbiarza, nieważne jaki jest przebiegły. Przynajmniej wiem, że jest przebiegły, zanim się do niego dobiore.

- Wszyscy rzeźbiarze tacy są! W Kapui jest ich wielu. A ty nawet nie wiesz, jak on wygląda. Jadę z tobą, więc przestań się spierać. Znam Orontesa, a co więcej, znam Kapuę - upierał się. Rzeczywiście, mieszkał tam przez lata.

- Potrafię odnaleźć drogę w zapyziałej mieścinie w Kampanii - parsknąłem lekceważąco.

- Nie ma mowy. Helena Justyna nie życzy sobie, by okradał cię każdy posezonowy złodziejaszek czy żebyś podrywał jakieś zdziiry...

Miałem zapytać, czy tak to właśnie wyglądało, kiedy on się tam wybrał, ale oczywiście, kiedy tata dał nogę do Kapui, to zabrał ze sobą własną zdzirę.

- Zostawisz cały interes? - zapytałem.

- Jest dobrze zorganizowany i może obejść się kilka dni beze mnie. Poza tym - dodał - moja pani może podjąć decyzję, jeśli pojawi się jakiś problem.

Byłem zdumiony, że wytwórczyni chust mało że jest tak zaufaną osobą, to jeszcze angażuje się w jego interesy. Tak się złożyło, że zawsze uważałem ją za czarny charakter. Ojciec robił wrażenie człowieka, którego poglądy na społeczną rolę kobiet są sztywne i tradycyjne. Nie oznaczało to jednak, że rudowłosa się z nim zgadza.

Ktoś otworzył drzwi za naszymi plecami. Ponieważ właśnie myślałem o tej rudej, obejrzałem się szybko, przekonany, że ją zobaczę. Tymczasem pojawił się niewolnik z wielką tacą, co było niewątpliwie rezultatem rozmowy ojca z zarządcą domu. Taca wylądowała na waniencie dla ptaków, tworząc prowizoryczny stół.

- Przegryź coś, Marku - zaproponował.

Było już po południu, a my nie jedliśmy do tej pory. Ojciec sięgnął po

jedzenie. Więcej mnie nie namawiał, więc spokojnie zacząłem się opychać.

Nie było to nic wyszukanego, po prostu przekąska, przygotowana naprędce dla pana, który wrócił niespodziewanie do domu. Ale jak na przekąskę, była naprawdę całkiem smaczna.

- Co to za ryba? - spytałem.

- Wędzony węgorz.

- Niezły.

- Spróbuj go z odrobiną sosu śliwkowego.

- Czy nazywają go aleksandryjskim?

- Możliwe. Ja to po prostu nazywam cholernie dobrym. Czy już cię przekabacam? - zapytał perfidnie ojciec.

- Nie, ale podaj bułeczki, proszę.

Zostały dwa kawałki węgorza; ruszyliśmy na nie każdy swoim nożem, niczym dzieci walczące o resztki.

- Niejaki Hiriusz miał hodowlę węgorzy - zaczął zagadkowo ojciec, ale domyślałem się, że okreśną drogą dojdzie do naszej skomplikowanej sytuacji. - Sprzedał ją za cztery miliony sestercji. To była sławna transakcja, żałuję, że to nie ja ją przeprowadzałem! Teraz nam obu wystarczyłby jeden taki staw hodowlany.

Oddychałem powoli, zlizując z palców sos.

- Pół miliona... dołożę się do tego, ale to nieszczególna oferta. Od jakiegoś czasu próbuję zdobyć czterysta tysięcy. Przypuszczam, że udało mi się zebrać jakieś dziesięć procent - wyznałem. Był to szacunek bardzo optymistyczny. - Starłem się nie oceniać wartości twoich uroczych ruchomości, ale przyszłość nas obu rysuje się w czarnych barwach.

- To prawda. - Zdziwiająca, ale ojciec nie wyglądał na zbyt zmartwionego.

- Nie przejmujesz się? Przecież zebrałeś tutaj mnóstwo wartościowych rzeczy... a mimo to powiedziałaś Karusowi i Serwii, że je sprzedasz.

- Sprzedawanie przedmiotów to mój zawód - odparł krótko. - Masz rację - dodał po chwili. - Pokrycie długu oznacza ogołocenie tego domu. Większość towaru w Saepa Iulia należy do innych; aukcja to sprzedaż prowadzona dla klientów.

- Wszystko, co tu się znajduje, jest twoją inwestycją?

- Tak. Sam dom też jest moją własnością. Sporo mnie to kosztowało... i nie zamierzam teraz obciążać mu hipoteki. U bankierów nie trzymam wiele gotówki, jest tam za bardzo zagrożona.

- Więc ile masz sestercji? - spytałem.

- Nie tak dużo, jak sądzisz. - Jeśli mógł rozmawiać poważnie o znalezieniu pół miliona, to według moich norm był i tak obrzydliwie bogaty. Jak wszyscy ludzie, którzy nie muszą się martwić o byt, lubił pogderać. - Mam mnóstwo wydatków. Łapówki i należności do regulowania w Saepa Iulia; wpłacam

swoją dolę stowarzyszeniu kupieckiemu na nasze kolacyjki i fundusz pogrzebowy. Z powodu napadu na magazyn muszę pokryć duże straty, że już nie wspomnę rekompensat dla ludzi, których aukcję szlag trafił wtedy, kiedy tam byłeś. - Mógł jeszcze dodać: Daję twojej matce rentę. Wiedziałem, że to robi. Wiedziałem też, że ona wydaje te jego pieniądze na wnuczeta; ja sam natomiast opłacałem jej czynsz. - Kiedy skończę z Karusem, dom będzie ogołocony - oświadczył, wzdychając. - Ale już tak kiedyś było. Odkuję się.

- Za stary jesteś, żeby zaczynać od nowa - powiedziałem. Na pewno jest za stary, by myśleć, że może tego dokonać. Właściwie to powinien już móc wycofać się na emeryturę do jakiejś wiejskiej posiadłości. - Dlaczego to robisz? Ze względu na reputację mojego brata?

- Raczej ze względu na własną. Wolałbym raczej szydzić z tego sztywniaka Karusa, niż pozwolić, by on szydził ze mnie. - A ty? - rzucił wyzywająco.

- Ja byłem wykonawcą testamentu naszego bohatera - odparłem.

- No cóż, ja byłem jego współnikiem.

- W tym interesie?

- Akurat nie w tym, ale czy ma to jakieś znaczenie, Marku? Gdyby mnie poprosił, żebym wszedł w ten interes z rzeźbą Fidiasza, nawet chwili bym się nie wahał. Pozwól, że to ja zajmę się tym długiem. Ja już swoje przeżyłem. Nie wolno ci marnować szansy, żeby uprawomocnić związek z córką senatora.

- Może nigdy nie miałem żadnej szansy - oświadczyłem ponuro.

Pojawił się kolejny dyskretny niewolnik, tym razem z dzbanem parującego wina z miodem. Bez słowa nalał nam obu, więc przyjąłem kubek. Napój był smakowicie przyprawiony indyjskim nardem. Ojciec przebył daleką drogę od czasu, kiedy w domu popijaliśmy mocno rozwodnione winne męty, dla zabicia smaku mocno doprawione dziwacznie pachnącą werbeną.

Wraz z nadchodzącym wieczorem światło się oddaliło i już tylko wisiało uczepione odległego nieba. Przez szarą mgiełkę snującą się nad rzeką widziałem po prawej stronie zarys wzgórza Janikulum. Był tam dom, o którego posiadaniu kiedyś marzyłem, dom, w którym chciałem zamieszkać z Heleną.

- Zostawi cię? - Ojciec najwyraźniej czytał mi w myślach.

- Powinna.

- Nie pytałem o to, co powinna zrobić.

Uśmiechnąłem się.

- Jak ją znam, ona też o to nie zapyta.

Siedział czas jakiś w milczeniu. Lubił Helenę, wiedziałem o tym.

Nagle wychyliłem się raptownie do przodu, oparłem łokcie na kolanach, trzymając kubek w dłoniach. Uderzyła mnie pewna myśl.

- Co Festus zrobił z pieniędzmi?

- Chodzi ci o te pół miliona? - Ojciec potarł ręką nos. Profil miał taki sam jak ja; bez zagłębienia dzielącego nos od czoła. - Bogowie wiedzą!

- Nie znalazłem tych pieniędzy.
- Ja też ich nigdy nie widziałem.
- To co ci o nich powiedział, kiedy wspominał tego Fidiasza? - spytałem.
- Festus nigdy ani słowem nie dał mi do zrozumienia, że kolekcjonerzy zapłacili za rzeźbę! - mówił z pewną irytacją ojciec, przeciągając samogłoski. - Tego dowiedziałem się dużo później, od Karusa i Serwii.

Usiadłem prosto.

- Czy rzeczywiście mu zapłacili? Czy nie istnieje możliwość, że to pokwitowanie jest fałszerstwem?

- Chciałem, żeby tak było - odparł z westchnieniem Geminus. - Wierz mi, dokładnie się mu przyjrzałem. Było przekonujące. Idź i sam zobacz...

Pokręciłem głową. Nie znoszę dokładać sobie nieszczęść.

Nie przychodziło mi już nic więcej do głowy. Teraz naszym jedynym tropem był Orontes Mediolanus.

Spędziliśmy czas jakiś (zdawało mi się, że trwało to ze dwie godziny) na sporach dotyczących organizacji wyjazdu do Kapui. Jak na możliwości Dydiuszów przebiegły one w całkiem cywilizowany sposób. Niestety, w łeb wzięły moje rozsądne plany odbycia tej mozolnej podróży w jak najkrótszym czasie. Chciałem tam pognać, załatwić sprawę i wrócić. Tata utrzymywał, że jego stare kości nie zniosą końskiej jazdy. Postanowił załatwić pojazd z jakiejś wozowni, którą niejasno określił jako miejsce, gdzie się spotkamy. W sprawie dzielenia się kosztami osiągnęliśmy prawie zgodę. Było trochę dyskusji o godzinie wyjazdu i sprawa ta nie została do końca ustalona. Rodzina Dydiuszów nie lubi psuć sobie humoru szczegółami praktycznymi.

Zjawił się kolejny służący pod pretekstem zabrania tacy. Wymienili z tatą znaczące spojrzenia.

- Pewnie będziesz już wolał pójść - napomknął ojciec.

Nikt nie wspomniał kobiety, z którą mieszkał, jednak jej obecność w domu stała się wyczuwalna.

Miał rację. Jeśli się pojawiła, to ja wolałem zniknąć. Pospiesznie wciągnąłem buty, zarzuciłem na ramiona płaszcz i się ulotniłem.

Pech mnie nie opuszczał. Zdarzyło się coś, z czym zupełnie nie miałem sił ani ochoty sobie radzić: niecałe dwie przecznice od domu ojca, kiedy wciąż czułem się jak zdrajca, wpadłem na mamę.

47

Poczucie winy przytłoczyło mnie niby dodatkowy płaszcz.

- Skąd się tak wymykasz? - zapytała mnie moja rodzicielka.

Staliśmy na rogu. Dla każdego przechodnia było oczywiste, że jestem synem w poważnych tarapatach. Każdy złoczyńca z Awentynu będzie chichotał przez

całą drogę do szynku, zadowolony, że to nie on jest na moim miejscu.

Ludzie mówią, że uczciwość popłaca.

- Korzystałem z gościnności ojca w jego eleganckim miejskim domu - oświadczyłem.

- Toteż wydawało mi się, że wyglądasz na chorego! - powiedziała matka, pociągając nosem. - A uczyłam cię, byś unikał miejsc, gdzie możesz się czymś zarazić!

- Było czysto - oświadczyłem znużonym głosem.

- A co z tą drobną sprawą, którą miałeś mi pomóc wyjaśnić? - Powiedziała to takim tonem, jakby było to dla niej oczywiste, że o wszystkim zapomniałem.

- Ta twoja drobna sprawa doprowadziła do mojego aresztowania... Heleny też. Pracuję nad nią. Dlatego musiałem iść do taty. Przez cały dzień biegam, starając się zrealizować twoje zlecenie, a jutro muszę pojechać do Kapui...

- Po co do Kapui? - spytała ostrym tonem. Z oczywistych powodów w naszym rodzinnym kręgu Kapua od dawna była słowem nieprzyzwoitym. Ta miła miejscina była synonimem niemoralności i oszustwa, choć gdyby nie liczyć faktu, że kiedyś udzieliła schronienia mojemu zbiegłemu z domu ojcu, to tamtejszym mieszkańcom można było jedynie zarzucić, że wyciągają pieniądze od turystów udających się do Oplontis i Bajów i że uprawiają sałatę.

- Mieszka tam pewien rzeźbiarz. Robił interesy z Festusem. Zamierzam z nim o tym pogadać.

- Sam?

- Nie. Tata koniecznie chce ze mną jechać - przyznałem. Matka zaczęła przeraźliwie zawodzić. - Mamo, nic na to nie poradzę, że pozostający z tobą w separacji mąż poniewczasie przypomina sobie o swoich ojcowskich prawach.

- Więc razem jedziecie! - W jej ustach zabrzmiało to jak oskarżenie o najgorszą zdradę. - Sądziłabym raczej, że wolałbyś tego uniknąć.

Wolałbym uniknąć całej tej podróży.

- On przynajmniej może rozpoznać tego rzeźbiarza, który jest naszą jedyną nadzieją na rozwiązanie tego problemu... i uprzedzam cię, wygląda na to, że nieźle nas to wszystko będzie kosztować.

- Mogę ci pożyczyć kilka sestercji...

- Kilka sestercji to o wiele za mało. Cena wyciągnięcia naszej rodziny z tej opresji wynosi pół miliona.

- Och, Marku, zawsze lubiłeś przesadzać!

- Nie tym razem, mamo - powiedziałem z pełną powagą. Zaczęła się trząść. Sam bym się zaczął trząść, jakbym powtórzył te „pół miliona” jeszcze kilka razy. - Nie martw się. To sprawa dla mężczyzn. Geminus i ja zajmiemy się wszystkim... ale ty będziesz musiała pogodzić się z konsekwencjami. Znalezienie takiej sumy, żeby oczyścić mojego brata, kładzie kres wszelkim nadziejom, że będę mógł kiedykolwiek poślubić Helenę. Mówię to, żebyś

wiedziała. Koniec z suszeniem mi głowy na ten temat. Nie mam na to wpływu... a winę za wszystko ponosi nasz ukochany Festus.

- Nigdy nie lubiłeś swojego biednego brata! - oświadczyła matka.

- Kochałem go, mamó... ale ani trochę nie podoba mi się to, co mi zmalował.

Matka wysunęła podbródek.

- Może najlepiej będzie machnąć ręką na to wszystko...

- To niemożliwe, mamó. - Poczułem nagłe zmęczenie i przeniknął mnie chłód. - Inni nam na to nie pozwolą. Słuchaj, idę teraz do domu. Muszę się zobaczyć z Heleną.

- Jeśli udajesz się do Kapui z tym człowiekiem, to weź Helenę, żeby miała cię na oku! - poradziła mi.

- Helena dopiero co wróciła z długiej podróży, niepotrzebna jej wycieczka w głąb Kampanii - orzekłem. Przynajmniej nie w towarzystwie starego zmęczonego licytatora i skołowanego detektywa.

Matka uniosła rękę i poprawiła mi włosy.

- Helena da radę. Nie zostawi cię samego w nieodpowiednim towarzystwie - powiedziała bez wahania. Miałem ochotę zawołać: „Mamó, mam trzydzieści lat, a nie pięć!”, ale spieranie się z matką nigdy do niczego dobrego nie prowadziło.

Większość ludzi uznałaby, że córka senatora, która związała się z detektywem pochodzącym z nizin społecznych, jest nieodpowiednim towarzystwem. Mnie jednak zdecydowanie podniosła na duchu myśl o przeżyciu z Heleną ostatniej przygody, zanim zostaną do reszty zrujnowany.

Helena czekała z kolacją. Znowu dostałem węgorza. Tego ranka spora ich ilość musiała wślizgnąć się na rynek. Cały Rzym jadł to samo.

W zasadzie kolacja była moją domeną. Uznałem, że moją ukochaną nauczone jedynie zachowywać się skromnie i pełnić rolę dekoracyjną, wprowadziłem więc zwyczaj, że to ja kupuję składniki i gotuję. Helena tę zasadę przyjęła, ale czasami, kiedy wiedziała, że jestem zajęty, i obawiała się, że nie dostanie kolacji, zabierała się do przygotowania jakiegoś specjału. Była nieco nerwowa w mojej siermiężnej kuchni, ale potrafiła bardzo dobrze zastosować przepisy, które kiedyś odczytywała swoim niewolnikom. Dzisiaj podała rybę z wody w szafranowym sosie. Była wyborna. Pałaszowałem ją, a Helena mnie obserwowała, szukając oznak aprobaty.

W końcu odchyliłem się do tyłu i przyjrzałem swojej dziewczynie. Była taka piękna, a ja miałem ją utracić. Musiałem jakoś przekazać jej tę nowinę.

- Jak minął ci dzień z ojcem? - zapytała.

- Cudownie - odparłem. - Pogrywaliśmy trochę z parą snobistycznych kolekcjonerów, zabawiliśmy się co nieco z artystami, a teraz planujemy małą wyprawę dla niegrzecznych chłopców. Miałybyś ochotę wybrać się do Kapui?

- Może mi się to nie spodobać, ale powlokę się z wami.

- Ostrzegam cię, tata i ja to znane gbury... twardziele, na dźwięk ich imion

pustoszeją ulice. Pojedziesz z nami, żeby pilnować, byśmy się miarkowali.

- Szkoda - powiedziała Helena z błyskiem w oku. - Liczyłam na to, że będę miała okazję wystąpić jako rozpustna kobieta, taka, co to trzyma złotą monetę w rowku między piersiami i nie przebierając w słowach, ruga przewoźnika.

- Mnie się to też chyba bardziej podoba - oświadczyłem z uśmiechem.

Zdradziła mnie ta udawana wesołość. Widząc, że potrzebuję pocieszenia, przeniosła się na moje kolana i połaskotała w podbródek. W nadziei na takie znęcanie się nade mną po drodze do domu odwiedziłem golibrodę.

- O co chodzi, Marku?

Powiedziałem jej.

Helena oświadczyła, że może się obejść bez przynależności do stanu ekwitów i zamążpójścia. Co znaczyło, że i tak nigdy na to nie liczyła.

Powiedziałem, że mi przykro.

Powiedziała, że widzi.

Przytuliłem ją mocno, wiedząc, że powinienem odesłać ją ojcu, i wiedząc, że nigdy się na to nie zgodzi.

- Poczekam na ciebie, Marku.

- To będziesz czekała całą wieczność.

- No cóż, trudno. - Zabawiała się, zaplatając mi włosy w małe warkoczyki. - Powiedz mi, co się dziś wydarzyło.

- Och... udowodniliśmy z ojcem, że jeśli różni członkowie rodziny Dydiuszów połączą wysiłki, by rozwiązać jakiś problem...

- To co wtedy? - spytała ze śmiechem Helena.

- To we dwóch narobią jeszcze większego bałaganu niż w pojedynkę!

48

Kiedyś Horacy odbył podróż drogą Appijską. Pisał potem o skupisku oszukańczych właścicieli nieruchomości, dziurach w nawierzchni, pożarach domów, ziarnistym chlebie i zaropiałych oczach. Wspominał, jak przepełniony prom, przenoszący podróżnych przez Bagna Pomptyjskie, bez żadnego powodu tkwił w miejscu przez wiele godzin, jak nie spał przez pół nocy, czekając na spotkanie z dziewczyną, której nie zechciało się przyjść...

W porównaniu z nami nie miał na co narzekać. Podróżował w roli sekretarza, jego patronem był Mecenas i miał inteligentne towarzystwo; nie kto inny jak Wergiliusz odrywał mu rzepy z płaszcza podróżnego. Zatrzymywał się w prywatnych domach, gdzie na jego powitanie palono całe rondle słodko pachnącego olejku. My zatrzymywaliśmy się w publicznych zajazdach (jeśli nie były zamknięte na zimę). Zamiast Wergiliusza zabrałem ojca, którego dialogom brakowało do epickiej poezji kilku heksametrów.

Natomiast - i tu Horacy mógłby nam pozazdrościć - matka wcisnęła mi kosz wypełniony nie tylko porządnym rzymskim chlebem, ale także taką ilością

lukańskiej kiełbasy, że wystarczyłaby na cały miesiąc. I zabrałem ze sobą swoją dziewczynę. Miałem więc tę cudowną świadomość, że jeśli tylko nie będę kompletnie wycieńczony podróżą, to ona zawsze przyjmie z uśmiechem moje awanse.

Jednego Horacy nie musiał robić podczas swojej wyprawy do Tarentu, mianowicie nie musiał odwiedzać ciotecznej babki Febe i całej zgrai markotnych krewnych na wsi. (A jeśli musiał, to nie umieścił tego w *Satyrach*, i wcale go za to nie winię, jeśli jego wiejscy krewni przypominali moich).

Były trzy powody, aby odwiedzić rodzinne gospodarstwo warzywne. Pierwszy to Febe, która już na pewno słyszała o Helenie i której dawno należało ją przedstawić, jeśli chciałem jeszcze kiedyś dostać od niej miskę zupy z rukoli. Po drugie, chcieliśmy zostawić Geminusa w pobliskim zajeździe, gdzie zatrzymał się kiedyś nieżyjący Cenzoryn i być może jego koleżka Laurencjusz. Tata nie mógł obecnie pokazywać się w gospodarstwie, ponieważ według zasad obowiązujących w naszej rodzinie byłoby to uznane za nietakt. Miał się więc zadomowić w zajeździe, postawić oberżyście dzban wina i dowiedzieć się, co kombinował tamten żołnierz, czy może dwaj żołnierze. Trzecim powodem była chęć zbadania magazynu mojego brata.

Wiele się mówi o wspaniałych rzymskich latyfundiach, należących do nieobecnych senatorów i obsługiwanych przez tysiące niewolników. Mniej się natomiast słyszy o gospodarstwach prowadzonych na własne potrzeby, jak to, które posiadali bracia mojej matki, ale przecież one istnieją. Wokół Rzymu, a także wielu innych miast ubodzy ludzie radzą sobie z wielkim trudem, mozoląc się rok po roku dla swoich licznych członków rodzin, którzy spożytkują każdy zysk i odwdzięczą się im złym humorem. W Kampanii była przynajmniej przyzwoita gleba i szybkie drogi prowadzące na chłonne rynki, gdzie można było sprzedać to, co akurat obrodziło.

W taki właśnie sposób poznali się moi rodzice. Na targu w Rzymie mama sprzedała tacie kapustę, a kiedy on wrócił, żeby się poskarżyć na jakość warzywa, z fałszywą skromnością dała się zaprosić na kubek wina. Trzy tygodnie później, wykazując się niezwykłą jak na owe czasy bystrością, poślubiła go.

W trakcie podróży próbowałem wyjaśnić to wszystko Helenie.

- Pierwotnie gospodarstwo należało do mojego dziadka i do ciotecznego dziadka, Skarona; teraz, w różnych okresach, prowadzi je jeden czy dwóch z matczynych braci. Są to dość dziwaczne postaci i nie mam pojęcia, na którego tym razem trafimy. Nieustannie wyjeżdżają, by przeżyć jakąś historię miłosną z cudzoziemką albo żeby dość do siebie po ataku wyrzutów sumienia, kiedy ich wóz przejedzie koszącą trawę niewolnika. A potem, kiedy akurat na kuchennym stole ktoś odbiera poród bliźniąt i właśnie przepadł zbiór rzodkiewek, pojawiają się niespodziewanie w domu, napaleni na nastoletnią

córkę pasterza kóz, z głowami pełnymi pomysłów dotyczących zmian w uprawie. Przygotuj się. Na pewno od mojego ostatniego tutaj pobytu doszło co najmniej do jednej zażartej kłótni, jednego przypadku cudzołóstwa, jednego otrucia wołu przez sąsiada i jakiegoś zakończzonego śmiercią wypadku. Wujek Fabiusz uważa dzień za stracony, jeśli na przykład nie odkryje, że ma syna z nieprawego łoża z kobietą o słabym sercu, która grozi mu procesem.

- Czy to nie jest trochę kłopotliwe w gospodarstwie, gdzie jest tyle do zrobienia? - spytała Helena.

- Gospodarstwa rolne to miejsca kipiące życiem - ostrzegłem ją.

- Należy się spodziewać, że emocje ludzi przez cały dzień mających do czynienia z przyrodą, w której życie przeplata się ze śmiercią i jeszcze stale coś rośnie, muszą być gwałtowne.

- Nie żartuj sobie, kobieto! Spędziłem połowę dzieciństwa w tym gospodarstwie. Kiedy tylko w domu pojawiały się kłopoty, przysyłano nas tutaj, byśmy doszli do siebie.

- Nie wygląda mi to na odpowiednie miejsce do odpoczynku! - zauważyła moja pani.

- Ludzie na wsi potrafią radzić sobie z kłopotami z równą łatwością, jak wyrwać sałatę... Pozwól, że przybliżę ci resztę osób, bo dotrzemy tam, zanim zdążę dokończyć. W centrum tego wszystkiego cioteczna babka Febe tkwi niestrudzenie, przyrządzając polentę zdolną powstrzymać każdą epidemię i utrzymującą wszystkich razem.

- Siostra twojego dziadka?

- Nie, jest jego drugą, niepoślubioną zresztą żoną. Moja babka zmarła wcześniej...

- Wyniszczona tym całym radosnym zamieszaniem? - domyśliła się Helena.

- Nie bądź sentymentalna! Wyniszczona rodzeniem. Febe była kiedyś niewolnicą, potem przez lata pociechą dziadka. Ciągłe tak jest. Odkąd sięgnę pamięcią, dzielili łożę, stół i całą tę harówkę, na którą moi wujowie nie mieli czasu, bo prowadzili takie fascynujące życie towarzyskie. Dziadek ją wyzwolił i zamierzał poślubić, ale jakoś nigdy do tego nie doszło...

- Nie widzę w tym nic złego, jeśli byli szczęśliwi - oświadczyła Helena surowym tonem.

- Ja też nie - odparłem, uprzejmie unikając w moim głosie tonu krytycyzmu. - Tyle że Febe się tego wstydzi. Zauważysz, że jest bardzo nieśmiała.

Aż do przyjazdu na miejsce Helena była pewna, że zmyślam swoje opowieści dla żartu.

Cioteczna babka Febe z niezmaconym spokojem kręciła się przy palenisku. Była drobną, uroczą kobietą z pulchnymi policzkami. Wyglądała na kruchą jak źdźbło trawy, a miała siłę trzech dorosłych mężczyzn. No i dobrze, bo skoro wszyscy pozostali zajmowali się analizowaniem swojego życia, ktoś musiał

zbierać kapustę i rozrzucać nawóz. Choć ostatnio robiła to już z pewnym ociąganiem. Miała zapewne osiemdziesiąt lat i uznała, że odbieranie cielęcia jest już poniżej jej godności.

Była bardzo przywiązana do całej naszej rodziny, co wynikało między innymi z tego, że opiekowała się nami po kolei, kiedy jako niemowlęta dostawaliśmy kolki, i potem, w czasie dorastania. Nie ma potrzeby dodawać, że Festus był jej ulubieńcem. („Ten łobuziak”).

Z jakichś niejasnych powodów, których nikt nie zechciał podać, wujka Fabiusza nie było w domu.

- To samo co zawsze? - uśmiechnąłem się znacząco do Febe.

- On się nigdy nie nauczy! - szepnęła, kręcąc głową.

Na miejscu zastaliśmy natomiast wujka Juniusza, który nie przestawał narzekać na nieobecnego Fabiusza. Cóż, przynajmniej robił to w swoim wolnym czasie. Większość energii poświęcał kulejącej hodowli karpi oraz wysiłkom wkładanym w uwiedzenie pewnej kobiety o imieniu Armilla, małżonki sąsiada, zamożniejszego właściciela ziemskiego.

- Podpuszcza go? - zapytałem, pokazując Helenie, jak należy to wszystko odczytywać.

- Jak na to wpadłeś? - spytała Febe, cmokając.

- Zdarzało się już wcześniej.

- No cóż!

Był kiedyś trzeci brat... ale o nim się nie mówiło.

Przez cały czas rozmawialiśmy o moich wujach, podczas gdy prawdziwym obiektem zainteresowania była moja nowa dziewczyna. Pierwszy raz przywiozłem ze sobą kogoś innego niż Petroniusz Longus (głównie dlatego, że przyjeżdżałem tutaj na wakacje, kiedy dojrzałe były i winogrona, i dziewczęta, z jednoznacznym zamiarem, by cieszyć się jednym i drugim).

Helena Justyna siedziała, ciemnooka i pełna wdzięku, poddając się obserwacji. Była dziewczyną wykształconą, która wiedziała, kiedy powściągnąć swój wybuchowy temperament, żeby nie skazać nas na trzydzieści lat oskarżeń ze strony rodziny, że tak naprawdę to nie miała ochoty do niej wejść.

- Marek nigdy nie pokazywał gospodarstwa swoim rzymskim przyjaciołom - zauważyła cioteczna babka Febe, dając do zrozumienia, że mówi o moich licznych przyjaciółkach i że odczuwa ulgę, widząc wreszcie taką, która musi okazać zainteresowanie uprawą porów Uśmiechałem się przyjaźnie. Nic więcej nie mogłem zrobić.

- Jestem zaszczyczona - oświadczyła Helena. - Wiele o was wszystkich słyszałam.

Febe zrobiła zażenowaną minę, sądząc zapewne, że jest to wyraz dezaprobaty dla jej nieusankcjonowanego związku z moim swobodnym i

swawolnym dziadkiem.

- Mam nadzieję, że mogę o tym wspomnieć - ciągnęła Helena. - Chodzi o nocleg. Zazwyczaj dzielimy z Markiem pokój, choć nie wzięliśmy ślubu. Mam nadzieję, że to nikogo nie zgorszy. To nie jego wina, bo ja zawsze uważałam, że kobieta winna zachować niezależność, jeśli w rachubę nie wchodzi dzieci...

- To dla mnie coś nowego! - zachichotała Febe, której takie podejście najwyraźniej się podobało.

- Dla mnie też - rzuciłem nerwowo. - Liczyłem na bezpieczeństwo, jakie daje przyzwoitość!

Helena i cioteczna babka wymieniły znaczące spojrzenia.

- No i masz mężczyzn... zawsze muszą udawać! - wykrzyknęła Febe. Była mądrą sędziwą kobietą, którą darzyłem wielkim uczuciem, choć nie byliśmy spokrewnieni (a co bardziej prawdopodobne, właśnie dlatego).

Wuj Juniusz, nie przestając zrzędzić, zgodził się zabrać mnie do magazynu. Wychodząc, zauważyłem, że Helena przygląda się z zaciekawieniem półkolistej niszy, w której stały lary i penaty. Była tam też ceramiczna rzeźba przedstawiająca głowę Fabiusza, przed którą Febe, zawsze oddająca cześć pamięci każdego nieobecnego wuja (oczywiście z wyjątkiem tego, o którym się nie mówiło), nabożnie położyła kwiaty. Na półce obok trzymała popiersie Juniusza, przygotowane na zaszczytne potraktowanie, kiedy jemu z kolei zdarzy się zniknąć cichaczem. W samej niszy, pomiędzy konwencjonalnymi figurkami tańczących larów z rogami obfitości, leżała zakurzona sztuczna szczeka.

- Wciąż ją macie? - spytałem, starając się, żeby zabrzmiało to lekko.

- Zawsze ją tam trzymał w nocy - odparł wuj Juniusz. - Febe położyła ją przed pogrzebem i nikt nie ma serca tego usunąć.

Musiałem wyjaśnić rzecz Helenie.

- Cioteczny dziadek Skaro, prawdziwy ekscentryk, skorzystał kiedyś z usług etruskiego dentysty. W rezultacie stał się gorliwym zwolennikiem etruskich mostków... które stanowią wyższą formę sztuki, jeśli cię stać na złote druty. W końcu biedny Skaro nie miał już zębów, do których można by mocować druty, zresztą nie miał też pieniędzy. Wtedy sam próbował sprokurować sobie protezę.

- To właśnie te zęby? - spytała uprzejmie Helena.

- Aha! - potwierdził Juniusz.

- Ojej. A spełniały swoje zadanie?

- Aha! - Juniusz najwyraźniej zastanawiał się, czy przypadkiem senatorska córka nie nadawałaby się na obiekt jego smętnych atencji.

Helena, rozsądnie, na wszelki wypadek trzymała się blisko mnie.

- To model numer cztery - przypominałem sobie. Skaro bardzo mnie lubił i

zawsze informował o usprawnieniach swoich wynalazków. Nie wspomniałem, że niektóre z zębów w modelu czwartym wzięto od zdechłego psa. - Funkcjonowała doskonale. Można było nią pogryźć wołową kość. Można było chrupać orzechy czy pestki owoców. Niestety, Skaro udławił się wstawionymi do niej zębami.

Helena wyglądała na bardzo przejętą.

- Nie martw się - powiedział życzliwie wuj Juniusz. - On potraktowałby to jako część swoich eksperymentów. Stary drań tak właśnie chciałby odejść, niechcący połykając zęby z protezy własnej produkcji.

Zęby Skarona szczerzyły się pobłaźliwie z lararium, zupełnie jakby wciąż z nich korzystał.

Spodobałaby mu się moja dziewczyna. Szkoda, że nie mógł jej zobaczyć. Serce mi się ścisnęło, kiedy widziałem, jak Helena krajem szaty z ogromną powagą odkurza protezę.

W magazynie nie było nic szczególnie interesującego. Załedwie kilka wiklinowych fotelików, kufer z zapadniętym wiekiem, poobijany kubek i trochę pyłu po słomie.

Poza tym z tyłu, niczym rząderek ponurych nagrobków dla cyklopów, stały cztery ogromne bloki z kamienia.

- A to co takiego, Juniuszu? - spytałem.

Wuj wzruszył ramionami, życie pełne komplikacji i intryg nauczyło go ostrożności, jeśli chodzi o szukanie odpowiedzi na pytania. Obawiał się, że mógłby odkryć jakiegoś dawno zaginionego spadkobiercę z roszczeniami do jego ziemi albo przepowiednię jakiejś wiedźmy, która zniweczyłaby jego starania o względy ponętnej żony sąsiada.

- Pewnie Festus zostawił - wymamrotał nerwowo.

- A powiedział coś na ich temat? - dopytywałem się.

- Nie było mnie tu wtedy.

- Wybyłeś z jakąś kobietą?

Rzucił mi paskudne spojrzenie.

- Przeklęty Fabiusz może coś wiedzieć.

Jeśli Fabiusz wiedział, to Febe też wiedziała. Zamyśleni wróciliśmy do domu.

Cioteczna babka opowiadała właśnie Helenie o pewnym szalonym jeźdźcu, którym, jak odkryliśmy później, mógł być cesarz Neron umykający z Rzymu, żeby popełnić samobójstwo (co było mniej istotnym aspektem tej historii, sądząc po sposobie, w jaki Febe ją przedstawiała). Rzeczony jeździec w pełnym galopie przejechał obok gospodarstwa, przy okazji tratując na śmierć połowę jej łąjących po drodze kur. Na moje pytanie odpowiedziała, że nie wie, co to za kamienne bloki, ale że przywiózł je tutaj Festus podczas swojego ostatniego urlopu. Dowiedziałem się jednak od niej, że dwaj mężczyźni, zapewne Cenzoryn i Laurencjusz, kilka miesięcy temu zjawili się w tutaj i zadawali

pytania.

- Chcieli wiedzieć, czy Festus czegoś nie zostawił - oświadczyła.
- Wspomnieli te kamienne bloki?
- Nie. Zachowywali się bardzo tajemniczo.
- Pokazałaś im magazyn?
- Nie. Znasz Fabiusza... - powiedziała. Owszem, znałem. Najdelikatniej mówiąc, był wielce podejrzliwy. - Zabrał ich tylko do starej szopy, pełnej narzędzi do orki, a potem to już tylko udawał wiejskiego głupka.
- I czym to się skończyło?
- Jak zwykle musiałam wkroczyć. - Cioteczna babka Febe lubiła, by widzieć w niej kobietę z charakterem.
- Jak ci się udało ich pozbyć?
- Pokazałam im zęby Skarona w lararium i powiedziałam, że tylko tyle zostało po ostatnim nieproszonym gościu... a potem poszczułam ich psami.

Nazajutrz znów ruszyliśmy na południe. Powiedziałem tacie o tych czterech kamiennych blokach. Zastanawialiśmy się w milczeniu nad tą tajemnicą i zaczynały mi przychodzić do głowy różne pomysły, a jeśli dobrze go znałem, to jemu też.

- Powiedział mi, że Cenzoryn i ten drugi żołnierz zatrzymali się w zajezdzie.
- To już wiemy! - Przekazaliśmy mu z Heleną opowieść Febe.
- Więc zmarnowałem swój czas! To była podła gospoda - jęczał ojciec. - Wy dwoje pewnie pławiliście się w luksusie?
- Żebyś wiedział! - zapewniłem go. - Jeśli jesteś gotów słuchać opowieści Febe o jej kurach i narzekań Juniusza na brata, to będzie najwspanialsze miejsce dla ciebie! - snułem. Ojciec to dobrze znał.
- Domyślam się, że Juniusz miał apetyt na twoją dziewczynę? - rzucił, chcąc mnie zirytować w odwecie.

Helena uniosła swoje pięknie zarysowane brwi.

- Myślał o tym. Mało brakowało a wzięłbym go na krótką rozmowę... ale jak znam Juniusza, wszelkie ostrzeżenia prowokują go do działania.
- Racja - zgodził się tata.
- Tyle z tego pożytku, co z ostrzegawczego krzyku publiczności: „Jest tuż za tobą!”, kiedy w farsie Duch czai się na Starego Ojca...
- A gdzie był ten nieudacznik Fabiusz?
- Poza domem, razem ze swoimi kłopotami.
- Nigdy nie pamiętam, czym one są.
- Ja też nie - wyznałem. - To może być hazard albo czyraki. Kiedyś uciekł, żeby zostać gladiatorem, ale było to jedynie chwilowe dziwactwo, żeby wymigać się od udziału w zbiorze łubinu.
- Febe pytała o ciebie, Dydiuszu Geminusie - powiedziała Helena surowym

tonem.

Odniosłem wrażenie, że w jej mniemaniu zbyt frywolnie rozmawiamy sobie o członkach rodziny.

- Domyślam się, że pytanie brzmiało: „Jak się ma ten miejski nicpoń, który cię spłodził?” - burknął do mnie tata. Dobrze wiedział, co oni wszyscy o nim myślą.

Zawsze to wiedział. Osobliwi krewni mojej matki niezmiennie odnosili się do niego z pogardą. Kiedyś miarka się najwyraźniej przebrała i ojciec miał tego dosyć.

49

Kapua.

Kapua to królowa centralnej równiny (i siedlisko cwanych pcheł).

Kapua to najbardziej kwitnące miasto zamożnej Kampanii (jeśli posłuchać Kapuańczyków) czy nawet w całej Italii (jeśli natrafić na jednego z tych, co to nigdy nie widzieli Rzymu).

Pamiętajcie obejrzeć wspaniałą czterokondygnacyjny amfiteatr Augusta, z osiemdziesięcioma wielkimi łukami, pokrytymi marmurowymi bóstwami... tyle że on powstał już po Spartakusie, więc darujcie sobie jakiegokolwiek skojarzenia dotyczące polityki. Podczas podziwiania tej budowli miejcie oczy z tyłu głowy, a ręce trzymajcie na sakiewce. Mieszkańcy Kapui zarabiają na przybyszach i biorą bez pytania, co uznają, że im się należy. Nie zapominajcie: prosperują tylko dzięki naszej głupocie. W Kapui to, co twoje, bardzo szybko może stać się ich.

Powiadają się, że kiedy Kapua otworzyła swoje bramy i serca przed Hannibalem, jej luksusy tak wyczerpały jego żołnierzy, że nie wygrali już żadnej bitwy. Chętnie byśmy skorzystali z owego nieprzyzwoitego wręcz luksusu, ale od tamtych czasów wiele się tutaj zmieniło.

Wjechaliśmy do miasta w dżdżysty poniedziałkowy wieczór, akurat na czas, żeby oglądać zamykające się kolejno jadłodajnie. Kiedy dotarliśmy do forum, okulał jeden z koni ciągnących nasz pojazd, wywołując w nas nieprzyjemne uczucie, że kiedy już zapagniemy się stąd wynieść, to być może nie będziemy mieli jak wrócić do domu. Nie minęła chwila, nim ojcu, który przybył tu przecież, by nas wspomagać swoją szczególną znajomością tych okolic, rąbnięto pieniądze. Na szczęście zasadnicza część gotówki ukryta była pod podłogą naszego powozu i chroniona przez Helenę, która trzymała na niej swoje delikatne stopy.

- Wyszedłem z wprawy - gderał tata.

- Nie szkodzi. Zawsze kiepsko dobieram sobie towarzyszy podróży i kończy się tym, że niańczy kolejne ofiermy.

- Wielkie dzięki! - mruknęła Helena.

- Ciebie to nie dotyczy - wyjaśniłem.

- Mój ty bohaterze!

Po dziesięciu dniach udręki zamiast oczekiwanego tygodnia zwykłego trudu, byliśmy na granicy buntu. Znalazłem kwaterę w typowym pośpiechu, kiedy ciemność zapada tak szybko, że człowiek przymyka oczy na wszystkie minusy. Była tuż przy rynku, więc rano czekał nas hałas, że już nie wspomnę kotów wydzierających się na stosach śmieci oraz królowych nocy, uprawiających swój zawód pod pustymi kramami. Pchły czekały wyszczerzone w zasadzce - choć one miały akurat tyle taktu, by chwilę poczekać. Natomiast królowe nocy już wyszły na łów: stały teraz w rzędku i obserwowały, jak rozładowujemy powóz. Bez wątpienia wypatrywały kasetek z pieniędzmi, które ich sutenerzy mogliby potem porwać.

Helena owinęła pieniądze płaszczem i poniosła do gospody, jakby dźwigała zmęczone dziecko.

- Marku, nie podoba mi się to...

- Jestem przy tobie. - Wcale jej nie uspokoilem. - Razem z ojcem wypiszemy na murze bazyliki ostrzeżenie, „Każdy, kto zgwałci, obrabuje czy porwie Helenę Justynę, odpowie za to przed straszliwymi Dydiuszami!”

- Cudownie - oświadczyła moja pani. - Mam nadzieję, że wasza sława dotarła aż tutaj.

- Niezaprzeczalnie! - zareagował na to mój ojciec. W rodzinie Dydiuszów długie słowa zawsze służyły do blefowania.

Nie była to komfortowa noc. Szczęśliwie dla nas, po nieudanej próbie znalezienia czegoś strawnego na kolację byliśmy już i tak przygotowani na najgorsze. Nazajutrz przeprowadziliśmy się do innej gospody, dostarczając łatwego zarobku kolejnemu oszustowi i uciechy kolejnej zgrai pcheł.

Zaczęliśmy odwiedzać pracownie artystów. Wszyscy twierdzili, że nigdy nie słyszeli o Orontesie. Wszyscy musieli kłamać. Kapua miała o sobie wysokie mniemanie, ale mówiąc szczerze, nie była taka duża. Najwyraźniej Orontes obszedł ich po kolei i zakazał puszczać parę z ust, gdyby przypadkiem ktoś o niego pytał.

Przestaliśmy pytać. Zmieniliśmy kwaterę i staraliśmy się nie rzucać w oczy; obaj z ojcem obserwowaliśmy forum, kryjąc się w wejściach do budynków i pod łukami.

Kręcenie się wokół forum obcego miasta, pośrodku zimy, kiedy trwa przerwa we wszelkich miejscowych obchodach, może doprowadzić człowieka do depresji. Kiedy wróciliśmy do gospody, Helena poinformowała nas, że nie ma tam pcheł, ale za to znalazła pluskwy, a podczas naszej nieobecności do pokoju próbował się wedrzeć stajenny.

Spróbował tego ponownie, kiedy siedzieliśmy tam wieczorem obaj z tatą. Potem spieraliśmy się godzinami, czy wiedział, że jest nas troje, i przyszedł z

nadzieją na prawdziwą orgię. Jedno było pewne; więcej już tego nie spróbuje. Daliśmy mu z tatą jasno do zrozumienia, że nie interesują nas takie towarzyskie zabawy.

Nazajutrz przeprowadziliśmy się ponownie, tak na wszelki wypadek.

Wreszcie szczęście się do nas uśmiechnęło.

Tym razem mieliśmy pokoje nad szynkiem. Zawsze gotów ryzykować, zszedłem i zamówiłem trzy porcje zielonej fasoli w musztardowym sosie, z dodatkiem pierożków nadziewanych owocami morza, chleb, kawałeczki wieprzowiny dla Heleny, oliwki, wino i gorącą wodę, miód... takie typowe drobiazgi, jakie się bierze, kiedy przyjaciele wysyłają człowieka po coś na ząb. Ledwo mogłem unieść tacę i miałem poważne kłopoty, żeby otworzyć sobie drzwi i nic nie rozlać. Jakaś dziewczyna otworzyła mi je i przytrzymała.

Zatargałem tacę na górę, posłałem swojej ukochanej uśmiech, wsadziłem w usta kawałek mięsa i chwyciłem płaszcz. Helena i ojciec popatrzyli na mnie, po czym rzucili się na jedzenie i dali mi spokój. Zbiegłem na dół.

Dziewczyna była wielce urodziwa. Miała przykuwające wzrok ciało oraz sposób bycia świadczący o tym, że dokładnie wie, co oferuje. Twarz starszą, niż wydawało się na pierwszy rzut oka, ale te dodatkowe lata jedynie przydały jej charakteru. Kiedy zjawiłem się ponownie na dole, wciąż tam była, zajęta kupowaniem żeberek na wynos. Opierała się o ladę, zupełnie jakby jej bujnej figurze potrzebna była jakaś podpora. Zuchwała mina uciszyła klientów, a roztańczone brązowe oczy miały na kelnera taki wpływ, że zapomniał o wszystkim, przed czym ostrzegęła go matka. Była brunetką, jeśli ma to jakieś znaczenie.

Przycupnąłem z boku, a kiedy wyszła, zrobiłem to, na co każdy mężczyzna w tym lokalu miał ochotę: poszedłem za nią.

50

Nawet o tym nie myślcie. Nigdy nie śledzę nieznanomych kobiet z takim zamiarem.

W każdym razie ta urocza brunetka nie była mi tak całkiem obca. Widziałem ją bez odzienia (choć ona o tym nie mogła wiedzieć). Widziałem ją też kiedyś w cyrku obok Festusa. Mogłem zawołać ją po imieniu i zacząć rozmowę słowami: „Przepraszam, ale wydaje mi się, że widziałem cię kiedyś z moim bratem” (stary chwyt!). Gdybym chciał, mógłbym się zabawić, bo wiedziałem, że ma na imię Rubinia.

Zachowałem się przyzwoicie. Poszedłem za nią aż do gniazdka, które uwili sobie z rzeźbiarzem Orontesem. Mieszkali cztery mile za miastem i byli przekonani, że nikt ich tam nie odkryje, szczególnie po zmroku. Ta

ośniewająca modelka nie była w ogóle świadoma, że stopy zawodowca podążają za nią krok w krok.

Dałem obojgu czas na zjedzenie żeberek i ułożenie się w wygodnej pozycji. Wtedy bez pukania wszedłem do środka.

Byli bardzo zdumieni. I z tego, co widziałem, niezbyt zadowoleni.

51

Nie mam nic przeciwko nagości. Natomiast walka z nagą kobietą może wprawić człowieka w zakłopotanie.

Rozwścieczona modelka ruszyła na mnie z kuchennym nożem. Sunęła przez pracownię rzeźbiarską z żywiołowością słynnej uskrzydłonej Nike z Samotraki, tyle że nie tak dokładnie jak tamta odziana. Prawdę mówiąc, całkiem goła. Na szczęście pracownia była duża. Miałem dość czasu, by przyrzeć się wszystkim prowokującym szczegółom... i zarazem myśleć o obronie.

Byłem nieuzbrojony i brakowało mi dobrych pomysłów. Ale tuż obok stało wiadro z wodą, przyniesioną zapewne ze studni, którą widziałem w ogrodzie. To był jedyny oręż, jaki miałem pod ręką. Chwyciłem je i chlusnąłem lodowatą wodą na wrzeszczące dziewczę. Wydała jeszcze głośniejszy, bardziej przeszywający krzyk i upuściła nóż.

Zerwałem płótno z najbliższego posągu i owinąłem ją sztywnym materiałem, unieruchamiając jej ręce.

- Wybacz, pani, chyba zgubiłaś szatę... - odezwałem się.

Nie przyjęła tego dobrze, ale nie wypuszczałem jej z uścisku. Wirowaliśmy w szalonym tańcu, podczas gdy uroczą Rubinia wymyślała mi, używając słów, których na ogół kobiety nie znają.

Pracownia mieściła się w wysokim budynku gospodarczym i była słabo oświetlona stojącą na drugim jej końcu świecą. Ze wszystkich stron ciemne kamienne bryły rzucały ogromne dziwaczne cienie. Wszędzie poniewierały się drabiny i jakieś sprzęty, niebezpieczne pułapki dla obcego, którego uwaga skupiona jest na całkiem innych sprawach. Artyści to nie są ludzie porządni (za dużo czasu poświęcają marzeniom; a pomiędzy okresami twórczości za dużo piją).

Potrząsnąłem wściekle dziewczyną, próbując ją utrzymać w miejscu. Tymczasem zwałisty mężczyzna, jak sądziłem, ten zaginiony rzeźbiarz, wyplątywał się z trudem ze skłębionej pościeli na drugim końcu pomieszczenia. On też był kompletnie nagi i najwyraźniej gotowy do innego rodzaju zmagania. Nie był już najmłodszy, ale miał szeroką klatkę piersiową, łysą głowę i gęstą brodę, długą jak moje przedramię. Robił niezwykle wrażliwe, kiedy klnąc siarczyście pędził ku mnie po zakurzonej podłodze.

Te artystyczne typki to hałaśliwe świntuchy. Nie dziwota, że mieszkają na

wsi, z dala od sąsiadów.

Rubinia nie przestawała wrzeszczeć i wyrwać się wściekle, przez co nie od razu zauważyłem, że jej kochanek chwycił po drodze dłuto i młotek. Na szczęście jego pierwsza próba się nie powiodła i młotek ze świstem przeleciał mi koło ucha. Kiedy zamachał dłutem, obróciłem się gwałtownie i dziewczyna znalazła się przede mną. Wbiła mi się zębami w nadgarstek i to spowodowało, że bez skrupułów użyłem jej jako tarczy.

Ciągnąc dziewczynę za sobą, uskoczyłem za jakiś posąg, kiedy Orontes ruszył na mnie. Jego dłuto odbiło się od niedokończonej nimfy, do której pozowała jakaś subtelniejsza osóbka niż ta masywna dziewczyna, którą usiłowałem poskromić. Rubinia zaszurała stopami, próbując uczepić się nogami pośladków przykucniętej nimfy. Szarpnąłem nią w bok, żeby temu zapobiec, choć i tak płótno zaczynało mi się już wyślizgiwać z rąk. Rubinia zsuwała się coraz niżej; wiedziałem, że lada moment ją zgubię.

Rzeźbiarz wyskoczył zza marmurowej grupy. Cofnąłem się raptownie, o mało nie wpadając na drabinę. Był wyższy ode mnie, ale pod wpływem alkoholu i wzburzenia stał się niezdarny i czołem walnął w jakąś przeszkodę. Kiedy on klął, chwyciłem się tego, co wydawało mi się moją jedyną szansą. Coraz słabiej trzymałem dziewczynę, odrzuciłem ją więc od siebie najdalej jak mogłem, wymierzywszy bolesnego kopniaka w szeroki zadek. Wpadła na jakiś postument i obrzuciła mnie kolejną wiązką koszarowych inwektyw.

Dopałem oszołomionego rzeźbiarza. Był silny, ale nim zdał sobie sprawę z tego, co zamierzam, zatoczyłem nim półkole i wcisnąłem w stojący na sztorc sarkofag jakby specjalnie przygotowany na przyjęcie gości. Pochwyciwszy masywną pokrywę, przysunąłem ją bokiem, chcąc zamknąć w tej trumnie człowieka, który miał ją zapewne naprawić.

Ciężar kamiennej pokrywy zaskoczył mnie; w rezultacie udało mi się nasunąć ją zaledwie do połowy, kiedy z tyłu zaatakowała mnie Rubinia, usiłując wyrwać mi wszystkie włosy z głowy. O bogowie, z tej to była wytrwała zawodniczka. Kiedy się okręcałem, żeby mieć ją przed sobą, puściła mnie i sięgnęła po młotek. Grad ciosów spadał wokół mnie; na szczęście miała dość mgliste pojęcie o tym, jak trafić w cel. Sama to sobie utrudniała, bo cały czas skakała jak rozwścieczona fretka, wymierzając kopniaki w tę część mojego ciała, którą wolę chronić przed wszelkim atakiem.

Kiedy ma się dwoje takich przeciwników do opanowania, sytuacja staje się w końcu dość rozpaczliwa. Oparłem się plecami o pokrywę sarkofagu, żeby mieć Orontesa w pułapce, i z całej siły chwyciłem nadgarstek ręki Rubinii, w której dzierżyła młotek. Musiało ją zabolec. Przez chwilę próbowała mnie zamordować, a ja starałem się temu zapobiec. W końcu zmusiłem ją do wypuszczenia broni, uderzyłem w skroń i chwyciłem wpół.

W tym momencie drzwi pracowni otworzyły się na oścież. Do środka

wbiegła znajoma niewysoka, krzepka postać, z rozwianą siwą czupryną.

- Na Cerbera! - wrzasnął mój ojciec głosem, w którym jak miałem nadzieję, pobrzmiwał podziw. - Wystarczy, że na chwilę zostawię cię samego, a ty od razu uprawiasz zapasy z nagą nimfą!

52

- Nie stercz tam, rzucając dowcipy - wysapałem. - Pomóż mi!

Tata ruszył przez pracownię, uśmiechając się tak, jakby zrobił to w tej sytuacji Festus.

- Czy to jakaś nowa forma ekscytującej rozrywki, Marku? Umieszczanie swojego siedzenia na pokrywie trumny? - Po czym ze złośliwą satysfakcją dodał: - To na pewno się nie spodoba szlachetnej Helenie Justynie!

- Helena się nie dowie - rzuciłem krótko... po czym pchnąłem na niego nagą modelkę. Chwytał ją i trzymał całkiem zadowolony. - Teraz ty masz problem, a ja mam widok!

- Zakryj oczy, chłopcze! - huknął wesoło Geminus. - Jesteś za młody... - On sam dobrze sobie radził tylko dlatego, jak przypuszczałem, że przywykł do oglądania dzieł sztuki z bliska. Ściskając razem nadgarstki Rubinii i ignorując jej gwałtowne próby pozbawienia go męskości, łytał na nią zachwyconym okiem, zupełnie jakby katalogował jej powaby.

- Skąd, na Hadesa, się tutaj wzięłeś? - spytałem zgryźliwie, zniecierpliwiony sytuacją.

- Helena - powiedział z emfazą - poczuła niepokój, kiedy zobaczyła, jak wymykasz się z tym okropnym uśmiechem. Teraz już rozumiem dlaczego - kpił sobie. - Czy ona wie, jaki jesteś, kiedy idziesz się zabawić?

- Jak mnie znalazłeś? - Rzuciłem mu gniewne spojrzenie.

- Nic prostszego. Przez cały czas byłem kilkadziesiąt kroków za tobą - wyjaśnił. Mogę pogratulować sobie umiejętnego śledzenia; przez cały ten czas, kiedy skradałem się za Rubinią zadowolony, że robię to tak dyskretnie, byłem śledzony. Miałem szczęście, że cała Kapua nie wyległa, by obejrzeć to przedstawienie. - Kiedy przysiadłeś sobie na studni, żeby postróżować - ciągnął ojciec - skoczyłem po butlę...

To mnie rozwścieczyło.

- Poszedłeś się napić? Chcesz mi powiedzieć, że po tej historii ze stajennym zostawiłeś Helenę w gospodzie samą jak palec?

- Cóż, tutaj nie mogłem jej przyprowadzić - zauważył z przekąsem. - Jest dzielną dziewczyną, ale wierz mi, synu, to by się jej nie spodobało. - Z beczelnym uśmiechem popatrzył na oboje naszych nagich towarzyszy, zatrzymując bardziej bezwzględne spojrzenie na złożonym w trumnie Orontesie. - Cieszę się, że umieściłeś ten nędzny obiekt w stosownym dla niego miejscu! Nie denerwuj się, Marku. Po pochłonięciu trzech misek fasoli Helena

może stawić czoło każdemu.

- Bierzmy się do roboty! - rzuciłem szorstko.

- Dobrze. Uwolnij nieboszczyka z kamienia i wtedy powiemy tym sympatycznym ludziom, dlaczego składamy im wizytę.

Odwróciłem się, nie przestając naciskać całym swoim ciężarem na rzeźbione wieko sarkofagu. Okropnie się przedstawiało z bliska... pozbawieni proporcji herosi przechyleni, jakby szli po pokładzie statku.

- Nie jestem pewien, czy należy go wypuszczać - zastanawiałem się głośno, rzucając Orontesowi pogardliwe spojrzenie. - Słyszcy nas doskonale. Myślę, że najpierw dowiem się wszystkiego, co nas interesuje, i dopiero potem pozwolę mu wyskoczyć na zewnątrz...

Ojciec gorliwie poparł mój pomysł.

- Świetnie! Jak nie będzie gadał, zostawimy go tam na stałe.

- Długo nie przetrwa! - zauważyłem.

Ojciec, któremu zaczęło wracać jego paskudne poczucie humoru, zaciągnął Rubinę do posągu wyjątkowo sprośnego satyra i używszy własnego pasa, przywiązał ją w sugestywnej pozycji do jego kosmatego zadka.

- Och, Marku, ona płacze! - zawołał.

- Lubi się wysilać. Nie zwracaj na to uwagi. Dziewczyna, która była gotowa kopnąć mnie w intymną część ciała, nie może oczekiwać mojego współczucia.

Ojciec co prawda powiedział Rubinii, że jest po jej stronie... ale i tak ją tam zostawił. Na co ona po raz kolejny popisała się znajomością obrazowego języka. Potem Geminus pomógł mi zaklinować pokrywę dużym kamieniem, tak że trzymała się mocno mimo pozostawienia szerokiej szpary, przez którą Orontes mógł sobie zerkać na zewnątrz. Oparłem się o drabinę przystawioną do ściany naprzeciwko, podczas gdy tata wdrapał się na okazałych rozmiarów posąg siedzącej na tronie bogini i ze skromną miną usadowił na jej kolanach.

Wbiłem wzrok w Orontesa, który sprawił nam tyle kłopotów. A miał, o czym jeszcze nie wiedziałem, sprawić ich jeszcze więcej.

Pomimo łysiny i wielkiej, kręconej brody, dawało się zauważyć, że musiał być kiedyś przystojnym mężczyzną. Wciąż miał imponujący wygląd jakiegoś starego greckiego filozofa. Gdyby tak owinąć go w koc i posadzić w portyku, to ludziska zbiegaliby się, by posłuchać jego mądrości. Nam na razie nie miał nic do powiedzenia. Musiałem to jakoś naprawić.

- No dobra! - oświadczyłem, starając się, by mój głos zabrzmiał groźnie. - Nie jadłem kolacji, martwię się o swoją dziewczynę i mimo że na twoją zmysłową modelkę warto popatrzeć, to nie jestem w nastroju, by robić to przez całą noc.

Rzeźbiarz odnalazł wreszcie głos.

- Zjeżdżaj do przedsionka Hadesu. - Głos miał głęboki i posepny, ochrypli od alkoholu i rozpusty.

- Więcej szacunku, śmierdzielu! - wrzasnął tata. Ja lubiłem postępować z

godnością; on uwielbiał obniżać poziom.

- Więc to ty jesteś Orontes Mediolanus - ciągnąłem cierpliwie - ten nędzny łgarz!

- Nie rozmawiam z tobą. - Zawziął się, wcisnął kolano w otwór kamiennego więzienia i próbował przesunąć pokrywę. Praca w kamieniu dała mu siłę, ale to nie wystarczyło.

- Tylko się zmęczysz, Orontesie. Bądź rozsądny. Mogę zasunąć wieko i przychodzić raz dziennie zapytać, czy nie zmieniłeś zdania... a jeśli dojdę do wniosku, że nie jesteś wart tego zachodu, to zamknę cię na dobre i nie wrócę - oznajmiłem. Przestał się miotać. - My dwaj nie spotkaliśmy się wcześniej - ciągnąłem, uprzejmie przechodząc do oficjalnej prezentacji, zupełnie jakbyśmy wylegiwali się na marmurowych płytach jakiejś eleganckiej łaźni. - Nazywam się Dydiusz Falko. To jest mój ojciec, Marek Dydiusz Fawoniusz, znany także jako Geminus. Na pewno sobie przypominasz. Inny nasz krewny nazywał się Dydiusz Festus. Jego również znałeś.

Rubinia wydała z siebie wysoki dźwięk. Mógł być oznaką przerażenia albo złości.

- Po co te piski? - warknął mój ojciec, przyglądając się jej z niezdrową ciekawością. - Hej, Marku, myślisz, że powinienem zabrać ją na zaplecze i zadać prywatnie kilka pytań? - poradził się. Aluzja była oczywista.

- Poczekaj chwilkę - powstrzymałem go. Miałem nadzieję, że blefuje, choć nie byłem tego do końca pewien. Mama zawsze nazywała go kobieciarzem. Trzeba przyznać, że gonił za wszelkiego rodzaju rozrywkami.

- Chodzi ci o to, żeby trochę dojrzała... - wycedził, szczerząc się jadownicie do Orontesa. Możliwe, że rzeźbiarz pamiętał Festusa; w każdym razie nie zależało mu na tym, by jego efektowna współpracownica wyszła stąd z kolejnym szalonym Dydiuszem.

- Pomyśl - szepnąłem do brodacza. - Rubinia wygląda na taką, którą łatwo da się przekonać!

- Nie mieszajcie mnie do tego - miauknęła.

Oderwałem się od drabiny i podszedłem do unieruchomionej dziewczyny. Wlepiła we mnie przepelnione złością piękne oczy.

- Ależ ty już w tym tkwisz, skarbie! - pocieszyłem ją. - Powiedz mi, dałaś się przekonać Dydiuszowi Festusowi tamtego wieczoru, kiedy widziałem cię w cyrku? - Nie wiem, czy pamiętała tę sytuację, niemniej zarumieniła się na wspomnienie mojego brata i na jednoznaczny aluzję zawartą w moich słowach. Nawet jeśli nie uzyskałem nic więcej, to na pewno dałem Rubinii i Orontesowi powód do wszczęcia awantury po naszym odejściu. - Festus koniecznie chciał cię odnaleźć - zwróciłem się ponownie do rzeźbiarza. - Twoja przyjaciółeczka przekazała go w ręce Manliusza i Wargi, którzy go upili na umór... Czy znalazł cię w końcu tamtej nocy?

Tkwiący w sarkofagu Orontes pokręcił głową.

- Szkoda - oświadczył krótko tata. - Festus miał swoje metody postępowania ze zdrajcami!

Orontes okazał się takim samym tchórzem jak wcześniej jego dwaj kumple malarze. Na naszych oczach opuszczała go wszelka ochota do walki.

- Na bogów - jęknął - zostawcie mnie w spokoju! Nigdy się nie prosiłem, żeby mnie w to wplątano, i to, co się stało, nie było moją winą!

- A co się stało? - spytaliśmy jednocześnie obaj z ojcem. Spojrzałem gniewnie na rodziciela. To by się nigdy nie wydarzyło z moim przyjacielem Petroniuszem; mieliśmy ustalony sposób prowadzenia podwójnego przesłuchania. (Petroniusz wiedział, kiedy pozwolić mi przejąć inicjatywę).

Tymczasem okazało się, że krzyk dochodzący z dwóch różnych kierunków zrobił na nim wrażenie.

- Wypuście mnie stąd - wyjęczał żałośnie. - Nie znoszę ciasnych pomieszczeń...

- Przymknij bardziej pokrywę, Marku! - rozkazał tata.

Ze zdecydowaną miną podszedłem do trumny.

Rzeźbiarz zawył. Jego dziewczyna zawołała:

- Och, powiedz tym draniom, co chcą wiedzieć, i wracajmy do łóżka!

- Oto kobieta, która wie, co jest najważniejsze! - odezwałem się cicho, stojąc o krok od jej złożonego do grobu kochanka. - Będiesz gadał? - zapytałem.

Skinął w milczeniu głową. Wypuściłem go. Natychmiast spróbował wyrwać się na wolność. Spodziewając się tego, ojciec zsunął się bez szczególnego wdzięku z kolan ogromnej matrony, które służyły mu za fotel. Wylądował tuż przed Orontesem i bez wahania, potężnym ciosem w podbródek obalił go na podłogę, pozbawiając przytomności.

Chwyciłem rzeźbiarza pod kudłatymi pachami.

- Cudownie, tato. Teraz dopiero dużo nam powie - zauważyłem z pretensją w głosie.

- A czego chciałeś? Patrzeć, jak drań zwiewa? - oburzył się ojciec.

Ułożyliśmy go na podłodze, potem chlusnęliśmy mu w twarz dzban zimnej wody. Kiedy oprzytomniał, zobaczył nas dwóch opartych o posągi.

- Ze wszystkim musisz przesadzać! - narzekałem. - Uspokój się, dobrze? Chcemy, żeby żył, przynajmniej do czasu, kiedy coś powie...

- Trzeba było bardziej przyłożyć dziewczynie - mruknął ojciec, zupełnie jak jakiś stuknięty oprych, z zamiłowaniem do tortur.

- Och, wystarczy... na razie - powiedziałem.

Orontes potoczył wokół wzrokiem, szukając Rubinii.

W pracowni nie było po niej śladu.

- Co zeńście z nią zrobili? - zapytał nerwowo.

- Nic takiego... jeszcze - odpowiedział wesoło ojciec.

- Minał się z powołaniem! - zauważyłem. - Nie przejmuj się, jest tylko odrobinę wystraszona. Jak dotąd udało mi się go powstrzymać, ale nie wiem na jak długo. Mów, Orontesie, bo zarobisz dłutem w miejsce, w które byś się nie spodziewał, a tylko Jowisz wie, co ten maniak robi z twoją piękną panią.

- Chcę zobaczyć Rubinię! - upierał się.

Wzruszyłem ramionami. Nie zwracając uwagi na jego rozgorączkowane spojrzenie, oglądałem dokładnie posąg, o który przed chwilą się opierałem. Przedstawiał ciało greckiego atlety w świetnej kondycji, zakończone głową rzymskiego nobila w wieku około sześćdziesięciu lat, z poorly zmarszczkami twarzy i wielkimi uszami. „Owoniusz Pulcher”, wedle napisu na cokole. W pracowni stało z tuzin tych potworków, wszystkie miały identyczne ciała, ale różne głowy. Stanowiły ostatni krzyk mody; każdy, kto był kimś w Kampanii, musiał sobie zamówić takie чудо.

- Są okropne! - oświadczyłem szczerze. - Masowo produkowana muskulatura z zupełnie niepasującymi gębami.

- Głowy robi niezłe - nie zgodził się ze mną tata. - I jest tu też kilka udanych kopii. W tym jest naprawdę dobry.

- Skąd się wzięły te młodzieńcze torsy? - spytałem.

- Z Grecji - wychrypiął Orontes, starając się nas zadowolić.

- Z Grecji? Naprawdę?

- On podróżuje do Grecji - poinformował mnie ojciec. - Zastanawiam się, czy jeździł tam, żeby wyszukiwać dla naszego Festusa obiekty do sprzedaży?

- Poszukiwanie skarbów! - rzuciłem i zagwizdałem przez zęby. - Więc to jest ten ciołkowaty agent, którego zatrudnił Festus! Ten legendarny gość, którego poznał w Aleksandrii... Grecja, hę? Założę się, że wolałby tam zostać i opalać się teraz na równinie attyckiej!

- Muszę się napić! - przerwał nam zrozpaczony rzeźbiarz.

- Nic mu nie dawaj - warknął tata. - Już ja go znam. To ochlapus. Wypije, co mu dasz, i straci przytomność.

- W taki sposób wydajesz łapówkę, Orontesie? - spytałem.

- Nie wziąłem żadnej łapówki!

- Nie łyj! Ktoś wyłożył kupę forsy, żebyś mu wyrządził przysługę. I teraz nam powiesz, kto ci zapłacił... i dlaczego!

- To przekłety Kasjusz Karus zapłacił te pieniądze! - zawołał nagle mój ojciec. Wiedziałem, że zgaduje. I pomyślałem, że pewnie ma rację.

- Czy to prawda, Orontesie? - zapytałem. Rzeźbiarz wydał z siebie słaby potakujący jęk. Kiedy był nieprzytomny, znaleźliśmy trochę wina. Tata skinął do mnie głową, a ja podałem mężczyźnie bukłak, po czym wyrwałem mu go, kiedy pociągnął porządny łyk. - Opowiedz nam teraz całą historię.

- Nie mogę! - pisał.

- Możesz. To łatwe.

- Gdzie jest Rubinia? - spróbował ponownie. Nie przejmował się dziewczyną; grał na zwłokę.

- Tam, skąd ci nie pomoże - wyjaśniłem. Rzeczywiście odseparowaliśmy ją, żeby nam nie przeszkadzała.

Podszedł tata i chwycił za bukłak.

- A może on się boi tej dziewczyny. Ona na pewno powie, co o nim myśli, kiedy się dowie, że jednak gadał. - Pociągnął kilka solidnych haustów i zaoferował bukłak mnie. Pokręciłem z obrzydzeniem głową. - Bardzo mądrze! Jak na samo serce winiarskich terenów to okropny ocet. Orontes nigdy nie pił dla smaku, jedynie dla rezultatu.

Rzeźbiarz spoglądał tęsknie na swój bukłak, ale tata nie wypuszczał tego okropieństwa z rąk.

- Opowiedz nam o Fidiaszu - podpowiedziałem. - Mów natychmiast... bo tak cię z tatą urządzimy, jak nie urządził cię nikt, kto ci wcześniej groził!

Musiałem robić przekonujące wrażenie, bo ku memu zdumieniu, Orontes zaczął swoje wyznanie.

- Kiedy tylko mogę, jeżdżę do Grecji w poszukiwaniu okazji... - powiedział. Jęknęliśmy i z szyderczymi uśmiechami popatrzyliśmy znowu na jego hybrydowe posągi. - Festus i ja mieliśmy układ - ciągnął. - Usłyszałem kiedyś, gdzie można znaleźć tego Fidiasza. Pomyślałem, że może uda nam się go zdobyć. Pewna podupadająca świątynia na wyspie chciała się pozbyć tej ruchomości. Nie sądzę, by mieli świadomość, co tak naprawdę puszczają na rynek. A i tak rzeźba nie była tania. Festusowi i jakimś innym ludziom udało się zebrać pieniądze, umówił się także z Karusem i Serwią jako potencjalnymi klientami. Kiedy legion opuścił Aleksandrię, żeby wziąć udział w tłumieniu żydowskiego buntu, Festus załatwił sobie podróż do Grecji jako eskorta z jakimiś meldunkami; wtedy właśnie pojechał ze mną obejrzeć tego Fidiasza. Spodobało mu się to, co zobaczył, i dokonał zakupu, nie było jednak czasu, by zorganizować jakiś inny transport, więc rzeźba musiała pojechać z nim do Tyru. Potem Festus utknął z armią w Judei, więc ja miałem nadzorować przewiezienie jej do Italii.

- Miałeś ją osobiście eskortować? - zapytał tata. Domyślałem się, że taki właśnie system stosowali z Festusem dla ochrony dzieła sztuki o dużej wartości. Jeden z nich, albo agent, do którego mieli pełne zaufanie, nie spuszczał oka z towaru przez całą drogę.

- To właśnie obiecałem Festusowi. Wysyłał duży ładunek innych przedmiotów - dobry towar, ale w porównaniu z Fidiaszem, niższej jakości - statkiem o nazwie *Hyperikon*.

Trąciłem go czubkiem buta. Rzeźbiarz zamknął oczy.

- Skoro *Hyperikon* zatonął z Fidiaszem na pokładzie, a ty tu się wylegujesz i

grasz nam na nerwach, to sprawa jest oczywista. Złamałeś dane Festusowi przyrzeczenie i urwałeś się gdzie indziej!

- Mniej więcej - przyznał niepewnie.

- Nie wierzę własnym uszom! Pozwoliłeś, żeby wart pół miliona posąg podróżował sam? - tata nie potrafił ukryć zdumienia.

- Niezupełnie tak...

- Więc dokładnie jak? - spytał groźnie tata.

Orontes jęknął rozpaczliwie i zwinął się w kłębek, obejmując kolana ramionami, jakby okropnie cierpiał. Niektórym tak doskwiera nieczyste sumienie.

- Statek z posągiem zatonął - wyszeptał.

- To już wiemy! - Ojciec stracił cierpliwość. Cisnął bukłak z winem we Wstydliwą Nimfę i rozpekł się ze strasznym bulgotem. Czerwone wino niczym krew spływało po jej skąpym odzieniu. - *Hyperikon*...

- Nie, Geminusie. - Orontes wziął głęboki wdech. A potem powiedział nam to, czego przyszliśmy się dowiedzieć: - Fidiasza, którego kupił Festus, nie było na tym statku.

53

Wsunąłem palce głęboko we włosy i zacząłem masować sobie skórę na czaszce. Jakoś dziwnie nie było to wszystko dla mnie aż takim zaskoczeniem. Wszyscy nam mówili, że posąg płynął na tym statku; więc dostosowanie się do innej wersji wymagało trochę wysiłku. Jednak pewne rzeczy, które przedtem nie miały sensu, teraz już mogły pasować do całościowego obrazu sytuacji.

- Powiedz nam, co się wydarzyło - rozkazałem rzeźbiarzowi zmęczonym głosem.

- Doszło do pewnego zamieszania. Zabraliśmy z Festusem Fidiasza do Tyru, natomiast reszta rzeczy, to znaczy te, które nam załatwił, popłynęły do Cezarei. Wtedy Festus powiedział mi, że musi się chwilowo zająć sprawami oficjalnymi...

- Co ty powiesz? - Ojciec zaczął się złościć. - Przecież w tym rejonie toczyła się wojna!

- No, właśnie o to chodziło! - wykrzyknął Orontes. Zupełnie nie pojmował światowych wydarzeń. Może to i zrozumiałe, zważywszy na fakt, że miał do czynienia z moim bratem, który zachowywał się tak, jakby Żydzi zbuntowali się po to tylko, żeby ułatwić mu interesy. - W każdym razie udał się do Cezarei, żeby nadzorować ten inny towar i załatwić statek... którym okazał się *Hyperikon*.

- Czy to znaczy, że wcześniej z niego nie korzystaliście? - zapytałem.

- Nigdy. Przedtem zawsze przewoziliśmy towar transportem wojskowym - wyjaśnił. Cały Festus! - Mnie powierzono opiekę nad posągiem - ciągnął. -

Zanim przewiozłem go na południe, Festus kazał mi dać go do obejrzenia jednemu z braci Aristedonów - mówił. Imię brzmiało znajomo; przypomniało mi się, że Karus i Serwia wspominali o korzystaniu z ich usług przy transporcie zamówionych towarów. - Miał go zweryfikować dla nowych właścicieli i dopiero potem Festus miał dostać pieniądze od bankiera.

- Więc Karus płacił Festusowi za pośrednictwem bankiera w Syrii? - spytałem.

- Tak było wygodniej - mruknął tata. - Wolał nie wieźć ze sobą takiej sumy z Rzymu. I jeśli jego koledzy z Judei zainwestowali swoje pieniądze, bez większego ryzyka mógł im tam wypłacić ich zyski.

- Rozumiem. Jednak zanim Karus rozstał się z taką sumą, chciał, żeby jego agent obejrzał towar? To w jaki sposób straciłeś nasz posąg, Orontesie?

Teraz dopiero rzeźbiarz zaczął się wić.

- Och, bogowie... myślałem, że tak będzie najlepiej... Aristedon, ich agent, pojawił się w Tyrze i poświadczył autentyczność posągu. Miałem zabrać Fidiasza łodem do Cezarei, ale ponieważ na wszystkich drogach kręcili się żołnierze, nie bardzo mi się ta podróż uśmiechała. Wydawało mi się, że to dar bogów, kiedy Aristedon oznajmił, że jego klienci woleliby, żeby zabrał Fidiasza własnym statkiem, *Dumą Pergii*.

- I ty się na to zgodziłeś? - rzucił pogardliwie tata.

- Zakładam, że Aristedon dał ci jakieś pokwitowanie? - dodałem groźnie.

- O tak... - wykrztusił.

Coś tu się nie zgadzało. Gość zbladł, a oczy zaczęły mu biegać.

- Pozwoliłeś mu zabrać rzeźbę?

- Czemu nie? Oznaczało to przecież, że mogę przestać się o nią troszczyć. I nie musiałem płynąć statkiem do Rzymu. Chciałem wrócić do Grecji. Tam mogłem wydać honorarium od Festusa na zakup towaru dla siebie.

- Oddałeś więc Fidiasza - powiedziałem - resztę ładunku mojego brata zostawiłeś na *Hyperikonie*, a sam wymknąłeś się do Achai, by potem, kiedy miałeś ochotę, przywędrować z powrotem do Italii?

- Zgadza się, Falkonie. A ponieważ to oznacza, że uniknąłem zatonięcia, nie zamierzam przeproszać! - oświadczył butnie. Wydawało się to rozsądnym podejściem... tyle że ten błazen kosztował naszą rodzinę sporą fortunę. - Kiedy dotarłem do domu, dowiedziałem się, że *Hyperikon* zatonął i Festus stracił swój towar.

- Więc gdzie, na Hadesa, jest Fidiasz? - zazgrzytał tata.

- Gratulowałem sobie właśnie, że go uratowałem, kiedy usłyszałem, że *Duma Pergii* też nie dopłynęła do celu.

- O, dajże spokój! - ryknął Geminus. - To zbyt duży zbieg okoliczności!

- Pora roku była niedobra. Wszędzie szalały sztormy - wyjaśnił Orontes.

- No i co było potem? - wtrąciłem.

- Znalazłem się w opałach. Odwiedził mnie Karus. Kazał mi przysiąc, że nie powiem Festusowi o przekazaniu posągu...

- Zapłacił ci za to oszustwo?

- No cóż... - Rzeźbiarz miał minę jeszcze bardziej niepewną niż zazwyczaj. - Kupił coś, co miałem.

- Nie mogło to być nic z twoich dzieł - oświadczył miło mój ojciec. - Karus to ścierwo, ale zna się na sztuce!

- Kupił pokwitowanie - odpowiedział Orontes, nim zdołał się powstrzymać.

Obaj z ojcem włożyliśmy dużo wysiłku w to, żeby się pohamować.

- Za ile? - spytałem, z udawaną lekkością w głosie... co było moim jedynym sposobem uniknięcia apopleksji.

- Pięć tysięcy. - Wyznanie było tak ciche, że niemal niesłyszalne.

- Tylko tyle? Ten przeklęty posąg był wart pół miliona!

- Byłem w ciężkiej sytuacji... wziąłem tyle, ile mogłem dostać.

- A pomyślałeś o tym, co robisz Festusowi?

- Nie wydawało się to takie straszne - zajęczał Orontes. Najwyraźniej należał do tej amoralnej klasy artystów. - Gdybym wcześniej nie zmienił ustaleń, to posąg i tak by poszedł na dno, tyle że z innym statkiem. Nie widzę tu żadnej różnicy.

- Jest wielka różnica! - wrzasnął ojciec. - Pół miliona milutkich błyszczących różnic, które Karus chce teraz z nas wycisnąć!

- Festusa też próbował oskubać - przyznał ponuro Orontes. - Dlatego wolałem go nie widzieć, kiedy wrócił do Rzymu. Myślałem, że wie, co zrobiłem, i chce mnie dopaść.

Spojrzeliliśmy z ojcem po sobie. Obaj myśleliśmy o Festusie i czuliśmy coraz większe zaniepokojenie. Zwykła wściekłość nie tłumaczyła stanu wzburzenia, w jakim się znajdował podczas ostatniej wizyty w Rzymie. Gdyby chodziło mu tylko o to, że ten szcur Orontes go oszukał, skorzystałby z pomocy, mojej albo ojcowskiej, żeby rozprawić się z tym głupcem. Tymczasem on się szamotał, próbując wprowadzić w życie jakiś swój sekretny plan. To mogło oznaczać tylko jedno: mój brat wierzył, że pretensje Kasjusza Karusa są uzasadnione, i chciał sprawę załatwić.

- Karus musiał go wtedy okropnie przyciskać, a wiadomo, że to osoba niebezpieczna - dodał ze smutkiem rzeźbiarz, zupełnie niewłaściwie interpretując nasze milczenie.

- Zbyt niebezpieczna, żeby taki głupiec jak ty się z nim zadawał! - oświadczył otwarcie Geminus.

- Och, przestań już... - Gość nie miał pojęcia o hierarchii ważności. - Przykro mi w związku z tym, co się wydarzyło, ale nie widziałem innego sposobu, żeby się z tego wyplątać. Z tego, jak Karus to ujął, odniosłem wrażenie, że źle zrobiłem, wypuszczając posąg z rąk. Powiedział, że dla wszystkich będzie

lepiej, jeśli udamy, że nigdy do tego nie doszło.

- Nie wierzę własnym uszom! - wymamrotał do mnie zrozpaczony tata.

- Możemy wyciągnąć od niego te pięć tysięcy? - spytałem.

- Wydałem je - wyszeptał Orontes. Ale ja już byłem przygotowany na taką odzywkę. Z tej pracowni nie mogło wyjść nic użytecznego ani dobrego. - Wydałem wszystko. Zawsze tak robię. Pieniądze dosłownie się kurczą, kiedy się pojawiają... - paplał. Popatrzyłem na niego wzrokiem, od którego musiało mu się skurczyć coś zupełnie innego. - Słuchajcie, wiem, że macie mnie za co winić. Nigdy nie przypuszczałem, że to się może tak skończyć...

Miałem złe przeczucia. Staliśmy z ojcem całkowicie nieruchomo. Bystrzejszy od niego człowiek szybko zamknąłby jadaczkę. Orontes, nic nie wyczuwając, brnął dalej:

- Wyjechałem z Rzymu i trzymałem się z dala od Festusa. Kiedy Manliusz powiedział mi, że Festus wyjechał, pomyślałem, że udało mu się jakoś załatwić sprawę pieniędzy, i starałem się więcej o tym nie myśleć. Więc jak według was się poczułem, kiedy usłyszałem, co się stało, i uzmysłowiłem sobie, że to moja wina? - Wymówił to niemal z oburzeniem. - Wiedziałem, że Karus i Serwia nie znoszą, jak ich ktoś okantuje, i wiedziałem, że potrafią postępować brutalnie. Nigdy jednak nie myślałem - jęknął - że Karus posunie się aż tak daleko i zmusi Festusa do takich działań!

- A co niby zrobił Festus? - spytałem przyciszonym głosem.

Nagle Orontes zrozumiał, że bez potrzeby wpakował się w kłopotliwą sytuację. Było jednak za późno. Nie mógł już powstrzymać tych słów.

- Znalazł się pod taką presją, że wybrał śmierć w bitwie, by się tylko uwolnić!

54

Kiedy wróciłem do naszej gospody, Helena leżała już w łóżku. Nie ruszyła się z niego, pomrukując tylko od czasu do czasu, podczas gdy ja poświęciłem pół godziny na otwarcie zamka: w pojęciu mojego ojca była bezpieczna, bo zamknął ją tam na klucz. Niestety, został teraz w pracowni, żeby mieć oko na Orontesa. Przebyłem pieszo, w ciemnościach, cztery mile drogi powrotnej do Kapui. Byłem zmarznięty, bolały mnie nogi i czułem się podle, a kiedy wreszcie dotarłem na miejsce, odkryłem, że mój nieznośny ojciec wciąż ma klucz do naszego pokoju przy sobie, ukryty gdzieś pod tuniką.

Moje wysiłki, by włamać się po cichu, zawiodły. Dałem sobie spokój z ostrożnością i wzięwszy krótki rozbieg, walnąłem w drzwi barkiem. Zamek nie ustąpił, ale zawiasy jak najbardziej. Rozległ się okropny łoskot. W całym budynku musiało być dla wszystkich oczywiste, że ktoś włamuje się do pokoju szlachetnej damy z Rzymu, mimo to nikt się nie zainteresował. Sympatyczne miejsce z tej Kapui. Nie mogłem się doczekać wyjazdu.

Wsunąłem się do środka. Nie mogąc znaleźć pudełeczka z przyborami do

krzesania ognia, posiniaczyłem sobie ramię, przeciskając się z powrotem na korytarz, żeby stamtąd wziąć lampkę. Potem dysząc ciężko i klnąc pod nosem, wróciłem do pokoju.

Helena zjadła miskę fasoli i wszystkie dodatki. Rzuciłem się na to, co zostało, i pożarłem półtorej porcji wystygłego jada. Jednocześnie opowiadałem jej, co się wydarzyło. Zimna fasola może i jest niezła latem w sałatce, jednakże jako danie główne, zimą, traci cały urok. Olej na powierzchni zdążył zakrzepnąć w paskudną galarete.

- Jest jakiś chleb? - spytałem.

- Zapomniałeś przynieść. Byłeś zbyt zajęty - poinformowała mnie Helena spod koców - pożeraniem wzrokiem biuściastych klientek.

Mówiłem dalej, nie omijając żadnych detali dotyczących nagich piersi Rubinii.

Helena zawsze lubiła opowieści, szczególnie te, w których osobiście występowałem. Na początku spod nakrycia wystawał zaledwie czubek jej nosa, ale stopniowo, kiedy relacja z niemądrych przepychanek i twardego przesłuchania wzbudziła jej zainteresowanie, pojawiało się jej coraz więcej. Kiedy skończyłem, siedziała na łóżku z wyciągniętymi do mnie ramionami.

Skorzystałem z zaproszenia i otuliliśmy się dokładnie kocami.

- I co teraz, Marku? - spytała.

- Powiedzieliśmy Orontesowi, że musi wrócić z nami do Rzymu. Wie, że grozi mu niebezpieczeństwo ze strony Karusa albo naszej, więc gotów jest poddać się którejkolwiek z opcji, jeśli tylko pozwoli mu to wrócić tam, gdzie naprawdę chce być. Ten gość to idiota! - wybuchnąłem. - Nie zdaje sobie w ogóle sprawy z tego, że musi teraz dojść do konfrontacji i że niezależnie od jej wyników sprawy dla niego przybiorą zdecydowanie zły obrót. Wystarcza mu, że już nie musi uciekać.

- A udało wam się uniknąć spłacania tej całej sumy Karusowi? - spytała Helena.

- W tym właśnie problem - westchnąłem. - Karus ma pisemny dowód, że zapłacił Festusowi za posąg, podczas gdy my nie mamy nic, by udowodnić, że Orontes przekazał rzeźbę jego przedstawicielowi w Tyrze. Aristedon i załoga *Dumy Perg*i utonęli. Nie ma żadnych istotnych świadków.

- Jeśli zaś chodzi o łapówkę, którą potem Karus wręczył rzeźbiarzowi, to raczej wątpię, żeby szantażysta dał pokwitowanie - dodała logicznie moja przyjaciółka.

- Racja, kochanie... i dlatego nie możemy udowodnić oszustwa. Jest tylko słowo Orontesa przeciwko słowu Karusa.

- Orontes mógłby jednak wystąpić jako świadek?

- O tak! - przyznałem bez entuzjazmu. - Może wystąpić. Jeśli uda nam się utrzymać go przy życiu, w stanie trzeźwości i z ochotą do zeznań... czemu już

Karus postara się zapobiec. Jeśli potrafimy spowodować, że będzie bardziej bał się nas niż Karusa, wtedy możemy zaciągnąć go do sądu, by opowiedział swoją historyjkę. I jeśli uda nam się jeszcze spowodować, żeby ten pokrętny, kłamliwy szubrawiec wyglądał dla sądu wiarygodnie!

- Karus pewno przekupi ławę przysięgłych - oświadczyła Helena i pocałowała mnie w ucho. - Zresztą Orontes to kiepski świadek - dodała. - Zignorował instrukcje twojego brata, potem bez wahania sprzedał pokwitowanie. Wystarczy, że prawnik przeciwnika zarzuci mu stałe działanie w złej wierze i sprawę macie przegraną.

- Orontes to mięczak - rozprawiałem markotnym tonem. - Karus jest zamożny i zdecydowany. W sądzie uchodziłby za uczciwego obywatela, podczas gdy naszego człowieka szybko by zdyskredytowano... Ale my nie oddamy tego w ręce prawników. Po co płacić jeszcze honoraria, kiedy już i tak siedzi się po uszy w gównie? Co nie oznacza, że nie zamierzamy z tatą niczego robić.

- A co możecie zrobić? - Jej dłonie wędrowały cudownie po takich miejscach na moim ciele, które to bardzo lubiły.

- Jeszcze nie zdecydowaliśmy. Ale musi to być coś znaczącego - oświadczyłem.

Zamilkliśmy oboje. Wzięcie odwetu na kolekcjonerach wymagało czasu i starannego przemyślenia. Dzisiejszy wieczór nie był do tego odpowiednim momentem. Jeśliby jednak zawiodła mnie własna pomysłowość, to miałem pewną nadzieję, że Helena wniesie swój wkład w postaci jakiegoś pokrętnego pomysłu. Ona rozumiała, że trzeba coś przedsięwziąć. Nigdy nie godziła się z niesprawiedliwością.

Choć całkiem znieruchomiła w moich objęciach, to wyczuwałem, że jej umysł bardzo intensywnie pracuje.

- Zawsze można być pewnym, że opuścisz coś ze swojej opowieści! - wykrzyknęła nagle. Drgnąłem, przejęty obawą, że pominąłem coś istotnego. - W jej połowie zniknęła całkowicie ta ponętna rozebrana modelka!

- Ach, ona! - roześmiałem się z zakłopotaniem. - Była tam przez cały czas. Kiedy rzeźbiarz był nieprzytomny, zagroziliśmy jej, że jeśli się nie uspokoi, unieszkodlimy ją w jakimś kącie, żeby nam nie przeszkadzała, kiedy będziemy zadawać pytania Orontesowi. Ani myślała się uciszyć, więc wsadziliśmy ją do sarkofagu.

- O bogowie, biedactwo! Mam nadzieję, że pozwolicie Orontesowi ją stamtąd wypuścić?

- Hmm! Nie chciałbym robić żadnych nieprzystojnych sugestii - wymamrotałem - ale podejrzewam, że kiedy mój upiorny rodzic znudzi się dyskusją na temat różnych teorii sztuki, dopilnuje, by Orontes spił się do nieprzytomności... i wtedy sam tę modelkę wypuści.

Helena udawała, że nie ma pojęcia, co mam na myśli.

- I co potem, Marku?

- Potem - obiecałem jej z uczuciem wielkiej ulgi - ty i ja, i mój szczęśliwy ojciec, i rzeźbiarz, i jego ponętna modelka, jeśli zechce ją zabrać ze sobą, pojedziemy wszyscy do domu... ciekawe czy Smaraktusowi chciało się załatać dach?

Helena ponownie zamilkła. Może rozmyślała nad wspólną podróżą z Rubinią, może martwił ją dach.

Ja też miałem mnóstwo do przemyślenia i nie były to rzeczy radosne. Musiałem wymyślić jakiś plan, żeby ukarać Karusa i Serwię. Musiałem jakoś uniknąć zapłacenia im pół miliona sestercji, których wcale nie byliśmy im winni, żeby nie zostać skazanym na wygnanie albo na coś gorszego, musiałem rozwiązać tajemnicę morderstwa, która zaczynała wyglądać na nierozwiązywalną. I jeszcze musiałem jakoś wytłumaczyć matce, że jej ukochanemu synowi, uznanemu za bohatera, nie powiodło się w interesach i uczynił ten krok w nicość jedynie dlatego, że nie był już dłużej w stanie udźwignąć ciężaru spartaczonych przedsięwzięć.

- Która godzina? - spytała Helena.

- Na Jowisza, nie mam pojęcia! Środek nocy... a może już jutro.

Uśmiechnęła się do mnie. Nie miało to żadnego związku z tym, o czym rozmawialiśmy. Wiedziałem to, jeszcze zanim odezwała się łagodnym tonem:

- W takim razie wszystkiego najlepszego z okazji urodzin!

Moje urodziny.

Wiedziałem, że nadchodzą. Myślałem, że nikt poza mną nie zdaje sobie z tego sprawy. Mama na pewno o mnie myślała, z typowym dla siebie podszytym pogardą szacunkiem, ale ona była w Rzymie, więc uniknąłem wspomnień i ominął mnie tort ze śliwkami. Tata zapewne nigdy nie pamiętał dat urodzin swoich dzieci. A Helena... no cóż. Rok temu, w moje urodziny, byliśmy razem, jako zupełnie obcy sobie ludzie, odporni na jakiegokolwiek pokusy. Co nie przeszkodziło, że sprawiłem sobie urodzinowy prezent i ją pocałowałem, z rezultatem, którego żadne z nas nie mogło przewidzieć. Od tamtej chwili pragnąłem mieć jej więcej; chciałem jej całej. Zapoczątkowałem bieg wydarzeń, który zakończył się tym, że się w niej zakochałem, podczas gdy cichy, groźny głos szeptał mi do ucha, że spowodowanie, by ta nieosiągalna istota pokochała mnie, może się okazać wielkim wyzwaniem.

Minął rok od chwili, kiedy pierwszy raz trzymałem ją w ramionach, myśląc, że nigdy więcej nie pozwoli mi się do siebie zbliżyć. Rok od momentu, kiedy zobaczyłem to spojrzenie w jej oczach i zaryzykowałem. Rok po tym, jak uciekłem przed nią, oszołomiony własnymi uczuciami i opacznie pojmując jej reakcję, a jednocześnie ze świadomością, że kiedyś musi dojść do tego, że będę znowu trzymał tę kobietę w ramionach.

- Pamiętasz? - spytałem.

- Pamiętam!

Trzymając twarz tuż przy jej włosach, chłonałem słodki, naturalny zapach. Leżąc bez ruchu, czerpałem radość ze znanego kształtu tego przytulonego do mnie ciała. Przesunęła palcami po moim ramieniu, kreśląc na nim wzory, od czego zawsze dostawałem gęsiej skórki.

- Jesteśmy teraz w innej śmierdzącej gospodzie... a przecież nie mogłem nawet marzyć, że wciąż będę miał cię przy sobie - powiedziałem.

- Och, Marku, byłeś na mnie taki wściekły.

- Żeby ośmielić się cię dotknąć, musiałem najpierw wpaść we wściekłość.

Roześmiała się. Zawsze umiałem pobudzić ją do śmiechu.

- Przez śmiech doprowadziłeś do tego, że cię uwielbiam! - powiedziała, jakby odgadła moje myśli.

- Nie tamtego wieczoru! Wtedy zamknęłaś się w swoim pokoju i nie chciałaś się do mnie odezwać.

- Tak bardzo się bałam.

- Mnie? - spytałem zdumiony.

- Ależ skąd! Wiedziałaś, że kiedy przestaniesz odgrywać półboga z żelazną szczęką, to będziesz słodziutki... Siebie samej - wyznała. - Byłam przerażona tym, że tak bardzo pragnę twoich ramion, pocałunków i nie tylko...

Mogłem ją pocałować. Jej brązowe oczy były miękkie i zapraszające. Ale zabawniej było odchylić się do tyłu, żeby móc ją lepiej widzieć i tylko myśleć o tym, podczas gdy ona się do mnie uśmiechała.

Wiedziałem, że żaden inny rok mojego życia nie przyniesie mi tylu zmian. Żadne zrzęcenie losu nie podaruje mi nic tak cennego.

Zgasilem światło, by móc zapomnieć o naszym nędznym otoczeniu; potem wyparłem z myśli długi i kłopoty. Człowiek musi mieć w życiu jakąś radość.

- Kocham cię - szepnąłem. - Powinienem był to powiedzieć na samym początku, rok temu... a oto, co należało wtedy natychmiast zrobić...

A potem już pozwoliłem, by moje trzydzieste pierwsze urodziny zaczęły się obchodami w najszlachetniejszym rzymskim stylu.

55

Nasz koń wciąż kulał, wynajęliśmy więc dwie lektyki i udaliśmy się na wybrzeże. Z Puteoli popłynęliśmy do domu statkiem. Nie będę się wdawał w szczegóły tego rejsu, choć trwał w nieskończoność. Większość czasu spędziłem, leżąc pod skórzanym żaglem. Głowę wystawiałem wtedy, kiedy mnie zemdliło, czyli nader często.

Sądzę, że inni uważali pogodę za przyjemną, morskie powietrze za dodające energii, a współpasażerów za fascynującą różnorodną zbieraninę ludzkich typów. Helena i ojciec poznali się jeszcze lepiej i mieli dość taktu, by trzymać z

dala ode mnie zarówno tego oszukańczego rzeźbiarza, jak i jego rozmemłaną kochankę.

Pomimo świadomości, że latarnię w nowym porcie wybudowano z moich podatków, jej widok bardzo mnie ucieszył, a jeszcze bardziej ogromny posąg Neptuna. Kiedy przepłynęliśmy pod jego kolanami, wiedziałem, że statek jest już w basenie portowym i za chwilę zacumuje. Potem musieliśmy jeszcze czas jakiś poczekać, bo procedury żeglarskie miały pierwszeństwo przed pragnieniem pasażerów, by wreszcie znaleźć się na suchym lądzie. Udało mi się wysłać wiadomość do biura celnego i dlatego, kiedy zeszliśmy na nabrzeże, pierwszą osobą, która nas powitała, był Gajusz Bebiusz, mój szwagier.

- Mogłeś nam tego oszczędzić! - mruknął do mnie ojciec.

- Liczę na darmowy powrót do domu służbowym transportem, jeśli się do niego przykleimy - wyjaśniłem.

- Co za bystry chłopiec! G a j u s z B e b i u s z . Jakże miło cię widzieć...

Mój szwagier pełen był czegoś... czegoś i niczego, prawdę mówiąc. Zachowywał się powściągliwie w obecności obcych... nawet przy Helenie, ponieważ stosunek przełożonego celników do kobiet jest raczej tradycyjny, a poza tym Gajusz Bebiusz od siedemnastu lat mieszkał pod jednym dachem z moją siostrą Junią, która nauczyła go trzymać buzię na kłódkę. Stosunek Junii do mężczyzn był typowo i niezmiennie kobiecy. Według niej stworzono nas po to, by one mogły nam wymyślać od idiotów i kazać siedzieć cicho.

Zostawiwszy niepokojoną Helenę, by pilnowała bagażu (tak z kolei my wyobrażaliśmy sobie, do czego służą kobiety), zabraliśmy z ojcem Gajusza do winiarni i zaczęliśmy go maglować. Wyzwolony spod kobiecego nadzoru rozgadał się.

- Słuchajcie, słuchajcie, poszczęściło mi się! - zawołał.

- Wygrałeś na wyścigach, Gajuszu? - zażartował tata. - To nic nie mów swojej małżonce! Wyrwie ci to z ręki, zanim zdążysz wziąć oddech.

- Na Olimp, Marku, on patrzy na świat jeszcze bardziej czarno od ciebie... Nie, znalazłem coś, czego szukaliście...

- Chyba nie śladów po *Hyperikonie*?

- Nie, nie to. Jestem przekonany, że on rzeczywiście zatonął.

- Nie prowadzicie wykazu zaginionych statków? - zapytał go tata.

- Po co? - Gajusz Bebiusz popatrzył na niego z góry - W morskich wodorostach i mule nie ma dla państwa żadnych pieniędzy.

- Szkoda - ciągnął ojciec. - Chciałbym mieć pewność, że *Duma Pergii* naprawdę wylądowała na dnie...

- Zatem co takiego odkryłeś, Gajuszu? - spytałem z naciskiem, ale z taką cierpliwością, na jaką mnie było stać w towarzystwie tej sprzeczącej się dwójki.

- Festus!

Poczułem się nieswojo. Nie byłem jeszcze gotowy rozmawiać na ten temat z żadnym członkiem rodziny. Nawet tata zamilkł. Gajusz Bebiusz zauważył, że straciłem apetyt; natychmiast wyciągnął łapę, żeby chwycić moją miskę.

- Gadaj! - ponaglił go ojciec, starając się opanować. - O co chodzi z Festusem?

- Spuścił oczy na łyżkę, za pomocą której zaczął konkurować z Bebiuszem o resztki mojego jedzenia.

- Odkryłem... - Przekłęty Gajusz miał za dużo mojego żarcia w gębie, by móc mówić. Poczekaliśmy, aż przeżuje, z tą swoją powolną dokładnością, jaka charakteryzowała jego życie. Miałem ochotę go kopnąć. Nie było to łatwe, ale się powstrzymałem, bo nie miałem zamiaru patrzeć na jego zbolałą minę. - Odkryłem - oświadczył, starannie wymawiając słowa - kwit z sumą akcyzy, jaką Festus zapłacił, kiedy zszedł na ląd.

- Kiedy? Na ostatnim urlopie?

- Właśnie!

Brwi ojca, które zachowały więcej czerni niż jego niesforne włosy, podskoczyły gwałtownie do góry. Popatrzył w dół, wzdłuż swojego długiego prostego nosa.

- Festus wrócił do kraju na noszach, wojskowym statkiem zaopatrzeniowym!

- oznajmił.

- Owszem, wrócił na noszach, ale zaskakująco szybko z nich zeskoczył! -

Gajusz Bebiusz pozwolił sobie na ton delikatnej krytyki.

Wszyscy mężowie moich sióstr krzywo patrzyli na mojego brata, podobnie zresztą jak i na mnie. Gajusz Bebiusz miałby satysfakcję, gdyby wiedział, że Festus wybrał heroiczną śmierć, by umknąć przed natrętnymi i groźnymi wierzycielami... nie mając pojęcia, że jego wierzyciele to oszuści.

Konieczność obcowania z ludźmi pokroju mojego szwagra i rozmowy o tych smutnych sprawach to główna udręka, jaka mnie tu czekała.

- Zatem Festus, chociaż ranny, zdołał przywieźć do domu coś, co podlegało ocleniu? - zapytałem, starając się, by mój głos brzmiał równie pedantycznie jak Gajusza; był to jedyny sposób, żeby wydusić z niego jakieś konkretne informacje.

- Widzę, że rozumiesz! - zawołał triumfalnie szwagier. - Nie jesteś taki nierozgarnięty! - Gość był po prostu nieznośny.

Ojciec uratował mnie, nim zdążyłem wybuchnąć.

- No mów, Gajuszu! Nie trzymaj nas w napięciu. Co importował?

- Balast - odparł Gajusz Bebiusz. Rozparł się wygodnie, zadowolony, że nas zaskoczył.

- Nie wydaje się to godne jakichkolwiek opłat - zauważyłem.

- Rzeczywiście. Podatek był drobną sumką.

- Odnoszę wrażenie, że być może Festus opłacił kogoś w urzędzie celnym, by

opisał jego ładunek jako bezwartościowy!

- To pomówienie naszej służby! - oburzył się Gajusz.

- Ale ma sens - oświadczyła tata.

Ojciec potrafił wypowiadać się z taką pewnością siebie, że było to wielce irytujące. Wytrzymałem jego zachowanie, bo myślałem, że chce dopiec Gajuszowi Bebiuszowi, który irytował mnie jeszcze bardziej.

- Ojciec, przecież nie mamy najmniejszego pojęcia, co mógł przywieźć...

- Myślę, że wiem - odparł mi na to.

Przypuszczałem, że blefuje, ale jak na to miał zbyt spokojną minę.

- Nie bardzo chwytam... a Gajusz zapewne jeszcze mniej - powiedziałem.

- Jeśli ten „balast” jest tym, czym uważam, że mógł być, no to go sam widziałeś, Marku.

- Nie mówimy chyba o ładunku wymyślnego żwiru na ścieżki w ogrodach bogaczy?

- Mówimy o czymś większym - powiedział ojciec. Kolejna tajemnica, która tkwiła gdzieś w zakamarkach mojej pamięci, wyrwała się teraz na wolność.

- Nie mówisz chyba o tych blokach kamienia, które wuj Juniusz pokazał mi w magazynie?

- Właśnie tak.

- Widziałeś starego Juniusza? Jak się miewa? - kłapnął Gajusz Bebiusz, z typowym dlań wyczuciem człowieka, który wie, co jest ważne.

- Więc czym są te bloki? - spytałem ojca, ignorując słowa szwagra.

- Mam pewne podejrzenia.

Tyle tylko zechciał powiedzieć, wobec czego poczęstowałem go własną niespodzianką:

- Mnie też nie brak pomysłów. Założę się, że statek, którym Festus wracał do kraju, zawinął nagle na Paros, wyspy słynącej z marmurów.

Tata zarechotał. I przyznał mi rację.

- Ciekawe, jak nasz przebiegły młodzian namówił kapitana, żeby się tam zatrzymał?

Gajusz Bebiusz wiercił się niczym dzieciak, którego dorośli nie dopuszczają do swoich tajemnic.

- Mówicie o Festusie? - zapytał. - Po co mu był potrzebny marmur?

- Na pewno po to, żeby coś z niego zrobić - odparłem lekkim tonem.

- To mogło być wszystko - mruknął ojciec, uśmiechając się do samego siebie.

- Kopie posągów, na przykład...

To samo myślałem. Festus zapewne rozumował tak: po co sprzedawać tylko jednego Fidiasza za pół miliona, kiedy taki rzeźbiarz jak Orontes może wykonać dla mnie cztery?

- Aha, przypomniał mi coś! - oświadczył błyskotliwy małżonek mojej siostry. - Zapłacił cło nie tylko za balast. Niemal zapomniałem o tym

wspomnieć... był tam też jakiś posąg.

56

Z Ostii do Rzymu wróciliśmy rzeką. Była to powolna podróż, panował ziąb. Milczeliśmy zatopieni w myślach po tym, co usłyszeliśmy od Gajusza Bebiusza.

Przestało padać, ale kiedy dotarliśmy do Rzymu, niebo było nabrzmiące deszczem, który jeszcze nie zdążył spaść. Nawierzchnie ulic lśniły. Woda stała na chodnikach tam, gdzie niedbali kramarze zostawili walające się liście kapusty i fragmenty cegieł w rynsztokach. Kapało z dachów. W powietrzu zawisła mgła znad Tybru, a nasze oddechy wplatały się w nią smugami dodatkowej wilgoci.

Kiedy zeszedliśmy na ląd, podszedł do nas jeden z ludzi Petroniusza, mający oko na barki rzeczne.

- Falko! - zawołał. - Petroniusz kazał nam wszystkim cię szukać.
- Nie złamałem warunków zwolnienia za kaucją. Byłem z moim poręczycielem... - Zaśmiałem się, ale zaraz spoważniałem. - Jakiś problem?
- Chce zamienić słówko. Mówi, że to pilne.
- Na Marsa Mściciela! Co znowu się dzieje?
- Zgłosił się ten drugi centurion, który jest powiązany z zabójstwem legionisty. Szef przesłuchał go raz, ale powstrzymał się od ostatecznego osądu, dopóki nie zweryfikujemy jego zeznania.
- Jestem już czysty czy gość ma jakieś alibi? - spytałem.
- Przecież zawsze je mają! Lepiej wysłuchaj Petroniusza. Pobiegnę na posterunek i powiem, że wróciłeś.
- Dzięki. Będę przy Dziedzińcu Fontanny. Mogę się z nim zobaczyć, kiedy tylko będzie chciał.
- Mówisz jak jedna z jego kobiet! - zauważył tajemniczo strażnik.

Spotkaliśmy się koło południa U Flory. Petroniusz siedział nad jakimś daniem i rozmawiał z kelnerem i jednym ze swoich ludzi, niejakim Martynem. Kiedy przyszedłem, Martyn wyszedł na dwór. Przede mną pojawiło się natomiast jedzenie, najwyraźniej zamówione wcześniej przez mojego uprzejmego przyjaciela. Epimandos obsługiwał nas z nieśmiałością, świadczącą zapewne o szacunku, jaki żywił dla Petroniusza.

Zauważyłem, że porządnie złożony płaszcz mojego przyjaciela leży obok niego na stosie przedmiotów, w których rozpoznałem ekwipunek zabitego żołnierza. Na razie uprzejmie to zignorowałem. Epimandos, który pewnie także rozpoznał te rzeczy, obchodził koniec ławy szerokim łukiem, zupełnie jakby kapitan straży przyniósł ze sobą kocioł wiedźmy.

Petroniusz był jak zawsze spokojny.

- Wyglądasz na przygnębionego, Falconie. Czy mam winić tutejszy rosół? -

zapytał.

- Wiń Festusa - wyznałem.

Roześmiał się krótko.

Znałem Petroniusza już tak długo, że mogłem mu powiedzieć to najgorsze. Słuchał z typową dla siebie powściągliwością. Miał kiepską opinię o ludziach z artystycznymi zainteresowaniami, więc przekręt Karusa go nie zaskoczył. O bohaterskich wyczynach też nie miał najlepszego zdania; nie poruszyła go zatem możliwość, że śmierć mojego brata nie była tak chwalebna, jak udawaliśmy.

- A czy kiedykolwiek przyznawano odznaczenia bojowe właściwym ludziom? - spytał. - Już wolę, że przypadło ono Festusowi niż jakiemuś łachmycie, tylko dlatego że znał członków rady wojennej.

- Tak czy inaczej, nie masz zbyt dobrego zdania o rodzinie Dydiuszów.

- Och, niektórzy z was są w porządku - odparł z lekkim uśmiechem.

- Dzięki za pochlebny opinię - powiedziałem. Wymieniliśmy już dość ogólników i mogłem przejść do sedna. - Więc co z tym centurionem? - spytałem.

Petroniusz wyprostował długie nogi.

- Laurencjuszem? Robi wrażenie porządnego gościa, który skumpłował się z pechowcem. Przyszedł na posterunek, mówiąc, że dopiero co usłyszał nowiny. Chciał dowiedzieć się czegoś więcej i zaopiekować rzeczami Cenzoryna.

Dla podkreślenia swoich słów Petroniusz poklepał leżącą na ławie torbę.

- Umówiłeś się z nim tutaj? W jakim celu? - spytałem.

- Cóż, może to i tak na nic. Mam jednak pewną nadzieję, że miejsce zbrodni wyprowadzi go nieco z równowagi - odparł Petroniusz z uśmiechem. - Mogłoby się udać, gdyby był mordercą... jeśli nie jest, to jak zwykle ty i ja trujemy się bez potrzeby zupą Epimandosa.

- Nie sądzisz, by to zrobił. - Wydedukowałem to z tonu przyjaciela. - Jak wygląda jego wersja?

- Obaj byli na urlopie. Cenzoryn miał się zatrzymać u „rodziny przyjaciela”. Na razie nie powiedziałem mu, że znam was wszystkich. Laurencjusz pochodzi z Rzymu, więc zatrzymał się u swojej siostry.

- Sprawdziłeś to?

- Jasne. Zgadzało się.

- A gdzie był Laurencjusz, kiedy doszło do morderstwa?

- Laurencjusz, jego siostra, jej czworo dzieci, wszyscy oni bawili u ciotki w Lawinium. Pojechali tam na miesiąc.

- I oczywiście wybrałeś się do Lawinium - stwierdziłem ponuro.

- Czy mógłbym cię zawieść? Starłem się, jak mogłem, Falko! Jednakże wszyscy tam, od sędziego w dół, potwierdzają jego wersję. W tę właśnie noc był akurat czyjś ślub i nie da się nawet próbować założenia, że centurion

wymknął się cichaczem i potajemnie wrócił do Rzymu. Był widoczny podczas całej zabawy i prawie do południa następnego dnia przeleżał w kuchni, sympatycznie wstawiony. Wszyscy weselnicy ręką za niego... poza panem młodym, który miał myśli zajęte zupełnie innymi sprawami. Laurencjusz tego nie zrobił - potwierdził Petroniusz spokojnym głosem. Podłubał w zębach paznokciem. - Zresztą po spotkaniu z nim mogę powiedzieć, że nie jest to człowiek tego rodzaju.

- A kto jest taki? - zapytałem.

- No tak... - Petroniusz uprzejmie przyznawał, że zdecydowane i pospieszne teorie, podobnie jak oparte na instynkcie osądy istnieją jedynie po to, by je obalać. Ja jednak wiedziałem, co ma na myśli. Centurion mu się spodobał. Co oznaczało, że mnie się też pewnie spodoba... choć jego tak łatwo udowodniona niewinność pozostawiała mnie z o wiele trudniejszym zadaniem udowodnienia mojej niewinności. Sytuacja się nie zmieniła... wciąż byłem podejrzany, któremu groziły poważne konsekwencje.

Oparłem podbródek na dłoniach i zapatrzyłem się w brudną powierzchnię stołu. Kudłacz wskoczył na górę, ale ominął mój kawałek stołu, zupełnie jakby uznał, że jest zbyt zatłuszczony dla zwierzęcia. Petroniusz pogłaskał kota z roztargnieniem, dając znak Epimandosowi, żeby podał więcej wina.

- Coś jeszcze wypłynie, Falko - powiedział.

Nie dałem się pocieszyć.

Piliśmy w milczeniu, kiedy pojawił się Laurencjusz.

Gdy tylko oparł się o wystawioną na dwór ladę, zrozumiałem, co Petroniusz ma na myśli. Ten centurion mógł zabić w ramach swojej profesji, ale pospolitym mordercą nie był. Wyglądał na spokojnego, rozsądnego człowieka około pięćdziesiątki. Zobaczyłem inteligentną twarz o regularnych rysach i silne dłonie, nawykłe do wykonywania pożytecznych prac. Mundur miał schludny, choć ćwieki z brązu niewypolerowane na pokaz, ruchy wyważone.

Rozejrzał się, szukając nas wzrokiem, po czym zamówił wino. W tej właśnie kolejności. Potem spokojnie podszedł do nas z butlą.

Popatrzył na mnie powtórnie, tak, żebym to zauważył.

- Pewnie jesteś krewnym Dydiusza Festusa? - zapytał.

Ludzie znający mojego brata zawsze zauważali podobieństwo.

Przyznałem się do pokrewieństwa. Petroniusz przedstawił nas sobie, nie wspominając nic o powodach, dla których tam się znalazłem.

- Sprawdziłem to, co mi powiedziałaś. Zważywszy na miejsce, w którym się znajdowałaś, kiedy popełniono morderstwo, jesteś czysty - oświadczył Petroniusz centurionowi. Mężczyzna skinął głową, dając do zrozumienia, że Petroniusz ma swoje zadanie do wykonania i że wykonuje je uczciwie. - Przyniosłem ci ekwipunek twojego kolegi - ciągnął mój przyjaciel - nie ma tam

nic, co by nam było potrzebne jako dowód. Złożyłeś już zeznanie. Jeśli chcesz wyjechać z Rzymu, żeby dołączyć do swojej jednostki, nie mam nic przeciwko temu. Jest jednak jeszcze kilka pytań - dodał zupełnie niespodziewanie, kiedy centurion zbierał się już do odejścia.

Laurencjusz usiadł z powrotem. Skierował wzrok na mnie, a ja powiedziałem:

- Cenzoryn mieszkał u mojej matki. - Znowu potwierdził ten fakt lekkim skinieniem głowy. - Zanim się stamtąd wyprowadził - dodałem cicho.

Laurencjusz szybkim spojrzeniem obrzucił szynk. Jeśli w jego oczach pojawiło się zaniepokojenie, wydawało się ono w tym momencie właściwą reakcją.

- Czy to tutaj...? - nie dokończył pytania.

Petroniusz skinął głową, przypatrując mu się uważnie.

Uświadamiając sobie sytuację, centurion odpowiedział mu chłodnym, niemalże gniewnym spojrzeniem.

- Nigdy wcześniej tu nie byłem - oświadczył.

Wierzyliśmy mu.

Po przejściu sprawdzianu ponownie rozejrzał się wokół. Był po prostu mężczyzną, którego kolega zginął w tym miejscu, i okazywał całkiem naturalne, naznaczone smutkiem zainteresowanie.

- Żeby też w takim miejscu... - Jego oczy spoczęły na Epimandosie, który podskoczył i umknął gdzieś na zaplecze. - Czy to ten kelner go znalazł?

- Znalazła go właścicielka - odpowiedział Petroniusz. - Niejaka Flora. Poszła tam po należność za pokój.

- Flora? - Ten szczegół usłyszałem pierwszy raz. - Myślałem, że „Flora” to postać mityczna.

Petroniusz milczał, choć odniosłem wrażenie, że spojrzał na mnie dziwnie.

Laurencjusz teraz wydawał się bardziej przejęty.

- Ta nasza wyprawa - powiedział - zamieniła się w prawdziwy koszmar... żałuję, żeśmy się na nią w ogóle zdecydowali.

- Dłuższy urlop? - zapytał uprzejmie Petroniusz.

- Mam przerwę w odbywaniu służby. Poprosiłem o nowy przydział. Piętnasty przeniesiono do Panonii... nie zniosę dłuższego okresu służby tam, gdzie nic się nie dzieje.

- Dostaniesz się do nowego legionu?

- Powinienem. Potrzeba mi akcji. Poprosiłem o Brytanię.

Petroniusz i ja, którzyśmy tam służyli, skrzywiliśmy się.

- Jesteś pewny?

- Owszem. Możliwość przeniesienia to premia dla tych spośród nas, którzy utrzymywali fort w Judei, podczas kiedy reszta towarzyszyła Tytusowi w jego oficjalnym triumfie. - Laurencjusz spojrzał na mnie z lekkim uśmiechem. -

Wiesz, to zasada Festusa... nigdy nie zgłaszaj się na ochotnika, chyba że po to, by zostawiono cię w spokoju!

- Widzę, że znałeś mojego brata! - powiedziałem z uśmiechem.

Rozmowa o sprawach wojskowych rozluźniła napiętą atmosferę. Laurencjusz zwrócił się znowu do Petroniusza, pytając go konfidencjonalnym tonem:

- Naprawdę nie wiesz, co przytrafiło się Cenzorynowi?

- Nie mam pojęcia - odparł powoli Petroniusz. - Zaczynam podejrzewać, że musiało to być jedno z tych przypadkowych spotkań, które czasami źle się kończą. Może pewnego dnia to rozwiążemy. Jeśli tak, to najprawdopodobniej też przypadkowo.

- Szkoda. Wydawał mi się porządnym człowiekiem.

- Długo go znałeś?

- Z przerwami. Nie był z mojej centurii.

- Ale chyba obaj byliście w jednej grupie inwestycyjnej? - Zadając to pytanie, Petroniusz nie zmienił tonu i patrzył w głąb kubka.

Laurencjusz jednak natychmiast wiedział, co ma na myśli.

- Więc o to chodzi? - spytał, przenosząc wzrok z Petroniusza na mnie.

Tym razem mój przyjaciel zastosował szczere podejście:

- Poprosiłem Falkona, by mi towarzyszył, bo jemu potrzebne są te same odpowiedzi co mnie. Twój kolega miał z nim poważną kłótnię w związku z jakąś zastarzałą pretensją i obaj chcielibyśmy wiedzieć dlaczego. Falko musi to wiedzieć, ponieważ ta kłótnia wikła go w sprawę śmierci Cenzoryna.

- Niesłusznie? - spytał mnie centurion lekkim, łagodnym tonem.

- Niesłusznie - odparłem.

- Dobrze jest mieć w tych sprawach pewność! - oświadczył Laurencjusz, spokojnie kładąc splecione dłonie na stole. - Więc co chcesz wiedzieć, kapitanie straży? - zapytał. - Skoro ma to pomóc w znalezieniu zabójcy.

- Właśnie. - Petroniusz podniósł rękę i jego człowiek, Martyn, który kręcił się na zewnątrz przy szynkwasiu, wszedł do gospody i przysiadł się do nas. Wymieniliśmy z Laurencjuszem lekkie uśmiechy. Petroniusz Longus działał prawidłowo. Nie tylko zapewnił sobie świadka, że postępuje zgodnie z procedurą, kiedy przesłuchuje dwóch podejrzanych (z których jednego dobrze zna), ale kazał też podwładnemu przynieść nawoskowaną tabliczkę i robić notatki. - To jest Martyn, mój zastępca - powiedział. - Będzie prowadził zapis, jeśli nie macie nic przeciwko temu. Jeżeli dotkniemy spraw prywatnych, niemających związku z morderstwem, to notatki na ten temat zostaną wymazane.

Petroniusz odwrócił się do kelnera, chcąc go poprosić, żeby zostawił nas samych, ale przynajmniej ten jeden raz Epimandos już zdążył się dyskretnie ulotnić.

Petroniusz zadawał pytania; ja na początku siedziałem cicho.

- Centurionie, czy zechcesz z własnej i nieprzymuszonej woli powiedzieć, czego ty i ofiara przestępstwa chcieliście od rodziny Dydiuszów? - zapytał. Laurencjusz skinął powoli głową, ale się nie odezwał. - Próbowaliście odzyskać pieniądze włożone w inwestycję pomysłu Dydiusza Festusa?

- Praktycznie rzecz biorąc, tak.

- Czy wolno mi spytać, skąd pochodziły pieniądze?

- To już nie twoja sprawa - odparł uprzejmie Laurencjusz.

- Cóż - odezwał się Petroniusz swoim najbardziej rozsądnym tonem - pozwól, że ujmę to tak; kłótnia zmarłego z Falkonem na temat tych pieniędzy została podana jako ewentualny motyw zabójstwa. Znam Falkona osobiście i nie wierzę, by to zrobił. Wiem natomiast o cenie posągu Fidiasza i mogę założyć, że grupie centurionów w służbie czynnej na pustyni trudno byłoby wyłożyć taką sumę.

- Nie było to trudne - poinformował go lakonicznie Laurencjusz.

- Zaradne towarzystwo - zauważył z uśmiechem Petroniusz. Wszystko odbywało się nadzwyczaj kulturalnie... i niewiele dało.

Centuriona bawiły te uniki, ale tak naprawdę nie chciał utrudniać nam pracy.

- Pieniądze, które teraz usiłujemy odzyskać, zarobiliśmy na poprzedniej ryzykownej inwestycji. Podwoilibyśmy je za pomocą kolejnej transakcji, jaką Festus miał nadzieję przeprowadzić. Przybyłem do Rzymu, żeby sprawdzić, jak wyglądała ta druga transakcja. Jeśli Festus ją przeprowadził, osiągnęliśmy zysk. Jeśli nie, wychodziliśmy na zero. W takim wypadku należało, jak to robią hazardziści, wzruszyć ramionami i zacząć od nowa.

Poczułem, że muszę się wtrącić.

- Brzmi to w twoich ustach sympatycznie i filozoficznie! - zauważyłem. - Skoro takie było wasze podejście, to czemu Cenzoryn był tak bardzo zdesperowany, kiedy zwrócił się do mnie?

- Dla niego rzecz wyglądała inaczej - odparł Laurencjusz.

- Dlaczego? - spytałem.

Centurion robił wrażenie zażenowanego.

- Kiedy dołączył do naszej spółki - wyjaśnił - był tylko optio... nie był jednym z nas.

Martyn, nie rozumiejąc, o czym mowa, zaczął robić miny do Petroniusza. W przeciwieństwie do nas, nigdy nie służył w wojsku. Petroniusz wyjaśnił mu spokojnie:

- Optio to żołnierz, któremu należy się awans na centuriona, ale czeka na wolne stanowisko. A to może trwać bardzo długo. Spędza ten czas, zastępując dowódcę centurii... mniej więcej tak ja ty teraz. - W głosie Petroniusza dało się słyszeć pewne napięcie. Wiedziałem, że Martyn już od dawna dybie na jego

stanowisko... choć mój przyjaciel nie uważał go za dowódcę na tyle dobrego, by na to zasługiwał.

- Już lepiej wyjawię całą historię - oświadczył Laurencjusz. Jeśli zauważył osobiste spięcie, to było ono takiego rodzaju, które sam dobrze rozumiał.

- Wyjaśnienie byłoby mile widziane - zgodziłem się łagodnie.

- Grupa przyjaciół - zaczął Laurencjusz - znalazła fundusze do zainwestowania... nieważne jak...

Powstrzymałem się przed spojrzeniem znacząco na Petroniusza; było to na pewno odniesienie do sięgnięcia po pieniądze z legionowej kasy.

- Nie zapisuj tego - rzucił Petroniusz do protokolanta, który z zakłopotaniem uniósł rylce.

- Zainwestowaliśmy je z powodzeniem...

- Mam nadzieję, że zwróciliście środki pieniężne tam, skąd pochodziły? - powiedziałem, celowo dając mu do zrozumienia, że wiem, skąd wzięli pieniądze.

Laurencjusz uśmiechnął się skromnie.

- Spokojnie. Tak właśnie zrobiliśmy. A przy okazji, Cenzoryn nie był wówczas członkiem naszej grupy. Ten pierwszy pomysł przyniósł ćwierć miliona zysku, do podziału na nas dziesięciu. Byliśmy bardzo zadowoleni, a Festus w naszych oczach urósł do rangi bohatera. Na pustyni nie było jak wydać takich pieniędzy, więc wsadziliśmy je w kolejną inwestycję, wiedząc, że jeśli nam nie wyjdzie, to możemy tylko podziękować Parkom za mściwość, bo w sumie i tak nic nie stracimy, natomiast gdyby tę sprzedaż udało się przeprowadzić, wszyscy moglibyśmy przejść w stan spoczynku.

- Wtedy Cenzoryn do was dołączył?

- Tak. Nie rozmawialiśmy wcześniej o naszych sukcesach, ale kiedy ludziom przytrafi się nieoczekiwany przyływ gotówki, inni zawsze coś zauważą. Cenzoryn był już wtedy brany pod uwagę jako kandydat do awansu. Czekaając na swoje nowe stanowisko, zachowywał się przyjaźnie wobec naszej grupy. Skądś musiał się dowiedzieć, że zamierzamy dokonać zyskowej inwestycji. Zgłosił się do nas z prośbą o dopuszczenie go do tego przedsięwzięcia.

Petroniusz okazał zainteresowanie.

- Wy ryzykowaliście tylko wasz zysk... on natomiast musiał wykorzystać w tym celu swoje oszczędności?

- Zapewne - powiedział Laurencjusz, wzruszając ramionami. Znowu wyglądał na zakłopotanego. - To oczywiste, że musiał włożyć do puli tyle samo co my - dodał. Skoro ich pula oparta była na nielegalnej pożyczce, było to z ich strony bardzo krzywdzące. Udało im się przeprowadzić przekręt... i natychmiast zapomnieli o uśmiechu losu, który im na to pozwolił. - Mówiąc szczerze - ciągnął - teraz dopiero uświadamiam sobie, że zainwestowałem wszystko, co miał, i jeszcze trochę dopożyczył, ale wtedy reszty z nas nie

obchodziło, jak zdobywał swoje fundusze - mówił. Petroniusz i ja byliśmy w stanie wyobrazić sobie, jak pewni siebie czuli się pozostali; jak niewrażliwi na sytuację nowego uczestnika. - Słuchajcie, nikt go nie zmuszał. On sam chciał wziąć w tym udział - tłumaczył się centurion.

- Kiedy jednak wasze przedsięwzięcie nie wypaliło, on otrzymał najsilniejszy cios, prawda?

- Tak. Właśnie dlatego - Laurencjusz zwrócił się do mnie - Cenzoryn zaczął zachowywać się nieco histerycznie. Moim zdaniem w ogóle był dość nerwowy... - stwierdził. Co w skrócie miało oznaczać, że sam Laurencjusz w żadnym razie by go nie awansował. - Przykro mi. Patrząc na wydarzenia z perspektywy czasu, uważam, że powinienem był się tym zająć osobiście.

- Nie zaszkodziłoby - rzuciłem.

- Czy wyjaśnił, o co chodzi?

- Niezupełnie. Stosował uniki.

- Ludzie lubią być podejrzliwi - zauważył Laurencjusz.

- I dlatego wasza gromadka jest podejrzliwa wobec mnie? - zapytałem i z krzywym uśmiechem wysączyłem resztę wina.

- Festus zawsze mówił, że ma bystrego brata - powiedział. To było dla mnie coś nowego. Ostrożnie postawiłem kubek na stole. - Wygląda na to, że nasza druga inwestycja - ciągnął cicho Laurencjusz - gdzie się zapodziała. I rzeczywiście zastanawialiśmy się, czy być może ty jej nie odnalazłeś.

- Nawet nie wiem, co to takiego - wyprowadziłem go z błędu, chociaż coś zaczęło mi świtać.

- To posąg.

- Chyba nie ten zatopiony Posejdon? - spytał Petroniusz. Martyn błyskawicznie sięgnął po rylec, ale wielka łapa mojego przyjaciela zacisnęła mu się na nadgarstku.

- Nie, nie Posejdon. - Laurencjusz bacznie mi się przyglądał.

Myślę, że wciąż się zastanawiał, czy przypadkiem nie odnalazłem tego drugiego dzieła, być może po śmierci Festusa. Tymczasem ja się zastanawiałem, czy Festus celowo się go pozbył i wykiwał swoich kolegów.

- Każdy ma swoje tajemnice - odpowiedziałem spokojnie centurionowi. - Ucieszysz się, kiedy usłyszysz, że żyję w nędzy. Obecny tu dowódca straży potwierdzi, że nie opływam w luksusy dzięki zyskom, które powinny być wasze.

- Mieszka w norze! - oświadczył z uśmiechem Petroniusz.

- Wygląda na to, że ten szczególnej wartości obiekt zaginął - powiedziałem. - Po śmierci brata przeszukałem jego rzeczy, potem zajrzałem do jego magazynu, ale waszego skarbu nie znalazłem. Mój ojciec, który był partnerem w interesach brata, nigdy nie słyszał o drugim posągu. I z tego, co wiem, nawet ten pośrednik, z którego usług Festus korzystał, nie miał pojęcia o jego

istnieniu.

- Festus uważał go za idiotę - oświadczył Laurencjusz.

Miło było mi to usłyszeć. Sam też tak uważałem.

- Więc skąd pochodził ten posąg? - spytałem.

- Z tej samej wyspy co tamten. Kiedy Festus udał się do Grecji, żeby sprawdzić Posejdona, odkrył, że w rzeczywistości świątynia ma dwa posągi, które może ewentualnie sprzedać - wyjaśnił centurion. Wyobraziłem sobie, jak mój braciszek wymyka się Orontesowi i sam rozmawia z kapłanami. Festus nigdy do końca nie ufał pośrednikom. Jego własny ujmujący sposób bycia mógł mu pomóc w uzyskaniu dodatkowej informacji, której sprzedający nie wyjawili Orontesowi, bo temu rzeźbiarzowi, o czym sam się przekonałem, brakowało uroku mojego brata. - Na początku mieliśmy jedynie dość gotówki, by kupić Posejdona. Musieliśmy go więc odsprzedać...

- Karusowi i Serwii?

- Tak, właśnie tym ludziom. Suma, jaką od nich dostaliśmy, pokryła nasze pierwotne udziały i pozwoliła twojemu bratu wrócić do Grecji z naszym zyskiem...

- Ale bez Orontesa?

- Bez Orontesa - potwierdził.

- I dokonał zakupu?

Laurencjusz uśmiechnął się z rezygnacją.

- Tym razem kupił posąg Zeusa - odparł.

58

Później, jeszcze tego samego dnia, mój ojciec, pierwszy raz w życiu, kazał się zanieść w lektyce na Dziedziniec Fontanny. Kiedy tam przybył, owinięta kocem Helena zagłębiała się w lekturze, a ja czyściłem kubek omułek. Spodziewał się, że moja pani zniknie, a my będziemy cieszyć się męską rozmową, jak to bywa w normalnych domach, ale ona pomachała mu tylko wdzięcznie ręką i nie ruszyła się z miejsca. Był pewien, że wsunę wstydliwie kubek pod stół, tymczasem ja wcale nie przerywałem pracy.

- O bogowie! Ależ te schody mnie zmordowały... Zagnała cię do roboty, co?

- Tak właśnie sobie żyjemy. Nikt cię nie prosił, żebyś przychodził tu ze swoją krytyką.

- Marek kucharzy - wtrąciła Helena. - Lubi mieć poczucie, że nadzoruje moją domową edukację. Ale mnie wolno będzie przygotować gorący miód, jeśli masz ochotę.

- A macie wino?

- Jedynie dla tych, którzy zostają na kolację - warknąłem. Ojciec był niepoprawny. - Bo już nam prawie całe wyszło. - Nie mogę poić przypadkowych pijaczków; potrzebne mi jest do sosu.

- Nie mogę zostać. Oczekują mnie w domu. A z ciebie to gospodarz o twardym sercu.

- Napij się miodu. Helena podaje go z cynamonem. Będziesz miał słodki oddech, dobry nastrój, a na dodatek napój ten ulży twoim starym płucom po tej wspinaczce.

- Żyjesz tu z jakimś przeklętym aptekarzem, dziewczyno! - rzucił zrzędlawie do Heleny.

- No właśnie, czyż nie jest cudowny? Prawdziwa encyklopedia w ludzkim ciele - odparła ze złośliwym brakiem szczerości. - Zamierzam wynająć go Marponiuszowi... - Uśmiechnęła się i przygotowała nam wszystkim coś porządnego do picia.

Ojciec rozejrzał się powoli po pokoju, wydedukował, że za zasłoną musi znajdować się jeszcze jeden, równie okropny, uznał balkon za zapowiedź nieuchronnego nieszczęścia, w wyniku którego znajdziemy się na tamtym świecie, i pokręcił nosem na nasze meble. A ja przecież zdążyłem nabyć sosnowy stół. Podobało nam się, że ma wszystkie cztery nogi i bardzo niewiele korników, ale według niego był brzydki i godny pożałowania. Poza tym stołem mieliśmy nędzny stołek, na którym siedziałem, krzesło, które Helena ustąpiła gościowi, jeszcze jedno, które przyniosła dla siebie z sypialni, trzy kubki, dwie miski, jeden rondel, kilka tanich lampek i zbiór zwojów z greckimi sztukami i łacińską poezją.

Rozglądał się za jakimiś ozdobami; uświadomiłem sobie, że żadnych nie mamy. Może następnym razem, kiedy będzie opróżniał czyjś dom, przyśle nam pełną ich skrzynię.

- Na Olimp! I to już wszystko? - zapytał w końcu.

- No cóż, w pokoju obok jest łóżko z ząbkowanym wezgłowiec, które mi kiedyś sprzedałeś, i całkiem ładny trójnóg o regulowanej wysokości, który znalazł się tu dzięki Helenie. Oczywiście nasza letnia willa w Bajach olśniewa przepychem. Trzymamy tam kolekcję szkła oraz pawie... Więc co sądzisz?

- Jest gorzej, niż się spodziewałem! Podziwiam twoją odwagę - powiedział do Heleny, najwyraźniej poruszony.

- A ja podziwiam twojego syna - odparła spokojnie.

Tata wciąż wyglądał na urażonego. Moje okropne lokum odebrał jako osobisty afront.

- Przecież tu jest strasznie! Nie możesz go zmusić, żeby coś zrobił?

- Stara się - odpowiedziała krótko i zwięźle Helena.

Wyszedłem i wysiusiałem się z balkonu, żeby nie musieć wyrażać własnej opinii. Z ulicy dobiegł wściekły wrzask, co podniosło mnie nieco na duchu.

Kiedy wróciłem, powiedziałem ojcu wszystko, czego dowiedziałem się od centuriona o posagu Zeusa.

- Przynajmniej zapanował w tym jakiś porządek - oświadczyłem. - Najpierw mieliśmy jeden posąg i jeden statek... teraz natomiast są dwa statki i dwa posągi.

- Pełnej symetrii jednak tu nie ma - zauważyła Helena. - Jeden z posągów zginął razem z którymś ze statków, ale Zeus znalazł się na lądzie razem z Festusem i prawdopodobnie wciąż gdzieś tkwi.

- To dobrze - powiedziałem. - Co prawda gdzieś się zawieruszył, ale możemy go odnaleźć.

- Spróbujesz?

- Oczywiście.

- Na razie szczęście ci nie dopisało - zauważył ponuro ojciec.

- Bo na razie nie szukałem. Znajdę tego Zeusa... a wtedy to nawet po spłaceniu tej spółki centurionów będziemy mieli szansę się wzbogacić. Poza uzgodnionym dla mojego brata udziałem w zyskach mamy jeszcze te cztery bloki oryginalnego paryjskiego marmuru. Możemy zrobić to, co planował Festus, i kazać wykonać cztery kopie.

- Och, przecież nie sprzedawałbyś podróbek jako oryginały, Marku! - Helena była wstrząśnięta. (Przynajmniej zakładam, że była).

Tata przyglądał mi się z zagadkowym wyrazem twarzy i czekał, co jej powiem.

- Nigdy mi to do głowy nie przyszło - zachnąłem się. - Dobre kopie też uzyskują wysoką cenę. - Zabrzmiało to prawie szczerze.

- A kto by je wykonał? - spytała Helena z uśmiechem.

- Orontes... któż by inny? W tamtej pracowni obijaliśmy się o różne rzeźby, które wyszły spod jego dłuta; ma niewątpliwy dryg do replik, jestem przekonany, że wyłącznie czegoś takiego chciał od tego drania Festus, kiedy tamtej nocy tak gorączkowo go szukał. Przerażony Orontes obawiał się, że dąży do konfrontacji, gdy tymczasem mój zdenerwowany braciszek nie miał najmniejszego pojęcia o przekręcie Karusa i chciał jedynie zaproponować rzeźbiarzowi pracę. Festus otrzymał już wtedy rozkaz powrotu do Judei. To była ostatnia szansa dokończenia interesu.

- Czy Orontes jest rzeczywiście dobry? - spytała Helena.

Popatrzyliśmy z tatą po sobie, pamiętając o tym, co widzieliśmy w Kapui.

- Owszem, jest dobry.

- A po tym numerze, jaki wyciął Festusowi, jest nam winien wykonanie jednego czy dwóch zamówień gratis.

- Czyli Festus - drażzyła Helena - chciał mu tylko powiedzieć: Chodź obejrzyć Zeusa dłuta Fidiasza, którego właśnie przywiozłem, żeby zrobić mi jeszcze cztery dokładnie takie same... - Podskoczyła na krześle. - Z czego wynika, mój Marku, że oryginał musiał znajdować się tam, gdzie można go było obejrzyć! W takim miejscu, gdzie Festus mógł go pokazać rzeźbiarzowi jeszcze tamtej

nocy... gdzieś tutaj w Rzymie!

Na pewno miała rację. Był tutaj. Wart pół miliona, a mnie, jako spadkobiercy brata i wykonawcy jego ostatniej woli, należała się część tych pieniędzy. Był tutaj i ja go znajdę, nawet gdyby miało mi to zająć dwadzieścia lat.

- Jeśli zdołasz go odnaleźć - oświadczyła spokojnie Helena - to mam pomysł, w jaki sposób wy dwaj możecie się odegrać na Kasjuszu Karusie i Ummidii Serwii.

Ojciec przysunął się bliżej ze swoim krzesłem, a ja ze stołkiem, i wpatrzyliśmy się w nią niczym gorliwi akolici w sanktuarium.

- Mów, skarbie! - zachęcałem ją.

- Żeby mój pomysł zadziałał, musicie udawać, że wierzycie, jakoby rzeczywiście stracili na tym Posejdonie pieniądze. Co oznacza, że musicie zebrać pół miliona sestercji i je im dać...

- Musimy? - jęknęliśmy obaj.

- Tak. Trzeba ich przekonać, że was pokonali. Uśpić ich czujność, żeby poczuli się pewnie. Potem, kiedy będą już zadowoleni, że was oszukali, możemy spowodować, że przeliczą się z siłami i dadzą nabrać na moją propozycję...

I właśnie wtedy Helena, mój ojciec i ja usadowieni wokół okrągłego stołu wymyśliliśmy intrygę, która miała nam umożliwić zemstę. Ojciec i ja zaproponowaliśmy co prawda kilka udoskonaleń, jednakże podstawowy plan należał do Heleny.

- Czyż nie jest świetna? - zapytałem, przytulając ją ochoczo.

- Jest piękna - zgodził się tata. - Jeśli to przeprowadzimy, to może postarasz się zapewnić jej godziwe warunki mieszkaniowe.

- Najpierw musimy odnaleźć brakujący posąg.

Byliśmy bliżej, niż sądziliśmy, choć musiała się wydarzyć tragedia, by nas wystarczająco przybliżyć.

To było udane popołudnie. Panowała przyjemna atmosfera. Snuliśmy razem intrygę, śmialiśmy się, gratulowaliśmy sobie pomysowości i przebiegłości w odwracaniu sytuacji na własną korzyść. Piliśmy wino i wznosiliśmy na zmianę toasty za nasze zdrowie i za umożliwiającą słodką zemstę intrygę. Jedliśmy zimowe gruszki i śmieszyło nas, kiedy sok spływał nam po brodach i nadgarstkach. Kiedy Helena wzięła owoc z brązową plamą, ojciec sięgnął po kuchenny nóż. Obserwując, jak trzyma gruszkę w jednej silnej dłoni, a drugą odcina nadpsutą część, zatrzymując ostrze tuż przy samym kciuku, przeniosłem się wspomnieniem ćwierć wieku wstecz, do innego stołu, przy którym siedziała gromadka dzieci domagających się, by ojciec obierał im owoce.

Wciąż nie wiedziałem, co takiego zrobiliśmy, że odeгнаło go to od nas. I

nigdy się nie dowiem. Nie chciał tego wyjaśnić. Dla mnie to właśnie było w tym wszystkim najgorsze, ale może on po prostu nie mógł tego zrobić.

Helena dotknęła mojego policzka; oczy miała spokojne i rozumiejące. Tata pokroił gruszkę na kawałki i włożył jeden Helenie do ust, jakby była małą dziewczynką.

- Sprawnie posługuje się nożem! - wykrzyknąłem. Potem pośmialiśmy się jeszcze trochę, kiedy ojciec opowiadał, jak to obaj poszaleliśmy z malarzami, odgrywając groźnych Dydiuszów.

To było dobre popołudnie. Okazuje się jednak, że nigdy nie należy się odprężyć. Śmiech stanowi pierwszy krok na drodze do zdrady. Kiedy ojciec poszedł, wróciła normalność. Życie przypomniało o sobie swoimi ponurymi przesłaniami.

Zapalałem lampkę. Chciałem przyciąć knot. Nie myślałem o niczym szczególnym, kiedy usiłowałem odnaleźć nóż, którego normalnie w podobnej sytuacji używałem. Nie było go. Tata musiał go zabrać ze sobą.

Wtedy przypomniałem sobie nóż, którym zabito Cenzoryna. Nagle zrozumiałem, w jaki sposób nóż matki znalazł się w gospodzie. Wiedziałem już, jak moja tak zawsze ostrożna matka mogła stracić jeden ze swoich sztucców. Dlaczego, kiedy Petroniusz pytał ją o niego, była tak mało precyzyjna... i dlaczego, kiedy Helena próbowała wypytać członków mojej rodziny, mama udawała brak zainteresowania. Wielokrotnie byłem świadkiem, że w tej sprawie wypowiadała się niejasno lub wcale. Mama dokładnie wiedziała, gdzie dwadzieścia lat temu powędrował ten „zgubiony” nóż. Jego odkrycie musiało postawić ją przed strasznym dylematem... chciała mnie chronić, a zarazem wiedziała, że prawda nie oszczędzi naszej rodziny. Musiała włożyć ten nóż do kosza z drugim śniadaniem ojca tamtego dnia, którego na zawsze opuścił dom. Mógł też po prostu użyć go kiedyś do czegoś i zabrać ze sobą, tak jak dzisiaj zabrał mój.

Ojciec był kiedyś w posiadaniu narzędzia zbrodni.

Co oznaczało, że głównym podejrzanym o zabicie Cenzoryna jest obecnie Dydiusz Geminus.

59

To była szalona myśl. Takie teorie uderzają człowieka swoją oczywistością, kiedy tylko przyjdą do głowy. Tego nie mogłem powiedzieć Helenie. Nie chcąc, by wyczytała coś z mojej twarzy, stanąłem na progu balkonu. Jeszcze chwilę wcześniej siedział tu i żartował z nami, w większej zażyłości niż kiedykolwiek wcześniej ze mną. Teraz wszystko wyglądało inaczej. Teraz wiedziałem więcej.

Dawno temu mógł zgubić ten nóż, czy nawet go wyrzucić. Nie wierzyłem jednak, by tak było. Ojciec był znany z kolekcjonowania sztucców. Kiedy mieszkał z nami, zawsze w koszu z posiłkiem zabierał do pracy nóż;

przeważnie był to zwyczajny nóż do codziennego użytku. Tym irytującym nawykiem doprowadzał do niekończących się sporów w domu, co niewątpliwie ubarwiało nasze życie rodzinne. Czasami potrzebował ostrego czubka, by nakłuć jakiś podejrzenie wyglądający mebel i sprawdzić, czy nie ma korników. Czasami musiał przecinać powrozy, którymi obwiązana była partia świeżego towaru. Zdarzało się, że przechodząc ulicą, brał jabłko ze straganu i po drodze kroił je na kawałki. My, dzieci, kupiliśmy mu kiedyś w prezencie na Saturnalia nóż do owoców; powiesił go na ścianie swojego biura i dalej grał na nerwach matce, podbierając jej potrzebne na wypad za miasto sztucce.

Wciąż tak na pewno postępował. Gotów byłbym się założyć, że doprowadza rudowłosą do szału tą samą celową gierką. I może tego dnia, kiedy zginął Cenzoryn, miał w swojej torbie tamten stary nóż.

Zatem możliwe, że to mój ojciec zabił żołnierza. Tylko dlaczego? Nietrudno zgadnąć: znowu chodziło o Festusa. Słusznie czy nie, Geminus na pewno próbował chronić ukochanego synka.

Wciąż jeszcze stałem pogrążony w niewesołych myślach, kiedy zjawił się kolejny gość. Było to tak krótko po odejściu ojca, który zajmował wszystkie moje myśli, że kiedy usłyszałem kroki na schodach, w pierwszej chwili pomyślałem, że wraca po zapomniany płaszcz czy kapelusz.

Były to kroki starego człowieka, ale zdecydowanie lżejszego i węższej budowy od mojego zwalistego taty. Stwierdziłem to ku własnej uldze chwilę wcześniej, zanim pojawił się w mieszkaniu. Zaskoczony przez dłuższą chwilę nie rozpoznawałem zmartwionego głosu. Kiedy wszedłem do pokoju, zobaczyłem Helenę zatroskaną stanem gościa. Znieruchomiała na widok mojej zmarszczonej miny. Lampka, którą miałem doprowadzić do porządku, buchnęła szalonym płomieniem; Helena podeszła bliżej i ją zdmuchnęła.

- Och, to Apoloniusz! Heleno Justyno, to mój dawny nauczyciel, o którym ci wspominałem. Wyglądasz okropnie, Apoloniuszu. Czy coś się stało?

- Nie jestem pewien - wystękał. To nie było dobre miejsce dla starszych ludzi. Najpierw pojawił się ojciec, poblądły i rozkaślany. Teraz te sześć pięter o mało nie wykończyło Apoloniusza. - Czy możesz przyjść, Marku Dydiuszu?

- Odpocznij! Dokąd mam przyjść? - spytałem.

- Do gospody U Flory. Coś się tam musiało stać, jestem tego pewien. Wysłałem wiadomość do Petroniusza Longusa, ale się nie pojawił, więc pomyślałem, że ty mi coś poradzisz. Znasz się na sytuacjach kryzysowych...

O tak, znałem je dobrze! Tkwiłem w nich po uszy.

Helena już zdążyła przynieść mi płaszcz z sypialni. Stała, trzymając go w rękach i milcząco wpatrywała się we mnie.

- Spokojnie, stary przyjacielu. - Poczułem dziwną bliskość i czułą solidarność z ludźmi, którzy tak jak ja znaleźli się w opałach. - Powiedz, co cię tak

zaniepokoiło.

- Od południa gospoda jest zamknięta... - zaczął. Nigdy nie zamykali po południu. Dopóki istniała szansa, że wyciągną od kogoś miedziaka za faszerowane liście winogron, trzymali drzwi otwarte. - Nie widać tam śladu życia - ciągnął. - Kot nie może się dostać do środka, i strasznie się wydziera. Ludzie się dobijają i nic. - Sam Apoloniusz nie miał pewnie dokąd pójść. Jeśli zastał gospodę nieoczekiwanie zamkniętą, siadał przed nią na swojej beczce w nadziei, że ją wkrótce otworzą. - Och, chodź, jeśli możesz, Marku. Mam przeczucie, że stało się coś okropnego!

Pocałowałem Helenę, złapałem płaszcz i poszedłem ze starcem. Ten szedł bardzo wolno, więc kiedy Helena doszła do wniosku, że jednak chce wiedzieć, co się dzieje, dogoniła nas bez trudu.

Zobaczyliśmy, jak Petroniusz wchodzi do baru tuż przed nami. Byłem z tego zadowolony, choć i tak wszedłbym tam sam. Apoloniusz nie wyczuwał takich subtelności. Wciąż byłem przecież podejrzany w sprawie śmierci Cenzoryna. Jeśli wydarzyło się coś nowego na miejscu morderstwa, lepiej było mieć towarzystwo osób oficjalnych.

Gospoda była rzeczywiście zamknięta na głucho. Oba wejścia osłonięto solidnymi drewnianymi pokrywami, zaryglowanymi od środka. Tak to wyglądało tylko w samym środku nocy. Stanąwszy z Petroniuszem na ulicy, rzucaliśmy kamyczkami w dwa okna na piętrze, ale nikt nie zareagował.

Kudłacz rozpaczliwie obgryzał futrynę. Podbiegł do nas z nadzieją, że damy mu jakąś kolację. Kot w gospodzie rzadko bywa głodny, dlatego ten był jawnie oburzony. Petroniusz wziął go na ręce i głaszcząc, spoglądał z namysłem na zamknięty budynek.

Po drugiej stronie ulicy, u Waleriana, było więcej klientów niż zazwyczaj. Ludzie, z których część chętnie posiedziałyby parę godzin tutaj, obserwowali nas, z zapałem komentując nietypową sytuację.

Kazaliśmy Apoloniuszowi poczekać na zewnątrz. Przysiadł na beczce; Helena została z nim. Petroniusz wręczył jej kota, ale bardzo szybko postawiła go na ziemi. Mogła się zakochać w detektywie, ale pewne zasady miała.

Poszliśmy z Petroniuszem na tyły gospody. Jak zwykle śmierdziało tam walającymi się kuchennymi odpadkami. Tylne wyjście, sklecone z listew stajenne drzwi, zamknięto od wewnątrz... to się nigdy nie zdarzało. Nie były zbyt solidne i słabszy dół ustąpił, kiedy Petroniusz mocniej je pchnął. Wsunął rękę do środka i grzebał przy ryglach górnej połowy, po chwili jednak dał spokój i zgiąwszy się wpół, przeszedł dołem. Podążyłem za nim. Wynurzyliśmy się w kuchennej części. Wszędzie panowała całkowita cisza.

Staliśmy nieruchomo, usiłując przyzwycząić wzrok do ciemności. Zналиśmy tę ciszę. Wiedzieliśmy, czego szukamy. Petroniusz zawsze nosił przy sobie

pudełeczko z przyborami do rozpalania ognia; po kilku próbach udało mu się skrzesać kilka iskier, potem znalazł lampkę i zapalił knot.

Kiedy podniósł ją do góry, stał akurat przede mną i zasłaniał mi widok. Cień jego wielkiej głowy i uniesionego ramienia wyrósł nagle u mojego boku, drgając niepokojąco na ścianie gospody.

- Psiakrew, nie żyje! - zawołał.

Założyłem, że mamy do czynienia z kolejnym morderstwem. Natychmiast przemknęła mi przez głowę ponura myśl: Geminus zabił kelnera tuż przed tym, zanim pojawił się przy Dziedzińcu Fontanny, taki nami przejęty, taki roześmiany i dowcipny...

Bardzo się myliłem. Ledwie zdążyłem poczuć wściekłość, kiedy Petroniusz odsunął się na bok. Zauważyłem kolejny cień. W słabym świetle pojedynczej lampki, podłużna, ciemna sylwetka obróciła się lekko pod wpływem powiewu powietrza. Obok schodów wisiał Epimandos.

60

Petroniusz miał dłuższe ręce. Odciął ciało; nawet nie potrzebował do tego stołka, którego użył Epimandos. Przybyliśmy o wiele za późno i ciało zdążyło ostygnąć. Wnieśliśmy kelnera do pogrążonej w głębokiej ciemności głównej izby i ułożyliśmy na ladzie. Przyniosłem z jego łóżka cienki koc i przykryłem nim ciało. Petroniusz odryglował i uchylił pokrywę frontowego wejścia.

- Miałeś rację, coś się stało, Apoloniuszu. Epimandos się powiesił. Możesz spojrzeć. Jest zakryty.

Stary nauczyciel wszedł do knajpy, nie okazując wzburzenia. Popatrzył na okryte zwłoki ze współczuciem. Pokręcił głową.

- Wiedziałem, że coś takiego się zbliża - oświadczył. - To była tylko kwestia czasu.

- Muszę z tobą porozmawiać - powiedział Petroniusz. - Ale najpierw musimy się wszyscy napić...

Rozejrzeliśmy się wokół i daliśmy spokój. Korzystanie z tutejszego wina wydało nam się czymś nietaktownym. Przeszliśmy więc do Waleriana. Petroniusz kazał klientom się ulotnić, przenieśli się więc przed gospodę naprzeciwko i ustawili w małych grupkach. Pogłoski bardzo szybko obieły okolicę. Zebrał się tłum, choć nie było nic do oglądania. Drzwi zamknęliśmy za sobą na klucz. Petroniusz, który miał słabość do zwierząt, zabrał nawet ze sobą markotnego kota.

U Waleriana panowała spokojna atmosfera i podawano niezłe wino. Kelner pozwolił Petroniuszowi nakarmić Kudłacza, co było rozsądne, ponieważ mój przyjaciel szukał pretekstu do awantury, żeby sobie trochę ulżyć. Śmierć, która nie nastąpiła z przyczyn naturalnych, zawsze wytrącała go z równowagi.

- Mamy tu do czynienia z tragedią. Co możesz mi na ten temat powiedzieć? -

zapytał nauczyciela znużonym głosem. Głaskał kota, a głos miał taki, jakby wciąż szukał zwady.

Apoloniusz zbladł.

- Troszkę wiem o tym człowieku - zaczął. - Często bywam w tej gospodzie... Zrobił krótką, taktowną przerwę. - Miał na imię Epimandos; był tam kelnerem jakieś pięć czy sześć lat. Twój brat - powiedział, zwracając się do mnie - załatwił mu tę pracę.

- Nie wiedziałem o tym - odparłem, wzruszając ramionami.

- Była w tym pewna tajemnica - odezwał się Apoloniusz.

- Jaka tajemnica? - rzucił ostro Petroniusz. Stary nauczyciel wyglądał na spłoszonego. - Możesz mówić swobodnie. Czy był zbiegiem?

- Tak, chyba był niewolnikiem - przyznał starzec.

- Skąd pochodził?

- Myślę, że z Egiptu.

- Z E g i p t u ? - zdumiał się Petroniusz.

Apoloniusz westchnął.

- Powiedziano mi to w zaufaniu, ale przypuszczam, że skoro ten człowiek nie żyje...

- Mów wszystko, co wiesz! To rozkaz. Śledztwo dotyczy morderstwa.

- Co takiego? Myślałem, że kelner popełnił samobójstwo?

- Nie mówię o nim.

Gniewny ton głosu mojego przyjaciela powodował, że Apoloniusz zamykał się w sobie. Dopiero Helena dodała mu odwagi.

- Proszę, powiedz nam - powiedziała łagodnie. - Jak to możliwe, że niewolnik z Egiptu dokonał żywota w tutejszej gospodzie?

Przynajmniej raz mój okropny nauczyciel zdołał wypowiedzieć się zwięźle.

- Miał bardzo podłego pana. Z tego, co wiem, znanego z okrucieństwa. Kiedy Epimandos zbiegł, odnalazł go Dydiusz Festus. Pomógł mu przyjechać do Italii i znaleźć pracę. Dlatego właśnie, Marku, Epimandos darzył szczególnym szacunkiem ciebie i pozostałych członków twojej rodziny.

- A wiesz, dlaczego popełnił dzisiaj samobójstwo? - zapytałem.

- Chyba tak - odpowiedział powoli Apoloniusz. - Jego okrutny właściciel był medykiem w legionie twojego brata.

- To się działo, kiedy Festus i Piętnasty stacjonowali w Aleksandrii?

- Tak. Epimandos pracował w szpitalu polowym, więc wszyscy go znali. Kiedy uciekł i znalazł się w Rzymie, przerażeniem napawała go myśl, że pewnego dnia ktoś wejdzie do baru, rozpozna go i odeśle z powrotem do tamtego nieszczęsnego życia. Wiem, że całkiem niedawno wydawało mu się, że go rozpoznao... sam mi to powiedział jednego wieczoru. Z rozpaczy spił się na umór.

- Czy chodziło o Cenzoryna?

- Nie powiedział konkretnie - odpowiedział ostrożnie Apoloniusz.

Przez cały czas Petroniusz, patrząc spode łba, przysłuchiwał się jego słowom.

- Dlaczego wcześniej o tym nie wspomniałeś? - zapytał starca.

- Nikt mnie nie pytał.

No cóż, był tylko żebrakiem.

Petroniusz przyglądał mu się badawczo, a do mnie wymamrotał:

- Cenzoryn nie był jedynym, który zauważył kelnera. Epimandos zapewne się zabił, bo sądził, że został rozpoznany przez Laurencjusza. To było dzisiaj, kiedy sami zaprosiliśmy centuriona do gospody

Przypomniałem sobie, jak kelner zniknął sprzed naszych oczu, kiedy Laurencjusz spojrział w jego kierunku. Byłem wstrząśnięty.

- Jesteś tego pewny? - spytałem.

- Niestety tak. Kiedy stamtąd wyszliśmy, Laurencjusz zastanawiał się, dlaczego kelner wydaje mu się znajomy. Wreszcie przypomniał sobie, gdzie wcześniej widział Epimandosa, potem powiązał to ze śmiercią Cenzoryna. Od razu przyszedł do mnie. Dlatego się nie zjawiłem natychmiast po otrzymaniu wiadomości od Apoloniusza.

Byłem strapiiony, zanim usłyszałem te smutne wieści. Ale teraz wyglądało na to, że kilka moich problemów zostało rozwiązanych. Przede wszystkim fakty ukazywały mojego brata Festusa w znacznie lepszym świetle (jeśli się pochwała pomaganiem zbiegłym niewolnikom). Oznaczały również, że mogłem przestać podejrzewać Geminusa. Dopiero przed chwilą zrozumiałem, jak niesprawiedliwie obciążyłem ojca; musiałem wyglądać okropnie. Jeszcze nie przywykłem do ulgi, jaką poczułem.

Uświadomiłem sobie, że Helena Justyna z całych sił ścisła mi rękę. Wiedziała, że przyszedł czas na wyciągnięcie mnie z tarapatów.

- Petroniuszu, czy chcesz przez to powiedzieć, że kelner zabił żołnierza?

- Tak uważam - odparł Petroniusz, skinąwszy głową. - Jesteś wolny od podejrzeń, Falko. Powiem Marponiuszowi, że już nie szukam podejrzanego w sprawie Cenzoryna.

Nikt nie poczuł satysfakcji.

Helena koniecznie musiała mieć w tej sprawie pewność.

- Więc co się wydarzyło tamtej nocy, kiedy zginął? Cenzoryn musiał rozpoznać kelnera, prawdopodobnie podczas kłótni z Markiem. Możliwe, że później stanął twarzą w twarz z Epimandosem. Kiedy biedak uświadomił sobie, co to dla niego oznacza, ogarnęła go rozpacz. Jeśli Cenzoryn chciał mu dokuczyć, to mógł grozić, że odda go jego panu, a wtedy...

Słowa uwięzły jej w gardle i Petroniusz dokończył za nią.

- Epimandos zaniósł mu wino. Cenzoryn najwyraźniej w ogóle nie zdawał sobie sprawy z niebezpieczeństwa, w jakim się znalazł. Nigdy się już nie

dowiemy, czy rzeczywiście groził kelnerowi... a jeśli tak, czy te groźby były na serio. Jednak Epimandos był tak bardzo przerażony, że skutki tego przerażenia okazały się fatalne. Zdesperowany i najprawdopodobniej pijany zakłuł żołnierza kuchennym nożem, który chwycił po drodze na piętro. Przerazenie na samą myśl o powrocie do tamtego medyka wyjaśnia ten wściekły atak.

- Dlaczego potem nie uciekł? - spytał roztropnie Apoloniusz.

- Nie miał dokąd - odpowiedziałem. - Tym razem nie było nikogo, kto by mu pomógł. Próbowałem porozmawiać o tym ze mną. - Obwinałem się, przypomniawszy sobie żalosne próby Epimandosa, by zwrócić na siebie moją uwagę. - Zlekceważyłem go, sądząc, że jest po prostu ciekawy... jak wszyscy ci, co to szukają sensacji, kręcąc się na miejscu morderstwa. Zbyłem go tylko i jeszcze odgrażałem się zemstą temu, kto popełnił tę zbrodnię.

- Twoja osobista sytuacja była bardzo trudna - pocieszył mnie Apoloniusz.

- Nie aż tak zła jak jego. Powinienem był zauważyć, że coś jest nie w porządku. Po zabiciu centuriona ogarnęło go odrętwienie. Widywałem już wcześniej podobne przypadki. Zachowywał się, jakby nic się nie stało, starał się wymazać to wydarzenie z pamięci. Zarazem aż się prosił, żeby go zdemaskowano. Powinienem był zauważyć to jego błaganie o pomoc.

- Nie można było nic zrobić! - zauważył surowym tonem Petroniusz. - Był zbiegłym niewolnikiem i zamordował legionistę, nikt nie mógł go uratować, Marku. Gdyby dzisiaj nie skończył ze sobą, ukrzyżowano by go albo posłano na arenę. Żaden sędzia nie postąpiłby inaczej.

- Niewiele brakowało, żebym to ja wylądował na ławie oskarżonych - odparłem głucho.

- W żadnym razie! On by do tego nie dopuścił - wtrącił się Apoloniusz. - Jego lojalność wobec twojej rodziny była zbyt silna, by mógł na to pozwolić. To, co zrobił dla niego twój brat, było dla niego wszystkim. Był zrozpaczony, kiedy usłyszał, że cię aresztowano. Musiał przeżywać męki, z jednej strony mając nadzieję, że się oczyścisz, a z drugiej, że nie odkryjesz jego winy. Jednak od samego początku jego sytuacja była beznadziejna.

- To bardzo smutna postać - westchnęła Helena.

- Po cierpieniach, jakich doznał w Aleksandrii, spokojne życie tutaj było dla niego prawdziwym błogosławieństwem. Dlatego nie mógł znieść myśli o jego utracie.

- Ale żeby zabijać! - zaprotestowała Helena.

I znowu odezwał się Apoloniusz.

- Gospoda może ci się wydawać okropnym miejscem. Nikt jednak się tu nad nim nie znęcał. Miał jedzenie i picie. Praca była lekka i ludzie rozmawiali z nim jak z człowiekiem. Miał własnego kota... miał nawet mnie za progiem, jeśli chciał popatrzeć na kogoś z góry. W tym małym świecie na skrzyżowaniu dwóch ulic Epimandos miał pewien status, poczucie godności i do tego spokój -

mówił. Takie słowa z ust człowieka w zebranych łachmanach były prawdziwie poruszające.

Zapadła dłuższa chwila ciszy.

- Jaka jest twoja teoria na temat noża? - spytałem w końcu Petroniusza.

Helena Justyna rzuciła mi szybkie spojrzenie. Petroniusz odpowiedział z nieodgadniętą miną:

- Epimandos kłamał, mówiąc, że go wcześniej nie widział. Na pewno go często używał. Udało mi się prześledzić, w jaki sposób trafił do gospody - oświadczył, kompletnie mnie tym zaskakując.

- W jaki?

- Nieważne. - Robił wrażenie zażenowanego. Widział, że mam ochotę się spierać. - Mnie to wystarczy, Falko!

- Nie zgadzam się. Musimy to wyjaśnić - powiedziałem spokojnie. - Myślę, że ten nóż opuścił dom matki z moim ojcem...

Petroniusz rzucił pod nosem przekleństwo.

- No właśnie! - powiedział. - Wiem, że tak było. Nie chciałem o tym wspominać. W pewnych sprawach jesteś tak okropnie drażliwy...

- Co ty opowiadasz, stary?

- Nic. - Próbował coś ukryć; to było oczywiste i zupełnie niedorzeczne. Rozwiązaliśmy już sprawę tego morderstwa... tymczasem wyglądało na to, że pograżamy się jeszcze głębiej w tajemnice. - Posłuchaj, Falko, ten nóż stanowił część wyposażenia gospody. Był tam od czasu, kiedy otwarto ją przed dziesięciu laty. - Petroniusz sprawiał na mnie teraz wrażenie większego krętacza niż kiedykolwiek przedtem.

- Skąd to wiesz? - spytałem.

- Zapytałem właściciela.

- Florę?

- Florę - odparł Petroniusz, jakby to wszystko wyjaśniało.

- Nie myślałem, że Flora istnieje.

- Flora istnieje - powiedział Petroniusz, wstając. Zamierzał wyjść.

- W jaki sposób - spytałem z naciskiem - ta Flora została właścicielką noża, skoro miał go mój tata?

- Nie zwracaj sobie tym głowy - poradził mi mój przyjaciel. - Ja tu prowadzę śledztwo i ja wiem wszystko, co trzeba o tym nożu.

- Mam prawo wiedzieć, jak się tam dostał - upierałem się.

- Nie, jeśli mnie wyjaśnienie zadowala.

- A niech cię, Petroniuszu! O mało nie poszedłem pod sąd z powodu tego sztućca.

- Życie nie jest łatwe - odparł mi na to.

Petroniusz Longus potrafił być ostatnim draniem, jeśli przyszła mu na to ochota. Oficjalne stanowiska uderzają ludziom do głowy. Powiedziałem mu, co

o nim myślę, ale on po prostu zignorował moją wściekłość.

- Muszę już lecieć, Falkonie. Trzeba poinformować właścicielkę, że kelner nie żyje i że w gospodzie nikogo nie ma. Ten tłumek na zewnątrz tylko czeka na pretekst, żeby się wedrzeć do środka, połamać sprzęty i poczęstować się winem.

- Pójdziemy tam - oświadczyła cichym głosem Helena. - Marek powstrzyma rabusiów do czasu przybycia strażnika.

Petroniusz spojrział na mnie, oczekując potwierdzenia.

- Oczywiście - powiedziałem. - Jestem coś winien Epimandosowi.

Petroniusz wzruszył ramionami i uśmiechnął się. Nie wiedziałem dlaczego, ale byłem na niego tak zirytowany, że mało mnie to obchodziło.

61

Kazałem Helenie iść do domu. Nie posłuchała i poszła ze mną.

- Nie potrzebuję nadzoru - burknąłem.

- Nie zgadzam się! - rzuciła ostro.

Ciało kelnera leżało tam, gdzie je zostawiliśmy, w głównej części budynku, woleliśmy więc kręcić się na zapleczu. Helena wkroczyła do klitki, w której sypiał Epimandos, i usiadła na jego łóżku. Stałem w drzwiach. Widziałem, że jest wściekła.

- Dlaczego tak bardzo nienawidzisz swojego ojca, Falkonie? - spytała.

- O co ci chodzi? - odpowiedziałem pytaniem.

- Przede mną niczego nie ukryjesz. Wiem wszystko! - perorowała. - Rozumiem cię, Marku. Widzę, jakie pokrętne podejrzenia żywiłeś, jeśli chodzi o nóż twojej matki.

- Petroniusz miał rację. Darujmy sobie ten sztuciec.

- Tak, on ma rację... tyle że trzeba było wielu argumentów, żeby przekonać ciebie. Ty i twoje uporczywe uprzedzenia... jesteś beznadziejny! Naprawdę myślałam, że po Kapui i twoich spotkaniach z Geminusem w Rzymie podczas tych kilku ubiegłych tygodni osiągnęliście jakieś porozumienie. Chciałam wierzyć, że jesteście w zgodzie - oświadczyła żalosnym głosem.

- Pewne sprawy są niezmiennie - powiedziałem jej.

- Ty się nie zmieniasz! - rzuciła. Już dawno nie widziałem jej tak rozgniewanej. - Twój ojciec cię kocha, Marku!

- Uspokój się. Jestem mu niepotrzebny, tak jak i reszta z nas. Festus był jego pupilkiem, ale to już inna historia. Festus potrafił przekonać do siebie każdego.

- Bardzo się mylisz - nie zgodziła się ze mną Helena. - Po prostu jesteś ślepy, Marku. Małżeństwom zdarza się rozpaść. - Wiedziała, o czym mówi; sama była kiedyś mężatką. - Gdyby sprawy pomiędzy twoimi rodzicami ułożyły się inaczej, wpływ ojca na ciebie i na wszystkich pozostałych byłby obecnie tak samo silny jak wpływ matki. On trzyma się z dala... ale to nie oznacza, że mu to

odpowiada. Nadal martwi się wami i interesuje wszystkim, co robicie...

- Możesz w to wierzyć, jeśli masz ochotę. Ale nie wymagaj, bym się zmienił. Nauczyłem się żyć bez niego, kiedy musiałem... i teraz mi to odpowiada.

- Ależ ty jesteś uparty! Mogła to być dla ciebie szansa, by uładzić sprawy pomiędzy wami, być może jedyna szansa... Posłuchaj, czy wiesz, dlaczego dał mi w prezencie ten stolik z brązu? - natarła na mnie błagalnie.

- Bo podoba mu się twój animusz, no i jesteś śliczną dziewczyną.

- Och, Marku! Przestań być ciągle taki zgorzkniały! Zabrał mnie, żebym go obejrzała. Powiedział: „Popatrz na to. Miałem go na oku dla Marka, ale ode mnie nigdy go nie przyjmie”.

Wciąż nie widziałem powodu, dlaczego miałbym zmieniać swoje nastawienie, tylko dlatego że tych dwoje się skumplowało.

- Heleno, to urocze, jeśli udało wam się dogadać, i jestem zachwycony, że się rozumiecie... ale to sprawa pomiędzy tobą i nim. - Nie miałem nawet nic przeciwko temu, żeby Helena i tata mną manipulowali, jeśli to sprawiało im radość. - Nie chcę już o tym więcej słyszeć.

Zostawiłem ją siedzącą na łóżku kelnera, pod amuletem od Festusa. Niewiele mu pomógł.

Wyszedłem. Wciąż nie miałem ochoty zaglądać do głównej izby, wiedząc, co tam zastanę, zapaliłem więc kolejną lampkę i wspiąłem się na piętro. Zajrzałem do dwóch klitek nad kuchnią. Ich umeblowanie było wystarczające dla chudych karłów bez bagażu, gotowych siedzieć na rozklekotanym łóżku i wpatrywać się w pajęczynę. Jakaś makabryczna fascynacja ponownie zaciągnęła mnie do tamtego pokoju.

Wyszorowano go i poprzesztawiano sprzęty. Ściany dokładnie pokryto ciemnoczerwoną farbą. Teraz łóżko stało pod oknem, a nie przy drzwiach. Przykryto je innym kocem. Stolik, na którym tamtej fatalnej nocy Epimandos postawił tacę z winem, zamieniono na sosnową skrzynkę. Jedynym elementem wystroju było duże greckie naczynie ozdobione wyraźnym motywem ośmiornicy, ustawione na macie przykrywającej skrzynkę.

To naczynie stało przedtem na dole. Pamiętałem je, bo był to całkiem ładny przedmiot. Zawsze tak uważałem. Jednakże teraz, kiedy podszedłem, żeby mu się baczniej przyjrzeć, zobaczyłem, że ma z tyłu odłupany brzeg. Naprawa tego uszkodzenia byłaby droższa od samego naczynia. Właściciel mógł jedynie wcisnąć je w kąt i podziwiać ośmiornicę.

Myślałem zupełnie jak ojciec. I pewnie tak już zawsze będzie.

Leżałem skwaszony na łóżku.

Helena nie mogła dłużej znieść niezgody pomiędzy nami, wobec czego też weszła na górę. Teraz ona z kolei stanęła w drzwiach. Wyciągnąłem do niej

rękę.

- Zgoda? - spytałem.

- Jeśli chcesz. - Nie ruszyła się od drzwi. Możemy być sobie w zgodzie, ale moje nastawienie bardzo jej nie odpowiadało. Ja jednak nie zamierzałem go zmieniać; nawet dla niej.

Rozejrzała się, uświadamiając sobie, że jest to miejsce, w którym zginął tamten żołnierz. Przyglądałem się jej w milczeniu. Kobiety rzekomo nie myślą, ale moja miała tę umiejętność i potrafiła z niej korzystać, a ja lubiłem obserwować, jak ten proces przebiega. Jej wyrazista twarz podlegała drobnym niezauważalnym niemal zmianom, kiedy rozważała wszystko po kolei, starając się wyobrazić sobie ostatnie chwile życia centuriona i zrozumieć ten obłąkańczy atak kelnera. To nie było miejsce dla niej. Pomyślałem, że trzeba ją sprowadzić na dół, ale zbyt wczesna interwencja z mojej strony tylko by ją obraziła.

Obserwowałem Helenę, czekając na właściwy moment, i wtedy zaskoczyła mnie nagła myśl.

- Coś jest nie tak z tym pokojem - powiedziałem. Rozejrzałem się, zastanawiając, co wzbudziło mój niepokój. - Ma dziwne rozmiary.

Nie potrzebowałem Apoloniusza, żeby mi wyrysował geometryczny szkic. Kiedy już o tym pomyślałem, uświadomiłem sobie, że powierzchnia piętra jest o wiele mniejsza od powierzchni parteru. Zerwałem się z łóżka i wyszedłem na podest, żeby to sprawdzić. Dwa pozostałe pokoje gościnne, które były tak maleńkie, że prawie się nie liczyły, zajmowały przestrzeń nad kuchnią i kłitką kelnera. Schody zabrały kilka dodatkowych stóp. Jednak pokój, w którym zginął Cenzoryn, był o połowę mniejszy od głównej izby na dole.

Za swoimi plecami usłyszałem, jak Helena znów wchodzi do pokoju.

- Tu jest tylko jedno okno - oznajmiła. Była spostrzegawcza. Podszedłem do niej i natychmiast pojąłem, co ma na myśli. Kiedy staliśmy z Petroniuszem na ulicy, ciskając kamykami, nad naszymi głowami znajdowały się dwa prostokątne okna. Tylko jedno rozświetlało ten pokój. - Musi tu być drugi pokój, Marku... tyle że nie ma do niego drzwi.

- Zamaskowano je - doszedłem do wniosku. Potem uderzyła mnie myśl o możliwej przyczynie takiego posunięcia. - Na bogów, Heleno, ktoś mógł tam coś ukryć... na przykład jakieś inne ciało!

- Też coś! Ty zawsze musisz dramatyzować! - Helena Justyna była rozsądną młodą kobietą. Każdy detektyw powinien mieć taką za współpracowniczkę. - Dlaczego miałoby tam być jakieś ciało?

Nie chcąc narazić się na śmieszność, mówiłem dalej.

- Epimandosa przerażali ludzie wpytujący o te pokoje. - Zdałem sobie nagle sprawę z tego, że ściszę głos, jakbym się bał, że nas podsłuchają. Nie było tu nikogo... a gdyby nawet, to lata temu zamurowany. Przypomniałem sobie

rozmowę, którą wtedy musiałem niewłaściwie zrozumieć. - Tu rzeczywiście coś jest, Heleno. Kiedyś zażartowałem sobie na temat ukrytych tajemnic i Epimandos o mało nie zemdleł.

- Coś ukrytego przez niego? - zapytała.

- Nie. - Znowu ogarniało mnie dobrze znane uczucie nieuniknionego. - Przez człowieka, którego Epimandos tak szanował, że dochował tajemnicy...

- Festus! - wykrzyknęła cicho. - Festus ukrył tu coś, o czym nawet tobie nie powiedział...

- No cóż. Najwyraźniej mi nie ufał.

Nie pierwszy już raz zwalczałem ukłucie zazdrości, kiedy stwierdziłem, że nie byliśmy z Festusem tak blisko, jak to sobie wmówiłem. Może zresztą nikt go dobrze nie znał. Może nawet nasz własny ojciec znał go jedynie przelotnie. Bo nawet tata nie wiedział o tej skrytce, byłem o tym przekonany.

Ja już wiedziałem. I zamierzałem odkryć to, co zostawił tutaj mój brat.

62

Zbiegłem na dół w poszukiwaniu narzędzi. Przedtem jednak, na podeście, sprawdziłem ponownie rozkład pomieszczeń. Jeśli rzeczywiście istniał jeszcze jeden pokój, to nigdy nie było do niego dostępu z korytarza; schody znajdowały się w miejscu, w którym powinny być do niego drzwi.

Wróciłem z kuchni biegiem, niosąc tasak i młotek do mięsa. Zapewne sprawiałem wrażenie nieco szalonego rzeźnika, który wpadł w amok pod wpływem sierpniowego upału.

- Ludzie musieli wchodzić przez ten pokój... - oświadczyłem. W Rzymie było to normalne. Tysiące ludzi dostawało się do swoich sypialni, przechodząc co najmniej przez jedno pomieszczenie, a czasami przez cały ich ciąg. W naszej kulturze nieszczególnie dbano o prywatność.

Obmacując ścianę otwartą dłonią, starałem się nie pamiętać, że była spryskana krwią zamordowanego żołnierza. Wzniesiono ją z listew pokrytych tynkiem tak partacko, że mogła to być robota mojego szwagra Mikona. Może zresztą rzeczywiście tak było. Przypomniałem sobie, że Miko mówił coś o pracy, jaką załatwił mu Festus... Wątpiłem jednak, by mógł widzieć, co było w tym zlikwidowanym pokoju. Ktoś inny musiał potajemnie zamurować drzwi... prawie na pewno dobrze mi znany.

- Festus! - mruknąłem. Festus swojej ostatniej nocy w Rzymie... Festus w środku nocy wytaczający się z pralni Lenii, bo jak mówił, miał robotę do wykonania.

To do tego byłem mu potrzebny; chciał, żebym mu pomógł przy ciężkiej pracy. Teraz byłem tu bez niego i miałem zniweczyć jego wysiłek. Czułem się dziwnie i wcale nie było to miłe.

Tuż przy haku na płaszcz odkryłem zmianę w powierzchni ściany Ostukałem

ją na całej długości. I rzeczywiście, usłyszałem inny dźwięk, jakbym mijał pustą przestrzeń, szeroką na dobre pół metra. Mogło tam kiedyś być wejście.

- Co teraz zamierzasz, Marku? - spytała Helena.

- Zaryzykować - odparłem. Rozbórka, nawet częściowa, zawsze wywołuje u mnie niepokój. A ta gospoda była tak kiepsko zbudowana, że od jednego niewłaściwego ruchu mogła się zawalić. Futryny są mocne, uspokojałem się. Podskoczyłem, sprawdzając stan podłogi; wydawała się bezpieczna. Miałem tylko nadzieję, że strop pozostanie na swoim miejscu.

Wymacałem szparę, wsadziłem ostrze tasaka jak dłuto i postukałem w nie lekko młotkiem. Posypał się tynk, ale okazało się, że nie uderzyłem dość mocno. Musiałem użyć więcej siły, choć starałem się nie robić zbyt dużo bałaganu. Nie chciałem wpaść do ukrytego pomieszczenia razem z gradem gruzu. To, co znajdowało się we wnętrzu, mogło być delikatne.

Ściągnąwszy górny pas tynku, wymacałem nadproże i framugę. Wejście zamurowano wypalanymi cegłami. Wykonano to po partacku, bez wątpienia w pośpiechu. Zaprawa była słaba, łatwo się kruszyła. Wzniecając pył, zacząłem wyjmować cegły. Od góry. Najtrudniej było wydobyć pierwszą, potem wyjmowałem już jedną po drugiej. Helena pomagała układać je w stos na boku.

Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że jest tam jeszcze jeden pokój. Mimo że było tam okno, pomieszczenie było ciemne i szybko wypełniało się pyłem. Zerkałem przez dziurę, ale nic nie widziałem. Cierpliwie poszerzałem otwór, żeby był wystarczająco wysoki i szeroki.

Cofnąłem się na chwilę, dochodząc do siebie i pozwalając, by pył choć trochę opadł. Helena otoczyła ramieniem moje spocone barki, w milczeniu oczekując dalszych działań. Umorusany i podeksycytowany uśmiechnąłem się do niej.

Wziąłem do ręki lampkę. Trzymając ją przed sobą, wsunąłem do środka ramię, a potem precyzyjnie przesuwałem się cały do cichego niczym grobowiec wnętrza.

Miałem pewną nadzieję, że pomieszczenie będzie wypełnione skarbami. Tymczasem okazało się puste, jeśli nie liczyć jednego jedyne go samotnego lokatora. Kiedy przepchnąłem się przez dziurę i stanąłem wyprostowany, napotkałem spojrzenie tego mężczyzny. Stał pod ścianą dokładnie naprzeciwko mnie i patrzył mi prosto w oczy.

63

- Na Jowisza! - wykrzyknąłem.

To nie był człowiek. To był bóg. Bez wątpienia, sam pan wszystkich bogów.

Pięćset lat temu rzeźbiarz o boskim talencie tchnął życie w potężny blok marmuru, tworząc to, na co teraz patrzyłem. Ten rzeźbiarz, który miał później ozdabiać Partenon, zanim jeszcze zyskał wielką sławę, wykonał dla jakiejś niewielkiej nieznananej świątyni na wyspie posąg Zeusa, który przeszedł wszelkie oczekiwania. Pięćset lat później grupa pozbawionych wyobraźni

kapłanów sprzedała go memu bratu. Teraz stał tutaj.

Przetransportowanie go po schodach na piętro musiało być niesamowitym przedsięwzięciem. Część sprzętu, użytego przez mojego brata, leżała porzucona w kącie. Zastanawiałem się, czy pomagał mu Epimandos. Prawdopodobnie tak.

Helena weszła za mną do pokoju. Wydała stłumiony okrzyk zdumienia i chwyciła mnie za ramię, a potem już tylko stała zafascynowana.

- Niezła sztuka! - szepnąłem, małpując Geminusa.

- Hmm! - zareagowała, zdążywszy poznać już tę gadkę. - Trochę duży jak na użytek domowy, ale dostrzegam w nim możliwości...

Nagi, brodaty Zeus przyglądał nam się ze szlachetnym spokojem. We wzniesionej prawicy dzierżył grom. Ustawiony na piedestale w mrocznym wewnętrznym sanktuarium jakiejś jońskiej świątyni byłby czymś zdumiewającym. Tutaj, w ponurej ciszy opuszczonej graciarni mojego brata, przytłaczał nawet mnie. Staliśmy tam wciąż pogrążeni w podziw, kiedy usłyszałem jakieś odgłosy.

Panika i poczucie winy opanowały nas oboje. Ktoś wszedł do gospody. Usłyszeliśmy skradające się kroki, najpierw w okolicy kuchni, a potem na schodach. Ktoś zajrzał do pokoju zabitego żołnierza, zobaczył bałagan i wydał okrzyk. Z trudem oderwałem uwagę od posągu. Byliśmy w pułapce. Próbowałem wymyślić, czy lepiej będzie zgasić lampkę, czy zostawić ją, jak jest, kiedy w dziurze pojawiła się inna lampka, a za nią ramię.

To ramię wymachiwało, jak to bywa, kiedy solidny bark uwięźnie w zbyt ciasnym otworze. Ktoś rzucił przekleństwo głosem, który rozpoznałem. Po chwili do środka wpadło kilka cegieł, kiedy krzepka postać przepychała się siłą przez dziurę, a potem w kryjówce zobaczyliśmy mojego ojca.

Popatrzył na nas. Popatrzył na Zeusa.

- Widzę więc - oświadczył, jakby właśnie wyciągnął skądś torbę jabłek - że go znaleźliście!

64

Oczywiście pozerął dzieło Fidiasza.

- Co tu robisz? - spytałem go spokojnie. Ojciec wydał cichy jęk zachwyty, a potem już tylko napawał się widokiem posągu, całkowicie ignorując moje pytanie. - Wiedziałaś, że to tu jest, tato?

Przez moment Geminus mrugał niezbyt przekonująco. Jednak nie mógł wiedzieć o wiele dłużej ode mnie, bo posągu już by tutaj nie było. Musiał się zacząć domyślać dopiero wtedy, kiedy wchodził po schodach na górę. Nie bardzo chciało mi się wierzyć, że pędził jak szalony do gospody, by własnoręcznie zburzyć tę ścianę.

Obszedł Zeusa, by popodziwiać go ze wszystkich stron. Zabawiałem się,

rozmyślając, czy powiedziałałby mi o swoim odkryciu, gdyby pierwszy się tu znalazł.

Wyraz twarzy miał nieprzenikniony. Uświadomiłem sobie, że wygląda jak Festus, co oznaczało, że nie mogę mu ufać.

- Mogliśmy się domyślić, Marku - oświadczył.

- Tak. Festus ciągle się tutaj kręcił.

- Och, traktował to miejsce jak dom! - przyznał tata oschłym tonem. - Mogliśmy się domyślić - powtórzył. - A co więcej - dodał - to jeszcze nie wszystko. Twój braciszek musiał mieć kryjówki pełne skarbów wszędzie, gdzie się znalazł. Można je odnaleźć - oświadczył stanowczo.

- Albo wykończyć się poszukiwaniami! - zauważyłem. Euforia szybko człowieka opuszcza. Poczułem zmęczenie.

- Na pewno miał listę - nie dawał za wygraną ojciec, wieszając lampkę na piorunie posągu i wracając do nas.

Roześmiałem się.

- To byłoby szaleństwo. Gdybym był na jego miejscu, to wszelkie szczegóły trzymałbym ukryte bezpiecznie w głowie!

- Och, ze mną byłoby tak samo! - przyznał tata. - Ale Festus był inny.

Zobaczyłem, że Helena się uśmiecha, jakby sprawiało jej przyjemność myślenie o tym, że ojciec i ja jesteśmy do siebie podobni. Mając przed sobą wartego pół miliona sestercji Fidiasza, pozwoliłem sobie na odwzajemnienie tego uśmiechu.

Wpatrywaliśmy się w Zeusa, póki się dało. Potem, kiedy takie wystawanie w ciemnym pustym pomieszczeniu stało się zupełnie nedorzeczne, przecisnęliśmy się z powrotem do względnego luksusu umeblowanego pokoju.

Tata popatrywał na gruz, który był rezultatem zburzenia przeze mnie kawałka ściany.

- Narobiłeś tu niezłego bałaganu, Marku! - oświadczył.

- Staralem się zbytnio nie nabrudzić, ale to trudne, kiedy człowiek się spieszy i nie ma odpowiednich narzędzi... - Podczas gdy w tamtym pomieszczeniu ta dwójka wlepiła wzrok w Zeusa, ja już planowałem, co dalej. - Słuchajcie, musimy działać szybko. Trzeba jakoś zamaskować ten gruz. Najlepiej byłoby zabrać rzeźbę, zanim ktokolwiek ją zobaczy. To okropne... ale musimy ją wynieść. My wiemy, że należała do Festusa, jednak wytłumaczenie tego właścicielce gospody może nie być takie łatwe...

- Odpręż się - przerwał mi ojciec uprzejmie. - Nikt tu już dzisiaj nie przyjdzie.

- Mylisz się. Wysłuchaj mnie, dobrze? Pozostawiono mnie na straży, a w tym czasie Petroniusz ma poinformować właścicielkę, że kelner nie żyje. W każdej chwili może pojawić się ta tajemnicza Flora i na pewno nie będzie zachwycona, kiedy odkryje tę wielką dziurę w ścianie...

Coś kazało mi zamilknąć. Nikt tu już dzisiaj nie przyjdzie. Tata oświadczył to

przed chwilą obojętnym tonem. Nie trzeba mi było niczego tłumaczyć, rozumiałem.

- Dzięki za dopilnowanie wszystkiego - świergotał cierpko mój ojciec. Choć oszołomiony, wciąż próbowałem zignorować sens jego słów. Ojciec znowu zaczął unikać mojego wzroku. - Flora nie przyjdzie. Rola strażnika należy do mężczyzny, zgłosiłem się więc na ochotnika.

Jęknąłem, uzmysłowiwszy sobie, że powinienem był to rozgryźć już wiele tygodni wcześniej. Wiedziałem, dlaczego mój brat traktował to miejsce jak własne; dlaczego mógł znaleźć tu zajęcie dla zbiegów; dlaczego swobodnie korzystał z pokoi. Bo wszystko pozostawało w rodzinie.

Petroniusz miał rację. Flora istniała. I miał też rację, że wolałbym nic o tym nie wiedzieć. Gospodę U Flory ojciec zorganizował dla kobiety, z którą dzielił życie, żeby przestała się wtrącać w jego interesy. Flora była przyjaciółką taty.

65

Najbardziej bolesna była pierwsza część naszego spisku wymierzonego w Karusa i Serwię: ojciec zebrał pół miliona sestercji, wystawiając na aukcję swoje ruchomości. Licytację prowadził jego przyjaciel, resztę formalności nadzorował z biura Gornia. Ojciec w tym czasie wyjechał na kilka dni do Tibur, zapewne z rudowłosą. Ja pojechałem do Kampanii, żeby przywieźć jeden z bloków marmuru.

Gospodę zamknęliśmy pod pretekstem śmierci Epimandosa. Przyszykowaliśmy w kuchni wolne miejsce, ustawiliśmy marmurowy blok, sprowadziliśmy Orontesa z mieszkania na wzgórzu Celius, które dzielił z dwoma malarzami, i zaprzęgliśmy go do roboty.

- Podołasz? - zapytałem.

- Jeśli tylko dzięki temu uda mi się pozbyć was, dranie... Och, dam radę, tylko zostawcie mnie w spokoju, żebym mógł pracować!

Wykorzystując Zeusa jako model i mając w pamięci jego brata Posejdoną, Orontes miał odkupić zdradę wobec Festusa, wykonując dla nas nowego Fidiasza.

Kiedy to już zostało załatwione, uśpiliśmy czujność kolekcjonerów i wzmocniliśmy ich poczucie bezpieczeństwa, spłacając nasz rzekomy dług.

Do świtu było niedaleko. Otwartym wozem wjechaliśmy drogą Flamińską do Rzymu, tuż przed zamknięciem bram dla pojazdów kołowych. Nad Polem Marsowym wisiała mgła, spowijając zimowym chłodem milczące budynki publiczne. Minęliśmy zbudowane z szarego kamienia Panteon i Saepta Iulia, kierując się ku leżącym w północnej części miasta wytwornym ogrodom i rezydencjom.

O tej porze na ulicach panował już całkowity spokój. Hulaki wróciły do

domów; rabusie zajęci byli chowaniem łupów pod podłogą; prostytutki spały; strażacy chrapali. Odźwierni zapadli w sen tak głęboki, że goście mogli walić w drzwi pół godziny i mimo to nie dostać się do środka.

Byliśmy na to przygotowani. Kiedy dotarliśmy do spokojnej ulicy ekwitów, gdzie mieszkał Kasjusz Karus ze swoją panią, ustawiliśmy wóz tyłem do ich frontowej bramy. Jak na zawołanie jeden z naszych pociągowych wołów wydał z siebie głośny ryk. Ojciec wyprostował się na swoim miejscu. W świetle dymiących pochodni jego postać ledwie majaczyła, kiedy zaczął uroczyście walić w ogromny miedziany dzwon. Z dachów niczym jakaś ciemna zasłona zerwała się wielka chmura szpaków i krążyła zaniepokojona. Ja wraz z dwoma pomocnikami szedłem ulicą, tłukąc w masywne gongi.

Była to zamożna, elegancka okolica, której mieszkańcy nie lubili odrywać głów od poduszek, niezależnie od tego, do jakich ekscesów dochodziło na zewnątrz, jednak nam udało się ich obudzić. Otworzyły się okiennice, rozszczękały psy. W oknach pojawiały się potargane czupryny, podczas gdy my bębniliśmy w powolnym zdecydowanym rytmie jak podczas jakiegoś przerażającego rytuału religijnego.

W końcu Karus i Serwia wypadli z domu frontowymi drzwiami.

- Nareszcie! - ryknął ojciec. Dostojnym krokiem wróciłem do niego z pomocnikami. - Sępy pojawiają się, aby dokonać rozliczenia - poinformował publikę tata. - A teraz mnie wszyscy posłuchajcie. Aulus Kasjusz Karus i Umidia Serwia utrzymują, jakoby mój syn Dydiusz Festus, pośmiertnie odznaczony za bohaterstwo na polu bitwy, winien był im pół miliona sestercji. Niech nikt nie mówi, że rodzina Dydiuszów jest niewiarygodna! - grzmiał. To było genialne. Po wielu latach obserwowania zdumionych uczestników aukcji posiadał umiejętność zachowywania się jak ktoś, kto sądzi, że go oszukano, choć nie bardzo wie jak. - Oto jest zatem gotówka! Wzywam wszystkich obecnych, by byli mi świadkami. - Podszedł do burty wozu, a ja za nim. - Oto twoje pieniądze, Karusie! Zostały przeliczone!

Obaj podnieśliśmy pierwsze wieko, przechyliliśmy skrzynię i patrzyliśmy, jak jej zawartość płynie strumieniem na ulicę. Pierwsza partia z pół miliona potoczyła się pod nogi kolekcjonerów. Z okrzykiem zaniepokojenia rzucili się na pieniądze, na próżno usiłując schwytać podskakujące i lądujące w rynsztoku monety. Odrzuciliśmy na bok pustą skrzynkę i chwyciliśmy kolejną. Przy pomocy naszych towarzyszy kontynuowaliśmy tę pracę, aż góra brzęczących monet wypełniła wejście do domu Karusa; sięgała wysokości piersi i wyglądała jak kupa zwiru, pozostawiona obok stromej drogi.

Cała ta suma była w drobnych. Wiele skrzyń wypełnionych różnymi miedzakami, starymi monetami z brązu i srebra, które teraz spadały na ziemię niczym blaszki miki, pobłyskujące w piasku na arenie Circus Maximus. Nie potrzebowaliśmy pokwitowania; cała ulica mogła zaświadczyć, że

dostarczyliśmy pieniądze. Więcej nawet, kiedy zawróciliśmy wóz i odjeżdżaliśmy stamtąd, widzieliśmy wielu sąsiadów, wciąż w kapciach i białej nocnej, spieszących na pomoc przy zbieraniu pieniędzy z drogi.

- Ciesz się nimi, Karusie - rzucił na pożegnanie mój ojciec. - Ta mała sumka powinna ci wystarczyć na opłacenie niejednej wizyty w publicznej latrynie!

66

Kilka tygodni później w świecie dzieł sztuki aż huczało od wieści o zbliżającej się sprzedaży.

W galerii Kokcejusza stało interesujące marmurowe dzieło.

- Nie mogę powiedzieć niczego konkretnego - oświadczył Kokcejusz, który był uczciwym handlarzem - ani o jego twórcy, ani o wieku.

Kolekcjonerzy bardzo szybko usłyszeli o uderzającym wyglądzie posągu i zbiegli się, żeby na niego popatrzeć. Przedstawiał nagiego Posejdona. Miał gęstą, skręconą brodę i w uniesionej ręce trzymał trójząb. Bardzo grecki... i wspaniały.

- Jego historia jest intrygująca - informował zainteresowanych Kokcejusz, na swój dobroduszny sposób. Był człowiekiem spokojnym, kompetentnym, filarem kolegium licytatorów. - Prześwietny senator Kamil Werus odnalazł to dzieło na strychu, kiedy dokonywał przeglądu domu swojego niedawno zmarłego brata...

Stara śpiewka!

W całym Rzymie ludzie rzucili się do robienia porządków na strychach. Nikt inny nie znalazł nic podobnego. Dwoje ludzi, mężczyzna i kobieta, okutanych w płaszcze i szale, zjawiono się, by incognito obejrzeć posąg. Kokcejusz skinął im głową, jakby witał starych znajomych.

- Jakie jest jego pochodzenie, Kokcejuszu? - zapytali.

- Obawiam się, że nieznane. Trudno zgadywać. Choć na pewno, jak widzicie, wykonano go z paryjskiego marmuru - powiedział. To akurat było oczywiste. Nie była to żadna rzymska kopia z wapienia. Nawet doskonały marmur karraryjski ma bardziej szare żyłki...

- Jaki jest powód sprzedaży?

- Wydaje się dość przekonujący. Z tego, co wiem, senator próbuje zdobyć gotówkę potrzebną do umieszczenia w senacie swojego drugiego syna. Uważam, że można to potwierdzić u jego sąsiadów. Ten zdolny młodzieniec nieoczekiwanie bardzo się wykazał, a ponieważ Wespazjan jest przychylny jego tatusiowi, ma on wolną drogę na szczyty. Jedyne problemy to pieniądze. Stąd mile widziane są oferty za tego raczej udanego boga morza, choć musicie użyć własnego osądu do określenia, czym on jest...

- Skąd się tu wziął?

- Nie mam najmniejszego pojęcia. Szlachetny brat senatora sprowadzał przeróżne rzeczy. A ponieważ nie żyje, nie możemy go o to zapytać.

- Z kim prowadził transakcje?

- Ze wszystkimi. W północnej Afryce, Europie. Z tego, co wiem, również w Grecji i na Wschodzie...

- W Grecji, powiadasz?

- Widać, że jeden bark jest nieco uszkodzony... - Kokcejusz niczego nie ukrywał, był wzorem neutralności.

- Rzeźba jest doskonała. Nie masz zdecydowanej opinii na jej temat?

- Żadnej. - Kokcejusz był z pewnością uczciwy; cóż za odświeżająca odmiana. Jest wiele sposobów na wyrażanie opinii... i nie wszystkie z nich wymagają jednoznacznego łgarstwa.

Omotani szatami kolekcjonerzy odeszli z głowami pełnymi domysłów.

Kiedy pojawili się ponownie, właściciel posągu rozważał właśnie wycofanie go ze sprzedaży. Zaniepokojona tą wiadomością zamaskowana para stała w cieniu i słuchała. Może jacyś inni ludzie kryli się w innych cieniach, ale jeśli nawet tak było, to pozostali niewidzialni.

Szlachetna córka senatora wyjaśniała Kokcejuszowi, że ojciec zaczyna mieć pewne wątpliwości.

- Oczywiście, że potrzebujemy pieniędzy - mówiła. - Ale to taki uroczy obiekt. Cudownie, jeśli wart jest takiej wysokiej ceny. Kusi nas jednak, by go zatrzymać i cieszyć się nim we własnym domu. Och, ojciec naprawdę nie wie, co będzie najlepsze... Czy moglibyśmy poprosić jakiegoś eksperta, żeby rzucił okiem na posąg?

- Oczywiście. - Licytator nigdy nie namawiał klientów, by sprzedawali wbrew swojej woli. - Załatwię to. Ile jesteście mu skłonni zapłacić?

- A co od niego dostanę? - spytała szlachetna Helena Justyna.

Kokcejusz był uczciwy, ale i dowcipny.

- No cóż, za niewielkie honorarium mogę znaleźć człowieka, który zamknie oczy i powie to, co mu pierwsze wpadnie do głowy.

- Darujmy sobie małe honorarium - odparła młoda pani.

- Za trochę więcej mogę mieć p r a w d z i w e g o eksperta.

- To już lepiej.

- Jakiego rodzaju eksperta pani sobie życzy?

Helena wyglądała na zdziwioną... choć nie na tak zdziwioną jak mogłaby wyglądać, zanim poznała mnie.

- A jakiego rodzaju eksperta mogę mieć? - spytała.

- Albo Ariona, który powie, że to autentyk... albo Pawonina, który będzie twierdził, że to podróbka.

- Ale przecież jeszcze go nie oglądali! - zdumiała się.

- Ale tak właśnie zawsze mówią.

Helena Justyna najwyraźniej zaczynała się denerwować.

- A ile - zapytała swoim najbardziej rzeczowym tonem - ile musielibyśmy zapłacić najlepszemu? - Kokcejusz udzielił jej stosownej odpowiedzi. Helena wciągnęła głośno powietrze. - I cóż takiego otrzymamy za taką wygórowaną cenę?

Licytator wyglądał na zażenowanego.

- Dostaniecie człowieka w nieco dziwacznej tunice, który przygląda się długo posągowi, w zamyśleniu wypija ziółka, a potem przedstawia dwie możliwe oceny i twierdzi, że nie potrafi szczerze powiedzieć, która jest właściwa.

- Aha, rozumiem! Ten dopiero - powiedziała Helena z uśmiechem - to autentyczny bystrzak.

- Niby dlaczego? - spytał Kokcejusz, choć doskonale znał odpowiedź.

- Bo nie ryzykując reputacji, pozwala ludziom uwierzyć, że usłyszeli to, co chcieli. - Szlachetna Helena w typowy dla siebie szybki sposób podjęła decyzję. - Zaoszczędźmy zatem naszą gotówkę! Mogę mówić w imieniu mojego ojca - oznajmiła. Najwyraźniej była to wyrozumiała, liberalna rodzinka. (A kobiety w niej bardzo energiczne). - Jeśli ma to pomóc w karierze brata, ta sprzedaż się opłaci. Ludzie poznają się na jakości. Jeśli ktoś zaoferuje dobrą cenę, ojciec dokona sprzedaży.

Zamaskowani kolekcjonerzy pospiesznie posłali zarówno Ariona, jak i Pawonina, żeby obejrzeni Posejdona, potem opłacili również człowieka w dziwacznej tunice, który poza tym miał także szczególną wymowę i który im powiedział, że sami muszą podjąć decyzję.

Uznali, że Posejdon musi należeć do nich. Dyskretnie poruszono kwestię ceny. Okazało się, że umieszczenie Justyna w senacie będzie wymagało od znamienitego Kamila ogromnych pieniędzy

- Suma, jaką wymieniono - oświadczył Kokcejusz przyciszonym głosem, niczym medyk informujący o śmiertelnej chorobie - wynosi sześćset tysięcy.

Kolekcjonerzy oczywiście zaoferowali czterysta tysięcy. Na co właściciel oświadczył, że to dla niego obraza; mniej niż za pięćset w żadnym razie nie sprzeda. Transakcji dokonano. Pół miliona aureusów w złocie (plus honorarium Kokcejusza) zapłacono za niewiadomego pochodzenia posąg.

Dwie godziny później zaproszono gości do domu Kasjusza Karusa i Ummidii Serwii na prezentację Posejdona dłuta Fidiasza.

Wyszliśmy na swoje. Pozbyliśmy się tej pary i odzyskaliśmy pieniądze. Oszukaliśmy ich; sprzedaliśmy im naszą podróbkę.

I wciąż mieliśmy Zeusa. Byliśmy bogaci.

Kupiliśmy z ojcem amforę najlepszego dojrzałego falerna. A potem kolejne dwie.

Zanim jeszcze się do nich dorwaliśmy, wiedząc, że się kompletnie upijemy, ruszyliśmy do gospody, by sprawić sobie przyjemność i popatrzeć na naszego Zeusa.

Podeszliśmy od tyłu. Stajenne drzwi zostały dokładnie zamknięte przez Orontesa. Otworzyliśmy je, pokrzykując radośnie. Zamknęliśmy za sobą z łomotem i zapaliliśmy lampki. Potem nasza radość powoli się ulatniała.

W opróżnionym dla Orontesa miejscu, gdzie umieściłem marmurowy blok, stał... marmurowy blok. Tyle że brakowało mu kawałka. W miejscu, w którym go usunięto, połyskiwała czysta biel paryjskiego marmuru: zdjęto porządnie, od góry, niewielki prostopadłościan. Większość marmurowego bloku, która miał się przekształcić w Posejdona, pozostała nienaruszona. Poszliśmy na piętro. Obaj wiedzieliśmy, co się wydarzyło, ale na własne oczy musieliśmy zobaczyć dowód.

W pokoju, w którym zostawiliśmy Orontesowi Fidiaszowego Zeusa, pozostało jedynie ramię unoszące grom.

- Ja chyba śnię...
- Ten leniwy, oszukańczy, rozwiąły drań! Jak go dopadnę...
- Och, będzie już bardzo daleko stąd...

Zamiast zawracać sobie głowę rzeźbieniem całego nowego posągu, Orontes Mediolanus po prostu zaadaptował istniejącą rzeźbę, dając jej nowe prawe ramię. Teraz Zeus wymachiwał trójzębem, a nie piorunem.

Zamiast podróbki sprzedaliśmy Karusowi i Serwii naszego autentycznego Fidiasza.

67

Był kwiecień i o ile mi wiadomo, nie przypadał akurat oficjalny czarny dzień w rzymskim kalendarzu, choć w moim własnym miał na zawsze taki pozostać. W dawnych republikańskich czasach Nowy Rok zaczynał się w idy marcowe, zatem był to pierwszy miesiąc roku. Senat miał przerwę, żeby nabrać sił. Należy być w dobrej formie, żeby poradzić sobie z kwietniem. W kwietniu roiło się od obchodów: megalesia ku czci Kybele i floralia ku czci bogini Flory, igrzyska i ceralia ku czci Ceres, vinalia ze składaniem Jowiszowi ofiary z młodego wina, święta rolnicze robigalia i jeszcze parilia, święto pasterskie połączone z rocznicą założenia Rzymu.

Nie byłem przekonany, czy potrafię udźwignąć aż tyle obywatelskiej radości. Myśl o jakichkolwiek uciechach była mi nienawistna.

Szedłem przez Forum. Na prośbę ojca zabrałem go do Saepa Iulia i zostawiłem w biurze oszołomionego, ale jak na razie trzeźwego. Chciał zostać sam. Ja też nie byłem w stanie znieść czyjegokolwiek towarzystwa. Moja cała rodzina, z Heleną włącznie, zbierała się u matki. Powitanie girlandami, kiedy

niosę dla nich jedynie własną głupotę, byłoby nie do wytrzymania.

Należało sprawdzać Orontesa. Powiedział mi, że nie lubi, kiedy mu się przeszkadza w pracy. Dałem się nabrać na takie prościutkie kłamstwo. Tworzenie to delikatny proces. Oszustwo to wyrafinowana sztuka.

Parki mają doskonały sposób na ukrócenie naszej arogancji. Szedłem przez Rzym, gnałem z determinacją przed siebie, starając się pogodzić z tym, co zrobiłem, i z zaprzepaszczeniem szans. Żeby nie stracić zmysłów, koniecznie musiałem się czymś zająć.

Wciąż były pewne nierozwiązane kwestie. Nie zapomniałem o otrzymanym od matki zleceniu. Rozwiązaliśmy zagadkę morderstwa i prawie udało nam się wziąć w imieniu rodziny odwet na parze kolekcjonerów, wciąż jednak ta jedna sprawa pozostała otwarta: reputacja mojego starszego brata.

Może źle ocenił sytuację. Karus, z pomocą Orontesa, wystawił go do wiatru. Nie mogłem dłużej winić za to Festusa, skoro Orontes to samo zrobił mnie. Jedna transakcja się nie powiodła, ta jedyna, o której wiedziałem. Mimo że Festus nie znał wszystkich faktów, usiłował ją naprawić. Przeszkodziła w tym jego śmierć. Jedynie to, że nikomu nie ufał - nawet ojcu, nawet mnie - nie pozwoliło doprowadzić jego planów do końca.

Czy Festus był bohaterem?

Nie wierzyłem w bohaterskie czyny. Nie wierzyłem, że chwalebnie, bezinteresownie poświęcił się dla Rzymu. Mówiąc szczerze, nigdy w to nie wierzyłem. Był sentymentalny... gdyby jednak, z jakiegoś niewyobrażalnego powodu, wybrał taką drogę, doprowadziłby wpierw do końca swoje transakcje. Festus nie zniósłby myśli o niedokończonym przedsięwzięciu. Ten Fidiasz, zamurowany w Rzymie, gdzie być może nikt by go nie odnalazł; tamte bloki marmuru porzucone w sennym gospodarstwie moich wujów; wszystko to mówiło jednoznacznie: spodziewał się, że wróci.

Czy myślał, że ja dokończę tę sprawę? Nie. Byłem wykonawcą jego ostatniej woli, ale tylko dlatego, że armia zmusiła go do jej napisania. To był żart. Nie było nic, co mógłby komuś formalnie zapisać. Nigdy nie było planów, bym kiedyś przejął transakcje będące dumą i radością mojego brata. On chciał je przeprowadzić; zamierzał dokończyć wszystko sam.

Teraz moją jedyną spuścizną była decyzja, jakie imię pozwolić mu zachować.

Jak mogłem o tym decydować?

Mogłem tylko za nim tęsknić. Nie było drugiej takiej jak on osoby. Wszystko, co kiedykolwiek złego zrobiłem, było rezultatem jego zachęty. To samo dotyczyło serdeczności i wielkoduszności. Może nie wierzyłem, że był bohaterem, ale i tak miałem w co wierzyć: to wielkie serce, ta wspaniała barwna skomplikowana postać, która trzy lata po jego śmierci wciąż dominowała nad nami wszystkimi.

Zbyt długo się zastanawiałem. Dzisiejszej nocy zamierzałem odkryć prawdę,

jeśli tylko gdzieś istniała.

Wszedłem na Forum od strony Kapitolu, schodami gemońskimi. Minąłem złoty kamień milowy i obie mównice, przeszedłem wzdłuż całej Basilica Iulia do świątyni Kastora i Polluksa, gdzie zamierzałem skorzystać z łaźni, z czego jednak zrezygnowałem. Nie byłem w nastroju, by poddawać się zabiegom niewolników i gawędzić z przyjaciółmi. Minąłem świątynię Westy i dom westalek, wychodząc na niewysokie podłużne wzniesienie, Velia.

Cała ta dzielnica Rzymu, od Pałatynu za moimi plecami do Eskwilinu przede mną, włącznie z jego południowym cyplem zwanym Oppius i wzgórzem Celius, została zniszczona przez pożar i przejęta potem przez Nerona pod budowę tej okropności, którą nazwał swoim Złotym Domem.

Dom było niewłaściwym słowem. To, co tu stworzył, było nawet czymś więcej niż pałacem. Wyniosłe budowle raptownie wyrastały pomiędzy graniami. Niekończący się pokaz bajecznej architektury Wystrój wewnątrz był niewiarygodnie bogaty, wyobraźnia artystów wykraczała poza wszystko, co do tej pory stworzono. Na otaczającym pałac terenie dokonano podobnej miary cudu. Jeśli architektura była zadziwiająca, pomimo że była wyrazem tak bezczelnej megalomanii, to jeszcze bardziej zaskakująco przedstawiał się cały krajobraz wokół sal i kolumnad; naturalna wiejska sceneria pojawiła się w obrębie miejskich murów. Mieściły się tu parki i lasy z dzikimi i oswojonymi zwierzętami, a wszystko to zdominowane przez sławne Wielkie Jezioro. Był to prywatny świat tyрана, jednakże Wespazjan, w przemyślanym posunięciu propagandowym, otworzył ten teren dla wszystkich jako ogromny park publiczny.

Mądre posunięcie, Flawiusze! Teraz mieliśmy cesarza, który z ironią podchodził do swojej boskości. Mówił o zburzeniu Złotego Domu, choć zarówno on, jak i jego synowie obecnie w nim mieszkali. Jezioro natomiast już osuszono. Był to najlepiej położony teren w całym Rzymie, na samym końcu Świętej Drogi, od strony głównego dojścia do Forum. W niecce powstałej po jeziorze Wespazjan rozkazał zbudować fundamenty pod ogromny nowy teatr, który miał wziąć nazwę od jego rodowego imienia.

Obiekt ten był chlubą miasta na długo przed tym, za nim cesarz złotą kielnią wmurował pierwszy kamień. Ludzie zwiedzający miasto przychodzili tam, żeby popatrzeć. Było to takie miejsce w Rzymie, gdzie można było spędzić spokojnie godzinkę albo i więcej, patrząc, jak inni pracują. Teren pod teatr Flawiuszów musiał być największą i najbardziej imponującą dziurą w ziemi na świecie.

Ostatni raz stałem i przyglądałem się budowie w towarzystwie centuriona Laurencjusza. Po śmierci kelnera z gospody U Flory odszukaliśmy go z Petroniuszem. Zamiast rozmawiać z nim w domu jego siostry, pośród

harmidru dziecięcych głosów, powędrowaliśmy przez Rzym i dotarliśmy aż na teren tej budowy. Tutaj powiedzieliśmy Laurencjuszowi, co stało się z Epimandosem, i o naszym przekonaniu, że to Epimandos zabił Cenzoryna.

Laurencjusz był na to przygotowany. Rozpoznanie zbiega narzucało takie rozwiązanie. Niemniej potwierdzenie podejrzeń i samotny koniec kelnera wprowadził nas wszystkich w pośepny nastrój.

Centurion był człowiekiem rozsądnym, ale nawet on zaczął smętnie filozofować.

- Popatrzcie, na przykład, na tych tutaj! - wykrzyknął, kiedy mijaliśmy grupę jeńców ze Wschodu. Kopali fundamenty, choć nieszczególnie ochoczo. Na budowach są momenty szalonej aktywności, ale akurat ten do takich nie należał. - My, legionieści, harujemy w palącym słońcu aż mózgi gotują się nam pod hełmami - skarżył się gorzko Laurencjusz - podczas gdy ci ze spokojem oddają się w niewolę i nie przemęczają w Rzymie... Po co to wszystko? - rzucił ostro. Stara śpiewka.

Wtedy właśnie spytałem go o Festusa. Laurencjusza nie było pod Bethel.

- Przebywałem z oddziałem pod dowództwem Cerialisa w bandyckiej okolicy położonej bardziej na południe. Oczyszczaliśmy teren wokół Jerozolimy przygotowując się do oblężenia, podczas kiedy stary osobiście pacyfikował miasta i wzgórza... - Mówił o Wespazjanie. - Jest jakiś problem, Falkonie?

- Nic takiego. - Czułem się w obowiązku okazać nieco powściągliwości. Krytykowanie bohatera walk to jak podawanie w wątpliwość sposobu prowadzenia całej kampanii; potraktowanie czynu Festusa jako niezupełnie chwalebny pomniejszyłoby również tych, którzy przeżyli. - Choć rzeczywiście zastanawiałem się nad tym, co się tam właściwie wydarzyło - dodałem.

- Nie dostałeś raportu? - zapytał.

- A kto wierzy raportom? Nie zapominaj, że ja też służyłem w wojsku.

- Więc co myślisz?

Dziwne, ale się roześmiałem, niemal lekceważąco.

- Wiedząc to, co wiem teraz, zastanawiam się, czy Festus nie wziął sobie za dużo na głowę, jeśli chodzi o interesy, i czy zde gustowana stratami finansowymi twoja własna spółka nie straciła go być może z murów?

- W żadnym razie! - odparł zwięźle centurion. - Zaufaj raportowi... - poradził.

Niczego więcej się od niego nie dowiedziałem.

A przecież na odchodnym rzucił przez ramię:

- Wierz w to, co usłyszałeś, Falkonie. - Jego twarde, błyszczące oczy wpatrywały się we mnie ze spokojnej, godnej zaufania twarzy - Wiesz jak to bywa. Te sprawy wszystkie wyglądają tak samo, jeśli im się dokładnie przyjrzeć... Festusa zabrał prawdopodobnie jakiś głupi przypadek.

Miał rację, a skoro tak, miał też rację, mówiąc, że wszyscy powinniśmy o tym zapomnieć. W takie podejście mogłem uwierzyć. Ale nie było ono wystarczające. Dla matki musiało być coś więcej niż tylko wiara.

Mogłem pojechać do Panonii. Mogłem odnaleźć ludzi, którzy tam wtedy byli... żołnierzy z centurii mojego brata, którzy ruszyli za nim na mur obronny. Wiedziałem już, co mi powiedzą. Powiedzą to, co powiedziała armia.

Mogłem ich upić, a wtedy opowiedzieliby mi inną historię, ale byłoby tak dlatego, że wszyscy pijani żołnierze nienawidzą armii i kiedy są pijani, winią armię za całe mnóstwo kłamstw; kiedy tylko wytrzeźwieją, te kłamstwa stają się znowu prawdą. Koledzy mojego brata mieli własny interes w oficjalnej wersji jego śmierci. Martwi muszą być bohaterami. A tym bardziej martwi dowódcy. Nie może być inaczej.

Kampania judejska stała się sławna: dała państwu cesarza. Było to coś, czego nikt się nie spodziewał w tym czasie, kiedy zginął Festus. Mój brat zginął w marcu albo kwietniu; Wespazjana nie obwołano cesarzem przed lipcem, a jeszcze znacznie więcej czasu zajęło mu obejmowanie rządów. Do tamtego momentu żydowska rebelia nie była czymś istotnym. Ot, jeszcze jedna awantura w okropnym miejscu, gdzie udawaliśmy, że niesiemy dar cywilizacji dzikim ludom, a chodziło nam o utrzymanie przyczółka na lukratywnej handlowej arenie. W przeciwieństwie do większości kolegów Festus miał wiedzę z pierwszej ręki na temat barwników i szkła, i cedrowego drewna, i dotyczącą połączeń ze szlakiem jedwabnym i korzennym, które musieliśmy chronić dla siebie. Jednak nawet z tą wiedzą nikt by tam nie walczył - nie o rozprażoną pustynię, pustą, jeśli nie liczyć kóz i handryczących się ze sobą religijnych zelotów - gdyby nie wierzyli przynajmniej w obietnicę, że ich ciało okryje się pewną chwałą. Wdarcie się pierwszemu na mury jakiegoś górskiego miasteczka musiało się liczyć.

Musiało się też liczyć dla matki, którą pozostawił w Rzymie.

Zatem skoro mnie poprosiła, zrobiłem, co mogłem. Od trzech lat ta sprawa nie dawała nam spokoju i nadszedł czas, by ją ostatecznie załatwić.

Teatr Flawiuszów miał zostać zbudowany przez siłę roboczą, jakiej dostarczyły podboje Wespazjana i Tytusa: przez pojmanyh judejskich niewolników. Przyszedłem porozmawiać z nimi.

68

Było późne popołudnie, kiedy rozpocząłem poszukiwania. Musiałem rozmawiać po kolei z każdym z tych okropnych nadzorców poszczególnych grup pracujących, których sposób bycia był znacznie gorszy od zachowania jeńców. Każdy odsyłał mnie do następnego łachudry z batem. Niektórzy oczekiwali zapłaty za samo słowo „nie”. Większość była pijana, a wszyscy co do

jednego podli. Kiedy w końcu odnalazłem właściwą grupę więźniów, rozmowa z nimi okazała się względnie sympatyczna.

Rozmawialiśmy po grecku. Dzięki niech będą bogom za grekę... zawsze pozwoli detektywowi uniknąć płacenia honorarium tłumaczowi.

- Chcę, byście opowiedzieli mi pewną historię - powiedziałem. Wbili we mnie wzrok, spodziewając się przemocy. Przywołało to nieprzyjemne wspomnienia z czasów, kiedy sam działałem przebrany za ciężko pracującego niewolnika. Natychmiast zacząłem się drapać.

Ci tutaj byli wojennymi jeńcami, nie przypominali tych wszystkich sympatycznych, czystych, kulturalnych gości, o których gadali Manliusz i Warga, tych sekretarzy, zarządców, układaczy tóg i mieszaczy wina, którzy wypełniali ulice Rzymu, równie zadbani jak ich panowie. Byli garstką mężczyzn starannie wyselekcjonowanych spośród tych, którzy przetrwali masakry w Judei, tak by dobrze się prezentować podczas triumfu Tytusa. Większość z tysięcy jeńców wysłano na roboty przymusowe do Egiptu, prowincji cesarstwa, natomiast tych ponurych młodzieńców o ogolonych głowach przewieziono do Rzymu po to, by najpierw uczestniczyli w paradzie zwycięstwa, a potem odbudowywali miasto w ramach Wespazjanowej kampanii *Roma resurgens*.

Byli nakarmieni, ale chudzi. Prace budowlane zaczynają się o świcie i wczesnie kończą. Teraz było późne popołudnie. Siedzieli wokół żelaznych koszy z węglem drzewnym, przed przeludnionymi barakami; w świetle ognia i zapadającym mroku ich twarze były ciemne, a policzki zapadnięte. Dla mnie wyglądali cudzoziemsko, choć podejrzewam, że to ci ludzie pochodzący z terenów, gdzie wszyscy mają ciemny zarost i wielkie haczykowate nosy, wyznający podejrzaną dla mnie religię i hołdujący dziwnym zwyczajom kulinarnym, uważali mnie za kogoś egzotycznego.

- Nie traćcie ducha - pocieszałem ich. - Jesteście co prawda niewolnikami, ale znajdujecie się w Rzymie. Może to być ciężkie dla pasterzy, których przywieziono tutaj, by bez końca przerzucali łopatami błoto, ale jeśli dotrzwacie przy tej ciężkiej robocie do etapu cięcia kamieni i budowy murów, to znajdziecie się w najlepszym miejscu na świecie. My, Rzymianie, też byliśmy kiedyś pasterzami. Powód, dla którego skupiliśmy się tutaj pośród naszych teatrów, łaźni i innych miejsc publicznych, jest całkiem prosty... zauważyliśmy, że pasterstwo jest do niczego. Żyjecie, jesteście tutaj... i macie dostęp do lepszego życia.

Dowcipkowanie okazało się zbędne. Zawodził nawet wyrażany w dobrej wierze stoicyzm. Byli niepokieszeni i marzyli o powrocie do swoich kóz. Mówić mi jednak pozwolili. Każda odmiana jest mile widziana przez ludzi zaganianych do pracy.

Od ich nadzorcy wiedziałem, że ci pochodzą z właściwych okolic.

Wyjaśniłem, czego od nich chcę.

- Zdarzyło się to mniej więcej o tej porze roku trzy lata temu. Od poprzedniej jesieni, po śmierci Nerona, panował spokój. Zapewne pamiętacie okres niepewności, kiedy ustały walki. Potem przyszła wiosna. Wespazjan postanowił na nowo podjąć przerwana kampanię. Wszedł na wzgórza, skąd pochodzicie, i zajął wasze miasta.

Wpatrywali się we mnie. Mówili, że nie pamiętają. Mówili to jak ludzie, którzy skłamią, nawet jeśli pamiętają.

- Kim jesteś? - pytali. Nawet jeńcy wojenni nie są pozbawieni ciekawości.

- Detektywem. Dowiaduję się różnych rzeczy dla innych. Szukam zagubionych rzeczy... i zagubionych prawd. Matka tego żołnierza poprosiła mnie, żebym się dowiedział, jak on zginął.

- Czy płaci ci za to? - pytali.

- Nie.

- To dlaczego to robisz?

- Bo dla mnie to też jest ważne.

- Dlaczego?

- Bo jestem jej drugim synem.

Było to równie pokrętne jak niektóre zagadki. Zaskoczenie wywołało krótki ironiczny chichot tych zgaszonych mężczyzn, których życie ograniczało się do wykopywania obcej ziemi z gigantycznej obcej dziury.

Wreszcie podniósł się jeden z siedzących w kucki jeńców. Nie poznałem jego imienia.

- Pamiętam - oznajmił. Możliwe, że kłamał. Może czuł tylko, że należy mi się jakaś opowieść. - Wespazjan wprowadzał do wszystkich miast garnizony. Zajął Gofnę i Akrabatę. Potem Bethel i Efraim.

- Byłeś w Bethel? - zapytałem. Przysięgał, że był. Może teraz też kłamał. Nie mogłem tego wiedzieć. - Czy walka była zacięta?

- Dla nas była... ale tak w ogóle pewnie nie.

- Opór był niewielki?

- Mały. Ale zamierzaliśmy walczyć - dodał. - Zrezygnowaliśmy, kiedy doświadczyliśmy gwałtowności rzymskiego ataku.

Najwyraźniej uważał, że właśnie to chcę usłyszeć.

- Jesteś łaskawy - powiedziałem uprzejmie. - Widziałeś centuriona?

- Centuriona?

- Dowódcę. Kolczuga, metalowe nagołenniki, wymyślny pióropusz na hełmie, drewniana laska...

- Tego dowódcę, który prowadził atak?

- A prowadził?

- Był na samym czele! - odparł więzień z uśmiechem, pewien, że mi się to spodoba. Może sam też był żołnierzem.

- Ale czy padł?
- Miał pecha.
- Jak to się stało?
- Strzała dostała się jakoś pod hełm.

Wierzyłem mu. Najwyraźniej ten człowiek widział naszego chłopca.

Niezawiązany pod brodą hełm. To podobne do niego. Zawsze rozsznurowany, porozpinany, z niezaciągniętym pasem. Nie znosił uczucia skrępowania. Uwielbiał iść do bitwy z rzemieniem od hełmu dyndającym pod brodą, jakby idąc zupełnie gdzie indziej, zatrzymał się na chwilę, by pobić nieprzyjaciela. Jowisz wie, dlaczego go awansowano.

Cóż, wiedziałem dlaczego. Był cholernie dobry. Nasz Festus, jedynie z połową umysłu zajętą jakimś problemem, mógł pokonać większość gamoni, których miał za przeciwników. Festus był człowiekiem z charyzmą, wspinającym się na szczyty dzięki autentycznemu talentowi, którego ma nadmiar. Był stworzony do służby w wojsku; armia rozpoznała swojego człowieka. Dość durny, by pokazać, że jest rzeczywiście utalentowany. Dość łagodny, by nie obrażać władz. I dość bystry, by, kiedy już zajmie stosowną pozycję, utrzymać ją wbrew wszystkim i każdemu. A przecież na tyle beztroski, by nie zapiąć hełmu.

- Czy to wystarczy? - dopytywał się więzień.

Właśnie żeby to usłyszeć, przyszedłem tutaj.

Nim odszedłem, zebrali się wokół mnie, zadając pytania dotyczące mojego zajęcia. Co robiłem i dla kogo? Odpłaciłem się za opowieść o Bethel kilkoma własnymi historiami. Byli głodni opowiastek, a mnie na pewno ich nie brakowało. Zafascynowało ich, że każdy, od cesarza w dół, mógł mnie wynająć i wysłać w świat jako swojego agenta; chcieli nawet dać mi własne zlecenia. (Nie mieli pieniędzy, ale byliśmy już w tym momencie w zażyłej komitywie, a na dodatek wspomniałem, że połowa moich „szacownych” klientów zapominała mi zapłacić).

- Więc jaki masz teraz cel? - zapytali.
- Odzyskanie własności - odpowiedziałem.

Zaczęli snuć długą, pełną szczegółów opowieść dotyczącą pewnego świętego obiektu.

- Słuchajcie - poczułem, że muszę im przerwać - jeśli sprawa dotyczy skarbów, jakie zwycięski Tytus zabrał ze świątyni jerozolimskiej i złożył na Kapitolu, to was tu przyhamuję! Rabowanie trofeów z najświętszego ołtarza Rzymu leży poza sferą mojej działalności.

Wymienili ukradkowe spojrzenia. Natknąłem się na jakąś o wiele starszą tajemnicę. Zaintrygowany wypytywałem o szczegóły. Okazało się, że stracili wielką jak statek pozłocaną skrzynię, bardzo starą, ozdobioną dwiema

skrzydlatymi postaciami i z dwoma drążkami pod spodem do jej przenoszenia. Judejczycy koniecznie chcieli ją odnaleźć, bo miała magiczne właściwości, dzięki którym mogliby zrzucić wrogie jarzmo. Nie zważając na fakt, że nie chciałem, by moich współobywateli Rzymian raził piorun czy powaliła śmiertelna choroba (no może poza niewielką ich garstką), odczuwałem niejaką pokusę. Jednak nie potrafiłem sobie wyobrazić, jak bym to osobliwe zlecenie wytłumaczył Helenie.

- Wygląda na to - oświadczyłem z uśmiechem - że do tej roboty potrzebujecie wyjątkowego śmiałka! Ja zajmuję się rozwodami, co już nie jest łatwe, jednak podjęcie się odnalezienia zagubionej Arki...

Zrewanżowałem się za informację o Festusie twardą gotówką i rozstaliśmy się jak starzy przyjaciele.

Kiedy odchodziłem z ich obozu, tamten nieznany mi z imienia więzień zawołał za mną:

- Był bohaterem. Wkładał w to, co robił, całe serce. Niech jego matka się dowie, że ten człowiek, twój brat... był prawdziwym wojownikiem!

Nie wierzyłem ani jednemu słowu. Gotów jednak byłem skłamać.

69

Nie mogę powiedzieć, że poczułem się szczęśliwy, ale jednak czułem się na tyle lepiej, by sprawić sobie drobną przyjemność: pomaszerowałem z Forum drogą Flamińską do domu kolekcjonerów. Tam dołączyłem do gromadzącego się w ich galerii tłumu, który przyszedł obejrzeć Fidiasza.

Wokół widziałem bystrych ludzi przytłoczonych lękiem, jaki zawsze charakteryzuje tych, którzy patrzą na wielką sztukę bez stosownego katalogu. Kobiety miały złote sandały, które je uwierały. Mężczyźni zastanawiali się, kiedy, nie uchybiając grzeczności, będą mogli stamtąd wyjść. Roznoszono srebrne tace z maleńkimi kawałkami migdałowego ciasta, by wynagrodzić tych, którzy przyszli okazać szacunek. Jak zwykle przy takich okazjach wcześniej podano wino, kiedy jednak się tam zjawiłem, nikt go już nie roznosił.

Posejdon wyglądał dobrze. Pośród innych marmurowych bogów ten nasz trzymał fason. Poczułem, jak oblewa mnie ciepła fala dumy. Poczułem się jeszcze lepiej, kiedy podszedł Karus, tym razem jego żałobna twarz wyglądała niemal na szczęśliwą. Serwia wisiła mu u ramienia.

- Robi wrażenie - powiedziałem, wrzucając sobie do ust płatek migdała. - Jakie jest jego pochodzenie?

Powiedzieli kilka słów o znakomitym senatorze i jego bracie, którzy importowali dzieła sztuki ze Wschodu. Słuchałem uważnie.

- Brat Kamila? Chyba nie ten, który splamił swoje imię? Słyszałem o nim kilka opowiastek... czy to nie on zajmował się kupnem wątpliwego pochodzenia obiektów i zmarł w tajemniczych okolicznościach? - Ponownie

wlepiłem wzrok w posąg. - No cóż, jestem pewien, że wiecie, co robicie! - rzuciłem. Po czym wyszedłem.

Pozostawiłem za sobą szybko kielkujące ziarno niepewności.

70

Przyjęcie u matki, którego chciałem uniknąć, szczęśliwie się skończyło.

- Słyszałam o twojej klęsce, więc odesłałam ich do domów. - Głos mojej rodzicielki brzmiał ostro.

- Geminus przysłał wiadomość o tym, co się stało - wyjaśniła cicho Helena.

- Dzięki ci, tato!

- Nie zrzedź! Chciał tylko, żebyśmy się tobą zaopiekowały. Martwiłyśmy się o ciebie. Wszędzie cię szukałam...

- Mówisz tak jak Marina, kiedy poszukiwała po szynkach mojego brata.

- Właśnie do nich zaglądałam - potwierdziła, uśmiechając się. Widziała, że jestem trzeźwy.

Usiadłem przy kuchennym stole. Moje panie przyglądały mi się bacznie, jakbym był czymś, co należy złapać do kubka i wyrzucić tylnymi drzwiami.

- Nie zapominajcie, że miałem pracę do wykonania. Ktoś mnie wynajął, żebym się dowiedział, jak to było z Dydiuszem Festusem.

- I czego się dowiedziałeś? - spytała matka. - Na pewno nic dobrego! - Wyglądało na to, że już wróciła do siebie.

- A chcesz wiedzieć?

Zastanowiła się.

- Nie - odrzekła. - Dajmy już temu spokój, dobrze?

Westchnąłem cicho. Tak to już jest z klientami. Przychodzą i błagają, byś ratował im skórę, potem, kiedy już natrudzisz się przez całe tygodnie za nędzne wynagrodzenie i idziesz im zdać relację, patrzą na ciebie, jakbyś był szalony, zwracając im głowę zupełnie nieistotnymi faktami. To, że sprawa dotyczyła rodziny, nie ułatwiało sytuacji, choć przynajmniej znałem wszystkich od zawsze, więc byłem na to przygotowany.

Pojawiła się przede mną miska strawy. Mama zwichrzyła mi czuprynę. Wiedziała, że tego nie znoszę, ale i tak to robiła.

- Wszystko wyjaśnione? - spytała. Było to czysto retoryczne pytanie, mające na celu uspokojenie mnie albo udawane zainteresowanie.

Ja jednak miałem coś do powiedzenia.

- Wszystko z wyjątkiem noża! - odparłem.

- Jedz kolację - rzuciła matka.

- Obawiam się, że Marek ma obsesję - odezwała się Helena do matki przeprasającym tonem - na punkcie wytropienia drogi, jaką przebył twój stary kuchenny nóż...

- Ach tak! - zachnęła się matka. - Nie widzę problemu.

- Myślę, że to ojciec go wziął - oznajmiłem.
- Oczywiście, że tak - oświadczyła z całkowitym spokojem.

Zakrztusiłem się.

- Od razu mogłaś to powiedzieć!

- Och, wydawało mi się, że powiedziałam... - rzuciła od niechcienia. Nie mogłem niczego uzyskać, próbując ją przyszpilić. Teraz wszystko to była moja wina. - O co robisz tyle hałasu? - zdziwiła się.

Musiałem być bardzo zmęczony, bo natychmiast wyjechałem z pytaniem, które wszyscy uważali za zbyt drażliwe, by jej postawić:

- Skoro tata gwizdnął ten nóż, kiedy opuszczał dom, to w jaki sposób znalazł się on w gospodzie?

Matka wyglądała na urażoną, że wychowała takiego durnia.

- Przecież to oczywiste! To był dobry nóż, nikt by go nie wyrzucił. Ale ta jego kobieta nie chciała cudzych przedmiotów pośród swoich narzędzi kuchennych. Przy pierwszej nadarzającej się okazji komuś go wydała. Sama bym tak zrobiła - oświadczyła matka bez cienia mściwości.

Zdawało mi się, że Helena Justyna usiłuje powstrzymać śmiech.

Po chwili milczenia to właśnie Helena zaryzykowała jeszcze bardziej śmiałe pytanie:

- Junillo Tacyto, co takiego niedobrego zaszło lata temu pomiędzy Geminusem i tobą?

- Fawoniuszem - odparła matka z pewną irytacją. - Miał na imię Fawoniusz! - Zawsze twierdziła, że ta zmiana imienia i udawanie, że jest kimś innym, to nedorzeczność. Mój ojciec (twierdziła moja matka) nigdy się nie zmieni.

- Z jakiego powodu odszedł?

Helena miała rację. Matka była twarda. Nie było sensu obchodzić na paluszkach tych delikatnych spraw, z którymi przecież w swoim czasie musiała się zmierzyć.

- Nie było szczególnego powodu - matka wyjaśniała bez skrępowania. - Za dużo ludzi na zbyt małej powierzchni. Za dużo kłótni i za dużo gęb do wyżywienia. Poza tym ludzie czasami zrywają ze sobą.

- Nigdy wcześniej nie słyszałem, żebyś to komuś mówiła! - powiedziałem ze zdumieniem.

- Nigdy nie pytałeś - wyjaśniła.

Nigdy się nie ośmieliłem.

Z opuszczoną nisko głową zjadłem kolację. Żeby radzić sobie z rodziną, trzeba zregenerować siły.

Helena Justyna wykorzystała moment, żeby się czegoś dowiedzieć. Powinna być detektywem; nie miała zahamowań, jeśli chodzi o zadawanie nietaktownych pytań.

- To dlaczego za niego wyszłaś? Domyślam się, że musiał być w młodości

przystojny.

- On tak uważał! - powiedziała mama, chichocząc, co miało sugerować, że było inaczej. - Skoro już pytasz, zdawało się, że ma perspektywy, z tym własnym interesem i bez zobowiązań. Miał świetny apetyt; podobało mi się, jak opróżniał miskę do czysta. - W jej głosie pobrzmiwała rzadka u niej nutka nostalgii. - Miał uśmiech, którym mógł łupać orzechy.

- Co to ma niby oznaczać? - spytałem, krzywiąc się.

- Ja wiem! - Helena Justyna śmiała się, prawdopodobnie ze mnie.

- Cóż, widocznie trafił na mój słaby moment - doszła ostatecznie do wniosku mama.

W końcu powiedziałem jej, czego się dowiedziałem od jeńców o jej sławnym synu. Wysłuchiła mojej relacji, ale trudno było zgadnąć, co myśli i czy jest zadowolona.

Potem musiała mieć kolejny moment słabości, bo nagle wykrzyknęła:

- Więc zostawiłeś go w Saepa Iulia?

- Kogo? Geminusa?

- Trzeba go stamtąd zabrać - stwierdziła krótko. Szykowała mi kolejne niemile widziane zadanie, a ja odczuwałem znajomą silną presję, jakiej mnie poddawała. - Nie powinno się go tam zostawiać samego, żeby się zamartwiał i upijał. Jest przecież wtorek i nikogo tam nie będzie! - poinformowała mnie mama. Rzeczywiście. Tata powiedział mi, że jego rudowłosa ślicznotka, Flora, będzie w gospodzie, z cotygodniową wizytą, zajęta sprawdzaniem rachunków. - Jest tam nowy kelner, którego będzie chciała nadzorować - dodała.

Nie wierzyłem własnym uszom. Jeśli chodzi o sprawy związane z rodziną, moja matka wiedziała wszystko. Nie było przed tym ucieczki; nawet jeśli opuściłeś dom przed dwudziestu laty.

- Nie zamierzam brać odpowiedzialności... - wymamrotałem słabym głosem. Po czym, nie ma chyba potrzeby dodawać, udałem się potulnie do Saepa Iulia.

71

Budowla miała być zamykana wieczorem, ale rzadko tak bywało. Sklepy jubilerskie większość transakcji przeprowadzały nocą. Zawsze mi się podobała panująca tam po kolacji atmosfera. Wzdłuż portyków zapalano rzędy lampek. Ludzie się odprężali. W powietrzu wisiał słaby zapach pieczonego mięsiva i smażonych ryb, które uliczni handlarze sprzedawali gorące wprost z tac. Kiedy światło odbijało się od klejnotów i metalowych wyrobów, sklepiki wyglądały jak rozblęśnięte skarbami jaskinie. Tandetne drobiazgi, na które w dzień nawet by człowiek nie spojrział, zmieniały się w godne pożądaniami ozdoby.

Biuro ojca straciło egipskie meble, zyskało natomiast, dzięki mającej wkrótce się odbyć aukcji, słoniową stopę, jakiś dziwnie pachnący afrykański strój

wojenny, kamienny tron, który można przekształcić w osobistą latrynę, dwa miedziane kotły, trzy wysokie stołki, niewielki obelisk (nadający się na ozdobę ogrodu) i całkiem przyjemny komplet szklanych dzbanków.

- Widzę, że znów jesteś gotów zbić majątek na rupieciach! - powiedziałem. - To szkło w kolorze morwy może uzyskać niezgorszą cenę.

- Żebyś wiedział. Powinieneś wejść ze mną do spółki, byłbyś w tym dobry. - Wyglądało na to, że jest trzeźwy; duża niespodzianka.

- Nie, dzięki - powiedziałem. Wymieniliśmy niechętnie spojrzenia, myśląc o nieudanym numerze z posągiem. - Robiłem, co mogłem, tato. Dzisiaj wieczorem poszedłem do domu Karusa i zasiałem w nich podejrzenie, że kupili podróbkę. Może i mają teraz Fidiasza, ale nigdy nie będą się nim cieszyć.

- To ci dopiero! - wychrypiął z sarkazmem ojciec. - Niektórzy ludzie przekonują klientów, że podroby to oryginały. Nam się trafiła ta trudna rola... udajemy, że oryginał to fałszerstwo! - Po chwili wrócił do typowego rodzinnego pochlebstwa. - To twoja wina! - oświadczył.

- Przyznaję. Koniec tematu.

- Ty byłeś odpowiedzialny - ryknął na mnie rozgoryczony.

- Orontes był twoim znajomym! Wytropię go, bądź pewny - odgrażałem się, z przyjemnością myśląc o perspektywie rozbicia rzeźbiarzowi czaszki.

- Nawet nie masz co próbować. Jest już daleko stąd z tą swoją niechlujną dziwką Rubinią. - Ojciec był tak samo wściekły jak ja. - Ja też nie próżnowałem, odwiedziłem pacykarzy. Ten łotr rzeczywiście wyjechał z Rzymu.

- Sprowadzę go z powrotem! - powiedziałem z naciskiem. - Wciąż mamy cztery bloki paryjskiego marmuru...

- Nic z tego nie będzie - odparło tata buntowniczo. - Nie zmusisz artysty, żeby tworzył na rozkaz. Ryzykowalibyśmy, że rozbije kamień albo przemieni go w jakiegoś głupiego kupidyna z dołeczkami w pośladkach, którego nie posadziłbyś nawet na waniencie dla ptaszków. Albo w nimfę! - (W jego ustach to najgorsza obelga). - Zostaw to mnie. Znajdę kogoś.

- O, to wspaniale. Pewnie jednego z twoich partaczy. Wracamy do świata przyczepiania fałszywych nosów uszkodzonym popiersiom, do przygnębiająco nowych mebli, doklejania greckich uszek do etruskich urn...

- Powiedziałem, że znajdę kogoś innego! Kogoś, kto potrafi wykonać przyzwoitą kopię.

- Czego? Ładnego Lizypa?

- Ładnego Lizypa - zgodził się ojciec bez mrugnięcia okiem. - A nawet jeszcze lepiej, czterech. Zapaśnicy będą mieli powodzenie.

- Straciłem zainteresowanie - poskarżyłem się z goryczą. - Nie nadaję się do tego. Nie wiem nic o rzeźbie. Nigdy nie pamiętam, czy ilustracją kanonu proporcji ciała ludzkiego są *Młodzieniec niosący włócznie* Polikleta i *Dyskobol* Lizypa...

- Odwrotnie przypisałeś im rzeźby - oświadczył ojciec. Wiedziałem jednak, że mam rację. On tylko drażnił się ze mną. - I to *Chłopiec ze skrobaczką*, a nie *Dyskobol* - dodał.

- Zatem czterech zapaśników. - Pokonany przez jego niezmordowane łotrostwo uspokoilem się. Nowy rzeźbiarz musi co prawda dostać swoje honorarium, ale cztery dobre kopie modnych oryginałów i tak przyniosłyby nam więcej niż sporo.

- Musisz nauczyć się zachowywać spokój - poradził mi tata. - Zrobisz sobie krzywdę, tak się zżymając za każdym razem, kiedy Parki wyszykują ci małą porażkę. - Ojciec był najbardziej rażącym hipokrytą na świecie.

Zauważyłem, że obaj kipieliśmy złością z rękoma założonymi na piersi. Z rozczochranymi czuprynymi, wypiętymi klatkami piersiowymi, musieliśmy wyglądać jak para stojących do walki wojowników, ukazanych pod ozdobioną paciorkami krawędzią antycznej urny. Wreszcie pomyślał, żeby zapytać, po co przyszedłem.

- Krążyły pogłoski, że jesteś pijany - odparłem. - Wysłano mnie, bym wsadził ci głowę pod fontannę i zaciągnął bezpiecznie do domu.

- Jestem trzeźwy... ale mogę się upić z tobą, jeśli chcesz - zaproponował.

Pokręciłem głową, choć wiedziałem, że to oznacza rozejm.

Usiadł znowu na sofie i patrzył na mnie. Odwzajemniałem jego spojrzenie. Skoro był trzeźwy i najwyraźniej nie w nastroju do rozpamiętywania, wydawało mi się, że nadszedł czas zakończenia mojej bezcelowej wyprawy. Coś mnie jednak powstrzymywało. To coś tkwiło w mojej podświadomości.

- Na co więc czekasz, Marku? Chcesz pogadać?

- Nie ma już o czym mówić - powiedziałem. Z tego rodzaju prośbą mogłem wystąpić tylko raz, wobec czego nie ociągając się, brnąłem dalej: - Chciałbym cię jednak poprosić o przysługę.

Ojciec był zaskoczony, ale szybko doszedł do siebie.

- Nie przeciągaj struny! - rzucił.

- Poproszę tylko raz i jeśli powiesz nie, już nigdy do tego nie wrócimy.

- Przestań już zachowywać się jak Pytia.

- W porządku. Masz szkatułę z pięciuset tysiącami sestercji ukrytą w ścianie za swoimi plecami, zgadza się?

Ojciec przybrał pełną rezerwy minę. Ściszył głos. Bezwiednie zerknął w stronę ciemnoczerwonej zasłony za sofą.

- Cóż, owszem, tam właśnie jest... na razie - dodał, jakby podejrzewał, że chce mu ją ukraść. To podejrzenie mnie uspokoilo. Niektóre sprawy pozostały cudownie normalne, mimo że czułem się oszołomiony.

- Rozważ zatem, ojcze, coś takiego. Gdybyśmy nie znaleźli Zeusa, to i tak miałeś już dość rozbijania twoich aukcji i zapłacilibyśmy Karusowi, nie mając żadnych perspektyw na zrekompensowanie sobie tej straty. Twoja szkatuła i

moja szkatułka na Forum byłyby teraz puste.

- Jeśli chcesz dostać z powrotem swój wkład...
- Chcę czegoś więcej - oświadczyłem przepraszającym tonem.

Ojciec westchnął ciężko.

- Chyba już wiem, co teraz nastąpi - powiedział.
- Obiecuję, że będzie to pierwszy i ostatni raz w moim życiu, kiedy wesprę się na tobie. - Wziętem głęboki oddech. Nie musiałem myśleć o Helenie; myślałem o niej nieustannie przez minione dwanaście miesięcy. - Proszę cię o pożyczkę.

- No cóż, od czego są ojcowie? - Ojciec nie mógł się zdecydować, czy ma kpić, czy wydać jęk. Nic nie wskazywało na odmowę, nawet dla żartu.

Wypowiedzenie prośby spowodowało, że znowu poczułem się nerwowo.

- Pozwolę ci widywać wnuczęta! - Wyszczrzyłem się do niego.
- O cóż więcej mógłbym prosić?! - zażartował Geminus. - Chodzi o czterysta tysięcy, prawda? Karus zapłacił w złocie. Przy czterech sestercjach na denar i dwudziestu pięciu denarach na aureus, to akurat cztery tysiące...

- I musi to być zainwestowane w italską ziemię.

- Niech będzie ziemia. Myślę, że znajdę agenta, który kupi nam jakieś bagno w Lacjum albo kawałek albańskiego ugoru... - Wstał ze starej sofy i odciągnął zasłonę, sięgając jednocześnie po klucz na wyświechtanym rzemyku. - Na pewno zechcesz popatrzeć - powiedział.

Staliśmy obok siebie, kiedy otwierał zamek szkatuły. Wystarczyło, że uchylił wieka, a już zobaczyłem, jak spod ciężkiego drewna wydobywa się łagodny blask aureusów. Skrzynka była pełna. Nigdy wcześniej nie widziałem tyle złota. Ten widok był jednocześnie kojący i straszny.

- Zwrócę ci.

- Nie spiesz się z tym - powiedział łagodnie ojciec. Wiedział, ile mnie ta prośba kosztowała. Do końca życia będę mu dłużny... i nie miało to nic wspólnego z pieniędzmi. Te czterysta tysięcy zapoczątkowało jedynie ten dług.

Zatrzasnął pokrywę i przekręcił klucz w zamku. Uścisnęliśmy sobie ręce. A potem poszedłem na Palatyn i poprosiłem o audiencję u Wespazjana.

72

Za cesarzy z rodu Flawiuszów w Pałacu zapanowała tak profesjonalna atmosfera, że można by ją nazwać stateczną. Po Neronie pozostało wystarczająco wiele bzdur, by na zasadzie kontrastu dostrzec ich nedorzecznosc. Obok cudownie wymalowanych płycin, pod sufitami pokrytymi stiukami i frywolnymi arabeskami, otoczeni rzeźbioną kością słoniową i pośród całej masy kutego złota, zespoły poważnych urzędników trudziły się, by wyciągnąć cesarstwo z bankructwa i zaszczepić w nas wszystkich dumę, że jesteśmy obywatelami Rzymu. Miasto miało być odbudowane, jego sławne

pomniki skrupulatnie odrestaurowane, a w stosownych miejscach umieszczone starannie wybrane dodatki do narodowego dziedzictwa: świątynia Zgody, sympatycznie równoważąca świątynię Marsa; teatr Flawiuszów; jakiś łuk tutaj; forum tam; do tego odpowiednia liczba fontann, posągów, publicznych bibliotek i łaźni.

Pałac miewał swoje chwile spokoju i to była właśnie jedna z nich. Urządzano uczty, bo radosne i dobrze zorganizowane przyjęcie jest najpopularniejszą formą dyplomacji. Rządy Flawiuszów nie były ani małostkowe, ani bezwzględne. Ceniono nauczycieli i prawników. Wynagradzano artystów dostarczających rozrywki. Przy odrobinie szczęścia sam mogłem doczekać się nagrody.

W normalnych okolicznościach osobiste prośby o awans społeczny zostawiano u pałacowych szambelanów, gdzie czekały na decyzję przez jakiś miesiąc, choć w rzeczywistości przegląd list senatorów i ekwitów był dla Flawiuszów sprawą najważniejszą. Jednym z pierwszych aktów Wespazjana było mianowanie siebie cenzorem, w celu sporządzenia spisu obywateli dla celów podatkowych i wpuszczenia świeżej krwi do tych dwóch warstw, z których pochodzili kandydaci na stanowiska publiczne. Miał własne zdanie na temat tego, kto się nadaje do służby publicznej, choć zawsze szanował szlachetną rzymską sztukę, jaką jest proponowanie własnej kandydatury. Jak mogło być inaczej, skoro on sam, raczej mało ważny członek senatu, skutecznie wysunął się na stanowisko cesarza.

Dodanie mojego zwoju do stosu innych w gabinecie szambelana zupełnie nie pasowało do mojego usposobienia. Ponieważ znano mnie jako cesarskiego agenta, wszedłem do środka z miną, jakbym miał głowę zaprzątniętą jakąś złowrogą sprawą państwową, i ominąłem w ten sposób kolejkę.

Miałem nadzieję, że zastanę cesarza w dobrym humorze po kolacji. Pracował od wczesnego rana do późnej nocy; jego najbardziej przydatną państwu, pozytywną cechą było zwykłe załatwianie tego, co było do załatwienia. W najlepszym nastroju bywał wieczorami i wtedy należało go prosić o okazanie łaskawości. Dlatego właśnie zjawiłem się o późnej porze, w todze i najlepszych butach, porządnie po męsku ostrzyżony, z zamiarem przypomnienia mu o swoich udanych misjach i jego dawnych obietnicach.

Jak zwykle, szczęście mnie opuściło już na progu. Wespazjana nie było w Rzymie.

Flawiuszów znano z zespołowego rodzinnego działania. Głównym atutem Wespazjana było posiadanie dwóch dorosłych synów, którzy mogli zapewnić krajowi długotrwałą stabilność. On sam i starszy syn, Tytus, byli w zasadzie współregentami; nawet młodszy Domicjan brał czynny udział w wypełnianiu publicznych obowiązków. Tego wieczoru, kiedy przyszedłem ze swoją sprawą, pracowali obaj cesarscy synowie; szambelan, który mnie znał, powiedział,

żebym sobie wybrał, do którego z cesarów chcę się dostać. Jeszcze zanim podjąłem decyzję, wiedziałem, że najlepiej będzie odwrócić się i odejść. Byłem jednak tak nastawiony na działanie, że nie potrafiłem zrezygnować.

Nie mogłem poprosić Tytusa, który kiedyś zwrócił zainteresowane spojrzenie na Helenę, by umożliwił mi awans społeczny pozwalający porwać dziewczynę dla siebie. Między nimi nic nie zaszło (z tego, co wiedziałem), ale gdyby mnie nie było, to kto wie. Tytus miał sympatyczną osobowość, ale nie znoszę popychać kogokolwiek poza pewne granice. Zdecydowało poczucie taktu.

- Niech będzie Domicjan - oświadczyłem.

- Tak będzie najlepiej. Właśnie on obecnie zajmuje się mianowaniem ludzi na publiczne stanowiska! - oznajmił urzędnik. Personel pałacowy wybuchnął śmiechem. Gorliwość, z jaką Domicjan rozdawał stanowiska na lewo i na prawo, wywołała nawet niezadowolenie jego łagodnego rodzica.

Mimo przeskoczenia kolejki musiałem czekać. Żałowałem, że nie przyniosłem sobie do przeczytania jednej z encyklopedii sędziego Marponiusza albo testamentu do napisania. W końcu przyszła kolej na mnie i wszedłem do środka.

Domicjan miał dwadzieścia dwa lata. Przystojny; krzepki jak byczek; kręcona czupryna, ale kanciaste paluchy u stóp. Wychowywał się pośród kobiet, podczas gdy ojciec i Tytus przebywali daleko, wypełniając publiczne obowiązki i w przeciwieństwie do brata o ujmującym sposobie bycia, był introwertykiem i uparciuchem, jakim częściej bywają jedynacy. Na początku swojej działalności w senacie popełnił sporo błędów; w rezultacie przesunięto go do organizowania konkursów poetyckich i festiwali. Teraz w sprawach publicznych postępował właściwie, co nie przeszkadzało, że ani trochę mu nie ufałem.

Miałem powody. Wiedziałem o Domicjanie rzeczy, które on wolałby zatrzymać dla siebie. Jego reputacja intryganta nie była bezpodstawna: ja sam mógłbym oskarżyć go o poważne przestępstwo. Zapewniłem jednakże jego ojca i brata, że mogą polegać na mojej dyskrecji... ale właśnie ta moja wiedza zachęciła mnie do wyboru młodszego z dwóch synów cesarza i dlatego pewny siebie wchodziłem do jego gabinetu.

- Dydiusz Falko! - zaanonsowali mnie oficjalnie właściwi urzędnicy.

Ze sposobu, w jaki mnie powitał, trudno było się zorientować, czy młody człowiek mnie sobie w ogóle przypomina.

Odziany był w purpurę; miał do tego prawo. Jego prosty wieniec leżał na poduszce. Nie widziałem stosów winogron ani wysadzanych klejnotami pucharów, a już na pewno na posadzce nie wiły się żadne tancerki; zobaczyłem tylko kilka girland. Zajmował się sprawami publicznymi z taką samą powagą jak Wespazjan i Tytus. Nie był to jakiś rozpasany, obłąkany przedstawiciel

dynastii julijsko-klaudyjskiej. A przecież wiedziałem, że jest człowiekiem niebezpiecznym. Mogłem to nawet udowodnić. Po tylu latach w tym interesie powinienem był wiedzieć, że to stanowi groźbę dla mnie.

Oczywiście sala była pełna służby. Niewolnicy robili wrażenie, że mają ręce pełne roboty i jak zwykle kręcili się w sali audiencyjnej Flawiuszów bez niczyjego nadzoru. Był tam jednak ktoś jeszcze. Domicjan przywołał gestem stojącą na uboczu postać.

- Poprosiłem tu Anakrytesa - powiedział.

Moja prośba o posłuchanie na pewno została przekazana na długo przed tym, nim mnie wezwano; kiedy czekałem, przygotowywano dla mnie tę niemiłą niespodziankę. Domicjan sądził, że przybyłem tam jako agent. Posłał po pomoc. Anakrytes był oficjalnym naczelnym szpiegiem Pałacu.

Miał napięty wyraz twarzy, zacięte usta i był obsesyjnie porządny. Położył wielkie zasługi przy udoskonalaniu sztuki sekretnego wzbudzania podejrzeń i zazdrości.

Ze wszystkich małostkowych tyranów z pałacowego sekretariatu ten był najbardziej podły, a ze wszystkich wrogów, jakich miałem w Rzymie, tego nienawidziłem najbardziej.

- Dzięki, panie. Nie ma potrzeby zajmować mu czasu. Mam sprawę osobistą - wyznałem.

Nikt nie zareagował na moje słowa. Anakrytes został.

- Jaka jest twoja sprawa?

Odetchnąłem głęboko. Nie wiedzieć czemu spociły mi się dłonie. Starłem się mówić cicho i spokojnie.

- Jakiś czas temu twój ojciec, panie, zapewnił mnie, że jeśli spełnię warunki finansowe, przeniesie mnie do warstwy ekwitów. Wróciłem niedawno z Germanii, gdzie wykonałem poleczone mi zadania. Teraz chcę się ożenić i ustatkować. Mój ojciec pochwała moją decyzję. Zdeponował czterysta tysięcy sestercji u agenta ziemskiego, by dokonał inwestycji w moim imieniu. Przyszedłem, by prosić o honor, jakim twój ojciec obiecał mnie obdarzyć.

Bardzo zgrabnie ujęte. Bardzo powściągliwie. Domicjan okazał jeszcze dalej posuniętą powściągliwość.

- Jak rozumiem, jesteś detektywem? - zapytał po prostu.

I tyle mi przyszło z uprzejmej retoryki. Powinienem był oświadczyć: „Jesteś szczurem i mogę to udowodnić. Podpisuj ten zwój, cesarzu, bo sypnę z mównicy na Forum nieprzyjemnymi faktami i cię wykończę!”

Cesarski syn nie patrzył na Anakrytesa. Szpieg nie musiał się w ogóle do niego odzywać. Poza tym, że zdążyli już wszystko uzgodnić, zanim przekroczyłem próg sali, istniały jeszcze całkiem oczywiste zasady. Domicjan je głośno sprecyzował:

- Reformując warstwę senatorów i ekwitów, ojciec pragnie zgromadzić w

nich szanowanych i wartościowych ludzi, z których może w przyszłości brać kandydatów na stanowiska publiczne. Czy chcesz mi powiedzieć - zapytał tym wyważonym tonem, z którym nie mogłem się spierać - że detektywi to ludzie szanowani i wartościowi?

Wybrałem najgorsze z możliwych rozwiązanie: prawdę.

- Nie, panie. Grzebanie w tajemnicach ludzi z nizin społecznych to brudne i obrzydliwe zajęcie. Detektywi zajmują się zdradą i nieszczęściem. Żerują na śmierci i stracie.

Domicjan zagapił się na mnie. Miewał skłonności do ponuractwa.

- Ale ty byłeś dla państwa użyteczny? - zauważył.

- Mam taką nadzieję, panie.

Rezultat jednakże był nieunikniony.

- Zapewne tak - oświadczył. - Nie zdołałem jednak spełnić twojej prośby.

- Byłeś, panie, bardzo łaskawy. Dziękuję za twój czas.

Po chwili dodał z ową nieśmiałością, jaka charakteryzowała Flawiuszów:

- Jeśli uważasz, że spotkała cię niesprawiedliwość, możesz poprosić mojego brata albo cesarza, żeby ponownie rozpatrzyli twoją sprawę.

- Panie - powiedziałem z gorzkim uśmiechem - podałeś mi przekonujące wyjaśnienie, zgodne z najwyższymi zasadami społecznymi.

Wiedziałem, że kiedy już Domicjan opowiedział się przeciwko mnie, nie było sensu podnosić wrzawy. Tytus prawdopodobnie odmówiłby zajęcia stanowiska. Bez potrzeby wystawiania się na dalsze przykrości wiedziałem, że Wespazjan poprze syna. Jakby powiedział mój własny rodzic: „Od czego są ojcowie?”

- Nie mogę oskarżyć cię o niesprawiedliwość, panie - zadrwiłem - najwyżej o niewdzięczność. Bez wątpienia poinformujesz ojca o moim zdaniu, kiedy następnym razem będzie chciał mi powierzyć jakąś śmierdzącą misję, której wykonanie przekracza możliwości zwykłych dyplomatów?

Skłoniliśmy wszyscy uprzejmie głowy i opuściłem salę audiencyjną.

Anakrytes wyszedł za mną. Robił wrażenie wstrząśniętego. Wspomniał nawet o jakimś braterstwie w naszym fachu. Cóż, był szpiegiem; umiał przekonująco kłamać.

- Falko, nie miałem z tym nic wspólnego.

- To dobrze - powiedziałem.

- Domicjan mnie wezwał, bo sądził, że chcesz rozmawiać o swojej robocie w Germanii...

- To dopiero jest piękne - warknąłem. - Szczególnie, że nie miałeś nic wspólnego z moimi osiągnięciami w Germanii!

- Nawet wyzwolenicy mogą się wkupić w szeregi ekwitów! - Szpieg się nie zrażał. - A ty się godzisz na to? - zapytał. Szpiegzy to prości ludzie.

- Jak mogę zgłaszać zastrzeżenia? Domicjan postąpił zgodnie z zasadami. Na jego miejscu, Anakrytesie, zrobiłbym to samo. - Po czym, domyślając się, że Anakrytes jest wyzwoleńcem, dodałem: - Poza tym, kto chciałby być w jednej grupie z niewolnikami?

Wyszedłem z pałacu jak więzień skazany na dożywocie, który się właśnie dowiedział, że obejmie go amnestia generalna. Powtarzałem sobie, że ta odmowa przyniosła mi ulgę.

Dopiero kiedy powlokłem się do matki po Helenę, mój nastrój zaczął się stopniowo pogarszać pod brzemieniem wiedzy, że moje dzisiejsze straty, oprócz godności i dumy, objęły także ambicję, zaufanie i nadzieję.

73

Nie mając pojęcia, jak stanąć przed Heleną, poszedłem się upić. W gospodzie U Flory obie lady oświetlone były rzędami lampek. Nowy kelner był uważny, przez co lokal na pewno stracił kilku ze swoich dawnych niefrasobliwych klientów. Ani jeden okruszek nie zaśmieszczał kontuarów z udawanego marmuru, które co chwila przecierał ścierką, gorliwie czekając na zamówienia od kilku nerwowych pijaczków. Gospoda zyskała w zakresie czystości, ale straciła na atmosferze.

Wiedziałem, że to się wkrótce zmieni. Dawne fatalne zwyczaje były zbyt głęboko zakorzenione, by długo pozostawać w ukryciu. Po dziesięciu latach królowania miernota wkrótce powróci.

Z przyjemnością stwierdziłem, że kelner to ktoś, kogo znam.

- Apoloniuszu! To tylko zastępstwo, zanim wrócisz na pole edukacji?

- Na koszt firmy! - oświadczył dumnie, stawiając kubek z winem tuż obok mojego łokcia, a następnie maleńki talerzyk z dwudziestoma orzeszkami.

Nie było szansy, żebym się upił w takim nieskazitelnym otoczeniu. Dobre maniere nie pozwalały zmuszać tej zachwyconej swoim zajęciem osoby do wysłuchiwania moich żalonych opowieści, nie mówiąc już o ewentualnym sprzątaniu po mnie. Zdołałem pogadać o niczym przez kilka chwil, po czym opróżniłem kubek. Właśnie wychodziłem, kiedy z zaplecza wyłoniła się kobieta. Miała zawinięte rękawy i wycierała ręcznikiem ręce.

Przez chwilę myślałem, że to moja matka. Była drobna, schludna i co mnie zaskoczyło, siwowłosa. Twarz ostra, oczy zmęczone i spoglądające podejrzliwie na mężczyzn.

Mogłem odejść, mimo że mnie zobaczyła. Zamiast tego wziąłem głęboki wdech.

- To ty musisz być Flora - oświadczyłem. Nie odezwała się. - Jestem Falko.

- Młodszy syn Fawoniusza - powiedziała. Musiałem się uśmiechnąć, widząc ironię w ucieczce mojego groteskowego ojca do „nowego życia”, w którym nawet ta kobieta uparła się, by nazywać go dawnym imieniem.

Pewnie się zastanawiała, czy mogę jej jakoś zagrażać. Prawdopodobnie Festus kiedyś ją niepokoił; może zauważyła, że jestem inny.

- Czy mogę cię prosić o przekazanie wiadomości mojemu ojcu? Obawiam się, że złych. Powiedz mu, że poszedłem do Pałacu i załatwiono mnie odmownie. Jestem mu wdzięczny, ale pożyczka nie będzie już potrzebna.

- Będzie bardzo rozczarowany - oświadczyła rudowłosa, która nie była już rudowłosą. Zdusiłem gniew wywołany myślą o tych dwojgu rozprawiających o mnie.

- Przetrywamy wszyscy - powiedziałem jej, zupełnie jak byśmy stanowili jedną wspaniałą zgodną rodzinę.

- Może będziesz miał inną sposobność - powiedziała spokojnie Flora, niczym daleka krewna pocieszająca młodzieńca, który przyszedł się poskarżyć na porażkę w najgorszym dniu swojego życia.

Podziękowałem Apoloniuszowi za wino i udałem się do mieszkania matki.

Usłyszałem tam zbyt wiele głosów; nie mogłem więc wejść.

Helena była czujna. Kiedy znalazłem się znów na dole, umykając jak niepyszny, dobiegł mnie jej głos:

- Marku, już idę... wezmę tylko płaszcz!

Po chwili zbiegła na dół: wysoka, uparta dziewczyna w granatowej szacie i bursztynowym naszyjniku ode mnie, która wiedziała, co jej przyszedłem powiedzieć, zanim jeszcze otworzyłem usta. I tak jej powiedziałem, kiedy szliśmy przez miasto. Potem zakomunikowałem, że niezależnie od tego, co powiedziałem Anakrytesowi, nie zamierzam pozostać w mieście, które łamie swoje obietnice.

- Gdziekolwiek się wybierzesz, pojedę z tobą! - oświadczyła. Była cudowna.

Poszliśmy na promenadę... te wspaniałe stare mury wzniesione wokół pierwotnego miasta. Rzym dawno rozrósł się poza nie i teraz stanowiły pamiątkę po naszych przodkach oraz miejsce, z którego można popatrzeć na współczesne miasto. Przychodziliśmy tutaj z Heleną w trudnych momentach, by spacerując ponad światem, czuć owiewające nas powietrze.

Z ogrodów Mecenasza na stokach Eskwilinu unosiła się łagodna, zapowiadająca wiosnę woń ziemi, w której kiełkuje nowe życie. Po niebie płynęły ogromne, ciemne chmury. Z jednej strony widać było surową grań Kapitolu, wciąż bez świątyni Jowisza, spalonej w pożarze podczas wojny domowej. Obejmująca ją zakolem rzeka, której zarys widoczny był dzięki światłom na przystaniach, wijąc się, nikła w oddali. Za sobą usłyszeliśmy dźwięk trąbki z koszar pretoriańskich, który w szynku obok bramy Tyburtyńskiej wywołał wzmożoną falę pijackich pokrzykiwań. Z dołu dobiegały głosy małpek. Stały tam nędzne kramy, gdzie wróżbici i lalkarze zabawiali niewybredny plebs, który nawet zimową porą lubi rozrywki na świeżym powietrzu. Ulice zapełniły się wozami zaprzęzonymi w konie i osły,

powietrze drgało od okrzyków i dzwonek przy upręży. Egzotyczne cymbały i śpiewy świadczyły o obecności kapłanów i akolitów jakiegoś podejznanego kultu.

- Dokąd pojedziemy? - spytała Helena. Szacowne dziewczęta tak łatwo się ekscytują. To naturalne, że Helena wychowana na stateczną i rozsądną, rwała się do czynu na pierwszą wzmiankę o jakimś figlu. Znajomość ze mną niweczyła marzenia jej rodziców o okiełznaniu córki, tak jak moja znajomość z nią obracała wniwecz moje sporadyczne próby, by stać się statecznym obywatelem.

- Chwileczkę! Dopiero co w chwili zniechęcenia podjąłem szaloną decyzję, nie oczekuję więc, że od razu się z nią zgodzisz.

- Możemy sobie wybierać z całego cesarstwa...

- Albo zostać na miejscu!

Zatrzymała się nagle i roześmiała.

- Cokolwiek zechcesz, Marku. Mnie jest wszystko jedno.

Odchyliłem do tyłu głowę, oddychałem powoli i głęboko. Wkrótce zimowy zapach sadzy z miliona lampek oliwnych ustąpi miejsca letnim woniom kwiatów i wynoszonego na dwór ostro przyprawionego jedzenia. Wkrótce Rzym będzie znowu ciepły i życie wyda się łatwe, a staczenie bojów będzie zbyt wielkim trudem.

- Chcę ciebie - powiedziałem. - I takiego życia, jakie zdołamy sobie stworzyć.

Przysunęła się do mojego boku, a jej ciężki płaszcz owinął mi się wokół nóg.

- Czy możesz być szczęśliwy w tej sytuacji, w jakiej jesteśmy?

- Pewnie tak - odparłem. Zatrzymaliśmy się mniej więcej na wysokości Złotego Domu, blisko Porta Caelimontana. - A ty, skarbie?

- Wiesz, co ja myślę - powiedziała Helena. - Podjęliśmy ważną decyzję, kiedy zamieszkałam z tobą. Czymże jest małżeństwo, jeśli nie związkiem dwóch dusz? Ceremoniał jest nieistotny. Kiedy poślubiłam Pertynaksa... - bardzo rzadko to wspominała - był welon, orzechy i zarżnięta świnia. Po ceremonii - oświadczyła Helena odważnie - nie było nic więcej.

- Zatem kiedy wyjdiesz powtórnie za mąż - odparłem łagodnie - chcesz być niczym Katon Młodszy Utyceński, kiedy poślubił Marcję?

- Wiesz, jak to było? - zapytała.

- Bez świadków i gości. Bez kontraktów i mów. Był Brutus, by odczytać wróżby... choć może ty i ja powinniśmy obejść się nawet bez tego. Kto chce, by z góry przepowiedziano mu porażki? - mówiłem. Mogła mieć pewność, że ze mną porażki są nieuniknione. - Podali sobie po prostu dłonie i łącząc się duchowo, składali sobie przysięgi...

Romantyczne chwile z odczytaną dziewczyną bywają trudne.

- Katon i Marcja. To rzeczywiście wzruszająca historia. Przecież się z nią rozwiódł! - przypomniała sobie Helena ze złością. - Oddał ją swojemu

bogatemu przyjacielowi, na dodatek była wtedy w ciąży, a potem, kiedy jej drugi małżonek umarł, przyjął ją z powrotem, razem z fortuną. Wielce wygodne! Rozumiem, dlaczego podziwiasz Katona.

Dzielnie próbowałem zbyć jej słowa śmiechem.

- Daj spokój. Gość miał mnóstwo dziwacznych pomysłów. Zabraniał mężom publicznie całować żony...

- To nie on, tylko jego pradziadek, Katon Starszy Cenzor. Zresztą to było bez znaczenia - rzuciła ostro Helena. - W miejscach publicznych mężowie ignorują swoje żony, wszyscy to wiedzą.

Wciąż żyłem z całym mnóstwem uprzedzeń Heleny związanych z jej byłym mężem. Może kiedyś uda mi się rozwiać jej złe wspomnienia. Przynajmniej chciałem spróbować.

- Ja ciebie, skarbie, nie zignoruję.

- Obiecujesz?

- Ty już tego dopilnujesz! - powiedziałem, powstrzymując przyływ paniki.

- Cóż, nie jestem niezrównaną Marcją - zachichotała - a ty na pewno nie jesteś Katonem! - Jej głos zabrzmiał bardziej czule. - Ja jednak już dawno temu dałam ci swoje serce, więc równie dobrze mogę dołożyć przysięgę...

Obróciła się ku mnie, chwytając moją prawą rękę. Lewą dłoń położyła mi na ramieniu; jak zawsze, na środkowym palcu miała gładką obrączkę z brytańskiego srebra, znak jej miłości do mnie. Prawie jej się udało przybrać pozę wyrażającą pełne czci poddanie. Nie jestem tylko pewien, czy mnie udało się odwzorować tę zastygłą, pełną rezerwy minę, jaką często widuje się na nagrobnych podobiznach żonatych mężczyzn. Tak czy owak, byliśmy w tę kwietniową noc na murach, gdzie nikt nas nie widział, a jednocześnie mieliśmy wokół całe miasto, gdybyśmy potrzebowali świadków. Staliśmy w oficjalnej ślubnej rzymskiej pozie. I czymkolwiek jest łączenie się duchowe, właśnie to robiliśmy.

Zawsze uważałem, że Katon Młodszy Utyceński niejedno ma na sumieniu.



KONIEC
tomu piątego

Księgozbiór DiGG



2012